

N.

- Joe Abercrombie -
Bohaterowie





- *Joe Abercrombie* -
Bohaterowie

Przełożył
Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *The Heroes*

Copyright © 2011 Joe Abercrombie

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Magdalena Górnicka

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-66409-85-9

Wydanie III

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 2519

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Porządek bitwy

Przed bitwą

Takie czasy

Rozjemca

Najlepsi spośród nas

Czarny Dow

Jaka wojna?

Dawni pomocnicy

Nowi pomocnicy

Reachey

Tak wypada uczynić

Dzień pierwszy

Cisza

Ambicja

Mniej więcej

Najlepszy wzór

Szalka

Ich rzecz – iść w bitew dym

Wołaj „Mordu” i...

Kres taki byłby celem najpożądańszym

Ofiary

Odwaga i rozwaga

Ścieżki chwały

Pracowity dzień
Pokonani
Uczciwe traktowanie
Taktyka
Odpoczynek i rekreacja

Dzień drugi

Świt
Uwagi wstępne
Piekielne urzędnicy
Rzeczowa debata
Łańcuchy władzy
Końcowe argumenty
Zasady
Ucieczka
Most
Dziwne sojusze
Serca i umysły
Dobre uczynki
Jeszcze jeden dzień
Kości
Ostatni bohater króla
Moja ziemia

Dzień trzeci

Sztandarowa kwestia
Cienie
Pod skrzydłami
Imiona
Znów wczoraj

Za wszystkie dobrodziejstwa Twoje...

Bitewna zagadka

Naprzód i w górę

Więcej sztuczek

Tyrania odległości

Krew

Zaostrzony metal

Pokój w naszych czasach

Chwila prawdy

Łupy

Rozpaczliwe kroki

Zdarza się

Po bitwie

Koniec drogi

Kto mieczem wojuje

Prądy historii

Warunki

Rodzina

Nowi pomocnicy

Dawni pomocnicy

Każdy komuś służy

Same pustynie

Czarny Calder

Koniec wojaczki

Podziękowania

*Dla Eve
Pewnego dnia to przeczytasz i zdziwisz się:
„Tato, po co te wszystkie ostrza?”.*

Porządek bitwy

UNIA

Naczelne dowództwo

Lord marszałek Kroy – naczelny dowódca armii Jego Królewskiej Mości na Północy.

Pułkownik Felnigg – szef sztabu, człowiek pozbawiony podbródka.

Pułkownik Bremer dan Gorst – królewski obserwator Wojny Północnej i zhańbiony mistrz szermierski, niegdyś dowódca straży króla.

Rurgen i Młodszy – jego wierni słudzy, jeden stary, a drugi... młodszy.

Bayaz, Pierwszy z Magów – łysy czarownik, podobno liczący sobie sto lat, wpływowy przedstawiciel Zamkniętej Rady, grona najbliższych doradców króla.

Yoru Sulfur – jego lokaj, ochroniarz i główny księgowy.

Denka i Saurizin – dwaj starzy adepci z Uniwersytetu Aduańskiego, uczeni przeprowadzający eksperyment na zlecenie Bayaza.

Dywizja Jalenhorma

General Jalenhorm – stary przyjaciel króla, niesłuchanie młody

jak na to stanowisko, uznawany za odważnego, ale omylnego.
Retter – jego trzynastoletni lokaj.

Pułkownik Vallimir – ambitny dowódca pierwszego regimentu
Jego Królewskiej Mości.

Pierwszy sierżant Forest – podoficer sztabowy w pierwszym
regimencie.

Kapral Tunny – wieloletni spekulant oraz chorąży pierwszego
regimentu.

Żółtko, Klige, Worth i Lederlingen – tępi rekruci przydzieleni
Tunny'emu w roli posłańców.

Pułkownik Wetterlant – pedantyczny dowódca szóstego
regimentu.

Major Culfer – jego strachliwy zastępca.

Sierżant Gaunt, szeregowiec Rose – żołnierze szóstego
regimentu.

Major Popol – dowódca pierwszego batalionu regimentu
Rostoda.

Kapitan Lasmark – biedny kapitan w regimencie Rostoda.

Pułkownik Vinkler – dzielny dowódca trzynastego regimentu.

Dywizja Mittericka

Generał Mitterick – zawodowy żołnierz, bardzo odważny
i niezbyt lojalny, opisywany jako bystry, ale nieostrożny.

Pułkownik Opker – jego szef sztabu.

Porucznik Dimbik – pozbawiony pewności siebie młody oficer
w sztabie Mittericka.

Dywizja Meeda

Lord gubernator Meed – żołnierz amator o szyi jak u żółwia, w czasie pokoju władca Anglandu, nienawidzi Północnych równie mocno, jak świnia nienawidzi rzeźników.

Pułkownik Harod dan Brock – uczciwy i pracowity oficer w sztabie Meeda, syn notorycznego zdrajcy.

Finree dan Brock – jadowniczo ambitna żona pułkownika Brocka, córka lorda marszałka Kroya.

Pułkownik Brint – starszy oficer w sztabie Meeda, wieloletni przyjaciel króla.

Aliz dan Brint – młoda i naiwna żona pułkownika Brinta.

Kapitan Hardrick – oficer w sztabie Meeda, wielbiciel ciasnych spodni.

Lojaliści Wilczarza

Wilczarz – wódz Północnych walczących po stronie Unii. Dawny kompan Krwawego-dziewięć, niegdyś bliski przyjaciel Czarnego Dowa, dziś jego zaciekle wróg.

Czerwonogłowy – zastępca Wilczarza, nosi czerwony kaptur.

Czerstwy – doświadczony Imienny, dowodzi tuzinem Carlów w imieniu Wilczarza.

Czerwony Kruk – jeden z Carlów Czerstwego.

PÓŁNOC

Otoczenie tronu Skarlinga

Czarny Dow – obrońca Północy bądź jej łupieżca, zależy, kogo spytać.

Rozciętopoty – jego zastępca, czyli główny ochroniarz

i pochlebca.

Ishri – jego doradczyni, czarodziejka z pustynnego Południa, zaciekły wróg Bayaza.

Caul Dreszcz – okaleczony Imienny z metalowym okiem, którego niektórzy nazywają psem Czarnego Dowa.

Curnden Gnat – Imienny o sztywnych zasadach, kiedyś zastępca Ruddy Trójdrzewca, później zaufany Bethoda, obecnie dowódca dwunastki Carlów Czarnego Dowa.

Cudna – jego wieloletnia udręczona zastępczyni.

Whirrun z Bligh – słynny bohater z najdalszej Północy, posiadacz Ojca Mieczy. Zwany także Whirrunem Rąbniętym, ponieważ jest zdrowo rąbnięty.

Wesoły Yon Cumber, Brack-i-Dayn, Scorry Skradek, Agrick, Athroc i Drofd – pozostali członkowie oddziału Gnata.

Ludzie Szalki

Szalka – najstarszy syn Bethoda, obecnie najmniej potężny z pięciu wodzów Dowa, silny jak byk, odważny jak byk i głupi jak byk.

Blady-jak-Śnieg – dawniej jeden z wodzów Bethoda, dziś zastępca Szalki.

Białooki Hansul – Imienny ślepy na jedno oko, kiedyś herold Bethoda.

„Książę” Calder – młodszy syn Bethoda, niesławny tchórz i intrygant, tymczasowo wygnany za propozycję zawarcia pokoju.

Seff – jego brzemienna żona, córka Caula Reacheya.

Głęboki i Płytki – dwaj zabójcy, którzy opiekują się Calderem, licząc na bogactwo.

Ludzie Caula Reacheya

Caul Reachey – jeden z pięciu wodzów Dowa, stary wojownik słynący z honorowości, ojciec Seff, teść Caldera.

Brydian Mokry – Imienny, dawniej członek oddziału Gnata.

Beck – młody rolnik szukający chwały na polu bitwy, syn Szamy Bezlitosnego.

Reft, Colving, Stodder i Brait – pozostali młodzieńcy wcieleni do wojska razem z Beckiem.

Ludzie Glamy Żłotego

Glama Żłoty – jeden z pięciu wodzów Dowa, niemożliwie próżny, skłócony z Cairmem Żelaznogłowym.

Sutt Kruchy – Imienny słynący z chciwości.

Czujny – Carl w służbie Żłotego.

Ludzie Cairma Żelaznogłowego

Cairm Żelaznogłowy – jeden z pięciu wodzów Dowa, notorycznie uparty, skłócony z Glamą Żłotym.

Kędzierzawy – mężny zwiadowca.

Irig – kłótlivy wojownik z toporem.

Złośnik – wulgarny łucznik.

Inni

Brodd Dziesięć Sposobów – najbardziej lojalny z pięciu wodzów Dowa, paskudny jak kazirodztwo.

Nieznajomy-u-Bram – potężny dzikus zafascynowany cywilizacją, władca wszystkich ziem na wschód od Crinny.

Powrócili do ziemi (martwi, uznani za zmarłych albo dawno umarli)

Bethod – pierwszy król Północnych, ojciec Szalki i Caldera.

Skarling Bez Kaptura – legendarny bohater, który kiedyś zjednoczył Północ przeciwko Unii.

Krwawy-dziewięć – niegdyś wojownik Bethoda, postrach Północy, a przez krótki czas król Północnych, dopóki nie zginął z ręki Czarnego Dowa (podobno).

Rudd Trójdźrzewiec – słynący z honorowości wódz Uffrith, który walczył przeciwko Bethodowi i został pokonany w pojedynku przez Krwawego-dziewięć.

Forley Najsłabszy – notorycznie słaby wojownik, kompan Czarnego Dowa i Wilczarza, zabity na rozkaz Caldera.

Szama Bezlitosny – słynny wojownik zabity przez Krwawego-dziewięć. Ojciec Becka.

Przed bitwą

*„Nieszczęśliwy kraj,
który potrzebuje bohaterów”.*

Bertolt Brecht

Takie czasy

– Szlag, jestem już na to za stary – mruknął Gnat pod nosem, co drugi krok krzywiąc się pod wpływem bólu w chorym kolanie. Najwyższy czas skończyć z wojaczką. Już dawno powinien to zrobić. Po całym dniu uczciwej pracy będzie siadywał na werandzie i paląc fajkę z uśmiechem spoglądał na słońce chowające się za taflą wody. Co prawda, nie ma domu, ale kiedy już jakiś znajdzie, będzie to pierwszorzędny dom.

Przeszedł przez lukę w wałącym się murze, czując, że serce wali mu jak stolarski młotek. Po części za sprawą długiej wspinaczki po stromym zboczu, dzikiej trawy przytrzymującej mu buty i agresywnego wiatru, który usiłował go przewrócić. Jednakże tak naprawdę, przede wszystkim pod wpływem strachu, że zabiją go na szczycie. Nigdy nie udawał, że jest odważny, a z wiekiem stał się jeszcze większym tchórzem. To dziwne – im mniej lat mamy do stracenia, tym bardziej obawiamy się ich utraty. Może człowiek przy urodzeniu otrzymuje pewien przydział odwagi, który zużywa za każdym razem, gdy wpada w tarapaty.

Gnat wielokrotnie wpadał w tarapaty i wyglądało na to, że teraz znów tego nie uniknie.

Gdy wreszcie znalazł się na równym terenie, przez chwilę odpoczywał zgięty wpół, ocierając łzy z oczu podrażnionych wiatrem. Próbował stłumić kaszel, co jedynie sprawiło, że ten zabrzmiał głośniejsz. W ciemności przed nim wznosili się Bohaterowie, olbrzymie dziury w nocnym niebie, w których nie

świeciły gwiazdy. Co najmniej czterokrotnie wyżsi od człowieka, zapomniani giganci porzuceni na swoim wzgórzu wśród podmuchów przenikliwego wiatru, uparcie strzegący pustki.

Gnat zaczął się zastanawiać, ile waży każda z tych olbrzymich kamiennych brył. Chyba tylko zmarli wiedzą, jak wciągnięto tutaj te przekłete głazy, oraz kto to zrobił i po co. Jednak zmarli nie zamierzali niczego zdradzić, a Gnat nie miał zamiaru do nich dołączyć, by się tego dowiedzieć.

Już widział słaby blask ogniska otaczający nierówne krawędzie kamieni. Słyszał trajkoczące głosy zagłuszające cichy pomruk wiatru. To mu przypomniało o podejmowanym ryzyku i ogarnęła go nowa fala strachu. Strach to zdrowe uczucie, dopóki zmusza nas do myślenia. Dawno temu powiedział mu tak Rudd Trójdrzewiec. Gnat dokładnie wszystko przemyślał i uznał, że to dobre rozwiązanie. A raczej najmniej złe, lecz czasami nie można liczyć na więcej.

Dlatego wziął głęboki wdech, próbując sobie przypomnieć, jak się czuł, gdy był młody, miał zdrowe stawy i o nic nie dbał, po czym przeszedł przez jedną z luk między starymi głazami.

Może w dawnych czasach było to święte miejsce, kamienie wypełniała wysoka magia, a wkroczenie do kręgu bez zaproszenia stanowiło najgorszą zbrodnię. Teraz, nawet jeśli jacyś dawni Bogowie poczuli się obrażeni, to w żaden sposób tego nie okazali. Jedynie wiatr ucichł do żalosego westchnienia. Na świecie nie pozostało wiele magii, podobnie jak świętości. Takie nastąpiły czasy.

Słabe pomarańczowe światło tańczyło na pobrużdżonej powierzchni kamieni zbryzganych mchem, oplątanych ciernistymi krzakami, pokrzywami i trawą. W ciągu kilkuset lat jeden z głazów złamał się w połowie, a dwa kolejne runęły,

pozostawiając luki niczym braki w uzębieniu uśmiechniętej czaszki.

Gnat naliczył ośmiu mężczyzn, przykucniętych wokół targanego wiatrem obozowego ogniska, ubranych w połataną peleryny i znoszone płaszcze, mocno owiniętych podartymi kocami. Blask ognia migotał na posępnych brodatych twarzach poznaczonych bliznami i pokrytych szczecina. Migotał na krawędziach tarcz i ostrzach. Mieli mnóstwo broni. Na pierwszy rzut oka przypominali nocną drużynę Gnata i zapewne niezbyt się od niej różnili, choć większość była młodsza. Gnatowi nawet przez chwilę wydawało się, że jeden z mężczyzn, zwrócony bokiem, to Jutlan. Poczł przyjemny dreszcz, a słowa powitania już cisnęły mu się na usta, ale wtedy przypomniał sobie, że Jutlan od dwunastu lat spoczywa w ziemi, a on wypowiedział te słowa nad jego grobem.

Może na świecie jest ograniczona liczba twarzy i gdy żyje się dostatecznie długo, zaczynają się powtarzać.

Gnat uniósł ręce zwrócone dłońmi do przodu, starając się powstrzymać ich drżenie.

– Co za miły wieczór!

Twarze gwałtownie zwróciły się w jego stronę. Dłonie złapały za broń. Gdy jeden z mężczyzn chwycił łuk, Gnatowi żołądek podszedł do gardła, ale zanim wojownik zdążył napiąć cięciwę, jego towarzysz wyciągnął rękę i go powstrzymał.

– Spokojnie, Czerwony Kruku – odezwał się potężny starzec z bujną splątana siwą brodą. Trzymał na kolanach lśniące obnażone ostrze. Gnat szeroko się uśmiechnął, ponieważ znał tę twarz i wiedział, że jego szanse właśnie wzrosły.

Starca nazywano Czerstwym. Był Imiennym, którego Gnat pamiętał z dawnych czasów. W kilku bitwach walczyli ramie

w ramię, chociaż częściej stawali naprzeciwko siebie. Jednakże Czerstwy cieszył się dobrą reputacją. Był wytrawnym wojownikiem, który najpierw myśli i zadaje pytania, a dopiero potem zabija, co stanowiło coraz rzadziej praktykowane podejście. Poza tym wyglądało na to, że dowodzi tą drużyną, ponieważ na jego polecenie Czerwony Kruk opuścił z nadąsaną miną łuk, co Gnat powitał z ulgą. Nie chciał, by tej nocy ktokolwiek zginął, i nie wstydził się przyznać, że najbardziej zależy mu na tym w odniesieniu do siebie samego.

Wciąż musi przetrwać kilka godzin mroku i mnóstwo ostrej stali.

– Na spokój zmarłych. – Czerstwy siedział nieruchomo jak Bohaterowie, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach.
– Jeśli się nie mylę, to Curnden Gnat właśnie wyłonił się z ciemności.

– Nie mylisz się. – Gnat powoli zbliżył się o kilka kroków, wciąż trzymając uniesione ręce, starając się ze wszystkich sił wyglądać beztrosko, choć ciążyły na nim nieprzyjazne spojrzenia ośmiu par oczu.

– Trochę posiwiałeś, Gnacie.

– Ty także, Czerstwy.

– No wiesz, trwa wojna. – Stary wojownik poklepał się po brzuchu. – Mam przez nią zszargane nerwy.

– Szczerze mówiąc, ja też.

– Kto dzisiaj chciałby być żołnierzem?

– Piekielna robota. Ale powiadają, że stare konie nie potrafią skakać przez nowe przeszkody.

– Ostatnio staram się wcale nie skakać – odparł Czerstwy. – Słyszałem, że walczysz dla Czarnego Dowa. Ty i twoja dwunastka.

– W miarę możliwości unikam walki, ale masz rację co do tego, komu służyć. Dow płaci za moją owsiankę.

– Uwielbiam owsiankę. – Czerstwy przeniósł wzrok na ognisko i z namysłem dźgnął je patykiem. – Za moją płaci Unia. – Jego chłopcy byli niespokojni. Języki przesuwwały się po ustach, palce muskały broń, oczy lśniły w blasku ognia. Zupełnie jak publiczność podczas pojedynku, która obserwuje pierwsze ruchy walczących i stara się wyczuć, kto ma przewagę. Czerstwy ponownie uniósł wzrok. – Wygląda na to, że jesteśmy po przeciwnych stronach.

– Czy pozwolimy, żeby taki drobiazg zakłócił nam grzeczną rozmowę? – spytał Gnat.

Czerwony Kruk znów wpadł we wściekłość, zupełnie jakby słowo „greczna” stanowiło obelgę.

– Zabijmy skurwiela!

Czerstwy powoli odwrócił się ku niemu, a jego twarz wykrzywiła pogarda.

– Jeśli wydarzy się niemożliwe i będę potrzebował twojej rady, to ci o tym powiem. A na razie zamknij gębę, półgłówku. Człowiek tak doświadczony jak Curnden Gnat nie przyszedł tutaj po to, by zginąć z ręki kogoś takiego jak ty. – Omiótł wzrokiem głązy, po czym spojrział na Gnata. – Po co przyszedłeś, i do tego sam? Nie chcesz już walczyć dla tego drania Czarnego Dowa i chciałbyś dołączyć do Wilczarza?

– Nic z tego. Walka dla Unii nie jest w moim stylu, oczywiście bez obrazy dla tych, którzy to robią. Wszyscy mamy swoje powody.

– Staram się nie potępiać nikogo tylko dlatego, że źle dobrał przyjaciół.

– W każdym poważnym konflikcie dobrych ludzi można

znaleźć po obu stronach – odrzekł Gnat. – Czarny Dow kazał mi pójść do Bohaterów, postać chwilę na warcie i sprawdzić, czy nadciąga Unia. Ale może oszczędzisz mi kłopotu. Czy Unia nadciąga?

– Nie wiem.

– A jednak ty tutaj jesteś.

– Nie przywiązywałbym do tego większej wagi. – Czerstwy z radością powiódł wzrokiem po swoich chłopcach siedzących wokół ogniska. – Jak widzisz, wysłali mnie niemal samego. Wilczarz kazał mi pójść do Bohaterów, stanąć na warcie i sprawdzić, czy pojawi się Czarny Dow albo którykolwiek z jego ludzi. – Uniósł brwi. – Myślisz, że się pokażą?

Gnat się wyszczerzył.

– Nie wiem.

– A jednak ty tutaj jesteś.

– Nie przywiązywałbym do tego większej wagi. Jestem tutaj tylko ze swoją dwunastką. Nie licząc Brydiana Mokrego, który przed kilkoma miesiącami złamał nogę, więc musiałem go zostawić, żeby się wyleczył.

Czerstwy uśmiechnął się smutno i dźgnął ognisko patykiem, posyłając w górę snop iskier.

– Zawsze stanowiliście zgraną drużynę. Podejrzewam, że teraz stoją wokół Bohaterów z łukami w gotowości.

– Mniej więcej. – Chłopcy Czerstwego drgnęli i szeroko otworzyli usta. Zaszokował ich głos, który dobiegł znikąd, a zwłaszcza to, że należał do kobiety. Cudna stała z założonymi rękami pod jednym z gładów, tak beztrosko, jakby opierała się o ścianę tawerny. Przez ramię przewiesiła ostrze i łuk. – Witaj, Czerstwy.

Stary wojownik się skrzywił.

– Mogłabyś chociaż założyć strzałę na cięciwę i udawać, że traktujesz nas poważnie.

Skinęła głową w stronę ciemności.

– Tam czeka kilku chłopców, którzy chętnie przestrelą ci twarz, jeśli któryś z was krzywo na nas spojrzy. Zadowolony?

Czerstwy skrzywił się jeszcze bardziej.

– Tak i nie – odparł, a jego ludzie wbili wzrok w luki między kamieniami. W nocnym powietrzu nagle zawisła groźba. – Wciąż słyszysz temu osobnikowi?

Cudna podrapała się po długiej bliźnie przecinającej ogoloną głowę.

– Nie było lepszych propozycji. Jesteśmy jak stare małżeństwo, które od lat się nie pieprzy, tylko kłóci.

– To tak jak ja i moja żona, kiedy jeszcze żyła. – Czerstwy postukał palcem w obnażone ostrze. – Choć teraz za nią tęsknię. Kiedy tylko cię zobaczyłem, Gnacie, wiedziałem, że nie jesteś sam. Ale skoro wciąż gadasz, a ja wciąż oddycham, to zakładam, że chcesz to załatwić po dobroci.

– Widzę, kurwa, że mnie przejrzałeś – odrzekł Gnat. – Właśnie taki mam plan.

– Moi strażnicy żyją?

Cudna obejrzała się i zagwizdała, a wtedy Scorry Skradek wyslizgnął się zza jednego z głazów. Jedną ręką obejmował mężczyznę z dużą różową plamą na policzku. Wyglądaliby jak dwaj kompani, gdyby Scorry nie trzymał ostrza przy gardle Plamy.

– Przepraszam, wodzu – powiedział jeniec do Czerstwego. – Zaskoczył mnie.

– Zdarza się.

Jakiś wąty chłopak zatoczył się w stronę ogniska, jakby ktoś go mocno popchnął, po czym potknął się o własne stopy i z wrzaskiem runął na długą trawę. Z ciemności za jego plecami wyłonił się Wesoły Yon. W jednej dłoni trzymał opuszczony topór o lśniącym ciężkim ostrzu, a brodatą twarz wykrzywił mu ponury grymas.

– Dzięki zmarłym. – Czerstwy pomachał patykiem w stronę chłopca, który niezdarnie się podnosił. – To syn mojej siostry. Obiecałem, że będę go pilnował. Gdybyście go zabili, nie dałaby mi spokoju.

– Spał – warknął Yon. – Chyba niezbyt dokładnie go pilnowałeś?

Czerstwy wzruszył ramionami.

– Nikogo się nie spodziewałem. Na Północy mamy pod dostatkiem wzgórz i kamieni. Nie podejrzewałem, że tutaj kogoś one zwabiają.

– Mnie nie zwabiły – odparł Gnat. – Ale Czarny Dow poprosił, żebym tu przyszedł...

– A kiedy Czarny Dow o coś prosi... – Brack-i-Dayn rzekł śpiewnym głosem charakterystycznym dla mieszkańców wzgórz. Wkroczył w rozległy krąg porośnięty trawą, zwracając pokrytą tatuażami połowę twarzy ku ognisku, tak że rysy drugiej połowy skryły się w cieniu.

Czerwony Kruk zaczął się podnosić, ale Czerstwy położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

– No, no. Wszędzie was pełno. – Popatrzył na topór wesołego Yona, uśmiech Cudnej, brzuch Bracka i nóż Scorry’ego, który wciąż dotykał szyi jego człowieka. Zapewne oceniał swoje szanse, tak jak na jego miejscu zrobiłby Gnat. – Jest z wami Whirrun z Bligh?

Gnat powoli pokiwał głową.

– Nie wiem dlaczego, ale uparł się, żeby za mną podążać.

Jak na zawołanie, w ciemności zabrzmiał dziwny dolinny akcent Whirruna.

– Szogliga powiedziała... że moje przeznaczenie ukaże mi... człowiek dławiący się kością. – Głos odbił się echem od kamieni, zupełnie jakby dobiegał ze wszystkich stron jednocześnie. Whirrun miał świetne wyczucie teatralności, jak każdy prawdziwy bohater. – A Szogliga jest równie stara jak te głazy. Powiadają, że piekło nie chce jej przyjąć. Ostrze nie chce jej zranić. Powiadają, że widziała narodziny świata i ujrzy jego śmierć. Takiej kobiety mężczyzna musi wysłuchać, czyż nie? Przynajmniej tak powiadają.

Whirrun wszedł przez lukę po jednym z brakujących Bohaterów w krąg światła bijącego od ogniska. Był wysoki i szczupły i cierpliwy jak zima; krył twarz pod kapturem. Na jego ramionach niczym nosidło dojarki wisiał Ojciec Mieczy o lśniącej rękojeści z matowego szarego metalu. Zarzucił na niego obie ręce, swobodnie zwieszając dłonie o długich palcach.

– Szogliga powiedziała mi, kiedy, gdzie i jak umrę. Wyszepiała mi to i kazała obiecać, że zachowam tę wiedzę w tajemnicy, ponieważ magią nie należy się dzielić. Dlatego nie mogę wam powiedzieć, gdzie i kiedy to się wydarzy, ale na pewno nie tutaj i nie teraz. – Zatrzymał się w odległości kilku kroków od ogniska. – Ale jeśli chodzi o was, chłopcy... – Whirrun przechylił zakapturzoną głowę, tak że było widać tylko czubek jego spiczastego nosa, ostrą linię szczęki oraz wąskie usta. – Szogliga nie powiedziała, kiedy wy odejdziecie. – Nie poruszył się. Nie musiał. Cudna popatrzyła na Gnata, po czym przewróciła oczami w stronę rozgwieżdżonego nieba.

Jednakże chłopcy Czerstwego nie wiedzieli, że Whirrun powtarza te słowa po raz setny.

– To Whirrun? – szepnął jeden z nich do kompana. – Whirrun Rąbnięty? To on?

Jego towarzysz nie odpowiedział, tylko przełknął ślinę, aż gula na jego gardle podskoczyła.

– No to w walce nie mamy szans – rzekł pogodnie Czerstwy. – Pozwolicie nam odejść?

– Będę wręcz na to nalegał – odparł Gnat.

– Możemy zabrać swoje rzeczy?

– Nie mam zamiaru was upokarzać. Po prostu chcę zająć wasze wzgórze.

– A przynajmniej Czarny Dow tego chce.

– Na jedno wychodzi.

– Zatem jest wasze. – Czerstwy powoli wstał, krzywiąc się, gdy rozprostowywał nogi, zapewne również dotknięte chorobą stawów. – Wieje tutaj jak nie wiem co. Wolę grzać stopy przy ogniu w Osrungu.

Gnat musiał przyznać, że wódz ma rację. Zastanawiał się, komu przypadł w udziale lepszy los. Czerstwy z namysłem schował miecz do pochwy, podczas gdy jego chłopcy zbierali ekwipunek.

– Uczciwie się zachowałeś, Gnacie. Masz zasady, tak jak powiadają. To dobrze, że nawet ludzie stojący po przeciwnych stronach tego zamieszania wciąż potrafią się dogadać. Uczciwość... nie jest w modzie.

– Takie nastąpiły czasy. – Gnat skinął głową na Scorry'ego, który odsunął nóż od gardła Plamy, uklonił się i wyciągnął otwartą dłoń w stronę ogniska.

Plama się cofnął, pocierając świeżo wygolony placek na pokrytej szczecina szyci, po czym zaczął zwijać swój koc. Gnat zatknął kciuki za pas i nie spuszczał wzroku z drużyny Czerstwego, która przygotowywała się do odejścia, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy zabawić się w bohatera.

Czerwony Kruk był głównym kandydatem. Zarzucił łuk na ramię i stał z posępną miną, zaciskając dłoń na rękojeści topora, aż zbielały mu knykcie. Na drugim ramieniu zawiesił tarczę z namalowanym czerwonym ptakiem. Już wcześniej miał ochotę zabić Gnata, a przez ostatnie kilka minut nie zmienił zdania.

– Kilku starych gnoi i jakaś jebana baba – warknął. – Wycofujemy się przed taką bandą bez walki?

– Ależ nie. – Czerstwy zarzucił pobrużdżoną tarczę na plecy. – To ja się wycofuję razem z chłopcami. Ty zostaniesz i będziesz walczył z Whirrunem z Bligh.

– Co takiego? – Czerwony Kruk niespokojnie zerknął na Whirruna, który odwzajemnił jego spojrzenie, a widoczny fragment jego twarzy wciąż pozostawał nieruchomy jak kamienni Bohaterowie.

– Właśnie tak – rzekł Czerstwy. – Skoro rwiesz się do bitki. Potem wrzucę twojego posiekanego trupa na wóz i odstawię go do twojej mamusi. Powiem jej, żeby się nie martwiła, bo sam tego chciałeś. Tak bardzo się zakochałeś w tym pierdolonym wzgórzu, że koniecznie musiałeś tutaj umrzeć.

Czerwony Kruk nerwowo zaciskał dłoń na rękojeści topora.

– Co takiego?

– A może wolałbyś zejść razem z nami, błogosławiąc imię Curndena Gnata, który uczciwie nas ostrzegł i pozwolił nam odejść bez strzał w tyłkach.

– Zgoda – odrzekł Czerwony Kruk, po czym odwrócił się

z zasepioną miną.

Czerstwy wydał policzki, patrząc na Gnata.

– Ach ta dzisiejsza młodzież. Czy my też byliśmy tacy głupi?

Gnat wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– Nie pamiętam, żebym był aż tak żądny krwi.

Gnat ponownie wzruszył ramionami.

– Takie nastały czasy.

– Prawda, prawda, po trzykroć prawda. Zostawimy wam ognisko. Chodźcie, chłopcy. – Ruszyli w stronę południowego zbocza, po drodze zabierając ostatnie przedmioty, po czym kolejno zniknęli w ciemności pomiędzy głazami.

Siostrzeniec Czerstwego obrócił się, gdy przechodził przez lukę, i gestem pokazał Gnatowi, że może się pierdolić.

– Jeszcze tu wrócimy, podstępny draniu!

Jego wuj zdzielił go w potarganą łepetynę.

– Ała! No co?

– Okaż trochę szacunku.

– Przecież jest wojna.

Czerstwy uderzył go ponownie, aż młodzieniec pisnął.

– To nie powód, żeby być nieuprzejmym, gówniarzu.

Gnat stał nieruchomo, słuchając, jak narzekanie chłopaka rozwiewa się na wietrze za kamiennym kręgiem, po czym przełknął gorzką ślinę i wyjął kciuki zza pasa. Drżały mu dłonie; chcąc to ukryć, zatarł ręce, udając, że mu zimno. Jednakże zadanie zostało wykonane i wszyscy wciąż oddychali, więc poradził sobie lepiej, niż się spodziewał.

Wesoły Yon był innego zdania. Stanął obok Gnata posępny jak burzowa chmura i splunął do ogniska.

– Kiedyś możemy pożałować, że ich nie zabiliśmy.

– Niezabijanie zazwyczaj mniej ciąży mi na sumieniu niż zabijanie.

Brack cmoknął z dezaprobatą po drugiej stronie Gnata.

– Wojownik nie powinien się obarczać sumieniem.

– Ani pełnym brzuchem. – Whirrun strącił Ojca Mieczy z ramion i oparł go o ziemię, tak że głowica sięgała mu do szyi. Obracał bronią, patrząc, jak światło migocze na jelcu. – Każdy dźwiga jakieś brzemię.

– Moje jest w sam raz, chudzielcu. – Człowiek ze wzgórz z dumą poklepał się po ogromnym brzuchu, jak ojciec klepie po głowie syna.

– Wodzu. – Agrick pojawił się przy ognisku z łukiem w dłoni i strzałą zwisającą między dwoma palcami.

– Odeszli? – spytał Gnat.

– Patrzyłem, jak mijają Dzieci. Teraz przeprawiają się przez rzekę i kierują w stronę Osrungu. Athroc ma ich na oku. Będziemy wiedzieć, jeśli postanowią wrócić.

– Myślisz, że to zrobią? – spytała Cudna. – Czerstwy to dumny człowiek. Uśmiechał się, ale wcale mu się to nie spodobało. Ufasz temu staremu draniowi?

Gnat zmarszczył czoło.

– Nie bardziej niż innym w dzisiejszych czasach.

– Więc lepiej wystawmy strażę.

– Racja – przytaknął Brack. – I upewnijmy się, że nasi ludzie nie zasną.

Gnat uderzył go w ramię.

– Miło z twojej strony, że zgłosiłeś się na pierwszą wartę.

– Twój brzuch dotrzyma ci towarzystwa – dodał Yon.

Teraz to jego Gnat zdzielił w ramię.

– Cieszę się, że podoba ci się ten pomysł, będziesz następny.

– Psiakrew!

– Drofd!

Kędzierzawy chłopak najwyraźniej był najmłodszy stażem w drużynie, ponieważ błyskawicznie zareagował na wezwanie.

– Tak, wodzu?

– Weź osiodłanego konia i cofnij się do drogi do Yaws. Nie jestem pewien, czyich chłopców spotkasz najpierw, pewnie Żelaznogłowego, a może Brodda Dziesięć Sposobów. W każdym razie przekaż im, że przy Bohaterach natrafiliśmy na jedną z dwunastek Wilczarza. Prawdopodobnie byli to tylko zwiadowcy, ale...

– Tylko zwiadowcy. – Cudna zerwała zębami strup z knykcia i splunęła nim z czubka języka. – Wojska Unii są wiele mil stąd, rozdzielone i rozproszone; próbują poruszać się w linii prostej po kraju pełnym gór.

– Zapewne. Ale i tak wskakuj na konia i przekaż im tę wiadomość.

– Teraz? – Na twarzy Drofda odmalowała się wyraźna niechęć. – Po ciemku?

– Nie, zaczekaj do lata – odburknęła Cudna. – Tak, teraz, głupku. Wystarczy, że będziesz się trzymał drogi.

Drofd westchnął.

– To zadanie dla bohatera.

– Jak każde zadanie na wojnie, chłopcze – odparł Gnat. Wolałby posłać kogoś innego, ale wtedy sprzeczałiby się do świtu o to, dlaczego nowy chłopak został. Przed niektórymi decyzjami męczyzna nie może uciec.

– Racja, wodzu. Zobaczymy się za kilka dni. Pewnie będę miał obolałą dupę.

– Dlaczego? – Cudna wykonała kilka ruchów biodrami. – Dziesięć Sposobów to twój bliski przyjaciel? – To wywołało salwę śmiechu. Brack zaryczał basowo, Scorry zachichotał, nawet Yon nieco rozprostował zmarszczone czoło, co oznaczało, że był rozbawiony.

– Bardzo, kurwa, śmieszne. – Drofd zniknął w ciemności, szukając konia, by wyruszyć w drogę.

– Słyszałam, że smalec z kurczaka ułatwia sprawę! – zawołała Cudna, a chichot Whirruna odbił się echem od Bohaterów i poniósł w mrok.

Gdy emocje opadły, Gnat poczuł się wypalony. Opadł na ziemię przy ognisku, krzywiąc się, gdy zgiął obolałe kolana. Piasek wciąż był ciepły od tyłka Czerstwego. Scorry zajął miejsce naprzeciwko i zaczął ostrzyć nóż, a zgrzyt metalu wyznaczał rytm dla jego cichego, wysokiego śpiewu. To była pieśń o Skarlingu Bez Kaptura, największym bohaterze Północy, który dawno temu zjednoczył wszystkie klany, żeby przepędzić wojska Unii. Gnat siedział i słuchał, gryząc podrażnioną skórę wokół paznokci, myśląc o tym, że powinien przestać to robić.

Whirrun odłożył Ojca Mieczy, przysiadł na piętach, po czym wyjął stary woreczek, w którym trzymał runy.

– Lepiej powróżę, co?

– Musisz? – mruknął Yon.

– A co? Boisz się, co powiedzą znaki?

– Boję się, że wygłosisz stek bzdur, a ja przez pół nocy będę próbował coś z nich zrozumieć.

– Zobaczymy. – Whirrun wysypał runy na dłoń, splunął na nie, po czym rzucił na ziemię obok ogniska.

Gnat nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć szyi, chociaż za nic na świecie nie potrafił odczytać tego świństwa.

– Co mówią runy, Rąbnięty?

– Runy mówią... – Whirrun zmrużył oczy, jakby próbował zobaczyć coś z dużej odległości – ...że poleje się krew.

Cudna parsknęła.

– Zawsze to mówią.

– Owszem. – Whirrun szczelniej owinął się płaszczem i zamknąwszy oczy, przytulił się do rękojeści miecza jak kochanek. – Ale ostatnio częściej mają rację.

Gnat rozejrzał się ze zmarszczonym czołem po Bohaterach, zapomnianych gigantach uparcie strzegących pustki.

– Takie nastaly czasy – szepnął.

Rozjemca

Stał przy oknie, opierając się jedną ręką o kamienie i bębniąc, bębniąc, bębniąc palcami. Ze zmarszczonym czołem patrzył na Carleon. Na labirynt brukowanych ulic, płataninę stromych dachów i wysokie miejskie mury, które wzniósł jego ojciec, lśniące czarno pod wpływem mżawki. Na rozmazane pola w oddali, a potem poza rozwidlenie szarej rzeki, aż ku nierównej linii wzgórz u wlotu doliny. Jakby posępna mina mogła mu pomóc sięgnąć wzrokiem dalej. Ponad czterdzieści mil zniszczonego kraju dzieli go od rozproszonej armii Czarnego Dowa. Tam ważą się losy Północy.

Bez niego.

– Chcę jedynie, by wszyscy robili, co im rozkażę. Czy to tak wiele?

Seff zbliżyła się i przywarła do jego pleców.

– Myślę, że z ich strony byłoby to rozsądne.

– Przecież wiem, co dla nich najlepsze, prawda?

– Sama ci o tym mówię, więc... owszem.

– A jednak na Północy jest kilku durni, którzy nie rozumieją, że znamy wszystkie odpowiedzi.

Przesunęła dłonią wzdłuż jego ręki i przycisnęła jego niespokojne palce do kamienia.

– Mężczyźni nie lubią prosić o pokój, lecz w końcu to zrobią. Zobaczysz.

– Ale dopóki tak się nie stanie, jak wszyscy wizjonerzy czuję

się odrzucony. Wzgardzony. Wygnany.

– Dopóki tak się nie stanie, pozostaniesz zamknięty w jednej komnacie ze swoją żoną. Czy to takie straszne?

– Nie chciałbym być nigdzie indziej – skłamał.

– Kłamca – szepnęła, łaskocząc go ustami w ucho. – Jesteś prawie takim łgarzem jak powiadają. Wolałbyś być tam, u boku swego brata, odziany w zbroję. – Przesunęła dłonie pod jego pachami na pierś, przyprawiając go o drżenie. – Ucinać głowy niezliczonym Południowcom.

– Wiesz, że zabijanie to moja ulubiona rozrywka.

– Zabiłeś więcej ludzi, niż Skarling.

– A gdybym mógł, wkładałbym zbroję do łóżka.

– Powstrzymuje cię tylko troska o moją miękką skórę.

– Ale z puciny głów tryska zbyt wiele krwi. – Obrócił się i dotknął leniwym palcem jej mostka. – Wolę szybkie pchnięcia w serce.

– Właśnie tak przeszły moje serce. Wytrawny z ciebie szermierz.

Pisnął, gdy poczuł jej dłoń między nogami, po czym, chichocząc, odsunął się wzdłuż ściany, unosząc ręce, by się obronić.

– No dobrze, dobrze, przyznaję! Lepszy ze mnie kochanek niż wojownik!

– Nareszcie prawda. Tylko patrz, co mi zrobiłeś. – Położyła dłoń na brzuchu i popatrzyła na niego z naganą, ale po chwili uśmiechnęła się, gdy się zbliżył, splótł swoje palce z jej palcami i pogłaskał jej nabrzmiąły brzuch.

– To chłopiec – szepnęła. – Czuję to. Dziedzic Północy. Zostaniesz królem, a potem...

– Ciii. – Uciszył ją pocałunkiem. Nie mogli być pewni, czy ktoś ich nie słyszy. – Mam starszego brata, pamiętasz?

– To tępak.

Calder skrzywił się, ale nie zaprzeczył. Z westchnieniem popatrzył na jej dziwny, cudowny, przerażający brzuch.

– Ojciec zawsze powtarzał, że nie ma niczego ważniejszego niż rodzina. – Poza władzą. – Zresztą nie ma sensu kłócić się o coś, czego nie mamy. Czarny Dow nosi łańcuch władzy mojego ojca. To nim powinniśmy się przejmować.

– Czarny Dow to zwykły bandzior z jednym uchem.

– Bandzior, który trzyma pod butem całą Północ i rozkazuje najpotężniejszym wodzom.

– Potężni wodzowie – parsknęła mu w twarz. – Karły o wielkich nazwiskach.

– Brodd Dziesięć Sposobów.

– Ten stary zgniłek? Robi mi się niedobrze na samą myśl o nim.

– Cairm Żelaznogłowy.

– Słyszałam, że ma małego fiuta. Dlatego ciągle jest taki zacięty.

– Glama Złoty.

– Ma jeszcze mniejszego. Jak palec niemowlaka. A ty masz sojuszników.

– Czyżby?

– Przecież wiesz, że mój ojciec cię lubi.

Calder się skrzywił.

– Twój ojciec rzeczywiście mną nie gardzi, ale wątpię, by rzucił się przecinać sznur, jeśli mnie powieszą.

– Jest honorowym człowiekiem.

– Oczywiście, że tak. Carl Reachey ma zasady, wszyscy o tym wiedzą. – Jeśli to ma jakieś znaczenie. – Ale zostaliśmy sobie przyobiecani, gdy byłem królem Północnych, a świat wyglądał zupełnie inaczej. Wtedy jego zięciem miał zostać książę, a nie słynny tchórz.

Poklepała go po policzku, na tyle mocno, że rozległo się ciche klaśnięcie.

– Piękny tchórz.

– Na Północy pięknych mężczyzn szanuje się jeszcze mniej niż tchórzliwych. Nie sądzę, by twój ojciec był zadowolony z tego, jak kapryśne okazało się moje szczęście.

– Srać na twoje szczęście. – Chwyliła go za koszulę i z zaskakującą siłą przyciągnęła do siebie. – Niczego bym nie zmieniła.

– Ja też nie. Ale twój ojciec owszem.

– Mylisz się. – Chwyliła go za dłoń i przytrzymała ją przy swoim wielkim brzuchu. – Jesteśmy rodziną.

– Rodziną. – Miał ochotę powiedzieć, że rodzina równie dobrze może być słabością, a nie siłą. – Mamy więc twojego honorowego ojca i mojego brata tępaka. Północ jest nasza.

– Będzie nasza. Wiem to. – Powoli się cofnęła, odciągając go od okna w stronę łóżka. – Być może Dow zna się na walce, ale wojny nie trwają wiecznie. Jesteś od niego lepszy.

– Niewiele osób by się z tym zgodziło. – A jednak miło było usłyszeć te słowa, zwłaszcza wyszeptane do ucha cichym, niskim, nagłym głosem.

– Jesteś od niego sprytniejszy. – Potarła policzkiem o jego szczękę. – Znacznie sprytniejszy. – Połaskotała go nosem w podbródek. – Jesteś najsprytniejszym mężczyzną na Północy. – Na spokój zmarłych, ależ uwielbiał jej pochlebstwa.

– Mów dalej.

– Z pewnością jesteś też od niego przystojniejszy. – Ścisnęła jego dłoń i przesunęła ją w dół swojego brzucha. – Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na Północy...

Polizał jej usta końcem języka.

– Gdyby rządili najpiękniejsi, byłabyś królową Północnych...

Jej palce zajęły się jego paskiem.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć, czyż nie, księżę Calderze?

Rozległo się walenie do drzwi i Calder znieruchomiał, czując, że krew pulsuje mu w głowie, a nie w fiucie. Nic tak nie psuje romantycznego nastroju jak nagłe zagrożenie życia. Walenie się powtórzyło, aż ciężkie drzwi zagrzechotały na zawiasach. Odsunęli się od siebie z rumieńcami na twarzach, gorączkowo poprawiając ubranie, jak para młodocianych kochanków przyłapanych przez rodziców, a nie mąż i żona pięć lat po ślubie. Jak może marzyć o zostaniu królem, skoro nie ma władzy nawet nad zamkiem we własnych drzwiach.

– Rygiel jest na zewnątrz – burknął.

Zazgrzytał metal i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. W łukowatym wejściu stanął zarośnięty mężczyzna, który głową niemal sięgał zwornika. Był do nich zwrócony okaleczoną stroną twarzy, którą przecinała potężna blizna biegnąca od kącika ust przez brew i czoło. Metalowa kulka lśniła w ślepym oczodole. Jeśli jakiegokolwiek resztki romantycznego nastroju czaiły się jeszcze w kątach komnaty lub spodniach Caldera, to widok tego oka i blizny brutalnie położył im kres. Księżę poczuł, że Seff zeszywniała, a skoro była znacznie odważniejsza od niego, to jej lęk jeszcze bardziej go zaniepokoił. Caul Dreszcz stanowił najgorszą wróżbę. Ludzie nazywali go psem Czarnego Dowa, ale nigdy nie mówili mu tego prosto w spaloną twarz. Obrońca

Północy zawsze wysyłał go do najczarniejszej roboty.

– Dow chce cię widzieć. – Gdyby widok twarzy Dreszcza odebrał jakiemuś bohaterowi tylko połowę odwagi, to jego głos z pewnością dopełniłby dzieła. Chrapliwy szept, który sprawiał wrażenie, że każde słowo jest wypowiedane z bólem.

– Po co? – spytał Calder tonem pogodnym jak letni poranek, pomimo serca tłukącego się w piersi. – Nie da rady beze mnie pokonać Unii?

Dreszcz się nie roześmiał. Nie zmarszczył czoła. Po prostu stał w drzwiach jak milcząca groźna skała.

Calder spróbował beztrąsko wzruszyć ramionami.

– No cóż, najwyraźniej każdy komuś służy. Co z moją żoną?

Dreszcz zerknął na Seff zdrowym okiem. Gdyby popatrzył na nią z pożądaniem albo kpiącą pogardą, Calder poczułby się pewniej. Ale olbrzym spoglądał na ciężarną jak rzeźnik na mięso, jakby była zadaniem do wykonania.

– Dow chce, żeby została jako zakładniczka i postarała się, by wszyscy byli grzeczni. Nic się jej nie stanie.

– Jeśli wszyscy rzeczywiście będą grzeczni. – Calder stanął przed żoną, jakby chciał osłonić ją własnym ciałem. Jednak nie stanowił ochrony przed kimś takim jak Dreszcz.

– Właśnie.

– A jeśli to Czarny Dow niewłaściwie się zachowa? Gdzie jest mój zakładnik?

Dreszcz przeniósł wzrok na Caldera.

– Ja będę twoim zakładnikiem.

– Czyli, jeśli Dow złamie dane słowo, będę mógł cię zabić?

– Będziesz mógł spróbować.

– Ha. – Caul Dreszcz miał reputację jednego

z najgroźniejszych ludzi na Północy. Nie trzeba dodawać, że Calder wręcz przeciwnie. – Dasz nam chwilę, żebyśmy mogli się pożegnać?

– Dlaczego nie? – Dreszcz cofnął się w cień, tak że było widać tylko błysk jego metalowego oka. – Nie jestem potworem.

– Wracamy do dołu z węzami – szepnął Calder.

Seff złapała go za rękę i popatrzyła nań szeroko otwartymi oczami, przestraszona, a zarazem zdeterminowana. Niemal tak bardzo jak on sam.

– Bądź cierpliwy, Calderze. Stąpaj ostrożnie.

– Całą drogę będę szedł na palcach. – Jeśli w ogóle dotrze na miejsce. Niewykluczone, że Dreszczowi polecono poderżnąć mu gardło i wrzucić trupa do bagna.

Ujęła go za podbródek palcem wskazującym i kciukiem, po czym mocno potrząsnęła.

– Nie żartuję. Dow się ciebie obawia. Mój ojciec twierdzi, że wykorzysta każdy pretekst, żeby cię zabić.

– Dow powinien się mnie obawiać. W końcu, cokolwiek by o mnie mówić, jestem synem swojego ojca.

Jeszcze mocniej ścisnęła go za podbródek i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Kocham cię.

Spuścił wzrok na podłogę, czując w gardle wzbierające łzy.

– Za co? Nie widzisz, jaki ze mnie podły gnojek?

– Jesteś lepszy niż ci się wydaje.

Kiedy tak mówiła, prawie w to wierzył.

– Ja też cię kocham. – Nawet nie musiał kłamać. Ależ się wściekał, gdy jego ojciec ogłosił, kto zostanie jego żoną. Ma się ożenić z tą małą suką o nosie jak świński ryjek i języku jak

sztylet? A teraz, za każdym razem, gdy ją widział, wyglądała coraz piękniej. Uwielbiał jej nos, a jeszcze bardziej język. Niemal zrezygnował dla niej z innych kobiet. Przyciągnął ją do siebie, mrugając załzawionymi oczami, po czym jeszcze raz ją pocałował. – Nie martw się. Nie śpieszy mi się na własną egzekucję. Zanim się zorientujesz, wrócę do twojego łóżka.

– W zbroi?

– Jeśli tylko będziesz miała ochotę – odrzekł, po czym się odsunął.

– I pamiętaj, żeby nie kłamać.

– Ja nigdy nie kłamię.

– Kłamca – powiedziała bezgłośnie, zanim strażnicy zamknęli i zaryglowali drzwi, pozostawiając Caldera w mrocznym korytarzu z żalostną myślą, że może już nigdy nie zobaczyć żony.

To niespodziewanie dodało mu odwagi. Dogonił Dreszcza i złapał go za ramię. Było twarde jak z drewna, co nieco zbiło Caldera z tropu, ale go nie powstrzymało.

– Jeśli coś się jej stanie, przysięgam, że...

– Słyszałem, że twoje obietnice nie są wiele warte. – Dreszcz zerknął na dłoń beczelnie zaciśniętą na jego ramieniu, a Calder ostrożnie ją zabrał.

Rzadko bywał odważny, ale nawet wtedy nie przekraczał granic rozsądku.

– Kto tak powiedział? Czarny Dow? Obietnice tego drania są warte jeszcze mniej niż moje.

Dreszcz milczał, ale Caldera niełatwo było zniechęcić. Dobre oszustwo wymaga wysiłku.

– Dow daje ci tylko tyle, ile jesteś w stanie od niego wyrwać. Niczego nie zyskasz, choćbyś był najbardziej lojalny. Prawdę mówiąc, im większa lojalność, tym mniejszy zysk. Zresztą, sam

się przekonasz. Jest za mało mięsa i zbyt wiele głodnych psów do nakarmienia.

Dreszcz lekko zmrużył oko.

– Nie jestem psem.

Ta rysa gniewu wystarczyłaby, żeby uciszyć większość mężczyzn, ale Calder potraktował ją jako lukę, w którą wbił dłuto.

– Właśnie widzę – szepnął, tak samo cicho i pośpiesznie, jak szeptała do niego Seff. – Większość ludzi ze strachu nie dostrzeżę twojej prawdziwej natury. Ale ja rozumiem, kim jesteś. Wojownikiem, to oczywiste, ale także myślicielem. Człowiekiem ambitnym i dumnym, dlaczegóż by nie? – Calder zatrzymał się w zacienionym zakątku korytarza, po czym nachylił się jak spiskowiec, walcząc z instynktownym obrzydzeniem, gdy zbliżył się do paskudnej blizny. – Mogę zagwarantować, że gdyby pracowali dla mnie ludzie tacy jak ty, zrobiłbym z nich lepszy użytek niż Czarny Dow.

Dreszcz uniósł dłoń, przyzywając Caldera. Na jego małym palcu krwawo lśnił duży rubin. Książę nie miał wyjścia, jak tylko bardziej się nachylić, znacznie bliżej niż miał ochotę. Z tej odległości czuł gorący oddech Dreszcza. Z tej odległości mógłby go pocałować. Z tej odległości widział tylko swój zniekształcony, nieprzekonujący uśmiech odbity w martwej metalowej kulce.

– Dow chce cię widzieć.

Najlepsi spośród nas

Wasza Królewska Mość!

Przegrupowaliśmy siły po odwrocie spod Cichego Brodu i kontynuujemy kampanię. Mimo że Czarnemu Dowowi nie brakuje sprytu, lord marszałek Kroy stopniowo spycha go na północ ku Carleonowi. Znajdujemy się obecnie w odległości najwyżej dwóch tygodni marszu od stolicy. Dow nie może wiecznie się cofać. Gwarantujemy Waszej Królewskiej Mości, że w końcu go dopadniemy.

Wczoraj dywizja generała Jalenhorma zwyciężyła w niewielkiej potyczce na wzgórzach na północnym wschodzie. Lord gubernator Meed prowadzi swoją dywizję na południe w stronę Ollensandu, chcąc zmusić Północnych do rozdzielenia sił i przystąpienia do bitwy w osłabieniu. Osobiście podróżuję z dywizją generała Mettericka, blisko sztabu marszałka Kroya. Wczoraj, niedaleko wioski Barden Północni zaskoczyli naszą kolumnę z zaopatrzeniem, gdyż zbyt szybko się rozproszyła na złych drogach. Mimo czujności i męstwa naszych tylnych straży zostaliśmy pokonani i doznaliśmy ciężkich strat. Polecam pamięci Waszej Królewskiej Mości pułkownika Kernsa, który wstawił się wyjątkową dzielnością i stracił życie w walce, pozostawiając żonę i małe dziecko.

W kolumnach panuje porządek. Mamy ładną pogodę. Wojsko przemieszcza się swobodnie, a żołnierze są

w dobrych nastrojach.

*Wierny i pokorny sługa Waszej Królewskiej Mości,
Bremer dan Gorst,
królewski obserwator Wojny Północnej*

W kolumnie panował chaos. Lał deszcz. Wojsko nurzało się w błocie, a żołnierze byli w podłych humorach.

A ja czuję się najbardziej podle z tego całego zgniłego roju.

Bremer dan Gorst przepychał się przez tłum ubłoconych żołnierzy, którzy wili się jak robaki. Po ich zbrojach spływała woda, a włócznie trzymane na ramionach niebezpiecznie sterczały we wszystkie strony. Czoło pochodu znieruchomiało jak popsute mleko w butelce, ale kolejne szeregi wciąż napierały, dokładając do przepychającego się tłumu własne brzemie złego nastroju, coraz bardziej blokując błotnistą nitkę, która miała uchodzić za drogę, i wpychając przeklinających ludzi na drzewa. Gorst był już spóźniony, więc musiał wykazać się zdecydowaniem, usuwając sobie żołnierzy z drogi. Niektórzy mieli ochotę się sprzeciwić, gdy lądowali w błocie, ale szybko milkli, widząc, z kim mają do czynienia. Znali go.

Wrogiem, który tak utrudnił życie armii Jego Królewskiej Mości, okazał się jeden z jej własnych wozów, który ześlizgnął się z drogi pokrytej błotem sięgającym do kostek w znacznie głębsze bagno na poboczu. Zgodnie z zasadą, według której zawsze musi się wydarzyć najbardziej frustrująca rzecz, choćby była najmniej prawdopodobna, wóz stanął w poprzek drogi, a tylne koła zablokowały się na osiach. Wściekły woźnica niepotrzebnie chłostał przerażone konie, a pół tuzina przemoczonych żołnierzy kręciło się bez celu z tyłu pojazdu. Po

obu stronach drogi ludzie brnęli przez mokre zarośla, klnąc, gdy ciernie darły im ubrania, a gałęzie przytrzymywały włócznie i chłostały po oczach.

Tuż obok stali trzej młodzi oficerowie ubrani w szkarłatne mundury, które pod wpływem ulewy przybrały na ramionach kasztanową barwę. Dwaj się kłócili, wskazując wóz palcami, a trzeci tylko patrzył, beztrosko opierając dłoń na złoconej rękojeści rapiera, nieruchomy jak manekin u wojskowego krawca.

Wróg nie zdołałby zorganizować równie skutecznej blokady, nawet gdyby użył tysiąca najlepszych ludzi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Gorst, starając się zabrzmieć władczo, oczywiście bez powodzenia.

– Kolumna transportowa nie powinna podróżować tym szlakiem!

– Bzdura! To piechota powinna zaczekać, dopóki...

Ponieważ najważniejsze jest szukanie winnych, a nie rozwiązanie. Gorst odepchnął oficerów, po czym z chlupotem wtargnął na trzęsawisko, wbił się pomiędzy ubłoconych żołnierzy i sięgnął w głąb mazi do tylnej osi wozu, z trudem znajdując oparcie dla ślizgających się butów. Kilka razy szybko wciągnął powietrze, po czym się zaparł.

– Jedź! – pisnął do woźnicy, wyjątkowo zapominając ściszyć głos.

Trzasnął bicz. Stęknęli ludzie. Parsknęły konie. Zachlupotało błoto. Gorst naprężył się od palców u nóg po czubek głowy, a każdy jego mięsień napiął się i zadrżał pod wpływem wysiłku. Świat rozmył mu się przed oczami i Gorst pozostał sam ze swoim zadaniem. Stęknął, ryknął, a następnie zasyczał, czując w sobie wściekłe wrzenie, jakby zamiast serca miał bezdenny

pojemnik z gniewem i musiał jedynie odkręcić kurek, by rozerwać wóz na kawałki.

Koła poruszyły się z pełnym protestu jękiem, wyskoczyły z bagna i wóz ruszył naprzód. Uwolniony od swojego brzemienia Gorst nagle stracił oparcie, potknął się rozpaczliwie i runął na twarz w grzęzawisko razem z jednym z żołnierzy. Gdy zdołał się podnieść, zobaczył, że wóz odjeżdża z grzechotem, a woźnica walczy o odzyskanie panowania nad niespokojnymi kołmi.

– Dziękujemy za pomoc, panie pułkowniku. – Żołnierz wyciągnął brudną rękę i zdołał jeszcze szerzej rozmazać błoto na mundurze Gorsta.

Nasmarujcie osie, tępe szumowiny. Trzymajcie się drogi, półgłówki. Wykonujcie swoją przeklętą pracę, leniwe szczury. Czy wymagam tak wiele?

– Dobrze – mruknął Gorst, odsuwając dłoń mężczyzny i na próżno usiłując rozprostować bluzę od munduru. – Dziękuję. – Ruszył w deszczu w ślad za wozem, niemal słysząc kpiący śmiech żołnierzy i oficerów obgadujących go za jego plecami.

Lord marszałek Kroy, dowódca armii Jego Królewskiej Mości na Północy, zorganizował swój tymczasowy sztab w największym budynku w promieniu tuzina mil, rozległej chacie tak porośniętej mchem, że przypominała porzuconą kupę gnoju. Bezzębna staruszka i jej jeszcze starszy mąż, zapewne wysiedleni właściciele, siedzieli okryci wytartą chustą w drzwiach sąsiadującej z domem stodoły i patrzyli, jak Gorst brnie przez błoto w stronę ich niegdysiejszych drzwi wejściowych. Nie wyglądali na zachwyconych. Podobnie jak

czterej strażnicy wałęsający się wokół werandy w mokrych sztormiakach oraz przemoczeni oficerowie, od których roilo się w niskim pokoju dziennym. Obejrzeli się z nadzieją, gdy Gorst wszedł do pomieszczenia, ale widząc, kto przyszedł, wszyscy bez wyjątku spuścili nosy na kwintę.

– To Gorst – parsknął jeden z nich, jakby spodziewał się króla, a zobaczył służącego.

W pokoju zgromadziły się same wojskowe sławy. Marszałek Kroy siedział u szczytu stołu, jak zwykle nienagannie elegancki w świeżo wyprasowanym czarnym mundurze ze sztywnym kołnierzykiem wysadzonym srebrnymi listkami. Każdy siwy włos na jego czaszce stał na baczność. Obok siedział sztywno szef sztabu, pułkownik Felnigg, drobny, zwinny, o błyszczących oczach, którym nie umykał żaden szczegół, i wysoko uniesionej brodzie. Jako że właściwie nie posiadał podbródka, jego szyja tworzyła niemal idealną linię prostą prowadzącą od kołnierza aż do dziurek w zakrzywionym nosie.

Jak dumny sęp czekający na trupa, którym mógłby się pożywić, pomyślał Gorst.

Generał Mitterick stanowiłby obfity posiłek. Był dorodnym mężczyzną o potężnej twarzy, jego wybujałe rysy ledwie mieściły się z przodu głowy. Podczas gdy podbródek Felnigga był niezauważalny, u Mittericka wyglądał nader okazale i był przecięty głęboką śmiałą bruzdą.

Zupełnie jakby dupa zwisała mu pod bujnym wąsem.

Miał na sobie rękawice z bawolej skóry sięgające niemal do łokci. Zapewne chciał wyglądać na człowieka czynu, ale w oczach Gorsta przypominał raczej rolnika, który zamierza ulżyć wzdętej krowie.

Mitterick uniósł brew, patrząc na mundur Gorsta pokryty

zaschniętym błotem.

– Znów odgrywał pan bohatera, pułkownika Gorst? – spytał, wzbudzając cichy śmiech.

Zaraz ci skopię dupę, którą masz na gębie, ty prózny krowi sługusie.

Te słowa cisnęły się Gorstowi na usta, ale wiedział, że ze swoim falsetem ośmieszy się każdym komentarzem. Wolalby zmierzyć się z tysiącem Północnych niż cierpieć męczarnie rozmowy. Dlatego tylko krzywo się uśmiechnął, jak zwykle bez słowa przyjmując upokorzenie. Znalazł najciemniejszy kąt, skrzyżował ręce na brudnej bluzie i stłumił wściekłość, wyobrażając sobie wyszczerzone głowy oficerów Mittericka nabite na włócznie wojowników Czarnego Dowa. Może nie były to zbyt patriotyczne myśli, ale dały mu wiele satysfakcji.

Świat stanął na głowie, skoro tacy ludzie, jeśli w ogóle można ich nazwać ludźmi, mogą z pogardą odnosić się do kogoś takiego jak ja. Jestem wart dwa razy więcej od was wszystkich. Czy to najlepsze, co Unia ma do zaoferowania? W takim razie zasługujemy na przegraną.

– Nie da się wygrać wojny, nie brudząc sobie rąk.

– Co takiego? – Gorst obejrzał się, marszcząc czoło.

Obok niego siedział Wilczarz. Był ubrany w zniszczony płaszcz, a na jego nie mniej zniszczonej twarzy malowały się zmęczenie i rezygnacja.

Północny odchylił głowę do tyłu, pozwalając, by lekko uderzyła o łuszczącą się ścianę.

– Ale niektórzy woleliby się nie pobrudzić. I przegrać.

Gorst nie mógł sobie pozwolić na sojusz z jedynym człowiekiem, który jeszcze gorzej od niego pasował do towarzystwa. Dlatego uciekł w milczenie, chowając się w nim

jak w znoszonej zbroi, i skupił się na nerwowym trajkotaniu oficerów.

– Kiedy tutaj dotrą?

– Niedługo.

– Ilu ich jest?

– Słyszałem, że trzech.

– Tylko jeden. Wystarczy jeden członek Zamkniętej Rady.

– Zamknięta Rada? – pisnął Gorst, a jego głos pod wpływem nerwów niemal przekroczył granice ludzkiego słyszenia. Znów poczuł mdlący posmak przerażenia, które ogarnęło go w dniu, gdy ci straszni starcy pozbawili go stanowiska. Zmiażdżyli moje marzenia tak obojętnie, jak dziecko miażdży żuka. – A potem...

Gdy został wyprowadzony na korytarz, czarne drzwi zatrzasnęły się za nim jak wieko trumny.

Już nie jestem dowódcą królewskiej straży. Nie jestem żołnierzem gwardii przybocznej. Tylko piskliwym żartem, a moje nazwisko stało się równoznaczne z porażką i hańbą. Wciąż widział to zgromadzenie pomarszczonych i zgarbionych kpiarzy. A u szczytu stołu blade oblicze króla, który mocno zaciskał zęby i nie chciał patrzeć Gorstowi w oczy. Jakby zrujnowanie najbardziej lojalnego sługi było dla niego tylko nieprzyjemnym obowiązkiem...

– Czy już wiemy, który z nich przyjedzie? – spytał Felnigg.

– To bez znaczenia. – Kroy popatrzył w stronę okna. Za przymkniętymi okiennicami deszcz przybierał na sile. – I tak wiemy, co powie. Król domaga się wielkiego zwycięstwa, dwa razy szybciej i dwa razy taniej.

– Jak zwykle! – Mitterick zapiał jak nadpobudliwy kogut. – Przekłęci politycy ciągle wtykają nos w nasze sprawy! Słowo daję, że przez tych oszustów z Zamkniętej Rady zginęło więcej

naszych ludzi niż z rąk wrogów...

Gałka na drzwiach przekreśliła się z głośnym grzechotem i do pokoju wszedł krępy łysy starzec z krótką siwą brodą. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na potężnego człowieka. Jego ubranie było tylko odrobinę mniej przemoczone i ubłocone niż mundur Gorsta. Dzierżył drewnianą laskę ze stalowym okuciem, która bardziej przypominała laskę starca niż symbol władzy. Jednak, mimo że na niego oraz na niepozornego sługę, który podążał za nim, przypadało po dziesięciu dumnych jak pawie wojskowych, to oficerowie wstrzymali oddech. Ze staruszka promieniowała niewzruszona pewnością siebie, pogardliwa zaborczość oraz mistrzowskie opanowanie.

Jest jak rzeźnik zerkający na poranną dostawę świń, pomyślał Gorst.

– Lordzie Bayazie. – Kroy lekko pobladł.

Być może po raz pierwszy Gorst zobaczył go zaskoczonego, zresztą marszałek nie był jedyny. Oficerowie szczerze wypełniający pomieszczenie wydawali się bardziej zaszokowani, niż gdyby trup Haroda Wielkiego wjechał do pokoju na wózku, by do nich przemówić.

– Panowie. – Bayaz niedbale rzucił swoją laskę kędzierzawemu słudze, z cichym syknięciem otarł kropelki wilgoci z łysiny, po czym strzepnął je z dłoni. Jak na legendarną postać zachowywał się dziwnie bezceremonialnie. – Co za pogoda. Czasami kocham Północ, a czasami... nie do końca.

– Nie spodziewaliśmy się...

– Bo niby czemu? – Bayaz zachichotał, demonstrując dobry humor, który przypominał groźbę. – Przecież się wycofałem! Ponownie zwolniłem swoje miejsce w Zamkniętej Radzie i spędzam starcze lata w swojej bibliotece, z dala od trybów

polityki. Jednakże, skoro wojna toczy się na moim progu, pomyślałem, że nie wypada nie złożyć wizyty. Przyniosłem pieniądze... rozumiem, że macie pewne zaległości w wypłatach.

– Drobnie – przyznał Kroy.

– Jeśli jeszcze trochę się zwiększą, żołnierski honor i posłuszeństwo mogą szybko się rozwiać, nieprawdaż, panowie? Bez złotego smaru wielka wojenna machina Jego Królewskiej Mości wkrótce stanie, jak wiele rzeczy na tym świecie, czyż nie?

– Troska o dobrobyt naszych ludzi zawsze jest dla nas najważniejsza – odparł niepewnie marszałek.

– Dla mnie także! – odpowiedział Bayaz. – Jestem tutaj po to, by wam pomóc. Żeby nieco nasmarować tryby, jeśli wolicie. Obserwować, a jeśli nadarzy się okazja, być może służyć drobną radą. Oczywiście, to pan jest dowódcą, lordzie marszałku.

– Oczywiście – powtórzył Kroy, jednak nikt nie był o tym przekonany.

W końcu mieli do czynienia z Pierwszym z Magów. Człowiekiem, który podobno ma sto lat, podobno dysponuje magiczną mocą, podobno własnoręcznie stworzył Unię, posadził króla na tronie i przepędził Gurków, rujnując przy tym dużą część Adui. Podobno.

Trudno go posądzać o niechęć do ingerencji, myślał Gorst.

– Eee... jeśli mogę, chciałbym panu przedstawić generała Mittericka, dowódcę drugiej dywizji Jego Królewskiej Mości.

– Generale Mitterick, nawet odcięty od świata pośród swoich ksiązek słyszałem opowieści o pańskim męstwie. To prawdziwy zaszczyt.

Generał napuszył się z radości.

– Ależ nie! To ja jestem zaszczycony!

– Niewątpliwie – odparł Bayaz ze swobodną brutalnością.

Kroy śmiało przerwał ciszę.

– To mój szef sztabu, pułkownik Felnigg, a to Wilczarz, przywódca Północnych, którzy sprzeciwiają się Czarnemu Dowowi i walczą u naszego boku.

– Ach, tak! – Bayaz uniósł brwi. – Jeśli się nie mylę, mieliśmy wspólnego znajomego, Logena Dziewięciopalcego.

Wilczarz odwzajemnił spojrzenie maga, jako jedyny w pomieszczeniu nie okazując onieśmielenia.

– Daleko mi do pewności, że zginął.

– Jeśli ktoś był... albo jest... w stanie oszukać Wielkiego Rozjemcę, to właśnie Logen. Tak czy inaczej, to wielka strata dla Północy. Dla świata. Wybitny człowiek, który pozostawił po sobie trudną do wypełnienia pustkę.

Wilczarz wzruszył ramionami.

– Człowiek jak człowiek. Było w nim trochę dobra i trochę zła, jak w większości ludzi. A co do trudnej do wypełnienia pustki, to chyba zależy od tego, kogo się spyta, nieprawdaż?

– Racja. – Bayaz uśmiechnął się skruszony, po czym płynnie odezwał się w mowie Północy. – Trzeba być realistą w takich sprawach.

– Otóż to – odpowiedział Wilczarz.

Gorst wątpił, by ktokolwiek w pomieszczeniu zrozumiał tę krótką wymianę zdań. Sam również nie był pewien, czy mu się to udało, chociaż nieco znał miejscowy język.

Kroy spróbował przejść do rzeczy.

– A to jest...

– Bremer dan Gorst, ależ oczywiście! – Bayaz zaszokował Gorsta, serdecznie potrząsając jego dłonią. Jak na swój wiek

dysponował niezwykle silnym uściskiem. – Widziałem, jak pan fechtował z królem. Kiedy to było? Pięć lat temu? Sześć?

Gorst potrafiłby wyliczyć ten czas co do godziny. To wiele mówi o mojej nędznej namiastce życia, skoro chwilą największej chwały wciąż jest dla mnie upokorzenie w walce szermierczej.

– Dziewięć.

– Już dziewięć, coś podobnego! Słowo daję, że całe dziesięciolecia przemykają jak liście niesione wiatrem. Nikt bardziej nie zasłużył na tytuł.

– Zostałem pokonany w uczciwej walce.

Bayaz nachylił się bliżej.

– Tak czy inaczej, został pan pokonany i tylko to się liczy. – Po czym klepnął Gorsta w ramię, jakby powiedział żart zrozumiały tylko dla nich dwóch, choć najwyraźniej tylko on go rozumiał. – Wydawało mi się, że pan służy w królewskiej gwardii przybocznej? Czyż nie chronił pan króla podczas bitwy pod Aduą?

Gorst poczuł, że się czerwieni. Owszem, wszyscy tutaj o tym wiedzą, ale dziś jestem tylko nędznym kozłem ofiarnym, którego wykorzystano i porzucono, jakbym był jakąś jękającą się służką wykorzystaną przez bezczelnego najmłodszego syna Jego Lordowskiej Mości. Teraz jestem...

– Pułkownik Gorst pełni funkcję królewskiego obserwatora – odezwał się Kroy, dostrzegając jego zakłopotanie.

– Oczywiście! – Bayaz pstryknął palcami. – Po tym, co się wydarzyło w Sipani.

Twarz Gorsta zapłonęła, jakby sama nazwa miasta stanowiła dla niego potwarz. Sipani. Wszystko, co było w nim najlepsze, cztery lata temu zostało w miejscu, w którym spędzał tak wiele czasu: w targanym chaosem Domu Uciech Cardottiego. Szedł

chwiejnie poprzez dym, rozpaczliwie szukając króla, dotarł do schodów, zobaczył zamaskowaną twarz... po czym został zrzucony z wysokich schodów, prosto w objęcia niezawinionej hańby. Zobaczył kpiące uśmiechy na rozmazanej plamie twarzy, w którą nagle zmieniło się wnętrze pokoju. Otworzył zaschnięte usta, ale jak zwykle nie wydobyło się z nich nic użytecznego.

– No cóż. – Mag pocieszająco poklepał Gorsta po ramieniu, tak jak klepie się psa obronnego, który dawno stracił wzrok i któremu z sentymentu czasami rzuca się kość. – Może jeszcze uda się panu wrócić do łask króla.

Żebyś wiedział, ty magiczna kurwo, choćbym miał utopić Północ we krwi.

– Może – szepnął Gorst.

Jednakże Bayaz już zasiadł przy stole i oparł złączone dłonie o blat.

– A więc! Jak wygląda sytuacja, lordzie marszałku?

Kroy szarpnięciem wygładził przód munduru, po czym podszedł do olbrzymiej mapy, tak dużej, że zawinięto ją na krawędziach, by zmieściła się na największej ścianie skromnego budynku.

– Dywizja generała Jalenhorma znajduje się tutaj, na zachód od nas. – Papier zaszeleścił, gdy Kroy przesunął po nim drewnianym wskaźnikiem. – Jalenhorm ciągnie na północ, po drodze paląc pola i wsie, w nadziei, że uda mu się nakłonić Północnych do bitwy.

Bayaz sprawiał wrażenie znudzonego.

– Mmmm.

– Tymczasem dywizja lorda gubernatora Meeda, razem z większością lojalistów Wilczarza, maszeruje na południowy wschód, gdzie zamierza wziąć w oblężenie Ollensand. Dywizja

generała Mittericka znajduje się pomiędzy nimi. – Stuk, stuk, kij na papierze, bezlitośnie precyzyjny. – Jesteśmy gotowi wesprzeć którąkolwiek z tych dwóch dywizji. Wozy z zaopatrzeniem jeżdżą na południe w stronę Uffrithu po bardzo złych drogach, w zasadzie zwykłych szlakach...

– Oczywiście. – Bayaz zbył go machnięciem mięsistej dłoni. – Ale nie przybyłem tutaj po to, żeby zajmować się szczegółami.

Kij trzymany przez Kroya żałośnie zawisł w powietrzu.

– A więc...

– Niech pan sobie wyobrazi, lordzie marszałku, że jest pan mistrzem kamieniarskim, który pracuje nad wieżą w wielkim zamku. Rzemieślnikiem, którego poświęcenia, umiejętności i dbałości o szczegóły nikt nie podaje w wątpliwość.

– Mistrzem kamieniarskim? – Mitterick sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Teraz niech pan sobie wyobrazi, że Zamknięta Rada to architekci. Nasze zadanie nie polega na dopasowywaniu do siebie poszczególnych kamieni, ale na zaprojektowaniu całej budowli. To polityka, a nie taktyka. Wojsko jest narzędziem władzy i należy z niego korzystać z pożytkiem dla rządzących. W przeciwnym razie stanie się tylko niezwykle kosztowną maszyną do... wybijania medali.

Oficerowie poruszyli się niespokojnie.

Żołnierzyki nie lubią takich przemów.

– Polityczne cele rządzących często się zmieniają – mruknął Felnigg.

Bayaz popatrzył na niego jak nauczyciel patrzy na osła obniżającego poziom klasy.

– Świat ciągle się zmienia i my także musimy to robić. Od czasu rozpoczęcia najnowszego konfliktu okoliczności nie uległy

polepszeniu. Chłopi znów się buntują. Wszystko przez wojenne podatki. Zresztą, oni bez przerwy się buntują. – Niespokojnie postukał grubymi palcami w blat. – A odkąd ukończono nową Rotundę Lordów, arystokraci mogą wylewać swoje żale przed Otwartą Radą i robią to nader chętnie oraz szczegółowo. Najwyraźniej niecierpliwą się brakiem postępów.

– Przekłete gaduły – mruknął Mitterick. Potwierdzając zasadę, że ludzie zawsze najbardziej nienawidzą w innych tego, co jest najgorsze w nich samych.

Bayaz westchnął.

– Czasami mam wrażenie, że buduję zamki z piasku podczas przypływu. Gurkijczycy nigdy nie odpuszczają, nie ma końca ich intrygom. Jednak kiedyś stanowili jedyne poważne wyzwanie poza granicami. Teraz musimy się liczyć także z Wężem Talinsu. Murcatto. – Zmarszczył brwi, jakby to nazwisko wywołało niesmak w jego ustach, a zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. – Podczas gdy nasze armie są zajęte lokalnymi potyczkami, ta przekłeta kobieta coraz mocniej zaciska pięść na Styrii, ośmielona tym, że Unia nie może jej powstrzymać.

W pomieszczeniu rozległo się kilka oburzonych patriotycznych syknięć.

– Mówiąc wprost, panowie, ta wojna zaczyna nas kosztować zbyt wiele pieniędzy, prestiżu i utraconych okazji. Zamknięta Rada domaga się szybkiego rozstrzygnięcia. Oczywiście, jako żołnierze podchodzicie do wojny z sentymentem. Jednak walka ma sens tylko wtedy, gdy jest tańsza od innych rozwiązań. – Spokojnie zdjął sobie pyłek z ramienia, popatrzył na niego z niezadowoleniem i upuścił go na ziemię. – W końcu to tylko Północ. Czy na pewno jest tego warta?

Zapadła cisza. Wreszcie marszałek Kroy odchrząknął.

– Zamknięta Rada domaga się szybkiego rozstrzygnięcia... czyli wraz z końcem sezonu kampanii?

– Wraz z końcem sezonu? Ależ nie.

Oficerowie odetchnęli z ulgą. Nie na długo.

– Znacznie szybciej – dokończył Bayaz.

W pomieszczeniu zawrzało. Rozległy się pełne oburzenia westchnienia, przerażone bełkotanie, ciche przekleństwa i pomruki niedowierzania. Oficerowie wyjątkowo pozwolili, by osobista uraza wzięła górę nad posłuszeństwem.

– Ależ to niemożliwe...! – wybuchnął Mitterick, uderzając pięścią w stół, po czym szybko się opamiętał. – Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro, ale nie możemy...

– Panowie, panowie. – Kroy uciszył niespokojnych podwładnych, odwołując się do ich rozsądku.

Lordowi marszałkowi można wiele zarzucić, ale zawsze był rozsądny.

– Lordzie Bayazie... Czarny Dow nas unika. Wciąż kluczy i się wycofuje. – Kroy wskazał mapę, zupełnie jakby dostarczała niezaprzeczalnych dowodów. – Ma u swego boku wytrawnych wodzów. Jego ludzie znają teren i mogą liczyć na pomoc miejscowych. Jest mistrzem szybkich manewrów i odwrotów, błyskawicznych przegrupowań i zasadzek. Już raz nas okpił. Jeśli zbyt pośpiesznie staniemy do bitwy, grozi nam...

Równie dobrze mógłby próbować przekonać przypyływ. Pierwszy z Magów pozostał obojętny na jego słowa.

– Znów pan ucieka w szczegóły, lordzie marszałku. Kamieniarze i architekci, czy już o tym mówiłem? Król posłał was tutaj, byście walczyli, a nie maszerowali w kółko. Nie wątpię, że znajdziecie sposób na nakłonienie Północnych do decydującej bitwy, a jeśli nie, no cóż... każda wojna to tylko

wstęp do rozmów. – Bayaz wstał, a oficerowie z ociąganiem poszli w jego ślady, chaotycznie szurając krzesłami i postukując ostrzami.

– Jesteśmy... zachwyceni, że pan do nas dołączył – wykrztusił Kroy, mimo że wojskowi wyraźnie byli przeciwnego zdania.

Jednakże Bayaz był odporny na ironię.

– To dobrze, ponieważ zostanę jako obserwator. Dołączyło do mnie kilku przedstawicieli Uniwersytetu Aduańskiego. Chciałbym przetestować jeden z ich wynalazków.

– W miarę możliwości postaramy się pomóc.

– Znakomicie. – Bayaz szeroko się uśmiechnął. To był jedyny uśmiech w pomieszczeniu. – Pozostawię układanie kamieni w panów... – Uniósł brew, patrząc na absurdalne rękawice Mittericka – ...sprawnych dłoniach. Do widzenia.

Stukanie znoszonych butów Pierwszego z Magów oraz kroki jego sługi powoli cichły w głębi korytarza, jednak zdenerwowani oficerowie wciąż milczeli, jak dzieci wcześniej odesłane do łóżka, które zamierzają odrzucić kołdry, gdy tylko rodzice wystarczająco się oddalą.

Gdy usłyszeli odgłos zamykanych drzwi wejściowych, pomieszczenie wypełnił wściekły jazgot.

– Co, do diabła...

– Jak on śmie?

– Przed końcem sezonu? – pieniał się Mitterick. – Do szczętu oszalał!

– Absurd! – warknął Felnigg. – Absurd!

– Przekłęci politycy!

Gorst się uśmiechał, nie tylko na złość Mitterickowi i pozostałym. Teraz będą musieli dążyć do bitwy. Nie wiem, po

co oni tutaj są, ale ja przyjechałem, żeby walczyć.

Kroy przywołał swoich krnąbrnych oficerów do porządku, uderzając kijem w stół.

– Panowie, proszę! Zamknięta rada przemówiła, zatem przemówił król, a my musimy się postarać okazać posłuszeństwo. W końcu jesteśmy tylko kamieniarzami. – Gdy w pokoju zapadła cisza, odwrócił się w stronę mapy, wodząc wzrokiem po drogach, wzgórzach i rzekach Północy. – Obawiam się, że musimy porzucić ostrożność i zebrać siły do zbiorowego marszu na północ. Wilczarzu?

Północny podszedł do stołu i energicznie zasalutował.

– Lordzie marszałku Kroy! – Oczywiście żartował, gdyż był sojusznikiem marszałka, a nie jego podwładnym.

– Czy jeśli ruszymy wszystkimi siłami do Carleonu, to Czarny Dow przystąpi do bitwy?

Wilczarz potarł dłonią nieogoloną szczękę.

– Być może. Nie słynie z cierpliwości. To, że od kilku miesięcy deptacie mu po piętach na jego własnym podwórku, stawia go w złym świetle. Ale drań zawsze był nieprzewidywalny. – Przez chwilę jego twarz wykrzywiał gorzki grymas, jakby przypomniawszy sobie coś bolesnego. – Na pewno, gdy wreszcie postanowi stanąć do walki, nie będzie składał żadnych propozycji, tylko od razu dobierze się wam do dupy. Ale warto spróbować. – Wilczarz wyszczerzył się do oficerów. – Zwłaszcza jeśli lubicie, jak ktoś się wam dobiera do dupy.

– Osobiście nie przepadam, ale podobno generał powinien być gotowy na wszystko. – Kroy powiódł kijem wzdłuż jednej z dróg aż do rozstajów, po czym postukał w papier. – Co to za miasteczko?

Wilczarz pochylił się nad stołem i mrużąc oczy, popatrzył na

mapę; zasłaniał przy tym widok dwóm niezadowolonym oficerom i wcale się tym nie przejmował.

– To Osrung, stara osada położona pośród pól. Są tam most i młyn, najwyżej... trzystu albo czterystu mieszkańców w czasach pokoju. Trochę budynków z kamienia, więcej z drewna. Na zewnątrz wysokie ogrodzenie. Kiedyś mieli znakomitą tawernę, ale nic nie jest już takie jak dawniej.

– A to wzgórze? Obok miejsca, w którym spotykają się drogi prowadzące z Ollesandu i Uffrithu?

– Bohaterowie.

– Dziwna nazwa.

– Pochodzi od kręgu starych głazów na szczycie. Pod nimi dawno temu pogrzebano jakichś wojowników, a przynajmniej tak głosi legenda. Jest stamtąd znakomity widok. Niedawno posłałem tam tuzin swoich ludzi, żeby sprawdzili, czy w okolicy nie pojawili się chłopcy Dowa.

– I co?

– Na razie nie, ale nie ma powodu, by tak się stało. W razie kłopotów w pobliżu znajdą pomoc.

– A więc to będzie właściwe miejsce. – Kroy jeszcze niżej pochylił się nad mapą, przyciskając końcówkę kija do wizerunku wzgórza, jakby mógł siłą woli umieścić tam swoją armię. – Bohaterowie. Felnigg?

– Tak, panie marszałku?

– Przekaż lordowi gubernatorowi Meedowi, by zaprzestał oblężenia Ollesandu i czym prędzej pomaszerował na spotkanie z nami pod Osrungiem.

Kilku oficerów gwałtownie wciągnęło powietrze.

– Meed się wścieknie – odparł Mitterick.

– Nie po raz pierwszy. Nic na to nie poradzimy.

– Będę tamtędy wracał – rzekł Wilczarz. – Muszę się spotkać ze swoimi chłopcami i posłać ich na północ. Mogę przekazać wiadomość.

– Będzie lepiej, jeśli przekaze ją osobiście pułkownik Felnigg. Lord gubernator Meed nie jest... zbyt przychylnie nastawiony do mieszkańców Północy.

– W odróżnieniu od was, prawda? – Wilczarz zaprezentował najlepszym oficerom Unii zestaw ostrych żółtych zębów. – A więc jadę. Przy odrobinie szczęścia spotkamy się na wzgórzu za... trzy dni? Cztery?

– Pięć, jeśli pogoda się nie poprawi.

– To jest Północ. Niech będzie pięć. – Wyszedł z niskiego pokoju dziennego w ślad za Bayazem.

– Cóż, może nie tak to sobie wyobrażaliśmy. – Mitterick uderzył mięsistą pięścią w mięsistą dłoń. – Ale teraz wreszcie będziemy im mogli pokazać. Wykurzimy tych drani na otwarty teren i damy im do wiwatu! – Nogi jego krzesła zazgrzytały, gdy wstawał. – Popędzę swoją dywizję. Powinniśmy wyruszyć nocą, lordzie marszałku! Czym prędzej dopaść wroga!

– Nie. – Kroy zasiadł przy swoim biurku i zamoczył pióro w kałamarzu, by napisać rozkazy. – Wstrzymajmy ich przez noc. Na tych drogach i w taką pogodę pośpiech przyniesie więcej szkody niż pożytku.

– Ale lordzie marszałku, jeśli...

– Nie zamierzam zwlekać, generale, ale nie mam również ochoty na szybką porażkę. Nie możemy nadmiernie męczyć ludzi. Muszą być gotowi.

Mitterick machnął dłońmi w rękawicach.

– Niech szlag trafi te przeklęte drogi!

Gorst odsunął się i wypuścił generała oraz jego ludzi z pokoju, po cichu wyobrażając sobie, że kieruje ich do bezdennej otchłani.

Kroy uniósł brwi podczas pisania.

– Rozsądni ludzie... unikają... bitew. – Jego pióro przyjemnie poskrzypywało na papierze. – Ktoś będzie musiał zawieźć ten rozkaz generałowi Jalenhormowi. Niech czym prędzej pomaszeruje do Bohaterów i zajmie wzgórze, miasteczko Osrung oraz wszystkie pozostałe brody na rzece, które...

Gorst wystąpił naprzód.

– Ja to zrobię. – Jeśli dojdzie do walki, dywizja Jalenhorma jako pierwsza ruszy do akcji. A ja stanę na czele pierwszego szeregu. Nie pogrzebię duchów Sipani w sztabie.

– Nikomu innemu chętniej go nie powierzę.

Gorst chwycił kartkę z rozkazem, ale marszałek nie od razu wypuścił ją z ręki. Spokojnie uniósł wzrok, a złożony papier utworzył most pomiędzy nim a pułkownikiem.

– Tylko niech pan pamięta, że jest obserwatorem, a nie królewskim mistrzem.

Nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem sławnym chłopcem na posyłki, który trafił tutaj, bo nigdzie indziej go nie chcą. Jestem sekretarzem w mundurze. I to brudnym mundurze. Jestem trupem, który wciąż się porusza. Ha, ha! Tylko popatrzcie na tego głupiego drągala o śmiesznym głosie! Niech dla nas zatańczy!

– Tak jest, panie marszałku.

– Zatem niech pan obserwuje, ale z łaski swojej powstrzyma się od kolejnych bohaterskich wyczynów. Nie tak jak wtedy w Barden. Wojna to nie miejsce na bohaterstwo. Zwłaszcza ta wojna.

– Tak jest, panie marszałku.

Kroy puścił kartkę, po czym odwrócił się w stronę swojej mapy i zaczął mierzyć odległości za pomocą wyprostowanych kciuka i palca wskazującego.

– Król nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pana stracił.

Król mnie porzucił i wszystkich gównem obchodzi, czy skończę posiekany na kawałki z mózgiem rozbryzganym po całej Północy. A najmniej mnie samego.

– Tak jest, panie marszałku. – Gorst wyszedł przez drzwi frontowe z powrotem na deszcz, gdzie od razu trafił go piorun.

Szła ku niemu przez grząskie podwórze. Pośród ponurego błota jej uśmiechnięta twarz płonęła jak słońce. Zachwyty go przytłoczył, przyprawił o dreszcze i odebrał mu oddech. Miesiące, które spędził z dala od niej, nie na wiele się zdały. Nadal był w niej rozpaczliwie i beznadziejnie zakochany.

– Finree – szepnął z zachwytem, jak czarodziej w bajce dla dzieci wypowiadający zaklęcie. – Co tutaj robisz? – Niemal oczekiwał, że kobieta rozplynie się w powietrzu i okaże wytworem jego przeciążonej wyobraźni.

– Przyjechałam zobaczyć się z ojcem. Zastałam go?

– Jest w budynku, wypisuje rozkazy.

– Jak zwykle. – Popatrzyła na mundur Gorsta i uniosła jedną brew, która pod wpływem deszczu nastroszyła się i zmieniła kolor z brązowej na niemal czarną. – Widzę, że wciąż bawisz się w błocie.

Nie potrafił nawet się zawstydić. Całkowicie zatracił się w jej spojrzeniu. Kilka kosmyków włosów przykleiło się do jej mokrej twarzy. Żałował, że nie jest na ich miejscu.

Myślałem, że już nie możesz być piękniejsza, ale myliłem się. Nie śmiał na nią spojrzeć i nie śmiał odwrócić wzroku. Jesteś

najpiękniejszą kobietą na świecie... nie... w historii świata... nie...
najpiękniejszym, co istniało w historii świata.

– Świetnie wyglądasz – wyszeptał.

Spuściła wzrok na swój przemoczony płaszcz podróżny, zachlapany błotem aż do pasa.

– Podejrzewam, że nie jesteś ze mną całkowicie szczery.

– Nigdy nie udaję. – Kocham cię kocham cię kocham cię kocham cię kocham cię kocham cię kocham cię...

– Dobrze się czujesz, Bremerze? Mogę tak do ciebie mówić, prawda?

Możesz zmiążdżyć mi oczy obcasami. Tylko wypowiedz jeszcze raz moje imię.

– Oczywiście. Czuję się... – Chory na ciele i umyśle, zrujnowany i ośmieszony, przepelniony nienawiścią do całego świata, ale to nie ma znaczenia, póki ty jesteś ze mną. – ...dobrze.

Wyciągnęła dłoń, a on pochylił się i ją ucałował, jak wioskowy kapłan, któremu pozwolono dotknąć rąbka szaty Proroka...

Na jej palcu zobaczył złotą obrączkę z niewielkim połyskującym niebieskim kamieniem.

Poczuł tak silny ucisk w żołądku, że ledwie nad sobą zapanował. Tylko niezwykłym wysiłkiem woli utrzymał się na nogach.

– Czy to...? – wyszeptał z trudem.

– Tak, obrączka ślubna! – Czyż mogła wiedzieć, że wolałby, żeby zamachała mu przed oczami zmasakrowaną głową?

Uchwycił się swego sztucznego uśmiechu jak tonący ostatniego kawałka drewna. Poczuł, że jego usta się poruszają, i usłyszał własny pisk. Wstrętny, kobiecy, żaloszny cienki pisk.

– Kim jest ten pan?

– To pułkownik Harold dan Brock. – W jej głosie dało się usłyszeć dumę. Miłość.

Co bym oddał, żeby usłyszeć, jak wypowiada w ten sposób moje imię? Wszystko, co mam. Czyli nic, poza pogardą ludzi.

– Harold dan Brock – wyszeptał, a imię rywala zazgrzytało w jego ustach jak piasek. Oczywiście go znał. Nawet byli kuzynami czwartego stopnia. Czasami ze sobą rozmawiali, gdy Gorst przed laty służył w straży lorda Brocka, ojca Harolda. Potem lord Brock spróbował sięgnąć po koronę, ale bez powodzenia, co skończyło się dla niego wygnaniem za zdradę. Jednak jego najstarszemu synowi król okazał łaskę. Co prawda odebrał mu liczne ziemie i tytuły, ale darował życie. Gorst żałował, że król nie okazał się wtedy mniej miłosierny.

– Służy w sztabie lorda gubernatora Meeda.

– Tak. – Brock był obrzydliwie przystojny, miał serdeczny uśmiech i ujmujące usposobienie. Drań. Był wygadany i powszechnie lubiany, pomimo hańby, jaką okrył się jego ojciec. Wąż. Zasłużył na swoją pozycję odwagą i dobroduszością. Skurwysyn. Był wszystkim tym, czym nie był Gorst.

Bremer zacisnął drżącą prawą pięść, wyobrażając sobie, że wyrywa uśmiechniętą szczękę z urodziwej głowy Harolda dan Brocka.

– Tak.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi – powiedziała Finree.

To macie fart. Ja chcę się zabić. Nie mogłaby mu sprawić większego bólu, gdyby zmiażdżyła mu fiuta w imadle. Czy jest aż tak głupia, że się nie domyśla? Z pewnością jakaś część niej o wszystkim wie i cieszy się z jego upokorzenia. Jak ja cię kocham. Jak ja cię nienawidzę. Jak ja cię pragnę.

– Gratuluję wam obojgu – mruknął.

– Przekażę mężowi.

– Tak. – Tak, powiedz mu, żeby zdechł, żeby spłonął i to szybko. Gorst utrzymywał sztuczny uśmiech na twarzy, choć wymioty podchodziły mu do gardła. – Tak.

– Muszę iść do ojca. Może niedługo znów się zobaczymy?

O tak. Już wkrótce. Dzisiaj wieczorem, kiedy będę ścisnął fiuta w dłoni, udając, że to twoje usta...

– Mam nadzieję.

Wyminęła go. Dla niej to tylko mało znaczące spotkanie ze starym znajomym. Dla niego jej odejście było jak zapadnięcie nocy. Przykrywa mnie ziemia, piach pogrzebu wypełnia mi usta. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nią z trzaskiem, a potem jeszcze długo stał na deszczu. Miał ochotę opłakiwać bez końca swoje zrujnowane marzenia. Miał ochotę uklęknąć w błocie i wyrwać sobie resztkę włosów. Miał ochotę kogoś zamordować i było mu obojętne kogo. Może siebie?

Zamiast tego gwałtownie wciągnął powietrze, które cicho zagwizdało w jednym z nozdrzy, po czym z chlupotem pomaszerował przez błoto w gęstniejący mrok.

W końcu musi dostarczyć wiadomość. Bez bohaterских wyczynów.

Czarny Dow

Drzwi stajni huknęły jak katowski topór i Calder tylko dzięki swej słynnej arogancji nie wyskoczył w powietrze. Nigdy nie przepadał za naradami wojennymi, zwłaszcza gdy pojawiali się na nich jego wrogowie. Tym razem w spotkaniu uczestniczyli trzej z pięciu wodzów Czarnego Dowa, a pech coraz dotkliwiej prześladowający Caldera sprawił, że była to trójka, która najmniej go lubiła.

Glama Złoty od czubka głowy aż do palców nóg wyglądał jak bohater. Miał potężne dłonie i przystojną twarz o silnie zarysowanej szczęce, a jego długie włosy, nastroszone wąsy oraz rzęsy miały kolor bladego złota. Nosił na sobie więcej żółtego metalu niż księżniczka w dniu ślubu – złoty naszyjnik na grubym karku, bransolety na grubych nadgarstkach oraz pierścienie na grubych palcach. Cały lśnił, wypolerowany przechwałkami i miłością do samego siebie.

Cairm Żelaznogłowy stanowił jego przeciwieństwo. Poznaczona bliznami twarz jak surowa forteca, na której można stępić ostrze topora, oczy jak gwoździe pod brwiami niczym kowadło, krótko obcięte włosy i nieskazitelnie czarna broda. Niższy, ale szerszy od Złotego, potężne chłopisko ubrane w kolczugę lśniącą pod peleryną podszytą czarnym futrem niedźwiedzia. Powiadano, że własnoręcznie go zadusił. Zapewne zwierzak krzywo na niego popatrzył. Zarówno Żelaznogłowy, jak i Złoty darzyli Caldera pogardą, lecz na szczęście nienawidzili siebie nawzajem, jak noc nienawidzi dnia, więc nie

mieli czasu na swary z kimkolwiek innym.

Co się tyczy nienawiści, Brodd Dziesięć Sposobów miał jej niewyczerpany zapas. Był jednym z tych drani, którzy nie potrafią nawet spokojnie oddychać. Paskudny jak kazirodztwo i natarczywy, oblesnie uśmiechnięty jak wioskowy zboczeniec gapiący się na przechodzące dojarki. Śmierdział, miał niewyparzoną gębę, zepsute zęby i ohydną wysypkę na wykrzywionej twarzy, ale najwyraźniej był z tego dumny. Między nim a ojcem Caldera panowała zapiekła wrogość. Brodd dwukrotnie musiał uznać wyższość rywala podczas bitwy i na kolanach oddać wszystko, co posiadał. Odzyskanie utraconych dóbr uczyniło go jeszcze bardziej zgorzkniałym i bez trudu przeniósł wieloletnią wrogość z Bethoda na jego synów, a zwłaszcza na Caldera.

No i wreszcie przywódca tej niedopasowanej rodziny złoczyńców, samozwańczy Obrońca Północy, Czarny Dow we własnej osobie. Siedział na Tronie Skarlinga z podwiniętą nogą, a drugą lekko stukał o ziemię. Na jego pobrużdżonej, pokrytej bliznami twarzy malowało się coś w rodzaju uśmiechu, ale miał chytre zmrużone oczka, jak kot, który wypatrzył gołębia. Polubił eleganckie stroje i na ramionach nosił lśniący łańcuch, który kiedyś należał do ojca Caldera. Jednak nie mógł, a nawet nie chciał ukrywać tego, kim jest – zabójcą od stóp aż po czubki uszu. A raczej jednego ucha, gdyż z drugiego pozostał mu tylko kawałek chrząstki.

Na wypadek, gdyby jego imię i uśmiech nie robiły dostatecznie groźnego wrażenia, Czarny Dow obficie wyposażył się w stal. Oparł o Tron Skarlinga długi szary miecz oraz topór, wyszczerbiony od długotrwałego użytkowania, umieszczając go w zasięgu opuszczonych palców. Palców zabójcy – zdartych

i opuchniętych, pokrytych bliznami na knykciach po całym życiu wypełnionym czarną robotą.

Rozciętostopy stał w mroku obok ramienia Dowa. Był jego zastępcą, czyli osobistym ochroniarzem i głównym pochlebcą. Trzymał się swojego mistrza jak cień, zatknąwszy kciuki za pas ze srebrną kłamrą. Dwaj spośród jego Carlów czaili się z tyłu, błyskając zbrojami, krawędziami tarcz i obnażonymi ostrzami, a pozostali stali wzdłuż ścian i po obu stronach drzwi. W powietrzu unosiła się woń starej słomy i starych koni, jednak znacznie mocniejszy był zapach przemocy, gęsty jak bagienny smród.

A gdyby to wszystko nie wystarczyło, by Calder zesrał się w swoje elegancko skrojone spodnie, tuż za nim stał Dreszcz, który wzbogacał atmosferę lodowatą groźbą.

– No proszę, czyż to nie dzielny książe Calder. – Dow zmierzył go wzrokiem, jak kocur przyglądający się krzakowi, na który zamierza nasikać. – Witamy z powrotem na wojnie, chłopcze. Tym razem zrobisz, co ci, kurwa, każemy?

Calder się uklonił.

– Jestem waszym pokornym sługą. – Uśmiechnął się kpiąco, jakby te słowa wcale nie paliły go w język. – Żłoty. Żelaznogłowy. – Z szacunkiem uklonił się obu mężczyznom. – Mój ojciec zawsze powtarzał, że na całej Północy nie ma ludzi o równie niezłomnych sercach. – Tak naprawdę powtarzał, że na całej Północy nie ma ludzi o równie zakutyh łbach, ale Calder uznał, że kłamstwa już mu nie zaszkodzą. Żelaznogłowy i Żłoty tylko popatrzyli po sobie posępnym wzrokiem. Calder rozpaczliwie potrzebował kogoś, kto go polubi, a przynajmniej nie zechce zabić. – Gdzie jest Szalka?

– Twój brat wyruszył na zachód – odparł Dow. – Walczy.

– Wiesz, co to znaczy, prawda, chłopcze? – Dziesięć Sposobów obrócił głowę i splunął przez szparę między brązowymi przednimi zębami.

– Czy to do tego... używa się broni? – Calder rozejrzał się z nadzieją po ludziach zgromadzonych wokół stołu, ale nie wypatrzył żadnego sojusznika i w końcu zatrzymał wzrok na zniszczonym surowym obliczu Dreszcza, które było jeszcze gorsze od uśmiechu Dowa. Nieważne, jak często widywał tę bliznę, wciąż wydawała mu się zaskakująco obrzydliwa. – A Reachey?

– Tatuś twojej żony jest na wschodzie, dzień drogi stąd – rzekł Dow. – Prowadzi pobór.

Złoty parsknął.

– Nie sądzę, żeby został tam jeszcze jakiś dzieciak zdolny do noszenia broni.

– Mimo wszystko stara się jeszcze kogoś znaleźć. Będziemy potrzebowali każdej pary rąk, gdy dojdzie do bitwy. Może także twoich.

– Nie powstrzymacie mnie nawet siłą! – Calder poklepał dłonią rękojeść broni. – Już nie mogę się doczekać!

– A czy ty kiedykolwiek miałeś, kurwa, ostrze w ręku? – zakpił Dziesięć Sposobów, wyciągając szyję, by ponownie splunąć.

– Tylko raz. Musiałem przystrzyc włochatą cipę twojej córki, zanim się do niej dobrałem.

Dow wybuchnął śmiechem. Złoty zachichotał. Żelaznogłowy dyskretnie się uśmiechnął. Dziesięć Sposobów zakrztusił się i wypuścił na brodę strużkę lśniącej śliny, ale Calder wcale się nie przejął. Wolał zdobywać punkty u tych, którzy jeszcze nie spisali go na straty. Musi przeciągnąć na swoją stronę

przynajmniej jednego z tych mało obiecujących drani.

– Nigdy nie myślałem, że to powiem – westchnął Dow i otarł oko palcem – ale brakowało mi ciebie, Calder.

– I wzajemnie. Wolałbym handlować końskim łajnem w stajni niż całować swoją żonę w Carleonie. Co jest do zrobienia?

– No wiesz. – Dow ujął głowicę broni palcem wskazującym i kciukiem, po czym obrócił nią w obie strony, tak że srebrny znak obok rękojeści rozbłysnął w świetle. – Wojna. Tutaj potyczka, tam najazd. Odcinamy maruderów, oni palą kilka wiosek. Wojna. Twój brat uderza jak błyskawica i sprawia Południowcom sporo kłopotów. Użyteczny z niego żołnierz, ma ostre żądło.

– Szkoda, że wasz ojciec miał tylko jednego syna – warknął Dziesięć Sposobów.

– Gadaj zdrów, starcze – odparł Calder. – Mogę cię ośmieszać przez cały dzień.

Dziesięć Sposobów zjeżył się, ale Dow uspokoił go machnięciem dłoni.

– Wystarczy tego porównywania fiutów. Mamy wojnę do wygrania.

– Ile zwycięstw odnieśliśmy do tej pory?

Zapadła krótka, niezręczna cisza.

– Nie doszło do żadnej bitwy – mruknął Żelaznogłowy.

– Wszystko przez tego Kroya, który dowodzi wojskami Unii – syknął Złoty po drugiej stronie stołu.

– Nazywają go marszałkiem.

– Nieważne, jak go nazywają. Ostrożny z niego drań.

– Kawał tchórzliwego skurwysyna – warknął Dziesięć

Sposobów.

Dow wzruszył ramionami.

– Nie ma niczego tchórzliwego w ostrożnym stawianiu kroków. Sam inaczej bym postępował, gdybym dysponował jego siłami, ale... – Uśmiechnął się do Caldera. – Twój ojciec zwykł mawiać: „Podczas wojny liczy się tylko zwycięstwo. Reszta jest po to, by głupcy mieli o czym śpiewać”. Dlatego Kroy się nie śpieszy. Ma nadzieję, że stracimy cierpliwość. W końcu my, Północni, z niej nie słyniemy. Rozdzielił swoją armię na trzy części.

– Trzy potężne części – dodał Żelaznogłowy.

Złoty tym razem się z nim zgodził.

– W każdej może być nawet po dziesięć tysięcy żołnierzy, nie licząc pomocników i tragarzy.

Dow pochylił się jak dziadek uczący wnuka łowić ryby.

– Jalenhorm na zachodzie. Odważny, ale leniwy i skłonny do błędów. Mitterick w środku. Najbystrzejszy z całej trójki, ale nieostrożny. Słyszałem, że uwielbia swoje konie. Meed na wschodzie. Nie jest żołnierzem i nienawidzi Północnych jak świnia rzeźników. To może go czynić krótkowzrocznym. Kroy również ma po swojej stronie Północnych, głównie zwiadowców, ale także kilku dobrych wojowników.

– Ludzi Wilczarza – odrzekł Calder.

– Pierdolonego zdrajcy – syknął Dziesięć Sposobów, przygotowując się do kolejnego splunięcia.

– Zdrajcy? – Dow gwałtownie pochylił się na Tronie Skarlinga, zaciskając dłonie na poręczach aż zbieleły mu knykcie. – Ty stary parchaty kutasie! To jedyny człowiek na Północy, który od zawsze jest po tej samej stronie! – Dziesięć Sposobów podniósł wzrok, połknął to, co zamierzał wypluć, po

czym skrył się w cieniu. Dow znów swobodnie usiadł na tronie. – Po prostu szkoda, że to niewłaściwa strona.

– Wkrótce będziemy musieli wyruszyć – rzekł Złoty. – Może Meed nie jest żołnierzem, ale wziął Ollensand w oblężenie. Miasto ma solidne mury, ale nie jestem pewien, jak długo zdołają...

– Meed przerwał oblężenie wczoraj rano – odparł Dow. – Wraca na północ razem z większością ludzi Wilczarza.

– Wczoraj? – Złoty zmarszczył czoło. – Skąd wiesz...

– Mam swoje sposoby.

– O niczym nie słyszałem.

– Właśnie dlatego ja wydaję rozkazy, a ty je wykonujesz. – Żelaznogłowy uśmiechnął się, widząc upokorzenie rywala. – Meed zawrócił na północ, i to w pośpiechu. Podejrzewam, że zamierza połączyć siły z Mitterickiem.

– Po co? – spytał Calder. – Przez tyle miesięcy się nie śpieszyli, a teraz nagle postanowili ruszyć do akcji?

– Może mają dosyć ostrożności. Albo ma jej dosyć ten, kogo muszą słuchać. Tak czy inaczej, nadchodzą.

– Spróbujemy ich zaskoczyć. – Oczy Żelaznogłowego zaśniły jak u wygłodzonego człowieka, który zobaczył, że wniesiono pieczeń.

– Jeśli rzeczywiście chcą walki, to nie zamierzam ich zawieść – rzekł Dow. – Mamy kogoś na Bohaterach?

– Curnden Gnat jest tam ze swoją dwunastką – odparł Rozciętopoty.

– Można na nim polegać – mruknął Calder. Niemal żałował, że nie jest na wzgórzu razem z Curndenem, tylko tutaj z tą bandą drani. Może Gnat nie jest tak potężny, ale w jego towarzystwie na pewno jest weselej.

– Tak się składa, że przed godziną albo dwiema dostałem od niego wiadomość – rzekł Żelaznogłowy. – Spotkał tam zwiadowców Wilczarza i ich odprawił.

Dow przez chwilę wbijał wzrok w ziemię, pocierając usta palcem.

– Dreszczu?

– Tak, wodzu? – rozległ się szept niewiele głośniejszy od oddechu.

– Pojedź do Bohaterów i powiedz Gnatowi, że ma utrzymać wzgórze. Niewykluczone, że któryś z tych unijnych drani spróbuje się tamtędy przedostać, na przykład, żeby przekroczyć rzekę w Osrungu.

– To dobry teren do walki – rzekł Dziesięć Sposobów.

Dreszcz przez chwilę milczał. Na tyle długo, że Calder zorientował się, jak bardzo Północnemu nie podoba się rola posłańca. Zerknął na niego, żeby przypomnieć o ich rozmowie na korytarzu w Carleonie i podać ziarna, które wtedy zasiał.

– Jasne, wodzu – odpowiedział Dreszcz, po czym wyślizgnął się z pomieszczenia.

Złoty zadrżał.

– On mnie niepokoi.

Dow uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Na tym polega jego rola. Żelaznogłowy?

– Wodzu.

– Wyruszysz drogą do Yaws. Będziesz stanowił czoło naszej armii.

– Dotrzemy na miejsce jutro wieczorem.

– Postaraj się być tam wcześniej. – Żelaznogłowy spochmurniał, a Złoty szeroko się uśmiechnął. Zupełnie jakby

siedzieli na dwóch szalkach tej samej wagi. Nie dało się pograć jednego bez wywyższenia drugiego. – Złoty, pojedziesz drogą do Brottun i dołączysz do Reacheya. Niech wyruszy zaraz po zakończeniu poboru. Staruszek czasami potrzebuje zachęty.

– Tak jest, wodzu.

– Dziesięć Sposobów, sprowadź swoich furazerów i przygotuj ich do wymarszu. Będziesz jechał na tyłach razem ze mną.

– Załatwione.

– Niech wasi chłopcy maszerują bez wytchnienia, ale miejcie oczy szeroko otwarte. Byłoby dobrze zaskoczyć Południowców, a nie samemu wpaść w pułapkę. – Dow pokazał jeszcze więcej zębów. – Jeśli jeszcze nie naostrzyliście broni, teraz jest właściwa chwila.

– Tak jest – odpowiedzieli trzej wojownicy, starając się brzmieć jak najbardziej krwiożerczo.

– Tak jest, oczywiście – odparł Calder po chwili, uśmiechając się kpiąco. Może nie radził sobie najlepiej z ostrzem, ale niewielu ludzi na Północy równie sprawnie posługiwało się kpiną. Jednak tym razem jego talent się zmarnował. Rozciętostopy pochylił się i wyszeptał coś Dowowi do ucha.

Obrońca Północy wyprostował się na tronie i zmarszczył czoło.

– Więc go wprowadźcie!

Drzwi otworzyły się na oścież, a podmuch wiatru pogał luźne źdźbła słomy po podłodze stajni. Calder wyteżył wzrok, spoglądając w ciemność na zewnątrz. To z pewnością było złudzenie wywołane słabnącym światłem, gdyż wydawało się, że postać stojąca w drzwiach niemal sięga głową górnej belki. Gość wkroczył do pomieszczenia, po czym się wyprostował. Zrobił swoim wejściem nie lada wrażenie, a gdy powoli

wychodził na środek stajni, towarzyszyła mu cisza, nie licząc skrzypienia podłogi, które rozlegało się z każdym jego krokiem. Nietrudno zrobić takie wrażenie, gdy jest się wielkim jak góra. Wystarczy wejść i stanąć.

– Jestem Nieznajomy-u-Bram.

Calder znał to imię. Nieznajomy-u-Bram nazywał siebie Wodzem Stu Plemion, wszystkie tereny na wschód od Crinny swoją ziemią, a wszystkich ludzi, którzy tam mieszkają, swoją własnością. Na Północy nie brakuje nadętych ludzi, którzy mają przesadne mniemanie o sobie i jeszcze bardziej rozdmuchaną reputację. Zazwyczaj okazuje się, że nie dorastają do swoich imion. Dlatego spotkanie z tym człowiekiem stanowiło taki szok.

Kiedy mówi się o „olbrzymach”, ma się na myśli właśnie kogoś takiego jak Nieznajomy-u-Bram, który wkroczył do tych mizernych czasów prosto z epoki bohaterów. Górował nad Dowem i jego potężnymi wodzami, sięgając głową krokwi, a jego czarne włosy naznaczone siwizną zwisały wzdłuż wyrazistej, brodatej twarzy. Glama Złoty wyglądał przy nim jak karzeł, a Rozcięstopy i jego Carlowie jak zabawkowe żołnierzyki.

– Na spokój zmarłych – szepnął Calder. – Ależ wielkolud.

Jednak Czarny Dow nie wyglądał na speszzonego. Nadal siedział rozparty na Tronie Skarlinga, stukając jednym butem w słomę i swobodnie zwieszając zabójcze dłonie, a wilczy uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Zastanawiałem się, kiedy pojawisz się... u bram. Ale nie spodziewałem się, że przybędziesz osobiście.

– Sojusze należy zawierać twarzą w twarz, męczyzna z męczyzną, żelazo z żelazem, krew z krwią. – Calder spodziewał się, że olbrzym będzie ryczał jak potwory w baśniach dla dzieci, ale okazało się, że mówi dosyć cicho.

A także powoli, jakby zastanawiał się nad każdym słowem.

– Osobisty kontakt – odrzekł Dow. – Bardzo mi się to podoba. Więc umowa stoi?

– Zgadza się. – Nieznajomy-u-Bram rozczapierzył potężną dłoń, po czym wgrzył się w ciało pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Podniósł rękę, pokazując krwawiące ślady.

Dow przesunął dłonią wzdłuż swojego ostrza, barwiąc jego krawędź na czerwono. Błyskawicznie wstał z tronu i chwycił olbrzyma za rękę. Obaj mężczyźni stali nieruchomo, podczas gdy krew ściekała im po przedramionach i skapywała z łokci. Widząc ten pokaz męskości, Calder poczuł ukłucie lęku oraz nieodpartą pogardę.

– Zgoda. – Dow puścił dłoń giganta i powoli usiadł na tronie, pozostawiając krwawy ślad na poręczu. – Zatem możesz przeprowadzić się ze swoimi ludźmi przez Crinnę.

– Już to zrobiłem.

Złoty i Żelaznogłowy wymienili spojrzenia, niezbyt zachwyceni tym, że banda dzikich przekroczyła Crinnę i znalazła się na ich ziemi. Dow zmrużył oczy.

– Naprawdę?

– Po tej stronie wody możemy walczyć z Południowcami. – Nieznajomy-u-Bram powoli rozejrzał się po stajni, zatrzymując spojrzenie czarnych oczu na kolejnych wojownikach. – Przybyłem tutaj po to, żeby walczyć! – Ostatnie słowo zmieniło się w ryk, który odbił się echem od sufitu. Fala wściekłości przeniknęła olbrzyma od stóp aż do głowy. Zacisnął pięści, wypiął pierś i wyprostował potężne ramiona, tak że na chwilę stał się jeszcze większy.

Calder zastanawiał się, jak można walczyć z tym draniem. Jak go zatrzymać, gdy się rozpędzi? Przecież to kawał mięsa.

Jaką bronią można go powalić? Doszedł do wniosku, że wszyscy pozostali również zadają sobie te pytania, a odpowiedzi wcale im się nie podobają.

Nie licząc Czarnego Dowa.

– Dobrze. Właśnie tego od ciebie oczekuję.

– Chcę walczyć z Unią.

– Wystarczy walki dla każdego.

– Chcę walczyć z Whirrunem z Bligh.

– Tego nie mogę ci obiecać. Jest po naszej stronie i bywa dość kapryśny. Ale mogę go spytać, czy zgodzi się na pojedynek.

– Chcę walczyć z Krwawym-dziewięć.

Calderowi stanęły włoski na karku. Dziwne, jak silnie oddziałuje to imię, nawet w takim towarzystwie, mimo że noszący je człowiek nie żyje od ośmiu lat. Dow przestał się uśmiechać.

– Przegapiłeś swoją szansę. Dziewięciopalcy wrócił do ziemi.

– Słyszałem, że żyje i stoi po stronie Unii.

– Źle słyszałeś.

– Słyszałem, że żyje, a ja go zabiję.

– Czyżby?

– Jestem największym wojownikiem w Kręgu Świata. – Nieznajomy-u-Bram wcale się nie przechwalał i nie nadymał, jak mógłby czynić Glama Złoty. Nie groził z zaciśniętymi pięściami, jak mógłby czynić Cairm Żelaznogłowy. Po prostu stwierdzał fakt.

Dow z nieobecną miną podrapał się po bliźnie, którą miał w miejscu ucha.

– To jest Północ. Mamy tutaj wielu twardych ludzi, także w tym pomieszczeniu. Wygłaszasz śmiało twierdzenia.

Nieznajomy-u-Bram odpiął potężną futrzaną pelerynę i zrzucił ją z ramion, po czym stanął obnażony od pasa w górę jak zapaśnik. Na Północy blizny od zawsze są równie popularne jak ostrza. Każdy szanujący się mężczyzna musi mieć ich przynajmniej kilka. Jednak rozległe ciało Nieznajomego-u-Bram, sękatę niczym stare drzewo, w większości składało się z blizn. Było porozdzierane, upstrzone i podziurawione ranami, którymi można by obdarzyć dwudziestu szermierczych mistrzów.

– Gdy w Yewealdzie walczyłem z Psim Plemieniem, przebiło mnie siedem strzał. – Palcem grubym jak maczuga wskazał różowe plamki rozsiane po żebrach. – Ale walczyłem dalej i usypałem górę z ich trupów, uczyniłem ich ziemię swoją ziemią, a ich kobiety i dzieci swoim ludem.

Dow westchnął, jakby półnaczy olbrzymi pojawiali się podczas większości jego narad wojennych i miał ich już szczerze dosyć.

– Może warto byłoby pomyśleć o tarczy.

– Za nimi chowają się tylko tchórze. Rany opowiadają historię mojej siły. – Olbrzym wskazał kciukiem skupisko blizn w kształcie gwiazdy pokrywające jego ramię, plecy i połowę lewej ręki. Skóra w tym miejscu była gruzłowata i cętkowana jak kora dębu. – Straszliwa wiedźma Vanian spryskała mnie płynnym ogniem, a ja zaniósłem ją do jeziora i utopiłem, cały czas płonąc.

Dow wydłubał sobie brud z za paznokcia.

– Ja bym najpierw ugasił ogień.

Olbrzym wzruszył ramionami, a różowe oparzenie na jego ramieniu zmarszczyło się jak zaorane pole.

– Sam zgasł, kiedy umarła. – Wskazał poszarpany różowy ślad przecinający jego pierś porośniętą bujnymi czarnymi

włosami i pozbawioną jednego sutka. – Bracia Smirtu i Weorc wyzwali mnie na pojedynek. Powiedzieli, że skoro dorastali razem w jednym łonie, powinienem ich traktować jak jednego człowieka.

Dow parsknął.

– Dałeś się na to nabrać?

– Nie szukam wymówek od walki. Rozpłatałem Smirtu na pół toporem, po czym zmiażdżyłem własnymi rękami czaszkę jego brata. – Olbrzym powoli zacisnął potężną pięść, aż zbieleły mu palce, a mięśnie ręki napęczniały jak faszerowane kielbasy.

– Paskudna sprawa – rzekł Dow.

– W moim kraju paskudna śmierć robi na ludziach wrażenie.

– Tutaj podobnie. Posłuchaj, możesz zabić każdego, kogo uznaję za swojego wroga. Ale jeśli kogoś nazywam przyjacielem... daj mi znać, zanim zapewnisz mu paskudny koniec. Nie chciałbym, żebyś przez pomyłkę zaszlachtował księcia Caldera.

Nieznajomy-u-Bram się rozejrzał.

– Ty jesteś Calder?

Przez niezręczną chwilę Calder zastanawiał się, czy nie zaprzeczyć.

– To ja.

– Drugi syn Bethoda?

– Zgadza się.

Wojownik powoli skłonił potężną głowę, kołysząc długimi włosami.

– Bethod był wielkim człowiekiem.

– Znakomicie potrafił zmusić innych, by dla niego walczyli. – Dziesięć Sposobów cmoknął i ponownie splunął spomiędzy

zepsutych zębów. – Sam nie nadawał się do wojaczki.

Głos olbrzyma nagle znów stał się cichszy.

– Dlaczego po tej stronie Crinny wszyscy są tak żądni krwi? Życie to nie tylko walka. – Pochylił się i dwoma palcami podniósł swoją pelerynę. – Będę w umówionym miejscu. Chyba że najpierw... któryś z tych człowieczków ma ochotę na zapasy? – Złoty, Żelaznogłowy i Dziesięć Sposobów kolejno zapatrzyli się w najdalszy kąt stajni.

Jednak Calder przywykł do ciągłego lęku, więc z uśmiechem popatrzył olbrzymowi w oczy.

– Bardzo chętnie, ale postanowiłem sobie, że nie będę się rozbierał, jeśli w towarzystwie nie ma kobiet. A szkoda, bo mam na plecach potężny pryszcz, który z pewnością zrobiłby na wszystkich wrażenie.

– Nie mogę stoczyć z tobą walki, synu Bethoda. – Calderowi wydawało się, że Nieznajomy-u-Bram również kpiąco się uśmiecha. – Jesteś przeznaczony do innych rzeczy. – Po czym zarzucił pelerynę na pokryte bliznami ramię i wyszedł ze stajni, schylając głowę pod wysokim nadprożem, a Carlowie zatrzasnęli za nim drzwi, korzystając z podmuchu który wywołało jego przejście.

– Wydaje się, że to dobry człowiek – rzekł Calder wesoło. – Miło z jego strony, że nie chwalił się bliznami na fiucie.

– Pierdolone dzikusy! – zaklął Dziesięć Sposobów, co zabawnie zabrzmiało w jego ustach.

– Największy wojownik na świecie – zachnął się Złoty, chociaż nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, gdy olbrzym był w pomieszczeniu.

Dow z namysłem potarł szczękę.

– Zmarli wiedzą, że żaden ze mnie dyplomata, ale nigdy nie

odrzucam wartościowych sojuszy. Taki potężny człowiek zatrzyma wiele strzał. – Dziesięć Sposobów i Złoty zachichotali usłużnie, ale Calder przejrzał żart wodza. Jeśli Krwawy-dziewięć wciąż żyje, być może olbrzym go powstrzyma. – Znacie swoje zadania. Do roboty.

Przy drzwiach Żelaznogłowy i Złoty wymienili mordercze spojrzenia. Dziesięć Sposobów także wyszedł w ciemność powłócząc nogami, ale najpierw splunął pod nogi Caldera. Ten tylko się uśmiechnął, obiecując sobie, że będzie się śmiał jako ostatni.

Dow wstał, wciąż znacząc ziemię krwią skapującą z czubka środkowego palca, i popatrzył na zamykane drzwi. Potem westchnął.

– Klótnie, klótnie, ciągle te przeklęte klótnie. Dlaczego ludzie nie potrafią się dogadać, co, Calder?

– Mój ojciec zwykł mawiać: „Skieruj trzech Północnych w jedną stronę, a pozabijają się, zanim zdążysz wydać rozkaz do ataku”.

– Ha! Cokolwiek by mówić o Bethodzie, łebski był z niego drań. Ale kiedy zaczął walczyć, nie potrafił przestać. – Dow zmarszczył czoło, patrząc na swoją zakrwawioną dłoń i poruszając palcami. – Gdy raz zakrwawisz sobie ręce, trudno je potem domyć. Tak mi powiedział Wilczarz. A ja od zawsze mam krew na rękach. – Calder wzdrygnął się, gdy Rozcięstopy rzucił coś w powietrze, ale był to tylko kawałek szmaty. Dow złapał go w ciemności i zaczął obwiązywać skaleczoną dłoń. – Teraz już chyba za późno, żeby je obmyć.

– Będziesz musiał jeszcze bardziej je splamić – odparł Rozcięstopy.

– Na to wygląda. – Dow wszedł do jednej z pustych przegród,

odchylił głowę, popatrzył na sufit i się skrzywił. Po chwili Calder usłyszał odgłos sikania na słomę. – O... właśnie... tak...

Jeśli Dow chciał, by Calder poczuł się jeszcze mniej ważny, to mu się udało. Książę po cichu liczył się z tym, że żołnierze mogą go zabić, ale gdy okazało się, że nie zwracają na niego uwagi, poczuł się urażony.

– Masz dla mnie jakieś rozkazy? – spytał ostro.

Dow obejrzał się przez ramię.

– A po co? Tylko byś jej zlekceważył albo spieprzył sprawę.

Pewnie miał rację.

– Więc po co mnie wezwalesz?

– Według twojego brata masz najbystrzejszy umysł na całej Północy. Miałem już dosyć jego marudzenia, że bez ciebie sobie nie poradzi.

– Myślałem, że Szalka jest w pobliżu Ustredu?

– Jest o dwa dni drogi stąd. Posłałem po niego, gdy tylko dowiedziałem się, że Unia przemieszcza oddziały.

– Więc nie ma potrzeby, żebym się stąd ruszał.

– Tego bym nie powiedział... – Odgłos sikania ucichł. – No! – Po czym rozległ się ponownie.

Calder zazgrzytał zębami.

– Może pojedę do Reacheya i sprawdzę, jak mu idzie pobór. – Albo lepiej namówię go, żeby pomógł mi przetrwać ten miesiąc.

– Jesteś wolnym człowiekiem, czyż nie? – Obaj znali odpowiedź na to pytanie. Wolnym jak gołąb, którego oskubano i wsadzono do garnka. – Świat nie zmienił się zbyt wiele od czasów twojego ojca. Ludzie nadal mogą robić, co chcą. Prawda, Rozcięstopy?

– Prawda, wodzu.

– Dopóki robią to, co im, kurwa, rozkażę. – Wszyscy Carlowie Dowa zachichotali, jakby nigdy nie słyszeli lepszego dowcipu. – Pozdrów ode mnie Reacheya.

– Tak zrobię. – Calder odwrócił się w stronę drzwi.

– I jeszcze jedno, Calder! – Dow strącał ostatnie krople. – Nie sprawisz mi znów kłopotów, prawda?

– Kłopotów? Nie wiem, o czym mówisz, wodzu.

– Wystarczy, że mam na głowie tych wszystkich Południowców, z którymi musimy walczyć... nieprzewidywalnych skurwieli jak Whirrun z Bligh czy ten Chwalipięta-u-Bram... własnych ludzi, którzy potykają się o siebie nawzajem. Nie mogę sobie pozwolić na to, by ktoś próbował ugrać coś na boku. Jeśli w takiej chwili spróbujesz kopać pode mną dołki, obiecuję, że zrobi się kurewsko nieprzyjemnie! – Ostatnie dwa słowa wykrzyczał z nagłą wściekłością. Wytrzeszczył oczy, żyły napęczniały mu na szyi, a wszyscy obecni zadrżeli z zaskoczenia. Po chwili znów był łagodny jak kociak. – Rozumiesz?

Calder przełknął ślinę, starając się nie okazywać strachu, mimo że czuł mrowienie na całym ciele.

– Chyba z grubsza pojąłem, o co chodzi.

– Dobry chłopak. – Dow zakołysał biodrami, kończąc sznurować spodnie, po czym uśmiechnął się jak lis przed otwartym kurnikiem. – Nie chciałbym skrzywdzić twojej żony, jest taka ładniutka. Oczywiście nie tak ładna jak ty.

Calder zamaskował wściekłość kolejnym kpiącym uśmiechem.

– A któż jest?

Minął uśmiechniętych Carlów i zanurzył się w wieczornym mroku, cały czas rozmyślając o tym, że zabije Czarnego Dowa

i odbierze to, co skradziono jego ojcu.

Jaka wojna?

– Piękna, prawda? – rzekł Agrick z szerokim uśmiechem na piegowatej twarzy.

– Czyżby? – mruknął Gnat. Myślał jedynie o tym, w jaki sposób może wykorzystać ukształtowanie terenu, oraz jak może to zrobić wróg. W czasie kampanii Bethod przywiązywał do tej kwestii olbrzymią wagę. Jak zmienić teren działań wojennych w broń.

Nawet idiota dostrzegłby wartość wzgórza, na którym stali Bohaterowie. Wyrastało samotnie z płaskiej doliny, tak odrębne i gładko ukształtowane, że wyglądało niemal na dzieło ludzkich rąk. Obok znajdowały się dwa mniejsze wzniesienia – jedno na zachodzie, zakończone skalną iglicą, którą ludzie nazywali Palcem Skarlinga, a drugie na południowym wschodzie, zwieńczone kręgiem mniejszych kamieni, które zwano Dziećmi.

Rzeka wiała się płytkim dnem doliny, omijała złote pola jęczmienia na zachodzie, gubiła się na bagnach usianych lustrzanymi jeziorkami, po czym przepływała pod rozsypującym się mostem, który obserwował Scorry Skradek, a który z braku wyobraźni nazwano Starym Mostem. Bystry nurt okrężał podnóże wzgórza, na płycznach odsłaniając połącze połyskujących kamyków. Gdzieś wśród nierównych zarośli i drewna wyrzuconego na brzeg Brack łowił ryby. Albo raczej spał.

Na drugim brzegu rzeki, na południu, wznosiło się Czarne Wzgórze. Postrzępiona masa żółtej trawy i brązowych paproci

poplamiona osypanym gruzem i poprzecinana białymi strumykami. Na wschodzie nad rzeką rozpościerał się Osrung, niewielkie skupisko domków wokół mostku i dużego młyna, skryte za wysokim ogrodzeniem. Dym unosił się z kominów i rozwiewał na jasnoniebieskim niebie. Tutaj wszystko było zwyczajne, nic nie rzucało się w oczy, nie było śladu Unii, Czerstwego ani żadnego z chłopców Wilczarza.

Aż trudno uwierzyć, że toczy się wojna.

Jednakże Gnat wiedział z doświadczenia, którego mu nie brakowało, że wojna składa się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z nudy, zazwyczaj doświadczanej w zimnie i wilgoci, głodzie i chorobie oraz podczas dźwigania pod górę stert żelastwa, a w jednym procencie z paraliżującego przerażenia. Wciąż zastanawiał się, po co kiedykolwiek wplątał się w czarną robotę, i dlaczego, u diabła, jeszcze się z niej nie wycofał. Najwyraźniej miał do tego talent bądź nie miał talentu do niczego innego. A może po prostu dał się ponieść wiatrowi, który właśnie tutaj go przywiał. Patrzył w górę na strzępy chmur płynące po niebie, a przed oczami stawały mu wciąż nowe wspomnienia.

– Piękna – powtórzył Agrick.

– Wszystko wygląda ładniej w słońcu – odrzekł Gnat. – Gdyby padało, stwierdziłbyś, że to najbrzydsza dolina na świecie.

– Być może. – Agrick zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. – Ale nie pada.

Rzeczywiście, jednak ten fakt wcale nie cieszył Gnata. Od dawna miał skłonność do oparzeń słonecznych i większość poprzedniego dnia spędził okrążając największego z Bohaterów w ślad za cieniem. Mniej od upału lubił tylko ziąb.

– Co ja bym dał za kawałek dachu – wyszeptał. – To świetna

ochrona przed pogodą.

– Odrobina deszczu mi nie przeszkadza – mruknął Agrick.

– Młody jesteś. Poczekaj, aż będziesz miał tyle lat co ja, i zasmakujesz życia pod gołym niebem.

Agrick wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że wtedy już będę miał dach nad głową, wodzu.

– Dobra myśl – odparł Gnat. – Sprytny z ciebie drań. – Rozłożył poobijaną lunetę, którą w zimie znaleźli przy zamarzniętym oficerze wojsk Unii, i ponownie popatrzył w stronę Starego Mostu. Nic. Sprawdził płycizny. Nic. Zerknął na drogę do Ollensandu, drgnął, gdy zauważył tam jakiś ruchomy punkt, po czym zorientował się, że to tylko muszka na końcu lunety. – Przynajmniej w ładną pogodę można dalej sięgnąć wzrokiem.

– Wypatrujemy wojsk Unii, prawda? Ci dranie nie potrafiliby się podkraść do trupa. Za bardzo się przejmujesz, wodzu.

– Ktoś musi. – Jednak Agrick miał rację. Warto znaleźć równowagę między nadmierną a niedostateczną troską, a Gnat zdecydowanie za bardzo się wszystkim przejmował. Najdrobniejszy ruch sprawiał, że był gotów chwycić za broń. Ptaki leniwie wznoszące się w niebo. Owce pasące się na zboczach wzgórz. Wozy rolników pełnące drogami. Gdy jakiś czas temu Wesoły Yon zaczął uczyć Athroca walki toporem, nagły szczęk metalu sprawił, że Gnat niemal zmoczył spodnie. Wiedział, że za bardzo się martwi. Niestety, nie mógł nic na to poradzić.

– Dlaczego tutaj jesteśmy, Agricku?

– Tutaj? Przecież wiesz. Siedzimy na Bohaterach i patrzymy, czy nadchodzą wojska Unii, żeby w razie czego powiadomić

Czarnego Dowa. Prowadzimy zwiad, jak zawsze.

– Wiem, sam ci to powiedziałem. Pytam, dlaczego tutaj jesteście?

– Chodzi ci o sens życia i tym podobne?

– Nie, nie. – Gnat zacisnął dłoń, jakby bezskutecznie próbował uchwycić sens swojego pytania. – Dlaczego tutaj jesteście?

Zamyślony Agrick zmarszczył twarz.

– Cóż... Krwawy-dziewięć zabił Bethoda, odebrał mu łańcuch władzy i mianował się królem Północnych.

– Racja. – Gnat dobrze pamiętał tamten dzień, zakrwawione ciało Bethoda leżące w kręgu, tłum wykrzykujący imię Dziewięciopalcego. Zadrżał pomimo upału. – I co dalej?

– Czarny Dow zwrócił się przeciwko Krwawemu-dziewięć i zabrał łańcuch dla siebie. – Agrick zdał sobie sprawę, że nieroztropnie dobrał słowa, i zaczął zacierać ślady. – To znaczy, musiał to zrobić. Któż by chciał mieć za króla takiego szalonego drania jak Krwawy-dziewięć? Jednak Wilczarz okrzyknął Dowa zdrajcą i wiarołomcą, a większość klanów z okolic Uffrithu przychyliła się do jego zdania. Podobnie król Unii, który odbył z Dziewięciopalcym jakąś szaloną podróż, podczas której się z nim zaprzyjaźnił. Zatem Wilczarz i Unia postanowili wypowiedzieć wojnę Czarnemu Dowowi i właśnie dlatego tutaj jesteście. – Agrick oparł się na łokciach i zamknął oczy, wyraźnie z siebie zadowolony.

– To udana analiza politycznych kulisów obecnego konfliktu.

– Dzięki, wodzu.

– Wyjaśniłeś, co spowodowało konflikt między Czarnym Dowem a Wilczarzem i dlaczego Unia stanęła po stronie Wilczarza. Chociaż moim zdaniem na to drugie bardziej wpłynął

stan posiadania obu stron niż przyjaźń.

– W porządku. A więc znamy odpowiedź.

– Ale dlaczego my tutaj jesteśmy?

Agrick wyprostował się i zmarszczył czoło. Za nimi rozległ się brzęk metalu uderzającego w drewno, gdy jego brat zamachnął się na tarczę Yona i wylądował na ziemi.

– Z boku, idioto, przecież mówiłem! – ryknął Wesoły Yon wcale niewesołym głosem.

– Cóż... – zaczął Agrick. – Myślę, że stoimy po stronie Dowa, chociaż nieprzyjemny z niego drań, ponieważ występuje w imieniu Północy.

– Północy? A cóż to znaczy? – Gnat poklepał dłonią trawę. – W imieniu wzgórz, lasów i rzek? Czy one chcą, by deptały je maszerujące armie?

– Nie chodzi mi o ziemię, tylko o ludzi. No wiesz, Północnych.

– Ależ na Północy mieszkają różni ludzie. Wielu z nich nie obchodzi Czarny Dow i oni także z pewnością go nie obchodzą. Większość nie chce się wychylać, tylko w spokoju próbuje wiązać koniec z końcem.

– Pewnie masz rację.

– Więc jak Czarny Dow może występować w imieniu wszystkich?

– Cóż... – Agrick poruszył się niespokojnie. – Nie wiem. Chyba po prostu... – Zmrużył oczy i popatrzył w głąb doliny. Za ich plecami pojawiła się Cudna. – No to dlaczego tutaj jesteśmy?

Trzepnęła go w tył głowy aż stęknął.

– Siedzimy na Bohaterach, wypatrujemy wojsk Unii. Prowadzimy zwiad, jak zawsze. Co za durne pytanie.

Agrick pokręcił głową, urażony doznana

niesprawiedliwością.

– Dosyć tego. Więcej się nie odezwę.

– Obiecujesz? – spytała Cudna.

– Dlaczego tutaj jesteśmy, do diabła... – mruzczał Agrick pod nosem, masując tył głowy i podchodząc do trenujących Yona i Athroca.

– Ja wiem, dlaczego tutaj jestem. – Whirrun powoli uniósł długi palec wskazujący, a gdy mówił, źdźbło trawy poruszało się gwałtownie między jego zębami. Gnat myślał, że Rąbnięty śpi, ponieważ leżał na plecach z rękojeścią bronii pod głową, ale Whirrun zawsze tak wyglądał, a mimo to, stale zachowywał czujność. – Ponieważ Szogliga powiedziała mi, że mężczyzna dławiący się kością...

– Doprowadzi cię do twego przeznaczenia. – Cudna oparła dłonie na biodrach. – Już to słyszeliśmy.

Gnat wydał policzki.

– Jakby ciężar ośmiu żywotów nie stanowił wystarczającego brzemienia, muszę jeszcze zмагаć się z przeznaczeniem szaleńca.

Whirrun usiadł i zdjął kaptur.

– Protestuję, nie jestem szalony. Po prostu... postrzegam świat na swój własny sposób.

– Szalony sposób – szepnęła Cudna, gdy Whirrun wstał, otrzepał tył poplamionych spodni i zarzucił sobie pochwę z mieczem na ramię.

Zmarszczył czoło, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, po czym podrapał się po klejnotach.

– Muszę się wysikać. Lepiej do rzeki czy pod jednym z tych kamieni?

Gnat się zastanowił.

– Do rzeki. Gdybyś to zrobił pod kamieniami, zachowałbyś się... lekceważąco.

– Myślisz, że patrzą na nas Bogowie?

– A skąd możemy mieć pewność, że nie?

– Racja. – Whirrun przesunął żdźbło na drugą stronę ust, po czym ruszył w dół zbocza. – Zatem rzeka. Może pomogę Brackowi w łowieniu. Szogliga potrafiła namówić ryby do wyjścia z wody, ale mnie nigdy nie udało się opanować tej sztuki.

– Możesz je posiekać tym swoim mieczyskiem! – zawołała za nim Cudna.

– Może tak zrobię! – Uniósł Ojca Mieczy wysoko nad głowę. Licząc od głowicy do czubka broń długością niemal dorównywała wzrostowi człowieka. – Najwyższy czas, żebym coś zabił.

Gnat nie miałby nic przeciwko, gdyby wojownik nieco się wstrzymał. Miał nadzieję, że nie pozostawią w dolinie żadnych trupów. Było to dziwne pragnienie u żołnierza. Przez chwilę stali w ciszy razem z Cudną. Nagle za nimi zajęczała stal, gdy Yon odepchnął Athroca, niemal go przewracając.

– Przyłóż się trochę, jebany słabeuszu!

Gnat poczuł przypływ nostalgii, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej.

– Colwena uwielbiała słońce.

– Naprawdę? – spytała Cudna, unosząc brew.

– Zawsze śmiała się ze mnie, że chowam się w cieniu.

– Naprawdę?

– Powinienem był się z nią ożenić – szepnął Gnat.

– Zgadza się. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Między innymi dlatego, że mi to odradziłaś.

– Racja. Miała cięty język. Ale zazwyczaj bez trudu ignorujesz moje rady.

– To prawda. Pewnie po prostu bałem się ją zapytać. – Poza tym nie mógł się doczekać, kiedy wyjedzie, rozśławi swoje imię i dokona wielkich czynów. Dziś nie poznawał samego siebie z tamtych czasów. – Wtedy nie wiedziałem, czego naprawdę chcę, ale byłem pewien, że czegoś mi brakuje i mogę to zdobyć mieczem.

– Myślisz jeszcze o niej? – spytała Cudna.

– Rzadko.

– Kłamiesz.

Gnat się wyszczerzył. Zbyt dobrze go znała.

– Tylko w połowie. Naprawdę o niej nie myślę i zazwyczaj nawet nie potrafię sobie przypomnieć jej twarzy. Tylko zastanawiam się, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdybym wybrał inną drogę. – Siadywałby na werandzie i, paląc fajkę, z uśmiechem spoglądał na słońce chowające się za taflą wody. Westchnął. – Ale dokonałem wyboru. A co z twoim mężem?

Cudna wzięła głęboki oddech.

– Pewnie przygotowuje się do zniw. Dzieci też.

– Żałujesz, że cię z nimi nie ma?

– Czasami.

– Kłamiesz. Ile razy wracałaś w tym roku? Dwa, prawda?

Cudna zmarszczyła czoło i popatrzyła na nieruchomą dolinę.

– Jeżdżę do nich, kiedy tylko mogę. Wiedzą o tym. Wiedzą, kim jestem.

– I mimo wszystko jakoś to znoszą?

Przez chwilę milczała, po czym wzruszyła ramionami.

– Dokonałam wyboru.

– Wodzu! – Agrick pośpiesznie wracał z drugiej strony głązów. – Drofd wrócił! I to nie sam.

– Naprawdę? – Gnat skrzywił się, próbując rozruszać obolałe kolano. – Kto z nim jest?

Agrick miał taką minę, jakby usiadł na krzaku ostu.

– Wygląda na to, że Caul Dreszcz.

– Dreszcz?! – ryknął Yon, gwałtownie się oglądając. Athroc wykorzystał swoją szansę, ominął opuszczoną tarczę Yona i uderzył go kolanem w klejnoty. – Aaaa, ty mały draniu... – Yon padł na ziemię z wytrzeszczonymi oczami.

W innych okolicznościach Gnat pogubiłby zęby ze śmiechu, ale imię Dreszcza odebrało mu resztkę dobrego humoru. Przeciął trawiasty krąg, po cichu licząc, że Agrick się pomylił, chociaż wiedział, że to mało prawdopodobne. Nadzieje Gnata zazwyczaj umierały zalane krwią, a Caula Dreszcza trudno było z kimkolwiek pomylić.

Właśnie nadchodził, wspinając się ku Bohaterom stromym szlakiem wiodącym w górę północnego zbocza. Gnat uważnie go śledził, czując się jak pasterz, który obserwuje nadciągającą chmurę burzową.

– Zaraza – mruknęła Cudna.

– Właśnie – rzekł Gnat. – Zaraza.

Dreszcz zostawił swojego konia Drofdowi, który przywiązał go do muru, i pokonał resztę drogi pieszo. Na szczycie zmierzył wzrokiem Gnata, Cudną i Wesołego Yona. Lewą stronę jego okaleczonej twarzy, obwisłej jak u wisielca, niemal całkowicie przesłaniało potężne oparzenie, w którego środku tkwiło metalowe oko. Trudno sobie wyobrazić bardziej niepokojącego

drania.

- Gnat – szepnął chrapliwie.
- Dreszczu. Co cię tutaj sprowadza?
- Przyszyła mnie Dow.
- Tego się domyśliłem. Interesują mnie powody.
- Macie pilnować tego wzgórza i wypatrywać wojsk Unii.
- Już mi to mówił – odparł Gnat, nieco ostrzej niż zamierzał.

Po jego słowach zapadła cisza. – Więc po co cię wysłał?

Dreszcz wzruszył ramionami.

- Żebym się upewnił, że to zrobicie.
- Serdecznie dziękuję za wsparcie.
- Podziękuj Dowowi.
- Nie omieszkam.

– To mu się spodoba. Widzieliście ludzi Unii?

– Ostatnio cztery noce temu, gdy spotkaliśmy Czerstwego.

– Znam go. Uparty stary fiut. Może wrócić.

– Jeśli nawet to zrobi, istnieją tylko trzy miejsca, w których może się przeprawić przez rzekę. – Gnat je wskazał. – Stary Most obok bagien na zachodzie, nowy most w Osrungu oraz płycizny u podnóża tamtego wzgórza. Obserwujemy je wszystkie, a dolina jest otwarta, więc możemy stąd dostrzec nawet owce na drugim brzegu.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli informować Czarnego Dowa o owcach. – Dreszcz zbliżył do Gnata okaleczoną stroną twarzy.

– Ale warto to zrobić, jeśli nadciągnie Unia. Może umilimy sobie oczekiwanie, śpiewając pieśni?

– Potrafisz śpiewać? – spytała Cudna.

– Zaraza, ani trochę. Ale nigdy mi to nie przeszkadzało. – Po czym oddalił się w poprzek trawiastego kręgu, a Athroc i Agrick

usunęli mu się z drogi. Gnat nie miał do nich żalu. Dreszcz należał do ludzi, którzy potrzebują wokół siebie dużo przestrzeni, której lepiej nie naruszać.

Powoli odwrócił się w stronę Drofda.

– Świetnie.

Chłopak uniósł rękę.

– A co miałem zrobić? Powiedzieć mu, że nie chcę jego towarzystwa? Przynajmniej wy nie musieliście spędzić dwóch dni u jego boku i spać obok niego przy ognisku. On nigdy nie zamyka tego oka. Człowiek ma wrażenie, że patrzy na niego przez całą noc. W ogóle nie spałem, odkąd wyruszyliśmy.

– Przecież on nim niczego nie widzi, głupcze – rzekł Yon. – Równie dobrze mógłbyś patrzeć kłamrą od pasa.

– Wiem, ale to mi nie pomaga. – Drofd rozejrzał się i ściszył głos. – Naprawdę uważacie, że nadciąga Unia?

– Nie – odparła Cudna. – Ja tak nie uważam. – Popatrzyła na Drofda znacząco, a on oddalił się przygarbiony, rozważając po cichu, czy mógł postąpić inaczej. Cudna podeszła do Gnata i nachyliła mu się do ucha.

– Naprawdę uważasz, że nadciąga Unia?

– Wątpię. Ale mam złe przeczucia. – Ze zmarszczonym czołem popatrzył na czarną sylwetkę Dreszcza, który opierał się o jednego z Bohaterów na tle skąpanej w słońcu doliny, po czym położył sobie rękę na brzuchu. – Zawsze wtedy ściska mnie w kiszkiach.

Cudna parsknęła.

– Rzeczywiście trudno ignorować coś tak wielkiego.

Dawni pomocnicy

– Tunny.

– Ech? – Otworzył jedno oko, a wtedy słońce ukłuło go prosto w mózg. – Ech! – Ponownie je zamknął i obrócił językiem w obolałych ustach. Poczłł smak powolnej śmierci i rozkładu. – Ech. – Spróbował nieco uchylić drugie oko i skupił wzrok na mrocznym kształcie, który się nad nim unosił. Kształt się przybliżył, a słońce ozdobiło jego krawędzie lśniącyimi sztyletami.

– Tunny!

– Słyszę, do diaska! – Spróbował usiąść, a świat zakołysał się jak okręt podczas sztormu. – Ach! – Zauważył, że leży na hamaku. Usiłował opuścić stopy, ale zaplątał się w siatkę i niemal spadł, próbując się uwolnić, aż w końcu znieruchomiał w pozycji siedzącej, walcząc z przytłaczającymi mdłościami. – Pierwszy sierżant Forest. Cóż za radość. Która godzina?

– Czas do pracy. Skąd masz te buty?

Zdziwiony Tunny opuścił wzrok. Miał na nogach idealnie wypolerowane czarne buty kawaleryjskie ze złoconymi zdobieniami. Odbicie słońca w skórze nosków było tak jasne, że nie dało się na nie patrzeć.

– Ach. – Uśmiechnął się pomimo bólu, a niektóre szczegóły poprzedniej nocy zaczęły wypływać z mrocznych szczelin jego umysłu. – Wygrałem je... od oficera... nazwiskiem... – Mrużąc oczy, popatrzył na konary drzewa, do którego przywiązano jego hamak. – Zapomniałem.

Forest pokręcił z niedowierzaniem głową.

– W tej dywizji wciąż jest ktoś na tyle głupi, żeby grać z tobą w karty?

– Cóż, to jedna z licznych zalet wojny, sierżancie. Wielu ludzi opuszcza dywizję. – Tylko w ciągu ostatnich dwóch tygodni ich regiment pozostawił czterdziestu żołnierzy w namiotach medyków. – A to oznacza, że na ich miejsce pojawia się mnóstwo nowych graczy, czyż nie?

– Owszem, Tunny, masz rację. – Pokrytą bliznami twarz Foresta rozjaśnił kpiący uśmiešek.

– O nie – rzekł Tunny.

– O tak.

– Nie, nie, nie!

– Tak. Chodźcie, chłopcy!

I rzeczywiście przyszli. Było ich czterech. Nowi rekruci, którzy wyglądali, jakby dopiero co przyплыnęli z Midderlandu, gdzie mamusie lub ukochane, albo jedno i drugie, ucałowały ich na pożegnanie. Nowe wyprasowane mundury, wypolerowane paski, lśniące klamry, wszystko gotowe do szlachetnego żołnierskiego życia. Forest wskazał im Tunny'ego, tak jak sztukmistrz wskazuje cyrkowego dziwoląga, po czym wygłosił to samo przemówienie co zawsze.

– Chłopcy, oto sławny kapral Tunny, jeden z najdłużej służących podoficerów w dywizji generała Jalenhorma. Weteran rebelii w Stariklandzie, Wojny Gurkijskiej, ostatniej Wojny Północnej, oblężenia Adui, bagna, w którym obecnie tkwimy, a także licznych działań w czasie pokoju, które zanudziłyby bystrzejszego człowieka na śmierć. Przetrwał biegunki, zgniliznę, grypę, jesienne dreszcze, pieszczoty północnych wichrów, agresję południowych kobiet, tysiące mil marszu,

wiele lat spożywania racji żywnościowych Jego Królewskiej Mości, a nawet odrobinę walki i teraz stoi... a raczej siedzi... przed wami. Czterokrotnie był sierżantem, raz nawet starszym sierżantem, ale zawsze powracał do obecnej rangi, jak gołąb do swej skromnej klatki. Teraz pełni dostojną funkcję chorążego w niezwyciężonym pierwszym regimencie kawalerii Jego Królewskiej Mości. Jest odpowiedzialny... – Tunny jęknął, gdy usłyszał to słowo – ...za jeźdźców, którzy dostarczają oraz odbierają wiadomości od naszego podziwianego dowódcy pułkownika Vallimira. I tutaj zaczyna się wasza rola, chłopcy.

– Psiakrew, Forest.

– Psiakrew, Tunny. Przedstawcie się kapralowi.

– Klige. – Pulchna twarz, duży jęczmień przesłaniający jedno oko i oprzyrządowanie założone tyłem na przód.

– Kim byłeś przed wojną? – spytał Forest.

– Miałem zostać tkaczem, panie pułkowniku. Ale spędziłem w terminie tylko miesiąc, po czym mój mistrz sprzedał mnie werbownikowi.

Tunny jeszcze bardziej się skrzywił. Najnowsze posiłki trudno było nazwać choćby popłuczynami.

– Worth. – Chudy i kościsty o chorobliwie szarej skórze. – Byłem w niezawodowych siłach zbrojnych, ale rozwiązali nasz oddział i wszystkich wcielili do wojska.

– Lederlingen. – Wysoki i smukły osobnik o dużych dłoniach i zmartwionym wyrazie twarzy. – Byłem szewcem. – Nie podał żadnych szczegółów dotyczących tego, jak znalazł się w armii Jego Królewskiej Mości, a Tunny'ego bolała głowa, więc nie miał ochoty drążyć tematu. Najważniejsze, że młodzieniec jest tutaj z nimi, na nieszczęście wszystkich zainteresowanych.

– Żółtko. – Niski chłopak o twarzy usianej piegami, nad

którym kompani górowali wzrostem. Rozejrzał się ze wstydem.
– Okrzyknęli mnie złodziejem, ale to nieprawda. Sędzia powiedział, że albo się zaciągnę, albo pójdę na pięć lat do więzienia.

– Podejrzewam, że wszyscy możemy pożalować tej decyzji. – Tunny stęknął, chociaż musiał przyznać, że z tej grupy tylko złodziej posiadał umiejętności, które mogły się przydać w wojsku. – Dlaczego nazywasz się Żółtko?

– Eee... nie wiem. Tak się nazywał mój ojciec... chyba.

– Wydaje ci się, że jesteś najlepszą częścią jajka, co, Żółtko?

– No... – Chłopak niepewnie popatrzył na swoich sąsiadów. – Raczej nie.

Tunny zmierzył go wzrokiem.

– Będę miał cię na oku, chłopcze. – Dolna warga Żółtka zadrżała w obliczu takiej niesprawiedliwości.

– Trzymajcie się blisko kaprała Tunny'ego. On was ochroni przed niebezpieczeństwem. – Na twarzy Foresta malował się trudny do odszyfrowania uśmiech. – Nie ma żołnierza, który lepiej się zna na unikaniu zagrożeń. Tylko nie grajcie z nim w karty! – zawołał przez ramię, znikając wśród płataniny brudnych namiotów, które tworzyły ich obozowisko.

Tunny wziął głęboki oddech i podniósł się z hamaka, a rekruci natychmiast w nieskoordynowany sposób stanęli na baczność. A przynajmniej zrobiło to trzech z nich. Żółtko dołączył do nich dopiero po chwili. Tunny kazał im spocząć.

– Nie salutujcie, do licha. Jeszcze na was zwymiotuję.

– Przepraszamy, panie kapralu.

– Nie jestem żadnym panem kapralem, mówcie mi: kapralu Tunny.

– Przepraszamy, kapralu Tunny.

– Wszyscy wiemy, że was tu nie chcę i wy także nie chcecie tutaj być...

– Ja chcę – odezwał się Lederlingen.

– Naprawdę?

– Zgłosiłem się na ochotnika. – W jego głosie pobrzmiwała duma.

– O... chot... nika? – Tunny zmagął się z tym słowem, jakby pochodziło z obcego języka. – A więc oni rzeczywiście istnieją. Tylko żeby nie przyszło ci do głowy zgłosić mnie do czegokolwiek. No dobrze... – Przywołał młodzieńców do siebie ruchem zagiętego palca. – Muszę wam powiedzieć, że dobrze trafiliście. Wykonywałem rozmaite zadania w armii Jego Królewskiej Mości, a to... – z uczuciem wskazał sztandar pierwszego regimentu, który leżał zawinięty w płótno pod jego hamakiem – ...wyjątkowo przyjemny oddział. To prawda, że jestem waszym dowódcą, ale chciałbym, żebyście traktowali mnie jak... dobrego wujka. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali. Czegoś specjalnego. Czegoś, co wam umili żołnierski żywot. – Nachylił się bliżej i sugestywnie poruszył brwiami. – Czegokolwiek. Możecie do mnie przyjść. – Lederlingen niepewnie uniósł palec. – Tak?

– Jesteśmy kawalerzystami, prawda?

– Zgadza się, szeregowy, jesteśmy.

– Czy nie powinniśmy mieć koni?

– To znakomite pytanie. Widać, że znasz się na taktyce. Z powodu administracyjnego błędu nasze konie zostały przydzielone dywizji Mittericka, a dokładniej piątemu regimentowi, który jest oddziałem piechoty, więc nie może w pełni skorzystać z ich zalet. Podobno lada dzień mają do nas trafić, chociaż słyszę to już od dawna. Chwilowo jesteśmy

regimentem... spieszonych kawalerii.

– Piechotę? – zaproponował Żółtko.

– Można tak powiedzieć, tylko że wciąż... – Tunny postukał się palcem w głowę – ...myślimy jak kawaleria. Czy oprócz koni, których brakuje wszystkim członkom tej jednostki, potrzebujecie czegoś jeszcze?

Klige uniósł rękę jako kolejny.

– No, panie kapralu Tunny, tak się składa, że... chętnie bym coś zjadł.

Tunny się wyszczerzył.

– To zdecydowanie specjalna prośba.

– Czy nie przysługuje nam jedzenie? – spytał przerażony Żółtko.

– Ależ oczywiście, że Jego Królewska Mość zapewnia swoim lojalnym żołnierzom racje żywnościowe. Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie ich do ust. Jeśli będziecie mieli dosyć jedzenia rzeczy, których nie lubicie, zgłóście się do mnie.

– Podejrzewam, że nie za darmo – odparł Lederlingen z kwaśną miną.

– Za rozsądną opłatą. W walucie Unii, Północy, Styrii, Gurkhulu. Tak naprawdę w każdej walucie. Ale jeśli zabraknie wam gotówki, zgodzę się także na handel wymienny. Przykładowo broń zabrana martwym Północnym świetnie się sprawdza jako prezent. Nie pogardzę także usługami. Każdy ma coś, czym może zapłacić, i zawsze zdołamy dojść do...

– Kapralu?

Dziwny, wysoki głos pełen napięcia. Niemal kobiecy, jednak to nie kobieta stała za Tunnym, gdy się odwrócił, rozczarowany, ale nie zaskoczony, tylko olbrzymi mężczyzna w czarnym mundurze zbryzganym błotem po szybkiej jeździe konnej. Na

jego rękawach widniały insygnia pułkownika, a przy pasie dwa praktyczne ostrza różnej długości. Miał krótkie włosy nad uszami przyprószone siwizną, łysinę na czubku głowy, gęste brwi, szeroki nos oraz masywną szczękę jak bokser, a także ciemne oczy, które wpatrywały się w Tunny'ego. Być może sprawiał to brak szyi albo potężne knykcie bielejące na zaciśniętych pięściach, a może fakt, że jego mundur wyglądał, jakby naciągnięto go na kamienną rzeźbę, ale, nawet stojąc nieruchomo, mężczyzna promieniował straszliwą siłą.

Tunny potrafił salutować jak nikt inny, gdy uznał, że to dobry pomysł, i teraz wyprężył się jak struna.

– Panie pułkowniku! Kapral Tunny, chorąży pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości!

– Gdzie sztab generała Jalenhorma? – Nowo przybyły zerknął na rekrutów, jakby prowokował ich, by wyśmiali jego piskliwy głos.

Tunny wiedział, kiedy należy się śmiać, a teraz z pewnością nie była ku temu odpowiednia chwila. Wskazał ponad zaśmieconą i usianą namiotami łąką na wiejski dom, z którego komina unosiły się kłęby dymu plamiące jasne niebo.

– Tam pan znajdzie generała, panie pułkowniku! W domu! Zapewne wciąż leży w łóżku, panie pułkowniku!

Oficer oddalił się z opuszczoną głową, jakby miał zamiar stratować wszystko i wszystkich na swojej drodze.

– Kto to był? – szepnął jeden z młodzieńców.

– O ile się nie mylę... – Tunny na chwilę zawiesił głos – ...to był Bremer dan Gorst.

– Ten, który fechtował z królem?

– Zgadza się. Był także jego ochroniarzem do czasu tamtego zamieszania w Sipani. Podobno wciąż może liczyć na królewskie

względy. – To niedobrze, że taka osobistość tutaj jest. Nigdy nie należy stać zbyt blisko ludzi sławnych.

– Co tutaj robi?

– Nie jestem pewien. Ale słyszałem, że to piekielnie sprawny wojownik. – Tunny zacmokał z niepokojem.

– Czy to niepożądana cecha u żołnierza? – spytał Żółtko.

– Psiakrew, jasne, że tak! Przeżyłem wiele potyczek i mogę cię zapewnić, że wojny i tak są wystarczająco trudne bez ludzi, którzy w samym ich środku starają się toczyć walki. – Gorst wkroczył na podwórko przed domem i wyjął coś spod kurtki. Złożoną kartkę. Pewnie jakiś rozkaz. Zasalutował strażnikom, po czym wszedł do chaty. Tunny pomasaował się po zbuntowanym żołądkiem. Coś go dręczyło i nie było to tylko wczorajsze wino.

– Panie kapralu?

– Kapralu Tunny.

– Ja... ja... – To był chłopak nazwiskiem Worth i najwyraźniej miał problem. Tunny oczywiście rozpoznał objawy. Przystępowanie z nogi na nogę, bladość, lekko zażawione oczy. Nie było czasu do stracenia.

Wskazał kciukiem latryny.

– Leć! – Młodzieniec pomknął jak wystraszony królik, skacząc na krzywych nogach po błocie. – Tylko postaraj się wysrać w odpowiednim miejscu! – Tunny odwrócił się i pogroził palcem pozostałym szeregowcom. – Zawsze srajcie w odpowiednim miejscu. To żołnierska zasada znacznie ważniejsza niż bzdury dotyczące marszu, broni czy ukształtowania terenu. – Nawet z tej odległości usłyszeli przeciągły jęk Wortha, a po nim donośne pierdnięcie. – Szeregowiec Worth właśnie toczy pierwszą potyczkę z naszym prawdziwym wrogiem. Nieprzejednanym, bezlitosnym i płynnym. – Położył dłoń na

ramieniu najbliższego żołnierza. Był nim Żółtko, który niemal upadł pod wpływem dodatkowego ciężaru. – Jestem przekonany, że wcześniej lub później wszyscy zostaniecie wezwani do walki w latrynie. Odwagi, chłopcy, odwagi. A póki czekamy na Wortha, który wypędzi wroga bądź polegnie w dzielnej walce, może któryś z was miałby ochotę na partyjkę? – Wyciągnął talię kart i rozłożył ją przed oczami – lub okiem w przypadku Klige’a – zaskoczonych rekrutów. Hipnotyzujący efekt tylko trochę zakłóciło nieustające pierdzenie Wortha. – Na początek zagramy o honor. Chyba możecie sobie pozwolić na taką stratę? Możecie... oho...

Generał Jalenhorm wyszedł ze swojej siedziby w rozpiętej bluzie od munduru, z potarganymi włosami, czerwony jak burak i rozwrzeszczany. Zawsze krzyczał, ale tym razem najwyraźniej miał konkretny cel. Za nim szedł Gorst, przygarbiony i milczący.

– Oho. – Jalenhorm ruszył w jedną stronę, zmienił zdanie, zatoczył się i ryknął sam na siebie, po czym zaczął się mocować z guzikiem, ze złością odtrącając pomocną dłoń. Oficerowie sztabowi wypadli z chaty i rozbiegli się na wszystkie strony jak ptaki wypędzone z zarośli. Chaos gwałtownie się rozprzestrzenił, biorąc początek od generała i zarażając cały obóz.

– Psiakrew – mruknął Tunny, wciskając się w naręczaki. – Lepiej szykujmy się do wymarszu.

– Dopiero przybyliśmy, panie kapralu – odburknął Żółtko, który właśnie zaczął zdejmować plecak.

Tunny ponownie zaciągnął pasek na jego ramieniu, po czym odwrócił rekruta w stronę generała. Jalenhorm potrząsał pięścią na jednego ze swoich eleganckich oficerów i jednocześnie bez

powodzenia usiłował zapiąć mundur.

– Oto idealny przykład funkcjonowania armii... hierarchii, w której każdy sra na głowę osoby znajdującej się poniżej. Uwielbianemu dowódcy naszego regimentu, pułkownikowi Vallimirowi, właśnie sra na głowę generał Jalenhorm. Pułkownik Vallimir zaraz nasra na swoich oficerów, a wkrótce lawina gówna spłynie niżej. Za minutę albo dwie pierwszy sierżant Forest ustawi swe obnażone poślądki nad moją niewinną głową. Zgadnijcie, co to oznacza dla was. – Młodzieńcy przez chwilę milczeli, po czym Klige niepewnie uniósł dłoń. – To miało być pytanie retoryczne, tępy łbie. – Klige opuścił rękę. – Za karę będziesz niósł mój plecak.

Klige się zgarbił.

– Ty tam, Ladderlugger.

– Lederlingen, kapralu Tunny.

– Wszystko jedno. Skoro tak lubisz zgłaszać się na ochotnika, to właśnie zgłosiłeś się do niesienia mojego drugiego plecaka. Żółtko?

– Tak, panie kapralu? – Widać było, że chłopak ledwie stoi pod ciężarem swojego ekwipunku.

Tunny westchnął.

– Będziesz niósł hamak.

Nowi pomocnicy

Beck wysoko uniósł siekiere, po czym uderzył z warknięciem, rozłupując polano na dwoje i wyobrażając sobie, że to głowa żołnierza Unii. Wyobraził sobie, że zamiast drzazg trysnęła krew. Wyobraził sobie, że zamiast szemrania strumyka słyszy ludzi wiwatujących na jego cześć, a liście pokrywające trawę to kobiety mdlejące u jego stóp. Wyobraził sobie, że jest wielkim bohaterem, tak jak jego ojciec, że okrył swoje imię chwałą i wywalczył sobie poczesne miejsce przy ognisku i w pieśniach. Niewątpliwie był najbardziej wytrwałym draniem na całej przeklętej Północy. Przynajmniej jeśli chodziło o fantazjowanie.

Rzucił kawałki drewna na stertę i schylił się po kolejne polano. Otarł czoło rękawem i, marszcząc brwi, popatrzył na dolinę. Nucił pod nosem fragment Pieśni o Ripnirze. Gdzieś tam za wzgórzami walczy armia Czarnej Dowa. Tam za wzgórzami ludzie dokonują wielkich czynów i piszą jutrzejsze pieśni. Splunął na swoje dłonie, szorstkie od siekiery, pługa, kosy, łopaty, a nawet tarki do prania. Nienawidził tej doliny i jej mieszkańców. Nienawidził tej farmy i swoich obowiązków.

Został stworzony do walki, a nie rąbania drewna.

Usłyszał kroki i zobaczył swojego brata, który, pochylony, z trudem wspinał się stromą ścieżką prowadzącą od domu. Wracał z wioski i najwyraźniej pokonał całą drogę biegiem. Siekiera uniosła się pod jasne niebo, po czym opadła, rozbijając czaszkę kolejnego Południowca. Festen dotarł na szczyt i zatrzymał się zgięty w pół, opierając drżące dłonie na

dygoczących kolanach. Z trudem łapał oddech, a okrągłe policzki miał całe w różowych plamach.

– Coś się tak śpieszył? – spytał Beck, sięgając po nowy kawałek drewna.

– W wiosce... w wiosce... – Festen z trudem próbował jednocześnie mówić, oddychać i utrzymać się na nogach. – W wiosce są ludzie! – wykrztusił wreszcie.

– Co za ludzie?

– Carlowie! Carlowie Reacheya!

– Co takiego? – Zapomniana siekiera zawisała nad głową Becka.

– Tak. Prowadzą pobór!

Beck jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, po czym rzucił siekierę na stertę porąbanego drewna i ruszył w stronę domu. Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem, czując mrowienie na całym ciele. Festen ledwie był w stanie za nim nadążyć.

– Co zamierzasz? – pytał raz za razem, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Beck minął zagrodę i gapiące się na niego kozy oraz pięć dużych pni posiekanych podczas wieloletnich porannych ćwiczeń szermierskich. Zanurzył się w pachnącej dymem ciemności domu poprzecinanej paskami słonecznego blasku wpadającego przez niedopasowane okiennice i przeszedł po gołej drewnianej posadzce oraz starych wytartych futrach. Deski skrzypiały pod jego butami, gdy zbliżył się do swojego kufra, uklękł, otworzył wieko i niecierpliwie odgarnął ubrania leżące na wierzchu. Czule jak kochanek podniósł jedyną rzecz, na której mu zależało.

Złoto błysnęło w mroku, a Beck zacisnął palce na rękojeści, czując idealne wyważenie broni, po czym wysunął ostrze

z pochwy na długość jednej stopy. Uśmiechnął się, słysząc szcęk i śpiew stali, który jeszcze bardziej podrażnił jego zszargane nerwy. Tyle razy patrzył na to ostrze z uśmiechem, polerował je, ostrzył i znów polerował, marząc o dniu, który właśnie nadszedł. Wsunął broń z powrotem do pochwy, odwrócił się... i zamarł.

W drzwiach stała matka i go obserwowała. Czarny cień na tle białego nieba.

– Biorę rapier ojca – burknął, potrząsając w jej stronę rękojęcią.

– Został nim zabity.

– Należy do mnie!

– Zgadza się.

– Nie możesz mnie dłużej zatrzymywać. – Upchnął kilka przedmiotów w przygotowanej torbie. – Obiecałaś, że będę mógł odejść już tego lata!

– Obiecałam.

– Nie powstrzymasz mnie!

– Czy widzisz, żebym próbowała?

– W moim wieku Szubal Koło już od siedmiu lat uczestniczył w kampaniach!

– Szczęściarz.

– Już czas. Najwyższy czas!

– Wiem. – Patrzyła, jak zdejmuje ze ściany pozbawiony cięciwy łuk zawinięty razem z kilkoma drzewcami strzał. – Przez następny miesiąc albo dwa zapowiadają się zimne noce. Lepiej weź moją pelerynę.

To go zbiło z tropu.

– Ale... nie, zatrzymaj ją.

– Będę szczęśliwsza, wiedząc, że ty ją masz.

Nie chciał się z nią sprzeczać. Bał się, że straci zimną krew. Wyrusza, by mężnie stawić czoło tysiącom tysięcy Południowców, ale obawia się jednej kobiety, która wydała go na świat. Złapał solidną, ufarbowaną na zielono pelerynę, która wisiała na kołku, zarzucił ją na ramię i ruszył w stronę drzwi. Traktował ją z lekceważeniem, chociaż wiedział, że to najcenniejsza rzecz, jaką posiada matka.

Zdenerwowany Festen stał na zewnątrz, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Beck zmierzwił jego rudą czuprynę.

– Teraz ty jesteś tutaj mężczyzną. Porąb drewno, a ja przywiozę ci coś z wojny.

– Nie mają tam niczego, czego byśmy potrzebowali – odrzekła matka, obserwując go z cienia. Nie była zła jak kiedyś. Tylko smutna. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, o ile jest od niej wyższy. Czubkiem głowy ledwie sięgała mu do szyi.

– Zobaczymy. – Zszedł po dwóch schodkach na ziemię i stanął pod omszałym okapem. Poczul, że musi się obejrzeć. – No to idę.

– Jeszcze jedno, Beck. – Pochyliła się i pocałowała go w czoło. To był pocałunek delikatny jak deszcz. Z uśmiechem dotknęła jego policzka. – Mój synu.

Poczul łyzy w zaciśniętej krtani. Żałował tego, co powiedział, cieszył się, że wreszcie postawił na swoim, wściekał się, że nie zrobił tego wcześniej, smucił, że odchodzi, bał się i szalał z podniecenia, wszystko na raz. Wypełniało go tak wiele uczuć, że nie potrafił okazać żadnego z nich. Szybko dotknął jej dłoni, po czym odwrócił się, nie chcąc się rozplakać, i ruszył w dół ścieżki, na wojnę.

Staral się iść tak, jak mógłby to robić ojciec.

Pobór nie spełnił jego oczekiwań.

Kropił deszcz, zbyt słaby, by kogokolwiek przemoczyć, ale wystarczająco silny, żeby wszyscy krzywili się i garbili, a nastrój całego wydarzenia się popsuł. Zresztą, od początku nie był zbyt radosny. Ludzie, którzy przyszedli się zaciągnąć, najczęściej nie z własnej woli, stali w czymś, co początkowo przypominało rzędy, ale wkrótce zmieniło się w chlupoczące, przepychające się i narzekające kłębowisko. Większość kandydatów stanowili młodzi chłopcy, w ocenie Becka zbyt młodzi. Chłopcy, którzy nigdy nie widzieli innej doliny, a co dopiero bitwy. Większość pozostałych była siwa ze starości, a rachunku dopełniały kaleki. Na skraju tłumu kilku Carlów Reacheya stało wspartych o włócznie lub siedziało na koniach. Sprawiali wrażenie równie zawiedzionych nowymi rekrutami jak Beck. Bardzo się to różniło od szlachetnej kompanii braci, z którą miał nadzieję dokonywać bohaterskich czynów.

Pokręcił głową, jedną dłonią mocno przytrzymując matczyną pelerynę przy szyi, a drugą ściskając ciepłą rękonożec ojcowskiej broni. Nie pasował do tych ludzi. Co prawda, Skarling Bez Kaptura również zaczynał w mało obiecującym towarzystwie, a stworzył armię, która pokonała Unię, ale Beck nie potrafił sobie wyobrazić, by ktoś miał śpiewać pieśni o tej beznadziejnej zbieraninie. W pewnej chwili minął go, powłóczęc nogami, nowo utworzony oddział, na którego czele szło dwóch drobnych chłopców niosących jedną włóczęc. Pobór bez wystarczającej liczby broni, o tym rzadko się słyszy w pieśniach.

Z jakiegoś powodu, zapewne dlatego, że lubił śnić na jawie, spodziewał się, że pobór będzie nadzorował sam Caul Reachey, człowiek, który walczył we wszystkich bitwach od zarania

dziejów i wszystko robił według dawnych zasad. Miał nadzieję, że Reachey popatrzy mu w oczy albo poklepie go po plecach. Oto młodzieniec, jakich nam potrzeba! Spójrzcie wszyscy na niego! Znajdźmy więcej takich jak on! Jednak Reacheya nigdzie nie było. Ani nikogo innego, kto znałby się na rzeczy. Beck przez chwilę patrzył na błotnistą drogę, którą przyszedł. Zastanawiał, czy nie wrócić na farmę. Byłby w domu przed świtem...

– Chcesz się zaciągnąć? – Niski mężczyzna, ale szeroki w ramionach. Włosy i krótki zarost przyprószone siwizną. Buzdygan za jego pasem wyglądał na często używany. Opierał cały ciężar ciała na jednej nodze, jakby druga mogła go nie utrzymać.

Beck nie miał zamiaru wyjść na głupca, więc odpędził myśl o rezygnacji.

– Chcę walczyć.

– To dobrze. Nazywam się Mokry i będę dowodził tą niewielką drużyną, gdy ją skompletujemy. – Wskazał rząd mało obiecujących chłopców. Niektórzy trzymali zużyte łuki albo toporki, ale większość miała tylko ubranie na grzbiecie, nierzadko w opłakanym stanie. – Jeśli chcesz robić coś więcej niż tylko gadać o walce, ustaw się w kolejce.

– Tak zrobię. – Mokry wyglądał na człowieka, który potrafi odróżnić miecz od piły, a każdy rząd sprawiał równie złe wrażenie. Beck wypiął pierś i przepchnął się na koniec jednej z kolejek. Górował nad innymi młodymi kandydatami. – Jestem Beck – powiedział.

– Colving – mruknął jeden z chłopców. Miał najwyżej trzynaście lat, był gruby i wodził wkoło wytrzeszczonymi oczami, jakby wszystkiego się bał.

– Stodder – wymamrotał zakłopotany chłopak z ustami

pełnymi nieświeżego mięsa. Miał spuchniętą, wilgotną dolną wargę, która zwisała, jakby był chory na umyśle.

– Ja jestem Brait – pisnął chłopiec jeszcze mniejszy od Colvinga, obszarpany jak żebrak, w pękniętym bucie, z którego wystawały brudne palce. Beckowi początkowo zrobiło się go żal, lecz po chwili poczuł, jak bardzo dzieciak śmierdzi. Brait wyciągnął chudą dłoń, ale Beck jej nie przyjął, gdyż jego uwagę zwrócił ostatni członek grupy. Był starszy od pozostałych, miał na ramieniu łuk, a jedną ciemną brew przecinała mu blizna. Pewnie spadł z jakiegoś murku, ale dzięki temu wyglądał groźniej niż powinien. Beck pożałował, że nie ma żadnej blizny.

– A ty?

– Reft. – Chłopak uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby kpił z Becka, co mu się wcale nie spodobało.

– Coś cię bawi?

Reft wskazał ręką otaczający ich tłum.

– A ciebie nie?

– Śmiejesz się ze mnie?

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, przyjacielu.

Beck nie był pewien, czy chłopak stara się zrobić z niego głupca, czy on sam się ośmiesza, a może po prostu jest zirytowany, ponieważ to wszystko rozminęło się z jego oczekiwaniami. W każdym razie robił się coraz bardziej wściekły.

– Lepiej zamknij tę jebaną...

Reft go nie słuchał. Zerkał ponad ramieniem Becka, podobnie jak pozostali. Beck odwrócił się, żeby sprawdzić, na co wszyscy patrzą, i zszokowany zauważył jeźdźca na wysokim koniu. To był dobry wierzchowiec z jeszcze lepszym siodłem. Metalowe elementy uprząży wypolerowano do połysku. Mężczyzna miał

około trzydziestu lat, gładką cerę i bystre spojrzenie. Był ubrany w elegancką pelerynę z obszytą krawędzią i kołnierzem z gęstego futra. Beck mógłby się zawstydzić stroju, który dostał od matki, gdyby większość pozostałych rekrutów nie miała na sobie szmat.

– Dobry wieczór. – Jeździec miał cichy i łagodny głos, a jego mowa niemal nie przypominała języka Północy.

– Dobry wieczór – odpowiedział Reft.

– Dobry wieczór – dodał Beck, który nie miał zamiaru pozwolić, by Reft odgrywał rolę przywódcy.

Jeździec uśmiechnął się, jakby znalazł się w gronie przyjaciół.

– Czy moglibyście pokierować mnie do ogniska Reacheya, chłopcy?

Reft wskazał palcem gęstniejący mrok.

– To chyba będzie na tamtym wzniesieniu, obok drzew. – Czarne kształty na tle wieczornego nieba, konary podświetlone od dołu przez blask ognia.

– Serdecznie dziękuję. – Mężczyzna uklonił się każdemu z młodzieńców, nawet Braitowi i Colvingowi, po czym cmoknął i popędził konia przez tłum, uśmiechając się półgębkiem. Zupełnie jakby powiedział coś zabawnego. Beck nie wiedział, co go tak rozbawiło.

– Co to za drań? – burknął, gdy jeździec znalazł się poza zasięgiem jego głosu.

– Nie wiem – szepnął Colving.

Beck pogardliwie wykrzywił wargi.

– Oczywiście, że nie wiesz. Przecież nie ciebie pytam.

– Przepraszam. – Chłopak wzdrygnął się, jakby spodziewał się ciosu. – Ja tylko...

– To pewnie był wielki książę Calder – rzekł Reft.

Beck jeszcze bardziej się skrzywił.

– Syn Bethoda? On już chyba nie jest księciem?

– Jak widać, uważa, że jest.

– Ożenił się z córką Reacheya, prawda? – odezwał się Brait cicho i piskliwie. – Może przyjechał złożyć wyrazy szacunku ojcu swojej żony.

– Sądząc po jego reputacji, raczej chce za pomocą kłamstw wrócić na tron ojca – odparł Reft.

Beck parsknął.

– Nie sędzę, by wiele zdziałał u Czarnego Dowa.

– Pewnie wytną mu za to krzyż. – Stodder stęknął, oblizując palce po skończonym posiłku.

– Raczej powieszą i spalą – pisnął Colving. – Tak Czarny Dow postępuje z tchórzami i intrygantami.

– Zgadza się – rzekł Brait, jakby był wielkim ekspertem od tych spraw. – Własnoręcznie traktuje ich ogniem i patrzy jak tańczą.

– Nie będę po nim płakał. – Beck zerknął w ślad za Calderem, który wciąż przepychał się między rekrutami, górując nad nimi w swoim siodle. Oto idealne przeciwieństwo człowieka z zasadami. – Nie wygląda na groźnego wojownika.

– I co z tego? – Reft z uśmiechem zerknął na krawędź peleryny Becka, spod której wystawał tępy koniec pochwy. – Ty wyglądasz jak wojownik, ale to nie znaczy, że nim jesteś.

Beck nie miał zamiaru puścić tego płazem. Zarzucił sobie matczyną pelerynę na ramię, by zyskać więcej miejsca, i zacisnął pięści.

– Nazywasz mnie pieprzonym tchórzem? – Stodder ostrożnie

usunął mu się z drogi. Colving zwrócił wystraszone oczy ku ziemi. Brait tylko uśmiechał się bezsilnie.

Reft wzruszył ramionami, ani nie podejmując wyzwania, ani się nie wycofując.

– Nie znam cię na tyle dobrze, żeby stwierdzić, kim jesteś. Maszerowałeś kiedyś w bitewnej linii?

– Nie w linii – odburknął Beck, mając nadzieję, że pomyślał, że brał udział w zbrojnych potyczkach, podczas gdy, nie licząc kilku bójek na pięści z wioskowymi chłopakami, jak dotąd walczył tylko z drzewami.

– Zatem sam tego nie wiesz, prawda? Człowiek nie potrafi przewidzieć, jak się zachowa, gdy stanie ramię w ramię z innymi żołnierzami, dobędzie ostrza i będzie czekał na szarżę. Może będziesz walczył jak Skarling, a może uciekniesz. Może potrafisz tylko gadać o walce.

– Zaraz ci pokażę walkę, skurwielu! – Beck zbliżył się o krok, unosząc pięść.

Colving jęknął i zakrył twarz, jakby to na niego miał spaść cios. Reft cofnął się i jedną ręką odsunął połę płaszcza. Beck zobaczył rękojeść długiego noża i zrozumiał, że gdy odrzucił pelerynę, odsłonił rękojeść ojcowskiego rapiera i tym samym drastycznie podniósł stawkę. Dotarło do niego, że ta sprzeczka wcale nie musi się skończyć tak jak bójki z chłopakami w wiosce. Zobaczył lęk oraz gotowość w oczach Refta i na chwilę stracił pewność siebie, nie wiedząc, jak do tego doprowadził ani co powinien zrobić...

– Hej! – Mokry wyskoczył z tłumu, ciągnąc za sobą chorągwość. – Wystarczy tego dobrego!

Beck powoli opuścił pięść, szczęśliwy, że im przerwano.

– Dobrze widzieć, że nie brakuje w was ognia, ale bez obaw,

będziecie mieli wiele okazji do walki z Południowcami. Jutro wyruszamy, a będzie się wam lepiej maszerowało bez roztrzaskanych ust. – Mokry przytrzymał pomiędzy Beckiem a Reftem swoją potężną pięść, porośniętą na wierzchu siwymi włosami, z knykциями poobijanymi podczas setek dawnych potyczek. – Bo jeśli się nie uspokoiacie, właśnie to was czeka, zrozumiano?

– Tak jest, wodzu! – ryknął Beck, zerkając groźnie na Refta, chociaż jego serce tak mocno waliło, że niemal rozsadzało mu uszy.

– Tak jest, oczywiście – rzekł Reft, zapinając płaszcz.

– Wojownik przede wszystkim musi się nauczyć, kiedy nie walczyć. A teraz chodźcie tutaj, wy dwaj.

Beck zauważył, że kolejka chłopców przed nimi zniknęła, a od stołu osłoniętego ociekającym płótnem oddziela go tylko połączony wydeptany błota. Przy stole czekał na niego stary siwobrody mężczyzna ze skwaszoną miną. Nie miał jednej ręki, a złożony pusty rękaw płaszcza przyszył sobie do piersi. W drugiej dłoni trzymał pióro. Wyglądało na to, że imię każdego kandydata zapisywano w wielkiej księdze. A więc obowiązywały tutaj nowe zasady, wszystko na piśmie i tak dalej. Beck podejrzewał, że jego ojciec nie byłby tym zachwycony, i sam podzielał to zdanie. Po co walczyć z Południowcami, skoro przejmuje się ich zwyczaje? Zmarszczył czoło i zbliżył się do stołu poprzez błotnistą maź.

– Imię?

– Moje?

– A niby czyje, do diabła?

– Beck.

Siwobrody zapisał je na papierze.

– Skąd?

– Z farmy, tam w dolinie.

– Wiek.

– Siedemnaście lat.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Trochę dużo. Spóźniłeś się o kilka lat, chłopcze. Gdzie się podziewałeś?

– Pomagałem matce w gospodarstwie. – Ktoś za jego plecami parsknął, a Beck obrócił się na pięcie i popatrzył groźnie. Uśmiech zgasł na ustach Braita i chłopak wbił wzrok w swoje zniszczone buty. – Musi się opiekować dwójką malców, więc zostałem, żeby jej pomóc. To także zadanie mężczyzny.

– Ale teraz jesteś tutaj.

– Zgadza się.

– Imię ojca?

– Szama Bezlitosny.

Mężczyzna gwałtownie uniósł głowę.

– Nie kpij ze mnie, chłopcze!

– Nie mam zamiaru, starcze. Szama Bezlitosny był moim ojcem. Oto jego ostrze. – Beck z metalicznym sykiem dobył broni, a gdy poczuł jej ciężar w ręku, od razu odzyskał odwagę. Oparł ostrze czubkiem o blat.

Jednoręki przez chwilę patrzył na złoto lśniące w promieniach zachodzącego słońca i lustrzany blask dobrej stali.

– No, wreszcie pojawił się ktoś porządny. Miejmy nadzieję, że jesteś ulepiony z tej samej gliny co twój ojciec.

– Jestem.

– Przekonamy się. Oto twój pierwszy żołd, chłopcze. –

Wcisnął Beckowi w dłoń malutką srebrną monetę, po czym ponownie złapał za pióro. – Następny.

A więc koniec z pracą na roli. Dołączył do Caula Reacheya, by walczyć dla Czarnego Dowa przeciwko Unii. Schował ostrze do pochwy i stał ze zmarszczonym czołem na coraz silniejszym deszczu, w gęstniejącej ciemności. Dziewczynka o rudych włosach zbrązowiałych od wilgoci nalewała grog rekrutom, którzy podawali swoje imiona. Beck wziął swoją porcję, po czym wlał palący trunek do gardła. Odrzucił kubek, patrząc, jak Reft, Colving i Stodder odpowiadają na pytania, myśląc o tym, że ich opinia jest gównem warta. Okryje swoje imię chwałą. Pokaże im, kto jest tchórzem.

A kto bohaterem.

Reachey

– Toż to mąż mojej córki! – zawołał Reachey, a blask ognia zalśnił na jego szczerbatym uśmiechu. – Nie musisz tak się skradać, chłopcze.

– Straszne błoto – odpowiedział Calder.

– A ty nigdy nie lubiłeś sobie brudzić butów.

– Styriańska skóra. Sprowadzone z Talinsu. – Postawił jeden but na kamieniu przy ognisku, by starzy Imienni Reacheya mogli się lepiej przyjrzeć.

– Sprowadzane buty – mruknął Reachey, jakby ubolewał nad utratą wszystkiego, co dobre na świecie. – Na spokój zmarłych. Jak to możliwe, że taka mądra dziewczyna jak moja córka zakochała się w takim pustym eleganciku jak ty?

– A jak to możliwe, że taki kloc jak ty spłodził taką piękność jak moja żona?

Reachey się uśmiechnął, podobnie jak jego ludzie, a trzaskające płomienie oświetliły wszystkie zmarszczki na ich twarzach.

– Sam się dziwię. Ale mniej niż ty, bo znałem jej matkę. – Kilku starszych wojowników westchnęło tęsknie. – Zresztą, ja też byłem piękny, zanim trudy życia odebrały mi urodę. – Ci sami wojownicy zachichotali. Żarty starych ludzi zawsze traktują o tym, jak dobrze było dawniej.

– Ach te trudy – westchnął jeden, kręcąc głową.

– Moglibyśmy zamienić słówko na osobności? – spytał Calder.

– Dla mojego syna wszystko. Chłopcy. – Żołnierze otaczający Reacheya wstali, niektórzy z wyraźnym trudem, po czym, stękając, zniknęli w ciemności. Calder usiadł przy ognisku i wyciągnął dłonie w stronę płomieni.

– Chcesz fajkę? – zaproponował Reachey, podając mu miseczkę, z której unosił się dym.

– Nie, dziękuję. – Calder musiał zachować trzeźwą głowę, nawet wśród ludzi, którzy uchodzili za jego przyjaciół. Kroczył piekielnie wąską ścieżką i nie mógł sobie pozwolić na to, by z niej zboczyć. Po obu stronach ziały głębokie przepaście, a na dnie nie było niczego, co mogłoby złagodzić lądowanie.

Reachey zaciągnął się dymem, wydmuchnął kilka małych brązowych kółek i popatrzył, jak się oddalają.

– Jak się miewa moja córka?

– To najlepsza kobieta na świecie. – Calder nawet nie musiał kłamać.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć, prawda? Nie zaprzeczę. A mój wnuk?

– Tym razem jeszcze jest za mały, żeby pomóc ci przeciwko Unii, ale szybko rośnie. Czuć, jak kopie.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Reachey popatrzył w płomienie i powoli pokręcił głową, drapiąc paznokciami biały zarost. – Ja dziadkiem. Ha! Mam wrażenie, że wczoraj sam byłem dzieckiem, a jeszcze rano patrzyłem, jak Seff wierzga w brzuchu swojej matki. Wszystko mija niepostrzeżenie, jak liście płynące w rzece. Smakuj każdą chwilę, synu, dobrze ci radzę. To z nich składa się życie. Z tego wszystkiego, co się dzieje, gdy czekamy na coś innego. Słyszałem, że Czarny Dow chce cię zabić.

Calder próbował nie dać po sobie poznać, że zmiana tematu zbiła go z tropu, ale mu się nie udało.

– Kto tak mówi?

– Czarny Dow.

Nie był zaskoczony, ale gdy to usłyszał, jeszcze bardziej podupadł na duchu.

– Pewnie wie, co mówi.

– Myślę, że sprowadził cię tutaj, żeby móc cię łatwiej zabić, albo żeby zrobił to ktoś inny, kto będzie chciał wkupić się w jego łaski. Pewnie podejrzewa, że zaczniesz knuć, namawiać ludzi przeciwko niemu, a w końcu spróbujesz zająć jego miejsce na tronie. Wtedy będzie mógł cię powiesić i nikt nie zaprotestuje.

– Myśli, że jeśli da mi nóż, to sam się nim przebiję.

– Coś w tym guście.

– Może jestem zręczniejszy, niż mu się wydaje.

– Mam nadzieję. Jeśli rzeczywiście masz zamiar uknuć jakąś intrygę, to miej świadomość, że on cię obserwuje i czeka, aż powinie ci się noga. Chyba że znudzi się chodzeniem na palcach i poprosi Caula Dreszcza, żeby zaostrzył topór na twoim mózgu.

– Znalazłoby się kilka osób niezadowolonych z takiego obrotu spraw.

– To prawda, a połowa Północy i tak jest niezadowolona. Zbyt dużo wojny. Zbyt dużo podatków. Oczywiście, w tych stronach wojna to piękna tradycja, ale podatki nigdy nie były popularne. Dow musi uważać na nastroje ludzi i dobrze o tym wie. Ale tylko głupiec liczyłby na jego cierpliwość. Ostrożność nie leży w naturze Czarnego Dowa.

– Ale w mojej tak?

– Delikatne stawianie kroków to nie powód do wstydu, chłopcze. Na Północy lubimy wielkich głupków, którzy brodzą we krwi. Śpiewamy o nich pieśni. Ale oni sami niczego nie działają. Potrzebni nam ludzie innego rodzaju. Myśliciele, tacy

jak ty. Tacy jak twój ojciec. Wciąż nam ich brakuje. Chcesz wysłuchać mojej rady?

Calder pomyślał, że Reachey może sobie wsadzić swoje rady głęboko w dupę. Książę przyjechał po ludzi, ostrza i zimne serca gotowe do zdrady. Jednak już dawno przekonał się, że niemal wszyscy uwielbiają, gdy się ich słucha. Zwłaszcza potężni ludzie, a Reachey był jednym z pięciu wodzów Dowa i trudno było o kogoś dysponującego większą władzą. Dlatego Calder zrobił to, w czym był najlepszy, czyli skłamał.

– Przybyłem właśnie po twoją radę.

– Zatem niczego nie próbuj. Zamiast płynąć wbrew silnemu prądowi, ryzykując utratę wszystkiego w zimnej otchłani, lepiej przez chwilę spokojnie posiedzieć na plaży. Kto wie, niewykluczone, że morze samo wyrzuci na brzeg to, czego pragniesz.

– Tak sądzisz? – Calder uważał, że od czasu śmierci jego ojca morze wyrzuca tylko gówno.

Reachey przysunął się nieco bliżej i odezwał cichym głosem.

– Czarny Dow wszędzie wozi ze sobą Tron Skarlinga, ale niezbyt mocno na nim siedzi. Jest faworytem większości, ale, nie licząc tego pierdolonego zgniłka Dziesięć Sposobów, niewielu ludzi jest wobec niego lojalnych. Znacznie mniej niż wobec twojego ojca. A ludzie pokroju Żelaznogłowego czy Złotego? Pff! – Splunął z pogardą do ogniska. – Są zmienni jak wiatr. Czarny Dow wzbudza strach, ale tylko dopóki jest groźny, a jeśli dalej będzie unikał walki... Ludzie mają lepsze rzeczy do roboty niż cierpieć głód i srać do dziur w ziemi. Podczas żniw w zeszłym miesiącu do domów uciekło co najmniej tylu ludzi, ilu teraz zwerbowałem. Dow musi szybko stanąć do walki, a jeśli tego nie zrobi albo przegra, wszystko może się błyskawicznie odwrócić. –

Reachey z zadowoleniem zaciągnął się dymem z fajki.

– A jeśli zmierzy się z Unią i zwycięży?

– No cóż... – Starzec zmrużył oczy i popatrzył na gwiazdy, wydmuchując ostatni obłok dymu. – Masz rację. Jeśli wygra, zostanie bohaterem wszystkich.

– Śmiem twierdzić, że nie moim. – Tym razem to Calder nachylił się bliżej i odezwał szeptem. – Tymczasem nie jesteśmy na plaży. A jeśli Dow spróbuje mnie zamordować albo zleci mi zadanie, którego nie będę w stanie wykonać, bądź wyśle na pewną śmierć na froncie? Czy będę mógł liczyć na wsparcie przyjaciół?

– Mimo wszystko jesteś mężem mojej córki. Uzgodniliśmy to z twoim ojcem, gdy ty i Seff byliście jeszcze dziećmi. Przyjąłem cię z dumą, gdy miałeś u stóp cały świat. Jakim byłbym człowiekiem, gdybym odwrócił się od ciebie teraz, kiedy ugiąłeś się pod jego ciężarem? Nie. Jesteśmy rodziną. – Ponownie odsłonił dziurę po brakującym zębie i położył ciężką dłoń na ramieniu Caldera. – Pozostaję wierny dawnym metodom.

– Masz zasady, tak?

– Zgadza się.

– Więc dobyłbyś ostrza w mojej obronie?

– Zaraza, nie. – Reachey jeszcze raz uścisnął ramię Caldera, po czym zabrał dłoń. – Po prostu nie dobędę go przeciwko tobie. Jeśli będę musiał spłonąć, to spłonę, ale sam nie rzucę się w ogień. – Calder właśnie tego się spodziewał, ale i tak był rozczarowany. Niezależnie od tego, ile ciosów otrzymujesz od życia, każdy nowy boli równie mocno. – Dokąd się teraz udasz, chłopcze?

– Myślę, że spotkam się z Szalką i pomogę mu pokierować resztkami ludzi mojego ojca.

– Dobry pomysł. Twój brat jest silny i odważny jak byk, ale obawiam się, że dorównuje temu zwierzęciu także inteligencją.

– Możliwe.

– Dow przesłał wiadomość, że zbiera armię. Jutro rano wszyscy pomaszerujemy do Osrungu. Ruszamy ku Bohaterom.

– Więc pewnie tam znajdę Szalkę.

– Niewątpliwie będzie to wzruszające spotkanie. – Reachey machnął w jego stronę pokrzywioną łapą. – Uważaj na siebie, Calder.

– Będę – mruknął książkę pod nosem.

– Jeszcze jedno.

Każdy zawsze ma coś do dodania i nigdy nie jest to nic miłego.

– Tak?

– Jeśli dasz się zabić, twoja sprawa. Ale moja córka z własnej woli została zakładniczką, żeby być z tobą. Nie zrób niczego, co naraziłoby ją albo dziecko. Nie pozwolę na to. Powiedziałem o tym Czarnemu Dowowi, a teraz mówię tobie. Nie pozwolę na to.

– Myślisz, że ja pozwolę? – odburknął Calder z pasją, która go zaskoczyła. – Nie jestem aż takim draniem, za jakiego mnie uważają.

– Wiem, że nie jesteś. – Reachey zmierzył go wzrokiem spod krzaczastych brwi. – Nie aż takim.

Calder odszedł od ogniska, dźwigając na ramionach brzemię kłopotów ciężkie jak podwójna kolczuga. Kiedy ojciec twojej żony może najwyżej obiecać, że nie pomoże cię zabić, wtedy wiesz, że wpadłeś w gówno po same uszy.

Skądś dobiegała muzyka, fałszywie wyśpiewywane stare

pieśni o dawno umarłych bohaterach i ludziach, których zabili. A także bełkotliwe śmiechy żołnierzy, którzy siedzieli wokół ognisk i upijali się bez okazji. W ciemności rozległ się brzęk młota i Calder dostrzegł zarys kowala, nieruchomego na tle iskier w kuźni. Będą pracować całą noc, żeby uzbroić nowych rekrutów Reacheya. Ostrza, topory, groty strzał. Przemysł zniszczenia. Skrzywił się, słysząc zgrzyt osełki. Ten dźwięk zawsze go niepokoił. Nigdy nie rozumiał, co ludzie widzą w broni. Zapewne obóz werbunkowy nie jest dla niego najlepszym miejscem. Przystanął i zapatrzył się w mrok. Gdzieś tutaj przywiązał konia...

Błoto zachlupotało pod butem i Calder się obejrzał.

W ciemności zamajaczyły sylwetki dwóch niechlujnych mężczyzn, mignęła nieogolona twarz. Od razu się domyślił i puścił biegiem.

– Psiakrew!

– Łap go!

Popędził na oślep, nie myśląc o niczym, co sprawiło mu dziwną ulgę, ale tylko na chwilę, bo gdy minęło pierwsze upojenie, zrozumiał, że chcą go zabić.

– Pomocy! – wrzasnął w ciemność. – Pomóżcie mi!

Trzej mężczyźni przy ognisku obejrżeli się, trochę zaciekawieni, a trochę rozdrażnieni, że ktoś im przeszkadza. Żaden nie sięgnął po broń. Mieli wszystko w dupie, jak większość ludzi. Nie wiedzieli, kim jest, a nawet gdyby go rozpoznali, to Calder i tak był powszechnie znienawidzony. Zresztą, nawet gdyby był uwielbiany, to wiedział, że ludzi przeważnie gównem obchodzi los innych.

Zostawił ich w tyle, czując coraz silniejsze pieczenie w płucach, ześlizgnął się ze zbocza i wspinał na kolejne, przedarł

się przez zarośla, walcząc z przytrzymującymi go gałązkami, nie dbając o stan swoich styriańskich butów, gdy strach chwycił go za gardło. Zobaczył bladą, zaskoczoną twarz wylaniającą się z ciemności.

– Ratunku! – zaskrzeczał. – Pomocy!

Ktoś przykucnął i robił kupę.

– Co?

Calder minął nieznanego, pędząc po błocie, zostawiając za sobą obozowe ogniska. Zerknął przez ramię i dostrzegł tylko podskakujący czarny zarys terenu. Jednak wciąż ich słyszał, i to bardzo blisko. Zbyt blisko. Zauważył błysk wody na dole zbocza, po czym zaczepił o coś noskiem swego pięknego styriańskiego buta i wyleciał w powietrze.

Wylądował na twarzy, zwinął się w kłębek i potoczył, słysząc własne rozpaczliwe jęki, gdy zderzał się z ziemią. W końcu się zatrzymał, choć wydawało mu się, że wciąż się toczy. Z trudem wstał, a wtedy złapały go czyjeś ręce.

– Puśćcie mnie, dranie! – To była tylko jego peleryna, ciężka od błota. Zrobił pół kroku, po czym zauważył, że wspina się na zbocze, po którym schodzą zabójcy. Usiłował zawrócić, ale przewrócił się w strumieniu, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Czuł, że chwyta go zimny nurt.

– Nieźle biega, co? – Donośny głos zagłuszył krew huczącą w głowie Caldera. Na końcu rozległ się nieprzyjemny chichot. Dlaczego oni zawsze muszą się śmiać?

– O tak. Chodź no tutaj. – Zgrzyt dobywanego ostrza.

Calder przypomniał sobie, że też ma broń, i poszukał jej odrętwiałą ręką, próbując wstać z lodowatej wody. Udało mu się tylko dźwignąć na kolana. Najbliższy zabójca podszedł do niego, po czym przewrócił się na bok.

– Co ty wyprawiasz? – spytał drugi napastnik.

Calder zastanawiał się, czy to on wyciągnął ostrze i przebił przeciwnika, ale zdał sobie sprawę, że jego broń wciąż jest zaplątana w pelerynę. Nie mógłby jej wydobyć, nawet gdyby miał dość siły, by poruszyć ręką, a w tej chwili nie był do tego zdolny.

– Co? – Miał wrażenie, że jego język powiększył się dwukrotnie.

Nagle w powietrzu mignął jakiś kształt. Calder pisnął, podrywając ręce, by zasłonić twarz. Poczował podmuch jakiegoś przelatującego przedmiotu, który uderzył drugiego zabójcę i przewrócił go na plecy. Pierwszy zabójca próbował wczołgać się na zbocze, stękając chrapliwie. Jakiś mężczyzna zszedł do niego, zarzucił łuk na plecy, wyciągnął miecz i nie zwalniając kroku, wbił go w plecy rannego. Potem zbliżył się do Caldera i przystanął – czarny kształt na tle ciemności. Calder patrzył na niego przez rozczapierzone palce, którymi zasłaniał twarz. Czuł, jak zimna woda bulgocze mu wokół kolan. Myślał o Seff. Czekał na śmierć.

– Przecież to księżę Calder. Nie oczekiwałem, że spotkamy się w takich okolicznościach.

Calder powoli oderwał drżące dłonie od twarzy. Znał ten głos.

– Foss Głęboki?

– Tak.

Fala ulgi zalała Caldera, aż miał ochotę się roześmiać. Albo zwymiotować.

– Przysłał cię mój brat?

– Nie.

– Szalka jest teraz zajęty... zajęty... zajęty – mruczał Płytki, raz

za razem przebijając drugiego zabójcę, z chlupotem wsuwając i wysuwając ostrze.

– Bardzo zajęty. – Głębokci obserwował swojego brata, tak jak patrzy się na człowieka kopiącego rów. – Walka i tak dalej. Wojna. Odwieczna zabawa w siekanie i maszerowanie. Szalka uwielbia wojnę, nigdy nie ma jej dosyć. Jeśli jeszcze nie umarł, to już tego nie zrobi.

– Racja. – Płytki jeszcze raz przebił swojego przeciwnika, po czym zakołysał się na piętach. Jego ostrze, dłoń i przedramię pokrywała lepka krew lśniąca w blasku księżyca.

Calder zmusił się, żeby odwrócić wzrok, próbując nie myśleć o wzbierających wymiotach.

– Skąd się tutaj wzięliście, do diabła?

Głębokci podał mu rękę, a Calder ją przyjął.

– Słyszeliśmy, że wróciłeś z wygnania, a wiedząc, jaki jesteś popularny, pomyśleliśmy, że przyjedziemy i będziemy mieli na ciebie oko. Na wypadek, gdyby ktoś miał wobec ciebie niecne zamiary. No i proszę...

Calder jeszcze przez chwilę przytrzymał się przedramienia Głębokiego, czekając, aż ciemny świat przestanie wirować.

– Dobrze, że się pojawiliście. Jeszcze chwila i musiałbym sam zabić tych drani. – Wstał, poczuł krew uderzającą mu do głowy, zgiął się wpół i zwymiotował prosto na swoje styriańskie buty.

– Rzeczywiście robiło się nieciekawie – przyznał Głębokci.

– Gdybyś tylko zdołał wyplątać ostrze z tej eleganckiej pelerynki, na pewno byś ich posiekał. – Płytki schodził ze zbocza, coś za sobą ciągnąc. – Złapaliśmy jednego. Pilnował koni. – Pchnął jeńca na ziemię. W półmroku Calder zobaczył młodego chłopaka o bladej twarzy upstrzonej błotem.

– Dobra robota. – Calder wytarł wykrzywione usta o rękaw. – Ojciec zawsze powtarzał, że nie znał lepszych ludzi od was dwóch.

– Dziwne. – Płytki obnażył zęby w uśmiechu. – Nam zawsze mówił, że jesteśmy najgorsi.

– Tak czy inaczej, nie wiem, jak mam wam dziękować.

– Złotem – odparł Płytki.

– Tak – zgodził się Głęboki. – Złoto zawsze się sprawdza.

– A więc je dostaniecie.

– Wiem. Właśnie dlatego cię kochamy, Calderze.

– No i jeszcze za twoje ujmujące poczucie humoru – dodał Płytki.

– Oraz piękną twarz, wykwintny strój i kpiący uśmiech, który sprawia, że ma się ochotę zdzielić cię pięścią.

– A także ze względu na bezgraniczny szacunek, którym darzyliśmy twojego ojca. – Płytki lekko się uklonił. – Ale rzeczywiście, chodzi nam głównie o złotko.

– Gdzie pochowamy zabitych? – spytał Głęboki, trącając jednego z trupów czubkiem buta.

Teraz, gdy Calder się uspokoił, szum krwi w jego uszach ustał, a bolesne pulsowanie w ustach złagodniało, wreszcie zaczynał trzeźwo myśleć. Zastanawiał się, co może zyskać. Mógłby pokazać tych chłopców Reacheyowi, żeby go zirytować. Zamach na życie zięcia w jego własnym obozie stanowił nie lada zniewagę, zwłaszcza w oczach honorowego człowieka. Albo mógłby zawlec ich przed oblicze Czarnego Dowa, rzucić do jego stóp i zażądać sprawiedliwości. Jednakże obie te możliwości niosły ze sobą ryzyko, tym bardziej, że nie był pewien, kto za tym wszystkim stoi. Kiedy planujesz kolejne posunięcie, najpierw zastanów się, co się wydarzy, jeśli niczego nie zrobisz.

Lepiej puścić tych drani z nurtem, udać, że nic się nie stało, i dalej trzymać wrogów w niepewności.

– W rzece – odpowiedział.

– A co z tym? – Płytki wskazał nożem złapanego chłopaka.

Calder stanął nad nim z zaciśniętymi ustami.

– Kto cię posłał?

– Ja tylko pilnuję koni – wyszeptał chłopak.

– Daj spokój – rzekł Głęboki. – Nie chcemy cię pociąć.

– Mnie by to nie przeszkadzało – odparł Płytki.

– Nie?

– Ani trochę. – Chwycił chłopca za gardło i przystawił mu nóż do nosa.

– Nie! Nie! – zapiszczał jeniec. – Powiedzieli, że to Dziesięć Sposobów! Brodd Dziesięć Sposobów! – Płytki upuścił go w błoto, a Calder westchnął.

– Ten stary łuszczący się kutas. – Jakież to przewidywalne. Może Dow go o to poprosił, a może Dziesięć Sposobów wykazał własną inicjatywę. Tak czy inaczej, ten chłopak wie zbyt mało, by im pomóc.

Płytki obrócił nóż, którego ostrze rozbłysło w świetle księżyca.

– I co robimy z młodym paniczem Ja-tylko-pilnuję-koników?

Intuicja podpowiadała Calderowi, by zabić chłopaka i mieć problem z głową. Tak będzie szybciej, prościej, bezpieczniej. Jednak ostatnio zawsze starał się myśleć o miłosierdziu. Dawno temu, gdy był młodym idiotą, a może po prostu młodszym idiotą, bez mrugnięcia okiem skazał pewnego człowieka na śmierć. Myślał, że dzięki temu wykaże się siłą. Myślał, że ojciec będzie z niego dumny. Przeliczył się. „Zanim pošlesz człowieka do

ziemi” – rzekł ojciec zawiedzionym głosem – „upewnij się, że na nic ci się nie przyda żywy. Niektórzy ludzie niszczą tylko dlatego, że mogą. Są zbyt głupi, by zrozumieć, że nie ma lepszego sposobu na okazanie siły niż miłosierdzie”.

Chłopak przełknął ślinę i podniósł wzrok. W jego dużych oczach pozbawionych nadziei lśniło kilka łez. Calder najbardziej ze wszystkiego pragnął być silny, dlatego pomyślał o miłosierdziu. Długo o nim myślał. Potem przycisnął język do rozbitej wargi. Zabolalo jak diabli.

– Zabij go.

Gdy się odwrócił, usłyszał zaskoczony jęk, który szybko się urwał. Śmierć zawsze przychodzi niespodziewanie, nawet gdy powinniśmy jej oczekiwać. Ludzie zawsze myślą, że są wyjątkowi, i oczekują wybawienia. Ale nikt nie jest wyjątkowy. Usłyszał plusk, gdy Płytki zepchnął ciało chłopca do wody. Już po wszystkim. Wgramolił się z powrotem na zbocze, przeklinając przemoczoną, przyklepiającą się do ciała pelerynę, ubłocone buty i rozbite usta. Zastanawiał się, czy on też będzie zaskoczony, gdy przyjdzie na niego czas. Pewnie tak.

Tak wypada uczynić

– Czy to prawda? – spytał Drofd.

– Co?

– Czy to prawda? – Chłopak skinął głową w stronę Palca Skarlinga, który wznosił się dumnie na swoim wzgórzu. Zbliżało się południe, więc skała rzucała krótki cień. – Czy tam leży pochowany Skarling Bez Kaptura?

– Wątpię – odparł Gnat. – Niby dlaczego miałby tam leżeć?

– Czy nie dlatego nazywają ten kamień Palcem Skarlinga?

– A jak mają go nazywać? – spytała Cudna. – Fiutem Skarlinga?

Brack uniósł gęste brwi.

– Skoro już o tym mowa, to rzeczywiście trochę przypomina... Drofd mu przerwał.

– Ciekawi mnie, skąd taka nazwa, skoro on nie jest tam pochowany?

Cudna popatrzyła na niego, jakby był największym idiotą na Północy. Niewykluczone, że miała rację.

– Niedaleko gospodarstwa mojego męża... mojego gospodarstwa... płynie strumyk, który nazywają Potokiem Skarlinga. Na Północy jest pewnie z pięćdziesiąt innych strumieni noszących tę nazwę. Prawdopodobnie legenda głosi, że Skarling zaspokoił pragnienie ich czystą wodą przed jakąś opiewaną w pieśniach przemową, szarżą bądź obroną. Podejrzewam, że najwyżej do nich naszczał, jeśli w ogóle

zblądził w tamte okolice. Tak to jest być bohaterem. Każdy chce dostać kawałek ciebie. – Wskazała głową Whirruna, który klęczał przed Ojcem Mieczy ze złożonymi rękami i zamkniętymi oczami. – Za pięćdziesiąt lat pojawi się tuzin Potoków Whirruna w pobliżu gospodarstw, których nigdy nie odwiedził, a tępaki będą je sobie pokazywać z maślanymi oczami i pytać: „Czy to prawda, że Whirrun z Bligh leży pochowany pod tym strumieniem?”. – Oddaliła się, kręcąc krótko ostrzyżoną głową.

Drofd się przygarbił.

– Tylko spytałem, do licha. Myślałem, że nazywają je Bohaterami, bo pochowano pod nimi bohaterów.

– Kogo obchodzi, kto pod nimi leży? – mruknął Gnat, myśląc o wszystkich ludziach, których przy nim pochowano. – Kiedy człowiek trafi do ziemi, zostaje po nim błoto. Błoto i opowieści, które często nie mają wiele wspólnego z jego życiem.

Brack pokiwał głową.

– A z każdym powtórzeniem coraz bardziej i bardziej rozmijają się z prawdą.

– Jak to?

– Weźmy na przykład Bethoda – rzekł Gnat. – Na podstawie opowieści można pomyśleć, że był największym skurwielem, jaki postawił stopę na Północy.

– A nie był?

– Zależy, kogo się spyta. Wrogowie rzeczywiście za nim nie przepadali, a nie da się ukryć, że miał ich mnóstwo. Ale popatrz, jak wiele dokonał. Więcej niż Skarling Bez Kaptura. Zjednoczył Północ. Zbudował drogi, po których maszerujemy, oraz połowę miast. Położył kres wojnom klanowym.

– Rozpętując wojny z Południowcami.

– Owszem, to prawda. Każdy kij ma dwa końce, ale właśnie

o to mi chodzi. Proste opowieści są w cenie. – Gnat zmarszczył brwi i popatrzył na różowe ślady na krawędziach swoich paznokci. – Ale ludzie nie są prości.

Brack klepnął Drodę w plecy, niemal go przewracając.

– Nie licząc ciebie, prawda, chłopcze?

– Gnat! – Głos Cudnej miał w sobie coś, co sprawiło, że wszyscy się obejrzeli. Gnat zerwał się na równe nogi, przynajmniej na ile obecnie był w stanie, po czym podbiegł do kobiety, krzywiąc się, gdy jego kolano chrupnęło jak pękające gałązki i posłało falę bólu aż do pleców.

– Co się dzieje? – Zmrużył oczy i popatrzył na Stary Most, na pola, pastwiska i zarośla, na rzekę i wzgórza w oddali, starając się osłonić łzawiące oczy przed wiatrem i wyraźniej zobaczyć rozmazaną dolinę.

– Tam w dole, obok brodu.

Zobaczył ich i poczuł ucisk w żołądku. Małe kropki, które z pewnością były ludźmi. Pokonali płyciznę, ostrożnie przeszli po kamkach i zaczęli się wspinać na brzeg. Na północny brzeg, po stronie Gnata.

– Zaraza – syknął. Zbyt nieliczni jak na oddział Unii, ale idą z południa, więc pewnie chłopcy Wilczarza. Co oznacza, że zapewne...

– Czerstwy wrócił. – Szept Dreszcza był ostatnim dźwiękiem, jaki Gnat chciał usłyszeć za plecami. – I znalazł sobie nowych przyjaciół.

– Do bronii! – zawołała Cudna.

– Co? – Agrick wstał z garnkiem w dłoni.

– Do bronii, idioto!

– Zaraza! – Agrick i jego brat zaczęli biegać w kółko, pokrzykując na siebie nawzajem, otwierając torby i wysypując

ekwipunek na zdeptaną trawę.

– Ilu naliczyłeś? – Gnat poklepał się po kieszeni, ale nie znalazł lunety. – Gdzie, do diabła...

Brack właśnie przykładał ją do oka.

– Dwudziestu dwóch – mruknął.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien.

Cudna potarła długą bliznę, która przecinała jej głowę.

– Dwudziestu dwóch. Dwudziestu dwóch. Dwudziestu... dwóch.

Im więcej razy to powtarzała, tym gorzej to brzmiało. Wyjątkowo gówniana liczba. Wystarczająco wielu, by walka stanowiła ogromne ryzyko, ale nie aż tak wielu, by przy korzystnym ukształtowaniu terenu i sprzyjających runach wykluczyć zwycięstwo. No i na tyle niewielu, że musieliby tłumaczyć się Czarnemu Dowowi z ucieczki, a to groźniejsze niż walka z przeważającymi siłami.

– Zaraza. – Gnat zerknął na Dreszcza i zobaczył, że ten spogląda na niego zdrowym okiem. Wiedział, że olbrzym doszedł do podobnych wniosków, ale nie dba o to, jak wiele krwi przeleją i ilu spośród dwunastki Gnata trafi do ziemi w obronie wzgórza. Tymczasem Gnat się tym przejmował. Może nawet za bardzo. Czerstwy i jego chłopcy wyszli z rzeki. Ostatni z nich zniknął wśród brązowiejących jabłoni rosnących pomiędzy brodem a podnóżem wzgórza, i skierował się ku Dzieciom.

Yon pojawił się między dwoma Bohaterami, dźwigając stertę patyków i sapiąc po męczącej wspinacze.

– Trochę to trwało, ale znalazłem... Co się stało?

– Do broni! – wrzasnął do niego Brack.

– Czerstwy wrócił! – dodał Athroc.

– Zaraza! – Yon upuścił patyki i niemal się o nie potknął, biegnąc po swój sprzęt.

Gnat stanął przed paskudnym dylematem i nie wiedział, co zrobić. Ale właśnie na tym polega bycie wodzem. Gdyby chciał dokonywać tylko łatwych wyborów, mógł zostać stolarzem, który czasem musi odrzucić krzywą deskę, ale rzadko ryzykuje życie przyjaciół.

Trzymał się myśli, że zawsze istnieje właściwy sposób postępowania, mimo że był to coraz mniej popularny pogląd. Wybierasz sobie wodza, wybierasz stronę, po której staniesz, wybierasz drużynę, a potem pozostajesz im wierny, niezależnie od tego, w którym kierunku wieje wiatr. Stał przy boku Trójdrzewca, dopóki ten nie przegrał z Krwawym-dziewięć. Stał przy Bethodzie do samego końca. A teraz stoi przy Czarnym Dowie, który polecił mu utrzymać wzgórze, niezależnie od okoliczności. Są wojownikami, więc kiedy przychodzi na to czas, muszą rzucić runy i walczyć. Tak wypada uczynić.

– Tak wypada – syknął.

A może gdzieś głęboko, pod wszystkimi zmartwieniami, narzekaniem i bełkotem o zachodach słońca, wciąż tkwiła w nim resztką człowieka, którym był przed laty. Skurwiela o oczach jak sztylety, który wolałby wykrwawić całą Północ niż cofnąć się o krok. Tego, który stawał każdemu kością w gardle.

– Do broni! – ryknął. – Pełen rynsztunek bojowy! – Nie musiał tego mówić, ale dobry wódz zawsze dużo krzyczy.

Yon szukał swojej kolczugi w torbach wiszących przy bokach jucznego konia, przy okazji z grzechotem wywlekając potężną kolczugę Bracka. Scorry wyciągał swoją włócznię z bagażu po drugiej stronie, nucąc coś pod nosem. Cudna chwyciła łuk, który

zagrał charakterystyczną nutę, gdy na próbę naciągnęła cięciwę. Przez cały ten czas Whirrun klęczał nieruchomo z zamkniętymi oczami i złożonymi rękami przed Ojcem Mieczy.

– Wodzu. – Scorry rzucił Gnatowi jego ostrze owinięte poplamionym pasem.

– Dzięki! – odkrzyknął Gnat, chociaż wcale nie czuł wdzięczności, gdy chwycił broń w locie. Zaczął ją przypinać, a przed oczami stanęły mu wspomnienia pięknych, bardziej dzikich czasów. Wspomnienia ludzi, którzy dawno temu wrócili do ziemi. Na spokój zmarłych, ależ się zestarzał.

Drofd przez chwilę się rozglądał, otwierając i zaciskając dłonie. Cudna, przechodząc, klepnęła go w bok głowy, a wtedy się ocknął i zaczął drżącymi palcami poluzowywać strzały w kołczanie.

– Wodzu. – Cudna podała Gnatowi jego tarczę, a on wsunął ją na rękę. Pasek dopasował się do zaciśniętej pięści jak stopa do starego buta.

– Dzięki. – Gnat zerknął na Dreszcza, który stał z założonymi rękami i patrzył na przygotowania dwunastki. – A ty, chłopcze? Pójdiesz w pierwszym szeregu?

Dreszcz obejrzał się, a na tej części jego twarzy, której nie zniekształcała blizna, pojawił się niewielki uśmiech.

– W pierwszym szeregu na środku – zaskrzeczał, po czym odszedł w kierunku popiołów ogniska.

– Moglibyśmy go zabić – szepnęła Cudna do ucha Gnata. – Nieważne, jaki z niego twardziel, strzała w szyję i po sprawie.

– On tylko przekazuje wiadomość.

– Zabicie posłańca to nie zawsze zły pomysł. – Żartowała, ale tylko częściowo. – Dzięki temu nie dostarczy odpowiedzi.

– Niezależnie od jego obecności czeka nas to samo zadanie.

Utrzymać Bohaterów. Mamy być wojownikami. Niewielka potyczka nie powinna sprawiać, że sramy w spodnie. – Niemal się zakrztusił, wypowiadając te słowa, gdyż sam srał w spodnie od rana do wieczora, zwłaszcza na polu bitwy.

– Niewielka potyczka? – mruknęła, poluzowując ostrze w pochwie. – Mają prawie trzykrotną przewagę liczebną. Aż tak potrzebujemy tego wzgórze?

– Niewiele ponad dwukrotną. – Sprostował, zupełnie jakby to stawiało ich w korzystnej sytuacji. – Jeśli nadciągnie Unia, wzgórze będzie stanowiło klucz do całej doliny. – Starał się przekonać nie tylko ją, ale i samego siebie. – Lepiej powalczyć o nie teraz, gdy na nim stoimy, niż oddać je wrogom i później je szturmować. Poza tym tak wypada. – Otworzyła usta, jakby chciała się sprzeciwić. – Tak wypada! – burknął Gnat i uniósł dłoń, nie dając jej dojść do głosu.

Wzięła głęboki oddech.

– W porządku. – Uścisnęła jego dłoń, niemal sprawiając mu ból. – Walczymy. – Po czym odeszła, naciągając zębami na rękę łuczniczy ochraniacz. – Bierzcie broń, dranie! Walczymy!

Athroc i Agrick byli gotowi. Włożyli hełmy i zderzali się tarczami, postępując na siebie nawzajem, nakręcając się przed walką. Scorry trzymał włócznię tuż pod ostrzem i kroił Drżący Korzeń na kawałki, które wkładał sobie do ust. Whirrun wreszcie wstał i, nie otwierając oczu, zwrócił uśmiechniętą twarz w stronę błękitnego nieba, wystawiając ją na promienie słońca. Jego przygotowania ograniczyły się do zdjęcia płaszcza.

– Nie ma zbroi. – Yon pokręcił głową, pomagając Brackowi włożyć kolczugę. – Co to za bohater, który nie nosi przeklętej zbroi?

– Zbroja... – rzekł Whirrun z rozbawieniem, po czym polizał

palec i starł drobinę kurzu z głowicy miecza – ...to przejaw stanu umysłu... w ramach którego dopuszczasz możliwość... że zostaniesz trafiony.

– Co, do kurwy nędzy? – Yon mocno szarpnął za paski, aż Brack stęknął. – Co to w ogóle znaczy?

Cudna położyła dłoń na ramieniu Whirruna, po czym oparła się o niego, stawiając jedną stopę na nosku jego buta.

– Tyle lat, a ty wciąż oczekujesz logiki od tego osobnika? Przecież to szaleniec.

– Kurwa, wszyscy jesteśmy szaleni, kobieto! – Brack poczerwieniał na twarzy od wstrzymywania oddechu, podczas gdy Yon próbował zapiąć sprzączki na jego plecach. – W przeciwnym razie nie walczylibyśmy o jakieś wzgórze i kilka starych kamieni.

– Wojna i szaleństwo mają ze sobą wiele wspólnego – bez większego sensu odezwał się Scorry z ustami pełnymi korzennej papki.

Yon wreszcie zapiął ostatnią klamrę i oddał broń Brackowi, by ten pomógł mu włożyć kolczugę.

– Bycie szalonym nie przeszkadza w noszeniu zbroi, prawda?

Gdy drużyna Czerstwego przeszła przez sad, oddzieliły się od niej dwie trójki wojowników. Jedna ruszyła na zachód wzdłuż podstawy wzgórza, a druga na północ. Starali się zająć ich z obu stron. Drofd z szeroko otwartymi oczami obserwował zbliżających się wrogów oraz przygotowania swoich towarzyszy.

– Jak oni mogą teraz żartować? Do diabła, jak mogą żartować?

– Każdy człowiek na swój własny sposób przywołuje odwagę.

– Gnat nie przyznał, że jego sposób polegał na udzielaniu rad.

Nie ma lepszego sposobu na pokonanie przerażenia niż stanąć obok kogoś, kto jest jeszcze bardziej wystraszony. Chwycił Drofda za rękę i mocno ją ścisnął. – Oddychaj głęboko, chłopcze.

Drofd gwałtownie wciągnął powietrze, po czym z trudem wypuścił je z płuc.

– Masz rację, wodzu. Oddychać.

Gnat odwrócił się w stronę pozostałych członków drużyny.

– No dobrze! Dwie trzyosobowe grupki starają się nas zająć z obu stron, a niecała dwudziestka nadchodzi z przodu. – Szybko podał liczby, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na skalę przewagi. Może sam także nie chciał o tym myśleć. – Athroc, Agrick, Cudna i Drofd, staniecie do potyczki z główną grupą. Ostrzelajcie ich, kiedy będą się wspinali, i rozproście po zboczu. Kiedy zbliżą się do głazów... rozpoczniemy szarżę. – Zobaczył, że Drofd przełknął ślinę, niezbyt zachwycony perspektywą szarży. Gnat też wolałby spędzić to popołudnie w inny sposób. – Jest ich za mało, żeby nas otoczyli, a my znajdujemy się wyżej, więc możemy wybrać chwilę ataku i mocno w nich uderzyć. Przy odrobinie szczęścia rozbijemy ich, zanim się otrząsną, a jeśli pozostała szóstka wciąż będzie miała zapał do walki, to też ich zmieciemy.

– Mocno uderzyć! – warknął Yon, ściskając ręce kolejnym towarzyszom.

– Poczekajcie na mój znak i ruszajcie razem.

– Razem. – Cudna z impetem podała Scorry'emu prawą dłoń, a lewą pięścią uderzyła go w ramię.

– Ja, Dreszcz, Brack i Yon będziemy z przodu i na środku.

– Tak jest, wodzu – odpowiedział Brack, wciąż zmagając się z kolczugą Yona.

– Tak, kurwa, jest! – Yon na próbę machnął toporem i wyrwał

klamerki z dłoni Bracka.

Dreszcz uśmiechnął się szeroko i wystawił język, co nie wyglądało zbyt pocieszająco.

– Athroc i Agrick zostaną na skrzydłach.

– Tak jest – odpowiedzieli jednogłośnie.

– Scorry, jeśli ktoś spróbuje zbyt szybko okrążyć wzgórze, daj mu kiksa. Później wycofaj się na tyły.

Scorry tylko zanucił coś pod nosem, ale usłyszał.

– Whirrunie. Ty będziesz w samym środku, jak orzech w łupinie.

– Nie. – Whirrun wziął Ojca Mieczy, który stał pod głazem, i uniósł go wysoko, aż głowica zaślniła w słońcu. – On będzie. Czyli ja będę... chyba... czymś w rodzaju... tej kruchej warstwy pomiędzy orzechem a łupiną.

– Rzeczywiście jesteś kruchy, ale na umyśle – mruknęła Cudna.

– Możesz być dowolną częścią orzecha – odparł Gnat. – Bylebyś znalazł się na miejscu, gdy pęknie skorupka.

– Nigdzie się nie wybieram, dopóki nie pokażesz mi mojego przeznaczenia. – Whirrun zdjął kaptur i przeczesał dłonią przygniecione włosy. – Tak jak mi obiecała Szogliga.

Gnat westchnął.

– Nie mogę się doczekać. Jakies pytania? – Cisza, nie licząc wiatru szumiącego w trawie, klaskania podawanych dłoni oraz stękania i dzwonienia, gdy Brack wreszcie dopiął zbroję Yona. – W porządku. Na wypadek, gdybym nie miał okazji tego powtórzyć, jestem zaszczycony, że mogę walczyć u waszego boku. A przynajmniej włóczyć się po całej Północy w słońcu i deszczu. Tylko pamiętajcie, co mi kiedyś powiedział Rudd Trójdrzewiec. Postarajmy się ich pozabijać, a nie odwrotnie.

Cudna się wyszczerzyła.

– Najlepsza wojenna rada, jaką słyszałam.

Zbliżała się reszta chłopców Czerstwego. Największa grupa. Szli powoli, nieśpiesznie przemierzając długie zbocze prowadzące w stronę Dzieci. Już nie przypominali kropek. Byli czymś znacznie większym. Zdeterminowanymi mężczyznami z bronią połyskującą w słońcu. Gnat podskoczył, gdy na jego ramię spadła ciężka dłoń, ale to był tylko Yon.

– Można na słówko, wodzu?

– Co się stało? – spytał Gnat, chociaż się domyślał.

– To co zawsze. Jeśli zginę...

Gnat pokiwał głową, chcąc szybko się z tym uporać.

– Odnajdę twoich synów i przekażę im twoją działkę.

– I co jeszcze?

– Opowiem im, kim byłeś.

– Powiedz im wszystko.

– Powiem wszystko.

– Dobrze. Tylko niczego nie upiększaj, stary draniu.

Gnat machnął ręką.

– Kiedy ostatnio widziałeś, żebym cokolwiek upiększał?

Yon lekko się uśmiechnął, gdy złączyli dłonie.

– Już dawno nie, wodzu. – Gnat zastanawiał się, kogo należałoby powiadomić, gdyby to on trafił do ziemi. Cała jego rodzina była tutaj.

– Czas na rozmowę – odezwała się Cudna.

Czerstwy zostawił swoich ludzi przy Dzieciach i ruszył w górę trawiastego zbocza z pustymi rękami i szerokim uśmiechem. Gnat dobył ostrza i poczuł jego przerażający, dodający otuchy ciężar. Wiedział, jak jest ostre, gdyż od

kilkunastu lat każdego dnia pracował nad nim osełką. Życie i śmierć zaklęte w kawałku metalu.

– Teraz czujesz się większy, prawda? – Dreszcz zakręcił toporem trzymany w jednej ręce. Była to groźna broń o grubym drewnianym stylisku wysadzonym ćwiekami i lśniącym szerokim karbowanym ostrzu. – Człowiek zawsze powinien być uzbrojony. Chociażby po to, by czuć się lepiej.

– Człowiek bez broni jest jak dom bez dachu – mruknął Yon.

– I jeden, i drugi wkrótce będzie przeciekał – dokończył za niego Brack.

Czerstwy zatrzymał się w zasięgu strzału z łuku pośród długiej trawy, która ocierała mu się o łydki.

– Hej, hej, Gnacie! Nadal tam jesteś?

– Niestety, tak.

– Dobrze sypiasz?

– Brakuje mi miękkiej poduszki. Może mi ją przyniosłeś?

– Żałuję, że nie mam zapasowej. Jest tam z tobą Caul Dreszcz?

– Zgadza się. Przyprowadził ze sobą dwa tuziny Carlów. – Warto spróbować, jednak Czerstwy tylko się wyszczerzył.

– Niezła próba, ale wiem, że nikogo nie przyprowadził. Dawno się nie widzieliśmy, Caul. Co słyhać?

Dreszcz nieznacznie wzruszył ramionami. Tylko tyle.

Czerstwy uniósł brwi.

– Więc to tak?

Kolejne wzruszenie ramionami. Nie przejąłby się nawet, gdyby niebo spadło mu na głowę.

– Jak sobie chcesz. No to co, Gnacie? Mogę dostać z powrotem swoje wzgórze?

Gnat zacisnął dłoń na rękojeści, czując pieczenie w palcach,

które poobgryzał do żywego ciała.

– Mam zamiar posiedzieć tutaj jeszcze kilka dni.

Czerstwy zmarszczył czoło. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Posłuchaj, Gnacie. Tamtego wieczoru dałeś mi szansę, więc teraz odwzajemniam przysługę. Należy postępować uczciwie i w zgodzie z zasadami. Ale, jak pewnie zauważyłeś, dziś przyprowadziłem ze sobą przyjaciół. – Wskazał kciukiem w stronę Dzieci. – Dlatego spytam jeszcze raz. Czy mogę dostać z powrotem swoje wzgórze?

Ostatnia szansa. Gnat westchnął przeciągle, po czym wykrzyczał odpowiedź:

– Obawiam się, że nie, Czerstwy! Obawiam się, że będziesz musiał tutaj przyjść i sam je sobie wziąć!

– Ilu was tam jest? Dziewięcioro? Przeciwko moim dwóm tuzinom?

– Wychodziliśmy już z gorszych tarapatów! – Chociaż nie pamiętał, by kiedyś świadomie się w nie wpakował.

– To macie, kurwa, szczęście, bo ja wam nie zazdroszczę! – Czerstwy przestał się wściekać i spróbował przemówić Gnatowi do rozsądku. – Posłuchaj, nie ma potrzeby, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli...

– Przecież mamy wojnę! – Gnat zdał sobie sprawę, że wykrzyczał ostatnie słowo ze znacznie większą zajadłością niż zamierzał.

Nawet z tej odległości zauważył, że Czerstwy przestał się uśmiechać.

– Masz rację. Po prostu chciałem dać ci szansę, tak jak ty mnie.

– To szlachetnie z twojej strony. Doceniam ten gest. Niestety, nie mogę się ruszyć.

– Wielka szkoda.

– Owszem. Ale tak musi być.

Czerstwy wciągnął powietrze, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Tylko stał nieruchomo. Podobnie jak Gnat i jego drużyna spoglądająca w dół. Podobnie jak drużyna Czerstwego spoglądająca w górę. Nad Bohaterami zapadła cisza, nie licząc westchnień wiatru, świergotu ptaków i bzyczenia kilku pszczoł krążących wokół kwiatów w ciepłym powietrzu. Chwila spokoju przed czekającą ich wojną.

Wreszcie Czerstwy zamknął usta, odwrócił się i zszedł po stromym zboczu w stronę Dzieci.

– Mogłabym go ustrzelić – szepnęła Cudna.

– Wiem, że byś mogła – odparł Gnat. – A ty wiesz, że ci nie wolno.

– Wiem. Tylko mówię.

– Może to przemyśli i zmieni zdanie. – Jednak w głosie Bracka nie pobrzmiwała nadzieja.

– Nie. Jemu także się to nie podoba, ale już raz się wycofał. Tym razem ma zbyt dużą przewagę, by to zrobić. – Gnat niemal wyszeptał ostatnie słowa. – To nie byłaby właściwa decyzja. – Czerstwy dotarł do Dzieci i zniknął między głazami. – Niech wszyscy bez łuków cofną się za Bohaterów i czekają na odpowiednią chwilę.

Cisza się przedłużała. Gnat poczuł dokuczliwy ból w kolanie, gdy przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Za sobą usłyszał podniesione głosy Yona i Bracka, którzy kłócili się bez powodu, formując szczątkową linię. Znowu cisza. Wojna w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach składa się z nudy, a w jednym procencie z paraliżującego przerażenia. Gnat miał nieodparte wrażenie, że za chwilę ten procent zwali mu się na

głowę.

Agrick wbił kilka strzał w ziemię; ich pierzyska powiewały na wietrze jak kłoski na długich źdźbłach trawy. Zakołysał się na piętach, pocierając szczękę.

– Możliwe, że zaczeka do zmierzchu.

– Nie. Skoro dostał posiłki, to znaczy, że Wilczarz potrzebuje tego wzgórze. Unia go potrzebuje. Nie będzie ryzykował, że do wieczora ktoś przyjdzie nam z pomocą.

– A zatem... – mruknął Drofd.

– Tak. Myślę, że zaraz ruszą.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w chwili, gdy Gnat wypowiedział słowo „ruszą”, ludzie Czerstwego zaczęli wychodzić z cienia Dzieci. Ustawili się w szeregu i ruszyli równym tempem. Utworzyli ścianę z tarcz o szerokości około tuzina ludzi. Wojownicy w drugim rzędzie wystawili włócznie o lśniących grotach, łucznicy szli po bokach pod osłoną tarcz.

– Atak w dawnym stylu – zauważyła Cudna, zakładając strzałę na cięciwę.

– Trudno spodziewać się czegoś innego po Czerstwym. To wcielenie dawnego stylu. – Trochę jak Gnat. Dwaj starzy głupcy, którzy przetrwali dłużej niż wypada, przygotowują się do wymiany ciosów. Przynajmniej postępują honorowo. Zrobią to zgodnie z krwawymi zasadami. Popatrzył w obie strony, wypatrując jakiegoś śladu dwóch grup, które oddzieliły się od oddziału. Nikogo nie zauważył. Może czołgają się w wysokiej trawie albo po prostu zwlekają.

Agrick przyciągnął cięciwę do czoła.

– Kiedy mam zacząć strzelać?

– Kiedy będziesz mógł kogoś trafić.

– Kogoś konkretnego?

Gnat przesunął językiem po przednich zębach.

– Każdego, kogo uda ci się zatrzymać. – Powiedz to wprost, powinienes mieć chociaż tyle odwagi. – Każdego, kogo uda ci się zabić.

– Postaram się spełnić oczekiwania.

– Wolałbym, żebyś mnie zaskoczył.

– Racja. – Agrick wypuścił próbną strzałę ponad głowami ludzi Czerstwego, zmuszając ich do uniku.

Pierwsza strzała Cudnej wbiła się z brzękiem w jedną z tarcz, a schowany za nią mężczyzna zatrzymał się, rozrywając mur, który i tak zaczynał się rozpadać mimo wrzasków Czerstwego. Na tym piekielnym wzniesieniu część wojowników szła szybciej od swoich mniej wytrzymałych kompanów.

Drofd również strzelił, ale dużo za wysoko i strzała spadła w pobliżu Dzieci.

– Zaraza! – zaklął, chwytając kolejną strzałę drżącą ręką.

– Spokojnie, Drofd, spokojnie. Oddychaj. – Niestety, Gnat również miał kłopoty ze spokojnym oddychaniem. Nigdy nie lubił strzał. Zwłaszcza, gdy spadały na niego z nieba. Nie wyglądały groźnie, ale na ich końcach mogła się czaić śmierć. Przypomniał sobie, jak kiedyś deszcz strzał posypał się na nich pod Inewardem, niczym stado wściekłych ptaków. Nie mieli dokąd uciec. Mogli tylko liczyć na łut szczęścia.

Jedna strzała właśnie poszybowała w niebo i Gnat schował się za najbliższym głazem, kucając za swoją tarczą. Niezbyt przyjemnie jest patrzeć, jak wirujący kawałek drewna spada, i zastanawiać się, czy wiatr w ostatniej chwili pochwyci go i skieruje prosto w nasze ciało. Strzała odbiła się od kamienia i poszybowała w bok. Niewiele dzieli śmierć od strzały tkwiącej w trawie.

Mężczyzna, który strzelił, przyklęknął na jedno kolano i zaczął grzebać w kołczanie, pozwalając, by szereg tarcz powoli oddalił się w górę zbocza. Strzała Athroca trafiła go w brzuch. Gnat zobaczył, że łucznik szeroko otworzył usta, wypuszczając z dłoni swoją strzałę, a po chwili rozległ się jego przeciągły jęk. Dzięki temu ich szanse nieco się poprawiły, ale Gnatowi nie spodobał się ten dźwięk. Martwiło go, że sam może podobnie krzyczeć jeszcze przed upływem godziny.

Ściana tarcz się załamała, gdy wojownicy obejrzelili się na wyjącego kompana, wahając się, czy mu pomóc, czy iść dalej, a może po prostu rozmyślając, czy oni będą następni. Czerstwy wykrzyknął kilka rozkazów i linia się wyrównała, ale następna strzała Cudnej przeleciała tuż nad głowami wrogów, ponownie ich rozpraszając. Ludzie Gnata znajdowali się wyżej, dzięki czemu mogli strzelać szybko i płasko. Czerstwy musiał posyłać strzały wysoko, gdzie wiatr mógł zmienić tor ich lotu. Jednakże nie było sensu niepotrzebnie ryzykować. Sami łucznicy nie wygrają tej potyczki.

Gnat pozwolił Drofdowi jeszcze raz strzelić, po czym złapał go za rękę.

– Wracaj do pozostałych.

Chłopak gwałtownie się odwrócił, jakby miał zamiar wrzasnąć na wodza. Może przepelniał go bitewny animusz. Nigdy nie wiadomo, kto go poczuje. Szaleńczy strach i szaleńcza odwaga to dwie strony tego samego liścia pokrzywy i lepiej nie chwytać za żaden z nich. Gnat wbił palce w ramię młodzieńca i przyciągnął go do siebie.

– Powiedziałem, wracaj do pozostałych!

Drofd przełknął ślinę. Uścisk Gnata przywrócił go do rzeczywistości.

– Tak jest, wodzu. – Zgięty w pół cofnął się między głązy.

– Wycofajcie się, jeśli będziecie musieli! – zawołał Gnat do Cudnej. – Nie ryzykujcie!

– Żebyś, kurwa, wiedział! – syknęła przez ramię, zakładając kolejną strzałę na cięciwę.

Gnat popęzł do tyłu, wypatrując strzał, aż znalazł się za głazami. Następnie popędził w poprzek trawiastego kręgu, ciesząc się jak wariat z kilku dodatkowych chwil bezpieczeństwa i czując się z tego powodu jak tchórz.

– Są na... ach!

Zaczeplił o coś stopą i skręcił kostkę, a ból przeszył całą jego nogę. Resztę drogi pokonał, utykając, po czym z zaciśniętymi zębami dołączył do środkowej części linii.

– Te królicze nory to przekleństwo – szepnął Dreszcz.

Zanim Gnat zebrał myśli, żeby odpowiedzieć, Cudna wbiegła pomiędzy dwóch Bohaterów, wymachując łukiem.

– Minęli mur! Dorwałam jeszcze jednego drania!

Agrick deptał jej po piętach, w biegu zdejmując tarczę z pleców. W ślad za nim poleciała strzała i wbiła się w ziemię tuż obok jego butów.

– Nadchodzą pozostali!

Gnat słyszał ich okrzyki dobiegające z dołu oraz słaby wrzask trafionego łucznika, dziwnie zniekształcone przez wiatr.

– Wracajcie! – ryknął Czerstwy zdyszczonym głosem.

Wyglądało na to, że wciąż nie mogli utrzymać równej linii podczas podbiegu. Niektórzy ochoczo szarżowali, inni się wahali, a cały oddział nie przywykł do wspólnej walki. To stawiało drużynę Gnata w uprzywilejowanej pozycji, gdyż większość jej członków znała się od wieków.

Gnat zerknął przez ramię, a Scorry do niego mrugnął, nie przestając żuć. Starzy przyjaciele, starzy bracia. Whirrun wyciągnął miecz z pochwy, kawał matowego szarego metalu, którego ostrze prawie w ogóle nie lśniło w słońcu. Runy słusznie zapowiedziały, że poleje się krew. Tylko nie wiadomo czyja. To niewypowiedziane pytanie krążyło między nimi, gdy spoglądali sobie w oczy.

Cudna uklękła na końcu krótkiej linii w cieniu tarczy Athroca i założyła strzałę na cięciwę. Dwunastka Gnata była gotowa.

Ktoś przekradł się obok jednego z głazów. Na jego tarczy kiedyś mógł widnieć jakiś malunek, lecz wojna i pogoda go zmasały. Przybysz trzymał w dłoni błyszczący miecz, a na głowie miał hełm, ale nie wyglądał na niczyjego wroga. Sprawiał wrażenie wykończonego długą wspinaczką; dyszał z szeroko otwartymi ustami.

Długo mierzyli się wzrokiem. Gnat czuł, że Yon napiął mięśnie, gotowy do ataku, słyszał, jak powietrze trzeszczy między zaciśniętymi zębami Dreszcza, słyszał warczący gardłowy oddech Bracka. Zdenerwowanie jednych udzielało się pozostałym.

– Spokojnie – syknął Gnat. – Spokojnie. – Wiedział, że w takiej chwili najtrudniej jest powstrzymać się od działania. Ludzie nie mają tego we krwi. Chcą atakować lub uciekać, byle tylko ruszyć się z miejsca, pobiec, krzyczeć. A jednak muszą zaczekać. Najważniejsze to wyczuć właściwy moment.

Kolejny z ludzi Czerstwego wspiął się na wzgórze na uginających się nogach, zerkając ponad krawędzią tarczy. Widniał na niej nieudolnie namalowany wizerunek ryby. Gnat zastanawiał się, czy mężczyzna nazywa się Ryba, i poczuł głupie rozbawienie, które jednak szybko minęło.

Wkrótce muszą się ruszyć. Wykorzystać ukształtowanie terenu. Zaskoczyć wrogów na wzniesieniu. Błyskawicznie rozbić ich formację. Do Gnata należało wyczucie odpowiedniej chwili, ale nie wiedział, jak ją rozpoznać. Czas się dłużył, wypełniał detalami. Oddech w bolącym gardle. Wiatr łaskoczący wierzch dłoni. Kołyszące się żdźbła trawy. Straszliwa suchość w ustach, tak że nie był pewien, czy zdoła dać sygnał, gdy uzna, że nadszedł czas.

Drofd zwolnił strzałę i dwaj mężczyźni przypadli do ziemi. Brzęk cięciwy poruszył coś w Gnacie, który, nie zastanawiając się dłużej, wydał z siebie potężny ryk. Mimo że nie wykrzyczał żadnego rozkazu, drużyna zrozumiała jego intencję i ruszyła jak stado psów, które zerwały się ze smyczy. Za późno na odwrót. A może to równie dobra chwila jak każda inna.

Stopy mocno uderzały o ziemię, wprawiając w drżenie zęby i obolałe kolano. Gnat zastanawiał się, czy wdepnie w kolejną króliczą norę i padnie jak długi. Zastanawiał się, gdzie jest sześciu wojowników, którzy próbowali zająć ich od tyłu. Zastanawiał się, czy powinien się wycofać. Co sobie myśli tych dwóch, a teraz już trzech idiotów, na których nacierają? Jakie kłamstwa powie synom Yona?

Pozostali dotrzymywali mu kroku, popychając go i ocierając się krawędziami tarcz o jego tarczę. Z jednej strony Wesoły Yon, a z drugiej Caul Dreszcz. Ci dwaj potrafili utrzymać linię. Gnat zrozumiał, że zapewne to on stanowi słabe ogniwo. Potem uznał, że za dużo myśli.

Chłopcy Czerstwego potykali się i chwiali z każdym krokiem, coraz liczniej pojawiając się pomiędzy głazami i usiłując szybko odzyskać siły. Yon wydał z siebie bojowy okrzyk, wysoki i przenikliwy, a po chwili dołączyli do niego Athroc i jego brat,

aż w końcu wszyscy wrzeszczeli i zawodzili, depcząc starą darnią między Bohaterami. Ziemię, na której dawno temu ludzie modlili się o lepszą przyszłość.

Gnat poczuł w piersi i krtani palące przerażenie pomieszane z radością. Ludzie Czerstwego chowali się za nierównym szeregiem tarcz poprzetykanych rozmazanymi, chwiejącymi się i połyskującymi ostrzami.

Oddział Curndena wpadł między głązy, zbliżając się do wrogów.

– Na boki! – ryknął Gnat.

On i Yon skoczyli w lewo, Dreszcz i Brack w prawo, a Whirrun wyłonił się z powstałej luki, diabelsko wyjąc. Gnat popatrzył na najbliższą twarz o szeroko otwartych ustach i oczach. Ludzie nie są po prostu odważni bądź tchórzliwi. Wszystko zależy od sytuacji. Od tego, kto obok nich stoi. Od tego, czy właśnie wbiegli na kurewsko wysokie wzgórze wśród spadających strzał. Chłopak skulił się, próbując jak najdokładniej schować się za tarczą, gdy Ojciec Mieczy zwałił się na niego jak góra. Góra o ostrzu jak brzytwa.

Rozległ się wrzask metalu rozrywającego drewno i ciało. W uszach Gnata rozbrzmiewał ryk krwi i wojowników. Wykręcił się, uchylił przed pchnięciem włócznią, zderzył z wrogiem, czując, jak ostrze odbija się od drewna i go obraca. Potem staranował kogoś tarczą przy wtórze chrzęstu miażdżonych kości, przewracając go na plecy i spychając ze zbocza.

Zobaczył Czerstwego z twarzą oplątaną długimi siwymi włosami. Wódz szybko uniósł miecz, ale Whirrun go ubiegł i zręcznym ruchem uderzył Czerstwego w twarz głowicą Ojca Mieczy, odrzucając do tyłu jego głowę i posyłając go na ziemię.

Gnat miał inne zmartwienia. Zderzył się z warczącym wojownikiem o rozwartych ustach przypominających jaskinię zionącą kwaśnym oddechem. Próbował uwolnić zaplątany miecz i znaleźć miejsce, by się zamachnąć. Pchnął wroga tarczą, korzystając z przewagi, jaką dawało mu opadające zbocze, i zyskał niezbędną przestrzeń.

Athroc huknął w czyjąś tarczę toporem, po czym sam musiał sparować cios. Gnat uderzył od góry, ale łokciem zaczepił o drzewce włóczni i trafił wroga płazem miecza. Zupełnie jakby przyjacielsko poklepał go po ramieniu.

Whirrun był w samym środku walki. Ojciec Mieczy kreślił rozmazane kręgi, rozpraszając wrzeszczących wojowników. Nagle ktoś stanął mu na drodze. Siostrzeniec Czerstwego.

– Och... – Chłopak rozpadł się na pół. Ręka wyleciała w powietrze, tułów się obrócił, nogi upadły. Długie ostrze zazgrzytało jak bryła lodu poruszająca się podczas odwilży, chlapiąc krwią.

Gnat westchnął, gdy czerwone krople obryzgały mu twarz, po czym uderzył w czyjąś tarczę, zaciskając zęby tak mocno, że niemal popękały. Wciąż wywarkiwał jakieś niezrozumiałe słowa, czując ostre drzazgi na twarzy. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i instynktownie podniósł tarczę, blokując cios. Krawędź tarczy trafiła go w szczękę i zatoczył się w bok z odrętwiałą ręką.

Zobaczył czarną broń na tle jasnego nieba i sparował uderzenie mieczem. Ostrza zderzyły się ze zgrzytem. Stęknął prosto w twarz komuś, kto wyglądał jak Jutlan, tylko że Jutlan wiele lat temu trafił do ziemi. Zatoczył się, tracąc równowagę na zboczu, kurczowo zaciskając palce. Czuł palący ból w kolanie i płucach. Widział błysk oka Dreszcza i bojowy uśmiech

wykrzywiający jego okaleczoną twarz. Topór Caula rozplątał głowę Jutlana, a ciemna miazga rozsmarowała się po tarczy Gnata. Odepchnął trupa na trawę. Obok niego Ojciec Miecz rozpruł czyjaś zbroję, posyłając w powietrze powyginane metalowe kółka kolczugi, które ukłuły Gnata w wierzch dłoni.

Szczęk i stuk, zgrzyt i grzechot, wrzask i syk, łomot, trzask, przekleństwa i ryki niczym odgłosy zwierząt w rzeźni. Czyżby Scurry śpiewał? Coś trafiło Gnata w policzek i oko, odrzuciło jego głowę do tyłu. Krew, ostrze, błoto, nie wiadomo. Odskoczył w bok, gdy czyjaś broń pomknęła w jego kierunku, i upadł na łokieć. Włócznia, a za nią wykrzywiona twarz naznaczona znamieniem. Niezdarnie odbił pchnięcie tarczą, próbując wstać. Scurry wbił mężczyźnie ostrze w ramię, a ten wypuścił włócznię, obficie krwawiąc z rany.

Cudna z twarzą zalaną krwią. Własną albo czyjaś, a może i jedno, i drugie. Dreszcz zanoszący się śmiechem, uderzający leżącego wroga w usta metalową krawędzią tarczy. Chrup, chrup, giń, giń. Wrzeszczący Yon unoszący topór i opuszczający go z trzaskiem. Zataczający się Drofd trzymający się za zakrwawioną rękę, z połamanymi resztkami łuku zaplątanymi na plecach.

Ktoś skoczył w jego stronę z włócznią, a Gnat stanął mu na drodze. W głowie huczało mu od własnego ochrypłego ryku. Ciął mieczem po skosie. Rękojeść zadrżała mu w dłoni, tkanina i skóra załopotwały, rozdarte i zakrwawione. Włócznia opadła, wróg otworzył usta, z których wylał się przeciągły wrzask. Gnat zadał kolejny cios na odlew, posyłając wirujące ciało na ziemię. Rozsiekana ręka zatrzepotała w rękawie, czarna krew znieruchomiła w białym obłoku.

Ktoś uciekał w dół zbocza. Poleciała za nim strzała, ale nie

trafiła. Gnat skoczył na uciekiniera, ale również nie trafił. Zaczepił się o łokieć Agricka. Poślizgnął się i ciężko upadł na rękojeść miecza, zupełnie się odsłaniając. Jednakże biegnący mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi, tylko pomknął dalej, odrzucając tarczę, która odbiła się krawędzią od ziemi.

Gnat chwycił miecz razem z garścią trawy. Zamachnął się na kogoś, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. To był Scorry, który sięgał po swoją włócznię. Wszyscy ludzie Czerstwego uciekali. Przynajmniej ci, którzy przeżyli. Kiedy wojownicy decydują się na odwrót, robią to jednocześnie, jak padający mur albo urwisko, które odrywa się i wpada do morza. Rozbici. Gnat miał wrażenie, że widzi, jak Czerstwy kuśtyka za swoimi ludźmi z zakrwawionymi ustami. Chciał pozwolić staremu draniowi uciec, a zarazem pobiec za nim, by go wykończyć.

– Do tyłu! Do tyłu! – Zataczał się, czując w żołądku skurcz przerażenia. Zobaczył ludzi pośród głązów. Wszystko utraciło swój kształt. Słońce lśniło oślepiająco. Słyszał krzyki, szczęk metalu. Biegł, wycofując się między kamienie, uderzając o skały tarczą trzymaną w odrętwiałej ręce. Powietrze boleśnie rzeziło mu w płucach. Kaszłał, ale się nie zatrzymywał.

Juczny koń leżał martwy obok ogniska, strzała sterczała mu spomiędzy żeber. Tarcza z malunkiem czerwonego ptaka, unoszące się i opadające ostrze. Cudna zwolniła strzałę, ale spudłowała. Czerwony Kruk odwrócił się i uciekł, a podążający za nim łucznik strzelił w stronę Cudnej. Gnat stanął na drodze strzały i odbił ją tarczą w wysoką trawę.

W końcu wrogowie zniknęli.

Agrick patrzył na coś leżącego niedaleko ogniska, w jednej dłoni ściskając topór, a w drugiej hełm. Gnat nie chciał wiedzieć, co to takiego, ale już się domyślał.

Jeden z ludzi Czerstwego próbował odpełznąć, zgniatając trawę zakrwawionymi nogami, które za sobą ciągnął. Dreszcz podszedł i rozplątał mu głowę obuchem topora. Nie uderzył mocno, ale wystarczająco mocno. Elegancko. Jak górnik sprawdzający grunt. Ktoś wciąż krzyczał. A może wrzask rozlegał się tylko w głowie Gnata? Może to powietrze świstało mu w krtani? Rozejrzył się. Dlaczego zostali, do diabła? Pokręcił głową, jakby chciał z niej wytrząsnąć odpowiedź, ale tylko bardziej rozboleła go szczeka.

– Możesz ruszać nogą? – spytał Scorry, kucając obok Bracka, który siedział na ziemi i przyciskał zakrwawioną dłoń do potężnego uda.

– Mogę, kurwa, tylko boli jak skurwysyn!

Gnat był lepki od potu, zgrzany i wszystko go swędziało. Bolały go ręka oraz szczeka w miejscu, w którym dostał krawędzią tarczy. niesprawne kolano i kostka jak zwykle dawały mu się we znaki, ale wyglądało na to, że nie został ranny. Sam nie wiedział, jak udało mu się wyjść z tego cało. Bitewna gorączka szybko ustępowała, obolałe nogi trzęsły się jak u nowo narodzonego cielaka, a obraz rozmazywał się przed oczami. Zupełnie jakby napędzała go pożyczona siła, a teraz musiał oddać dług z nawiązką. Zbliżył się o kilka kroków do wygasłego ogniska i martwego konia jucznego. Nigdzie nie było wierzchowców. Uciekły albo zginęły. Usiadł w samym środku kręgu Bohaterów.

– Jesteś cały? – Whirrun pochylił się nad nim, zaciskając dłoń poniżej jelca potężnego miecza o zbryzganym i zachlapanym ostrzu. Wszystko odbyło się tak jak należy. Kiedy Ojciec Mieczy opuści pochwę, musi zakosztować krwi. – Jesteś cały?

– Chyba tak. – Gnat tak mocno zaciskał palce na pasku tarczy,

że nie pamiętał, jak je rozewrzeć. Wreszcie mu się udało i tarcza upadła na trawę, ukazując kilka świeżych wyźłobień, które dołączyły do setki dawnych ran, oraz nowe wgniecenie na matowym szczycie.

Krótkie włosy Cudnej były pozlepiane od krwi.

– Co się stało? – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Ktoś mnie skaleczył?

– Tylko zadrapał – odrzekł Scorry, dotykając jej czaszki kciukami.

Drofd klęczał obok Cudnej, kołysząc się w tył i w przód, mocno ściskając rękę zalaną krwią aż po opuszki palców.

Słońce zaświeciło Gnatowi w oczy, tak że musiał zamrużyć. Usłyszał wrzaski Yona, który za linią gładów nawoływał Czerstwego i jego chłopców.

– Wracajcie, skurwiele! Wracajcie tchórzliwe dranie! – To nic nie zmieni. Każdy człowiek jest tchórzem. Tchórzem i bohaterem, zależnie od sytuacji. Oni nie wrócą. Wygląda na to, że pozostawili za sobą osiem trupów. Nie wrócą. Gnat modlił się o to do starych martwych Bogów tego miejsca.

Scorry śpiewał cichym, niskim i smutnym głosem, gdy wyjmował z woreczka igłę i nić, by zabrać się za szycie. Po bitwie nie śpiewa się wesołych pieśni. Ich pora jest wcześniej i zazwyczaj stanowią obrazę dla prawdy.

Gnat doszedł do wniosku, że wykpił się niewielkim kosztem. Nawet bardzo niewielkim. Tylko jeden zabity. Potem popatrzył na obwisłą twarz Athroca, na jego zezujące oczy, kamizelę rozdartą przez topór Czerwonego Kruka, zabarwioną na czerwono przez wnętrzości i zganił siebie za tę myśl. Wiedział, że żadne z nich łatwo nie pozbędzie się tego ciężaru. Każdy musi nosić swoje brzemie.

Położył się na trawie i popatrzył na chmury przesuujące się po niebie. Jedno wspomnienie, za chwilę kolejne. Trójdźrzewiec zawsze mu powtarzał, że dobry przywódca nie powinien rozpamiętywać dokonanych wyborów, ale nie może też o nich zapominać.

Podjął właściwą decyzję. Być może. A może nie ma czegoś takiego.

Dzień pierwszy

„Rozsądna armia by uciekła”.

Montesquieu

Cisza

Wasza Królewska Mość!

Lord Bayaz, Pierwszy z Magów, poinformował marszałka Kroya o pańskim pragnieniu pilnego doprowadzenia kampanii do końca. Dlatego marszałek opracował plan mający na celu skłonienie Czarnego Dowa do rozegrania rozstrzygającej bitwy z użyciem wszystkich sił, a cała armia zabrała się do owocnych przygotowań.

Dywizja generała Jalenhorma przeciera szlak, maszerując od zmierzchu do świtu, a zaledwie kilka godzin za nimi podąża awangarda generała Mittericka. Można powiedzieć, że przyjacielsko rywalizują o to, kto pierwszy zmierzy się z wrogiem. Tymczasem lord gubernator Meed został ponownie wezwany z Ollensandu. Trzy dywizje zgrupują się niedaleko miasta zwanego Osrung, po czym wspólnie wyruszą na północ ku Carleonowi i zwycięstwu.

Towarzyszę sztabowi generała Jalenhorma, jadąc na samym czele armii. Nieco opóźniają nas złe drogi oraz zmienna pogoda, która bez ostrzeżenia przechodzi od słońca do oberwania chmury. Jednakże generała nie powstrzymają ani niebiosa, ani wrogowie. Oczywiście, jeśli natrafimy na Północnych, będę bacznie obserwował rozwój wydarzeń i czym prędzej poinformuję Waszą Królewską Mość o wyniku spotkania.

Wierny i pokorny sługa Waszej Królewskiej Mości,

*Bremer dan Gorst,
królewski obserwator Wojny Północnej*

Trudno to nazwać świtem. Ponure szare światło pozbawione barw, które poprzedza pojawienie się słońca. Nieliczne twarze przypominające widma. Pusty kraj zmieniony w krainę umarłych. Ulubiona pora dnia Gorsta, gdy niemal można udawać, że już nikt nigdy się nie odezwie.

Biegł prawie od godziny, ubijając stopami błoto poryte koleinami. W wypełnionych wodą długich i wąskich śladach kół odbijały się czarne konary drzew oraz wyblakłe niebo. Szczęśliwe lustrzane światy, w których miał wszystko, na co zasługiwał, rozpadały się pod ciężkimi butami, spod których brudna woda bryzgała na jego osłonięte stałą łydki.

Bieg w pełnej zbroi byłby szaleństwem, dlatego Gorst miał na sobie tylko najważniejsze części pancerza – napierśnik i naplecznik, folgi na biodrach oraz nagolenniki na piszczelach; na prawej ręce jedynie karwasz i rękawicę do fechtunku, by móc swobodnie posługiwać się ostrzem; na lewej grube stalowe płyty służące do parowania ciosów, osłaniające rękę od palców aż po ramię; pod zbroją watowaną kamizelę oraz grube skórzane spodnie wzmocnione metalowymi paskami. Jego jedyne okno na świat stanowiła wąska szpara w lekkiej przyłbicy.

Łaciaty pies o groteskowo rozdętym brzuchu przez chwilę ujadał chrapliwie przy jego nogach, ale szybko dał mu spokój i wrócił do szperania w ogromnej stercie odpadków przy drodze. Czy śmieci to jedyny trwały ślad, który pozostawimy w tym kraju? Śmieci oraz nasze groby? Wpadł do obozu dywizji

Jalenhorma, rozległego płóciennego labiryntu pogrążonego w błogiej sennej ciszy. Mgła kleiła się do zdeptanej trawy, otulała najbliższe namioty, a odleglejsze zmieniała w widma. Stojące w rzędzie konie spoglądały ponuro znad worków z obrokiem. Samotny strażnik trzymał blade ręce nad koksownikiem, który rozpraszał mrok karmazynowym blaskiem i posyłał w górę pomarańczowe iskry. Żołnierz popatrzył z otwartymi ustami na Gorsta, gdy ten go mijał.

Służący czekali na niego na polanie przed jego namiotem. Rurgen przyniósł wiadro i Gorst zaspokoił pragnienie, a zimna woda pociekła mu na rozpaloną szyję. Młodszy przyniósł futerał, uginając się pod jego ciężarem, a Gorst wyjął z niego dwa ostrza ćwiczebne. Potężne, tępe kawałki poobijanego metalu o głowicach wielkich jak połówki cegieł, by zapewnić namiastkę wyważenia, trzy razy cięższe od jego bojowych ostrzy, które i tak były wyjątkowo masywne.

Ruszyli na niego w cudownej ciszy. Rurgen z tarczą i kijem, Młodszy z żerdzią, której dźgnięcia Gorst z trudem parował nieporęczną bronią. Nie dawali mu żadnych szans, ani chwili wytchnienia, atakowali bez litości i respektu. Zresztą, wcale ich nie oczekiwali. Zbyt wiele razy dawano mu szanse przed Sipani, przez co stał się miękki i stracił na zaciętości. Jeśli znów nadejdzie chwila próby, będzie zahartowany, ostry jak bezlitosna, mordercza brzytwa. Dlatego każdego ranka od czterech lat, każdego ranka od czasu Sipani, każdego ranka bez wyjątków, w deszczu, upale albo śniegu – właśnie to.

Łupnięcia i zgrzytanie drewna o metal. Od czasu do czasu głucho uderzenia i stęknięcia, gdy kije trafiały w zbroję lub między jej elementy. Rytmiczne rozdzierające oddechy, walące serce, dziki wysiłek. Pot wsiąkający w kamizelę, łaskoczący

skórę głowy, kapiący ze szpary w przyłbicy. Pieczenie w każdym mięśniu, coraz gorsze, a zarazem coraz przyjemniejsze, jakby mógł wypalić swoją hańbę i ponownie się narodzić.

Stał z szeroko otwartymi ustami i zamkniętymi oczami, gdy odpinali jego zbroję. Kiedy zdjęli mu napierśnik, poczuł się tak, jakby miał unieść się w powietrze. Wzlecieć w niebo i nigdy nie wrócić. Co tam leci ponad wojskiem? Toż to ten słynny kozioł ofiarny Bremer dan Gorst, nareszcie wolny od uścisku ziemi!

Zdjął ubranie, przemoczone i cuchnące, z trudem zginając opuchnięte ręce. Stał nagi na chłodzie poranka, cały pokryty obtarciami, parujący jak potrawa wyjęta z pieca. Westchnął oszołomiony, gdy polali go lodowatą wodą zaczerpniętą wprost ze strumienia. Młodszy rzucił mu szmatę, którą Gorst się wytarł, a Rurgen przyniósł czyste ubranie. Gdy pułkownik się ubierał, służący wyszorowali jego zbroję do zwyczajowego matowego połysku.

Słońce pełzło nad poszarpanym horyzontem, a przez lukę między drzewami Gorst zobaczył szeregowców z pierwszego regimentu, którzy wychodzili ze swoich namiotów. Ich oddechy parowały w chłodnym powietrzu. Zapinali zbroje, z nadzieją grzebali w popiołach wygasłych ognisk, przygotowując się do porannego wymarszu. Jedna z grup została wyciągnięta z namiotów i ziewając, patrzyła, jak ich towarzysz otrzymuje chłostę za jakieś przewinienie. Bicz pozostawiał na jego obnażonych plecach bladoczerwone linie, a ostry trzask docierał do uszu Gorsta tuż przed jękami żołnierza. Nie zdaje sobie sprawy ze swojego szczęścia. Gdyby tylko moja kara była równie krótka, gwałtowna i zawiniona.

Bojowe ostrza Gorsta wykonał Calvez, najwybitniejszy styriański wytwórca broni. Był to prezent od króla za

uratowanie życia podczas Bitwy o Aduę. Rurgen dobył długiego ostrza i pokazał jego obie strony, nieskazitelnie wypolerowany metal lśniący w blasku świtu. Gorst pokiwał głową. Następnie służący pokazał mu krótkie ostrze o lodowato połyskujących krawędziach. Gorst znów pokiwał głową, po czym założył uprząż z bronią. Potem położył jedną dłoń na ramieniu Młodszeo, a drugą na ramieniu Rurgena i delikatnie ich uściskał, uśmiechając się przy tym.

Rurgen odezwał się szeptem, szanując ciszę.

– General Jalenhorm poprosił, aby pan dołączył do niego na czele kolumny, gdy tylko dywizja rozpocznie marsz.

Młodszy popatrzył na jaśniejące niebo, mrużąc oczy.

– Tylko sześć mil do Osrungu, panie pułkowniku. Myśli pan, że dziś dojdzie do bitwy?

– Mam nadzieję, że nie. – Oby tak, na boginie losu. Błagam, błagam, błagam tylko o to jedno. Ześlijcie mi bitwę.

Ambicja

– Fin?

– Mmmm?

Wsparł się na łokciu, zerkając na nią z uśmiechem.

– Kocham cię.

Cisza. Już dawno przestała oczekiwać, że miłość spadnie na nią jak grom z jasnego nieba. Niektórzy są podatni na takie uczucia. Inni twardo stąpają po ziemi.

– Fin?

– Mmmm?

– Naprawdę. Kocham cię.

Ona też go kochała, nawet jeśli czasami miała trudności, by to powiedzieć. A przynajmniej czuła coś bardzo bliskiego miłości. Wyglądał wspaniale w mundurze i jeszcze lepiej bez niego, potrafił ją rozbawić, co zawsze ją zaskakiwało, a ich pocałunkom nie brakowało ognia. Był honorowy, szczodry, pracowity, pełen szacunku, ładnie pachniał... co prawda, nie imponował intelektem, ale to nawet lepiej. W małżeństwie rzadko jest miejsce dla dwóch bystrych osób.

– Grzeczny chłopiec – szepnęła, poklepując go po policzku. Bardzo go lubiła i rzadko nim pogardzała, czego nie mogła powiedzieć o innych mężczyznach. Pasowali do siebie. Optymista i pesymistka, idealista i pragmatyczka, marzyciel i cyniczka. Nie wspominając o jego szlachetnej krwi i jej palącej ambicji.

Westchnął z rozczarowaniem.

– Przysięgam, że kocha się w tobie każdy mężczyzna w tej przeklętej armii.

– Także twój dowódca, lord gubernator Meed?

– Cóż... on pewnie nie, ale sądzę, że również by się do ciebie przekonał, gdybyś przestała robić z niego idiotę.

– Gdybym przestała i tak sam by się ośmieszał.

– Zapewne, ale mężczyźni lepiej to znoszą.

– Zależy mi na opinii tylko jednego oficera.

Uśmiechnął się, wodząc opuszką palca po jej żebrach.

– Naprawdę?

– Kapitana Hardricka. – Cmoknęła językiem. – Myślę, że to przez te jego niezwykle obcisłe spodnie kawaleryjskie. Lubię czasem coś upuścić tylko po to, żeby mógł się schylić. Ops. – Dotknęła palcem ust i zatrzepotała rzęsami. – Ależ ze mnie niezdara. Znow wypadł mi wachlarz! Czy mógłby pan po niego sięgnąć, kapitanie? Już prawie go pan ma. Proszę się schylić troszeczkę niżej, kapitanie. Jeszcze... troszeczkę... niżej.

– Jesteś bezwstydna. Ale nie sądzę, żeby Hardrick do ciebie pasował. Jest nudny jak flaki z olejem. Miałabyś go dość po kilku minutach.

Finree wydeła policzki.

– Pewnie masz rację. Ładny tyłek to za mało, choć nie rozumie tego większość mężczyzn. To może... – Poszukała w myślach najbardziej absurdałnego kandydata na kochanka i uśmiechnęła się, gdy znalazła idealną osobę. – Bremer dan Gorst? Trudno powiedzieć, by imponował wyglądem... sprytem... albo pozycją, ale mam wrażenie, że pod tą nędzną powłoką kryje się prawdziwa studnia emocji. Oczywiście, trzeba by się przyzwyczaić do jego głosu, zakładając, że komuś udałoby się

wydobyć z niego więcej niż kilka słów, ale jeśli lubi się silnych i milczących mężczyzn, to śmiem twierdzić, że Gorst znakomicie spełnia oba te warunki... No co? – Hal przestał się uśmiechać. – Przecież żartuję. Znam go od lat, jest nieszkodliwy.

– Nieszkodliwy? Widziałaś kiedyś, jak walczy?

– Widziałam, jak fechtuje.

– To nie to samo.

Jego powściągliwość sprawiła, że zapragnęła dowiedzieć się więcej.

– A ty widziałeś, jak walczy?

– Tak.

– I co?

– I... cieszę się, że jest po naszej stronie.

Pogłaskała palcem czubek jego nosa.

– Moje biedne kochanie. Boisz się go?

Odsunął się od niej, przewracając się na plecy.

– Trochę. Każdy powinien chociaż odrobinę obawiać się Bremera dan Gorsta.

To ją zaskoczyło. Nie przypuszczała, że Hal się kogokolwiek boi. Przez chwilę leżeli w milczeniu, a płótno nad nimi delikatnie łopotało na wietrze.

Poczuła wyrzuty sumienia. Kochała Hala. Wszystko dokładnie rozważyła w dniu, w którym się jej oświadczył. Wypisała wszystkie za i przeciw, po czym ostatecznie przekonała sama siebie. Jest dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych. Ma piękne zęby. Jest uczciwy, odważny i lojalny aż do przesady. Jednak czasami to za mało. Dlatego potrzebny mu ktoś bardziej praktyczny, kto przeprowadzi go przez niespokojne sytuacje. Ktoś taki jak ona.

– Hal.

– Tak?

Przetoczyła się w jego stronę, przywarła do jego ciepłego boku i wyszeptała mu do ucha:

– Kocham cię.

To wystarczyło, by rozpromienił się ze szczęścia. Podobało jej się, że ma nad nim taką władzę.

– Grzeczna dziewczynka – szepnął, po czym ją pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek, wplatając palce w jego włosy. Na czym polega miłość, jeśli nie na znalezieniu kogoś, kto nam odpowiada? Kogoś, kto zrekompensuje nasze braki?

Kogoś, z kim można pracować. Kogo można urobić po swojemu.

Aliz dan Brint była wystarczająco ładna, bystra i dobrze urodzona, by Finree nie wstydziła się jej towarzystwa, a zarazem nie na tyle ładna, bystra i dobrze urodzona, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Mieściła się w stosunkowo wąskim gronie ludzi, z którymi Finree mogła się przyjaźnić nie ryzykując, że zostanie przyćmiona, czego nigdy nie lubiła.

– To nie takie proste – szepnęła Aliz, zerkając spod jasnych rzęs na kolumnę maszerujących żołnierzy. – Trudno mi się przyzwyczaić do tego, że otaczają mnie mężczyźni...

– Dla mnie to normalne. Armia od zawsze jest moim domem. Moja matka umarła, gdy byłam mała, i wychował mnie ojciec.

– Przykro mi...

– Dlaczego? Ojciec pewnie wciąż za nią tęskni, ale ja nie, bo nigdy jej nie poznałam.

Zapadła niezręczna cisza, niezbyt zaskakująca, zważywszy

na to, że słowa Finree stanowiły odpowiednik ciosu buzdyganem w głowę.

– A twoi rodzice?

– Oboje nie żyją.

– Och. – Finree pogorszyło się samopoczucie.

Miała wrażenie, że większość jej rozmów to ciągle balansowanie między zniecierpliwieniem a poczuciem winy. Postanowiła być bardziej tolerancyjna, ale próbowała tego często i zawsze bez powodzenia. Może powinna po prostu zadowolić się milczeniem, to jednak wychodziło jej jeszcze gorzej. Kopyta stukwały na szlaku, buty tupwały miarowo, od czasu do czasu rozbrzmiewały okrzyki oficerów zirytowanych zaburzeniami rytmu.

– Zmierzamy na... północ? – spytała Aliz.

– Tak, w stronę miasta Osrung, gdzie spotkamy się z pozostałymi dwiema dywizjami, dowodzonymi przez generałów Jalenhorma i Mittericka. Są niecałe dziesięć mil od nas, po drugiej stronie tamtych wzgórz. – Wskazała batem obniżające się zbocza po ich lewej stronie.

– Jacy to ludzie?

– Generał Jalenhorm jest... – tylko taktownie – ...odważnym i uczciwym człowiekiem, dawnym przyjacielem króla. – Awansowanym znacznie wyżej niż sięgają jego skromne możliwości. – Mitterick to kompetentny i doświadczony żołnierz. – A także nieposłuszny chwalipełta mający chrapkę na stanowisko jej ojca.

– Obaj dowodzą równie licznymi siłami jak nasz lord gubernator Meed?

– Każdy z nich ma pod sobą siedem regimentów, dwa kawaleryjskie i pięć pieszych. – Finree mogła podać ich numery,

tytuły oraz nazwiska starszych oficerów, ale wyglądało na to, że umysł Aliz jest bliski przepełnienia. Tę granicę nietrudno było przekroczyć, a jednak Finree zależało na przyjaźni z dziewczyną, gdyż jej mąż, pułkownik Brint, uchodził za bliskiego współpracownika króla, co czyniło go użytecznym znajomym. Właśnie dlatego Finree zawsze starała się śmiać z męczących żartów przyjaciółki.

– Tak wielu ludzi – odezwała się Aliz. – Na twoim ojcu spoczywa wielka odpowiedzialność.

– Owszem. – Kiedy Finree ostatnio widziała się z ojcem, zaszokowało ją, jak jest zmęczony. Zawsze uważała go za człowieka z żelaza, więc zaniepokoiła ją myśl, że w środku może być miękki. Być może dorastamy właśnie wtedy, gdy odkrywamy, że nasi rodzice są równie słabi jak inni ludzie.

– Ilu żołnierzy jest po drugiej stronie?

– Na Północy granica między żołnierzem a obywatelem nie jest jasno zarysowana. Mają kilka tysięcy Carlów, zawodowych wojowników wyposażonych we własne kolczugi i broń, ludzi wychowanych do wojny, którzy zawsze idą na czele szarży i tworzą pierwszy rząd w ścianie tarcz. Jednak na każdego Carla przypada kilku Niewolników, rolników albo kupców, których zmuszono bądź najęto do walki i pracy. Zazwyczaj są lekko uzbrojeni, głównie we włócznie i łuki, ale nie brakuje wśród nich ludzi zaprawionych w boju. Oprócz tego są Ludzie Imienni, weterani, którzy wślawili się bohaterskimi czynami na polach bitew i służą jako oficerowie, ochroniarze albo zwiadowcy w dwunastoosobowych oddziałach. Tacy jak oni. – Wskazała grupę niechlujnych ludzi Wilczarza, którzy podążali w ślad za kolumną wzdłuż grani po prawej stronie. – Nie wiem, czy ktokolwiek potrafi powiedzieć, jak dużymi siłami dysponuje

Czarny Dow. Pewnie nawet on sam tego nie wie.

Aliz zamruwała.

– Ty się znasz na wszystkim...

Finree bardzo chciała odpowiedzieć „zgadza się”, ale zadowolila się lekceważącym wzruszeniem ramion. Nie było w tym żadnej magii. Po prostu słuchała, obserwowała i dbała o to, by nigdy się nie odzywać, dopóki nie będzie wiedziała, o czym mówi. W końcu wiedza jest źródłem władzy.

Aliz westchnęła.

– Wojna jest straszna, prawda?

– Niszczy krajobraz, dławi handel i przemysł, zabija niewinnych i nagradza winnych, doprowadza uczciwych ludzi do ruiny i napycha kieszenie spekulantom, a ostatecznie przynosi tylko trupy, pomniki i opowieści. – Finree świadomie nie wspomniała, że daje także ogromne szanse.

– Tylu rannych – rzekła Aliz. – Tylu zabitych.

– Coś straszego. – Chociaż po umarłych pozostają wolne miejsca, które mogą zająć sprytni. Albo na których sprytne żony mogą umieścić swoich mężów...

– No i ci wszyscy ludzie, którzy tracą swoje domy. Tracą wszystko. – Aliz patrzyła wilgotnymi oczami na żalną procesję, która podążała w przeciwnym kierunku, zepchnięta ze szlaku przez żołnierzy i zmuszona do wędrówki w duszącym pyle.

Były to głównie kobiety, chociaż tak zaniedbane, że niełatwo było to stwierdzić. Oprócz tego trochę starców i dzieci. Z pewnością Północni. Niewątpliwie biedni. Gorzej niż biedni, ponieważ nie mieli praktycznie niczego. Z twarzami ściągniętymi głodem i szczękami obwisłymi ze zmęczenia kurczowo ściskali swój żałośnie skromny dobytek. Patrzyli na

żołnierzy Unii, którzy maszerowali w przeciwnym kierunku, bez nienawiści ani strachu. Sprawiali wrażenie zbyt zdesperowanych, by okazywać jakiegokolwiek emocje.

Finree nie wiedziała, przed kim uciekają ani dokąd zmierzają. Jaka zgroza wypędziła ich z domów i co może ich jeszcze czekać. Wygnani przez ślepe wojenne wstrząsy. Patrząc na nich, czuła się zawstydzająco bezpieczna, odrażająco szczęśliwa. Łatwo zapomnieć, jak wiele posiadasz, gdy cały czas wpatrujesz się w to, czego nie masz.

– Coś trzeba z tym zrobić – szepnęła Aliz rzewnie.

Finree zacisnęła zęby.

– Masz rację. – Spięła konia ostrogami, zapewne bryzgając błotem na białą suknię Aliz, i błyskawicznie dołączyła do grupki oficerów, którzy tworzyli mało skuteczny mózg dywizji.

Tutaj rozmawiano językiem wojny. Synchronizacja i posiłki. Pogoda i morale. Tempo marszu i porządek bitwy. Dla Finree nie była to obca mowa, a gdy podjechała bliżej, od razu zauważyła błędy, przeoczenia i niedostatki. Wychowała się w koszarach, kantynach i kwaterach głównych, przebywała z wojskiem dłużej niż większość tych oficerów i wiedziała więcej o strategii, taktyce oraz logistyce. A z pewnością przewyższała wiedzę lorda gubernatora Meeda, który przed ubiegłym rokiem nie stał na czele niczego bardziej niebezpiecznego niż oficjalny bankiet.

Jechał w samym środku skupiska oficerów, pod sztandarem, na którym widniały skrzyżowane młoty Anglandu. Miał na sobie wspaniałą błękitny mundur zdobiony złotymi sznurami, który bardziej by pasował aktorowi w tandetnym przedstawieniu niż generałowi podczas kampanii. Pomimo ogromnych pieniędzy wydawanych na krawców, imponujące kołnierze nigdy nie pasowały do żylastej szyi generała, która sterczała z nich jak

szyja żółwia wystająca ze skorupy.

Przed laty podczas Bitwy pod Czarną Studnią Meed stracił trzech bratanków, a wkrótce potem brata, poprzedniego lorda gubernatora. Od tamtej pory żywił niewyobrażalną nienawiść do Północnych i tak entuzjastycznie nawoływał do wojny, że własnym kosztem wyposażył połowę swojej dywizji. Jednakże nienawiść do wroga nie zapewnia kwalifikacji do dowodzenia wojskiem. Wręcz przeciwnie.

– Lady Brock, jak cudownie, że mogła pani do nas dołączyć – powiedział z lekką pogardą.

– Po prostu stanęli mi panowie na drodze. – Oficerowie zachichotali, przy czym śmiech Hala zabrzmiał nieco rozpaczliwie. Mąż posłał jej ostre spojrzenie, które odwzajemniła. – Razem z kilkoma innymi damami zauważyłyśmy uchodźców po naszej lewej stronie. Mamy nadzieję, że dadzą się panowie przekonać, by użyczyć im nieco jedzenia?

Meed zwrócił zażawione oczy na żalostną kolumnę z lekceważeniem, z jakim ktoś inny mógłby patrzeć na pochód mrówek.

– Obawiam się, że w pierwszej kolejności muszę dbać o swoich żołnierzy.

– Z pewnością ci rośli panowie mogą sobie pozwolić na zrezygnowanie z jednego posiłku w szlachetnej sprawie? – Stuknęła pułkownika Brinta w napierśnik, zmuszając go do nerwowego śmiechu.

– Zapewniłem marszałka Kroya, że do północy zajmiemy pozycję na przedmieściach Osrungu. Nie możemy się zatrzymywać.

– To można zrobić w ciągu...

Meed bezceremonialnie się od niej odwrócił.

– Ach te damy i ich miłosierne pomysły – rzucił do swoich oficerów, którzy wybuchnęli śmiechem.

Finree również przenikliwie zachichotała.

– Ach ci mężczyźni i ich zabawa w wojnę. – Klepnęła kapitana Hardricka w ramię dłonią w rękawiczce, na tyle mocno, że się skrzywił. – Cóż za głupie babskie bzdury, próbować ocalić kilka istnień. Teraz wszystko rozumiem! Powinniśmy pozwolić, by padali na poboczu jak muchy, rozniecić wszędzie ogień i zarazę, zmieniając ten kraj w pustkowie. To z pewnością nauczy ich szacunku do Unii i jej zasad! Oto żołnierski fach w najlepszym wydaniu! – Popatrzyła na oficerów, unosząc brwi. Przynajmniej przestali się śmiać. Zwłaszcza Meed wyglądał bardziej ponuro niż kiedykolwiek, co stanowiło nie lada wyczyn.

– Pułkownik Brock – wykrztusił przez zaciśnięte usta. – Wydaje mi się, że pańskiej żonie wygodniej byłoby podróżować w towarzystwie pozostałych pań.

– Właśnie miałem to zaproponować – odrzekł Hal, stając jej na drodze i gwałtownie zatrzymując ich wierzchowce, podczas gdy Meed i jego oficerowie pojechali dalej szlakiem. – Co ty wyprawiasz, do diabła? – syknął.

– Ten człowiek to bezduszny idiota! Rolnik bawiący się w żołnierza!

– Musimy sobie radzić z tym, co mamy, Fin! Proszę, nie igraj z nim. Pomyśl o mnie! Moje nerwy tego nie zniosą!

– Przepraszam. – Ponownie przeszła od zniecierpliwienia do poczucia winy. Oczywiście, nie z powodu Meeda, ale Hala, który musiał być dwa razy lepszy, bardziej odważny i pracowity od innych, by uwolnić się od duszącego cienia swojego ojca. – Ale

nie znoszę, kiedy coś się robi źle z powodu arogancji jednego głupca, podczas gdy niewielkim wysiłkiem można by to zrobić dobrze.

– Wystarczy, że mamy generała amatora. Nie chcemy, żeby dodatkowo stał się pośmiewiskiem. Może dzięki odrobinie wsparcia zaczniesz sobie lepiej radzić.

– Może – mruknęła bez przekonania.

– Nie mogłabyś zostać z pozostałymi żonami? – zaczął ją namawiać. – Proszę, przynajmniej na razie.

– Z tymi paplającymi czarownicami? – Skrzywiła się. – Rozmawiają tylko o tym, kto jest bezpłodny i niewierny oraz co nosi królowa. To idiotki.

– Zauważyłaś, że wszyscy oprócz ciebie są idiotami?

Szeroko otworzyła oczy.

– Też to dostrzegasz?

Hal westchnął.

– Kocham cię. Wiesz, że tak jest. Ale zastanów się nad tym, komu pomagasz. Mogłaś nakarmić tych ludzi, gdybyś działała ostrożniej. – Potarł grzbiet nosa. – Porozmawiam z kwatermistrzem i spróbuję coś załatwić.

– Prawdziwy z ciebie bohater.

– Staram się, ale niczego mi nie ułatwiasz, do diabła. Następnym razem porozmawiaj o czymś mniej kontrowersyjnym, na przykład o pogodzie. Zrób to dla mnie! – Po czym odjechał w stronę czoła kolumny.

– Srać na pogodę – mruknęła za jego plecami. – I na Meeda też. – Musiała jednak przyznać, że Hal ma rację. Irytując lorda gubernatora, nie wyświadcza żadnej przysługi sobie, swojemu mężowi, Unii ani nawet uchodźcom.

Musi go zniszczyć.

Mniej więcej

– Wstawaj, starcze.

Gnat wciąż był na wpół pogrążony we śnie. Znajdował się w domu, gdziekolwiek to było. Jako młodzieniec lub już po zakończeniu służby. Czy to Colwena uśmiecha się do niego z kąta? Obracała drewno na tokarce, rozrzucając zakrzywione strużyny, które chrzęściły mu pod nogami. Przetoczył się ze stęknieniem i poczuł gwałtowny ból w boku, który napełnił go paniką. Spróbował zedrzeć z siebie koc.

– Co, do...

– Wszystko w porządku. – Cudna położyła mu dłoń na ramieniu. – Chciałam, żebyś się wyspał. – Po drugiej stronie głowy przybył jej długi strup, a krótkie włosy były posklejane od zaschniętej krwi. – Uznałam, że ci się to przyda.

– Przydałoby się jeszcze kilka godzin. – Zazgrzytał zębami, czując dziesięć różnych bólów, gdy spróbował usiąść, najpierw szybko, potem bardzo, bardzo powoli. – Zaraza, jednak wojna to rzecz dla młodych. Co jest do zrobienia?

– Niewiele. – Podała mu manierkę, a on przepłukał usta, po czym wypluł wodę. – Ani śladu Czerstwego. Pochowaliśmy Athroca.

Zamarł z manierką uniesioną do ust, po czym powoli ją opuścił. Pod jednym z głazów po drugiej stronie kręgu znajdowała się świeżo usypana mogiła. Przed nią stali Brack i Scorry z łopatami w dłoniach, a pomiędzy nimi Agrick wpatrzony w ziemię.

– Już powiedzieliście, co trzeba? – spytał Gnat z nadzieją, chociaż znał odpowiedź.

– Czekamy na ciebie.

– To dobrze – skłamał, po czym wstał z posłania, przytrzymując się jej przedramienia. Był wietrzny, nieco mroźny szary poranek, chmury czepiały się skalistych szczytów wzgórz, a mgła wciąż trzymała się szczelin na ich zboczach i otulała bagna na dnie doliny.

Gnat pokuśtykał do grobu, poruszając biodrami, usiłując uciec przed bólem stawów. Wolałby znaleźć się gdziekolwiek indziej, ale od niektórych spraw nie da się wykręcić. Wszyscy zmierzali w to samo miejsce, ustawiając się w półokręgu, smutni i milczący. Drofd próbował wepchnąć do ust całą skórkę chleba na raz, wycierając dłonie o koszulę. Whirrun skrył twarz pod kapturem i przytulał Ojca Mieczy, tak jak rodzic przytula chore dziecko. Yon był jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj, co nie było łatwe. Gnat zatrzymał się przed mogiłą, pomiędzy Agrickiem a Brackiem. Z twarzy człowieka ze wzgórz zniknął zwyczajowy rumieniec, a na opatrunku zakrywającym jego nogę widniała duża świeża plama.

– Z nogą wszystko w porządku? – spytał Gnat.

– Tylko draśnięcie – odparł Brack.

– Jak na draśnięcie mocno krwawi.

Brack się uśmiechnął, zmieniając układ tatuaży na twarzy.

– To ma być mocno?

– Pewnie nie. – Przynajmniej w porównaniu z siostrzeńcem Czerstwego, którego Whirrun rozciął na pół. Gnat obejrzał się przez ramię w stronę sterty trupów, którą usypali za rozpadającym się murem. Ukryli ich poza zasięgiem wzroku, ale nie zdołali wyrzucić z pamięci. Umarli. Zawsze ci umarli. Gnat

wpatrywał się w czarną ziemię, zastanawiając się, co powiedzieć. Patrzył na nią tak, jakby kryła w sobie odpowiedzi. Jednakże w ziemi nie ma niczego poza ciemnością.

– Dziwna sprawa. – Jego głos przypominał skrzek, musiał odchrząknąć, żeby dalej mówić. – Niedawno Drofd pytał mnie, czy te głazy nazywa się Bohaterami, ponieważ pochowano pod nimi prawdziwych bohaterów. Odpowiedziałem, że nie. Ale może jeden z nich właśnie pod nimi spoczął. – Skrzywił się, wypowiadając te słowa, nie ze smutku, ale dlatego, że wiedział, że gada pierdoły. Bzdury, na które nie nabrałoby się nawet dziecko. Jednak cała drużyna pokiwała głowami, a po policzku Agricka spłynęła łza.

– Zaiste – rzekł Yon.

Nad grobem można mówić rzeczy, za które wyśmiano by cię w karczmie, i uchodzić za mędrca. Gnat czuł, że każde słowo jest nożem, który wbija w swoje ciało, nie miał jednak odwrotu.

– Athroc nie był z nami długo, ale zostawił po sobie ślad. Nie zostanie zapomniany. – Gnat pomyślał o wszystkich innych chłopcach, których pochował, a których twarze i imiona zatarł czas. Nie potrafił nawet przypomnieć sobie ich liczby. – Stał u boku swoich towarzyszy. Dobrze walczył. – Paskudnie umarł, zarąbany toporem na mało istotnym wzgórzu. – Postępował honorowo. Więcej nie można wymagać od mężczyzny. Jeśli istnieje...

– Gnat! – Dreszcz stał w odległości około trzydziestu kroków po południowej stronie kręgu.

– Nie teraz! – syknął wódz.

– Owszem, teraz – odrzekł Dreszcz.

Gnat szybko do niego podszedł, widząc, jak szara dolina otwiera się pomiędzy dwoma głazami.

– Na co mam patrzeć... ach. – Po drugiej stronie rzeki, u podnóża Czarnego Wzgórza, zobaczył jeźdźców na brązowym pasie drogi prowadzącej do Uffrithu. Jechali szybko w stronę Osrungu, wzbijając kłęby kurzu. Było ich co najmniej czterdziestu.

– Tam też.

– Zaraza. – Kolejna czterdziestka nadjeżdżała z drugiej strony ku Staremu Mostowi. Przekraczali rzekę. Nadciągali ku Bohaterom z obu kierunków. Gnat poczuł w piersi bolesne ukłucie niepokoju. – Gdzie Scorry? – Zaczął się rozglądać, zupełnie jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie coś odłożył. Scorry stał tuż za nim z uniesionym palcem. Gnat powoli wypuścił powietrze, klepiąc zwiadowcę po ramieniu. – Tu jesteś. Tu jesteś.

– Wodzu – mruknął Drofd.

Gnat powiódł wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. Na drodze prowadzącej z Adwein na południe, wiodącej w głąb doliny zagłębieniem pomiędzy dwoma wzgórzami, panował duży ruch. Gnat szybko otworzył lunetę i popatrzył w stronę zamieszania.

– Żołnierze Unii.

– Jak myślisz, ilu?

Wiatr na chwilę odpędził mgłę i Gnat ujrzał kolumnę ciągnącą się między wzgórzami. Ludzie i metal, sterczące włócznie i łopoczące sztandary. Dalej niż sięgał wzrokiem.

– Chyba wszyscy – Cudna westchnęła.

Brack nachylił się w stronę wodza.

– Powiedz, że tym razem nie będziemy walczyć.

Gnat opuścił lunetę.

– Czasami właściwa decyzja to spierdalać. Pakujemy się! –

wrzasnął. – Ale już! Wycofujemy się!

Drużyna nie wypakowała większości ekwipunku, a resztę zaczęła teraz błyskawicznie chować w rytmie zwawej marszowej melodii nuconej przez Scorry'ego. Wesoły Yon zadeptywał niewielkie ognisko, podczas gdy Whirrun tylko na niego patrzył, dawno spakowany, gdyż nie posiadał niczego poza Ojcem Mieczy, którego trzymał w jednej dłoni.

– Po co je gasisz? – spytał Whirrun.

– Nie zostawię draniom swojego ogniska – stęknął Yon.

– Nie sądzę, żeby się przy nim pomieścili.

– Mimo wszystko.

– Nawet dla nas zabrakło miejsca.

– To nic.

– Kto wie, może jeśli je zostawisz, któryś z żołnierzy Unii się sparzy i wszyscy w panice wrócą do domu.

Yon na chwilę podniósł wzrok, po czym zdusił butem ostatnie rozpalone węgle.

– Nie zostawię draniom swojego ogniska.

– A więc to wszystko? – spytał Agrick. Gnat nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Było w nich coś rozpaczliwego. – Tylko na tyle słów zasłużył?

– Może później powiemy więcej, ale na razie musimy myśleć o żywych.

– Oddajemy wzgórze. – Agrick wpatrywał się w Dreszcza z zaciśniętymi pięściami, jakby to on zabił jego brata. – Zginął na próżno. Za jebane wzgórze, którego teraz nawet nie spróbujemy bronić. Gdybyśmy nie walczyli, wciąż byłby żywy! Słyszysz? – Zbliżył się o krok i mógłby się rzucić na Dreszcza, gdyby Brack w porę nie chwycił go od tyłu, a Gnat od przodu.

– Słyszę. – Dreszcz ze znudzeniem wzruszył ramionami. – To nie pierwszy raz. Gdybym nie pojechał do Styrii, wciąż miałbym oboje oczu. Ale pojechałem i mam jedno. Walczyliśmy. On zginął. Życie zawsze toczy się w jeden sposób i rzadko zgodnie z naszymi oczekiwaniami. To wszystko. – Odwrócił się i odszedł na północ, zarzucając sobie topór na ramię.

– Nie przejmuj się nim – szepnął Agrickowi do ucha Gnat. Wiedział, jakie to uczucie stracić brata. Pochował trójkę swoich jednego ranka. – Jeśli musisz kogoś obwiniać, obwiniaj mnie. To ja postanowiłem, że będziemy walczyć.

– Nie było innego wyjścia – rzekł Brack. – To była właściwa decyzja.

– Dokąd poszedł Drofd? – spytała Cudna, mijając ich i wieszając sobie łuk na ramieniu. – Drofd?

– Tutaj jestem! Pakuję się! – Był przy murze, obok którego zostawili ciała ludzi Czerstwego. Gdy Gnat do niego podszedł, akurat klęczał obok jednego z trupów i przetrząsał mu kieszenie. Uśmiechnął się, pokazując kilka monet. – Wodzu, ten tutaj miał trochę... – Zamilkł, gdy zobaczył surową minę Gnata. – Zamierzałem się podzielić...

– Odłóż je.

Zaskoczony Drofd zamrugał.

– Przecież jemu już na nic się nie przydadzą...

– Ale nie należą do ciebie, prawda? Zostaw je, a kiedy Czerstwy wróci, postanowi, kto je dostanie.

– Zapewne sam je zabierze – mruknął Yon, zbliżając się do nich z kolczugą przerzuconą przez ramię.

– Możliwe. Ale na pewno nie zrobi tego żadne z nas. Obowiązują pewne zasady.

To wywołało kilka gwałtownych westchnień i jedno

jęknięcie.

– Dzisiaj nikt już tak nie myśli, wodzu – odrzekł Scorry, podpierając się włócznią.

– Zobacz, ile pieniędzy ma taki byle kto jak Sutt Kruchy – zauważył Brack.

– Podczas gdy my żywimy się szczynami i zadowolamy marnym żołdem! – ryknął Yon.

– Tyle wam przysługuje, a ja zadbam, żebyście dostali żołd za wczorajsza walkę. Ale zostawcie ciała w spokoju. Jeśli chcecie być jak Sutt Kruchy, błagajcie o miejsce w drużynie Glamy Złotego i całe dnie spędzajcie na rabunku. – Gnat nie był pewien, co go tak irytuje. Wcześniej przymykał oko na takie zachowania, a w młodości sam się ich dopuszczał. Nawet Trójdrzewiec kilka razy pozwolił swoich chłopcom na okradzenie trupa. Ale teraz był rozdrażniony i postanowił, że nie może się wycofać. – Kim jesteście? – burknął. – Ludźmi Imiennymi czy złodziejami?

– Jesteśmy biedakami, ot co – odparł Yon. – I zaczynamy...

– Co jest, do kurwy nędzy? – Cudna wytręciła Drofdowi monety z dłoni, posyłając je na trawę. – Kiedy zostaniesz wodzem, Wesoly Yonie Cumberze, będziesz mógł postępować po swojemu. Ale do tego czasu słuchamy Gnata. Jesteśmy Ludźmi Imiennymi. A przynajmniej ja jestem, nie wiem jak wy. Ruszcie grube dupska, bo za chwilę będziecie narzekali na swoją biedę do żołnierzy Unii.

– Nie robimy tego dla pieniędzy – odezwał się Whirrun, przechodząc obok pozostałych z Ojcem Mieczy na ramieniu.

Yon rzucił mu posępne spojrzenie.

– Może ty nie, Rąbnięty. Ale niektórzy z nas nie mieliby nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zarobić odrobinę złota.

– Następnie oddalił się kręcąc głową i pobrzękując kolczugą,

a Brack i Scorry wzruszyli ramionami, po czym podążyli jego śladem.

Cudna nachyliła się w stronę Gnata.

– Czasami mam wrażenie, że im bardziej inni mają coś w dupie, tym bardziej ty musisz się tym przejmować.

– Do czego dążysz?

– Nie zmienisz świata na własną rękę.

– Obowiązują pewne zasady – odburknął.

– Nie uważasz, że najważniejszą z nich jest dbanie o to, by wszyscy byli żywi i szczęśliwi?

Najgorsze, że miała rację.

– To o to nam teraz chodzi?

– Myślałam, że zawsze nam o to chodziło.

Gnat uniósł brwi.

– Wiesz co? Ten twój mąż naprawdę powinien cię nauczyć szacunku.

– Ta baba? Boi się mnie niemal tak bardzo jak wy. Chodźmy!

– Dźwignęła Drofda za łokieć i drużyna szybkim krokiem przeszła przez wyłom w murze. A raczej tak szybkim, na ile pozwalały kolana Gnata. Ruszyli na północ nierównym szlakiem, którym przyszli, zostawiając Bohaterów wojskom Unii.

Gnat brnął między drzewami, obgryzając paznokcie dłoni, którą posługiwał się mieczem. Dłoń, w której dzierżył tarczę, ogryzł wcześniej aż do knykci. Przeklęte paznokcie za wolno odrastały. Mniej się bał, gdy tamtego wieczoru wspinał się do Bohaterów, niż teraz, gdy wracał do Czarnego Dowa, by powiedzieć mu, że stracił wzgórze. To chyba nic dobrego, jeśli mniej obawiasz się wroga niż własnego wodza? Żałował, że nie

jest wśród przyjaciół, ale postanowił wziąć ewentualną winę na swoje barki. W końcu to on dokonał wyboru.

W lesie ludzie roili się jak mrówki w trawie. Carlowie Czarnego Dowa – weterani o zimnych głowach i sercach, chętnie dzielący się stalą. Niektórzy mieli na sobie zbroje płytowe podobne do pancerzy żołnierzy Unii, inni trzymali dziwaczne bronie zakończone dziobami, kolcami albo hakami, które służyły do przebijania stali, oraz różnorakie nowatorskie wynalazki, bez których świat byłby lepszym miejscem. Gnat wątpił, by którykolwiek z tych ludzi zawahał się przed zabraniem kilku monet umarłemu, nie mówiąc o żywych.

Przez większość życia był wojownikiem, jednak tłumy takich ludzi wciąż go niepokoiły, a im był starszy, tym mniej do nich pasował. Lada chwila uznają go za oszusta. Zdadzą sobie sprawę, że łatanie dziurawej odwagi każdego ranka coraz więcej go kosztuje. Skrzywił się, gdy wbił zęby w żywe ciało, po czym szybko cofnął dłoń.

– To nic dobrego, gdy Człowiek Imienny cały czas się boi – mruknął pod nosem.

– Co? – Dreszcz poruszał się tak cicho, że Gnat niemal o nim zapomniał.

– Boisz się czasami, Dreszczu?

Chwila milczenia, lśniące oko spoglądające między gałęziami.

– Kiedyś tak. Bez przerwy.

– Co się zmieniło?

– Wypalono mi oko.

Koniec z pogawędką dodającą otuchy.

– To rzeczywiście może zmienić ogląd sytuacji.

– Zmniejsza go o połowę.

Obok szlaku beczwały owce stłoczone w zbyt ciasnej zagrodzie. Z pewnością zostały zagrabione jakimś pechowemu pasterzowi, którego dorobek życia miał zniknąć w gardzielach i wyjść przez dupy wojowników Czarnego Dowa. Za zasłoną ze skór, niecałe dwa kroki od stada, jedna z kobiet zarzynała zwierzęta, a trzy kolejne obdzierały je ze skóry, patroszyły i wieszały tusze. Choć były unurzane we krwi aż po pachy, zupełnie się tym nie przejmowały.

Patrzyli na to dwaj młodzieńcy, którzy zapewne dopiero niedawno osiągnęli wiek odpowiedni do walki. Śmiali się z głupoty owiec, które nie domyślały się, co się dzieje za skórami. Nie rozumieli, że oni także są w zagrodzie, a za zasłoną z pieśni, opowieści i chłopięcych marzeń czeka wojna, unurzana po pachy we krwi i obojętna. Gnat to wszystko dostrzegał. Dlaczego więc wciąż pokornie siedział w swojej zagrodzie? Może stare owce nie potrafią skakać przez nowe ogrodzenia.

Czarny sztandar Obrońcy Północy wbito w ziemię przed jakąś porośniętą bluszczem ruiną, którą dawno temu pochłonał las. Na polanie uwijali się wojownicy, a niespokojne konie stały przywiązane w długich rzędach. Obracał się kamień szlifierski napędzany pedałem, jęczał metal, strzelały iskry. Jakaś kobieta tłukła młotkiem w koło od wozu. Kowal pracował nad kolczugą, posługując się szczypcami i metalowymi kólkami, które trzymał w ustach. Dzieci biegały dookoła z naręczami strzał, wiadrami na nosidłach, workami ze zmarli wiedząc czym. Przemoc to skomplikowana sprawa, gdy nabierze odpowiednio dużej skali.

Jeden z mężczyzn leżał na kamiennej płycie, dziwnie spokojny pośród całego tego bezproduktywnego wysiłku. Oparł się na łokciach, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy. Całe ciało chował w cieniu, ale okruch słońca prześwitującego między

konarami padał na jego kpiąco uśmiechniętą twarz, dzięki czemu promieniowała podwójnym blaskiem.

– Na spokój zmarłych. – Gnat podszedł do niego i zatrzymał się, patrząc w dół. – Toż to księżę niczego ważnego. Czy to damskie buty?

– Styriańska skóra. – Calder lekko uchylił powieki i wykrzywił usta, jak zwykł robić od dzieciństwa. – Curnden Gnat. Jeszcze żyjesz, stary gnoju?

– Męczy mnie kaszel. – Gnat zacharczał i splunął flegmą na stary kamień pomiędzy eleganckimi butami Caldera. – Ale pewnie się wylizę. Kto się pomylił i pozwolił ci tu przypełznąć z wygnania?

Calder opuścił nogi na ziemię.

– Nikt inny jak sam wielki Obrońca. Pewnie nie potrafi pokonać Unii bez mojej potężnej prawicy.

– Jaki ma plan? Chce ją odrąbać i rzucić nią we wrogów?

Calder szeroko rozłożył ręce.

– Jak mógłbym cię wtedy uściskać? – Po czym padli sobie w ramiona. – Dobrze znów cię widzieć, stary głupcze.

– Ciebie także, zakłamany skurwielu.

Dreszcz przez cały czas patrzył na nich z cienia, marszcząc czoło.

– Widzę, że się lubicie – mruknął.

– Cóż, praktycznie wychowałem tego małego drania! – Gnat zmierzwił włosy Caldera knykциями. – Poilem go mlekiem z wyciskanej szmaty.

– Był dla mnie jak matka – rzekł Calder.

Dreszcz powoli pokiwał głową.

– To wiele tłumaczy.

– Powinniśmy porozmawiać. – Calder ścisnął Gnata za rękę. – Brakuje mi naszych rozmów.

– Mnie także. – Gnat ostrożnie się cofnął, gdy obok niego koń stanął dęba, przewracając wóz i posyłając na ziemię splątana stertę włóczni. – Prawie tak bardzo jak porządnego łożka. Ale dzisiaj może nam się to nie udać.

– Może i nie. Słyszałem, że wkrótce szykuje się jakaś bitwa? – Calder się cofnął, wyrzucając ręce w górę. – To mi popsuje całe popołudnie!

Odchodząc, Gnat minął klatkę, w której siedziało w kucki dwóch brudnych nagich Północnych. Jeden wystawiał rękę między kratami, licząc na odrobinę wody lub miłosierdzie albo po to, by chociaż część jego ciała była wolna. Dezerterów wieszano na miejscu, więc to musieli być złodzieje bądź mordercy. Czekali na decyzję Czarnego Dowa, który zapewne i tak ich powiesi, a dodatkowo jeszcze potraktuje ogniem. To dziwne zamykać ludzi za kradzież, gdy cała armia utrzymuje się z rabunku. Wieszac ludzi za morderstwo, skoro zadaniem wojska jest zabijać. Jak rozpoznać zbrodnię, kiedy wszyscy zabierają innym, co tylko chcą?

– Dow chce cię widzieć. – Rozcięstopy stał ze zmarszczonym czołem w łukowatym przejściu. Zawsze był ponurym draniem, ale dziś wyglądał wyjątkowo nieprzyjemnie. – Tam.

– Chcesz mój miecz? – Gnat już wysuwał go z pochwy.

– Nie trzeba.

– Czyżby? Od kiedy Czarny Dow ufa ludziom?

– Nie ludziom. Tylko tobie.

Gnat nie był pewien, czy to dobry znak.

– Zatem w porządku.

Dreszcz chciał podążyć za nimi, ale Rozciętostopy zatrzymał go jedną dłonią.

– Ciebie Dow nie wzywał.

Gnat zauważył zmrużone oko Dreszcza, po czym wzruszył ramionami i zniknął w porośniętym bluszczem przejściu, czując się tak, jakby wkładał głowę w paszczę wilka, i zastanawiając się, kiedy ta się zatrzaśnie. Przeszli korytarzem obwieszonym pajęczynami, w którym rozbrzmiewało echo kapiącej wody. Wyszli na rozległy teren porośnięty kolczastymi krzakami i otoczony strzaskanymi kolumnami, których część wciąż podtrzymywała zburzoną komnatę pozbawioną dachu. Przez chmury zaczynał prześwitywać błękit. Dow siedział na Tronie Skarlinga po drugiej stronie zrujnowanej sali, bawiąc się główką miecza. Obok niego siedział Caul Reachey i drapał się po białym krótkim zaroście.

– Kiedy wydam rozkaz – mówił Dow – ruszysz ze wszystkimi siłami na Osrung. Tam są słabi.

– Skąd wiesz?

Dow mrugnął.

– Mam swoje sposoby. Mają zbyt wielu ludzi i za mało dróg. Bardzo się tutaj śpieszyli, więc ich oddziały są nadmiernie rozciągnięte na szlaku. W mieście znajdują się tylko nieliczni jeźdźcy oraz kilku chłopców Wilczarza. Zanim dotrzemy na miejsce, może do nich dołączyć piechota, ale nie na tyle liczna, by cię powstrzymać, jeśli dostatecznie mocno uderzysz.

– Uderzę mocno – odrzekł Reachey. – Tym nie musisz się przejmować.

– Nie przejmuję się. Właśnie dlatego posyłam cię przodem. Chcę, żebyście ponieśli mój sztandar na czele. Razem ze sztandarami Złotego, Żelaznogłowego i twoim. Tak, aby wszyscy

go widzieli.

– Żeby pomyśleli, że to nasz ostateczny atak.

– Przy odrobinie szczęścia ściągną część ludzi z Bohaterów i wzgórze będzie słabiej bronione. Gdy znajdą się pomiędzy głazami a miasteczkiem, dam znać chłopcom Złotego, a oni dobiorą się im do dupy. Tymczasem ja, Żelaznogłowy i Dziesięć Sposobów odbijemy Bohaterów.

– Jak masz zamiar to zrobić?

Dow uśmiechnął się łakomie.

– Wbiegniemy na wzgórze i zabijemy wszystko, co się rusza.

– Będą mieli dość czasu, by się przygotować, a to trudny teren do prowadzenia szarży. Tam będą najsilniejsi. Moglibyśmy ich zająć z boku...

– Tam są najsilniejsi. – Dow wbił miecz w ziemię przed tronem. – A tutaj najslabsi. – Postukał palcem w swoją pierś. – Od miesiący próbujemy ataków z flanki, więc nie będą się spodziewali frontального natarcia. Jeśli złamiemy ich na wzgórze, złamiemy ich tutaj. – Ponownie uderzył się w pierś. – A wtedy reszta się rozsypie. Jeżeli będzie trzeba, Złoty ruszy za nimi w pogoń przez brody. Aż do Adwein. Wtedy Szalka na prawym skrzydle powinien być gotowy do zajęcia Starego Mostu. Ty wprowadzisz główne siły do Osrungu, więc kiedy jutro pojawi się reszta sił Unii, będziemy kontrolowali wszystkie najważniejsze miejsca.

Reachey powoli wstał.

– Masz rację, wodzu. Sprawimy, że ten dzień spłynie czerwienią. Napiszą o nim pieśni.

– Sram na pieśni – odparł Dow, również wstając. – Wystarczy mi zwycięstwo.

Na chwilę złączyli dłonie, po czym Reachey ruszył w stronę

wejścia. Gdy zobaczył Gnata, powitał go szczerbatym uśmiechem.

– Stary Caul Reachey. – Gnat wyciągnął dłoń.

– Curnden Gnat we własnej osobie. – Reachey chwycił prawicę Gnata, a drugą ręką nakrył ją od góry. – Niewielu pozostało ludzi takich jak my.

– Takie nastały czasy.

– Jak kolano?

– No wiesz. Jest jak jest.

– U mnie podobnie. A Yon Cumber?

– Zawsze skory do żartów. Co słyhać u Mokrego?

Reachey się wyszczerzył.

– Kazałem mu się zająć nowymi rekrutami. Prawie sami zaszczający.

– Może się wyrobią.

– Miejmy nadzieję, że zrobią to szybko. Słyszałem, że czeka nas bitwa. – Reachey, przechodząc, klepnął go w ramię. – Będę czekał na rozkazy, wodzu! – Po czym zostawił Gnata i Czarnego Dowa patrzących na siebie ponad kilkoma krokami zasypanego gruzem, zachwaszczonego, zarośniętego pokrzywami starego błota. Ptaki świergotały, liście szeleściły, ciche pobrzękiwanie metalu przypominało, że czeka ich krwawe zadanie.

– Wodzu. – Gnat oblizwał usta, nie mając pojęcia, jak potoczy się ta rozmowa.

Dow wziął głęboki wdech, po czym wrzasnął ze wszystkich sił:

– Kazałem ci utrzymać to jebane wzgórze!

Gnat zmartwiał, gdy krzyk odbił się echem od rozsypujących się ścian. Wygląda na to, że nie będzie łatwo. Zastanawiał się,

czy przed zmierzchem on także nie znajdzie się nago w klatce.

– Utrzymałem je... dopóki nie pojawiła się Unia...

Dow się zbliżył, ściskając w jednej dłoni pochwę z mieczem, a Gnat z trudem powstrzymał się przed cofnięciem. Następnie Dow się nachylił, a Gnat z trudem powstrzymał grymas lęku. Potem Dow uniósł rękę i położył ją delikatnie na obolałym ramieniu Gnata, ten zaś z trudem powstrzymał drżenie.

– Przepraszam – rzekł wódz cicho. – Muszę dbać o swoją reputację.

Fala oszałamiającej ulgi.

– Jasne, wodzu. Nie żałuj sobie. – Zmrużył oczy, gdy Dow ponownie zaczerpnął tchu.

– Ty bezużyteczny kulawy skurwielu! – Zbryzgał twarz Gnata śliną, po czym niezbyt delikatnie poklepał go po obtartym policzku. – A więc się im postawiłeś?

– Tak. Czerstwemu i jego chłopcom.

– Pamiętam tego starego drania. Ilu ich było?

– Dwudziestu dwóch.

Na twarzy Dowa zagościło coś pomiędzy uśmiechem a grymasem.

– A was ilu, dziesięcioro?

– Zgadza się, wliczając Dreszcza.

– I zatrzymaliście ich?

– Cóż...

– Kurwa, szkoda, że mnie tam nie było! – Dow drżał z żądy krwi, wpatrując się w pustkę, jakby widział Czerstwego i jego chłopców wspinających się na wzgórze i nie mógł się ich doczekać. – Szkoda, że mnie tam nie było! – Machnął głowicą miecza i odłupał kilka okruchów kamienia z najbliższej

kolumny, a Gnat ostrożnie się cofnął. – Zamiast tego tylko siedziałem na dupie i gadałem. Cały czas, kurwa, gadałem! – Dow splunął, zaczerpnął tchu, po czym przypomniał sobie o Gnacie i przeniósł na niego wzrok. – Widziałeś nadchodzące wojska Unii?

– Co najmniej tysiąc na drodze do Adwein i miałem wrażenie, że za nimi podążają kolejni.

– Dywizja Jalenhorma – odrzekł Dow.

– Skąd wiesz?

– Mam swoje sposoby.

– Na spokojnie... – Gnat gwałtownie się cofnął, zaczepił o kolczaste gałęzie i prawie upadł. Na jednym z najwyższych murów leżała kobieta. Zwisła z niego z opuszczoną głową jak kawałek mokrego sukna, kołysząc opuszczoną ręką i nogą, zupełnie jakby odpoczywała na ogrodowej ławce, a nie balansowała na rozsypującej się stercie gruzu sześć kroków nad ziemią.

– To moja przyjaciółka. – Dow nawet nie podniósł wzroku. – Cóż... kiedy mówię przyjaciółka...

– Wróg wroga. – Sturlała się ze szczytu muru. Gnat czekał na odgłos ciała uderzającego o piach. – Mam na imię Ishri – szepnęła mu do ucha.

Tym razem upadł na tyłek. Stała nad nim. Jej skóra była czarna, gładka i idealna jak glazura na wykwintnym naczyniu. Miała na sobie długi płaszcz, którego rozwarte poły wlekły się po ziemi, a ciało pokrywały białe bandaże. Trudno o kogoś, kto bardziej przypominałby wiedźmę. Oczywiście, by to stwierdzić, wystarczył dowód w postaci zniknięcia z jednego miejsca i pojawienia się w drugim.

Dow ryknął śmiechem.

– Nigdy nie wiadomo, skąd ona wyskoczy. Zawsze się martwię, że pojawi się znikąd, kiedy akurat będę... no wiesz. – Poruszył pięścią w okolicach krocza.

– Chciałbyś – odrzekła Ishri, spoglądając w dół na Gnata oczami czarniejszymi od czerni, jak kawka wpatrująca się w robaka.

– Skąd się tu wzięłaś? – szepnął Gnat, wstając z ziemi i podskakując z powodu zeszywniałego kolana.

– Z Południa – odparła, chociaż jej skóra nie pozostawiała co do tego wątpliwości. – A może chodzi ci o to, po co tutaj przybyłam?

– Chętnie się tego dowiem.

– Żeby zrobić to, co trzeba – odparła z delikatnym uśmiechem. – Żeby walczyć ze złem. Zadawać potężne ciosy w imię prawości. A może... chodziło ci o to, kto mnie posłał?

– No dobrze, kto cię posłał?

– Bóg. – Uniosła oczy ku niebu obramowanemu sterczącymi chwastami i gałązkami. – Zresztą, jak mogłoby być inaczej? Bóg umieszcza nas wszyskch tam, gdzie jesteśmy mu potrzebni.

Gnat pomasaował kolano.

– No to ma główniane poczucie humoru.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Przybyłam, żeby walczyć z Unią. Czy to wystarczy?

– Mnie wystarczy – rzekł Dow.

Ishri przeniosła na niego spojrzenie czarnych oczu, a Gnat odetchnął z ulgą.

– Liczne oddziały zajmują wzgórze.

– Ludzie Jalenhorma?

– Tak sądzę. – Wyprostowała się, kołysząc całym ciałem,

jakby w ogóle nie miała kości. Przypominała Gnatowi węgorze, które w dzieciństwie łapali w jeziorze niedaleko jego warsztatu. Piszczeli z radości, gdy wyskakiwały z sieci i wiły im się w rękach. – Wy, grubi różowi ludzie, wszyscy wyglądacie tak samo.

– A co z Mitterickiem? – spytał Dow.

Jej kościste ramiona uniosły się i opadły.

– Wlecze się gdzieś z tyłu, wściekły, że Jalenhorm stoi mu na drodze.

– Meed?

– Cóż to za radość znać wszystkie odpowiedzi? – Minęła Gnata wesołym krokiem, stąpając na palcach, prawie ocierając się o niego, aż musiał nerwowo się cofnąć i niemal ponownie się przewrócić. – Bóg z pewnością jest niezwykle znudzony. – Wbiła stopę w szparę w ścianie zbyt wąską nawet dla kota, po czym wykręciła nogę i zagłębiła ją w otworze aż po biodro. – A więc do dzieła, moi bohaterowie! – Zaczęła się więc jak dżdżownica przecięta na pół, wciskając się w strzaskaną ścianę i szorując płaszczem po omszałych kamieniach. – Czyż nie czeka na was bitwa? – Jej czaszka jakimś sposobem zmieściła się w szparze, a po niej ramiona. Klasnęła obandażowanymi dłońmi i nagle z otworu wystawał już tylko jeden palec. Dow podszedł do niego i go odłamał. To nie był palec, tylko uschnięta gałązka.

– Magia – mruknął Gnat. – Nie powiem, żebym za nią przepadał. – Z doświadczenia wiedział, że wyrządza więcej szkody niż pożytku. – Może i czarownicy od czasu do czasu się przydają, ale czy zawsze muszą się zachowywać tak dziwacznie?

Dow odrzucił gałązkę, marszcząc usta.

– Trwa wojna. Sięgnę po wszystko, co spełni swoje zadanie. Ale lepiej nie wspominajmy nikomu o naszej czarnoskórej

przyjaciółce. Ludzie mogliby odnieść mylne wrażenie.

– A jakie powinni odnieść wrażenie?

– O tym, kurwa, ja zdecyduję! – warknął Dow, tym razem nie udając wściekłości.

Gnat uniósł otwarte dłonie.

– To ty jesteś wodzem.

– Żebyś wiedział! – Dow popatrzył ze zmarszczonym czołem na szparę w ścianie. – Jestem wodzem. – Zupełnie jakby starał się przekonać samego siebie. Przez chwilę Gnat zastanawiał się, czy Czarny Dow kiedykolwiek czuje się jak oszust. Czy jego odwaga także wymaga łątania każdego ranka.

Nie spodobała mu się ta myśl.

– A więc walczymy?

Dow zerknął w bok, a na jego twarzy znów zagościł morderczy uśmiech pozbawiony najmniejszego śladu wątpliwości albo lęku.

– Najwyższy czas, kurwa. Słyszałeś, co mówiłem Reacheyowi?

– Mniej więcej. Ma ich ściągnąć w stronę Osrungu, a wtedy ruszysz prosto na Bohaterów.

– Prosto jak strzała! – warknął Dow, jakby krzyk mógł mu w tym pomóc. – Właśnie tak by to zrobił Trójdrzewiec, prawda?

– Czyżby?

Dow otworzył usta, po czym na chwilę zamilkł.

– A zresztą, czy to ważne? Trójdrzewiec od siedmiu zim spoczywa w ziemi.

– Prawda. Gdzie mam być ze swoją dwunastką?

– Oczywiście u mojego boku, gdy rozpocznę szarżę na Bohaterów. Spodziewam się, że na niczym nie zależy ci tak

bardzo jak na odebraniu wzgórza tym unijnym draniom.

Gnat przeciągle westchnął, zastanawiając się, co na ten temat powie jego dwunastka.

– Ależ tak. To moje największe pragnienie.

Najlepszy wzór

– Oficer powinien dowodzić z siodła, prawda, Gorst? Koński grzbiet to właściwe miejsce na kwaterę główną! – Generał Jalenhorm z uczuciem poklepał po szyi swojego wspaniałego siwka, po czym, nie czekając na odpowiedź, pochylił się, by wrzasnąć na przyszczatego kuriera. – Powiedz kapitanowi, że musi za wszelką cenę oczyścić drogę! Oczyścić drogę i popędzić swoich ludzi na górę! Liczy się każda chwila, chłopcze! Marszałek Kroy chce, żeby dywizja pomaszerowała na północ! – Okręcił się i wrzasnął przez drugie ramię: – Szybciej, panowie, szybciej! Ku Carleonowi i zwycięstwu!

Jalenhorm z pewnością wyglądał jak bohaterski zdobywca. Niezwykle młody jak na dowódcę dywizji i obdarzony uśmiechem, który zdawało się, że mówi, że jest gotowy na wszystko. Ubrany z podziwu godną bezpretensjonalnością w przykurzony mundur szeregowca, w siodle czuł się równie pewnie jak na ulubionym fotelu. Gdyby był choć w połowie tak dobrym taktykiem jak jeźdźcem, już dawno zakuliby Czarnego Dowa w łańcuchy i wystawili na widok publiczny na ulicach Adui.

Ale nie jest i tego nie zrobili.

Stale zmieniająca skład grupa oficerów sztabowych, adiutantów i oficerów łącznikowych, wśród których znalazł się nawet nastoletni trębacz, podążała z entuzjazmem śladem generała, jak osy za zgniłym jabłkiem, próbując choć na chwilę zwrócić jego uwagę, bezwstydnie powarkując, przepychając się

i przekrzykując. Tymczasem Jalenhorm wywrzaskiwał całe serie niejasnych i sprzecznych odpowiedzi, pytań, rozkazów, a czasami także refleksji nad życiem.

– Po prawej, oczywiście, że po prawej! – zawołał do jednego z oficerów. – Powiedz mu, żeby się nie martwił! Zamartwianie się niczego nie rozwiąże! – krzyknął do innego. – Wspinamy się! Marszałek Kroy chce, żeby wszyscy znaleźli się na szczycie przed obiadem! – Duży oddział wyczerpanej piechoty musiał zejść z drogi, przepuścić oficerów, po czym ruszyć ich śladem, łykając kurz. – Zatem wołowina – ryknął Jalenhorm, wykonując władczy gest – albo baranina, to nieistotne, mamy ważniejsze sprawy! Wejdzie pan ze mną na wzgórze, pułkowniku Gorst? Podobno z Bohaterów roztacza się piękny widok, a w końcu jest pan obserwatorem Jego Królewskiej Mości, czyż nie?

Raczej jego błaznem. Prawie takim jak ty.

– Tak, panie generale.

Jalenhorm zjechał z drogi i ruszył w stronę brodu, rozrzucając kamyki spod końskich kopyt. Pieczeniarze próbowali dotrzymać mu kroku, niedbale ochlapując wodą obładowaną piechotę, która zanurzona po pas z trudem brnęła ku drugiemu brzegowi. Wzgórze wznosiło się nad polami po drugiej stronie rzeki – potężny zielony stożek tak regularny, że sprawiał wrażenie sztucznego. Na jego płaskim czubku stał krąg głazów, które Północni nazywali Bohaterami. Na wzgórzu po prawej stronie wznosił się znacznie mniejszy krąg, a z kolejnego, położonego po lewej, sterczała pojedyncza wysoka skalna iglica.

W sadach na drugim brzegu powykręcane drzewa ugiwały się pod ciężarem czerwieniejących jabłek, a wzór z cieni znaczył rzadką trawę zasypaną gnijącymi owocami strąconymi przez wiatr. Jalenhorm pochylił się w siodle, zerwał jedno jabłko

z niskiej gałęzi i z zadowoleniem wbił w nie zęby.

– Faj. – Wzdrygnął się i wypluł kęs. – Pewnie nadają się tylko do gotowania.

– Panie generale Jalenhorm! – Zdyszany posłaniec popędzał konia batem, gnając ku nim wzdłuż rzędu drzew.

– Mów, człowieku! – Generał nie zwolnił, dalej jadąc kłusem.

– Major Kalf jest przy Starym Moście razem z dwoma oddziałami z czternastego regimentu. Pyta, czy ma podejść do pobliskiego gospodarstwa i ustawić umocnienia...

– Jak najbardziej! Naprzód. Musimy zyskać więcej miejsca! Gdzie jest reszta jego oddziałów? – Posłaniec zasalutował i pogalopował na zachód. Jalenhorm popatrzył na swoich oficerów, marszcząc czoło. – Gdzie pozostałe oddziały majora Kalfa? Reszta czternastego regimentu?

Cętki słonecznego światła ślizgały się po zmieszanych twarzach. Jeden z oficerów otworzył usta, ale nic nie powiedział. Inny wzruszył ramionami.

– Może coś ich zatrzymało w Adwein, panie generale, na tych wąskich drogach panuje duże zamieszanie...

Przerwał mu kolejny posłaniec, który nadszedł z przeciwnej strony na wierzchowcu pokrytym pianą.

– Panie generale! Pułkownik Vinkler pyta, czy powinien wysiedlić mieszkańców Osrungu z ich domów i zająć je na garnizon...

– Wysiedlić? Ależ nie!

– Zrozumiałem, panie generale! – Młodzieniec zawrócił konia.

– Zaczekaj! Tak, niech ich wysiedli i zajmie domy na garnizon. Zaczekaj! Nie. Nie. Warto mieć ludzi po swojej stronie, czyż nie, pułkowniku Gorst? Okażmy im trochę serca. A co pan

o tym sądzi?

Sądzę, że przyjaźń z królem sprawiła, że został pan awansowany znacznie powyżej stanowiska, na którym potrafi pan skutecznie działać. Sądzę, że byłby pan znakomitym porucznikiem, niezłym kapitanem, przeciętnym majorem albo kiepskim pułkownikiem, ale jako generał stanowi pan dla nas ciężar. Sądzę, że pan o tym wie i dlatego brakuje panu pewności siebie, co paradoksalnie sprawia, że zachowuje się pan tak, jakby miał jej zbyt wiele. Sądzę, że podejmuje pan nieprzemyślane decyzje, bezrefleksyjnie odrzuca niektóre pomysły, a innych broni wbrew wszelkim argumentom, uważając, że poprzez zmianę decyzji okazałby pan słabość. Sądzę, że zajmuje się pan detalami, które lepiej zostawić podwładnym, obawiając się zaangażowania w poważniejsze kwestie, co sprawia, że podwładni pytają pana o każdy drobiazg, a pan partaczy każdą decyzję. Sądzę, że jest pan porządnym, uczciwym i odważnym człowiekiem. A także głupcem.

– Okażmy im trochę serca – odrzekł Gorst.

Jalenhorm się rozpromienił, a posłaniec odjechał, by wzbudzić wśród mieszkańców Osrungu sympatię dla Unii, pozwalając im pozostać we własnych domach. Reszta oficerów wyłoniła się z cienia jabłonek i popatrzyła na wznoszące się przed nimi trawiaste wzgórze.

– Za mną, chłopcy, za mną! – Jalenhorm popędził swojego rumaka w górę zbocza, z łatwością utrzymując równowagę w siodle. Członkowie jego świty z trudem dostosowali się do narzuconego tempa, a jeden łysiejący kapitan niemal spadł z konia po uderzeniu głową w niską gałąź.

Szczyt wzgórza otaczał stary kamienny mur zbudowany bez zaprawy, porośnięty zielskiem i w najwyższym miejscu

nieprzekraczający dwóch kroków wysokości. Jeden z pełnych zapału młodych podporuczników próbował się popisać, przeskakując przeszkodę, ale jego wierzchowiec się zawahał i prawie go zrzucił.

Celna metafora dla dotychczasowego zaangażowania Unii na Północy – mnóstwo próżności, która i tak kończy się upokorzeniem.

Jalenhorm i jego oficerowie przejechali w rzędzie przez wąską lukę w murze. Pradawne głązy na szczycie rosły z każdym uderzeniem kopyta, aż wreszcie otoczyły Gorsta i pozostałych, gdy znaleźli się na płaskim wierzchołku.

Zbliżało się południe, palące słońce stało wysoko na niebie, poranne mgły już się rozwiały, i nie licząc kilku strzelistych białych chmur, które rzucały niezgrabne cienie na lasy na północy, dolina była skąpana w złotym blasku. Wiatr kołysał zbożem, brody na rzece lśniły, a flaga Unii dumnie łopotała nad najwyższą wieżą w Osrungu. Na południe od rzeki drogi przysłaniał pył wzbijany przez tysiące maszerujących mężczyzn. Metal błyskał w miejscach, w których poruszali się żołnierze: piechota, kawaleria, zaopatrzenie, wszystkie niemrawo nadciągały z południa. Jalenhorm wstrzymał konia i popatrzył z niezadowoleniem na swoje wojsko.

– Psiakrew, przemieszczamy się za wolno. Majorze!

– Tak, panie generale?

– Proszę pojechać do Adwein i spróbować ich tam popędzić! Musimy wprowadzić więcej ludzi na wzgórze i do Osrungu. Zająć większy teren!

– Tak jest, panie generale!

– Jeszcze jedno, majorze.

– Tak?

Jalenhorm przez chwilę siedział z otwartymi ustami.

– Nieważne. Proszę jechać!

Mężczyzna ruszył w niewłaściwym kierunku, zauważył swój błąd, po czym zjechał ze wzgórza tą samą drogą, którą się na nie wspięli.

W szerokim trawiastym kręgu między Bohaterami panowało zamieszanie. Konie przywiązano do dwóch głązów, ale jeden rumak się uwolnił i teraz ogłuszająco hałasował, strasząc pozostałe wierzchowce i dziko wierzgając, podczas gdy kilku przerażonych stajennych rozpaczliwie próbowało chwycić go za uprząż. Sztandar szóstego regimentu Jego Królewskiej Mości wisiał bezwładnie na środku okręgu obok wygasłego ogniska, przytłoczony przez ogromne głązy, które otaczały go ze wszystkich stron. Nie poprawiało to morale żołnierzy.

Chociaż nie oszukujmy się, mojemu morale nic już nie pomoże, pomyślał Gorst.

Przewrócono na bok dwa niewielkie wozy, które jakimś sposobem wciągnięto na wzgórze, i wysypano na trawę ich zróżnicowaną zawartość – od namiotów po patelnie, od narzędzi kowalskich po nową lśniącą tarę do prania – wśród której żołnierze myszkowali niczym złodzieje plądrujący czyjś dobytek.

– Co tu się, do diabła, dzieje, sierżancie? – rzucił Jalenhorm, spinając konia ostrogami.

Speszony mężczyzna podniósł wzrok i napotkał spojrzenia generała oraz dwóch tuzinów oficerów sztabowych. Przełknął ślinę.

– Cóż, panie generale, brakuje nam bełtów do kusz.

– I co w związku z tym?

– Wygląda na to, że ludzie, którzy pakowali sprzęt, uznali

amunicję za niezwykle ważną.

– To zrozumiałe.

– Dlatego zapakowali ją w pierwszej kolejności.

– W pierwszej...

– Tak, panie generale. Czyli na samym dniu.

– Na dzień?

– Panie generale! – Pośpiesznie zbliżył się do nich mężczyzna w nieskazitelnym mundurze. Wysoko uniósł podbródek i zasalutował Jalenhormowi z takim impetem, że trzask jego wypolerowanych obcasów odbił się bolesnym echem.

Generał zeskoczył z siodła i uścisnął dłoń przybysza.

– Pułkowniku Wetterlant, miło pana widzieć! Jak wygląda sytuacja?

– Całkiem nieźle, panie generale. Przybyła już większość szóstego regimentu, chociaż brakuje nam dużej części sprzętu. – Wetterlant poprowadził generała po trawie, a żołnierze starali się zrobić im trochę miejsca pośród chaosu. – Pojawił się także jeden batalion z regimentu Rostoda, chociaż nie wiadomo, co się stało z ich dowódcą.

– Pewnie powaliła go podagra... – mruknął ktoś.

– Czy to grób? – spytał Jalenhorm, wskazując skrawek pokrytej odciskami butów świeżej gleby w cieniu jednego z głązów.

Pułkownik zmarszczył brwi.

– Cóż, wydaje mi się...

– Północni się pokazali?

– Kilku moich ludzi widziało jakiś ruch w lesie na północy, ale nie mamy pewności, czy to był wróg. Możliwe, że to tylko owce. – Wetterlant przeprowadził ich pomiędzy dwoma

wysokimi głazami. – Poza tym ani śladu tych drani. Oczywiście nie licząc tego, co po sobie zostawili.

– Uch. – Jeden z oficerów sztabowych szybko odwrócił wzrok. Na ziemi ułożono w rzędzie kilka zakrwawionych ciał. Jedno z nich zostało przecięte na pół i straciło lewą rękę. Muchy uwijały się na odsłoniętych wnętrznościach.

– Czy doszło tutaj do starcia? – spytał Jalenhorm, surowo patrząc na trupy.

– Nie, to wczorajsze ofiary. Nasi ludzie. Najwyraźniej zwiadowcy Wilczarza. – Pułkownik wskazał niewielką grupę Północnych zajęętą kopaniem grobów. Wśród nich najbardziej rzucali się w oczy wysoki wojownik z czerwonym ptakiem na tarczy oraz krępy starzec.

– A koń? – Zwierzę leżało na boku ze strzałą sterczącą z wzdętego brzucha.

– Trudno powiedzieć.

Gorst przyjrzał się fortyfikacjom, które już teraz robiły duże wrażenie. Włócznicy ustawiali się obok siebie przy kamiennym murze na wzgórzu, zastawiając lukę, przez którą nierówny szlak biegł w dół zbocza. Za nimi, bliżej szczytu, szeroki zakrzywiony dwuszereg kuszników przygotowywał bełty i kusze albo się lenił, z niezadowoleniem żując suche racje żywnościowe. Dwóch mężczyzn najwyraźniej kłóciło się o wynik rozgrywki w kości.

– Dobrze – rzekł Jalenhorm. – Dobrze. – Nie sprecyzował, co spotkało się z jego aprobatą. Zmarszczył czoło i popatrzył na mozaikę pól i pastwisk, na kilka gospodarstw oraz drzewa porastające północną stronę doliny. Był to gęsty las podobny do tego, który powszechnie występował w całym kraju, monotonia drzew, którą zaburzały tylko niewyraźne paski dwóch dróg wiodących na północ pomiędzy wzgórzami. Jedna z nich

zapewne prowadziła do Carleonu. Ku zwycięstwu.

– Może tam być dziesięciu Północnych albo dziesięć tysięcy – szepnął Jalenhorm. – Musimy być ostrożni. Nie wolno nam lekceważyć Czarnego Dowa. Wiesz, Gorst, byłem pod Cumnurem, gdzie zginął książę Ladisła. Co prawda, pojawiłem się tam w przeddzień bitwy, ale byłem na miejscu. To był czarny dzień dla wojsk Unii. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny, prawda?

Zatem stanowczo nalegam, by pan zrezygnował ze stanowiska i oddał dowodzenie w ręce kogoś bardziej kompetentnego.

– Nie, panie generale.

Jalenhorm już się odwrócił, by porozmawiać z Watterlantem. Gorst nie mógł go za to winić. Kiedy ostatnio powiedziałem coś godnego wysłuchania? Tylko bezbarwne przytakiwanie i wymijający bełkot. Z beczenia kozy byłoby tyle samo pożytku. Odwrócił się plecami do grupki oficerów sztabowych, po czym podszedł do Północnych, którzy kopali groby. Siwy starzec patrzył na niego, opierając się na łopacie.

– Nazywam się Gorst.

Starzec uniósł brwi.

Zdziwił się, że żołnierz Unii odzywa się w mowie Północy, czy że taki wielki chłop ma głos jak dziewczynka?

– Jestem Czerstwy. Walczę dla Wilczarza. – Jego słowa były lekko zniekształcone w rozbitych ustach.

Gorst wskazał głową trupy.

– To twoi ludzie?

– Tak.

– Walczyliście na wzgórzu?

– Przeciwno tuzinowi wojowników dowodzonych przez człowieka zwanego Curnden Gnat. – Pomasował poobijaną szczękę. – Mieliśmy przewagę liczebną, ale przegraliśmy.

Gorst rozejrzył się ze zmarszczonym czołem po kamiennym kręgu.

– Mieli przewagę terenu.

– Oraz Whirruna z Bligh.

– Kogo?

– To jebany bohater – parsknął mężczyzna z czerwonym ptakiem na tarczy.

– Pochodzi z dolin na dalekiej północy – odrzekł Czerstwy. – Gdzie śnieg pada każdego przeklętego dnia.

– Szalony drań – mruknął jeden z ludzi Czerstwego, trzymając się za obandażowaną rękę. – Powiadają, że pije własne szczyny.

– Ja słyszałem, że jada dzieci.

– Ma miecz, który podobno spadł z nieba. – Czerstwy otarł czoło wierzchem grubego przedramienia. – Tam pośród śniegów oddają tej broni cześć.

– Czczą miecz? – spytał Gorst.

– Uważają, że Bóg go upuścił albo coś w tym rodzaju. Kto wie, w co oni tam wierzą? Tak czy inaczej, Whirrun Rąbnięty to niebezpieczny drań. – Czerstwy dotknął językiem luki w uzębieniu, całkiem nowej, sądząc po grymasie, który wykrzywił mu twarz. – Wiem to z doświadczenia.

Gorst popatrzył w stronę lasu. Drzewa lśniły ciemnozielono w promieniach słońca.

– Myślisz, że ludzie Czarnego Dowa są blisko?

– Sądzę, że tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ Gnat stanął do walki przeciwko przeważającym siłom, a to nie jest człowiek, który walczy bez powodu. Czarny Dow koniecznie chciał zdobyć to wzgórze. – Czerstwy wzruszył ramionami, po czym wrócił do kopania. – Pochowamy tych biedaków, a potem opuścimy Bohaterów. Straciłem na tym przeklętym zboczcu ząb i siostrzeńca. Nie mam zamiaru zostawić niczego więcej.

– Dziękuję. – Gorst ponownie odwrócił się w stronę Jalenhorma i jego oficerów, którzy byli zajęci debatowaniem, czy drużyna, która przybędzie jako ostatnia, powinna zająć miejsce za czy przed sypiącym się murem. – Generale! – zawołał. – Zwiadowcy uważają, że Czarny Dow może być w pobliżu!

– Mam nadzieję! – odparował Jalenhorm, chociaż było widać, że nie słucha. – Miejsca przepraw są w naszych rękach! Naszym pierwszym celem było zajęcie wszystkich trzech!

– Myślałem, że przez rzekę można się przeprawić w czterech miejscach. – Był to zaledwie dyskretny szept, jednak wszyscy natychmiast umilkli i obejrzelili się na bladego młodego porucznika, który ze zdziwieniem odkrył, że znalazł się w centrum uwagi.

– Czterech? – Jalenhorm podszedł do żołnierza. – Jest Stary Most na zachodzie. – Machnął ręką, niemal przewracając tęgiego majora. – Most w Osrungu na wschodzie. A także bród, którym przeszliśmy. To trzy miejsca. – Generał pomachał trzema masywnymi palcami przed twarzą porucznika. – Kontrolujemy je wszystkie.

Młodzieniec poczerwieniał.

– Jeden ze zwiadowców powiedział mi, że istnieje ścieżka wiodąca przez bagna, panie generale, na zachód od Starego

Mostu.

– Ścieżka przez bagna? – Jalenhorm zmrużył oczy i popatrzył na zachód. – Tajne przejście? Przecież Północni mogą z niego skorzystać i zejść nas od tyłu! Dobra robota, chłopcze!

– Dziękuję, panie generale...

Generał obrócił się w jedną stronę, potem w drugą, wierząc piętami w błocie, oglądając się, jakby właściwa strategia zawsze kryła się za jego plecami.

– Kto jeszcze nie przeprawił się przez rzekę?

Oficerowie kłębili się, za wszelką cenę próbując pozostać na linii jego wzroku.

– Czy ósmy regiment już jest na wzgórzu?

– Myślałem, że reszta trzynastego...

– Kawalerzyści z pierwszego regimentu pułkownika Vallimira wciąż zajmują pozycje!

– Chyba mają gotowy jeden batalion, który właśnie ponownie otrzymał konie...

– Znakomicie! Niech pułkownik Vallimir poprowadzi go przez bagna.

Dwóch oficerów mruknęło potakująco. Pozostali wymienili nerwowe spojrzenia.

– Cały batalion? – szepnął jeden. – Czy ta ścieżka jest odpowiednia dla...

Jalenhorm uciszył ich machnięciem ręki.

– Pułkowniku Gorst! Niech pan wróci na drugi brzeg rzeki i przekaże moje życzenie pułkownikowi Vallimirowi, tak by wróg nie sprawił nam żadnej nieprzyjemnej niespodzianki.

Gorst przez chwilę milczał.

– Generale, wolałbym pozostać tam, gdzie mogę...

– Doskonale rozumiem. Chce pan być blisko akcji. Jednak w swoim ostatnim liście król prosił, abym za wszelką cenę chronił pana przed niebezpieczeństwem. Niech pan się nie martwi, pierwszy szereg poradzi sobie bez pana. My, przyjaciele króla, musimy się trzymać razem, czyż nie?

Królewskie błazny w barwnych wojskowych szatach płaszące przy szalonych dźwiękach tej samej trąbki sygnałowej! Niech ten z zabawnym głosem znów zrobi gwiazdę, pękam ze śmiechu!

– Oczywiście, panie generale. – Gorst ciężko ruszył w stronę swojego wierzchowca.

Szalka

Calder z kpiącym uśmiechem przyklejonym do twarzy popędził konia ścieżką tak niewyraźną, że nie był pewien, czy mu się nie przywidziała. Nie wiedział, czy Głęboki i Płytki go pilnują, ale podejrzewał, że tak, w końcu był dla nich najlepszym źródłem pieniędzy. Szczerze mówiąc, Głęboki i Płytki nie na wiele by się zdali, gdyby taki człowiek jak Calder potrafił ich wypatrzeć, ale na spokój zmarłych, przydałoby mu się jakieś towarzystwo. Jak skórka chleba rzucona głodującemu, spotkanie z Curndenem Gnatem sprawiło, że Calder jeszcze bardziej zatęsknił za przyjaznymi twarzami.

Przejechał między ludźmi Żelaznogłowego, nasiąkając ich pogardą, następnie między ludźmi Dziesięciu Sposobów, nasiąkając ich wrogością, aż w końcu dotarł do lasów na zachodnim krańcu doliny, gdzie zgromadzili się ludzie Szalki. Ludzie jego brata. Najwyraźniej także jego ludzie, choć wcale tego nie wyczuwał. Prawdziwi twardziele, obszarpani po ostrym marszu i obandażowani po ostrej walce. Zmęczeni przebywaniem z dala od Czarnego Dowa i wykonywaniem najtrudniejszych zadań za najlichszą zapłatę. Nie byli w nastroju do świętowania czegokolwiek, zwłaszcza przybycia tchórzliwego brata swojego wodza.

Calderowi nie pomagało nawet to, że wcisnął się w swoją kolczugę, by przynajmniej wyglądać jak wojowniczy książę. Przed laty otrzymał ją w prezencie od ojca. Była zrobiona ze styriańskiej stali, ale chociaż ważyła mniej od większości

północnych wyrobów, i tak ciążyła mu jak kowadło i było w niej gorąco niczym w owczej skórze. Calder nie wiedział, jak ludzie mogą nosić takie ustrojstwa całymi dniami, biegać w nich, spać i walczyć. Walka w czymś takim to szaleństwo. W ogóle walka to szaleństwo. Nigdy nie rozumiał, co ludzie w niej widzą.

A niewielu ludzi kochało walkę tak bardzo jak jego brat.

Szalka przykucnął na polanie przed rozłożoną mapą. Po jego lewej stronie siedział Błady-jak-Śnieg, a po prawej Białooki Hansul, dawni kompani ich ojca z czasów, gdy ten władał większością Północy. Ludzie, który nisko upadli po tym, jak Krwawy-dziewięć zrzucił Bethoda z blanek. Niemal tak nisko jak Calder.

Jego i Szalkę urodziły inne kobiety, a wszyscy żartowali, że matką Szalki z pewnością był byk, gdyż wódz przypominał to zwierzę, i to wyjątkowo wściekły i potężny okaz. Stanowił niemal dokładne przeciwieństwo brata – był blondynem, miał znacznie mniej wyraziste rysy, szybko wpadał w gniew i wolno myślał. Nie przypominał ich ojca. Każdy wiedział, że to Calder odziedziczył cechy Bethoda. To był jeden z powodów, dla których go nienawidzili. A także dlatego, że przez większą część życia zachowywał się jak dupek.

Szalka podniósł wzrok, gdy usłyszał stukot kopyt konia Caldera, uśmiechnął się szeroko, po czym podszedł do brata, wciąż lekko utykając po spotkaniu z Krwawym-dziewięć. Miał na sobie podwójną czarną kolczugę, którą nosił swobodnie jak dziewczyna sukienkę, a na niej czarne stalowe płyty, podrapane i powgniatane. „Zawsze bądźcie uzbrojeni”, mawiał ojciec, a Szalka zrozumiał to dosłownie. Był obwieszony przecinającymi się pasami i cały lśnił od broni. Na biodrach przypasał dwa miecze oraz potężny buzdygan. Trzy noże nosił

na wierzchu, kolejne zapewne gdzieś ukrywał. Głowę owinął bandażem, z jednej strony poplamionym na brązowo, a na brwi miał świeże skaleczenie, które wzbogacało jego gwałtownie rosnącą kolekcję blizn. Wyglądało na to, że częste próby zniechęcenia go do wojaczki, które podejmował Calder, okazały się równie bezużyteczne jak starania Szalki, by namówić brata do większej waleczności.

Calder zeskoczył z siodła, co nie przyszło mu łatwo za sprawą kolczugi, udał jednak, że po prostu zeszywniał po długiej jeździe.

– Szalka, ty tępy draniu, jak się...

Szalka zamknął go w miażdżącym uścisku, podniósł i złożył na jego czole wilgotny pocałunek. Calder najlepiej jak potrafił odwzajemnił uścisk, mimo że stracił oddech, a rękojeść miecza wbiła mu się w brzuch. Ogarnęła go tak gwałtowna i żalosna radość spowodowana spotkaniem kogoś życzliwego, że miał ochotę się rozpłakać.

– Puść mnie! – sapnął, uderzając Szalkę w plecy dłonią, jak poddający się zapaśnik. – Puszczaj!

– Po prostu cieszę się, że znów cię widzę! – Szalka zakręcił nim w powietrzu jak pan młody świeżo poślubioną ukochaną, dzięki czemu Calder przez chwilę zobaczył Bładego-jak-Śnieg i Białoockiego Hansula. Nie wydawało się, by mieli ochotę go uściskać. Imienni rozproszeni na polanie również patrzyli na niego bez entuzjazmu. Pamiętali go z dawnych czasów, gdy klękali przed jego ojcem lub siadywali przy długim stole, świętując zwycięstwa. Teraz zastanawiali się, czy będą musieli słuchać jego rozkazów, a ta perspektywa wcale im się nie podobała. Zresztą, nic dziwnego. Szalka uosabiał wszystko, co podziwiają wojownicy – lojalność, siłę i odwagę graniczącą

z głupotą. Calder był zupełnie inny i wszyscy o tym wiedzieli.

– Co ci się stało w głowę? – spytał, gdy Szalka pozwolił jego stopom zetknąć się z ziemią.

– Tutaj? To drobiazg. – Szalka zerwał bandaż i go odrzucił. Rana wcale nie wyglądała na niegroźną, jasne włosy z jednej strony głowy były pozlepiane brązową zaschniętą krwią. – Ale widzę, że ty też jesteś ranny. – Poklepał Caldera po rozbitej wardze, nie siląc się na delikatność. – Ugryzła cię kobieta?

– Niestety, nie. Brodd Dziesięć Sposobów próbował mnie zabić.

– Co takiego?

– Naprawdę. Posłał trzech ludzi do obozu Caula Reacheya. Na szczęście, Głęboki i Płytki stali na straży i... no wiesz...

Szalka błyskawicznie i bez trudu przechodził od oszołomienia do furii, jego dwóch ulubionych emocji. Szeroko otworzył oczy, odsłaniając całe białka.

– Zabiję tego starego zgniłka! – Zaczął dobywać miecza, jakby chciał ruszyć przez las do ruin, gdzie na tronie ich ojca zasiadał Czarny Dow, i od ręki zaszlachtować Brodda Dziesięć Sposobów.

– Nie, nie, nie! – Calder chwycił brata obiema rękami za nadgarstek i zdołał go powstrzymać przed wyciągnięciem miecza z pochwy, choć niemal wylądował przy tym na ziemi.

– Pieprzyć go! – Szalka odtrącił rękę Caldera i uderzył pięścią w rękawicy w pień najbliższego drzewa, odrywając od niego kawał kory. – Pieprzyć tego gnoja! Zabijmy go! Po prostu go zabijmy! – Ponownie uderzył w drzewo, wywołując deszcz nasion. Białoooki Hansul patrzył podejrzliwie, Błady-jak-Śnieg ze znużeniem, a obaj wyraźnie dawali do zrozumienia, że to nie pierwszy atak złości, z którym mają do czynienia.

– Nie możemy tak po prostu zabijać ważnych osobistości –

zaoponował Calder, unosząc dłonie.

– A jednak on próbował cię zabić.

– Mój przypadek jest szczególny. Połowa Północy pragnie mojej śmierci. – To było kłamstwo, bo w grę wchodziło raczej trzy czwarte. – Poza tym nie mamy dowodu. – Calder położył dłoń na ramieniu Szalki i przemówił cichym głosem, jak zwykł robić ich ojciec. – To polityka, bracie. Pamiętasz? Delikatna równowaga.

– Pieprzyć politykę i srać na równowagę! – Jego wściekłość nieco przygasła. Na tyle, że oczy Szalki już nie groziły wyskoczeniem z czaszki. Z impetem schował miecz, uderzając rękojeścią o pochwę. – Nie możemy po prostu walczyć?

Calder wziął głęboki wdech. Jak to możliwe, że ten bezmyślny osiłek jest synem oraz dziedzicem jego ojca?

– Jeszcze przyjdzie czas na walkę, ale na razie musimy ostrożnie stawiać kroki. Nie mamy wielu sprzymierzeńców, Szalko. Rozmawiałem z Reacheyem i zapowiedział, że nie wystąpi przeciwko mnie, ale także mnie nie wesprze.

– Przeklęty tchórz! – Szalka uniósł pięść, aby ponownie uderzyć w drzewo, ale Calder spokojnie opuścił jego rękę jednym palcem.

– Po prostu martwi się o córkę. – Nie tylko on. – Są jeszcze Żelaznogłowy i Złoty, którzy za nami nie przepadają. Gdyby nie byli ze sobą skłóceni, pewnie poprosiliby Dowa, żeby pozwolił im mnie zabić.

Szalka spochmurniał.

– Myślisz, że to Dow za tym stoi?

– A któżby inny? – Calder starał się stłumić frustrację i zapanować nad głosem. Już zapomniał, że rozmowa z jego bratem przypomina mówienie do pniaka. – Zresztą, Reachey

słyszał z ust Dowa, że ten chce mojej śmierci.

Zmartwiony Szalka pokręcił głową.

– Nie wiedziałem.

– Raczej by ci o tym nie powiedział.

– Ale przecież trzymał cię jako zakładnika. – Szalka zmarszczył czoło, usiłując to wszystko zrozumieć. – Dlaczego pozwolił ci wrócić?

– Ponieważ ma nadzieję, że zacznę przeciwko niemu knuć, a wtedy będzie mógł to ujawnić i powiesić mnie zgodnie z prawem.

– Więc nie knuj, a nikomu się nie narazisz.

– Nie bądź idiotą.

Dwóch Carlów uniosło wzrok znad kubków z wodą i Calder znów ściszył głos. Szalka mógł sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą, ale on nie.

– Musimy się chronić. Wszędzie mamy wrogów.

– To prawda. A o jednym z nich jeszcze nie wspomniałeś, choć moim zdaniem, jest najniebezpieczniejszy. – Calder zamarł, zastanawiając się, o kim zapomniał. – Jebana Unia! – Szalka wskazał grubym palcem w stronę drzew na południu. – Kroy, Wilczarz i czterdzieści tysięcy ich żołnierzy! To z nimi toczymy wojnę! Przynajmniej ja to robię.

– To wojna Czarnego Dowa, a nie moja.

Szalka pokręcił głową.

– Nigdy nie myślałeś, że wszystko byłoby łatwiejsze, tańsze i bezpieczniejsze, gdybyś po prostu robił, co ci każą?

– Wziąłem to pod uwagę, ale odrzuciłem tę myśl. Potrzebujemy...

– Posłuchaj. – Szalka zbliżył się i popatrzył mu prosto w oczy.

– Nadchodzi bitwa i będziemy musieli wziąć w niej udział. Rozumiesz? To Północ. Musimy walczyć.

– Szalko...

– Jesteś znacznie mądrzejszy z nas dwóch, wszyscy o tym wiedzą. Na spokój zmarłych, ja sam doskonale zdaję sobie z tego sprawę. – Jeszcze bardziej się przybliżył. – Ale ludzie nie pójdą za mądrością, jeśli nie będzie jej towarzyszyła siła. Musisz zasłużyć na ich szacunek.

– Hmm. – Calder rozejrzał się po surowych obliczach wojowników kryjących się między drzewami. – Nie mogę go pożyczyć od ciebie?

– Pewnego dnia może mnie zabraknąć, a ty nadal będziesz potrzebował ich szacunku. Nie musisz nurzać się we krwi. Wystarczy dzielić z nimi trudy i niebezpieczeństwa.

Calder uśmiechnął się niewyraźnie.

– Właśnie te niebezpieczeństwa mnie przerażają. – Chociaż, prawdę mówiąc, nie miał ochoty także na trudy.

– Strach jest dobry – Łatwo powiedzieć, gdy ktoś jest tak tępy, że nie rozumie zagrożenia. – Nasz ojciec bał się każdego dnia. Dzięki temu stale był czujny. – Szalka uścisnął ramię Caldera w sposób niedopuszczający sprzeciwu i ustawił go twarzą w stronę południa. Pomiędzy pniami drzew na skraju lasu widać było rozległe pola, złote, zielone i płowe. Po lewej wznosiła się zachodnia odnoga Bohaterów, z której szczytu sterczał Palec Skarlinga. Pola u podnóża wzgórza przecinała szara droga. – Ten szlak prowadzi do Starego Mostu. Dow chce, żebyśmy go zajęli.

– Chce, żebyś ty to zrobił.

– My. Jest niemal niebroniony. Masz tarczę?

– Nie. – Ani najmniejszej ochoty udać się tam, gdzie mogę jej

potrzebować.

– Blady-jak-Śnieg, pożycz mi swoją tarczę.

Stary wojownik o twarzy jak wosk podał tarczę Calderowi. Była starannie pomalowana na biało. Minęło sporo czasu, odkąd Calder trzymał w ręku poobijaną tarczę podczas ćwiczeń fechtunkowych na placu, i zdążył zapomnieć, ile to ustrojstwo waży. Jej ciężar przywołał nieprzyjemne wspomnienia dawnych przykrości, których doznawał głównie z rąk brata. Jednakże zanim minie ten dzień, zapewne przyćmią je nowe upokorzenia. Jeśli przeżyje.

Szalka znów nieprzyjemnie mocno poklepał Caldera po obolałym policzku.

– Idź blisko mnie i wysoko trzymaj tarczę, a nic ci nie będzie.

– Wskazał głową ludzi rozproszonych między drzewami. – Będą cię bardziej szanować, gdy zobaczą cię w pierwszym szeregu.

– Racja. – Calder bez entuzjazmu podniósł tarczę.

– Kto wie? – Brat klepnął go w plecy, niemal go przewracając.

– Może ty także spojrzysz na siebie przychylniejszym wzrokiem.

Ich rzecz – iść w bitew dym

– Kochasz tę przeklętą szkapę, nie? Tunny?

– Na pewno lepiej się z nią rozmawia niż z tobą, Forest, poza tym lepszy jej grzbiet niż własne nogi. Prawda, kochanie? – Pogłaskał długi pysk klaczy i dał jej dodatkową garść ziarna. – To mój ulubiony zwierzak w całej przeklętej armii.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

– Panie pułkowniku? – To był Żółtko, który patrzył w stronę wzgórza.

– Nie, Żółtko. Obawiam się, że nie możesz się z nią równać. Raczej musisz się postarać, żeby nie zostać moim najmniej ulubionym zwierzakiem...

– Ależ nie, pułkowniku. Czy to nie Gurts?

Tunny zmarszczył czoło.

– Gorst.

Szermierz pozbawiony szyi przekraczał konno rzekę, nadjeżdżając od strony sadów na drugim brzegu. Kopyta wierzchowca wyrzucały w górę krople wody, a zbroja lśniła matowo w blasku słońca. Jeździec wspiął się na brzeg, wbijając się między oficerów i prawie przewracając jednego z młodych poruczników. Tunny mógłby to uznać za zabawne, jednak Gorst miał w sobie coś, co odbierało ludziom chęć do śmiechu. Zeskoczył z siodła, dosyć zręcznie, biorąc pod uwagę jego masywną posturę, po czym podszedł prosto do pułkownika Vallimira i sztywno zasalutował.

Tunny rzucił szczotkę i o kilka kroków zbliżył się do przybysza, uważnie mu się przyglądając. Lata spędzone w wojsku nauczyły go niezawodnie wyczuwać, kiedy ktoś chce go wyruchać, a teraz ogarnęło go właśnie takie bolesne przecucie. Gorst przez kilka chwil coś mówił z twarzą pozbawioną wyrazu. Vallimir wskazał wzgórze, po czym machnął ręką ku zachodowi. Gorst ponownie coś powiedział. Tunny powoli się zbliżył, starając się cokolwiek usłyszeć. Vallimir z frustracją wyrzucił ręce w górę, a następnie się oddalił, krzycząc.

– Pierwszy sierżancie Forest!

– Tak, panie pułkowniku?

– Wygląda na to, że na zachód od nas znajduje się ścieżka wiodąca przez bagna.

– Panie pułkowniku?

– Generał Jalenhorm chce, żebyśmy posłali tamtędy pierwszy batalion i upewnili się, że Północni nie wykorzystają tamtego przejścia.

– Chodzi o bagna za Starym Mostem?

– Tak.

– Nie przedostaniemy się tamtędy konno...

– Wiem.

– Dopiero odzyskaliśmy nasze konie.

– Wiem.

– Ale... co z nimi zrobimy podczas przeprawy?

– Będziecie musieli je tutaj zostawić, psiakrew! – odburknął Vallimir. – Myślisz, że podoba mi się pomysł wysyłania połowy spieszzonego regimentu na bagna? Naprawdę tak myślisz?

Forest poruszył zuchwą, tak że blizna na jego policzku

zmieniła kształt.

– Nie, panie pułkowniku.

Vallimir się oddalił, przyzywając kilku oficerów. Forest przez chwilę stał, energicznie pocierając tył głowy.

– Pułkowniku? – nieśmiało wyszeptał Żółtko.

– Tak?

– Czy to kolejny przykład tego, jak wszyscy srają na głowy ludzi, którzy znajdują się pod nimi?

– Bardzo dobrze, Żółtko. Może jeszcze zrobimy z ciebie żołnierza.

Forest zatrzymał się przed nimi z rękami na biodrach, surowo spoglądając w górę rzeki.

– Wygląda na to, że pierwszy batalion otrzymał misję do wykonania.

– Wspaniale – rzekł Tunny.

– Zostawimy tutaj konie i ruszymy na zachód przez bagna. – Odpowiedział mu chóralny jęk. – Myślicie, że mi się to podoba? Pakujcie się i ruszamy! – Po czym Forest odszedł, żeby zanieść te radosne wieści pozostałym żołnierzom.

– Ilu mamy ludzi w batalionie? – mruknął Lederlingen.

Tunny wziął głęboki wdech.

– Gdy opuszczaliśmy Aduę, było nas około pięciuset. Teraz zostało czterystu, może kilku mniej albo więcej.

– Czterystu ludzi ma tamtędy przejść? – zdziwił się Klige.

– Co to za bagno? – spytał Worth.

– Zwyczajne! – pisnął Żółtko jak malutki rozzłoszczony psiak ujadający na większego czworonoga. – Przeklęte bagno! Kupa błota! Co jeszcze chcesz o nim wiedzieć?

– Ale... – Lederlingen popatrzył w ślad za Forestem, a potem

przeniósł wzrok na konia, na którego właśnie załadował większość swojego sprzętu i część ekwipunku Tunny'ego. – To głupota.

Tunny potarł zmęczone oczy palcem wskazującym i kciukiem. Jak często musi to tłumaczyć rekrutom?

– Posłuchajcie. Często myślicie o tym, jacy głupi są ludzie. Starzy pijacy. Kobiety na wioskowym targu. Chłopcy rzucający kamieniami w ptaki. Takie jest życie. Głupota i próżność, samolubstwo i marnotrawstwo. Małostkowość i śmieszność. Wydaje wam się, że na wojnie musi być inaczej. Lepiej. Gdy śmierć czai się za rogiem, a ludzie jednoczą się w obliczu trudności i sprytu wroga, na pewno więcej i szybciej myślą, są... lepsi. Bardziej bohaterscy.

Zaczął zrzucać swoje bagaże z siodła.

– Tylko że to nieprawda. Szczerze mówiąc, z powodu tej całej presji, zmartwień i strachu jest jeszcze gorzej. Niewielu ludzi myśli logicznie, gdy gra toczy się o najwyższą stawkę. Dlatego podczas wojny zachowujemy się jeszcze głupiej niż przez resztę czasu. Myślimy o tym, jak uniknąć winy, zyskać sławę albo ocalić skórę, a nie o tym, co naprawdę okaże się skuteczne. Nikt tak często jak żołnierze nie pozwala sobie na głupotę. U nikogo innego nie jest ona tak pożądana.

Popatrzył na swoich rekrutów i zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego z przerażeniem. Tylko Żółtko z obojętną miną wspinał się na palce, by ściągnąć włócznię z grzbietu swojego konia, zapewne największego w całym regimencie.

– Nieważne – parsknął Forest. – To bagno samo się nie przejdzie. – Odwrócił się do nich plecami, delikatnie poklepał swojego wierzchowca po szyi i westchnął. – No widzisz, staruszko. Chyba będziesz musiała jeszcze przez jakiś czas

radzić sobie beze mnie.

Wołaj „Mordu” i...

Scorry właśnie obcinał włosy, gdy Gnat wrócił do swojej dwunastki, a raczej siódemki, która z niej pozostała. Ósemki – wliczając jego samego. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek istniała dwunastka, w której nikogo nie brakowało. Z pewnością on nigdy nie dowodził taką drużyną. Agrick siedział na zwałonym pniu pokrytym bluszczem i z surową miną patrzył w dal, podczas gdy nożyce szczękały wokół jego twarzy.

Whirrun opierał się o drzewo, obejmując rękojeść Ojca Mieczy, który stał oparty czubkiem o ziemię. Z jakiegoś powodu zdjął koszulę i pozostał tylko w skórzanej kamizeli naznaczonej z przodu dużą szarą plamą potu. Jego długie żylaste ręce sterczały z rękawów. Wyglądało na to, że im większemu zagrożeniu stawia czoło, tym bardziej się rozbiera. Pewnie, zanim skończą z tą doliną, zostanie z gołym tyłkiem.

– Gnat! – zawołał, unosząc miecz i nim potrząsając.

– Witaj, wodzu. – Drofd siedział na gałęzi oparty plecami o pień. Strugał strzałę z patyka, pozwalając wiórom opadać na ziemię.

– A więc Czarny Dow cię nie zabił? – spytała Cudna.

– Przynajmniej nie na miejscu.

– Powiedział ci, co mamy zrobić? – Yon wskazał głową ludzi kłębiących się w lesie. Miał teraz znacznie mniej włosów, co go postarzało i uwidaczniało zmarszczki wokół jego oczu i siwiznę na brwiach, której Gnat nigdy wcześniej nie zauważył. – Mam wrażenie, że Dow zamierza wykonać jakiś ruch.

– Zgadza się. – Gnat skrzywił się, siadając w zaroślach i spoglądając na południe.

Wydawało się, że za linią drzew znajduje się inny świat. Pod liśćmi było ciemno i bezpiecznie, a także cicho, jak pod powierzchnią chłodnej wody. Na zewnątrz wszystko było skąpane w ostrym słonecznym świetle. Żółto-brązowy jęczmień pod błękitnym niebem, jaskrawozielone wzgórze wyrastające z doliny, stare głazy na jego szczycie, wciąż stojące na bezcelowej warcie.

Gnat wskazał w lewo w stronę Osrungu. Z tej odległości było widać tylko zarys wysokiego ogrodzenia i dwie szare wieże wznoszące się nad polami.

– Reachey ruszy jako pierwszy i zaatakuję Osrung. – Zdał sobie sprawę, że szepcze, mimo że żołnierze Unii znajdowali się w odległości kilkuset kroków na szczycie wzgórza i nie usłyszeli go nawet, gdyby krzyczał. – Będzie wiózł wszystkie sztandary, udając, że to ostateczne natarcie. Spróbuje ściągnąć część wojsk z Bohaterów.

– Myślisz, że dadzą się nabrać? – spytał Yon. – To kiepska sztuczka.

Gnat wzruszył ramionami.

– Każda sztuczka wydaje się kiepska, gdy o niej wiemy.

– Nieduża różnica, czy zejść, czy nie. – Whirrun się rozciągał, wisząc na gałęzi z mieczem przewieszonym przez plecy. – I tak będziemy musieli się wspiąć na wzgórze.

– Może będzie łatwiej, jeśli ze szczytu zniknie połowa żołnierzy. – Drofd zeskoczył ze swojego miejsca na drzewie.

– Więc miejmy nadzieję, że dadzą się nabrać. – Gnat wskazał pole i pastwisko położone po prawej stronie, pomiędzy Osrungiem a Bohaterami. – Jeśli zejść ze wzgórza, kawaleria

Złotego złapie ich z opuszczonymi spodniami na otwartej przestrzeni i odepchnie aż do rzeki.

– Utopi skurwieli – stęknął Agrick, kipiąc żądzą krwi.

– Tymczasem Dow przeprowadzi główne natarcie na Bohaterów razem z chłopcami Żelaznogłowego i Dziesięciu Sposobów.

– Jak zamierza tego dokonać? – spytała Cudna, pocierając nową bliznę.

Gnat na nią popatrzył.

– Przecież to Czarny Dow. Po prostu wbiegnie na wzgórze i pośle do ziemi wszystkich, którzy jeszcze do niej nie trafili.

– A my razem z nim?

Gnat przełknął ślinę.

– Zgadza się. Będziemy u jego boku.

– W pierwszym szeregu na samym środku, co?

– Znów to przekłete wzgórze? – warknął Yon.

– Szkoda, że nie zostaliśmy, żeby z nimi walczyć ostatnim razem – rzucił Whirrun, przeskakując z jednej gałęzi na drugą.

Gnat wyciągnął rękę w prawo.

– Szalka jest w lesie pod Solnym Wzgórzem. Po ataku Dowa poprowadzi swoich jeźdźców drogą prowadzącą do Ustredu i zajmie Stary Most. Będzie z nim Calder.

Niesamowite, jak wiele niechęci Yon potrafił przekazać jednym ruchem głowy.

– Twój stary druh Calder?

– Zgadza się. – Gnat popatrzył na niego. – Mój stary druh Calder.

– Zatem ta cudowna dolina i wypełniająca ją pustka wkrótce wpadną nam w ręce! – zanucił Whirrun. – Ponownie.

– A przynajmniej w ręce Dow – odrzekła Cudna.

Drofd odliczał nazwiska na palcach.

– Reachey, Złoty, Żelaznogłowy, Dziesięć Sposobów, Szalka i sam Dow... to dużo ludzi.

Gnat pokiwał głową.

– Możliwe, że jeszcze nigdy tylu ludzi nie walczyło w jednym miejscu w imieniu Północy.

– Szykuje się nie lada bitwa – zauważył Yon. – Bitwa jak diabli.

– Będą o niej śpiewać pieśni! – Whirrun z sobie tylko znanego powodu zawisł na gałęzi głową w dół.

– Nieźle poharatamy tych Południowców – rzekł Drofd bez przekonania.

– Na spokój zmarłych, mam taką nadzieję – mruknął Gnat.

Yon nieco się przybliżył.

– A co z naszym żołdem, wodzu?

Gnat się skrzywił.

– Dow nie był w odpowiednim nastroju na taką rozmowę. – Rozległy się jęki, których Gnat się spodziewał. – Załatwię to później, nie martwcie się. Pieniądze wam się należą i je dostaniecie. Porozmawiam z Rozciętopym.

Cudna cmoknęła.

– Łatwiej wydobyć sensowną wypowiedź od Whirruna niż pieniądze od Rozciętopoego.

– Słyszałem! – zawołał Whirrun.

– Tylko pomyślcie – rzekł Gnat, klepiąc Yona w pierś wierzchem dłoni. – Kiedy wejdziecie na to wzgórze, będzie się wam należała kolejna wypłata. To już razem dwie. Teraz i tak nie mielibyście czasu, żeby cokolwiek wydać, prawda? Czekaj

nas bitwa.

Trudno było się z tym nie zgodzić. W lesie zaroilo się od ludzi, uzbrojonych i gotowych do walki. Szeleścili i grzechotali, szeptali i pobrzękiwali, klękali w jednej linii pomiędzy drzewami. Postrzępione światło słońca przebijało się między konarami, malując mozaiki na surowych twarzach, lśniąc na hełmach i obnażonych ostrzach.

– Kiedy ostatnio braliśmy udział w prawdziwej bitwie? – szepnęła Cudna.

– Pamiętacie tamtą potyczkę niedaleko Ollensandu? – odparł Gnat.

Yon splunął.

– Trudno ją nazwać prawdziwą bitwą.

– Na Wysokich Szczytach – odrzekł Scorry, kończąc strzyżenie i zmiatając włosy z ramion Agricka. – Kiedy próbowaliśmy wypchnąć Dziewięciopalcego z tamtej przeklętej wąskiej doliny.

– To było z siedem lat temu, prawda? Może osiem? – Gnat zadrżał na wspomnienie tamtego koszmaru.

Dziesiątki wojowników ściśnięte w skalnej szczelinie tak ciasnej, że nikt nie mógł porządnie zaczerpnąć powietrza ani zamachnąć się mieczem, tylko kłuć, uderzać kolanami, gryźć. Nie przypuszczał, że przeżyje tamten przerażający dzień. Po co, u diabła, miałby ponownie tak ryzykować?

Popatrzył na płytką, porośniętą zbożem misę rozciągającą się pomiędzy lasem a Bohaterami. Strasznie daleko dla starca z niesprawną nogą. Bohaterskie szarże często opiewa się w pieśniach, ale bronienie się ma jedną niezaprzeczalną zaletę – to wróg do ciebie przychodzi. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, próbując znaleźć jak najwygodniejszą pozycję dla swojego

kolana, kostki i biodra, ale udało mu się jedynie osiągnąć inny rodzaj cierpienia. Parsknął pod nosem. Zupełnie jak w życiu.

Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy jego dwunastka jest gotowa. Przeżył nie lada szok, gdy zobaczył Czarnego Dowa we własnej osobie opierającego się na jednym kolanie wśród paproci w odległości niecałych dziesięciu metrów. Dow w jednym ręku trzymał topór, a w drugim miecz. Za jego plecami klęczeli Rozcięstopy i Dreszcz oraz grupa najbardziej zaufanych Carlów. Wódz pozbył się futer oraz ozdób i wyglądał jak szeregowy wojownik. Nie licząc wściekłego uśmiechu, który wskazywał, że czeka na walkę z takim samym entuzjazmem, z jakim Gnat poszukiwał sposobu na jej uniknięcie.

– Nie dajcie się zabić, dobrze? – Popatrzył na nich wszystkich, ściskając dłoń Scorry’ego.

Pokiwali głowami, marszcząc brwi albo nerwowo się uśmiechając, odpowiadając „tak”, „dobrze” albo „ja na pewno nie”. Wszyscy poza Brackiem, który siedział nieruchomo i wpatrywał się w drzewa jakby był sam, a krople potu pokrywały jego masywną, bladą twarz.

– Nie daj się zabić, dobrze, Brack?

Człowiek ze wzgórz popatrzył na Gnata, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Co?

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Zamknął dłoń Gnata w lepkim uścisku. – Oczywiście.

– Możesz biegać na tej nodze?

– Bardziej mnie boli podczas srania.

Gnat uniósł brwi.

– Cóż, solidne sranie rzeczywiście może dać się we znaki, nieprawdaż?

– Wodzu. – Drofd wskazał głową światło za drzewami, a Gnat przypadł niżej do ziemi. Ktoś tam się poruszał. Ludzie na koniach, choć z miejsca, w którym przykucnął Gnat, widać było tylko ich głowy i ramiona.

– Zwiadowcy Unii – szepnęła mu do ucha Cudna. Może chłopcy Wilczarza, którzy przedostali się przez pola i gospodarstwa, zmierzając ku linii drzew. Las na całej długości doliny był pełen uzbrojonych i opancerzonych Północnych. Dziwne, że przybyszów jeszcze nie zauważono.

Oczywiście, Dow o tym wiedział. Spokojnie machnął toporem ku wschodowi, jakby zamawiał piwo.

– Lepiej niech Reachey już rusza, zanim popsuje nam niespodziankę. – Gest Dowa powtarzano wzdłuż linii, tworząc falę.

– No to do roboty, psiakrew – stęknął Gnat, gryząc paznokcie.

– Do roboty – wykrztusiła przez zaciśnięte usta Cudna, trzymając w dłoni ostrze.

– Szlag, jestem już na to za stary.

– Zgadza się.

– Powinienem był się ożenić z Colweną.

– Zgadza się.

– Najwyższy czas skończyć z wojaczką.

– Prawda.

– Mogłabyś przestać mi przytakiwać, do kurwy nędzy?

– Czy nie na tym polega rola zastępcy? Wspierać wodza niezależnie od okoliczności? Dlatego przytakuję. Jesteś za stary, powinieneś był się ożenić z Colweną i skończyć z wojaczką.

Gnat westchnął i wyciągnął rękę.

– Dziękuję za wsparcie.

Uścisnęła jego dłoń.

– Polecam się.

Na wschodzie rozległ się niski, pulsujący odgłos rogu Reacheya. Wydawało się, że pod jego wpływem drży ziemia, a Gnat poczuł łaskotanie w cebulkach włosów. Po chwili rozległo się więcej rogów, a następnie odległy huk maszerujących stóp zmieszany z brzękiem metalu. Gnat wyciągnął szyję, starając się wypatrzeć ludzi Reacheya między czarnymi pniami, ale zobaczył tylko kilka dachów budynków w Osrungu po drugiej stronie zalanych słońcem pól. Nad doliną poniosły się okrzyki bojowe, których echa odbijały się od drzew niczym duchy. Gnat poczuł mrowienie na całej skórze. Bał się tego, co nadchodzi, ale zarazem pragnął zerwać się z miejsca, by dołączyć swój głos do panującego zgiełku.

– Już niedługo – szepnął, oblizując usta, po czym wstał, niemal nie zauważając bólu w nodze.

– Rzeczywiście. – Whirrun stanął obok niego, trzymając w jednej dłoni Ojca Mieczy, a drugą wskazując w stronę Bohaterów. – Widzisz, Gnacie? – Wyglądało na to, że na szczycie zielonego wzgórza poruszają się jacyś ludzie. Być może gromadzili się wokół sztandaru. – Schodzą. Czeka ich radosne spotkanie z chłopcami Złotego na polach, prawda? – Zachichotał cicho i piskliwie. – Radosne spotkanie.

Gnat powoli pokręcił głową.

– W ogóle się nie martwisz?

– A niby dlaczego? Czy nie mówiłem, że Szogliga podała mi czas i miejsce mojej śmierci i...

– I to nie będzie ani tutaj, ani teraz. Tak, powtarzałeś to jakieś dziesięć tysięcy razy. – Gnat nachylił się bliżej i wyszeptał: – A może poinformowała cię także, czy stracisz tutaj obie nogi?

– Nie, tego nie powiedziała – przyznał Whirrun. – Ale w jaki sposób zmieniłoby to moje życie? Bez nóg też można siedzieć przy ognisku i gadać głupoty.

– Może odrąbią ci także obie ręce.

– Racja. Jeśli tak się stanie... będę musiał przynajmniej zastanowić się nad zakończeniem kariery. Jesteś dobrym człowiekiem, Curndenie Gnacie. – Whirrun dźgnął go w żebra. – Może przekażę ci Ojca Mieczy, jeśli wciąż będziesz oddychał, gdy odpłynę na najdalszy brzeg.

Gnat parsknął.

– Nie mam zamiaru dźwigać wszędzie tego żelastwa.

– Myślisz, że ja chciałem go nosić? Daguf Col wybrał mnie do tego zadania na stosie pogrzebowym, po tym jak szankowie wyrwali mu wnętrzności. Fioletowawe.

– Co?

– Jego wnętrzności. Ktoś musi go dostać, Gnacie. To ty zawsze powtarzasz, że należy przestrzegać zasad. Ktoś musi go dostać.

Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu, wpatrując się w blask za drzewami, a wiatr szeleścił liśćmi i strącał je na włócznie, hełmy oraz ramiona ludzi klęczących w zaroślach. Ptaki świergotały na gałęziach, a w dali rozlegały się okrzyki szarżujących ludzi Reacheya.

Żołnierze szli wschodnim zboczem Bohaterów. Wojsko Unii schodziło ze wzgórza. Gnat zatarł spocone dłonie, po czym dobył miecza.

– Whirrunie.

– Tak?

– Zastanawiasz się czasem, czy Szogliga mogła się mylić?

– Za każdym razem, gdy staję do walki.

Kres taki byłby celem najpożądańszym

Wasza Królewska Mość!

Dywizja generała Jalenhorma dotarła do miasta Osrung, z charakterystyczną dla siebie pełną skupienia kompetencją obsadziła miejsca przepraw przez rzekę, a szósty regiment oraz regiment Rostoda zajęły silną pozycję na wzgórzu, które Północni nazywają Bohaterami. Z jego szczytu widać okolicę w promieniu wielu mil, wliczając niezwykle ważną drogę prowadzącą na północ do Carleonu, jednak poza wygasłym ogniskiem nie dostrzegliśmy żadnego śladu wroga.

Drogi nadal są naszym najbardziej zajadłym przeciwnikiem. Awangarda dywizji generała Mittericka dotarła do doliny, ale tam zablokowały ją oddziały jadące na tyłach dywizji Jalenhorma, przez co...

Gorst gwałtownie uniósł głowę. Wiatr przyniósł ciche głosy, które, choć niezrozumiałe, wyraźnie pobrzmiwały rozpaczliwym podnieceniem.

Pewnie się oszukuję. Mam do tego talent. Tutaj za rzeką nikt nie zdradzał podniecenia. Rozproszeni żołnierze wylegiwali się w słońcu na południowym brzegu, podczas gdy ich konie z zadowoleniem skubały trawę. Jeden z ludzi krztusił się, paląc fajkę chagga. Kolejni siedzieli w milczeniu, podając sobie

manierkę. Tuż obok ich dowódca, pułkownik Vallimir, kłócił się z posłańcem o dokładne znaczenie ostatniego rozkazu generała Jalenhorma.

– Rozumiem, ale generał rozkazał, abyście utrzymali obecną pozycję.

– Oczywiście, że tak, ale na drodze? Czy nie chodziło mu raczej o to, żebyśmy przekroczyli rzekę? A przynajmniej ustawili się na brzegu? Straciłem jeden batalion na bagnach, a teraz drugi wszystkich blokuje! – Vallimir wskazał pokrytego kurzem kapitana, którego drużyna z niezadowoleniem stała na szlaku. Możliwe, że była to jedna z drużyn, na które czekały regimenty stacjonujące na wzgórzu. Albo i nie. Kapitan niczego im nie powiedział i nikt go o nic nie pytał. – Generał z pewnością nie chce, żebyśmy tutaj tkwili, chyba to rozumiesz!

– Rozumiem, ale generał rozkazał, abyście utrzymali obecną pozycję – uparcie powtarzał posłaniec.

Typowa chaotyczna niekompetencja. Minęła ich grupa brodatych kopaczy, maszerujących w równym rytmie z łopatami na ramionach i surowymi obliczami. Najlepiej zorganizowana drużyna, jaką dzisiaj widziałem, i zapewne najcenniejsi żołnierze Jego Królewskiej Mości. Armię cechował niezaspokojony apetyt na dziury w ziemi. Doły na ogniska, groby, latryny, schrony, fortyfikacje i umocnienia, rowy i okopy wszelkich możliwych kształtów oraz głębokości, często przeznaczone do celów, które nikomu nie przyszłyby do głowy. Zaiste łopata jest potężniejsza od miecza. Może generałowie jako symbol swojego powołania zamiast ostrzy powinni nosić pozłacane łopatki. To i tak najciekawsze, czym się zajmujemy.

Gorst wrócił do swojego listu i skrzywił się, gdy zauważył, że postawił na papierze brzydkiego kleksa. Ze złością zgniótł

kartkę.

Nagle wiatr przyniósł kolejne okrzyki. Czy naprawdę je słyszę? A może tak bardzo mi na tym zależy, że tylko je sobie wyobrażam? Jednak żołnierze wokół niego także z niepokojem spoglądali w stronę wzgórza. Gorstowi serce zaczęło tłuc się w piersi, a w ustach poczuł suchość. Wstał i ruszył w stronę rzeki jak opętany zaklęciem, wbijając wzrok w Bohaterów. Wydawało mu się, że widzi poruszających się ludzi, malutkie postaci na trawiastym zboczu.

Zszedł po chrzęszczących kamyczkach do miejsca, w którym Vallimir wciąż bezcelowo klócił się o to, na którym brzegu rzeki jego ludzie powinni trwać w bezczynności. Podejrzewam, że wkrótce to może nie mieć znaczenia. Szczerze liczył na to, że tak będzie.

- Ależ z pewnością generał nie...
- Pułkowniku Vallimirze.
- Czego?
- Powinien pan przygotować ludzi.
- Czyżby?

Gorst przez chwilę nie spuszczał oczu z Bohaterów i z sylwetek żołnierzy na wschodnim zboczu. Było ich bardzo wielu. Nie przybyli żadni posłańcy od marszałka Kroya, a to oznaczało, że jedynym powodem, dla którego tylu ludzi opuszcza wzgórze, może być... Atak Północnych w innym miejscu. Atak, atak, atak...

Zdał sobie sprawę, że wciąż ściska w dłoni niedokończony list, aż bieleją mu knykcie. Upuścił zmiętą kartkę do rzeki, gdzie porwał ją nurt. Rozległy się kolejne głosy, jeszcze bardziej przenikliwe niż poprzednio. Już nie miał wątpliwości, że są prawdziwe.

– To brzmi jak krzyki – rzekł Vallimir.

Gorst poczuł, że w gardle wzbiera mu dzika radość, przez co jego głos brzmiał jeszcze bardziej piskliwie niż zazwyczaj. Ale nie dbał o to.

– Niech ich pan przygotowuje.

– Na co?

Gorst już szedł szybkim krokiem w stronę swojego wierzchowca.

– Na walkę.

Ofiary

Kapitan Lasmark brnął przez jęczmień, utrzymując tempo pomiędzy szybkim marszem i truchtem, a dziewiąty oddział z regimentu Rostoda starał się za nim nadążyć, wciąż słysząc echo mało konkretnego rozkazu, by ruszyć w stronę Osrungu i „dobrać się do wroga!”.

Teraz mieli wroga tuż przed sobą. Lasmark widział drabiny oparte o omszałe bale, z których zbudowano ogrodzenie wokół miasta. Widział wzlatujące w niebo i opadające pociski. Widział sztandary powiewające na wietrze. Jak donieśli zwiadowcy, najwyżej ze wszystkich wznosił się poszarpany czarny sztandar Czarnego Dowa. Generał Jalenhorm wydał rozkaz do ataku, nie pozostawiając żadnych złudzeń, że zmieni zdanie.

Lasmark odwrócił się, mając nadzieję, że się nie potknie i nie padnie twarzą w jęczmień, po czym za pomocą, jak miał nadzieję, ostrego żołnierskiego gestu zachęcił swoich ludzi do natarcia.

– Naprzód! Naprzód! Do miasta!

Nie było tajemnicą, że generał Jalenhorm ma skłonność do wydawania nieprzemyślanych rozkazów, jednak nikt nie śmiał o tym wspominać. Oficerowie w miarę możliwości starali się dyskretnie ignorować słowa dowódcy, a przynajmniej kreatywnie je interpretować. Nie da się jednak tak postąpić z bezpośrednim wezwaniem do ataku.

– Spokojnie, trzymajcie formację!

Wcale jej nie trzymali. Tak naprawdę sprawiali wrażenie

zmęczonych i niechętnych, a Lasmark nie mógł ich za to winić. Nie podobał mu się pomysł marszu bez wsparcia przez pole jęczmienia, zwłaszcza, że większość jego regimentu wciąż tkwiła w chaotycznej płataninie ludzi i sprzętu na fatalnych drogach na południe od rzeki. Mimo to, oficer musi wypełniać swoje obowiązki. Złożył zażalenie na ręce majora Popola, który z kolei poskarżył się pułkownikowi Wetterlantowi z szóstego regimentu, najwyższemu rangą oficerowi na wzgórzu. Pułkownik był zbyt zajęty, by się tym przejąć. Pole bitwy to nie miejsce na niezależne opinie, a być może przełożeni Lasmarka po prostu lepiej znali się na rzeczy.

Niestety, doświadczenie tego nie potwierdzało.

– Ostrożnie! Obserwujcie linię drzew!

Las rosnący na północy wydawał się Lasmarkowi wyjątkowo mroczny i groźny. Kapitan wolał nie wyobrażać sobie, ilu ludzi może się kryć w cieniu drzew. Niestety, takie myśli nachodziły go za każdym razem, gdy widział lasy, a na Północy było ich mnóstwo. Nie był pewien, jaki pożytek przyniesie ich obserwowanie. Poza tym, już nie mieli odwrotu. Po prawej stronie kapitan Vorna popędzał swój oddział, wyprowadzając go na czoło natarcia, jak zwykle nie mogąc się doczekać walki, by znów wrócić do domu z piersią obwieszoną medalami i spędzać czas na przechwałkach.

– Ten głupiec Vorna zaraz złamie szyk – warknął sierżant Lock.

– Kapitan po prostu wykonuje rozkazy! – odburknął Lasmark, po czym dodał pod nosem: – Dupek. Naprzód, szybciej! – Jeśli nadejdą Północni, nie można sobie pozwolić na wyłom w linii.

Zwiększyli tempo. Zmęczeni żołnierze od czasu do czasu

potykali się i padali jak dłudzy na ziemię, z każdym krokiem coraz bardziej zaburzając szyk. Byli już mniej więcej w połowie drogi między wzgórzem a miastem. Major Popol na swoim wierzchowcu prowadził natarcie, wymachując szablą i wykrzykując niezrozumiałe słowa zachęty.

– Kapitanie! – ryknął Lock. – Kapitanie!

– Wiem, do diabła – sapnął Lasmak, gdyż brakowało mu powietrza, by jęknąć. – Nie słyszę ani słowa... och...

Zobaczył, co Lock tak rozpaczliwie wskazuje obnażonym ostrzem, i poczuł, że zalewa go straszliwa fala lodowatego zaskoczenia. W końcu to nie to samo, spodziewać się najgorszego i zobaczyć, jak te obawy się spełniają. Północni wyszli z lasu i pędzili w ich stronę przez pastwiska. Z tej perspektywy trudno było ocenić, ilu ich jest – opuszczający się grunt przecinały rowy i nierówne zarośla – jednak Lasmak poczuł lodowaty dreszcz, gdy zauważył, jak idą szerokim frontem wśród błysków metalu i kolorowych kropek, którymi były ich pomalowane tarcze.

Przeważali liczebnie nad regimentem Rostoda. Kilka oddziałów wciąż beztrąsko podążało za Popolem ku Osrungowi, gdzie czekało jeszcze więcej Północnych. Inni się zatrzymali, zauważywszy zagrożenie zbliżające się z lewej strony, i rozpaczliwie usiłowali sformować obronną linię. Regiment Rostoda dał się złapać w chaotycznym ustawieniu i bez wsparcia na otwartej przestrzeni.

– Stać! – krzyknął Lasmak, wyprzedzając swój oddział, obracając się i wyrzucając ręce w górę. – Sformować linię! Frontem na północ! – To najlepsze, co mogli zrobić, czyż nie? Jakie mieli wyjście? Jego żołnierze zaczęli wykonywać niezdarny zwrot po okręgu, niektórzy z determinacją na

twarzach, inni zdjęci paniką.

Lasmark dobył broni. Była tania i bardzo stara, zapewne z rozchwianą rękojeścią. Zapłacił za nią mniej niż za kapelusz. Teraz wiedział, że głupio postąpił. Ale wtedy wszystkie ostrza wyglądały tak samo, a majorowi Popolowi bardzo zależało na odpowiednim wyglądzie swoich ludzi podczas parady. Niestety, nie byli na paradzie. Lasmark zerknął przez ramię, tak mocno zagryzając wargi, że poczuł smak krwi. Północni szybko się zbliżali.

– Łucznicy, przygotować łuki, włócznicy, na...

Słowa zamarły mu w gardle. Zza wioski położonej dalej na lewo wyłoniła się kawaleria. Dosyć liczna, pędząca na nich od flanki i wzbijająca całun pyłu. Usłyszał ostrzegawcze westchnienia i poczuł, jak wśród jego ludzi niepokój zmienia się w przerażenie.

– Przygotować się! – krzyknął, ale zawiódł go głos.

Gdy się odwrócił, wielu z jego żołnierzy już uciekało, mimo że nie mieli dokąd. Mimo że ucieczka dawała im jeszcze mniejsze szanse niż walka. Najwyraźniej nie potrafili spokojnie ocenić sytuacji. Zobaczył, że inne oddziały rozpadają się i rozpraszają. Kątem oka zauważył, jak major Popol podskakuje w siodle, galopując w stronę rzeki, już nie dbając o właściwą prezencję. Może gdyby kapitanowie dysponowali wierzchowcami, jechałby teraz obok majora. Ale ich nie otrzymali. Przynajmniej nie w regimencie Rostoda. Powinien był dołączyć do regimentu, w którym kapitanom pozwalano jechać konno, chociaż i tak nie mógł sobie pozwolić na wierzchowca. Musiał się zapożyczyć na bandycki procent, żeby kupić stopień kapitana, więc nic mu nie zostało...

Północni byli już przerażająco blisko i właśnie przedzierali

się przez najbliższy rząd krzewów. Lasmark widział poszczególne twarze w szeregu. Wykrzywione, rozwrzeszczane, wyszczerzone oblicza. Jak zwierzęta gnające przez pole jęczmienia z wysoko uniesioną bronią. Bezwiednie cofnął się o kilka kroków. Sierżant Lock stanął obok niego z zaciśniętymi zębami.

– Zaraza, panie kapitanie – syknął.

Lasmark mógł tylko przełknąć ślinę i przygotować się, podczas gdy wokół jego ludzie upuszczali broń i rzucali się do ucieczki w stronę rzeki albo wzgórza, które były o wiele za daleko. Prowizoryczna obronna linia utworzona przez dwa oddziały załamała się, pozostawiając kilka grupek najbardziej oszołomionych i zahartowanych w boju żołnierzy, zamierzającym stawić czoło Północnym. Teraz już widział, jak liczni są wrogowie. Były ich całe setki. Ciśnięta włócznia z głuchym odgłosem przebiła mężczyznę, który stał obok niego, a ten padł z wrzaskiem. Lasmark przez chwilę mu się przyglądał. Stelt. Kiedyś był piekarzem.

Z otwartymi ustami podniósł wzrok na nadciągającą falę wyjących wojowników. Oczywiście słyszał o takich rzeczach, ale zawsze zakładał, że przytrafiają się innym. On był zbyt ważny. Nie zrobił niczego, co zamierzał osiągnąć przed trzydziestym rokiem życia. Miał ochotę rzucić broń i usiąść. Zauważył swój pierścień i unióśł dłoń, żeby się mu przyjrzeć. Na kamieniu wyrzeźbiono twarz Emliny. Nie zanosilo się na to, by miał do niej wrócić. Pewnie wyjdzie za tamtego kuzyna. Małżeństwa z kuzynami, paskudny zwyczaj.

Sierżant Lock zaszarżował w próżnym pokazie odwagi, odłupując kawałek czyjejś tarczy, na której widniał namalowany most. Uderzył w nią ponownie, a wtedy inny

Północny podbiegł do niego i trafił go toporem. Lock zatoczył się w bok, a następnie z powrotem, gdy otrzymał cięcie mieczem, które pozostawiło długie zadrapanie na jego hełmie i głębokie cięcie na twarzy. Okręcił się z uniesionymi rękami jak tancerz, po czym został stratowany przez pędzących ludzi i zniknął w jęczmieniu.

Lasmark skoczył w stronę tarczy z wizerunkiem mostu, z jakiegoś powodu niemal ignorując człowieka, który się za nią skrył. Może chciał udawać, że nikogo tam nie ma. Jego instruktor od szermierki byłby na niego wściekły. Zanim dotarł do celu, dostał włócznią w napierśnik i stracił równowagę. Czubek włóczni ześlizgnął się po pancerzu i kapitan zamachnął się na wojownika, który ją trzymał, brzydkiego osobnika o połamanym nosie. Ostrze rozcięło czaszkę, z której wyleciał mózg. Najwyraźniej nawet tania broń może być ciężka i ostra.

Coś trzasnęło i wszystko wywróciło się do góry nogami. Lasmark uderzył o błoto i zaplątał się w kłosa. Nie widział na jedno oko. Słyszał absurdalnie głośne dzwonienie, jakby jego głowa zmieniła się w serce olbrzymiego dzwonu. Próbował wstać, ale świat wirował. Nie zrobił niczego, co zamierzał osiągnąć przed trzydziestym rokiem życia. No tak. Poza wstąpieniem do wojska.

Południowiec próbował się podnieść, ale Czujny zdzielił go buzdyanem w tył głowy, wgniatając hełm. Jedna noga lekko wierzgnęła, po czym wróg znieruchomiał.

– Pięknie.

Reszta żołnierzy Unii była otoczona i padała pokotem albo pierzchała jak stado szpaków, tak jak zapowiadał Złoty. Czujny

uśmiechnął się, schował buzdygan pod pachą i spróbował zdjąć ładny pierścień z palca martwego Południowca. Kilku innych młodzieńców także odbierało swoje nagrody. Jeden wrzeszczał z twarzą zalaną krwią, ale w końcu to bitwa, czyż nie? Gdyby na koniec wszyscy byli uśmiechnięci, nie miałoby to większego sensu. Na południu jeźdźcy Złotego spychali uciekających Południowców do rzeki.

– Na wzgórze! – wrzeszczał spryciarz Scabna, wskazując drogę toporem. – Na wzgórze, dranie!

– Sam idź na wzgórze – mruknął Czujny, wciąż obolały po wyczerpującym biegu i zachrypnięty od krzyków. – Ha! – Wreszcie zdjął pierścień. Uniósł go do światła i zmarszczył czoło. Zwyczajny wypolerowany kamień z wyrżniętą twarzą, ale podejrzewał, że dostanie za niego parę srebrniaków. Schował go pod kamizelę. Do kompletu zabrał broń zabitego wroga i zatknął ją sobie za pasek, choć była lekka jak wykałaczką i ruszała się jej rękojeść.

– Dalej! – Scabna podźwignął jednego ze złodziei i kopnął go w tyłek, popychając we właściwym kierunku. – Dalej, do diabła!

– W porządku, w porządku! – Czujny pobiegł za pozostałymi w stronę wzgórza. Żałował, że nie udało mu się przetrząsnąć kieszeni Południowca albo zdjąć mu butów. Wszystko przypadnie zbieraczom i kobietom, które idą za wojskiem. Żebrakom zbyt tchórzliwym by walczyć, którzy zarabiają na pracy innych. Był tym zażenowany, ale wiedział, że nic na to nie poradzi. Tak jak na muchy i paskudną pogodę.

Na Bohaterach byli żołnierze Unii. Widział błyski metalu wokół kamiennego muru niedaleko szczytu i włócznie sterczące w niebo. Zerknął ponad krawędzią uniesionej tarczy. Nie chciał zostać trafiony jedną z ich wrednych małych strzał. Gdy nią

dostaniesz, już po tobie.

– Tylko popatrz – mruknął Scabna.

Gdy wspięli się nieco wyżej, ujrzeni las na północy i teren pomiędzy wzgórzem a drzewami, na którym roilo się od ludzi. Carlowie Czarnego Dowa, Dziesięciu Sposobów i Żelaznogłowego. Za nimi Niewolnicy. Całe tysiące ciągnące ku Bohaterom. Czujny nigdy nie widział tylu wojowników w jednym miejscu, nawet wtedy, gdy walczył w armii Bethoda. Ani pod Cumnurem, ani pod Dunbrece, ani na Wysokich Szczytach. Miał ochotę oddać im wzgórze, samemu zostając z tyłu, na przykład, pod pretekstem skręconej kostki, ale doszedł do wniosku, że przecież nie zgromadzi posagu dla córek dzięki jednemu taniemu pierścieniowi i byle jakiemu ostrzu.

Przeskoczyli rów upstrzony brązowymi kałużami i opuścili zdeptane pole na dole zbocza.

– Wspinajcie się, dranie! – zaskrzeczał Scabna, wymachując toporem.

Czujny miał już dosyć utyskiwania tego głupca, który został wodzem tylko dlatego, że był przyjacielem jednego z synów Złotego. Obrócił się i warknął:

– Sam się wspinaj na to pierdolone wzgórze, ty...

Rozległo się głucho stuknięcie i z jego kamizeli wyłonił się grot strzały. Przez chwilę przypatrywał mu się w milczeniu, po czym gwałtownie zaczerpnął tchu i wrzasnął:

– O kurwa! – Jęknął i zadrżał, czując przeszywający ból w okolicach pachy, gdy spróbował wziąć kolejny oddech, zakaszlał krwią na przód ubrania i upadł na kolana.

Scabna patrzył na niego, zasłaniając ich obu tarczą.

– Czujny, co jest, do diabła?

– Zaraza... przeszło mnie... na wylot. – Musiał wypluwać

krew, bulgocząc z każdym wypowiedzianym słowem. Już nie mógł klęczeć, zbyt mocno go bolało. Osunął się na bok. Pomyślał, że to gówniany sposób na powrót do ziemi, ale może wszystkie takie są.

Wokół niego załomotały buty. Wojownicy zaczęli piąć się na wzgórze, chlapiąc mu w twarz drobinkami błota.

Scabna przyklęknął i zabrał się za rozpinanie kamizeli Czujnego.

– Zobaczmy, co my tu mamy.

Czujny z trudem się poruszał. Świat zaczął mu się rozmywać przed oczami.

– Na spokój... zmarłych... ale boli.

– Nic dziwnego. Gdzie schowałeś ten pierścień?

Gaunt opuścił kuszę i popatrzył, jak kilku Północnych w tłumie pada pod gradem bełtów. Z tej wysokości pocisk z ciężkiej kuszy mógł rozłupać tarczę i przebić kolczugę równie łatwo jak kobiecą suknię. Jeden z wojowników upuścił broń, po czym rzucił się do ucieczki, wyjąc i trzymając się za brzuch, wyznaczając lekko zakrzywiony szlak wśród zboża. Gaunt nie wiedział, czy jego własna strzała trafiła w cel, ale to nie miało większego znaczenia. Liczy się ilość. Naciągnąć, załadować, wycelować, strzelić, naciągnąć, załadować...

– Dalej, chłopcy! – zawołał do otaczających go mężczyzn. – Strzelajcie! Strzelajcie!

– Na Boginie Losu – szepnął Rose zduszonym głosem, wskazując drżącym palcem na północ.

Przerażające tłumy wrogów wciąż wyłaniały się z lasu. Na polach roilo się od wojowników pędzących matowo połyskującą

falą w stronę wzgórza na południu. Jednakże trzeba czegoś więcej niż banda wściekłych małą, by wyprowadzić sierżanta Gaunta z równowagi. Widział, jak niezliczone gurkijskie wojska szturmują ich niewielkie wzgórze w Bishak i przez niemal godzinę raz za razem naciągał kuszę, aż w końcu zobaczył, jak wrogowie uciekają. Nie licząc trupów, których były całe sterty. Chwycił Rose'a za ramię i pokierował go z powrotem w stronę muru.

– Nie myśl o tym. Liczy się tylko następna strzała.

– Tak jest, sierżancie. – Rose ponownie pochylił się nad kuszą, blady, ale skupiony na swoim zadaniu.

– Naciągajcie, chłopcy, naciągajcie! – Gaunt miarowo kręcił korbką naoliwionego i czystego mechanizmu. Nie za szybko, nie za wolno, upewniając się, że wszystko robi dobrze. Sięgnął po kolejny bełt i zmarszczył czoło. W kołczanie pozostało ich nie więcej niż dziesięć. – Gdzie się podziała amunicja?! – ryknął przez ramię, po czym zwrócił się do swoich ludzi: – Starannie wybierajcie cele! – Wstał i wyrównał kuszę, opierając jej korpus o ramię.

Widok w dole mógł zmrozić nawet człowieka o jego doświadczeniu. Pierwsi Północni już dotarli do wzgórza i zaczęli się wspinać, nieco zwalniając na trawiastym zboczu, ale nie mieli zamiaru się zatrzymać. Ich okrzyki bojowe niepokojąco przybrały na sile, gdy Gaunt wychylił się zza muru, a niewyraźny lament zmienił się w przenikliwe wycie.

Zacisnął zęby i wycelował niżej. Pociągnął za spust, poczuł wstrząs i usłyszał brzęk cięciwy. Bełt trafił w tarczę jednego z Północnych, przewracając go do tyłu. Rozległ się grzechot i trzask, gdy co najmniej tuzin kusz wystrzelił po jego lewej stronie. Dwaj albo trzej Północni padli na ziemię; jeden został

trafiony w twarz i runął na plecy, wyrzucając wirujący topór w błękitne niebo.

– Właśnie tak, chłopcy, nie przestawajcie strzelać! Ładujcie i... – Obok niego rozległ się głośny trzask, a Gaunt poczuł palący ból w szyi i ugięły się pod nim nogi.

To był wypadek. Rose od co najmniej tygodnia majstrował przy rozchwianym spuście swojej kuszy, bojąc się, że broń wystrzeli w niewłaściwej chwili, ale nigdy nie radził sobie dobrze z mechanizmami. Nie miał pojęcia, dlaczego uczynili go kusznikiem. Swobodniej czułby się z włócznią. Sierżant Gaunt niewątpliwie znacznie lepiej by na tym wyszedł. Kusza wystrzeliła, gdy Rose ją unosił, a czubek metalowej listwy pozostawił na jego ręku długie zadrapanie. Klnąc z tego powodu, spojrzał w bok i zobaczył bełt tkwiący w szyi Gaunta.

Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem, po czym sierżant opuścił głowę i zezując spojrzał na pierzysko strzały. Upuścił swoją kuszę i uniósł ręce do szyi. Na drżących palcach zobaczył krew.

– Dlej... – wykrztusił. – Bchacia. – Jego powieki zatrzepotały i nagle upadł, uderzając głową o mur, aż hełm zsunął mu się na twarz.

– Gaunt? Sierżancie Gaunt? – Rose poklepał przełożonego po twarzy, jakby chciał go obudzić z nieprzepisowej drzemki, rozmazując mu krew po policzku. Było jej coraz więcej. Ciekła sierżantowi z nosa i z wąskiej szpary w miejscu, w którym grot wbił się w szyję. Ciemna i oleista, niemal czarna na tle białej skóry.

– On nie żyje! – Rose poczuł, że ktoś ciągnie go w stronę muru

i wpycha mu w zakrwawione dłonie jego pustą kuszę. – Strzelaj, psiakrew! Strzelaj! – To był młody oficer, jeden z nowych rekrutów. Rose nie pamiętał jego imienia. Nie pamiętał nawet swojego.

– Co?

– Strzelaj!

Zaczął naciągać cięciwę, wiedząc, że wszyscy wokół niego robią to samo. Pocą się, męczą, klną, opierają o mur, żeby strzelać. Słyszał wrzaski rannych, a ponad nimi dziwne wycie. Niezdarnie wyjął bełt z kołczana i wsunął go w rowek, przeklinając swoje drżące palce umazane na różowo krwią Gaunta.

Płakał. Łzy płynęły mu po twarzy. Miał lodowate dłonie, mimo że nie było zimno. Szczękał zębami. Mężczyzna stojący obok niego nagle rzucił kuszę i pobiegł w stronę szczytu wzgórza. Wielu żołnierzy uciekało, ignorując rozpaczliwe krzyki oficerów.

Strzały pomknęły w dół. Jedna odbiła się od stalowego hełmu tuż obok niego. Inne wbiły się w zbocze za murem. Ciche, nieruchome, jakby nagle wyrosły z ziemi, a nie spadły z nieba. Ktoś inny odwrócił się, żeby uciec, ale zanim zrobił choćby krok, oficer ciął go ostrzem.

– Za króla! – pisnął, wodząc wkoło oszalałym wzrokiem. – Za króla!

Rose nigdy nie widział króla. Jeden z Północnych wskoczył na mur po lewej stronie. Przebity dwiema włóczniami wrzasnął i spadł do tyłu. Żołnierz obok Rose'a wstał i, klnąc, uniósł kuszę. Nagle górna część jego głowy odpadła i zatoczył się, posyłając bełt wysoko w niebo. Kolejny Północny przeskoczył przez mur, lądując w powstałej luce. Jego młodzieńczą twarz wykrzywiała

wściekłość. Wyglądał i wrzeszczał jak diabeł. Jeden z żołnierzy Unii zaatakował go włócznią, ale wojownik odbił cios tarczą i zamachnął się toporem, opadając z muru, trafiając wroga w ramię i posyłając w powietrze ciemne strumienie krwi. Wszędzie wokół Północni przeskakowali przez mur. Luka po ich lewej stronie zapełniła się wyprężonymi ciałami, płataniną włóczni i ślizgającymi się butami, które darły zabłoconą trawę.

Głowę Rose'a wypełniały szalony hałas, trzask i szczęk broni oraz zbroi, bojowe okrzyki i bolesne wycie, a wszystko to zmieszane z jego własnym przerażonym, skamłającym oddechem. Tylko patrzył, zapomniawszy o kuszy. Młody Północny zablokował ostrze oficera, po czym obrócił go uderzeniem w bok. Jego następny cios wbił się w rękę, posyłając w górę bezwładną dłoń razem z haftowanym rękawem. Wykopnął nogi spod przeciwnika i ciął go na ziemi, a krew obryzgała jego wyszczerzone zęby. Kolejny wojownik gramolił się na mur tuż obok. Miał masywną twarz z czarno-siwą brodą i krzyczał coś chrapliwie.

Potężny wysoki Północny o długich obnażonych rękach jednym susem przesadził stertę kamieni, szorując butami o trawę rosnącą na szczycie. Unosił nad głową największy miecz, jaki Rose widział w życiu. Południowiec nie wiedział, w jaki sposób człowiek może udźwignąć tak olbrzymią broń. Matowe ostrze trafiło kusznika w bok, zginając go w pół i posyłając w poprzek zbocza w otoczeniu krwawej mgiełki. Rose miał wrażenie, że jego kończyny nagle się odblokowały. Odwrócił się i puścił biegiem, wpadł na kogoś, kto zrobił to samo, poślizgnął się i skręcił kostkę. Z trudem wstał, zrobił jeden rozpaczliwy krok i dostał tak mocny cios w tył głowy, że odgryzł sobie język.

Agrick dla pewności ciął kusznika między łopatki, aż stylisko topora zadrżało mu w obolałej dłoni lepkiej od krwi. Gdy zobaczył, że Whirrun walczy z potężnym żołnierzem Unii, uderzył wroga toporem w tył nogi. Co prawda, pokpił sprawę i trafił płazem ostrza, jednak uderzenie było na tyle silne, że przewróciło żołnierza, dzięki czemu Scorry mógł go przeszyć włócznią, prześlizgując się ponad murem.

Agrick jeszcze nigdy nie widział tylu Unionistów na raz. Wszyscy wyglądali tak samo, jak kopie jednego człowieka w takich samych zbrojach, mundurach i z identyczną bronią. Miał wrażenie, że wciąż zabijają tego samego żołnierza. Nie czuł, że uśmierca prawdziwych ludzi. Teraz wrogowie uciekali w górę zbocza, pierzchając spod muru, a Agrick popędził za nimi jak wilk za owcami.

– Zwolnij, Agricku, ty szalony draniu! – wysapał Wesoły Jon za jego plecami, ale Agrick nie mógł się zatrzymać.

Szarża przypominała potężną falę i mógł jedynie dać się ponieść, naprzód, w górę, by dopaść tych, którzy zabili jego brata. Dalej ku szczytowi, pozostawiając za sobą Whirruna, atakującego Ojcem Mieczy ostatnią grupkę Południowców pozostałych przy murze, siekającego ich na kawałki, niezależnie od tego, czy mieli zbroje, czy nie. Niedaleko niego Brack zadawał z rykiem ciosy młotem.

– Dalej, kurwa! Dalej! – Czarny Dow we własnej osobie, z wykrzywionymi ustami, które obnażały zakrwawione zęby, potrząsający w stronę szczytu toporem, którego stalowe ostrze połyskiwało czerwono w blasku słońca.

Agrick czuł w sobie ogień, wiedząc, że jego wódz jest w pobliżu i walczy obok w pierwszym szeregu. Zrównał się

z potykającym się żołnierzem Unii, który rozpaczliwie drapał ziemię, uderzył go toporem w twarz i przewrócił do tyłu przy wtórze dzikiego wrzasku.

Wpadł między dwa potężne głazy, czując zawroty głowy, jakby był pijany. Pijany krwią i nienasycony. W trawiastym okręgu między Bohaterami leżało mnóstwo trupów. Unioniści z rozsiekanymi plecami, Północni poprzebijani strzałami.

Ktoś krzyknął i zastukały kusze. Kilku wojowników upadło obok Agricka, ale on biegł dalej w stronę flagi w środku szeregu żołnierzy, ochrypli od wrzasku. Ściął jednego kusznika, posyłając na ziemię jego złamaną broń. Zamachnął się na potężnego Południowca ze sztandarem. Wróg powstrzymał pierwszy cios Agricka drzewcem flagi i zaczepił nim o ostrze. Agrick puścił stylisko, wyciągnął nóż i wbił go od góry w otwór w hełmie chorążego. Mężczyzna runął na ziemię jak krowa trafiona młotem, bezgłośnie rozwierając usta. Agrick próbował wyszarpnąć sztandar z jego pośmiertnie zaciśniętych palców, jedną ręką chwytając za drzewce, a drugą za flagę.

Usłyszał dziwaczny krzyk i zdał sobie sprawę, że wydobył się on z jego ust. Łysiejący mężczyzna z siwymi włosami wokół uszu odciągnął do tyłu jego rękę, a jego ostrze wyslizgnęła się z boku Agricka, szorując po dolnej krawędzi tarczy. Ostrze wbiło się w ciało aż po rękkojeść, a tę jego część, która znajdowała się na zewnątrz, pokrywała krew. Agrick próbował ciąć toporem, ale chwilę wcześniej go upuścił, a jego nóż tkwił w twarzy chorążego, więc tylko machnął pustą ręką. Coś uderzyło go w ramię i świat zawirowało.

Leżał na piachu. Na stercie udeptanej ziemi w cieniu jednego z głazów. W dłoni ścisnął podartą flagę.

Poruszył się, ale nie potrafił znaleźć wygodnej pozycji.

Cały zdrętwiał.

Pułkownik Wetterlant wciąż nie mógł w to uwierzyć, ale wyglądało na to, że szósty regiment Jego Królewskiej Mości znajduje się w dużych tarapatach. Mur był stracony. W kilku miejscach grupki żołnierzy Unii wciąż się broniły, ale zostały stłamszone, a Północni wdzierali się do kamiennego kręgu od północy. Zresztą, niby skąd mają nadchodzić Północni? Psiakrew, wszystko potoczyło się tak szybko.

– Musimy się wycofać! – wrzasnął major Culfer, przekrzykując bitewny zgiełk. – Jest ich zbyt wielu!

– Nie! Generał Jalenhorm sprowadzi posiłki! Obiecał nam...

– Więc gdzie on jest, do diabła? – Culfer wytrzeszczył oczy. Wetterlant nigdy nie uważał go za panikarza. – Zostawił nas tutaj na pewną śmierć...

Wetterlant po prostu się odwrócił.

– Zostajemy! Zostajemy i walczymy! – Był dumnym człowiekiem pochodzącym z dumnej rodziny i nie miał zamiaru się poddać. Będzie walczył aż do końca, a jeśli to konieczne, umrze ze szpadą w dłoni, jak podobno uczynił jego dziadek. Umrze pod flagą swojego regimentu. Cóż, to akurat niemożliwe, ponieważ ten chłopak, którego przebił, upadając, zdarł sztandar z drzewca. Ale Wetterlant stawia czoło wrogom. Często to sobie powtarzał, zazwyczaj przed lustrem, gdy podziwiał swoje odbicie, wystrojony na jakąś oficjalną uroczystość. Poprawiając szarfę.

Musiał jednak przyznać, że to były zupełnie inne okoliczności. Tutaj nikt nie nosił szarfy, nawet on. Poza tym były trupy, krew, szerząca się panika. Nieziemskie zawodzenie

Północnych, którzy wlewali się przez luki między głazami do zdeptanego trawiastego kręgu. Nieprzerwanie napierali, gdziekolwiek Wetterlant patrzył. Problem z wykorzystaniem kamiennego kręgu jako pozycji obronnej polega na przerwach pomiędzy głazami. Linia Unionistów, jeśli można tak nazwać zebraną naprędce i desperacko walczącą grupkę żołnierzy oraz oficerów, ustępowała pod tym naporem, który groził ich całkowitym rozproszeniem i pozbawieniem szans dalszej obrony.

Rozkazy. Był dowódcą, więc powinien wydawać rozkazy.

– Eee! – zawołał, potrząsając ostrzem. – Eee...

Wszystko potoczyło się niezwykle szybko. Jakie rozkazy wydałby w takiej sytuacji lord marszałek Varuz? Wetterlant zawsze go podziwiał. Varuz nigdy nie tracił pewności siebie.

Culfer wrzasnął cienkim głosem. Na jego ramieniu pojawiło się wąskie rozcięcie sięgające aż do piersi, w którym błysnęły kawałki białej kości. Wetterlant chciał go pouczyć, by nie krzyczał w sposób niegodny oficera Jego Królewskiej Mości. Taki wrzask pasuje do rekrutów, ale od szóstego regimentu oczekiwał męskiego ryku. Culfer niemal z wdziękiem osunął się na ziemię, brocząc bulgoczącą krwią z rany, a potężny Północny stanął nad nim z toporem w dłoni i zaczął go rąbać na kawałki.

Wetterlant niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien skoczyć na pomoc swojemu zastępcy, ale okazało się, że nie może się ruszyć, zafascynowany spokojem wroga. Północny zachowywał się jak murarz, który dopracowuje trudny fragment ściany. Gdy już był usatysfakcjonowany liczbą kawałków, na które posiekał Culfera – który, choć to niemożliwe, wciąż wydawał z siebie cichy pisk – odwrócił się w stronę Wetterlanta.

Drugą stronę jego twarzy przecinała olbrzymia blizna, a w oczodole tkwiła lśniąca kulka martwego metalu.

Wetterlant uciekł. Ani przez chwilę się nad tym nie zastanawiał. Jego umysł wyłączył się jak zgaszona świeczka. Biegł szybciej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzydziestu lat, szybciej niż powinien być w stanie człowiek w jego wieku. Wypadł pomiędzy dwóch pradawnych głazów i pomknął w dół zbocza, deptając trawę, kątem oka dostrzegając innych ludzi biegnących obok niego, słysząc wrzaski, syki i groźby oraz świst strzał nad głową, czując na plecach dreszcze wywołane nieuchronnością śmierci.

Minął Dzieci, następnie kolumnę oszołomionych żołnierzy, którzy wcześniej wspinali się na wzgórze, a teraz chaotycznie z niego schodzili. Jego stopa wpadła w niewielkie zagłębienie i ugięło się pod nim kolano. Ugryzł się w język, poleciał głową do przodu, uderzył o ziemię, zaczął się toczyć i nie mógł się zatrzymać. Wreszcie wpadł w cień i znieruchomiał w deszczu liści, gałązek i piachu.

Przetoczył się sztywno i jęknął. Zgubił rapier, a prawą dłoń miał zdartą do krwi. Broń wypadła mu z ręki, kiedy upadł. Ostrze, które otrzymał od ojca, gdy został wcielony do regimentu Jego Królewskiej Mości. Był wtedy taki dumny. Zastanawiał się, czy jego ojciec teraz byłby z niego zadowolony. Leżał wśród drzew. Czyżby w jakimś sadzie? Porzucił swój regiment. A może to oni go porzucili? Zasady żołnierskiego postępowania, jeszcze niedawno niepodważalne, rozwiały się jak dym na wietrze. Wszystko stało się tak szybko.

Cudowny szósty regiment, dzieło jego życia, zbudowany w oparciu o wysokiej jakości połysk, rygorystyczną musztrę i niezachwianą dyscyplinę, rozpadł się na kawałki w ciągu kilku

szalonych chwil. Jeśli ktokolwiek przeżył, to tylko ci, którzy uciekli jako pierwsi. Najnowszy rekruci i najwięksi tchórze. A on był wśród nich. Miał ochotę spytać o opinię majora Culfera. Niemal otworzył usta, by to zrobić, ale nagle przypomniał sobie, że major został zaszlachtowany przez wariata z metalowym okiem.

Usłyszał głosy ludzi przedzierających się przez las i przywarł do najbliższego drzewa, wyglądając zza niego jak wystraszone dziecko zerkające spod kołdry. Żołnierze Unii. Zadrzał pod wpływem ulgi, chwiejnie wyszedł z ukrycia i pomachał jedną ręką.

– Hej! Ludzie!

Obrócili się gwałtownie, ale nie zasalutowali, tylko popatrzyli na niego jak na widmo powstałe z grobu. Wydawało mu się, że zna ich twarze, ale miał wrażenie, że nagle zmienili się ze zdyscyplinowanych żołnierzy w drżące, umazane błotem zwierzęta. Wetterlant nigdy wcześniej nie bał się swoich ludzi i uznawał ich posłuszeństwo za pewnik, ale teraz zaczął bełkotać głosem piskliwym od strachu i wyczerpania.

– Żołnierze z szóstego regimentu! Musimy stawić opór! Musimy...

– Opór? – zaskrzeczał jeden z żołnierzy, po czym uderzył Wetterlanta ostrzem.

Nie był to mocny cios, ledwie trącenie w ramię, które sprawiło, że pułkownik przewrócił się na bok i krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż bólu. Skulił się, gdy żołnierz ponownie uniósł ostrze, ale wtedy jeden z pozostałych Unionistów pisnął i rzucił się do ucieczki, a pozostali podążyli za nim. Wetterlant obejrzał się przez ramię i zobaczył jakieś sylwetki poruszające się między drzewami. Usłyszał okrzyki.

Donośny głos wołający w mowie Pólnocy.

Ponownie wpadł w szpony strachu i, żałośnie skomląc, puścił się biegiem po śliskich gałązkach i liściach; brudził spodnie zgniłymi owocami, słyszał echo własnego przerażonego oddechu. Zatrzymał się na skraju lasu, przyciskając do ust rękaw. Krew pokrywała jego bezwładnie zwisającą dłoń. Zrobiło mu się niedobrze, gdy popatrzył na rozdarty materiał na ręku. To tkanina czy ciało?

Musi stąd odejść. Nie zdoła dotrzeć do rzeki, ale tutaj też nie może zostać. Musi ruszyć natychmiast. Wypadł z zarośli, kierując się w stronę płycizny. Wszędzie wokół biegli ludzie, większość bez broni. Oszalałe, zrozpaczone twarze, łypiące oczy. Wetterlant zobaczył przyczynę ich przerażenia. Jeźdźcy. Rozproszyli się po polach, zmierzając ku brodowi i pędząc żołnierzy Unii na południe, tnąc ich z siodeł, tratując, wypełniając całą dolinę swoim wyciem. Pułkownik nie przestawał biec, co chwila się potykając. Gdy znów się obejrzał, zobaczył zbliżającego się jeźdźca, wykrzywione uśmiechem zęby pośród splątanej brody.

Próbował przyśpieszyć, ale był zbyt zmęczony. Czuł ogień w płucach i sercu, z trudem łapał oddech, teren wokół niego podskakiwał i kołysał się wściekle z każdym krokiem, migoczące płycizny stopniowo się zbliżały, za plecami rozlegał się huk kopyt...

Nagle upadł na bok w błoto, czując w plecach nieopisany ból, a w klatce piersiowej miazdzący ucisk, jakby ktoś przywalił go stertą kamieni. Udało mu się poruszyć głową i popatrzeć w dół. Coś tam lśniło. Coś połyskiwało na jego mundurze wśród błota. Przypominało medal. Ale przecież nie zasłużył na niego ucieczką.

– Głupota – wyrzeźił, a wypowiedziane słowo miało smak krwi. Ku swojemu zaskoczeniu i przerażeniu zauważył, że nie może oddychać. Wszystko potoczyło się tak szybko.

Sutt Kruchy odrzucił złamane drzewce włóczni. Reszta utkwiała w plecach tego uciekającego głupca. Szybko biegł jak na starca, ale oczywiście nie tak szybko jak koń Sutta. Kruchy dobył swojego starego miecza, przytrzymując wodze ręką, na której miał tarczę, po czym popędził konia piętami. Złoty obiecał sto złotych monet pierwszemu Imiennemu, który przekroczy rzekę, a on chciał zdobyć te pieniądze. Wódz otworzył żelazną szkatułkę i pokazał im monety, a nawet pozwolił ich dotknąć. Gdy na nie patrzyli, ich oczy płonęły. Dziwne pieniądze, z obu stron ozdobione wizerunkiem głowy. Ktoś powiedział, że przywieziono je z dalekiej pustyni. Sutt nie wiedział, skąd Glama Złoty ma pustynne monety, ale niewiele go to obchodziło.

Złoto to złoto.

To było niemal zbyt łatwe. Unioniści uciekali – wykończeni, potykający się, płaczący, a Sutt tylko pochylał się w siodle i ich ścinał, raz z jednej, raz z drugiej strony, ciach, ciach, ciach. Właśnie po to został wojownikiem, a nie po to, by czaić się i szpiegować, wiecznie się wycofywać, bezskutecznie usiłując znaleźć właściwą pozycję. Nigdy nie dołączył do chóru narzekających. Powtarzał, że pod wodzą Czarnej Dowa wkrótce doczekają się dnia, który spłynie czerwienią, i się nie pomylił.

Niestety, zabijanie go spowalniało. Mrużąc oczy pod wpływem wiatru, popatrzył w lewo i stwierdził, że już nie jedzie na przodzie. Na czoło wysunął się Pióro, który pochylił się

w siodle i nie przejmując się walką, pędził między czmychającymi Południowcami w stronę płycizny.

Kruchy nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by taki kłamca jak Hengul Pióro ukradł jego sto monet. Mocniej uderzył konia piętami. Wiatr i grzywa chłostały go po twarzy, język utknął w pokaźnej przerwie w uzębieniu. Wpadł do rzeki, wzbijając fontanny wody. Wokół niego żołnierze Unii brodzili zanurzeni po biodra. Popędził konia, patrząc wyłącznie na plecy Pióra, który jechał kłusem po kamykach, i...

Wyleciał z siodła, a jego bojowy okrzyk urwał się wśród strumieni krwi.

Kruchy nie był pewien, czy powinien się cieszyć z tego, że trup Pióra wpadł do wody. Plusem było to, że znalazł się na czele drużyny Złotego. Minusem fakt, że teraz pędził ku niemu jakiś dziwaczny drań w mocnej zbroi i na dobrym koniu. W jednym ręku trzymał krótkie ostrze oraz wodze, a w drugim długi rapier błyszczący w słońcu i połyskujący krwią Pióra. Na głowie miał zwykły okrągły hełm ze szparą, przez którą patrzył, a pod nim było widać tylko zaciśnięte zęby. Jechał samotnie naprzeciwko kawalerii Złotego, podczas gdy pozostali Unioniści uciekali w przeciwnym kierunku.

Pomimo chciwości i żądzy krwi Sutt na chwilę stracił pewność siebie. Odbił w prawo, odgradzając się tarczą od tego stalowogłowego drania. W samą porę, gdyż po chwili dłuższe ostrze uderzyło w tarczę Sutta z taką siłą, że niemal wyrwało mu ją z ręki. Zanim ucichł huk, wróg uderzył krótszą bronią i przebiłby pierś Kruchego, gdyby ten przypadkiem nie zablokował ciosu własnym mieczem.

Na spokój zmarłych, ależ szybki drań. Sutt nie mógł uwierzyć, że ktoś może się tak poruszać w takiej zbroi. Ostrza

uderzały znikąd. Suttowi udało się zasłonić przed krótszym z nich, ale siła ciosu niemal wysadziła go z siodła. Zakołysał się i spróbował zamachnąć na wroga, wrzeszcząc na całe gardło.

– Giń, pierdolony... eee? – Nie miał prawej dłoni. Popatrzył na kikut, z którego tryskała krew. Jak to się stało? Dostrzegł coś katem oka, poczuł potężny chrzęst w piersi, a jego jęk bólu gwałtownie się urwał.

Runął z siodła pozbawiony oddechu i spadł do lodowatej wody, gdzie były tylko bąbelki bulgoczące wokół jego twarzy.

Jeszcze zanim szczerbaty Północny spadł z konia, Gorst okręcił się w siodle i ciał długi ostrzem w drugą stronę. Kolejny przeciwnik, którego ramiona przykrywało połatane futro, zdołał sparować uderzenie toporem, ale na próżno. Cios Gorsta przeciął trzonek i wbił szpikulec znajdujący się z tyłu ostrza głęboko w ciało ofiary poniżej mostka, a czubek długiego rapiera Gorsta rozciął szyję wroga. Punkt dla mnie.

Mężczyzna właśnie otwierał usta, zapewne po to, by wrzasnąć, gdy Gorst wbił mu w bok głowy krótkie ostrze, którego czubek wyłonił się z policzka. I kolejny. Wyrwał ostrze w samą porę, by odbić cios miecza, pozwalając ostrzu ześlizgnąć się niegroźnie po opancerzonym ramieniu. Ktoś go pochwycił. Gorst rozbił przeciwnikowi nos głowicą broni. Potem uderzył ponownie, wbijając metal głęboko w głowę wroga.

Otaczali go ze wszystkich stron. Świat zmienił się w pasek blasku widziany przez szparę w hełmie, wypełniony galopującymi końmi, wymachującymi ludźmi i błyskającymi ostrzami. Jego własna ręka poruszała się instynktownie, blokując, tnąc, dźgając, a jednocześnie szarpiąc wodzami, przez

co wystraszony wierzchowiec bezmyślnie zataczał kręgi. Strącił kolejnego wojownika z siodła, a powyginane kółka kolczugi posypały się jak kurz z trzepanego dywanu. Sparował uderzenie miecza, ale końcówka ostrza odbiła się od jego hełmu, aż Gorstowi zadzwoniło w uszach. Zanim właściciel broni zdążył ponownie się zamierzyć, dostał cios w plecy i z wrzaskiem runął do przodu. Gorst chwycił go w ramiona, po czym opuścił między wierzgające kopyta.

Kawaleria Unii popędziła, chlapiąc na wszystkie strony, przez płyciznę na spotkanie Północnych, którzy szarżowali z północnego brzegu, i starła się z nimi przy wtórze ogłuszającego trzasku. Ludzie Vallimira. Jak miło, że udało się wam do nas dołączyć! Rzeka zmieniła się w kłębowisko kopyt otoczonych fontannami wody, metalem i krwią, a Gorst wyrąbywał sobie drogę, zaciskając zęby w nieruchomym uśmiechu. Jestem w domu.

W zamieszaniu stracił krótkie ostrze, które utkwilo w czyichś plecach. Być może jakiegoś Unionisty. Niespecjalnie o to dbał. Słyszał jedynie własny oddech, swoje postękiwanie, swoje dziewczęce piski, gdy raz za razem wymachiwał bronią, wgniatając pancerze, miażdżąc kości, rozcinając ciało, z każdym ciosem czując w ręku palące drżenie. Każdy cios był jak łyk alkoholu dla pijaka, coraz lepszy, ale nieprzynoszący zaspokojenia.

Do połowy odrąbał głowę konia. Jadący na nim Północny popatrzył na niego z zabawnym zaskoczeniem, jak klaun podczas taniego przedstawienia, wciąż szarpiąc wodze, gdy bezwładny wierzchowiec runął na ziemię. Kolejny jeździec pisnął, trzymając w dłoniach własne wnętrzności. Gorst uderzył go na odlew w głowę karwaszem, który rozpadł się

z metalicznym trzaskiem. Oderwany kawałek stali wzleciał w górę razem z fontanną krwi i kawałkami zębów, wirując jak podrzucona moneta. Awers czy rewers? Ktoś obstawia?

Potężny Północny siedział na grzbiecie czarnego konia na samym środku rzeki, rozdając ciosy toporem na lewo i prawo. Jego rogaty hełm, zbroja i tarcza były ozdobione złotymi spiralami. Gorst pomknął w jego stronę między walczącymi, po drodze uderzając w plecy jednego Północnego, a drugiego zrzucając z siodła, gdy ciął rapierem w tylną nogę jego wierzchowca. Długie ostrze było jaskrawoczerwone od krwi. Niczym ós wozu pokryta smarem.

Uderzyło w złotą tarczę z miażdżącą siłą, pozostawiając głębokie wgłębienie na ślicznych zdobieniach. Gorst zadał kolejny cios, dodając nowy ślad, i zachwiał złotym wojownikiem. Uniósł długie ostrze do ostatecznego uderzenia, ale nagle broń wypadła mu z dłoni.

Północny z potarganą rudą brodą wytrącił mu rapier buzdyganem, po czym zamachnął się na głowę Gorsta. Co za bezczelność. Pułkownik złapał rękojeść jedną ręką, a drugą wyjął sztylet i wbił go Północnemu od dołu w szczękę aż po rękojeść, po czym go tam pozostawił. Grzeczniej, proszę. Złoty człowiek odzyskał równowagę i stanął w strzemionach, wysoko unosząc topór.

Gorst chwycił wroga i przywarł do niego pomiędzy wierzgającymi końmi. Topór opadł, ale rękojeść zahaczyła Gorsta o ramię i ostrze niegroźnie ześlizgnęło się po napleczniku. Pułkownik złapał jeden z absurdalnych rogów na połączonym hełmie i zaczął wykręcać głowę wroga, aż przycisnął ją do swojego napierśnika. Złoty człowiek warczał i parskął, niemal całkowicie wysadzony z siodła, z jedną nogą

zaplątaną w strzemię. Usiłował upuścić topór i walczyć wręcz, ale broń miał przytwierdzoną paskiem do nadgarstka, ostrze zaczepiło się o pancerz Gorsta, a drugą rękę więziła poobijana tarcza.

Gorst wyszczerzył zęby, uniósł pięść i zaczął uderzać mężczyznę w twarz. Rękawica z chrzęstem spadała na jedną stronę złotego hełmu. W górę i w dół, w górę i w dół, jego pięść była młotem, który naznaczył, wgiał, a w końcu odkształcił hełm, stopniowo wbijając go wojownikowi w policzek. To jeszcze lepsze niż ostrze, pomyślał. Chrup, chrup, metal wyginał się coraz bardziej, wrzynając się w ciało. Tak jest bardziej osobiście. Nie potrzeba dyskusji ani usprawiedliwień, prezentacji ani etykiety, poczucia winy ani wymówek. Wystarczy potężny ładunek przemocy. Tak silny, że człowiek w złotej zbroi nagle stał się jego najlepszym przyjacielem. Kocham cię. Kocham cię i właśnie dlatego muszę rozwalić ci łeb. Gorst śmiał się, tłukąc osłoniętymi knykциями w wąsy w krwawym blond kolorze. Śmiał się i płakał jednocześnie.

Nagle coś z głuchym brzękiem uderzyło go w naplecznik, jego głowa odskoczyła do tyłu i wyleciał z siodła, padając głową w dół pomiędzy oba wierzchowce, prosto do lodowatej wody, która wypełniła mu hełm. Wynurzył się, kaszląc, a kopyta koni obryzgały mu twarz.

Człowiek w złotej zbroi kurczowo uchwycił się bezpańskiego konia i jak pijany wciągnął się na siodło. Wszędzie leżały trupy ludzi i koni, Unionistów i Północnych, rozciągnięte na kamykach, unoszące się na płytczynie, powoli niesione przez słaby nurt. Gorst już niemal nie widział kawalerii Unii. Tylko Północnych, którzy ostrożnie zbliżali się do niego konno z uniesioną bronią.

Zaczął mocować się ze sprzączką swojego hełmu i w końcu ściągnął go z głowy, wystawiając twarz na szokująco lodowaty wiatr. Wstał z trudem, gdyż woda z rzeki wypełniła mu zbroję. Wyciągnął ręce, jakby chciał objąć serdecznego przyjaciela, po czym uśmiechnął się, gdy najbliższy Północny uniósł miecz.

– Jestem gotowy – wyszeptał.

– Strzelajcie!

Za nim rozległa się seria trzasków i grzechotów. Północny spadł z siodła, przebity bełtami. Kolejny wrzasnął i upuścił topór, chwytając za bełt, który sterczał mu z policzka. Gorst obejrzał się z głupią miną. Wzdłuż brodu na południowym brzegu klęczał długi szereg kuszników. Gdy zaczęli ładować broń, kolejny szereg zajął ich miejsce, klęknął i wycelował z mechaniczną precyzją.

Na końcu formacji potężny mężczyzna siedział na grzbiecie dużego siwka. Generał Jalenhorm.

– Druga linia! – ryknął, gwałtownie opuszczając rękę. – Strzelać!

Gorst instynktownie przypadł do ziemi, po czym powiódł wzrokiem za bełtami spadającymi na Północnych, którzy już zawracali konie. Ludzie wrzeszczeli, zwierzęta parskwały, pędząc przez płyciznę.

– Trzecia linia! Strzelać!

Syk i świergot kolejnej serii strzał. Kilku kolejnych wojowników padło przebitych, jeden koń stanął dęba, po czym przewrócił się na grzbiet, miażdżąc jeźdźca. Jednakże większość Północnych wspięła się na brzeg i czmychnęła przez pole jęczmienia, gnając na północ równie szybko, jak się pojawili.

Gorst powoli opuścił ręce, gdy odgłos kopyt ucichł w oddali. Nie licząc szmeru wody i jęku rannych zapadła niepokojąca

cisza.

Najwyraźniej starcie dobiegło końca, a on przeżył.
Jakie to dziwnie rozczarowujące.

Odwaga i rozwaga

Zanim Calder zatrzymał konia mniej więcej pięćdziesiąt kroków od Starego Mostu, walki ustały. Nie żałował, że nie wziął w nich udziału. Właśnie po to trzymał się z tyłu.

Słońce zaczynało się obniżać po zachodnim niebie, cienie wyciągały się ku Bohaterom, a owady leniwie unosiły się nad polami. Calder mógłby uwierzyć, że czeka go przyjemna przejażdżka jak za dawnych lat, gdy był synem króla Północnych i panem całej krainy, gdyby nie trupy ludzi i koni rozrzucone na szlaku oraz żołnierz Unii leżący z rozrzuconymi rękami i włócznią tkwiącą w plecach na ciemno zabarwionym piachu.

Wyglądało na to, że Stary Most – omszała budowla z pradawnych kamieni, która sprawiała wrażenie, jakby miała się zawalić pod własnym ciężarem – był słabo broniony, a gdy Unioniści zobaczyli, że ich kompani uciekają ze wzgórza, natychmiast wycofali się na drugi brzeg. Calder nie mógł mieć do nich pretensji.

Błady-jak-Śnieg siedział na dużym kamieniu obok włóczni wbitej w ziemię. Jego siwek skubał trawę, a szare futro wokół ramion falowało na wietrze. Niezależnie od pogody, staremu wojownikowi nigdy nie było ciepło. Calder potrzebował chwili, by wcelować czubkiem ostrza do pochwy – zazwyczaj nie miał z tym problemu – a gdy je schował, usiadł obok Północnego.

– Nie śpieszyłeś się – rzekł Błady-jak-Śnieg, nie podnosząc wzroku.

– Mój koń chyba kuleje.

– Coś na pewno kuleje. Twój brat w jednym miał rację. – Wskazał głową Szalkę, który krążył po otwartym terenie na północnym końcu mostu, pokrzykując i wymachując buzdyganem. Wciąż trzymał tarczę z bełtem wbitym obok krawędzi. – Północni nie pójda za człowiekiem, którego uznają za tchórza.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Ależ nic. – Spojrzenie Bładego-jak-Śnieg nie wskazywało na to, że żartuje. – Wszyscy mają cię za bohatera.

Białooki Hansul usiłował dyskutować z Szalką, uspokajająco unosząc dłonie. Szalka pchnął go z rozdrażnieniem i przewrócił na plecy, po czym znów zaczął wrzeszczeć. Wydawało się, że walka nie zaspokoila jego apetytu, i miał ochotę od razu ruszyć na drugą stronę rzeki, by doprowadzić do kolejnego starcia. Najwyraźniej nikt inny nie uważał tego za dobry pomysł.

Błady-jak-Śnieg westchnął z rezygnacją, jakby coś takiego zdarzało się często.

– Na spokój zmarłych, kiedy już twój brat się do czegoś zapali, trudno ugasić jego entuzjazm. Może ty przemówisz mu do rozsądku?

Calder wzruszył ramionami.

– Radziłem sobie już w gorszych sytuacjach. Proszę, oto twoja tarcza. – Rzucił nią w brzuch wojownika, niemal strącając go z kamienia. – Hej! Tępaku! – Podszedł do Szalki, opierając ręce na biodrach. – Oto tępak Szalka! Odważny jak byk, silny jak byk i głupi jak bycza dupa.

Szalka wytrzeszczył oczy, z wściekłością wpatrując się w brata. Wszyscy inni też patrzyli na Caldera, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Uwielbiał występy przed publicznością.

– Stary dobry tuman Szalka! Świetny wojownik, ale, niestety... w głowie samo gówno. – Calder postukał się w czaszkę, po czym powoli wyciągnął rękę w stronę Bohaterów. – Właśnie tak o tobie mówią. – Szalka nieco się uspokoił, a na jego twarzy pojawiła się nutka refleksji, nie była to jednak wyraźna zmiana. – Kiedy spotykają się u Dowa, żeby robić sobie dobrze. Dziesięć Sposobów, Złoty, Żelaznogłowy i cała reszta. Myślą, że jesteś pieprzonym idiotą. – Jeśli o to chodzi, Calder był skłonny się zgodzić. Przysunął się do Szalki, boleśnie zdając sobie sprawę, że znalazł się w zasięgu ciosu. – Może przejedziesz po tym moście i udowodnisz, że mają rację?

– Pieprzyć ich! – warknął Szalka. – Moglibyśmy przekroczyć rzekę i ruszyć do Adwein. Zablokować drogę prowadzącą do Uffrithu! Odciąć korzenie tym draniom z Unii i przedostać się na ich tyły! – Wymachiwał tarczą, próbując ponownie rozpalic w sobie gniew, ale przegrał w chwili, gdy zaczął mówić, zamiast działać. Calder o tym wiedział i musiał bardzo uważać, by nie okazać bratu pogardy. Miał w tym wprawę, wszak robił to od lat.

– Zablokować drogę prowadzącą do Uffrithu? Przed zachodem słońca nadejdzie tamtędy połowa wojsk Unii. – Calder popatrzył na jeźdźców Szalki. Było ich najwyżej dwustu, w większości na wyczerpanych koniach. Piechota wciąż szła przez pola daleko w tyle albo stała przy długim murze, który sięgał niemal do Palca Skarlinga. – Nie wątpię w odwagę Imiennych naszego ojca, ale naprawdę zamierzasz z tą garstką stanąć naprzeciwko tysięcy wrogów?

Szalka przyjrzał się swoim ludziom, napinając mięśnie szczęki i zgrzytając zębami. Białooki Hansul, który właśnie wstał i otrzepywał z kurzu powyginaną tarczę, wrzucił ramionami.

Szalka rzucił buzdygan na ziemię.

– Zaraza!

Calder zaryzykował i położył bratu dłoń na ramieniu.

– Mieliliśmy zająć most i tak zrobiliśmy. Jeśli Unia chce go odzyskać, może przekroczyć rzekę i stanąć z nami do walki na naszym terenie. A my będziemy na nich czekać. Gotowi i wypoczęci, okopani i dobrze wyposażeni. Słowo daję, bracie, jeśli Czarny Dow nie zabije nas z czystej złośliwości, zrobisz to sam przez swoje nieopanowanie.

Szalka wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z płuc. Nie wyglądał na zadowolonego, ale już nie sprawiał wrażenia, jakby chciał komuś urwać głowę.

– W porządku, psiakrew! – Rzucił surowe spojrzenie na drugi brzeg rzeki, po czym popatrzył na Caldera i strącił jego dłoń. – A niech to, czasami rozmawia się z tobą jak z ojcem.

– Dziękuję – odpadł Calder. Nie miał pewności, czy był to komplement, ale właśnie tak odebrał te słowa. Przynajmniej jeden z synów musi nad sobą panować.

Ścieżki chwały

Kapral Tunny starał się przeskakiwać z jednej kępy pożółkłych chwastów na drugą. Lewą ręką trzymał wysoko nad głową królewski sztandar, by ochronić go przed brudem, a prawą miał umazaną błotem aż po ramię po licznych upadkach. Bagna wyglądały właśnie tak, jak Tunny się spodziewał, czyli niezbyt dobrze.

Szli przez labirynt kanałów ze stojącą brązową wodą, na której powierzchni unosiły się różnokolorowe oleje, zgniłe liście i śmierdząca piana, a brzegi porastało chaotycznie rozrzucone mizerne sitowie. Jeśli postawiona stopa zapadała się z chlupotem tylko po kostkę, miało się szczęście. Tu i ówdzie pojedyncze piekielne drzewa zakorzeniły się na tyle głęboko, by móc utrzymać się w pionie i wypuścić nieliczne liście. Pnie zdobiły brody z brązowych pnączy i przerośnięte grzyby. Wokół rozlegało się uporczywe skrzeczenie, które dobiegało zewsząd i znikąd. Wydawał je z siebie jakiś ptak, żaba albo owad, którego Tunny nie widział. A może to samo bagno się z nich naśmiewało?

– Pierdolony las przeklętych – wyszeptał. Prowadzenie przez niego batalionu przypominało prowadzenie stada owiec przez kanał. Poza tym, z niezrozumiałych powodów jak zwykle pełnił rolę awangardy, wspierany przez czterech najmłodszych rekrutów w unijnej armii.

– Którędy teraz, kapralu Tunny? – spytał Worth, zginając się wpół i trzymając za brzuch.

– Przewodnik powiedział, żeby trzymać się trawy! – Co prawda, nie rosło tutaj nic, co uczciwy człowiek mógłby określić tym mianem, ale uczciwi ludzie również stanowili rzadkość. – Masz linę, chłopcze? – spytał Żółtko, który brnął przez bagno z ubłoconym piegowatym policzkiem.

– Zostawiliśmy liny przy koniach, panie kapralu.

– Oczywiście. Oczywiście, że je zostawiliśmy, psiakrew. – Na Boginie Losu, jak bardzo żałował, że to nie on został przy koniach. Zrobił kolejny krok i lodowata woda zalała mu wierzch buta, niczym lepka dłoń chwytająca za stopę. Właśnie szykował się do rzucenia solidnego przekleństwa, gdy za nim rozległ się przenikliwy okrzyk.

– Aaa! Mój but!

Tunny okręcił się na pięcie.

– Ciszej, idioto! – wrzasnął, samemu robiąc mnóstwo hałasu. – Północni usłyszą nas aż w Carleonie!

Ale Klige nie słuchał. Oddalił się od sitowia i jeden z jego butów zapadł się w bagno. Teraz chłopak brodził w jego stronę, zanurzając się aż po uda. Żółtko zachichotał, widząc, jak kolega zaczyna grzebać w błocie.

– Zostaw to, Klige, ty głupku! – burknął Tunny, cofając się do rekruta.

– Mam! – Bagno zachlupotało, gdy Klige wyciągnął swój but, który wyglądał, jakby pokrywała go czarna owsianka. – Ojej! – Zatoczył się w jedną stronę, potem w drugą. – Ojej! – Nagle zapadł się w błocie aż po pas, a triumfalna mina ustąpiła miejsca grymasowi przerażenia.

Żółtko znów zachichotał, ale po chwili zrozumiał, co się stało.

– Kto ma linę?! – zawołał Lederlingen. – Niech ktoś przyniesie linę! – Ruszył w stronę Klige'a, po drodze chwytając bezlistną

gałąź leżącą na powierzchni grzęzawiska. – Chwyć mnie za rękę! Chwyć mnie za rękę!

Jednakże Klige wpadł w panikę i zaczął się miotać, coraz głębiej się zapadając. Szedł na dno z zatrważającą szybkością. Odchylił głowę do tyłu i trzymał twarz tuż nad poziomem błota, a do policzka przywarł mu duży czarny liść.

– Pomocy! – zawodził, ale jego wyciągnięte palce dzielił co najmniej krok od dłoni Lederlingena. Tunny próbował podać mu drzewce od sztandaru. – Pomóżcie mi... – Skierował wytrzeszczone oczy w stronę Tunny'ego, po czym jego twarz i włosy zniknęły, a na powierzchni cuchnącego bagna pękło kilka bąbelków powietrza.

Tunny wbił drzewce w grzęzawisko, ale po Klige'u nie pozostał żaden ślad oprócz uratowanego buta, który powoli odpływał.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Pozostali rekruci sprawiali wrażenie oszołomionych, a Tunny wściekle zaciskał zęby. Trzymali się kęp pożółkłej roślinności, jak młode źrebaki swoich matek. Wkrótce teren zaczął się podnosić, a potwornie powykręcane bagienne drzewka ustąpiły miejsca jodłom i dębom. Tunny oparł brudny sztandar o pień i stanął z rękami na biodrach. Jego wspaniałe buty były w opłakanym stanie.

– Kurwa! – warknął. – Kurwa mać!

Żółtko usiadł w błocie, wpatrując się w pustkę. Jego białe ręce drżały. Lederlingen w milczeniu oblizał blade usta, ciężko dysząc. Wortha nigdzie nie było, ale Tunny słyszał, jak ktoś stęka w zaroślach. Nawet śmierć kolegi nie powstrzymała kłopotów z jelitami, a wręcz je nasiliła. Zbliżył się Forest, z nogami do kolan umazanymi czarnym błotem. Wszyscy byli nim pokryci, usmarowani i zachlapani, zwłaszcza Tunny.

– Słyszałem, że straciliśmy jednego z rekrutów. – Forest powtarzał te słowa tak często, że potrafił to robić bez emocji. Nie miał innego wyjścia.

– Klige'a – wykrztusił Tunny. – Miał zostać tkaczem. Straciliśmy człowieka w pieprzonym bagnie. Co mu tu w ogóle robimy? – Dolna połowa jego płaszczka była ciężka od oleistego błota, które teraz strząsnął na ziemię.

– Zrobiliście, co było w waszej mocy.

– Wiem – odburknął Tunny.

– Nie mogliście zrobić nic więcej...

– Miał w plecaku część mojego sprzętu! Osiem butelek brandy! Czy pan wie, ile mogłem na niej zarobić?

Przez chwilę panowała cisza.

– Osiem butelek. – Forest pokręcił głową. – Niezły z pana numer, kapralu, daję słowo. Dwadzieścia sześć lat w armii Jego Królewskiej Mości, ale wciąż potrafi mnie pan zaskoczyć. Niech pan wejdzie na tamto wzniesienie i przekona się, w jakie piekło się wpakowaliśmy, a ja tymczasem spróbuję przeprowadzić resztę batalionu bez utraty kolejnych butelek. Może to pozwoli panu zapomnieć o tej niepowetowanej stracie. – Oddalił się, sycząc coś do żołnierzy, którzy usiłowali wydobyć dygoczącego muła z błota sięgającego do kolan.

Tunny jeszcze przez chwilę gotował się w środku, ale wiedział, że to mu nic nie da.

– Żółtko, Latherlister, Worth, chodźcie tutaj!

Żółtko wstał z szeroko otwartymi oczami.

– Worth... Worth...

– Wciąż tryska gównem – wyjaśnił Lederlingen, zajęty przetrząsaniem swojego plecaka i rozwieszaniem na gałęziach różnych przemoczonych przedmiotów.

– No jasne, cóż innego mógłby robić? Zatem na niego zaczekajcie. Żółtko, chodź ze mną i postaraj się nie umrzeć. – Ruszył w górę zbocza, kopnięciami usuwając z drogi kawałki drewna. Mokre spodnie boleśnie ocierały mu nogi.

– Nie powinniśmy zachowywać się ciszej? – szepnął Żółtko. – A jeśli natrafimy na wrogów?

– Wrogów! – parsknął Tunny. – Pewnie spotkamy drugi przeklęty batalion, który przebiegł przez Stary Most i dotarł na miejsce przed nami, czysty i suchy. To będzie piękny widok, czyż nie?

– Trudno powiedzieć, panie kapralu – mruknął Żółtko, wlokąc się w górę błotnistej wzgórza niemal na czworakach.

– Kapralu Tunny! Poza tym, nie pytałem cię o zdanie. Ale się wyszczerzą, kiedy zobaczą, jak wyglądamy. Nieźle się z nas pośmieją! – Zbliżali się do skraju lasu. Pomiedzy konarami widzieli niewyraźny zarys odległego wzgórza ze sterczącymi głazami. – Przynajmniej trafiliśmy we właściwe miejsce. Oczywiście, jeśli lubimy być mokrzy, obolali, głodni i biedni – dodał pod nosem. – Pierdolony generał Jalenhorm, słowo daję. Żołnierz spodziewa się, że będą mu srali na głowę, ale to...

Poza linią drzew teren się obniżał i pokrywały go stare pieńki oraz młode drzewka. Najwidoczniej kiedyś pracowali tutaj drwale, którzy pozostawili po sobie rozsypujące się, gnijące szopy. Dalej delikatnie szemrała rzeka, a raczej strumyk, który płynął na południe, zasilając koszmarnie bagna, które właśnie przekroczyli. Na przeciwległym brzegu znajdował się piaszczysty nawis, a za nim trawiaste zbocze, na którym jakiś rolnik przywiązujący dużą wagę do granic zbudował nierówny kamienny mur. Ponad murem Tunny zobaczył jakiś ruch. Włócznie o grotach lśniących w słabnącym świetle. A zatem

miał rację. Drugi batalion dotarł na miejsce przed nimi. Tylko dlaczego ustawili się po północnej stronie muru...?

– Co się stało, kapralu...

– Mówiłem, żebyś był cicho.

Tunny pociągnął Żółtko w zarośla i wyjął lunetę, solidny trzyczęściowy mosiężny sprzęt, który wygrał w kwadraty od jednego z oficerów z szóstego regimentu. Przesunął się kawałek do przodu, znajdując lukę w zaroślach. Po drugiej stronie strumienia grunt gwałtownie się podnosił, po czym opadał, ale na całej długości muru Tunny widział włócznie oraz hełmy. Zobaczył także dym, być może coś gotowano nad ogniskiem. Potem dostrzegł rozczochranego i rozebranego do pasa mężczyznę, który wszedł do wody z wędką sporządzoną z włóczni i sznurka. Zdecydowanie nie był to żołnierz Unii. Znajdował się jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym przycupnęli w krzakach.

– Oho – westchnął Tunny.

– To Północni? – szepnął Żółtko.

– I to całe mnóstwo. A my zaszliśmy ich od flanki. – Tunny podał chłopakowi lunetę, niemal spodziewając się, że ten popatrzy w niewłaściwy koniec.

– Skąd oni się tutaj wzięli?

– Pewnie z północy, nie sądzisz? – Odebrał rekrutowi lunetę.

– Ktoś będzie musiał wrócić. Niech nasi przełożeni dowiedzą się, w co tutaj wdepnęliśmy.

– Myślę, że już wiedzą. Na pewno sami wpadli na Północnych, prawda? – Żółtko nigdy nie miał spokojnego głosu, ale teraz pobrzmiwała w nim nuta hysterii. – Nie mogło być inaczej! Z pewnością o tym wiedzą!

– Kto wie, o czym oni wiedzą. To bitwa. – Gdy Tunny

wypowiedział te słowa, ze zmartwieniem zdał sobie sprawę, że są prawdą. Skoro za murem są Północni, to musiało dojść do walki. Rzeczywiście mieli do czynienia z bitwą, może z początkiem potężnego starcia. Północny stojący w rzece coś złapał, połyskująca srebrzyście ryba zatrzepotała na końcu żyłki. Kilku jego kamratów stało na murze, pokrzykując i wymachując rękami. Wszyscy się uśmiechali. Jeśli miała miejsce bitwa, to najwyraźniej oni ją wygrali.

– Tunny! – Forest skradał się zgięty wpool przez zarośla za ich plecami. – Północni są na drugim brzegu strumienia!

– Wyobraź sobie, że łowią ryby. Za murem aż się roi od tych drani.

– Jeden z chłopców wspiął się na drzewo. Powiedział, że widzi jeźdźców na Starym Moście.

– Zajęli most? – Tunny zaczynał podejrzewać, że będzie miał wielkie szczęście, jeśli w tej dolinie straci tylko osiem butelek brandy. – Jeżeli przejdą na drugą stronę, będziemy odcięci!

– Wiem o tym, Tunny. Wyobraź sobie, że wiem. Musimy przekazać wiadomość generałowi Jalenhormowi. Wybierz posłańca. I nie pokazuj się! – Wpełzł z powrotem w zarośla.

– Ktoś będzie musiał wrócić przez bagna? – szepnął Żółtko.

– Chyba że potrafisz polecieć z powrotem?

– Ja? – Twarz chłopaka poszarzała. – Nie mogę, kapralu Tunny, nie po tym, co się przytrafiło Klige’owi... Po prostu nie mogę!

Tunny wzruszył ramionami.

– Ktoś musi pójść. Przeszedłeś bagna w jedną stronę, możesz przez nie wrócić. Po prostu trzymaj się trawy.

– Kapralu! – Żółtko chwycił Tunny’ego za brudny rękaw i nieprzyjemnie przybliżył piegowatą twarz. Ściszył głos

i odezwał się poufnym, nagłym tonem, jaki Tunny zawsze lubił słyszeć. Tonem, w jakim dobija się targu. – Powiedział pan, że jeśli kiedyś będę czegoś potrzebował... – Zerknął na boki wilgotnymi oczami, sprawdzając, czy nikt nie patrzy. Następnie sięgnął pod mundur, wyjął cynową manierkę i wcisnął ją Tunny'emu w dłoń.

Pułkownik uniósł brew, odkręcił korek, powąchał, ponownie zatkał naczynie, po czym schował je pod mundurem. Następnie pokiwał głową. Zawartość manierki nie mogła się równać z tym, co stracił na bagnach, ale lepsze to niż nic.

– Leatherlicker! – syknął, czołgając się przez zarośla. – Potrzebuję ochotnika!

Pracowity dzień

– Na spokój zmarłych – stęknął Gnat, a rzeczywiście było ich wielu.

Leżeli na północnym zboczu wzgórza, po którym teraz kuśtykał, wśród nich także ranni, których jęki i skamlenie coraz bardziej irytowały Gnata. Miał ochotę krzyczeć, żeby ci biedacy się zamknęli, ale musiał ze wstydem przyznać, że sam wielokrotnie tak się zachowywał i zapewne jeszcze z tym nie skończył.

Dużo więcej zmarłych leżało wokół kamiennego muru. Mógłby się wspiąć na to przeklęte wzgórze, niemal nie dotykając stopą trawy. Zabici po obu stronach, wspólnie spoczywający na lodowatym i bladym przeciwległym brzegu wielkiej otchłani. Jeden z młodych Unionistów umarł, leżąc na twarzy z wypiętym tyłkiem, i teraz patrzył na Gnata z oszołomionym niezadowoleniem, jakby prosił, by ktoś ułożył go w bardziej godnej pozycji.

Gnat nie marnował na to czasu. Godność nie na wiele się zdaje żyjącym, a co dopiero martwym.

Zbocza stanowiły tylko przygrywkę do rzezi, która rozegrała się między Bohaterami. Wielki Rozjemca był tego dnia w żartobliwym nastroju i krętą drogą wspinał się w stronę puenty. Gnat chyba jeszcze nigdy nie widział tak wielu trupów ściśniętych na tak małej przestrzeni. Były ich całe sterty, splątanych w grobowych objęciach. Głodne ptaki tańczyły ponad głazami, czekając na swoją szansę. Muchy już kłębiły się przy

otwartych ustach, oczach i ranach. Skąd one się biorą? W powietrzu unosił się charakterystyczny bohaterski zapach zwłok puchnących i opróżniających kiszki w wieczornym słońcu.

Taki widok powinien skłonić każdego do zastanowienia się nad własną śmiertelnością, ale tuziny Niewolników, którzy grzebali w pobojowisku, zachowywały się beztrosko jak podczas zbierania stokrotek. Zdzierali z trupów ubrania i zbroje, zbierali broń i tarcze, które jeszcze nadawały się do użytku. Jeśli coś im przeszkadzało, to jedynie fakt, że Carlowie, którzy prowadzili szarżę, zagarnęli najlepsze łupy.

– Szlag, jestem już na to za stary – mruknął Gnat, pochylając się i chwytając za obolałe kolano, przez które przebiegała lodowata linia bólu łącząca kostkę z biodrem.

– Toż to Curnden Gnat, nareszcie! – Whirrun wstał spod jednego z Bohaterów, otrzepując tyłek z kurzu. – Już prawie zrezygnowałem z czekania. – Zarzucił sobie na ramię Ojca Mieczy, który ponownie wrócił do pochwy, po czym wskazał dolinę. – Myślałem, że postanowiłeś osiedlić się w którymś z tamtych gospodarstw.

– Żałuję, że tego nie zrobiłem.

– Och, ale któż by mi wtedy wskazał moje przeznaczenie?

– Brałeś udział w walce?

– Owszem, tak się złożyło, że byłem w samym środku. Pieśniarze twierdzą, że lubię walczyć, a tutaj nie brakowało ku temu okazji. – Nie miał na sobie nawet zadraśnięcia. Gnat nigdy nie widział, by Whirrun został ranny podczas starcia. Gdy, drapiąc się po głowie, omiatał wzrokiem jatkę wewnątrz kręgu, powiał silniejszy wiatr i poruszył podartymi ubraniami umarłych. – Dużo trupów, prawda?

– Zgadza się – odrzekł Gnat.

– Całe sterty.

– Zgadza się.

– Ale głównie Unioniści.

– Zgadza się.

Whirrun zsunął miecz z ramienia i postawił go na czubku, trzymając rękojeść obiema rękami, po czym pochylił się, opierając się brodą o głowicę.

– Ale nawet, gdy to są wrogowie, taki widok, no cóż... każe się zastanowić, czy wojna to rzeczywiście coś dobrego.

– Żartujesz?

Whirrun zamilkł, obracając rękojeścią, tak że czubek zaplamionej pochwy zagłębił się w trawie.

– Sam już nie wiem. Agrick nie żyje. – Gnat uniósł wzrok i szeroko otworzył usta. – Był na czele szarży. Zginął wewnątrz kręgu. Ktoś go chyba przebił rapierem, o tutaj pod żebrami – Whirrun wskazał swój bok. – Ostrze pewnie przeszło na wylot...

– To raczej bez znaczenia, jak to się stało, nie uważasz? – odburknął Gnat.

– Masz rację. I tak trafił do ziemi. To nad nim wisiało, odkąd pochował brata. A przynajmniej ja to widziałem. Nie miał szans przetrwać.

Też mi pociecha.

– A pozostali?

– Wesoły Jon ma kilka skaleczeń. Brackowi wciąż dokucza noga, chociaż się nie przyznaje. Poza tym, wszyscy wyszli z tego bez szwanku. A przynajmniej nie są w gorszym stanie niż wcześniej. Cudna zaproponowała, żebyśmy pochowali Agricka obok brata.

– Dobrze.

– To bierzmy się do roboty, nim ktoś inny zacznie tam kopać.

Gnat zaczerpnął tchu i się rozejrzył.

– Jeśli tylko uda ci się znaleźć wolną łopatę. Przyjdę powiedzieć kilka słów. – To będzie właściwe zwieńczenie dnia.

Jednakże, zanim Gnat zdołał zrobić kilka kroków, na drodze stanął mu Caul Dreszcz.

– Dow chce cię widzieć – powiedział, a jego szept, blizna i lekceważąco zmarszczone czoło upodabniały go do samego Wielkiego Rozjemcy.

– No tak. – Gnat zwalczył chęć gryzienia paznokci. – Powiedz im, że niedługo wrócę. Bo wrócę, prawda?

Dreszcz wzruszył ramionami.

Gnatowi mogło się nie podobać, co zrobili z tym miejscem, ale wyglądało na to, że Czarny Dow jest zadowolony z wykonanej pracy. Opierał się o jeden z głazów, trzymając w dłoni resztkę jabłka.

– Gnat, ty stary draniu! – Gdy Dow się obrócił, Gnat zauważył, że jedną stroną uśmiechniętej twarzy ma umazaną i zachlapaną krwią. – Gdzieś się podziewał, do diabła?

– Szczerze mówiąc, kuśtykałem na samym końcu. – Rozcięstopy i kilku jego Carlów stali w pobliżu z obnażonymi ostrzami i bacznie mu się przyglądali. Zaskakująca czujność jak na zwycięską armię.

– Myślałem, że może zginąłeś? – rzekł Dow.

Gnat skrzywił się, obracając obolałą stopą, i pomyślał, że jeszcze nic straconego.

– Żałuję, że nie potrafię biegać tak szybko, by dać się zabić. Mogę stanąć gdziekolwiek mi rozkażesz, ale szarża to zabawa

dla młodych.

– Mnie się udało dotrzymać im kroku.

– Nie jestem aż tak żądny krwi jak ty, wodzu.

– Taka już moja natura. Ale chyba jeszcze nigdy nie wykonałem tyle dobrej roboty jednego dnia. – Dow położył dłoń na ramieniu Gnata i przeprowadził go między głazami na skraj wzgórza, skąd mogli popatrzeć w głąb doliny na południu. Właśnie tutaj stał Gnat, gdy po raz pierwszy zobaczył zbliżające się wojska Unii. Wiele się zmieniło przez ostatnie kilka godzin.

Rozsypujący się mur był najeżony bronią, która lśniła matowo w słabnącym świetle. Ludzie na zboczu kopali doły, strugali kołki, zmieniali Bohaterów w fortecę. Dolna część południowego zbocza, aż do sadów, była usiana trupami. Między nimi krążyli złodzieje, najpierw ludzie, a po nich wrony, pierzaści grabarze skrzeczący radosnym chórem. Niewolnicy układali rozebrane ciała na stertach, przygotowując je do pochówku. Kiedy ktoś umiera w czasie pokoju, żegnają go łyzy i procesje, a przyjaciele i sąsiedzi wzajemnie się pocieszają. Podczas wojny tylko szczęściarze zostają przysypani ziemią, nim zaczną cuchnąć.

Dow zgiął palec.

– Dreszczu.

– Tak, wodzu.

– Słyszałem, że w Osrungu trzymają jakiegoś ważnego jeńca. Chyba oficera Unii. Przyprowadź go do nas, może uda nam się z niego wydobyć coś godnego uwagi.

Dreszcz pokiwał głową, a jego oko rozbłysło na pomarańczowo w blasku zachodzącego słońca.

– Dobrze – odparł, po czym oddalił się, stąpając nad trupami tak beztrąsko, jakby to były jesienne liście.

Dow odprowadził go wzrokiem, marszcząc czoło.

– Niektórym ludziom wciąż trzeba zapewniać jakieś zajęcie, prawda, Gnacie?

– Pewnie tak. – Ciekawe, jakie zajęcie Dow zamierzał znaleźć dla niego.

– To był pracowity dzień. – Wódz wyrzucił ogryzek i poklepał się po brzuchu jak człowiek, który zjadł najlepszy posiłek w życiu, a resztkami było kilkaset trupów.

– Tak jest – mruknął Gnat.

Pewnie też powinien świętować. Zatańczyć z radości, chociaż na jednej nodze. Śpiewać i wznosić toasty razem z pozostałymi. Niestety, czuł tylko ból. Był obolały i chciał położyć się spać, a potem obudzić w swoim domu nad wodą i nigdy więcej nie oglądać żadnego pola bitwy. Wtedy nie musiałby kłamać nad grobem Agricka.

– Odepchnęliśmy ich do rzeki, na drugą stronę doliny. – Dow machnął dłonią, którą wokół paznokci pokrywała zaschnięta krew. – Reachey przedostał się przez ogrodzenie i wyrzucił Unionistów z Osrungu. Szalka zajął Stary Most. Złoty przeprowadził swoich ludzi przez płycizny. Tam go zatrzymali, ale... zacząłbym się niepokoić, gdyby wszystko szło po mojej myśli. – Czarny Dow mrugnął, a Gnat przestraszył się, że zaraz otrzyma cios w plecy. – Pewnie teraz ludzie przestaną narzekać, że nie jestem wojownikiem, za jakiego mnie uważali, jak myślisz?

– Pewnie tak. – Jakby to miało jakieś znaczenie. – Dreszcz powiedział, że chcesz się ze mną widzieć.

– Czy dwóch starych wojowników nie może sobie pogawędzić po bitwie?

Nawet dźgnięcie w plecy zaskoczyłoby Gnata mniej.

– Myślę, że może. Tylko nie sądziłem, że ty będziesz jednym z nich.

Dow przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Ja również. Widzę, że obaj jesteście zaskoczeni.

– Zgadza się – odparł Gnat, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Jutro pozwolimy, żeby to Unia do nas przyszła – rzekł Dow.

– Daj odpocząć swoim starym nogom.

– Sądzisz, że przyjdą? Po tym, co się stało?

Dow wyszczerzył się szerzej niż kiedykolwiek.

– Spuściliśmy tęgie lanie Jalenhormowi, ale połowa jego ludzi nie przekroczyła rzeki. Zresztą, to tylko jedna z trzech dywizji. – Wskazał w kierunku drogi prowadzącej do Adwein, gdzie w półmroku zaczynały migotać światła, jasne kropki znaczące szlak, którym maszerowali żołnierze z pochodniami. – Mitterick dopiero prowadzi tutaj swoich ludzi, świeżych i gotowych. A po drugiej stronie podobno jest Meed. – Palec wodza przesunął się w lewo, ku drodze do Ollensandu. – Nie przejmuj się, czeka nas tutaj jeszcze mnóstwo pracy. – Dow nachylił się i zacisnął palce na ramieniu Gnata. – Dopiero zaczynamy.

Pokonani

Wasza Królewska Mość!

Z żalem informuję, że w dniu dzisiejszym armia oraz interesy Unii na Północy poważnie ucierpiały. Rankiem najdalej wysunięta część dywizji generała Jalenhorma dotarła do miasteczka Osrung i zajęła silną pozycję na wzgórzu otoczonym kręgiem pradawnych głazów zwanych Bohaterami. Posiłki zostały wstrzymane przez fatalne drogi i zanim zdążyły się przeprawić przez rzekę, Północni zaatakowali licznymi siłami. Mimo że szósty regiment oraz regiment Rostoda dzielnie walczyły, musiały ulec w obliczu liczebnej przewagi wroga. Sztandar szóstego regimentu wpadł w ręce Północnych. Szacujemy, że straty wynoszą około tysiąca zabitych i tyle samo rannych, jednak znacznie więcej żołnierzy trafiło do niewoli.

Jedynie dzięki odważnej akcji pierwszego regimentu kawalerii Waszej Królewskiej Mości uniknęliśmy całkowitej katastrofy. Północni są obecnie silnie ufortyfikowani na wzgórzu. Na zboczach widać blask ognisk w ich obozowiskach. Gdy wiatr zwraca się na północ, niemal słyszymy ich śpiewy. Mimo to, wciąż utrzymujemy się na południowym brzegu rzeki i stopniowo dołączają do nas dywizje generała Mittericka z zachodu oraz lorda gubernatora Meeda ze wschodu. Przygotowujemy się do ataku o świcie.

Jutro Północni nie będą śpiewali.

*Wierny i pokorny sługa Waszej Królewskiej Mości,
Bremer dan Gorst,
królewski obserwator Wojny Północnej*

Gęstniejącą ciemność wypełniały krzyki, brzęki i piski, a także ostra woń dymu z palonego drewna, która jeszcze dotkliwiej świadczyła o porażce. Płomienie ognisk drgały na wietrze, a pochodnie trzaskały w bladych dłoniach, oświetlając twarze utrudzone całodniowym marszem, czekaniem i niepokojem. Być może w kilku przypadkach nawet walką.

Drogę z Uffrithu wypełniała niekończąca się kolumna przeładowanych wozów, konnych oficerów i maszerujących żołnierzy. Dywizja Mittericka brnęła naprzód, przyglądając się rannym i pokonanym, zarażając się strachem, jeszcze zanim miała okazję zetknąć się z wrogiem. To, co nie zwróciłoby ich uwagi przed szturmem na Bohaterów, teraz nabierało przytłaczającego znaczenia. Martwy muł o wytrzeszczonych oczach lśniących w blasku lamp. Wóz ze złamaną osią leżący przy drodze i rozebrany na drewno. Zdeptany porzucony namiot zdmuchnięty z kołków, na którym widniało żółte słońce Unii. To wszystko symbole zagłady.

W ciągu ostatnich miesięcy strach stał się rzadkością, o czym przekonał się Gorst, gdy każdego ranka wizytował obozy poszczególnych regimentów. Wszędzie panowały nuda, wyczerpanie, głód, choroba, beznadzieja i tęsknota za domem. Ale nie lęk przed wrogiem. Teraz strach był wszędzie, a jego smród stawał się silniejszy, gdy niebo zasnuwało się chmurami, a słońce opuszczało za wzgórze.

Tak jak zwycięstwo dodaje ludziom odwagi, przegrana czyni ich tchórzami.

Marsz przez Adwein powstrzymało kilka olbrzymich wozów, każdy ciągnięty przez osiem koni. Czerwony z wściekłości oficer wrzeszczał na staruszka, który siedział przygarbiony na pierwszym wozie.

– Jestem Saurizin, adept chemii na Uniwersytecie Aduańskim! – odkrzyknął starzec, wymachując dokumentem zaplamionym przez pierwsze krople deszczu. – Ten sprzęt musi przejechać, zgodnie z rozkazem lorda Bayaza!

Gorst minął ich, a zaraz potem kwatermistrza, który dobijał się do drzwi w poszukiwaniu kwater dla żołnierzy. Na ulicy mokła na deszczu miejscowa kobieta z trójką dzieci przy nogach, patrząc na trzymane w garści monety.

Wygnani ze swojej chatki, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś buńczuczego porucznika, który zostanie wyrzucony, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś wystrojonego kapitana, który zostanie przepędzony, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś nadętego majora. Gdzie wtedy będą ta kobieta i jej dzieci? Może spokojnie zasną w moim namiocie, podczas gdy ja będę heroicznie drzemał na błocie? Wystarczy wyciągnąć rękę... Spuścił wzrok i minął ich w milczeniu.

W większości surowych wioskowych budynków leżeli ciężko ranni; mniej poważne przypadki umieszczano za progiem. Patrzyli na niego z twarzami wykrzywionymi bólem, umazani błotem albo obwiązani bandażami, a Gorst, nic nie mówiąc, odwzajemniał ich spojrzenia. Znam się na ranieniu ludzi, a nie na ich pocieszaniu. A jednak odkorkował swoją manierkę i podał ją cierpiącym, którzy kolejno pociągnęli z niej po łyku, aż ją opróżnili. Nie licząc jednego człowieka, który na chwilę

uściskał dłoń Gorsta, pozostali mu nie podziękowali, lecz było mu to obojętne.

W drzwiach pojawił się chirurg w umazanym fartuchu i przeciągle westchnął.

– Gdzie generał Jalenhorm? – spytał Gorst.

Wskazano mu pobrużdżoną koleinami boczną drogę. Po kilku krokach usłyszał głos. Ten sam, który przez ostatnie kilka dni wykrzykiwał rozkazy. Ale teraz jego ton uległ zmianie.

– Połóżcie ich tutaj! Zróbcie miejsce! Ty, przynieś bandażę! – Jalenhorm klęczał na błocie, ściskając dłoń mężczyzny na noszach. Wyglądało na to, że wreszcie pozbył się wianuszka oficerów, być może zostawił ich martwych na wzgórzu. – Nie martw się, będziesz miał najlepszą opiekę. Jesteś bohaterem. Wszyscy jesteście bohaterami! – Z chlupotem padł na kolana obok kolejnego żołnierza. – Zrobiliście wszystko, czego od was oczekiwano. To ja ponoszę winę, przyjaciele, to ja popełniłem błędy. – Ścisnął rannego za ramię, po czym powoli wstał, patrząc w dół. – To moja wina.

Jak widać, porażki budzą w niektórych to co najlepsze.

– Generale Jalenhorm?

Generał uniósł wzrok, przekrzywiając głowę w blasku pochodni. W tej chwili wyglądał niezwykle staro jak na tak młodego człowieka.

– Pułkownik Gorst, jak się pan...

– Przyjechał marszałek Kroy.

Generał wyraźnie oklapł, jak poduszka, z której usunięto połowę wypełnienia.

– Oczywiście. – Rozprostował ubrudzoną bluzę od munduru i ustawił pas z bronią we właściwej pozycji. – Jak wyglądam?

Gorst otworzył usta, ale Jalenhorm mu przerwał:

– Niech mnie pan nie pociesza. Wyglądam jak człowiek przegrany.

To prawda.

– Proszę nie zaprzeczać.

Nie zaprzeczyłem.

– Właśnie tym jestem.

Racja.

Gorst poprowadził generała zatłoczonymi uliczkami, przez parę bijącą z wojskowych kuchni oraz blask straganów, mając nadzieję, że nie będą rozmawiać. Rozczarował się. Jak zwykle.

– Pułkownik Gorst, muszę panu podziękować. Pańska szarża ocaliła moją dywizję.

Być może ocaliła także moją karierę. Jeśli o mnie chodzi, cała pańska dywizja może się utopić, byle król znów uczynił mnie dowódcą straży.

– Nie zrobiłem tego bezinteresownie.

– Jak każdy. Ale historia zapamięta tylko skutki, motywy rozwieją się jak dym. A fakty są takie, że niemal doprowadziłem swoją dywizję do zagłady. Swoją dywizję. – Jalenhorm parsknął z goryczą. – Tę, którą król lekkomyślnie mi powierzył. Wie pan, że próbowałem odmówić.

Najwyraźniej niedostatecznie się pan starał.

– Ale wie pan, jaki jest król.

Aż za dobrze.

– Przypisuje swoim przyjaciołom wzniosłe idee.

Wszystko w ten sposób postrzega.

– Niewątpliwie zostanę wyśmiany po powrocie do domu. Czeka na mnie upokorzenie. Pogarda.

Teraz pan wie, jak wygląda moje życie.

– Pewnie na to zasługuję.

Pewnie tak. Ja nie.

A jednak, gdy Gorst zerknął na Jalenhorma, na jego zwieszoną głowę, włosy przyklejone do czaszki, kroplę deszczu wiszącą na czubku nosa, na najpełniejszy obraz przygnębienia, jaki widział poza lustrem, ogarnęła go niespodziewana fala współczucia.

Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że położył dłoń na ramieniu generała.

– Zrobił pan wszystko, co było w pana mocy – powiedział. – Nie powinien się pan obwiniać. – Wiem z doświadczenia, że wkrótce pojawią się legiony szlachetnych szumowin, które pana w tym wyręczą. – Nie wolno się panu obwiniać.

– Więc kogo mam winić? – wyszeptał Jalenhorm pośród deszczu. – Kogo?

Jeśli nawet marszałek Kroy zaraził się strachem, to nie dawał tego po sobie poznać, podobnie jak wszyscy pozostali, którzy znaleźli się w zasięgu jego żelaznego spojrzenia. W jego obecności żołnierze maszerowali w idealnym rytmie, oficerowie mówili wyraźnie, ale nie krzyczeli, a ranni przestawali wyc i milczeli z godnością. W promieniu pięćdziesięciu kroków od wyprostowanego w siodle Kroya panowało wysokie morale, dyscyplina i nikt nie czuł się pokonany.

Jalenhorm wyraźnie zeszywniał, gdy zbliżył się do marszałka.

– Lordzie marszałku Kroy – zasalutował.

– Generale Jalenhorm. – Marszałek patrzył surowo z siodła. – Podobno doszło do starcia.

– Zgadza się. Północni pojawili się błyskawicznie i w ogromnej liczbie. To był skoordynowany atak. Zamarkowali

natarcie na Osrung, a ja posłałem jeden regiment dla wzmocnienia miasta. Chciałem znaleźć dodatkowe posiłki, ale zanim mi się udało... mogliśmy już tylko próbować utrzymać wrogów po drugiej stronie rzeki. Było za późno, żeby...

– Stan pańskiej dywizji, generale.

Jalenhorm milczał przez chwilę. Stan jego dywizji był boleśnie oczywisty.

– Dwa z moich pięciu regimentów piechoty utknęły na kiepskich drogach i jeszcze nie uczestniczyły w walkach. Trzynasty regiment zajmował Osrung, a gdy Północni sforsowali bramę, wycofał się, tracąc kilku ludzi. – Jalenhorm monotonnym głosem wyrecytował listę ofiar. – Większość regimentu Rostoda, bodajże dziewięć oddziałów, została zaskoczona na otwartej przestrzeni i rozgromiona. Szósty regiment bronił wzgórza przed natarciem Północnych. Został pokonany i zmieciony przez konnych na polach. Regiment... – usta Jalenhorma zadrżały – ...przestał istnieć.

– Pułkownik Wetterlant?

– Podejrzewamy, że zginął na drugim brzegu rzeki. Jest tam bardzo wielu zabitych, a także rannych, do których nie możemy dotrzeć. Słyszymy, jak błagają o wodę. Z jakiegoś powodu zawsze chcą wody. – Jalenhorm pozwolił sobie na nerwowy śmiech, przerażająco nie na miejscu w tych okolicznościach. – Myślałem, że raczej będą chcieli... alkoholu albo czegoś w tym rodzaju.

Kroy milczał. Gorst nie miał zamiaru zakłócać ciszy.

Jalenhorm mówił dalej, jakby nie mógł znieść milczenia.

– Jeden regiment kawalerii poniósł straty niedaleko Starego Mostu i się wycofał, ale utrzymał południowy brzeg. Pierwszy regiment rozdzielił się na dwie części. Jeden batalion przebył

bagna i zajął pozycję w lesie na naszej lewej flance.

– To może się okazać użyteczne. A drugi?

– Walczył dzielnie u boku pułkownika Gorsta na płycznach i odparł atak wroga, ponosząc, ale także zadając olbrzymie straty. To nasza jedyna w pełni udana operacja tego dnia.

Kroy zwrócił surowe oblicze w stronę Gorsta.

– Jakież bohaterskie wyczyny, pułkowniku?

Tyle, ile było niezbędne, by tragedia nie zmieniła się w katastrofę.

– Tym razem tylko działanie, panie marszałku. Żadnego bohaterstwa.

– Pamiętałem pańskie zalecenia dotyczące pośpiechu, lordzie marszałku – wtrącił się Jalenhorm. – W liście prosił pan o pośpieszne zakończenie konfliktu.

– Rzeczywiście.

– Pamiętałem, że król domagał się szybkich rezultatów. Dlatego wykorzystałem pierwszą okazję do starcia z wrogiem. Wykorzystałem ją... zdecydowanie zbyt gorliwie. Popełniłem straszny błąd. Potworny błąd, za który ponoszę całkowitą odpowiedzialność.

– Nie. – Kroy ciężko westchnął. – Obaj ją ponosimy. I nie tylko my. Złe drogi. Specyfika pola bitwy. Niepotrzebny pośpiech.

– Tak czy inaczej, zawiodłem. – Jalenhorm dobył broni i podał ją marszałkowi. – Pokornie proszę o odebranie dowództwa nad armią.

– Król nie chciałby o tym słyszeć. Ja również się nie zgadzam. Generał opuścił broń, której czubek zarył się w błocie.

– Oczywiście, lordzie marszałku. Powinienem był dokonać dokładniejszego zwiadu w lesie...

– Owszem. Ale otrzymał pan rozkaz, by maszerować na północ i znaleźć wroga. – Kroy rozejrzał się powoli po pogrążonej w chaosie wiosce oświetlonej pochodniami. – Znalazł go pan. To jest wojna. Błędy się zdarzają, a kiedy tak się dzieje... stawka jest wysoka. Ale to nie koniec. Dopiero zaczęliśmy. Spędzi pan dzisiejszą noc oraz jutrzejszy dzień za płycizną, gdzie pułkownik Gorst po południu stoczył swą bitwę pozbawioną bohaterskich wyczynów. Proszę przegrupować i doposażyć dywizję, zadbać o rannych, poprawić morale oraz... – rozejrzał się złowrogo po wiosce, w której próżno było szukać żołnierskiego ducha – ...zaprowadzić dyscyplinę

– Tak jest, lordzie marszałku.

– Ustanowię swoją kwaterę główną na zboczu Czarnego Wzgórza, skąd jutro powinienem mieć dobry widok na pole bitwy. Porażka zawsze boli, ale mam wrażenie, że otrzyma pan kolejną szansę, by stoczyć tę bitwę.

Jalenhorm wyprostował się, odzyskując nieco dawnego wigoru, gdy otrzymał jasno wytyczony cel.

– Moja dywizja pojutrze będzie gotowa do walki, może pan na mnie polegać, lordzie marszałku!

– To dobrze.

Kroy odjechał, a jego nieposkromiona aura rozplynęła się w nocy razem z jego oficerami. Jalenhorm stał nieruchomo, salutując oddalającemu się marszałkowi. Gorst ruszył drogą, ale po kilku krokach się obejrzał.

Generał wciąż stał samotnie obok szlaku, przygarbiony w coraz silniejszym deszczu, którego białe strumienie syczały w blasku pochodni.

Uczciwe traktowanie

Wędrowali w deszczu drogą w stronę Osrungu, dostosowując się tempem do powolnego kuśtykania Mokrego. Przyświecała im tylko dopalająca się pochodnia Refta, w której blasku widzieli zaledwie kilka metrów porytego koleinami błota przed sobą, zdeptane uprawy po obu stronach, wystraszone chłopięce oblicza Braita i Colvinga oraz bezmyślnie wytrzeszczone oczy Stoddera. Wszyscy wpatrywali się w miasto, skupisko świateł pośród czarnego krajobrazu, znaczące ciężkie obłoki w górze delikatną poświatą. Wszyscy mocno ściskali to, co uchodziło za broń w ich niewielkiej zebraczej drużynie. Zupełnie jakby przygotowywali się do walki. Jednak tego dnia walka już dawno się skończyła, a oni ją przegapili.

– Dlaczego, u diabła, zostawili nas z tyłu? – narzekał Beck.

– Przez moją chorą nogę i wasz brak doświadczenia, głupcze – odburknął Mokry przez ramię.

– Jak mamy zdobyć doświadczenie, skoro wlecemy się na szarym końcu?

– Nauczycie się, jak nie dać się zabić, a jeśli chcecie wiedzieć, to bardzo użyteczna umiejętność.

Beck nie chciał wiedzieć. Jego szacunek dla Mokrego malał z każdą wspólnie pokonaną milą. Ten stary fiut najwyraźniej stara się trzymać chłopców jak najdalej od pola bitwy i dlatego wysyła ich do tak idiotycznych zadań takich jak kopanie dołów, noszenie sprzętu czy rozpalanie ognisk. A także stara się, żeby było mu ciepło w nogę. Gdyby Beck chciał wykonywać kobiece

czynności, zostałyby w gospodarstwie i oszczędził sobie kilku nocy na zimnie. Przyjechał tutaj walczyć, okryć swoje imię sławą i dokonywać czynów, o których śpiewa się w pieśniach. Miał zamiar to powiedzieć, ale Brait pociągnął go za rękaw i wskazał przed siebie palcem.

– Ktoś tam jest! – pisnął.

Beck zobaczył, że coś porusza się w mroku, poczuł ukłucie niepokoju i sięgnął do rękojeści broni. Blask pochodni oświetlił trzy kształty zwisające z drzewa na łańcuchach. Wszystkie były poczerniałe od ognia, a gałąź lekko skrzypiała, gdy się obracały.

– Dezerterzy – rzekł Mokry, niemal nie gubiąc kulawego rytmu. – Powieszeni i spaleni.

Beck przyjrzał się im, przechodząc obok. W ogóle nie przypominali ludzi, raczej zwęglone drewno. Ten w środku miał na szyi jakąś tabliczkę, ale strawił ją ogień i Beck nie zdołał odczytać napisu.

– Po co ich spalili? – spytał Stodder.

– Ponieważ Czarny Dow dawno temu polubił zapach pieczonych ludzi i nadal nie zmienił upodobań.

– To ostrzeżenie – szepnął Reft.

– Przed czym?

– Przed dezercją – odparł Mokry.

– Ty idioto – dodał Beck, ale głównie dlatego, że patrzenie na te dziwne spopielone sylwetki działało mu na nerwy. – Tchórze nie zasługują na nic więcej... – Rozległ się kolejny pisk, tym razem Colvinga, a Beck ponownie sięgnął po broń.

– To tylko ludzie z miasteczka. – Reft wyżej podniósł pochodnię i z ciemności wyłoniło się kilka zmartwionych twarzy.

– Niczego nie mamy! – zawołał starzec stojący na przodzie,

machając kościstymi dłońmi. – Niczego nie mamy!

– Niczego nie chcemy. – Mokry wskazał kciukiem za siebie. – Idźcie swoją drogą.

Miejscowi minęli ich, powłócząc nogami. Byli to głównie starcy, a także kilka kobiet i dwójka dzieci. Były młodsze od Braita, co oznaczało, że dopiero niedawno nauczyły się mówić. Wszyscy dźwigali torby i sprzęt, a jedna albo dwie osoby pchały skrzypiące taczki pełne rupieci: wytartych futer, starych narzędzi i garnków. Przedmiotów, które mogłyby pochodzić z domu matki Becka.

– Wynoszą się – zapiał Colving.

– Wiedzą, co się święci – odrzekł Reft.

Osrung wynurzył się z ciemności – ogrodzenie z omszałych zaostrzonych bali, wysoka kamienna wieża z rozświetlonymi szparami okien wznosząca się obok pustej bramy. Ponurzy mężczyźni uzbrojeni we włócznie stali na straży, mrużąc oczy na deszczu. Kilku młodzieńców umazanych błotem kopało wielki dół przy świetle dopalających się pochodni zatkniętych na żerdziach.

– Zaraza – szepnął Colving.

– Na spokój zmarłych – pisnął Brait.

– W rzeczy samej – dodał Stodder, wydymając obwisłą wargę.

Beck nie miał nic do powiedzenia. To, co początkowo wziął za stertę bladej gliny, okazało się stertą trupów. Uważał się za twardego, ponieważ kiedyś nie zrobił na nim wrażenia widok Geldy z doliny czekającego na pochówek po tym, jak utonął w rzece, jednakże to było coś zupełnie innego. Wszyscy zmarli wyglądali dziwnie, rozebrani do naga, rzućeni twarzami do góry albo do dołu, śliscy od deszczu. Musiał sobie powtarzać, że to ludzie, a ta myśl przyprawiała go o zawrót głowy. W plątaniu

ciał dostrzegał twarze albo fragmenty twarzy. Dłonie, ręce, stopy, wymieszane jak u jednego potwornego stworzenia. Nie chciał zgadywać, ilu ich jest. Zobaczył sterczącą nogę i czarną ziejącą ranę na udzie, przypominającą wielkie usta. Wyglądała nierealnie. Gdy przechodzili, jeden z kopiających chłopców na chwilę przerwał, ściskając łopatę w białych dłoniach. Miał wykrzywione usta, jakby miał się rozplakać.

– Dalej – burknął Mokry, prowadząc ich łukowato sklepionym przejściem, w którym roztrzaskane drzwi opierały się o ogrodzenie.

Obok leżał potężny pień drzewa, którego konary przycięto do wygodnej długości, a cięższy koniec wygładzono i zwieńczono okuciem z nierównego czarnego żelaza pokrytego lśniącoymi zadrapaniami.

– Myślicie, że to był taran? – szepnął Colving.

– Raczej tak – odparł Reft.

W miasteczku panowała dziwna atmosfera. Niepokojąca. Niektóre domy zamknięto na cztery spusty, inne miały okna i drzwi otwarte na oścież i ziejące ciemnością. Grupa brodatych mężczyzn o złych spojrzeniach siedziała przed jednym z budynków i podawała sobie manierkę. Dzieci kryły się w wylocie uliczki, a ich oczy załśniły w cieniu, gdy padł na nie blask pochodni. Zewsząd dobiegały osobliwe dźwięki. Trzaski i dzwonienie. Łupnięcia i okrzyki. Grupy ludzi przemykały pomiędzy budynkami z pochodniami i błyskającymi ostrzami w dłoniach. Wszyscy poruszali się wygłodniałym truchtem.

– Co się dzieje? – spytał Stodder charakterystycznym drętwym, głupkowskim głosem.

– Plądrują.

– Ale... czy to nie jest nasze miasto?

Mokry wzruszył ramionami.

– Walczyli o nie. Niektórzy za nie zginęli. Nie mają zamiaru odejść z pustymi rękami.

Carl z długimi wąsami siedział pod ociekającym okapem z butelką w dłoni i patrzył na nich z kpiącym uśmiechem. W drzwiach obok niego leżał trup do połowy schowany za progiem, tył jego głowy miał postać lśniącej bezkształtnej masy. Beck nie potrafił stwierdzić, czy to ktoś, kto mieszkał w tym domu, czy ktoś, kto o niego walczył. Nie wiedział nawet, czy patrzy na kobietę, czy na mężczyznę.

– Odebrało wam mowę? – spytał Reft.

Beck chciał się pokusić o ciętą ripostę, ale udało mu się tylko wykrztusić:

– Tak.

– Zaczekajcie tutaj. – Mokry, kuśtykając, zbliżył się do mężczyzny w czerwonym płaszczu wydającego rozkazy Carlom. W pobliskiej uliczce mokło kilka zgarbionych postaci siedzących ze związanymi rękami.

– Jeńcy – zauważył Reft.

– Nie różnią się zbyt od nas – odrzekł Colving.

– Rzeczywiście. – Reft popatrzył na nich ze zmarszczonym czołem. – Pewnie chłopcy Wilczarza.

– Oprócz tego tutaj – wskazał Beck. – To żołnierz Unii. – Miał obandażowaną głowę i był ubrany w zabawny unijny mundur z oderwanym rękawem, spod którego wyzierała skóra pokryta obtarciami. Mankiet drugiego rękawa zdobiła elegancka złota nitka.

– No dobrze – powiedział Mokry, gdy do nich wrócił. – Zajmijcie się jeńcami, a tymczasem ja dowiem się, co będziemy robili jutro. Tylko postarajcie się, żeby nikt nie zginął, także

spośród was! – zawołał, oddalając się ulicą.

– Zając się jeńcami – mruknął Beck, ale gdy popatrzył na ich przybite oblicza, jego rozgoryczenie osłabło.

– Pewnie myślisz, że zasługujesz na lepsze zajęcie? – Mężczyzna, który to powiedział, wyglądał jak szaleniec. Brzuch miał owinięty dużym bandażem zaplamionym na brązowo, a na środku także na czerwono. Związano mu zarówno kostki, jak i nadgarstki. – Banda pierdolonych chłoptasiów, którzy nawet nie są Imienni!

– Przymknij się, Krzywostopy – mruknął jeden z pozostałych jeńców, nie podnosząc wzroku.

– Sam się przymknij, dupku! – Krzywostopy popatrzył na swojego kompana tak, jakby chciał go rozszarpać zębami. – Cokolwiek się dzisiaj stanie, jutro przyjdzie Unia. Więcej żołnierzy niż mrówek w mrowisku. A razem z nimi Wilczarz. Chyba nie muszę mówić, kto mu towarzyszy? – Uśmiechnął się szeroko i wytrzeszczył oczy, szeptem wypowiadając złowrogie imię. – Krwawy-dziewięć. – Beck poczuł, że płoną mu policzki. Krwawy-dziewięć zabił jego ojca. Zabił go w pojedynku jego własnym ostrzem. Tym samym, które teraz spoczywało w pochwie u jego boku.

– To kłamstwo – pisnął Brait, przerażony do szpiku kości, choć mieli przy sobie broń, a więźniowie byli mocno związani. – Czarny Dow zabił Dziewięciopalcego wiele lat temu!

Krzywostopy wciąż szaleńczo się uśmiechał.

– Zobaczmy. Już jutro, mały draniu. Zobaczmy...

– Daj mu spokój – wtrącił się Beck.

– Czyżby? A jak ty się nazywasz?

Beck podszedł i kopnął Krzywostopego w klejnoty.

– Właśnie tak! – Wymierzał kolejne kopniaki skulonemu

jeńcowi, aż rozładował całą złość. – Właśnie tak się nazywam! Tak się nazywam, do kurwy nędzy, już usłyszałeś?

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Czego? – warknął Beck, odwracając się z zaciśniętymi pięściami.

Za nim stał potężny mężczyzna, o pól głowy wyższy od Becka, a futro przykrywające jego ramiona lśniło od deszczu. Na jednej stronie jego twarzy widniała największa i najbardziej obrzydliwa blizna, jaką Beck kiedykolwiek widział, a w miejscu oka tkwiła metalowa kulka.

– Nazywam się Caul Dreszcz – odezwał się przybysz chrapliwym szeptem.

– No tak – zaskrzeczał Beck.

Słyszał opowieści. Wszyscy je słyszeli. Powiadano, że Dreszcz wykonuje dla Północnych zadania, którymi nawet Czarny Dow nie chce sobie brudzić rąk. Powiadano, że walczył na Czarnym Wzgórzu, pod Cumnurem, Dunbresem i na Wysokich Szczytach, u boku Rudda Trójdrzewca i Wilczarza, a także Krwawego-dziewięć. Powiadano, że popłynął na południe przez morze i nauczył się magii. Że z własnej woli zamienił żywe oko na srebrne, które wykonała dla niego wiedźma, i dzięki niemu widzi myśli innych ludzi.

– Przysłała mnie Czarny Dow.

– No tak – szepnął Beck, czując, że wszystkie włosy stają mu dęba.

– Po jednego z nich. Oficera Unii.

– To chyba ten. – Colving dźgnął palcem u nogi mężczyznę z podartym rękawem, a jeniec stęknął.

– Toż to pies Czarnego Dowa! – Krzywostopy uśmiechnął się, ukazując zęby lśniące od krwi. Bandaże, którymi był owinięty,

również mocniej poczerwieniały. – Może dla nas zaszczekasz, co, Dreszczu? Zaszczekaj, draniu! – Beck nie wierzył własnym uszom. Żaden z nich nie wierzył. Może Krzywostopy wiedział, że jest śmiertelnie ranny, i oszalał.

– Ha. – Dreszcz podciągnął nogawki i przykucnął, miażdżąc przy tym ziemię butami. W dłoni trzymał niewielki nóż o ostrzu długości palca, lśniącym na czerwono, pomarańczowo i żółto. – Więc wiesz, kim jestem?

– Jesteś Caul Dreszcz, a ja nie boję się żadnego pierdolonego psa!

Dreszcz uniósł brew nad zdrowym okiem. Ta nad metalową kulką prawie się nie poruszała.

– No, widzę, że bohater z ciebie. – Po czym dźgnął Krzywostopego nożem w łydkę. Nie włożył w to dużo siły. Beck dźgał tak palcem swojego brata, żeby obudzić go w mroźny poranek.

Ostrze cicho zagłębiło się w nodze i ponownie z niej wysunęło, a Krzywostopy warknął i skręcił się z bólu.

– A więc jestem psem Czarnego Dowa? – Dreszcz dźgnął go w drugą nogę, tym razem zanurzając ostrze głębiej w udzie. – To prawda, że zleca mi gówniane zadania. – Dźgnął ponownie w okolicach biodra. – Ale pies nie może trzymać noża, prawda? – W jego głosie nie było złości. Nie wyglądał na zagniewanego, raczej na znudzonego. – A ja mogę. – Dziab, dziab.

– Ach! – Krzywostopy wił się i pluł. – Gdybym miał ostrze...

– Gdybyś miał? – Dreszcz dźgnął go w obandażowany bok. – Ale nie masz i nie ma o czym mówić.

Krzywostopy odwrócił się, więc Dreszcz dźgnął go w plecy.

– A ja mam. Zobacz. – Dziab, dziab, dziab. – Tylko popatrz, bohaterze. – Dźgał go od tyłu w nogi, w dupę, dźgał po całym

ciele, a krew znaczyła spodnie jeńca ciemnymi kręgami.

Krzywostopy jęczał i dygotał, a Dreszcz wydał policzki i wytarł nóż o rękaw Unionisty, zabarwiając złotą nić na czerwono.

– No dobrze. – Poderwał Unionistę z ziemi, po czym ostrożnie schował nożyk za paskiem. – Zabieram go.

– Co mamy z nim zrobić? – Beck spytał piskliwym głosem, wskazując Krzywostopego, który cicho jęczał na błocie. Jego podarte ubranie lśniło od czarnej lepkiej krwi.

Dreszcz popatrzył na Becka, który miał wrażenie, że olbrzym zagląda mu do wnętrza umysłu, co podobno potrafił.

– Nic nie róbcie. Chyba to potraficie, prawda? – Wzruszył ramionami i się odwrócił. – Niech się wykrwawi.

Taktyka

Pod nimi rozciągała się dolina, galaktyka migoczących punkcików pomarańczowego światła. Po obu stronach płonęły pochodnie i ogniska, chwilami rozmazane, gdy nowa zasłona deszczu opadała na zbocze. Jednym ze skupisk światel zapewne była wioska Adwein, drugim wzgórze zwane Bohaterami, a trzecim miasteczko Osrung.

Meed zorganizował swoją kwaterę główną w opuszczonej gospodzie na południe od miasta i polecił regimentowi jadącemu na czele okopać się w odległości strzału z łuku od ogrodzenia. Zostawił z nimi Hala, który z godnością walczył o zaprowadzenie porządku w ciemności. Ponad połowa dywizji, rozdrażniona i niezdyscyplinowana, wciąż brnęła drogą, która jeszcze rano była nierównym piaszczystym pasem, a teraz zmieniła się w rzekę błota. Ostatni żołnierze zapewne nie dotrą na miejsce przed świtem.

– Chciałem ci podziękować – powiedział pułkownik Brint. Deszcz kapał z czubka jego kapelusza.

– Mnie? – niewinnie spytała Finree. – A za co?

– Za to, że opiekowałaś się Aliz przez ostatnie kilka dni. Wiem, że ona nie jest osobą zbyt światową...

– Cała przyjemność po mojej stronie – skłamała Finree. – W końcu jesteś dobrym przyjacielem Hala. – Delikatnie przypomniała, że oczekuje, by nadal nim był.

– Hala nietrudno lubić.

– Prawda?

Minęli jedną z pikiet złożoną z czterech żołnierzy Unii owiniętych przemoczonymi pelerynami, dzierżących włócznie, których groty lśniły w blasku latarni oficerów Meeda. Dalej zobaczyli więcej ludzi, którzy rozładowywali zamoknięty sprzęt z juczych koni i próbowali rozstawić namioty, choć mokre płótno chłostało ich po twarzy. Niezadowoleni żołdacy ustawili się w rzędzie obok ociekającego płóciennego dachu, ściskając w dłoniach puszki, kubki i pudełka, do których odmierzano im racje żywnościowe.

– Nie ma chleba? – spytał jeden.

– Według przepisów mąka jest dopuszczalnym zamiennikiem – odpowiedział kwatermistrz, z surową precyzją umieszczając niewielką ilość jedzenia na szalkach.

– Dopuszczalnym przez kogo? Niby na czym mamy upiec ciasto?

– Jeśli o mnie chodzi, możesz je upiec na własnej tłustej dupie... O, przepraszam panią najmocniej. – Pociągnął się za lok nad czołem, gdy Finree przejechała obok. Jakby widok ludzi głodujących bez powodu nie mógł jej urazić, ale słowo „dupa” stanowiło zagrożenie dla jej wrażliwości.

To, co początkowo wzięła za nierówność terenu na stromym zboczu, okazało się starym budynkiem porośniętym chłostanymi wiatrem pnączami. Było to coś pomiędzy chatką a stodołą i zapewne pełniło obie te funkcje. Meed zsiadł z konia z gracją królowej podczas koronacji, po czym wprowadził swoich oficerów rzędem przez wąskie drzwi, pozostawiając pułkownika Brinta, by wstrzymał kolejkę, dzięki czemu Finree mogła się wślizgnąć do środka.

Pomieszczenie o dachu wspartym na krokwiach z surowego

drewna pachniało wilgocią i wełną. Wypełniali je oficerowie o mokrych włosach. Odprawa nastrojem przypominała królewski pogrzeb, podczas którego każdy stara się wyglądać jak najdostojniej, a jednocześnie zastanawia się, czy otrzyma coś w spadku. Generał Mitterick stał pod szorstką kamienną ścianą z groźnie nastroszonymi wąsami. Wetknął dłoń między dwa guziki munduru, prostując kciuk do góry, jakby pozował do portretu, i to nieznośnie pretensjonalnego. Tuż obok Finree wypatrzyła skryte w cieniu beznamiętne oblicze Bremera dan Gorsta i przywitała go uśmiechem. W odpowiedzi lekko skinął głową.

Ojciec Finree stał przed potężną mapą i energicznymi ruchami dłoni wskazywał rozmieszczenie wojsk. Kobieta poczuła ciepły blask dumy, który zawsze towarzyszył jej, gdy patrzyła na swojego ojca przy pracy. Był wzorem dowódcy. Kiedy zobaczył, że weszli do pomieszczenia, zbliżył się, by uścisnąć dłoń Meeda, po czym popatrzył Finree w oczy i posłał jej delikatny uśmiech.

– Lordzie gubernatorze Meed, muszę panu podziękować za to, że tak szybko przemieścił pan swoje wojska na północ. – Chociaż, gdyby miał nimi pokierować sam Jaśnie Oświecony, zapewne nadal zastanawialiby się, gdzie jest północ.

– Lordzie marszałku Kroy – zazgrzytał bez entuzjazmu gubernator. Łączyły ich niezbyt serdeczne relacje. W swojej ojczystej prowincji Anglandzie Meed górował nad wszystkimi, ale jako lord marszałek na usługach króla w czasie wojny ustępował rangą ojcu Finree.

– Domyślam się, że ciężko było panu porzucić Ollensand, ale jest nam pan tutaj potrzebny.

– Właśnie widzę – odparł Meed w charakterystyczny dla

siebie niegrzeczny sposób. – Rozumiem, że doszło do poważnego...

– Panowie! – Oficerowie stłoczeni przy drzwiach rozstąpili się, by kogoś przepuścić. – Przepraszam za spóźnienie, drogi są bardzo zapchane.

Z tłumu wyłonił się krępy łyсы mężczyzna, który powiewał połamami ubrudzonego płaszcza i beztrosko chlapał na wszystkich wkoło wodą. Towarzyszył mu tylko jeden służący, kędzierzawy mężczyzna z koszykiem w dłoni, ale Finree dobrze знаła wszystkich ludzi sprawujących władzę w imieniu Jego Królewskiej Mości, każdego członka Otwartej i Zamkniętej Rady, ich stanowiska i strefy wpływów, więc ten brak pompy jej nie oszukał. Niezależnie od tego, czy zrezygnował ze stanowiska, czy też nie, Bayaz, Pierwszy z Magów, przewyższał rangą każdego.

– Lordzie Bayaz. – Ojciec Finree dokonał prezentacji. – Oto lord gubernator Meed z Anglandu, który dowodzi trzecią dywizją Jego Królewskiej Mości.

Pierwszemu z Magów jakimś sposobem udało się jednocześnie podać gubernatorowi rękę i całkowicie go zignorować.

– Znałem pańskiego brata. To był dobry człowiek, bardzo nam go brakuje. – Meed chciał się odezwać, ale uwagę Bayaza odwrócił służący, który wyjął filiżankę z koszyka. – Ach! Herbata! Nic nie wydaje się straszne, gdy ma się filiżankę herbaty w dłoni, czyż nie? Czy ktoś jeszcze ma ochotę? – Nie było chętnych. Picie herbaty powszechnie uważano za niepatriotyczny gurkijski zwyczaj równoważny z najbardziej szokującą zdradą. – Nikt?

– Ja chętnie się napiję. – Finree zręcznie wślizgnęła się przed

lorda gubernatora, zmuszając go do pośpiesznego cofnięcia się o krok. – To idealna recepta na taką pogodę. – Nienawidziła herbaty, ale chętnie wypiłaby jej cały ocean, żeby tylko móc zamienić kilka słów z jednym z najpotężniejszych ludzi w Unii.

Bayaz przelotnie zerknął na jej twarz, jak właściciel lombardu, którego poproszono o oszacowanie wartości mało gustownej rodzinnej pamiątki. Ojciec Finree odchrząknął z niechęcią.

– To moja córka...

– Finree dan Brock, oczywiście. Gratuluję zamążpójścia.

Ukryła zaskoczenie.

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany, lordzie Bayaz. Nie sądziłam, że jestem na tyle ważna, by interesował się pan moimi sprawami. – Zignorowała przytakujące kasznięcie Meeda.

– Ostrożny człowiek niczego nie lekceważy – odparł mag. – W końcu wiedza jest źródłem potęgi. Pani mąż musi być dobrym człowiekiem, skoro udało mu się zatrzeć hańbę zdrady, która zawisła nad jego rodziną.

– Rzeczywiście – odpowiedziała niespieszona. – W niczym nie przypomina swojego ojca.

– To dobrze. – Bayaz wciąż się uśmiechał, ale jego oczy były twarde jak kamienie. – Nie chciałbym sprawiać pani cierpienia, doprowadzając go na szubienicę.

Zapadła niezręczna cisza. Finree zerknęła na pułkownika Brinta, a następnie na lorda gubernatora Meeda, zastanawiając się, czy którykolwiek z nich wystąpi w obronie Hala w podziękowaniu za jego niezachwianą lojalność. Brint przynajmniej miał w sobie na tyle przyzwoitości, że się zawstydził. Z kolei Meed wyglądał na zachwyconego.

– W całej armii Jego Królewskiej Mości nie znajdzie pan

bardziej lojalnego człowieka – wykrztusił w końcu.

– Bardzo się cieszę. Lojalność to ważna sprawa w wojsku. Podobnie jak zwycięstwo. – Bayaz popatrzył surowo na zgromadzonych oficerów. – To nie jest nasz najlepszy dzień, panowie. Zdecydowanie nie.

– Generał Jalenhorm przeliczył się z siłami – odezwał się Mitterick, niepytany i bez krztyny współczucia, co było dla niego typowe. – Nie powinien był pozwolić, żeby wojsko tak się rozproszyło...

– Generał Jalenhorm wykonywał moje rozkazy – warknął marszałek Kroy i Mitterick musiał zamilknąć z naburmuszoną miną. – Rzeczywiście przeliczyliśmy się z siłami, a Północni nas zaskoczyli...

– Pani herbata. – Filiżanka trafiła do ręki Finree, a służący Bayaza skrzyżował z nią spojrzenia. Miał dziwne oczy, jedno niebieskie, a drugie zielone. – Jestem pewien, że pani mąż jest niezwykle lojalnym, uczciwym i pracowitym człowiekiem – szepnął z wyjątkowo mało służalczym uśmiechem, jakby opowiadał żart zrozumiały tylko dla nich dwojga.

Finree nie wiedziała, o co mu może chodzić, ale mężczyzna już się wycofał z dzbankiem w dłoni, by napełnić filiżankę Bayaza. Finree ściągnęła usta, sprawdziła, czy nikt na nią nie patrzy, po czym ukradkiem wylała zawartość naczynia na ścianę.

– ...Mieliśmy bardzo ograniczone możliwości... – mówił jej ojciec – ...biorąc pod uwagę potrzebę pośpiechu, którą narzuciła nam Zamknięta Rada...

Bayaz mu przerwał:

– Potrzeba pośpiechu jest faktem, marszałku Kroy. Co prawda, politycznej natury, ale nie czyni go to mniej

zobowiązującym. – Siorbnął herbatę zaciśniętymi ustami, ale w pomieszczeniu panowała taka cisza, że było słychać nawet skaczące pchły.

Finree żałowała, że nie zna tej sztuczki, a słuchacze nie poświęcają każdej jej wypowiedzi pełnej uwagi, zamiast zmuszać ją do pokornego znoszenia ciągłych zmian tematu, fałszywych uprzejmości i lekceważących komentarzy.

– Jeśli murarz zbuduje ścianę na pochyłym zboczu i ta się zawali, nie może narzekać, że stałaby przez tysiąc lat, gdyby tylko mógł ją wznieść na równym terenie. – Bayaz ponownie siorbnął herbatę. – Podczas wojny teren nigdy nie jest równy.

Finree czuła niemal fizyczną potrzebę, by pośpieszyć ojcu z pomocą, zupełnie jakby miał na plecach osę wymagającą rozgniecenia, ale ugryzła się w język. Drażnienie się z Meedem to jedno. Drażnienie się z Pierwszym z Magów to coś zupełnie innego.

– Nie miałem zamiaru się usprawiedliwiać – odparł jej ojciec sztywno. – Biorę pełną odpowiedzialność za porażkę i doznane straty.

– Postawa ze wszech miar godna pochwały, ale bezużyteczna. – Bayaz westchnął, jakby strofował niegrzecznego wnuka. – Wyciągnijmy z tego naukę, panowie. Zapomnijmy o wczorajszych porażkach i skupmy się na jutrzejszych zwycięstwach. – Wszyscy pokiwali głowami, jakby nigdy nie słyszeli niczego równie doniosłego, nawet ojciec Finree. Oto prawdziwa potęga.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak szybko kogoś znieawidziła, a jednocześnie zaczęła tak bardzo podziwiać.

Dow zwołał naradę wokół dużego ogniska rozpalonego w dole pośrodku Bohaterów. Powietrze drżało z gorąca oraz syczało i skwierczało pod wpływem mżawki. Wśród zgromadzonych panowała nerwowa atmosfera, trochę jak u gości weselnych, a trochę jak u osób oglądających wieszanie. Blask ognia i cienie upodabniają ludzi do diabłów, a Gnat niejednokrotnie był świadkiem tego, że również prowokują do diabelskich zachowań. Wszyscy byli obecni – Reachey, Dziesięć Sposobów, Szalka i Calder, Żelaznogłowy, Rozciętopoty oraz około czterdziestu Imiennych. Najślynniejsze nazwiska i najbardziej surowe oblicza na Północy, nie licząc kilku, którzy pozostali na wzgórzach, oraz kilku kolejnych, którzy dołączyli do wrogów.

Glama Złoty najwyraźniej uczestniczył w walce. Jego twarz wyglądała tak, jakby ktoś użył jej jako kowadła. Lewy policzek niemal w całości zakrywał ślad po uderzeniu, usta były rozcięte i opuchnięte, siniaki zaczynały rozprzestrzeniać się po skórze. Żelaznogłowy patrzył z kpiącym uśmiechem na drugą stronę kręgu chytrych twarzy, jakby nigdy nie widział niczego piękniejszego od złamanego nosa Złotego. Niechęć, którą odczuwała do siebie ta dwójka, zatruwała wszystko wokół.

– Co tutaj robisz, starcze? – mruknął Calder, gdy Gnat usadowił się obok niego.

– Nie mam pojęcia. Oczy nie służą mi już tak dobrze jak dawniej. – Gnat chwycił za sprzączkę paska i rozejrzał spod przymrużonych powiek. – To nie tutaj przychodzimy się wysrać?

Calder parsknął.

– Tutaj przychodzimy, żeby porozmawiać. Ale jeśli chcesz spuścić spodnie i zrzucić Broddowi Dziesięć Sposobów na buty

trochę pasty do polerowania, to nie będę cię powstrzymywał.

Czarny Dow wyszedł z cienia, okrążając Tron Skarlinga i ogryzając kość. Rozmowy ucichły, po czym całkowicie ustały, tak że w pomieszczeniu rozlegało się tylko trzaskanie i chrupot płonących drew oraz niewyraźne echa pieśni docierające spoza kręgu. Dow skończył ogryzać kość i wrzucił ją do ogniska, po czym kolejno oblizał palce, przyglądając się każdej skrytej w cieniu twarzy. Przedłużał ciszę. Zmuszał ich do czekania. Nie pozostawiał wątpliwości, kto jest największym draniem na wzgórzu.

– No – rzekł w końcu. – Mieliśmy pracowity dzień, prawda?

Wtedy rozległ się wielki hałas, mężczyźni zaczęli potrząsać rękojęściami mieczy, uderzać rękawicami w tarcze i tłuc pięściami w zbroje. Szalka się przyłączył, stukając hełmem w porysowaną płytę osłaniającą udo. Gnat grzechotał mieczem w pochwie, nieco wstydliwie, ponieważ nie zdążył zrobić z niego użytku podczas bitwy. Zauważył, że Calder tylko ponuro zaciska usta, w milczeniu czekając, aż ustanie zwycięski gwar.

– Dobry dzień! – Dziesięć Sposobów uśmiechnął się chytrze, wodząc wzrokiem wokół ogniska.

– Tak jest, bardzo dobry – dodał Reachey.

– Ale mógłby być jeszcze lepszy – odparł Żelaznogłowy, zerkając na Złotego i krzywiąc usta – gdybyśmy przedostali się przez płyciznę.

Oczy Złotego płonęły w posiniaczonych oczodołach, mięśnie jego szczęki drgały, ale zachował spokój. Zapewne dlatego, że mówienie sprawiało mu zbyt dużo bólu.

– Ludzie wciąż powtarzają mi, że świat nie jest już taki jak dawniej. – Dow podniósł miecz i wyszczerzył się, wystawiając spiczasty czubek języka między zębami. – Niektóre rzeczy się nie

zmieniają, prawda? – Kolejny ogłuszający wybuch uznania. W powietrze uniosło się tak wiele ostrzy, że tylko cudem nikt nie został ranny. – To dla tych, którzy twierdzili, że klany Północnych nie potrafią się zjednoczyć... – Dow z sykiem splunął do ognia. – To dla tych, którzy twierdzili, że wojska Unii są zbyt liczne, by je pokonać... – Posłał kolejną porcję śliny w płomienie. Następnie podniósł wzrok, a jego oczy załśniły na pomarańczowo. – A to dla tych, którzy twierdzą, że ja nie potrafię tego dokonać... – Z wściekłym warknięciem wbił czubek miecza w ognisko, a iskry zatańczyły wokół rękojeści.

Gnat skrzywił się, gdy zachwyceni ludzie ponownie podnieśli zgiełk niczym w kuźni.

– Dow! – wrzasnął Dziesięć Sposobów, uderzając łuszczącą się dłonią w głowicę miecza. – Czarny Dow!

Pozostali się przyłączyli i zaczęli rytmicznie wykrzykiwać imię wodza przy wtórze bębnienia pięści o metal.

– Czar-ny Dow! Czar-ny Dow!

Wtórowali im Żelaznogłowy, Złoty, który z trudem poruszał rozbitymi ustami, a także Reachey. Gnat milczał. „Przyjmuj zwycięstwo ze spokojem i ostrożnością” – mawiał Rudd Trójdrzewiec – „ponieważ wkrótce w ten sam sposób możesz przyjmować porażkę”. Po drugiej stronie ogniska oko Dreszcza lśniło w ciemności. On również nie świętował.

Dow rozparł się na Tronie Skarlinga, tak jak zwykł to robić Bethod, pławiąc się w uwielbieniu swoich ludzi jak jaszczurka w słońcu. Po chwili uciszył wszystkich władczy gestem.

– W porządku. Zajęliśmy najlepsze pozycje w dolinie. Będą musieli się wycofać albo nas zaatakować, a nie ma zbyt wielu miejsc, w których mogą to zrobić. Dlatego nie musimy zbyt kombinować. Zresztą, i tak nic byście z tego nie zrozumieli. –

Chór chichotów. – Wystarczy krew, kości i stal, tak jak dzisiaj. – Kolejne wiwaty. – Reachey?

– Tak, wodzu? – Stary wojownik stanął w blasku ogniska z zaciśniętymi ustami.

– Chcę, żeby twoi chłopcy utrzymali Osrung. Podejrzewam, że jutro Unia ostro się za was zabierze.

Reachey wzruszył ramionami.

– Niczego innego się nie spodziewam. Dzisiaj my ostro zabraliśmy się za nich.

– Nie pozwól im się przedostać przez most. Żelaznogłowy?

– Tak, wodzu?

– Powierzam ci płycizny. Rozstaw ludzi w sadzie i wokół Dzieci. Chcę tam zobaczyć wojowników, którzy chętnie pójdą na śmierć, ale jeszcze chętniej będą zabijać. Tylko tam Unia może się przedostać większymi siłami, więc jeśli spróbują, musimy zadać im mocny cios.

– Właśnie tak zrobię. – Żelaznogłowy posłał kpiące spojrzenie na drugą stronę ogniska. – Nikt mnie nie powstrzyma.

– Czo to ma znaczyć? – warknął Złoty.

– Wszyscy będziecie mieli okazję okryć się chwałą – rzekł Dow, uspokajając obu mężczyzn. – Złoty, dzisiaj ciężko walczyłeś, więc zostaniesz z tyłu. Zabezpieczysz teren pomiędzy Żelaznogłowym a Reacheyem i pomożesz im, jeśli któryś znajdzie się w zbyt dużych tarapatach.

– Jaszne. – Oblizał spuchnięte usta czubkiem spuchniętego języka.

– Szalka?

– Wodzu.

– Zająłeś Stary Most. Teraz go utrzymaj.

– Załatwione.

– Jeśli będziesz musiał się wycofać...

– Nie będę musiał – przerwał mu Szalka z pewnością siebie, jaka zazwyczaj wynika z młodości i głupoty.

– ...sformuj drugą linię obrony przy starym murze. Jak on się nazywa?

– Mur Claila – odpowiedział Rozcięstopy. – Zbudował go jakiś szalony rolnik.

– Może to dobrze dla nas, że to zrobił – rzekł Dow. – I tak nie zdołasz wykorzystać wszystkich swoich sił na terenie za mostem, więc zostaw część wojsk z tyłu.

– Tak zrobię – odrzekł Szalka.

– Dziesięć Sposobów?

– Gotowy, by okryć się chwałą, wodzu!

– Będziesz pilnował zbocza Bohaterów i Palca Skarlinga, co oznacza, że na początku zapewne nie weźmiesz udziału w walkach. Jeśli Szalka albo Żelaznogłowy będą potrzebowali twojej pomocy, spróbujesz im jej udzielić.

Dziesięć Sposobów uśmiechnął się kpiąco do Szalki i Caldera, a także, jak miał nadzieję, do Gnata, który stał obok nich.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Dow pochylił się.

– Rozcięstopy i ja będziemy na szczycie, za kamiennym murem. Planuję jutro dowodzić z tyłów, jak nasi przyjaciele z Unii. – Kolejny wybuch chrapliwego śmiechu. – To by było tyle. Ktoś ma lepsze pomysły? – Dow z uśmiechem powoli rozejrzał się po zgromadzonych. Gnat nigdy w życiu nie czuł silniejszej potrzeby milczenia, zresztą wydawało się, że nikt za zamierza zrobić z siebie widowiska...

– Ja mam. – Calder podniósł palec, jak zwykle nie mogąc przegapić okazji do zrobienia z siebie widowiska.

Dow zmrużył oczy.

– Cóż za niespodzianka. A jaką nam pan proponuje strategię, książę Calderze?

– Odwrócić się plecami do Unii i wiać? – spytał Żelaznogłowy, wywołując falę chichotów.

– Odwrócić się plecami do Unii i pochylić? – spytał Dziesięć Sposobów, wzbudzając podobną reakcję. Calder z uśmiechem poczekał, aż chichoty umilkną.

– Zawrzeć pokój – powiedział.

Gnat się skrzywił. Równie dobrze można by wejść na stół w burdelu i nawoływać do czystości. Czuł silną potrzebę odsunięcia się od Caldera, jak od człowieka skąpanego w nafcie, gdy wokół szaleją płomienie. Ale jaki człowiek porzuca przyjaciela tylko dlatego, że ten jest niepopularny? Nawet jeśli w każdej chwili może się zmienić w kulę ognia. Dlatego Gnat pozostał na miejscu obok Caldera, zastanawiając się, w co on, u diabła, gra, ponieważ Calder zawsze toczył jakąś grę. Pełna niedowierzania cisza przedłużyła się na tyle, że zerwał się wiatr, który załopotał pelerynami i wprawił płomienie pochodni w taniec, oblewając surowe oblicza wokół kręgu szalonym blaskiem.

– Ty jebany tchórze! – Pokryta wysypką twarz Brodda Dziesięciu Sposobów była tak wykrzywiona pogardą, jakby miała zaraz pęknąć.

– Nazywasz mojego brata tchórzem? – warknął Szalka, wytrzeszczając oczy. – Skręcę ci ten pieprzony parchaty kark!

– Spokojnie, spokojnie – odezwał się Dow. – To ja tutaj decyduję, czy ktoś zasłużył na skrócenie karku. Książę Calder

słynie z wygadania. Sprowadziłem go tutaj, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia, czyż nie? A więc słuchamy. Dlaczego pokój?

– Ostrożnie, Calder – szepnął Gnat, starając się nie poruszać ustami. – Ostrożnie.

Nawet jeśli Calder usłyszał przestrogę, postanowił ją olać.

– Ponieważ wojna to strata czasu, pieniędzy i ludzkich istnień.

– Jebany tchórz! – ponownie szczerknął Dziesięć Sposobów, a tym razem nawet Szalka się nie sprzeciwił, tylko wpatrywał się w swojego brata.

Rozległ się chór zniesmaczonych głosów, przekleństw i splunień, niemal tak głośny jak wcześniejszy chór poparcia dla Dowa. Jednakże im stawał się głośniejszy, tym bardziej Calder się uśmiechał. Jakby karmił się ich nienawiścią, jak kwiat rosnący na gównie.

– Wojna to sposób na to, by zdobyć różne rzeczy – powiedział. – Jeśli nie przynosi żadnych korzyści, jaki sens ją toczyć? Jak długo już się tutaj włączymy?

– Ty wybrałeś się na wycieczkę do domu, draniu! – zawołał ktoś.

– Właśnie, i to za sprawą opowieści o pokoju – dodał Żelaznogłowy.

– No dobrze, jak długo ty tutaj jesteś? – Wycelował palec w Żelaznogłowego. – Albo ty? – Następnie w Żłotego. – Albo on? – Wskazał kciukiem Gnata, który zmarszczył czoło, żałując, że został w to wplątany. – Od miesięcy? Od lat? Maszerujecie, jeździecie, boicie się i leżycie pod gwiazdami ze swoimi chorobami i ranami. Na wietrze, na zimnie, podczas gdy wasze pola, stada, pracownice i żony leżą odłogiem. Po co? Gdzie te łupy? Gdzie chwała? Jeśli znajdą się chociaż dwie setki ludzi,

którzy się dzięki temu wzbogacili, to zjem swojego fiuta.

– Pierdolenie tchórza! – warknął Dziesięć Sposobów, odwracając się do niego plecami. – Nie będę tego słuchał!

– Tchórze mają w zwyczaju uciekać. Boisz się słów, Dziesięć Sposobów? Cóż za bohaterstwo. – Calderowi udało się wzbudzić kilka chrapliwych śmiechów. Dziesięć Sposobów zatrzymał się i odwrócił, najeżony ze złości. – Odnieśliśmy dzisiaj zwycięstwo! Każdy z was! – Calder uderzył dłonią w rękojeść miecza. – Ale to tylko niewielki sukces. – Skinął głową na południe, gdzie ogniska w obozach wroga rozświetlały całą dolinę. – Unia ma znacznie więcej ludzi. Jutro czekają nas dużo cięższe walki i większe straty. Znacznie większe. A jeśli wygramy, to jedynie po to, by znaleźć się w punkcie wyjścia, tylko w towarzystwie większej liczby trupów. Czyż nie? – Kilku wojowników nadal kręciło głowami, ale więcej słuchało w zamyśleniu. – A co do twierdzeń, że Północ nie potrafi się zjednoczyć, a wojska Unii są zbyt liczne, by je pokonać, to myślę, że jeszcze tego nie rozstrzygnęliśmy. – Calder zwinął język, po czym posłał odrobinę śliny w ognisko Dowa. – Każdy potrafi pluć.

– Pokój – parsknął Dziesięć Sposobów, który jednak został, żeby posłuchać. – Wszyscy wiemy, jak twój ojciec go uwielbiał! Czy nie on pierwszy poprowadził nas przeciwko Unii?

To nie zbiło Caldera z tropu.

– Owszem, i to doprowadziło go do zguby. Być może ucę się na jego błędach. Ciekawi mnie, czy wy także. – Popatrzył każdemu po kolei w oczy. – Ponieważ moim zdaniem tylko głupiec ryzykuje życie dla czegoś, o co może po prostu poprosić.

Przez chwilę panowała cisza pełna niechęci i poczucia winy. Wiatr znów załopotał ubraniami i posłał w niebo iskry z ogniska. Dow nachylił się i oparł na mieczu.

– Brawo, pięknie naszczałeś mi do ogniska, książę Calderze. – Rozległy się szorstkie chichoty i refleksyjny nastrój się ulotnił. – A ty, Szalko? Pragniesz pokoju?

Bracia przez chwilę patrzyli na siebie, a Gnat usiłował usunąć się im z drogi.

– Nie – odrzekł Szalka. – Chcę walczyć.

Dow mlasnął.

– No proszę. Widzę, że nie przekonałeś nawet własnego brata. – Ludzie znów się roześmieli, a Calder do nich dołączył, choć bez przekonania. – Ale przyznaję, że jesteś wygadany, Calder. Może przyjdzie czas, gdy będziemy omawiać z Unią warunki pokoju. Wtedy z pewnością cię wezwę. – Wyszczrzył zęby. – Tyle że to nie stanie się dzisiaj.

Calder elegancko się uklonił.

– Jak rozkażesz, Obrońco Północy. To ty jesteś wodzem.

– Zgadza się – warknął Dow, a większość pokiwała głowami. – Zgadza się.

Mimo to, Gnat zauważył zamyślenie na kilku twarzach nienackających w mroku. Ludzie wspominali swoje zaniedbane pola albo zaniedbane żony. Być może Calder wcale nie jest taki szalony, jak się wydaje. Północni uwielbiają walkę, ale kochają też piwo. A podobnie jak w przypadku piwa, człowiek może znieść tylko ograniczoną ilość walki.

– Dzisiaj doznaliśmy porażki, ale jutro będzie inaczej. – Marszałek Kroy przemawiał w sposób nieznoszący sprzeciwu. Po prostu stwierdzał fakty. – Jutro zaatakujemy naszych wrogów i odniesiemy zwycięstwo.

W pomieszczeniu zaszleściły nakrochmalone kołnierze, gdy

wszyscy mężczyźni pokiwali głowami.

– Zwycięstwo – szepnął ktoś.

– Jutro rano wszystkie trzy dywizje znajdą się na swoich miejscach.

Chociaż jedna została rozbita, a dwie będą po całonocnym marszu.

– Mamy przewagę liczebną.

Zgniotą ich nasze trupy!

– To my mamy rację.

Tym lepiej dla was. Ja mam siniaki. Jednak pozostałym oficerom te frazesy najwyraźniej poprawiły nastrój. Tak to bywa w przypadku idiotów.

Kroy zwrócił się w stronę mapy, wskazując południowy brzeg rzeki przy płycznach. Miejsce, w którym Gorst walczył tego ranka.

– Dywizja generała Jalenhorma potrzebuje czasu na przegrupowanie, więc zostanie na środku przed brodem, ale go nie przekroczy. Zamiast tego zaatakujemy z obu flanek. – Pewnym krokiem podszedł do prawej strony mapy i przesunął dłonią wzdłuż drogi prowadzącej do Ollesandu, wskazując Osrung. – Lordzie gubernatorze Meed, pan jest naszą prawą pięścią. Pańska dywizja zaatakuje Osrung o świcie, sforsuje palisadę i opanuje południową część miasta, po czym postara się zająć most. Północna część miasta jest bardziej zabudowana, a Północni mieli czas, żeby wzmocnić tam swoje pozycje.

Chuda twarz Meeda pokryła się plamami pod wpływem napięcia, a oczy rozbłysły na myśl o dopadnięciu zniechęconego wroga.

– Wykurzymy ich wszystkich i rozsiekamy.

– Dobrze. Ale bądźcie ostrożni, nie sprawdziliśmy dokładnie

lasów na wschodzie. Generale Mitterick, pan jest naszym lewym hakiem. Pana zadaniem jest przebicie się do Starego Mostu i zajęcie pozycji na drugim brzegu.

– Bez obaw, lordzie marszałku, moi ludzie zajmą most i przegnają wrogów aż do Carleonu...

– Dzisiaj w zupełności wystarczy zajęcie mostu.

– Oddajemy panu pod dowództwo jeden z batalionów z pierwszego regimentu kawalerii. – Felnigg posłał surowe spojrzenie ponad zakrzywionym nosem, jakby uznawał pomysł oddania czegokolwiek Mitterickowi za wyjątkowo pochopny. – Znaleźli drogę przez bagna i zajęli pozycję w lesie za prawą flanką wroga.

Mitterick nie raczył nawet zerknąć na szefa sztabu.

– Poprosiłem o ochotników, żeby poprowadzić natarcie na most, a moi ludzie już zbudowali wytrzymałe tratwy.

Wzrok Felnigga stał się bardziej przeszywający.

– Rozumiem, że prąd w rzece jest silny.

– Warto spróbować, prawda? – odburknął Mitterick. – Mogą nas trzymać na tym moście przez cały ranek!

– W porządku, ale niech pan pamięta, że zależy nam na zwycięstwie, a nie na próżnej chwale. – Kroy rozejrzał się surowo po pomieszczeniu. – Wyślę każdemu pisemne rozkazy. Czy są jakieś pytania?

– Ja mam pytanie, lordzie marszałku. – Pułkownik Brint uniósł palec. – Czy pułkownik Gorst mógłby powstrzymać się od bohaterskich wyczynów na tyle długo, żeby pozostali też mogli coś zrobić?

Rozległy się chichoty, nieproporcjonalnie liczne jak na tak słaby żart, ale żołnierze chcieli wykorzystać tę rzadką okazję do śmiechu. Gorst był zajęty gapieniem się na Finree i udawaniem,

że tego nie robi. Nagle z niezadowoleniem odkrył, że wszyscy się do niego szczerzą. Ktoś zaczął klaskać. Po chwili w całym pomieszczeniu rozległ się skromny aplauz. Wolałby, żeby z niego szydzili. Wtedy przynajmniej mógłbym się do nich przyłączyć.

– Zajmę się obserwacją – mruknął.

– Ja również – rzekł Bayaz. – A także być może przeprowadzę niewielki eksperyment na południowym brzegu.

Marszałek się uklonił.

– Pozostajemy do pana dyspozycji, lordzie Bayazie.

Pierwszy z Magów, wstając, klepnął się po udach, a jego służący nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Jakby słysząc wezwanie do ataku, oficerowie szybko zaczęli opuszczać pomieszczenie, śpiesząc do swoich jednostek, by przygotować je do porannego natarcia.

Nie zapomnijcie spakować trumien, wy...

– Słyszałam, że ocalił pan dzisiaj całą armię.

Obrócił się z godnością zaskoczonego pawiana i z paraliżująco bliskiej odległości popatrzył prosto w twarz Finree. Wiadomość o jej małżeństwie powinna mu pozwolić ostatecznie pogrzebać uczucia, którymi ją darzył, tak jak uczynił ze wszystkimi innymi wartościowymi uczuciami, miał jednak wrażenie, że teraz stały się silniejsze niż kiedykolwiek. Czuł ucisk w żołądku za każdym razem, gdy ją widział, coraz mocniejszy, im dłużej rozmawiali. Jeśli można to nazwać rozmową.

– Eee – bąknął. Miotalem się w strumieniu i na pewno zabiłem siedmiu ludzi, ale niewątpliwie okaleczyłem kilku kolejnych. Posiekałem ich, mając nadzieję, że nasz kapryśny monarcha się o tym dowie i zniesie niezасłużony wyrok

nieśmierci, który na mnie wydano. Dokonałem masowego mordy, by uznano mnie za niewinnego niekompetencji. Czasami wiesz się ludzi za coś takiego, a czasami oklaskuje. – Miałem... szczęście, że przeżyłem.

Zbliżyła się, a Gorst poczuł oszłamiający przyływ krwi do mózgu, przypominający poważną chorobę.

– Czuję, że wszyscy mieliśmy szczęście, że pan przeżył.

A ja czuję coś w spodniach. Gdybym naprawdę miał szczęście, włożyłabyś tam rękę. Czy o tak wiele proszę? Po tym jak ocalałem całą armię i tak dalej?

– Ja... – Przepraszam. Kocham cię. Dlaczego przepraszam? Przecież niczego nie powiedziałem. Czy człowiek powinien żałować tego, co myśli? Pewnie tak.

Odeszła, by porozmawiać ze swoim ojcem, a Gorst nie mógł jej za to winić.

Na jej miejscu nawet bym na siebie nie spojrział, a już na pewno nie chciałbym wysłuchiwać tego piskliwego nudnego bezsensownego jąkania. Mimo wszystko to boli. Tak bardzo boli, gdy ona odchodzi.

Powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi.

Kurwa, jestem żaloszny.

Calder wymknął się wcześniej z narady u Dowa, nie chcąc się tłumaczyć bratu, po czym pośpiesznie przeszedł między ogniskami, ignorując mrukliwe przekleństwa zgromadzonych wokół nich ludzi. Odnalazł ścieżkę pomiędzy dwoma głazami skąpanymi w świetle pochodni, zobaczył złoty blask na zboczu wzgórza i dogonił mężczyznę, który ze złością z niego schodził.

– Złoty! Złoty, muszę z tobą porozmawiać!

Glama Złoty wściekle obejrzał się przez ramię. Być może chciał sprawiać groźne wrażenie, ale za sprawą opuchniętego policzka wyglądał, jakby jadł coś niesmacznego. Calder musiał powstrzymać chichot. Ta rozbita twarz stanowi szansę, której nie może przegapić.

– O czym miałbym sz tobą rozmawiacz, Calder? – warknął Złoty, a trzech jego Imienni wyprężyli się, wodząc palcami po bogatym uzbrojeniu.

– Cicho, jesteście obserwowani! – Calder zbliżył się i nachylił, jakby chciał się podzielić tajemnicą. Zaobserwował, że rozmówcy zazwyczaj dostosowują się do takiego zachowania, nawet jeśli nie mają ochoty. – Pomyślałem, że pomożemy sobie nawzajem, skoro jesteście w takiej samej sytuacji...

– Takiej szamej? – Opuchnięta, pokryta plamami, zakrwawiona twarz Złotego się przybliżyła. Calder się skulił, wystraszony i zaskoczony, ale tak naprawdę był rybakiem, który poczuł szarpnięcie za żyłkę. Rozmowa była jego polem bitwy, a większość z tych głupców radziła sobie na nim równie źle jak on na prawdziwym froncie. – Niby dlaczego, roźjemczo?

– Czarny Dow ma swoich ulubieńców, czyż nie? A my wszyscy musimy walczyć o odpadki.

– Ulubieńców? – Złoty sepleniał przez rozbite usta, co z każdym słowem wprawiało go w coraz większą wściekłość.

– Dzisiaj poprowadziłeś szarżę, podczas gdy pozostali wlekli się w ogonie. Ryzykowałeś życie i zostałeś ranny, walcząc w imieniu Dowa. A teraz to inni zajmą honorowe miejsca w pierwszym szeregu, podczas gdy ty masz zostać na tyłach? Masz czekać, na wypadek, gdybyś był potrzebny? – Zbliżył się jeszcze bardziej. – Mój ojciec zawsze cię podziwiał. Zawsze mi powtarzał, że jesteś sprytnym i prawym człowiekiem, na którym

można polegać. – To zadziwiające, jak wiele może działać nawet najbardziej żalodne pochlebstwo. Zwłaszcza w przypadku wyjątkowo próżnych ludzi. Calder doskonale o tym wiedział. Kiedyś był taki sam.

– Nigdy mi o tym nie mówił – szepnął Złoty, chociaż wyraźnie było widać, że chce w to wierzyć.

– Jak mógłby to zrobić? – czarował Calder. – Był królem Północnych. Nie mógł sobie pozwolić na mówienie ludziom, co naprawdę myśli. – To było prawdą, ponieważ Bethod uważał Złotego za nadętego półgłówka, podobnie jak Calder. – Ale ja mogę. – Po prostu postanowił tego nie robić. – Nie ma powodu, żebyśmy stali po przeciwnych stronach. Właśnie na tym zależy Dowowi, chce nas poróżnić. Dzięki temu zagarnie całą władzę, złoto i chwałę razem z ludźmi pokroju Rozcięstosopego, Dziesięciu Sposobów i... Żelaznogłowego.

Złoty drgnął na dźwięk tego imienia, zupełnie jakby haczyk szarpnął go za poobijaną twarz. Idiota był całkowicie zaślepiiony nienawiścią.

– Nie musimy na to pozwolić – szepnął Calder czule jak kochanek, po czym zaryzykował i delikatnie położył Złotemu dłoń na ramieniu. – Razem możemy dokonać wielkich rzeczy...

– Wystarczy! – wymamrotał Złoty przez rozbite usta, strącając dłoń Caldera. – Opowiadaj swoje kłamsztwa komusz innemu!

Mimo to, Calder wyczuł w jego głosie wątpliwości, i to mu wystarczyło. Jeśli nie możesz sprawić, by twoi wrogowie ci zaufali, przynajmniej możesz się postarać, by nie ufali sobie nawzajem. Cierpliwość, powtarzał jego ojciec, przede wszystkim cierpliwość. Pozwolił sobie na kpiący uśmiech, gdy Złoty i jego ludzie zniknęli w ciemności. Na razie siał ziarna. Z czasem

zbierze plon. Jeśli pożyje na tyle długo, by móc chwycić za kosę.

Lord gubernator Meed posłał Finree ostatnie krytyczne spojrzenie, po czym zostawił ją samą z ojcem. Wyraźnie nie mógł znieść tego, że ktoś stoi w hierarchii wyżej od niego, zwłaszcza kobieta. Ale jeśli podejrzewał, że Finree powstrzyma się od barwnych komentarzy na jego temat, to zdecydowanie jej nie docenił.

– Meed to wystrojony osioł – rzuciła przez ramię. – Przyda się na polu bitwy jak tania dziwka. – Przez chwilę się nad tym zastanawiała. – Nie, jestem niesprawiedliwa. Dzwinka przynajmniej może podnieść morale. Meed jest inspirujący jak spleśniała flanela. Miał szczęście, że odwołałeś oblężenie Ollensandu, zanim skończyło się całkowitym fiaskiem.

Z zaskoczeniem popatrzyła, jak jej ojciec opadł na krzesło za podróżnym biurkiem, kryjąc twarz w dłoniach. Nie poznawała go. Był skurczony, zmęczony i stary.

– Straciłem dzisiaj tysiąc ludzi, Fin. A kolejny tysiąc jest ranny.

– To Jalenhorm ich stracił.

– Odpowiadam za każdego żołnierza. Straciłem ich. Cały tysiąc. Łatwo podać taką liczbę, ale spróbuj ich poustawiać dziesiątkami. Widzisz, ilu ich jest. – Skrzywił się, wbijając wzrok w kąt pomieszczenia, jakby leżały tam sterty ciał. – Każdy z nich był czyimś ojcem, mężem, bratem, synem. Każde przerwane życie to luka, której nigdy nie wypełnię, dług, którego nigdy nie spłacę. – Popatrzył na nią zaczerwienionymi oczami spomiędzy rozczapierzonych palców. – Finree, straciłem tysiąc ludzi.

Zbliżyła się do niego o krok albo dwa.

– Jalenhorm ich stracił.

– Jalenhorm to dobry człowiek.

– To nie wystarczy.

– To już coś.

– Powinieneś go kimś zastąpić.

– Trzeba ufać swoim oficerom, w przeciwnym razie nigdy nie będą tego godni.

– Czy to możliwe, że ta rada jest tak głupia, jak mi się wydaje?

Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem ze zmarszczonymi czołami, po czym ojciec machnął ręką.

– Jalenhorm to stary przyjaciel króla, a król dba o swoich przyjaciół. Tylko Zamknięta Rada może go usunąć ze stanowiska.

Finree nie brakowało pomysłów.

– Więc zwolnij Meeda. On zagraża wszystkim w armii i wielu ludziom poza nią. Jeśli zostawisz go na stanowisku, to dzisiejsza katastrofa szybko pójdzie w niepamięć. Przyćmi ją kolejna, dużo gorsza.

Jej ojciec westchnął.

– A kim go zastąpię?

– Mam idealnego kandydata. To znakomity młody oficer.

– Ma zdrowe zęby?

– Tak się składa. Jest także nieprzyzwoicie wysoko urodzony, energiczny, odważny, lojalny i pracowity.

– Tacy ludzie często miewają straszliwie ambitne żony.

– On z pewnością.

Potarł oczy.

– Finree, Finree, zrobiłem już wszystko, co mogłem, żeby załatwić mu obecne stanowisko. Jeśli zapomniałaś, jego ojciec...

– Hal nie jest swoim ojcem. Niektórzy z nas prześcigają swoich rodziców.

Puścił te słowa mimo uszu, chociaż nie przyszło mu to łatwo.

– Bądź rozsądna, Fin. Zamknięta Rada nie ufa szlachetnie urodzonym, a jego rodzina była na samym szczycie, o krok od korony. Bądź cierpliwa.

– Ha! – parsknęła, gardząc zarówno rozsądkiem, jak i cierpliwością.

– Jeśli chcesz wyższego stanowiska dla swojego męża...

Otworzyła usta, ale ojciec podniósł głos i nie dał jej dojść do słowa.

– Będziesz potrzebowała bardziej wpływowego patrona niż ja. Ale jeśli chcesz poznać moje zdanie... wiem, że nie, ale i tak to powiem... to dasz sobie spokój. Zasiadałem w Zamkniętej Radzie, w samym centrum władzy, i mogę cię zapewnić, że to wszystko ułuda. Im bardziej się zbliżasz do władzy, tym bardziej się ona oddala. Musisz brać pod uwagę tak wiele żądań. Wytrzymać tyle nacisków. Ciężą na tobie konsekwencje każdej decyzji... nic dziwnego, że król tak niewiele ich podejmuje. Nigdy nie przypuszczałem, że będę z utęsknieniem oczekiwał zakończenia służby, ale być może, gdy utracę wszelką władzę, wreszcie będę mógł zrobić coś konkretnego.

Finree nie była gotowa usunąć się w cień.

– Naprawdę musimy czekać, aż Meed wywoła jakąś katastrofę?

Popatrzył na nią surowym wzrokiem.

– Tak, naprawdę. A potem na list od Zamkniętej Rady, w którym zażądają zastąpienia go na stanowisku i wskażą kolejnego kandydata. Zakładając, że sam nie zostanę zwolniony wcześniej.

– A kim mogliby cię zastąpić?

– Podejrzewam, że generał Mitterick nie odmówiłby takiej nominacji.

– Mitterick to próżny plotkarz o lojalności kukułki.

– Zatem powinien idealnie pasować do Zamkniętej Rady.

– Nie wiem, jak udaje ci się go znosić.

– Kiedy byłem młody, myślałem, że znam wszystkie odpowiedzi. Podchodzę ze współczuciem do tych, którzy wciąż ulegają temu złudzeniu. – Popatrzył na nią znacząco. – Jest ich niemało.

– Podejrzewam też, że miejsce kobiety jest na uboczu, skąd może oklaskiwać idiotów, przez których wciąż przybywa ofiar?

– Wszyscy od czasu do czasu oklaskujemy idiotów, takie jest życie. Nie muszę pogardzać swoimi podwładnymi. Jeśli ktoś zasługuje na pogardę, wkrótce pogrzebie się bez niczyjej pomocy.

– No dobrze. – Nie miała zamiaru tak długo czekać, ale widziała, że niczego więcej nie wskóra. Ojciec miał dosyć własnych zmartwień, a ona miała go podnieść na duchu, zamiast dodatkowo obciążać. Zerknęła na planszę do gry w kwadraty, na której rozgrywali ostatnią partię.

– Wciąż nie zdjąłeś pionów?

– Oczywiście, że nie.

– Zatem... – Planowała kolejny ruch od czasu ich poprzedniego spotkania, ale wykonała go tak, jakby dopiero teraz przyszedł jej do głowy, popychając pion do przodu i wzruszając ramionami.

Ojciec popatrzył na nią pobłaźliwie, jakby wciąż była małą dziewczynką.

– Jesteś tego całkowicie pewna?

Westchnęła.

– Ruch jak każdy inny.

Sięgnął po pion, po czym się zawahał. Z uniesioną dłonią omiótł wzrokiem planszę. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Powoli cofnął rękę i dotknął palcem dolnej wargi. Potem się uśmiechnął.

– Ach, ty...

– To pozwoli ci przez jakiś czas nie myśleć o ofiarach.

– Od tego mam Czarnego Dowa. Nie wspominając o Pierwszym z Magów i jego towarzyszach. – Pokręcił głową z kwaśną miną. – Przenocujesz? Mógłbym ci znaleźć...

– Powinnam być z Halem.

– Oczywiście. Oczywiście, że powinnaś.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a on zamknął oczy i uściskał jej ramię.

– Uważaj na siebie jutro. Wolałbym stracić dziesięć tysięcy ludzi niż ciebie.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. – Ruszyła w stronę drzwi. – Zamierzam żyć na tyle długo, żeby zobaczyć, jak odpowiesz na mój ruch!

Deszcz chwilowo przestał padać i oficerowie wrócili do swoich jednostek. Wszyscy oprócz jednego.

Wyglądało na to, że Bremer dan Gorst stał nonszalancko oparty o poręcz, do której przywiązano konie, a potem próbował stanąć dumnie na baczność, ale niezdarnie utknął na ziemi niczyjej pomiędzy obiema tymi pozami.

Mimo wszystko Finree już nie potrafiła widzieć w nim niegroźnego człowieka, za którego uważała go podczas ich

krótkich i żałośnie oficjalnych rozmów w słonecznych ogrodach Agriontu. Tylko pojedyncze obtarcie na policzku wskazywało na to, że uczestniczył w walkach, jednak wiedziała od kapitana Hardricka, że Gorst przypuścił samotną szarżę na legion Północnych i zabił sześciu z nich. Gdy usłyszała tę opowieść z ust pułkownika Brinta, szóstka zmieniła się w dziesiątkę. Kto wie, co teraz opowiadają sobie żołnierze? Głowica jego rapiera załśniła słabo, gdy się wyprostował, a Finree poczuła na plecach osobliwy lodowaty dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że zaledwie kilka godzin wcześniej zabijał tym ostrzem ludzi. Wielu ludzi, niezależnie od tego, której wersji wydarzeń wierzyć. To nie powinno nobilitować go w jej oczach, a jednak tak się stało. Gorsta otoczył blask przemocy.

– Bremerze, czekasz na mojego ojca?

– Pomyślałem... – odezwał się absurdalnym, piskliwym głosem, po czym dodał nieco niższym: – Że przyda ci się eskorta. Uśmiechnęła się.

– A więc na świecie wciąż są bohaterowie? Prowadź.

Calder siedział w wilgotnej ciemności, w odległości splunięcia od latryn, i słuchał, jak inni świętują zwycięstwo Czarnego Dowa. Nie chciał się do tego przyznać, ale tęsknił za Seff. Brakowało mu ciepła i bezpieczeństwa jej łóżka. Zatęsknił za jej zapachem, gdy wzmógł się wiatr i przywiał woń gnoju. Jednak w tym chaosie obozowych ognisk, pijackich śpiewów, przechwałek i zapasów tylko w jednym miejscu mógł porozmawiać z innym człowiekiem bez świadków. A zdrada wymaga prywatności.

Usłyszał ciężkie kroki zbliżające się do latryny i zobaczył

czarny zarys obramowany pomarańczowym blaskiem ogniska. Twarz miała postać szarej plamy, ale Calder i tak rozpoznał nadchodzącego człowieka. Nawet w tym oddziale niewielu było ludzi o tak szerokich barkach. Calder wstał, rozprostowując zeszywniałe nogi, po czym podszedł do krawędzi latryny obok przybysza, marszcząc nos. Doły pełne gówna i doły pełne trupów. Tylko tyle pozostawia za sobą wojna.

– Cairm Żelaznogłowy – rzekł cicho. – Cóż za przypadek.

– No proszę. – Wojownik odcharknął i splunął do dziury. – Książę Calder, to prawdziwy zaszczyt. Myślałem, że obozujesz na zachodzie razem ze swoim bratem.

– Zgadza się.

– Czyżby moje latryny lepiej pachniały?

– Niezupełnie.

– A więc przyszedłeś porównać fiuty? Nie liczy się wielkość, ale to, co się z nim robi.

– To samo można powiedzieć o sile.

– Albo o przebiegłości – odparł Żelaznogłowy, po czym zamilkł.

Calder nie przepadał za małomównymi ludźmi. W przypadku kogoś próżnego jak Złoty, wściekłego jak Dziesięć Sposobów, a nawet dzikiego jak Czarny Dow łatwiej jest znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Z milczkiem takim jak Żelaznogłowy sprawa jest trudniejsza. Zwłaszcza w ciemności, gdzie Calder może tylko zgadywać, co myśli jego rozmówca.

– Potrzebuję twojej pomocy – spróbował.

– Pomyśl o płynącej wodzie.

– Nie z tym.

– A więc z czym?

– Słyszałem, że Czarny Dow pragnie mojej śmierci.

– Jesteś lepiej poinformowany ode mnie. Ale nawet jeśli to prawda, dlaczego miałoby mnie to interesować? Nie wszyscy kochamy cię tak bardzo, jak ty kochasz siebie, Calder.

– Dobrze wiesz, że wkrótce sam będziesz potrzebował sprzymierzeńców.

– Czyżby?

Calder parsknął.

– Głupiec nie mógłby zajmować twojego stanowiska, Żelaznogłowy. Myślę, że Czarny Dow nie lubi cię tak samo jak mnie.

– Nie lubi? Czyż nie powierzył mi honorowego miejsca? W samym środku pierwszego szeregu, chłopcze!

Calder odniósł nieprzyjemne wrażenie, że w głosie Żelaznogłowego pobrzmiwa kpina. Nie miał jednak innego wyjścia jak wykorzystać pojawiającą się okazję i zaszarżować z pogardliwym chichotem.

– Honorowe miejsce? Czarny Dow? Zwrócił się przeciwko człowiekowi, który darował mu życie, i ukradł dla siebie łańcuch władzy mojego ojca. Honorowe miejsce? Postąpił z tobą tak, jak ja bym postąpił z człowiekiem, którego najbardziej się obawiam. Umieścił cię tam, gdzie spadnie na ciebie pełna furia wroga. Mój ojciec zawsze powtarzał, że jesteś najtwardszym wojownikiem na Północy, i Czarny Dow o tym wie. Wie, że nigdy się nie poddajesz, dlatego umieścił cię tam, gdzie twoja siła będzie działała przeciwko tobie. A kto na tym zyska? Kto został wykluczony z walki? Dziesięć Sposobów i Złoty. – Miał nadzieję, że to imię zdziała cuda, ale Żelaznogłowemu nie drgnął nawet włossek. – Trzymają się z tyłu, podczas gdy ty, mój brat oraz ojciec mojej żony zajmą się walką. Mam nadzieję, że twój honor

zdoła powstrzymać nóż, który ktoś kiedyś zechce wbić ci w plecy.

Rozległo się stęknienie.

– Nareszcie.

– Nareszcie co?

Odgłos moczu rozchlapującego się w dole.

– To. Wiesz, Calder, sam to powiedziałeś.

– Co powiedziałem?

– Że głupiec nie mógłby zajmować mojego stanowiska. Nie jestem przekonany, że Czarny Dow pragnie mojej zguby, ani nawet twojej. Ale jeśli tak jest, to jaką pomoc możesz mi zaproponować? Pochwały swojego ojca? One stały się niemal bezwartościowe, gdy został pokonany na Wysokich Szczytach, a ostatecznie straciły znaczenie, kiedy Krwawy-dziewięć roztrzaskał mu czaszkę na miazgę. – Ops. – Calder poczuł, że szczyny chlapią mu na buty. – Wybacz, najwyraźniej nie każdy tak sprawnie radzi sobie z fiutem jak ty. Myślę, że zostanę z Dowem, choć wzruszyła mnie twoja propozycja sojuszu.

– Czarny Dow nie ma niczego do zaproponowania poza wojną i strachem, który wzbudza u ludzi. Jeśli umrze, nic po nim nie pozostanie. – Zapadła cisza, a Calder zastanawiał się, czy nie posunął się o krok za daleko.

– Ha. – Rozległ się brzęk, gdy Żelaznogłowy zapiął pas. – Więc go zabij. Ale póki tego nie zrobisz, znajdź kogoś innego, kto będzie słuchał twoich kłamstw. Znajdź także inny dół do sikania, chyba że chcesz tutaj utonąć.

Klepnął Caldera w plecy tak mocno, że książkę zachwiał się na krawędzi, wymachując rękami. Gdy odzyskał równowagę, Żelaznogłowego już nie było.

Przez kilka chwil nie ruszał się z miejsca. Słowa są

nasionami, ale nie potrafił przewidzieć, jaki plon zbierze w tym przypadku. Jednakże nie był zły myśli. Dowiedział się, że Cairn Żelaznogłowy jest subtelniejszym człowiekiem niż mogłoby się wydawać. Choćby z tego powodu warto było dać sobie obsikać buty.

– Pewnego dnia zasiądę na Tronie Skarlinga – wyszeptał w ciemność. – Wtedy zmuszę cię, żebyś żarł moje gównno, a ty powiesz, że nigdy nie jadłeś czegoś równie słodkiego. – Ta myśl poprawiła mu humor.

Strząsnął krople z butów najdokładniej jak potrafił, po czym odszedł w ciemność.

Odoczynek i rekreacja

Finree nie robiła duzo hałasu. Podobnie Gorst. Ale to mu odpowiadało. Kręgi odznaczały się na bladej skórze, wąskie mięśnie na jej przygarbionych ramionach napinały się i rozluźniały, nieatrakcyjna zmarszczka przebiegała przez jej tyłek z każdym pchnięciem jego bioder. Zamknął oczy. W jego głowie była ładniejsza.

Byli w namiocie jej męża. Albo nie. To nie działa. W moich kwaterach w pałacu. Tych, z których korzystał, gdy był dowódcą królewskiej straży. Tak. Tak lepiej. Było tam przyjemnie. Przewiewnie. A może w kwaterze głównej jej ojca? Na jego biurku? Przed innymi oficerami podczas odprawy? Nie, do diabła. Uch. Jego pałacowe komnaty były najlepsze, znał je z tysiąca zużytych fantazji, w których Zamknięta Rada nie pozbawiała go stanowiska.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię. Ale to nie przypomina miłości. Prawdę mówiąc, niczego nie przypomina. A z pewnością niczego pięknego. Mechaniczne działanie. Jak nakręcanie zegara, obieranie marchwi albo dojenie krowy. Od jak dawna to robi? Bolały go biodra i brzuch, a po walce na płycznach plecy i ramię miał posiniaczone jak zdeptane jabłko. Klap, klap, klap, skóra o skórę. Obnażył zęby, chwytając ją mocno za biodra i zmuszając się do powrotu do swoich przewiewnych kwater w pałacu...

Już prawie, już prawie, już prawie...

– Kończysz?

Gorst znieruchomiał, a lodowaty szok przywrócił go do rzeczywistości. Zupełnie inny głos niż u Finree. Odwróciła ku niemu twarz, która lśniła wilgotno w blasku pojedynczej świecy. Gruba warstwa pudru niedokładnie przykrywała starą bliznę po trądziku. Zupełnie inna twarz niż u Finree. Jego wysiłki zrobiły na niej niewielkie wrażenie. Takim tonem piekarz mógłby pytać pomocnika, czy ciastka są gotowe.

Jego chrapliwy oddech odbijał się echem od płótna.

– Mówiłem ci, żebyś się nie odzywała.

– Klienci czekają w kolejce.

Finał się oddalił. Jego fiut już sflaczał. Gorst z trudem wstał, trąc obolałą głową o sufit namiotu. Była jedną z czystszych, ale w powietrzu i tak unosił się mdły zapach. Za dużo potu, dyszenia i innych rzeczy, które niedostatecznie zamaskowano tanią wodą kwiatową. Zastanawiał się, jak wielu mężczyzn było tutaj przed nim tego wieczoru, i ilu jeszcze się pojawi. Zastanawiał się, czy także udają, że są w innym miejscu i z kimś innym. A czy ona udaje, że jesteśmy kimś innym? Czy ją to obchodzi? Czy nas nienawidzi? A może jesteśmy tylko procesją zegarów, które trzeba nakręcić, marchewek, które trzeba obrać, krów, które trzeba wydoić?

Wkładała sukienkę, odwrócona do niego plecami, tylko po to, by za chwilę znów ją zrzucić. Gorst czuł, że się dusi. Podciągnął spodnie i niezdarnie zapiął pas. Rzucił kilka monet na drewnianą skrzynię, nawet ich nie licząc, po czym wypadł na zewnątrz i stanął w ciemności z zamkniętymi oczami, wdychając wilgotne powietrze i przyrzekając sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. Ponownie.

Jeden z alfonsów stał przed namiotem, najwyraźniej niespieszony wodą, która delikatnie skapywała z ronda jego

kapelusza. Na jego ustach gościł porozumiewawczy, nieco groźny uśmiech, który ludzie w jego branży muszą nosić jak mundur.

– Podobało się panu?

Podobało? Nawet nie potrafię skończyć w wyznaczonym czasie. Większość mężczyzn opanowała chociaż ten element interakcji międzyludzkich. Dlaczego muszę brukać i niszczyć jedyne uczciwe uczucie, które się we mnie tli? Jeśli można nazwać uczciwą niezdrową obsesję na punkcie cudzej żony. Chyba raczej nie. Może on by mógł.

Gorst popatrzył na alfonsa. Zajrzał mu głęboko w oczy. Przeniknął pusty uśmiech, docierając do chciwości, bezwzględności i znudzenia, które tkwiły pod spodem.

Podobało? Czy mam wybuchnąć śmiechem i uściskać cię jak brata? Objąć cię i ukręcić ci łeb razem z tym pierdolonym kapelusikiem? Czy jeśli obję cię gębą, miażdżąc wszystkie kości, i zgniotę to chude gardło gołymi rękami, to świat wiele na tym straci? Czy ktokolwiek to zauważy? Czy to będzie zły czy dobry uczynek? Usunę kolejnego robaka, który tuczy się na gównie sławetnej królewskiej armii.

Maska Gorsta najwyraźniej na chwilę opadła, a może alfons dzięki latom praktyki był bardziej wyczulony na oznaki przemocy niż kulturalni członkowie sztabu Jalenhorma czy oficerowie z kwatery głównej Kroya. Zmrużył oczy i ostrożnie cofnął się o krok, a jego dłoń zbłądziła w stronę pasa.

Gorst zdał sobie sprawę, że czeka, aż mężczyzna dobiedzie ostrza, i przez chwilę poczuł podniecenie na myśl o ujrzeniu błysku stali.

Czy dziś tylko to mnie podnieca? Śmierć? Stawanie z nią oko w oko oraz jej powodowanie?

Czyżby poczuł drgnięcie w okolicach obolałego krocza, gdy widmo przemocy zawisło w powietrzu? Jednak alfons tylko patrzył na niego nieruchomo.

– Wszystko w porządku. – Gorst oddalił się, powłócząc nogami i chlupocząc butami w błocie.

Wyszedł spośród namiotów i dołączył do szalonego festynu, który w czarodziejski sposób rozpoczynał się za linią frontu w każdym miejscu, w którym armia zatrzymywała się na dłużej niż kilka godzin. Otoczyły go gwar i zróżnicowanie jak na targu na Wyspach Tysięcznych, oślepiające barwy i duszące zapachy jak na dagooskańskim bazarze. Tutaj po tysiącokroć zaspokajano wszystkie potrzeby, gusta i zachcianki.

Nadskakujący handlarze pokazywali próbki jaskrawych tkanin pijanym oficerom, którzy ledwo trzymali się na nogach. Płatnerze grali ogłuszającą muzykę na kowadłach, a sprzedawcy demonstrowali siłę, ostrość albo piękno swoich towarów, które zręcznie podmieniali na śmieci, gdy tylko otrzymali pieniądze. Jakiś major o nastroszonych wąsach siedział nieruchomo z wojowniczą miną i podwójnym podbródkiem, podczas gdy malarz tworzył jego tandetną podobiznę przy świetle świecy. Śmiech wyprany z radości oraz bezsensowny bełkot dobijały się do obolałej głowy Gorsta. Wszystko było najlepsze, najszlachetniejsze, szyte na zamówienie i uznane.

– Nowa samoostrząca się pochwa! – ktoś ryczał. – Samoostrząca się!

– Zaliczki dla oficerów! Pożyczki na korzystnych warunkach!

– Suljuckie dziewczyny! Najlepsze dupy pod słońcem!

– Kwiaty! – zachwalał ktoś głosem zawieszonym pomiędzy śpiewem a krzykiem. – Dla żony! Dla córki! Dla kochanki! Dla dziwki!

– Do zabawy albo do gara! – wydzierała się kobieta, unosząc zdeorientowanego szczeniaka. – Do zabawy albo do gara!

Dużo za małe dzieci śmigały w tłumie, proponując czyszczenie butów albo wróżby, ostrzenie albo golenie, strzyżenie albo kopanie grobów. Wszystko, co można kupić albo za co można zapłacić. Dziewczynka, której wieku nie sposób było odgadnąć, okręciła się wokół Gorsta w psotnych płasach. Jej bosc nogi były umazane błotem aż po kolana. Mogła pochodzić z Suljuku, Gurkhulu, Styrii, któż mógł ustalić jej skundlone pochodzenie.

– Podoba się panu? – zagruchała, wskazując patyk, do którego przypięto próbki złotych nici.

Gorst poczuł nagły ucisk w gardle i uśmiechnął się do niej smutno, po czym pokręcił głową. Splunęła mu pod nogi i zniknęła. Dwie starsze panie stały przy wejściu do ociekającego namiotu, rozdając zadrukowane kartki zachwalające zalety powściągliwości i trzeźwości niepiśmiennym żołnierzom, którzy zdążyli zasłać nimi błoto w promieniu pół mili, wystawiając cenne nauki na niszczycielskie działanie deszczu.

Jeszcze kilka kroków, każdy stawiany z niewyobrażalnym trudem, po czym Gorst się zatrzymał, sam pośród tłumy. Wokół niego brnęli przez błoto przeklinający żołnierze, tak samo jak on udęczeni swoim małosłownym cierpieniem, tak samo jak on szukający tego, czego nie da się kupić. Uniósł wzrok i otworzył usta, czując, jak deszcz łaskocze go w język. Może liczył na jakąś wskazówkę, ale gwiazdy zasnuwał całun chmur.

Oświetlają drogę lepszym ode mnie. Harodowi dan Brockowi i jemu podobnym.

Ludzie zderzali się z nim i go potracali.

Proszę, niech ktoś mi pomoże.

Ale kto?

Dzień drugi

*„Nie można powiedzieć, że cywilizacja
stoi w miejscu, wszak każda kolejna wojna
przynosi nowe sposoby zabijania”.*

Will Rogers

Świt

Kiedy Gnat zwlekł się z łóżka, zimnego i lepkiego jak grób topielca, słońce było tylko błotnistobrazową smugą na czarnym wschodnim niebie. Niezdarnie przeciągnął ostrze przez kłamrę przy pasku, wyprostował się, po czym przy wtórze skrzypienia i stękania rozpoczął poranny rytuał, podczas którego sprawdzał, jak bardzo wszystko go boli. Za obolałą szczękę mógł winić Czerstwego i jego chłopców, a rwanie w nogach było skutkiem długiego biegu przez pola i po zboczu wzgórza oraz nocy, którą spędził skulony na wietrze, ale potworny ból głowy sam na siebie sprowadził. Poprzedniego wieczoru wypił kilka szklaneczek, pocieszając się po śmierci kompanów i wznosząc toasty za szczęście żyjących.

Większość dwunastki zebrała się wokół sterty wilgotnego drewna, która w lepszych czasach byłaby ogniskiem. Drofd pochylał się nad drewnem i, cicho przeklinając, bezskutecznie próbował je podpalić. A więc czeka ich zimne śniadanie.

– Wiele bym dał za kawałek dachu – szepnął Gnat, kuśtykając w stronę swoich ludzi.

– Kroję chleb na cienkie plastry, widzisz? – Whirrun trzymał Ojca Mieczy między kolanami, obnażywszy fragment ostrza o długości dłoni, i z absurdalnym skupieniem pocierał bochenkiem o jego krawędź, jak stolarz szlifujący ważne złącze.

– Krojony chleb? – Cudna oderwała wzrok od czarnej doliny.
– To się nigdy nie przyjmie.

Yon splunął przez ramię.

– Tak czy inaczej, mógłbyś się pośpieszyć? Jestem głodny jak diabli.

Whirrun ich zignorował.

– A kiedy już ukroję dwa kawałki – rzekł, po czym położył na jednej kromce kawał bladego sera i nakrył go drugą kromką, jakby łapał muchę – zamykam między nimi ser i gotowe!

– Chleb i ser. – Yon zważył w jednej dłoni pół bochenka, a w drugiej bryłę sera. – To tak samo jak u mnie. – Odgryzł kęs sera, po czym rzucił resztę Scorry’emu.

Whirrun westchnął.

– Czy wszyscy jesteście ślepi? – Podniósł swoje arcydzieło do niemal niewidocznego światła. – To nie jest po prostu chleb i ser, tak jak dobry topór nie jest po prostu drewnem i żelazem, a żywy człowiek nie jest tylko mięsem i włosami.

– Więc co to jest? – spytał Drofd, podnosząc się znad sterty mokrego drewna i z obrzydzeniem odrzucając krzesiwo.

– Coś całkiem nowego. Połączenie skromnych kawałków chleba i sera w szlachetniejszą całość. Nazywam to... pułapką na ser. – Whirrun nieśmiało skubnął potrawę zębami. – O tak, przyjaciele. Smakuje jak... postęp. Jest doskonale także z szynką. Jest doskonale ze wszystkim.

– Powinieneś spróbować z łajnem – odparła Cudna.

Drofd parsknął, ale Whirrun nawet tego nie zauważył.

– Taka jest wojna. Zmusza ludzi do tworzenia nowych rzeczy z tego, co mają. Zmusza ich do myślenia w nowy sposób. Bez wojny nie ma postępu. – Oparł się na jednym łokciu. – Widzicie, wojna jest jak pług, który użyźnia glebę, jak ogień, który oczyszcza pola, jak...

– Gównno, które pomaga rosnać kwiatom? – spytała Cudna.

– Właśnie! – Whirrun machnął w jej stronę swoim nowym

dziełem, a wtedy ser wpadł do niezapalonego ogniska. Cudna prawie przewróciła się ze śmiechu. Yon parsknął tak mocno, że wydmuchnął chleb nosem. Nawet Scorry przestał śpiewać, żeby piskliwie zachichotać. Gnat z przyjemnością się przyłączył. Czuł, że zbyt wiele czasu minęło, odkąd ostatnio się śmiał. Whirrun, marszcząc czoło, popatrzył na obwisłe kawałki pieczywa. – Chyba za słabo go wetknąłem. – Po czym wepchnął chleb do ust i zaczął grzebać między wilgotnymi gałęziami w poszukiwaniu sera.

– Unia się ruszyła? – spytał Gnat.

– Na razie niczego nie zauważyliśmy. – Yon, mrużąc oczy, popatrzył na jasne plamy na wschodzie. – Ale zbliża się świt. Pewnie wkrótce znów ich zobaczymy.

– Lepiej obudźcie Bracka – rzekł Gnat. – Będzie się wściekał cały dzień, jeśli przegapi śniadanie.

– Tak jest, wodzu. – Drofd potruchtał w stronę miejsca, w którym spał człowiek ze wzgórz.

Gnat wskazał Ojca Mieczy z obnażonym krótkim fragmentem szarego ostrza.

– Czy teraz musi zakosztować krwi?

– Może wystarczą okruchy – odezwała się Cudna.

– Niestety, nie. – Whirrun przesunął dłonią po ostrzu, po czym wytarł je ostatnim kawałkiem skórki i delikatnie wsunął miecz do pochwy. – Postęp bywa bolesny – mruknął, ssąc ranę.

– Wodzu? – Pomimo panującego półmroku i wiatru zwiewającego Drofdowi włosy na twarz, Gnat widział, że chłopak jest zmartwiony. – Obawiam się, że Brack nie chce wstać.

– Sam sprawdzę. – Gnat podszedł do potężnej postaci leżącej na boku, okrytej kocem, w którego fałdach zbierały się cienie. –

Brack.

Wytatuowana połowa twarzy Bracka była upstrzona kropelkami rosy. Gnat położył na niej dłoń. Olbrzym był zimny. Nie przypominał człowieka. Tylko mięso i włosy, jak mówił Whirrun.

– Wstawaj, Brack, ty tłusty wieprzu – warknęła Cudna. – Zanim Yon zeżre ci całe...

– Nie żyje – rzekł Gnat.

Finree nie wiedziała, od jak dawna nie śpi i siedzi na swoim podróżnym kufrze przy oknie, opierając ręce o zimny parapet i podbródek o nadgarstki. Na pewno na tyle długo, by zobaczyć, jak poszarpana linia wzgórz pojawia się na tle nieba na północy, bystra lśniąca rzeka wyłania się z mgły, a lasy na wschodzie zyskują delikatną fakturę. Mrużąc oczy, potrafiła wypatrzeć nierówny szczyt ogrodzenia otaczającego Osrung oraz połyskujące okno na samotnej wieży. Nierówny łuk migoczących pochodni, które znaczyły pozycje Unionistów, przecinał czarne pola dzielące ją od miasta oddalonego o kilkaset kroków.

Jeszcze trochę światła na niebie, trochę więcej szczegółów na świecie, a ludzie lorda gubernatora Meeda wybiegną z okopów i ruszą w stronę miasta. Potężna prawica armii jej ojca. Finree przygryzła czubek języka, tak mocno, że poczuła ból. Była podniecona, a zarazem wystraszona.

Wyprostowała się i obejrzała przez ramię na pełen pajęczyn pokoik. Próbowwała w nim posprzątać, ale w końcu musiała przyznać, że jest żałośnie nieudolna w prowadzeniu domu. Zastanawiała się, jaki los spotkał właścicieli gospody, a nawet,

jak się ona nazywa. Wydawało się jej, że widziała nad bramą słupek pozostały po szyldzie. Właśnie tak działa wojna. Kradnie tożsamość. Zmienia ludzi we wrogów, miejsca w strategiczne pozycje, a przedmioty w zasoby czekające na zagarnięcie. Bezimienne rzeczy, które można bezkarnie zmiażdżyć, ukraść i spalić. Wojna to piekło. Ale jest pełna okazji.

Finree podeszła do łóżka, a raczej wypchanego słomą materaca, który dzielili, i pochyliła się nad Halem, uważnie przyglądając się jego twarzy. Wyglądał tak młodo, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, policzkiem przyciśniętym do prześcieradła, oddechem świszczącym w nosie. Młodo i niewinnie, a także nieco głupio.

– Hal – szepnęła, po czym delikatnie chwyciła go ustami za górną wargę.

Zatrzepotał powiekami i przeciągnął się, prostując ręce nad głową. Podniósł się, żeby ją pocałować, a wtedy zobaczył okno i światło na niebie.

– Psiakrew! – Odrzucił koc i zgramolił się z pośłania. – Trzeba było obudzić mnie wcześniej. – Ochlapał twarz wodą z popękanej miski i wytarł się ścierką, po czym zaczął wciągać spodnie, w których chodził poprzedniego dnia.

– I tak będziesz za wcześnie – odparła, opierając się na łokciach i patrząc, jak się ubiera.

– Muszę tam być dwa razy wcześniej. Przecież wiesz.

– Wyglądałeś tak spokojnie. Nie miałam serca cię budzić.

– Mam pomagać w koordynowaniu ataku.

– No tak, ktoś musi.

Na chwilę znieruchomiał z koszulą na głowie, po czym wciągnął ją na grzbiet.

– Może... powinnaś zostać u ojca w jego kwaterze głównej na

wzgórzu. Większość żon już wróciła do Uffrithu.

– Gdybyśmy mogli wysłać tam Meeda razem z resztą starych bab, które myślą tylko o ubraniach, może mielibyśmy szansę na zwycięstwo.

Hal nie ustępował.

– Zostałyście tylko ty i Aliz dan Brint. Martwię się o ciebie...

Był boleśnie przewidywalny.

– Martwisz się, że wdam się w kłótnię z twoim niekompetentnym dowódcą.

– To też. Gdzie moja...

Kopnęła jego grzechoczące ostrze po podłodze, tak że musiał się po nie schylić.

– To smutne, że mężczyzna taki jak ty musi wykonywać rozkazy kogoś takiego jak Meed.

– Na świecie nie brakuje smutnych rzeczy. Ta akurat nie jest najgorsza.

– Ktoś wreszcie powinien coś z nim zrobić.

Hal wciąż zmagał się z pasem.

– Nie da się niczego zrobić. Trzeba jakoś sobie radzić.

– Cóż... ktoś powinien wspomnieć o jego nieudolności królowi.

– Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale mój ojciec i król lekko się poróżnili. Nie jestem ulubieńcem Jego Wysokości.

– W odróżnieniu od twojego przyjaciela pułkownika Brinta.

Hal gwałtownie podniósł wzrok.

– Fin, to podłe.

– Kogo obchodzi, czy to podłe, jeśli pomoże ci zdobyć to, na co zasługujesz?

– Mnie obchodzi – odburknął, zapinając sprzączkę pasa. –

Należy postępować honorowo. Piąć się w górę dzięki ciężkiej pracy, lojalności i posłuszeństwu, a nie dzięki... dzięki...

– Czemu?

– Temu, co ty robisz.

Nagle zapragnęła zrobić mu krzywdę. Miała ochotę powiedzieć mu, że bez trudu mogła wyjść za mąż za człowieka, którego ojciec nie był najbardziej niesławnym zdrajcą w swoim pokoleniu. Chciała zauważyć, że zdobył swoją obecną pozycję wyłącznie dzięki protekcji jej ojca oraz jej czarowi, a pozostawiony samemu sobie szczyciłby się ciężką pracą i lojalnością jako ubogi pułkownik w prowincjonalnym regimencie. Chciała mu powiedzieć, że jest dobrym człowiekiem, ale świat nie jest taki, jak się wydaje dobrym ludziom. Na szczęście, Hal odezwał się jako pierwszy.

– Fin, przepraszam. Wiem, że chcesz dla nas jak najlepiej. Wiem, że już dużo dla mnie zrobiłaś. Nie zasługuję na ciebie. Po prostu... pozwól mi działać po swojemu. Proszę. Obiecuj mi, że nie zrobisz niczego... pochopnego.

– Obiecuję. – Będzie się starała, żeby każde jej działanie było dobrze przemyślane. Albo po prostu złamie dane słowo. Nie traktowała swojej obietnicy zbyt poważnie.

Hal uśmiechnął się z ulgą i nachylił, żeby pocałować żonę. Odwzajemniła jego pocałunek bez entuzjazmu, ale kiedy zauważyła, że żałośnie opuścił ramiona, przypomniała sobie, że tego dnia stanął oko w oko ze śmiercią, i pieszczotliwie uszczypnęła go w policzek.

– Kocham cię.

Po to tutaj przyszła, prawda? Po to brnęła przez błoto razem z żołnierzami. Żeby być przy nim. Wspierać go. Właściwie nim pokierować. Boginie Losu wiedzą, że tego potrzebował.

– Ja kocham cię bardziej – odpowiedział.

– To nie są zawody.

– Nie?

Wyszedł, wkładając bluzę od munduru. Finree kochała Hala. Szczerze go kochała. Ale wiedziała, że niebo spadnie im na głowę, zanim jej mąż zdobędzie to, na co zasługują, za sprawą uczciwości i dobroduszości.

Nie miała zamiaru dożyć końca swoich dni jako żona zwykłego pułkownika.

Kapral Tunny już dawno zapracował sobie na reputację największego śpiocha w wojsku Jego Królewskiej Mości. Potrafił zasnąć na wszystkim i w każdej sytuacji, po czym błyskawicznie obudzić się w pełni gotowy do akcji, a jeszcze częściej do tego, by jej uniknąć. Przespał cały szturm na Ulrioch w okopie pięćdziesiąt kroków od wyłomu, a następnie obudził się w samą porę, by wskoczyć między trupy, gdy walki ucichły, i obłowić się tak samo jak każdy, kto tamtego dnia dobył ostrza.

Dlatego podmokły las podczas mżawki i kawałek śmierdzącej tkaniny do przykrycia były dla niego równie dobre jak puchowe łożo. Jednakże jego rekruci nie mieli tak twardego snu. Tunny obudził się przed świtem w chłodzie i ciemności. Siedział oparty plecami o drzewo, ściskając w garści sztandar regimentu. Uniósł tkaninę jednym palcem i popatrzył na dwóch mężczyzn, których zostawił skulonych na wilgotnym gruncie.

– Czy tak? – pisnął Żółtko.

– Nie – szepnął Worth. – Hubka pod spód, a potem uderz jak...

Tunny zerwał się z ziemi i z całej siły rozdeptał stertę oślizgłych patyków.

– Nie rozpalajcie ognia, idioci. Nawet jeśli wróg nie zauważy płomieni, to na pewno dostrzeże dym!

Żółtko i za dziesięć lat nie zapaliłby tej żalostnej kupki zgnilizny. Nawet nie potrafił prawidłowo trzymać krzemienia.

– To jak usmażymy bekon, panie kapralu? – Worth podniósł małą patelnię, na której leżał błady i nieapetyczny plaster mięsa.

– Nie usmażycie.

– Mamy go zjeść na surowo?

– Nie radzę – odparł Tunny – Zwłaszcza tobie, Worth, biorąc pod uwagę wrażliwość twoich jelit.

– Czego?

– Twoich kiszek.

Worth sposepniał.

– Więc co będziemy jeść?

– A co macie?

– Nic.

– Zatem tym się musicie zadowolić. Chyba że znajdziecie coś lepszego.

Nawet zważywszy na to, że obudził się przed świtem, Tunny był wyjątkowo opryskliwy. Miał poczucie, że powinien być czymś bardzo poirytowany, ale nie był pewien, co to takiego. Dopiero po chwili przypomniał sobie brudną wodę pochłaniającą twarz Klige'a i kopnął w żalostną namiastkę ogniska, którą zbudował Żółtko.

– Jakiś czas temu pojawił się pułkownik Vallimir – mruknął Żółtko, jakby Tunny właśnie tego potrzebował dla poprawy humoru.

– Cudownie – syknął kapral. – Może go zjemy.

– Niewykluczone, że przywiózł ze sobą jedzenie.

Tunny parsknął.

– Oficerowie przynoszą tylko kłopoty, a nasz kochany Vallimir jest oficerem najgorszego rodzaju.

– Głupim? – wymamrotał Worth.

– Sprytnym – odparł Tunny. – I ambitnym. Takim, który wspina się do awansu po ciałach prostych ludzi.

– A czy my jesteśmy prostymi ludźmi? – spytał Żółtko.

Tunny zmierzył go wzrokiem.

– Trudno, kurwa, o lepszy przykład. – Żółtko nawet sprawiał wrażenie zadowolonego. – Ani śladu Latherlivera?

– Lederlingena, panie kapralu.

– Wiem, jak on się nazywa, Worth. Specjalnie błędnie wymawiam jego nazwisko, ponieważ mnie to bawi. – Wydał policzki. Jego poczucie humoru stało się zdecydowanie mniej wyszukane odkąd ruszyła kampania.

– Nie widziałem go – odrzekł Żółtko, ze smutkiem spoglądając na żaloszny plaster bekonu.

– To już coś – odparł Tunny, a gdy dwaj chłopcy popatrzyli na niego tępo, dodał: – Leperlover udał się do tych, którzy przedstawiają żołnierzyki na planszy, żeby powiedzieć im, gdzie jesteśmy. Może przywieźć rozkazy.

– Jakie rozkazy? – spytał Żółtko.

– Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Ale każdy rozkaz to zła wiadomość. – Tunny ze zmarszczonym czołem popatrzył na linię drzew. Niewiele widział przez gęstwinę pni, konarów i mgły, ale usłyszał odległy szum strumienia wezbranego za sprawą połowy deszczu, który spadł zeszłej nocy. Kapral miał wrażenie, że druga połowa wylądowała w jego gaciach. – Może nawet będzie to rozkaz do ataku. Do przekroczenia strumienia i uderzenia na Północnych z flanki.

Worth ostrożnie odstawił patelnię i złapał się za brzuch.

– Panie kapralu, ja chyba...

– Cóż, lepiej, żebyś nie robił tego tutaj, prawda?

Worth rzucił się w cieniste zarośla, mocując się z paskiem. Tunny usiadł, opierając się plecami o pień, wyjął piersiówkę od Żółtka i upił maleńki łyk.

Żółtko oblizwał blade usta.

– Czy mógłbym...

– Nie. – Tunny popatrzył na rekruta spod przymrużonych powiek i pociągnął kolejny łyczek. – Chyba że masz czym zapłacić. – Cisza. – No właśnie.

– Może nadałby się namiot – wyszeptał Żółtko niemal zbyt cicho, by można go było usłyszeć.

– Owszem, ale namioty jadą na koniach, a król postanowił wyposażyć swoich lojalnych żołnierzy w nowy, wybitnie nieprzydatny model, który przecieka na wszystkich szwach. – To doprowadziło do rozkwitu handlu starymi namiotami, dzięki czemu Tunny już dwukrotnie nieźle zarobił. – Zresztą, jak byś go tutaj rozstawił? – Poruszył plecami, drapiąc się w łopatki o szorstką korę.

– Więc co powinniśmy zrobić? – spytał Żółtko.

– Nic. Dobry żołnierz nie robi niczego, dopóki nie otrzyma konkretnych i szczegółowych rozkazów. – W wąskim trójkącie pomiędzy czarnymi konarami niebo leciutko pojaśniało, przybierając niezdrową barwę. Tunny skrzywił się i zamknął oczy. – Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak piekielnie nudna jest wojna.

Po czym natychmiast zasnął.

Calderowi śniło się to, co zawsze.

Sala Skarlinga w Carleonie, ciemna od cieni, odgłos rzeki za wysokimi oknami. Wiele lat temu, gdy jego ojciec był Królem Północnych. Calder patrzył na swoją młodszą wersję, która siedziała na Tronie Skarlinga i kpiąco zerknęła na Forleya Najsłabszego. Forley leżał związany, a nad nim z wyciągniętym toporem stał Dość-Zły.

Calder wiedział, że to sen, a mimo to, jak zwykle czuł paralizujące przerażenie. Usiłował krzyczeć, ale nie mógł otworzyć ust. Chciał się poruszyć, ale był spętany równie mocno jak Forley. Spętany tym, co zrobił i czego nie zrobił.

– Co robimy? – spytał Dość-Zły.

A Calder odpowiedział:

– Zabij go.

Gdy topór opadł, Calder obudził się, miotając się na posłaniu. W pokoju panowała całkowita ciemność. Nie poczuł ciepłego przypływu ulgi, jaki zazwyczaj towarzyszy wybudzeniu z koszmaru. To wydarzyło się naprawdę. Zsunął się z łóżka, masując spocone skronie. Już dawno zrezygnował z bycia dobrym człowiekiem, czyż nie?

Więc dlaczego wciąż śni jak jeden z nich?

– Pokój?

Calder gwałtownie podniósł wzrok, a serce podskoczyło mu w piersi. Na krześle w kącie siedziała potężna postać. Czarniejsza od ciemności.

– To właśnie propozycja zawarcia pokoju sprawiła, że zostałeś wygnany.

Calder odetchnął.

– Ja również cieszę się, że cię widzę, bracie. – Szalka miał na sobie zbroję, ale to nie zdziwiło Caldera. Podejrzewał, że jego

brat w niej śpi.

– Myślałem, że jesteś tym mądrzejszym z nas dwóch? W ten sposób trafisz prosto do ziemi i pociągniesz ze sobą mnie, a to będzie koniec dziedzictwa naszego ojca. Pokój? W dniu zwycięstwa?

– A widziałeś ich twarze? Nawet podczas narady wielu z nich było gotowych do zaprzestania walk, choćby w dniu zwycięstwa. Nadchodzą trudniejsze dni, a gdy tak się stanie, coraz więcej ludzi zacznie nas popierać...

– Nie nas, tylko ciebie – odburknął Szalka. – Ja mam bitwę do stoczenia. Mężczyzna nie staje się bohaterem za sprawą gadania.

Calder nie potrafił ukryć pogardy.

– Może Północy przydałoby się mniej bohaterów, a więcej myślicieli. Więcej budowniczych. Naszego ojca pamięta się ze względu na bitwy, ale jego prawdziwym dziedzictwem są drogi, które zbudował, pola, które oczyścił, miasteczka, kuźnie, porty i...

– Zbudował drogi, żeby mogło po nich maszerować wojsko. Oczyścił pola, żeby wykarmić żołnierzy. W miasteczkach rodzili się rekruci, w kuźniach wyrabiano miecze, a do portów zawijały statki z bronią.

– Nasz ojciec walczył, ponieważ musiał, a nie dlatego, że...

– To jest Północ! – wrzasnął Szalka, aż niewielki pokój się zatrzęsł. – Każdy tutaj musi walczyć! – Calder przełknął ślinę, nagle tracąc pewność siebie i czując lekką obawę. – Czy tego chce, czy nie. Wcześniej czy później, każdy musi stanąć do walki.

Calder oblizwał usta. Nie był gotowy przyznać się do porażki.

– Nasz ojciec wolał zdobywać to, czego pragnął, za pomocą słów. Ludzie słuchali...

– Ludzie słuchali, ponieważ wiedzieli, że ma w sobie żelazo! – Szalka grzmotnął pięścią w podłokietnik, aż trzasnęło drewno. Uderzył ponownie, odłamując go od krzesła i posyłając na podłogę. – Wiesz, co mi kiedyś powiedział? „Zdobytaj to, co się da, za pomocą słów, ponieważ one nic nie kosztują, ale słowa uzbrojonego człowieka brzmią znacznie piękniej. Dlatego, kiedy mówisz, zawsze miej przy sobie miecz”. – Szalka wstał i rzucił coś przez pokój. Calder pisnął i niezdarnie złapał przedmiot, który boleśnie uderzył go w pierś. Był ciężki, twardy i metalicznie połyskiwał. Pochwa z jego ostrzem. – Wyjdź na zewnątrz. – Szalka wstał, górując nad bratem. – I zabierz ze sobą broń.

Przed zrujnowanym domem gospodarczym było niewiele jaśniej. Pierwsza smuga świtu na ciężkim wschodnim niebie wydobywała z ponurej ciemności Bohaterów stojących na szczycie wzgórza. Silny wiatr chłostał oczy kroplami deszczu, kołysał łanami jęczmienia i sprawiał, że Calder mocno obejmował się rękami. Na żerdzi obok domu strach na wróble tańczył szaleńczo, nieustannie przyzywając partnerkę podartymi rękawicami. Mur Claila miał postać sięgającej do piersi sterty mchu, która przecinała pola, wyłaniając się zza wzniesienia po ich prawej stronie, a następnie wspinając po stromym zboczu Bohaterów. Ludzie Szalki kulili się w cieniu wzgórza, większość wciąż zawinięta w koce, czego Calder bardzo im zazdrościł. Nie pamiętał, kiedy ostatnio oglądał świat o tak wczesnej porze, a na domiar złego znajdował się w jeszcze brzydszym miejscu niż zazwyczaj.

Szalka wskazał na wschód przez wyrwę w murze ku nierównemu szlakowi naznaczonemu kałużami.

– Połowa ludzi ukryła się w pobliżu Starego Mostu. Kiedy

Unioniści spróbują przekroczyć rzekę, powstrzymamy drani.

Calder oczywiście nie zamierzał podważać słów brata, ale musiał spytać.

– Ilu żołnierzy Unii znajduje się na drugim brzegu?

– Wielu. – Szalka popatrzył na niego wyzywająco, ale Calder tylko podrapał się w głowę. – Zostaniesz z Bładym-jak-Śnieg i resztą ludzi za Murem Claila.

Calder pokiwał głową. Pozostanie za murem to zadanie w sam raz dla niego.

– Jednak możliwe, że wcześniej albo później będę potrzebował twojej pomocy. Kiedy po nią poślę, wyjdź z ukrycia. Będziemy walczyli wspólnie.

Calder się skrzywił, wystawiając twarz na wiatr. To zadanie zdecydowanie mniej mu odpowiadało.

– Mogę ci zaufać, prawda?

Calder zmarszczył czoło.

– Oczywiście. – Książę Calder, symbol solidności. – Nie zawiodę cię. – Dzielny i śmiały, szlachetny książę Calder.

– Niezależnie od tego, co straciliśmy, wciąż mamy siebie nawzajem. – Szalka położył masywną dłoń na ramieniu Caldera. – Wiem, że to niełatwe, być synem wielkiego człowieka. Można by pomyśleć, że wiążą się z tym rozmaite profity, podziw i szacunek. Ale jesteśmy jak nasiona, które usiłują wzrastać w przytłaczającym cieniu potężnego drzewa. Niewiele samodzielnie przebija się do słońca.

– Racja. – Calder nie wspomniał, że bycie młodszym synem wielkiego człowieka jest dwukrotnie trudniejsze. Wtedy musisz ściąć dwa drzewa, jeśli chcesz wystawić liście do słońca.

Szalka skinął w stronę Palca Skarlinga. Kilka ognisk wciąż migotało na zboczach wzgórza, gdzie ludzie Dziesięciu

Sposobów rozbili obozy.

– Jeśli nie uda nam się utrzymać, Brodd Dziesięć Sposobów ma nam pomóc.

Calder uniósł brwi.

– Prędzej sam Skarling ruszy nam z pomocą niż ten stary drań.

– Zatem zostaniemy we dwóch. Może nie zawsze się zgadzamy, ale jesteśmy rodziną. – Szalka wyciągnął dłoń, a Calder ją uścisnął.

– Rodziną. – Co prawda przyrodnią.

– Powodzenia, bracie.

– I wzajemnie. – Przyrodni bracie. Calder patrzył, jak Szalka dosiada konia i ostro rusza szlakiem prowadzącym do Starego Mostu.

– Mam wrażenie, że dzisiaj Wasza Książęca Mość będzie potrzebował czegoś więcej niż szczęścia. – Foss Głęboki stał pod ociekającymi deszczem ruinami werandy, a jego zniszczone ubranie i zniszczona twarz stapiały się ze zniszczoną ścianą.

– No, nie wiem. – Płytki siedział owinięty w szary płaszcz, więc było widać tylko jego głowę z szerokim uśmiechem. – Może największa góra szczęścia na świecie mu wystarczy.

Naburmuszony Calder odwrócił się od nich w milczeniu i ze zmarszczonym czołem popatrzył na południe. Miał wrażenie, że się nie mylą.

To nie był jedyny grób, który wykopano. Najwyraźniej kilku rannych umarło w nocy. Wojownicy zebrani w małe grupki kulili się na deszczu, pogrążeni w smutku, a może raczej przygnębieni własnym losem, co wygląda podobnie i równie

dobrze sprawdza się podczas pogrzebu. Wodzowie wygłaszali pozbawione treści przemowy, wpadając w identyczny żalony ton. Wśród nich był Rozciętopoty, który ze łzami w oczach stał nad grobem jednego z Imiennych Dow w odległości niecałych dwudziestu kroków. Sam Dow się nie pojawił. Wilgotne oczy nie były w jego stylu.

Tymczasem wokół ludzie zabierali się za codzienne czynności, zupełnie jakby żalobnicy sami byli niewidzialni jak duchy. Mężczyźni wygrzebywali się z narzekaniem z mokrych posłań, przeklinając wilgotne ubrania, wycierając wilgotną broń i zbroje, szukając jedzenia, sikając, drapiąc się, wysysając ostatnie krople z butelek, które opróżnili wieczorem, porównując trofea ukradzione Unionistom, podśmiewając się z opowiadanych żartów. Śmiali się zbyt głośno, gdyż wiedzieli, że tego dnia znów czeka na nich czarna robota, więc muszą wykorzystać każdą okazję do wesołości.

Gnat patrzył na pozostałych, którzy stali z pochylonymi głowami. Wszyscy poza Whirrunem, on bowiem, odchyłał się do tyłu, przyciskając do siebie Ojca Mieczy, i wystawiał język na deszcz. Gnat był tym nieco rozdrażniony, a także trochę zazdrosny. Żałował, że jego również nie uważają za szaleńca i nie zwalniają z tych pustych rytuałów. Nie miał jednak wyjścia i musiał postąpić honorowo.

– Co czyni człowieka bohaterem? – spytał mokrego powietrza. – Wielkie czyny? Słynne imię? Chwała i pieśni? Nie. Według mnie, stanie u boku towarzyszy. – Whirrun mruknął z uznaniem, po czym ponownie wysunął język. – Brack-i-Dayn zszedł ze wzgórz piętnaście lat temu, przez czternaście z tych lat walczył u mojego boku i zawsze myślał przede wszystkim o swojej drużynie. Nie zliczę, ile razy ten drągał uratował mi

życie. Zawsze potrafił nas pocieszyć albo rozbawić. Raz nawet skłonił do śmiechu Yona.

– Dwa razy – rzekł Yon z surową miną. Gdyby jego oblicze stało się jeszcze twardsze, mógłby nim rozłupać Bohaterów.

– Nigdy się nie skarżył. Może tylko na to, że nie dostaje wystarczająco dużo jedzenia. – Gnat na chwilę stracił głos i wydał z siebie piskliwy skrzek. Idiotyczny odgłos w ustach wodza, zwłaszcza w takiej chwili. Odchrząknął, po czym mówił dalej. – Brack nigdy nie mógł się najeść. Umarł... spokojnie. Pewnie by mu się to spodobało, mimo że kochał dobrą walkę. Śmierć we śnie jest znacznie lepsza od śmierci z żelazem w brzuchu, niezależnie od tego, co głoszą pieśni.

– Pieprzyć pieśni – rzekła Cudna.

– Właśnie, pieprzyć je. Nie wiem, kto jest tutaj pochowany. Ale jeśli nawet jest to Skarling we własnej osobie, to powinien być dumny, że leży obok niego Brack-i-Dayn. – Gnat obnażył zęby. – A jeśli nie jest, to niech też się pieprzy. Wracaj do ziemi, Brack. – Ukłęknął, nie musząc udawać cierpienia, gdyż miał wrażenie, że jego kolano za chwilę się rozpadnie, po czym chwycił garść czarnej mokrej ziemi i rzucił ją na grób.

– Wracaj do ziemi – mruknął Yon.

– Wracaj do ziemi – zawtórowała Cudna.

– Patrząc na to od pozytywnej strony – rzekł Whirrun – wszyscy tam kiedyś trafimy, tak czy inaczej. Czyż nie? – Rozejrzał się, jakby oczekiwał, że te słowa podniosą ich na duchu, ale gdy tak się nie stało, wzruszył ramionami i się odwrócił.

– Stary Brack odszedł. – Scorry kucnął przy grobie, kładąc dłoń na wilgotnym gruncie, marszcząc czoło, jakby bezskutecznie usiłował rozwiązać jakąś zagadkę. – Nie mogę

w to uwierzyć. Świetna przemowa, wodzu.

– Tak uważasz? – Gnat skrzywił się, wstając, po czym otrzepał dłonie z ziemi. – Nie jestem pewien, ile ich jeszcze zniosę.

– Racja – mruknął Scorry. – Takie nastały czasy.

Uwagi wstępne

– Wstawaj.

Beck skrzywił się i odepchnął stopę. Nie lubił kopniaków w żebra, a zwłaszcza od Refta, i to zaraz po zaśnięciu. Długo wiercił się pod kocem w ciemności, myśląc o tym, jak Caul Dreszcz dźgał tamtego człowieka. Nie potrafił się wygodnie ułożyć. Przeszkadzał mu koc oraz wspomnienie uderzającego nożyka.

– Co jest?

Beck zdarł z siebie koc i przeszedł przez pokój na poddaszu, schylając się pod niską belką, w jednej chwili zapominając o senności i gniewie. Kopnięciem zatrzaskał skrzypiące drzwi dużej komody, przepchnął się obok Braita i Stoddera, po czym wyrzwał przez jedno z wąskich okien.

Niemal spodziewał się zobaczyć rzeź na ulicach Osrungu, bryzgającą krew, łopoczące sztandary, usłyszeć pieśni wyśpiewywane pod jego oknem. Jednakże na pierwszy rzut oka w mieście panował spokój. Nie zauważył niczego poza nadchodzącym świtem i deszczem, który otaczał tłustą mgiełką stłoczone budynki.

W odległości mniej więcej czterdziestu kroków, po drugiej stronie brukowanego placu płynęła brązowa rzeka wezbrana pod wpływem deszczu spływającego ze wzgórz. Most, do którego przywiązywano tak wielką wagę, nie robił imponującego wrażenia. Była to podniszczona kamienna budowla, na której z trudem mogło się wyminąć dwóch

jeźdźców. Po prawej stronie stał młyn, a po lewej rząd niskich domów o otwartych okiennicach, zza których wyglądało kilka zdenerwowanych twarzy patrzących na południe, tak samo jak Beck. Za mostem zaczynała się pokryta koleinami droga biegnąca pomiędzy chatami z plecionki aż do ogrodzenia na południowym skraju miasteczka. Beck miał wrażenie, że przez mżawkę widzi niewyraźne sylwetki ludzi na kładkach. Możliwe, że dwóch żołnierzy już strzelało z kusz.

Gdy tak patrzył, ludzie wybiegli z jednej z uliczek na plac i sformowali ścianę z tarcz na północnym końcu mostu. Pokrzykiwał na nich mężczyzna w eleganckiej pelerynie. Carlowie ustawili się na przodzie, gotowi złączyć pomalowane tarcze. Niewolnicy trzymali się z tyłu, czekając na sygnał, by opuścić włócznie.

Niewątpliwie zbliżała się bitwa.

– Trzeba było powiedzieć mi wcześniej – burknął Beck, pośpiesznie wracając do swojego posłania i wciągając buty.

– Wcześniej o niczym nie wiedziałem – odparł Reft.

– Masz. – Colving podał Beckowi kawałek czarnego chleba. Z jego pulchnej twarzy wyzierały okrągłe wystraszone oczy.

Beckowi zrobiło się niedobrze na samą myśl o jedzeniu. Chwycił swoją broń, po czym zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd z nią pójść. Nie było dla niego miejsca przy ogrodzeniu, w ścianie tarcz ani nigdzie indziej. Popatrzył w stronę schodów, a następnie w stronę okna, na zmianę zaciskając i rozwierając wolną dłoń.

– Co robimy?

– Czekamy. – Mokry wciągnął swoją sztywną nogę po schodach na poddasze. Miał na sobie kolczugę, która na ramionach lśniła od deszczu. – Reachey kazał nam utrzymać

dwa domy, ten oraz drugi po przeciwnej stronie ulicy. Zaraz tam idę.

– Czy to konieczne? – Beck zauważył, że zabrzmiał jak wystraszone dziecko, które zadaje mamusi pytanie, czy ta naprawdę zostawi je w ciemności. – Niektórym z tych chłopców przydałoby się towarzystwo kogoś...

– Będziecie musieli im wystarczyć ty i Reft. Może trudno wam w to uwierzyć, ale chłopcy w drugim domu są jeszcze bardziej zieleni od was.

– No tak. Oczywiście. – Beck przez cały ostatni tydzień narzekał, że Mokry wciąż się wokół nich kręci i krępuje mu ruchy. Teraz zadrzał na myśl o tym, że staruszek ich opuści.

– Zostanie tutaj wasza piątka i pięciu innych chłopców z poboru. Na razie nigdzie się nie ruszajcie. Zabarykadujcie okna na dole. Kto ma łuk?

– Ja – odrzekł Beck.

– Ja też. – Reft podniósł broń.

– Ja mam procę – dodał z nadzieją w głosie Colving.

– Potrafisz się nią posługiwać? – spytał Reft.

Chłopak pokręcił ze smutkiem głową.

– Zresztą, przy oknie nie na wiele by mi się przydała.

– Więc po co o niej mówisz? – odburknął Beck, przesuwał palcami po swoim łuku. Miał spoconą dłoń.

Mokry podszedł do dwóch wąskich okien i wskazał w stronę rzeki.

– Może zatrzymamy ich przy ogrodzeniu, ale jeśli nie, to ustawimy ścianę tarcz przy moście. Jeśli tam ich nie powstrzymamy, każdy, kto ma łuk, zacznie strzelać. Tylko ostrożnie, nie traficie naszych chłopców w plecy. Lepiej czekać

niż ryzykować zabicie swoich ludzi, a w bitewnym szale trudno rozróżnić, kto jest kim. Reszta zejdzie na dół, żeby nie wpuścić wrogów do budynku, jeśli się przedrą. – Stodder przygryzł masywną dolną wargę. – Nie martwcie się. Nie przedostaną się, a nawet jeśli im się uda, to będą mocno pokiereszowani. Reachey z pewnością szybko odpowie na ich atak, więc jeśli spróbują tutaj wejść, utrzymajcie ich za drzwiami, dopóki nie wróci.

– Utrzymać ich za drzwiami – pisnął Brait, wesoło wymachując cienką włócznią, którą nie byłby w stanie powstrzymać kota przed wejściem do kurnika.

– Jakies pytania? – Beck nie miał pojęcia, co robić, ale wątpił, aby jedno pytanie mogło rozwiać jego wątpliwości, więc postanowił milczeć. – No dobrze. Zajrzę do was później, jeśli będę mógł. – Mokry pokuśtykał do schodów i zniknął. Zostali sami. Beck ponownie podszedł do okna, uznając, że to lepsze niż beczynność, ale w mieście nic się nie zmieniło.

– Już przeszli przez ogrodzenie? – Brait stał na palcach, usiłując spojrzeć Beckowi przez ramię. W jego głosie pobrzmiwało podekscytowanie, a oczy lśniły jak u chłopca czekającego na urodzinowy prezent. Beck zawsze podejrzewał, że on sam będzie się tak zachowywał w obliczu bitwy. Ale wcale się tak nie czuł. Było mu niedobrze i gorąco, pomimo mżawki pokrywającej twarz.

– Jeszcze nie. Nie powinieneś być na dole?

– Dopiero kiedy się pojawią. Niecodziennie można zobaczyć coś takiego, prawda?

Beck odsunął go łokciem.

– Wynocha! Niedobrze mi od twojego smrodu!

– W porządku, w porządku. – Brait oddalił się upokorzony,

ale Beck nie potrafił się zdobyć na współczucie. Z trudem utrzymywał w żołądku śniadanie, którego nie zjadł.

Reft stanął przy drugim oknie, z łukiem na ramieniu.

– Myślałem, że będziesz zadowolony. Wygląda na to, że dostaniesz szansę zostania bohaterem.

– Jestem zadowolony – odburknął Beck. I wcale nie sram w gacie.

Meed urządził swoją kwaterę główną w gospodzie, która według standardów Północy przypominała pałac z dwupoziomową główną salą otoczoną galerią biegnącą na poziomie pierwszego piętra. Przez noc wnętrza także ozdobiono na wzór pałacu za pomocą krzykliwych draperii, inkrustowanych kredensów, połączonych świeczników i wszelkich pompatycznych dekoracji, jakich można by się spodziewać w rezydencji lorda gubernatora, zapewne potwornym kosztem przywiezionych wozami przez pół Północy. W kącie zasiadło dwóch skrzypków, którzy z chytrymi uśmiechami wygrywali żwawe kameralne kawałki. Pracownicy służący Meeda zawiesili na ścianach trzy olbrzymie olejne obrazy. Dwa przedstawiały słynne bitwy z historii Unii, a trzeci, ku zaskoczeniu wszystkich, portret samego Meeda dumnie prężącego się w starej zbroi. Finree przez chwilę wpatrywała się w niego, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać.

Duże okna wychodziły na zachwaszczone podwórze na południu, na pola usiane drzewami, ciągnące się aż do ponurych lasów na wschodzie oraz na miasto Osrung na północy. Wszystkie okiennice były otwarte, więc do sali wpadał chłodny wiatr, który mierzwił włosy i porywał papiery. Oficerowie

tłoczyli się przy północnych oknach, chcąc zobaczyć atakujące wojska. Pośród nich stał Meed ubrany w oślepiająco karmazynowy mundur. Gdy Finree wślizgnęła się na miejsce obok niego, zerknął na nią z obrzydzeniem jak wybredny smakosz, który zauważył owada w swojej sałatce. Odwzajemniła jego spojrzenie z promiennym uśmiechem.

– Czy mogłabym pożyczyć lunetę, Wasza Miłość?

Przez chwilę poruszał ustami z niesmakiem, ale był więźniem etykiety, więc w końcu podał jej żądany przedmiot sztywną ręką.

– Oczywiście.

Droga zakręcała na północ. Był to błotnisty szlak wiodący przez błotniste pola opanowane przez rozległe obozowisko złożone z chaotycznie rozsianych namiotów, które wyrosły w nocy jak grzyby. Dalej Finree widziała szanice, które ludzie Meeda wzniesli w ciemności, a za nimi, poprzez mgłę i mżawkę, ogrodzenie otaczające Osrung, a być może nawet niewyraźne kształty opartych o nie drabin oblężniczych.

Jej wyobraźnia wypełniła luki. Oddziały ponurych, zdeterminowanych mężczyzn maszerowały w stronę palisady, a z góry sypały się na nich strzały. Ranni wlekli się z powrotem lub leżeli na ziemi i krzyczeli. Obrońcy zrzucali kamienie, odpychali drabiny, zabijali żołnierzy wspinających się na kładki, spychali ich z ogrodzenia, by ci z wrzaskiem zginęli stratowani przez swoich kompanów.

Finree zastanawiała się, czy gdzieś w środku tego zamieszania jest Hal i bawi się w bohatera. Po raz pierwszy zaczęła się o niego niepokoić. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. To nie była zabawa. Opuściła lunetę i przygryzła wargę.

– Gdzie, do diabła, jest Wilczarz ze swym motłochem? –

spytał lord gubernator kapitana Hardricka.

– Maszerowali tuż za nami, Wasza Miłość. Zwiadowcy Wilczarza natrafili na spaloną wioskę i lord marszałek pozwolił mu ją spenetrować. Powinni tu dotrzeć za godzinę albo dwie...

– Typowe. Chętnie udziela pouczeń, ale gdy zaczyna się bitwa, nigdzie nie można go znaleźć.

– Północni mają zdradziecką naturę – rzucił ktoś.

– To tchórze.

– Ich obecność tylko by nas spowalniała.

– To prawda – parsknął Meed. – Przekażcie wszystkim oddziałom rozkaz do ataku. Niech ich zgniotą. Niech obrócą miasto w pył i zabiją albo przepędzą wszystkich Północnych.

Finree nie potrafiła się powstrzymać.

– Z pewnością byłoby mądrze pozostawić tutaj przynajmniej jeden regiment? Z tego, co mi wiadomo, lasy na wschodzie nie zostały dokładnie...

– Naprawdę uważasz, że zdołasz uknuć jakiś plan, dzięki któremu zastąpisz mnie swoim mężem?

Zapadła niemożliwie długa cisza, podczas której Finree zastanawiała się, czy nie śni.

– Ależ, co Wasza...

– To bardzo sympatyczny człowiek, nie przeczę. Nie brakuje mu odwagi, uczciwości i innych cech, którymi lubią się chwalić żony. Ale to głupiec, a co gorsza, syn zdrajcy i do tego mąż sekutnicy. Jediną ważną osobą, która nazywa go przyjacielem, jest twój ojciec, którego lata życia można policzyć na palcach jednej ręki. – Meed mówił, ale nie na tyle cicho, by inni go nie usłyszeli.

Jeden z młodych kapitanów z zaskoczenia rozdziawił usta.

Najwyraźniej pęta etykiety nie trzymały Meeda aż tak mocno, jak się wydawało.

– Czy wiesz, że pokrzyżowałem szyki Zamkniętej Radzie, która chciała uniemożliwić mi zastąpienie brata na stanowisku lorda gubernatora? Zamkniętej Radzie. Naprawdę uważasz, że zwykła córka żołnierza dokona tego, co im się nie udało? Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie bez należnego szacunku, zgniotę ciebie i twojego męża jak ładne, ambitne i nieistotne wszy, którymi jesteście. – Spokojnie wyjął lunetę z jej bezwładnej dłoni i popatrzył w stronę Osrungu, zupełnie jakby w ogóle się nie odzywał, a Finree nie istniała.

Finree wiedziała, że powinna zrewanżować się jakąś kąśliwą ripostą, ale jedyne, na co miała ochotę, to roztrzaskać pięścią lunetę Meeda i wbić mu ją w czaszkę. W sali było nieprzyjemnie jasno. Skrzypce drażniły jej uszy. Jej twarz płonęła, jakby została spoliczkowana. Mogła tylko zamrugać i pokornie się wycofać. Wydawało się jej, że przepłynęła na drugą stronę pomieszczenia, nie poruszając stopami. Dwaj oficerowie patrzyli na nią i coś między sobą szeptali. Najwyraźniej ucieszyło ich jej upokorzenie.

– Wszystko w porządku? – spytała Aliz. – Strasznie jesteś blada.

– Nic mi nie jest. – Ale tak naprawdę kipiała gniewem. Mogła się pogodzić z tym, że Meed ją obraził, zapewne na to zasłużyła. Jednak poniżenie jej męża i ojca to coś zupełnie innego. Poprzysięgła, że ten stary drań za to zapłaci.

Aliz nachyliła się bliżej.

– Co teraz robimy?

– Teraz? Siedzimy tutaj jak grzeczne dziewczynki i bijemy brawo, podczas gdy idioci układają sterty trumien.

– Aha.

– Nie martw się. Później może pozwolą ci zapłakać nad czyjąś raną, a jeśli najdzie cię taka ochota, będziesz mogła zatrzepotać rzesami, rozważając straszliwą bezsensowność tego wszystkiego.

Aliz przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

– Aha.

– Zgadza się. Aha.

Zatem tak wygląda bitwa. Beck i Reft nigdy nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, ale odkąd wojska Unii zaczęły wdzierać się na ogrodzenie, nie odezwali się ani słowem. Stali w oknie i milczeli. Beck żałował, że nie ma przy swoim boku przyjaciół. Albo że nie postarał się bardziej zaprzyjaźnić z chłopcami, z którymi połączył go los. Teraz było już za późno.

W dłoni trzymał łuk z założoną strzałą, gotowy do naciągnięcia cięciwy. Był w gotowości od niemal godziny, jednak nie pojawił się żaden cel. Mógł tylko patrzeć, pocić się, oblizywać usta i znów patrzeć. Początkowo irytował się, że nie widzi więcej, ale gdy deszcz ustał i wyszło słońce, Beck odkrył, że widzi znacznie więcej, niżby chciał.

Unioniści przedostali się przez ogrodzenie w trzech albo czterech miejscach i silną grupą wdarli do miasta. Wszędzie toczyły się walki, rozbite na pojedyncze potyczki. Nie było linii frontu, tylko tłok, chaos i szaleńczy zgiełk. Mieszanina krzyków, wycia, szczęku metalu i trzasku pękającego drewna.

Beck nie był specjalistą od takiej walki. Zresztą wątpił, aby ktokolwiek mógł nim być. Czuł jednak, że jedna ze stron zyskuje przewagę na południowym brzegu rzeki. Coraz więcej

Północnych wycofywało się przez most. Niektórzy kuśtykali albo ściskali rany, inni coś wykrzykiwali i wskazywali na południe, przepychając się przez ścianę tarcz na plac pod oknem Becka. Tutaj nic im nie groziło. Przynajmniej taką Beck miał nadzieję. Ale, prawdę mówiąc, jeszcze nigdy w życiu nie czuł się mniej bezpieczny.

– Chcę popatrzeć! – Brait szarpał Becka za koszulę, starając się wyrzeć przez okno. – Co się dzieje?

Beck nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie wiedział nawet, czy zdoła wydobyć z siebie głos. Tuż pod ich oknem jakiś ranny człowiek krztusił się i wrzeszczał. Beck miał nadzieję, że zaraz przestanie. Kręciło mu się w głowie.

Ogrodzenie w większości zostało zdobyte. Beck zobaczył wysokiego Unionistę, który stał na kładce, wskazywał ostrzem most i klepał po ramieniu kolejnych żołnierzy, którzy zeskakiwali z drabin po obu jego stronach. Przy bramie wciąż stało kilka tuzinów Carlów, stłoczonych wokół poszarpanego sztandaru, z pomalowanymi tarczami ustawionymi w półokrąg, ale byli otoczeni przez przeważające siły wroga, a z kładek z sykiem spadały na nich strzały.

Kilka większych budynków wciąż znajdowało się w rękach Północnych. Beck widział ludzi w oknach, którzy na zmianę ostrzeliwali się z łuków i robili uniki. Zabili deskami i zabarykadowali drzwi, ale Unioniści kłębili się wokół wejść jak pszczoły wokół ula. Pomimo wilgoci zdołali podłożyć ogień pod dwa najbardziej uparte punkty oporu. Brązowy dym bił w niebo i ulatywał z wiatrem na wschód, podświetlany słabym pomarańczowym blaskiem migoczących płomieni.

Jakiś Północny wybiegł z płonącego budynku, wymachując oburącz toporem. Beck nie słyszał, jak wojownik krzyczy, ale

widział, że to robi. W pieśniach zabrałby ze sobą wielu wrogów i dumnie dołączył do poległych. Dwóch Unionistów uskoczyło z drogi, a kilku innych zapędziło go pod ścianę za pomocą włóczni. Jeden ciął go w rękę i Północny upuścił topór. Podniósł drugą dłoń i znów coś krzyknął. Może się poddawał, a może ich przeklinał, lecz nie miało to większego znaczenia. Gdy wbili mu groty w pierś, osunął się na kolana. Przewrócili go na ziemię, po czym zaczęli miarowo dźgać włóczniami z góry na dół, jak chłopci kopiący na polu.

Beck wodził wokoło szeroko otwartymi, załzawionymi oczami, widząc śmierć wzdłuż całego brzegu rzeki, która płynęła niecałe sto kroków od jego okna. Najeźdźcy wywlekli kogoś siłą z jego chałupy i przygięli do ziemi. Błysnął nóż i po chwili ciało wpadło do wody i odpłynęło twarzą do dołu, a oni wrócili do środka. Poderżnęli mu gardło, podejrzewał Beck. Poderżnęli mu gardło, tak po prostu.

– Zdobyli bramę – rzekł Reft zduszonym głosem, jakby to były jego pierwsze słowa w życiu.

Jednakże Beck zobaczył, że chłopak ma rację. Zabili ostatnich obrońców i właśnie zrzucali sztaby i otwierali podwoje, a światło słońca wpadało przez kwadratowy otwór.

– Na spokój zmarłych – szepnął Beck, ale zdołał tylko westchnąć.

Setki drani zaczęły wdzierać się do Osrungu, wlewając się w dym i między rozproszone budynki, płynąc ulicą w stronę mostu. Trzy linie Północnych na jego północnym krańcu nagle wydały się żalosną barierą. Piaskową ścianą, która miała powstrzymać ocean. Beck zobaczył, że wojownicy się poruszyli. Niemal stracili ducha. Było w nich czuć przytłaczające pragnienie dołączenia do ludzi, którzy wycofywali się mostem,

przeciskając się przez mur tarcz i usiłując uciec przed rzezią na drugim brzegu.

Beck również odczuwał tę drażniącą chęć ucieczki. Pragnął działać, a ucieczka była jedynym, co przychodziło mu do głowy. Przesuwał wzrokiem po płonących budynkach na południowym brzegu rzeki. Widział płomienie bijące coraz wyżej w niebo i dym rozprzestrzeniający się nad miastem.

Zastanawiał się, co się dzieje wewnątrz domów. Żadnej drogi wyjścia. Tysiące drani z Unii wali do drzwi, tłucze w ściany, strzela do środka. Niskie izby wypełniają się dymem. Ranni bez nadziei na litość. Liczący ostatnie strzały. Liczący martwych przyjaciół. Żadnej drogi wyjścia. Kiedyś na samą myśl o tym w Becku zagotowałyby się krew. Teraz jednak czuł tylko chłód. To nie są fortece wybudowane w celu obrony drugiego brzegu rzeki. To zwykle drewniane chatki.

Takie same jak ta, w której on się znajduje.

Piekielne urzadzenia

Wasza Kr6lewska Mo6c!

Mamy poranek drugiego dnia bitwy, a P6lnocni zajmuj silne pozycje na p6lnocnym brzegu rzeki. Kontroluj Stary Most, Osrung i Bohater6w. Zajli wszystkie przeprawy i zachcaj nas, by6my spr6bowali je odbi6. Teren nalezy do nich, ale oddali inicjatyw lordowi marsza6kowi Kroyowi, a on z pewno6ci nie bdzie zwleka6 z atakiem, skoro wszystkie wojska juzy dotar6y na pole bitwy.

Na wschodnim skrzydle lord gubernator Meed poprowadzi6 potznan armi do natarcia na miasto Osrung. Ja znajduj si na zachodzie, gdzie obserwuj atak genera6a Mittericka na Stary Most.

Tego ranka, gdy pierwsze 6wiat6o pojawi6o si na niebie, genera6 wyg6osi6 porywajc przemow. Gdy spyta6, kto zg6osi si na ochotnika do poprowadzenia szarzy, wszyscy bez wahania podnie6li d6onie. Wasza Kr6lewska Mo6c by6by dumny z odwagi, honoru i po6wicenia swoich zo6nierzy. Zaiste, kaady z nich jest bohaterem.

*Wierny i pokorny s6uga Waszej Kr6lewskiej Mo6ci,
Bremer dan Gorst,
kr6lewski obserwator Wojny P6lnocnej*

Gorst podpisa6 list, z66y6y go i poda6 M66dszemu, kt6ry

zapieczętował wiadomość za pomocą kulki czerwonego wosku i wsunął do skórzanej saszetki ozdobionej kunsztownym złocnym wizerunkiem słońca Unii.

– Poślę go na południe w ciągu godziny – rzekł służący, zbierając się do odejścia.

– Znakomicie – odparł Gorst.

Czyżby? To naprawdę takie ważne, czy list zostanie wysłany wcześniej, czy później albo czy Młodszy rzuci go do latryny razem z resztą obozowych nieczystości? To takie ważne, czy król przeczyta moje pompatyczne frazesy dotyczące pompatycznych frazesów, które wygłosił generał Mitterick, gdy pierwsze światło pojawiło się na niebie? Kiedy ostatnio dostałem jakąś odpowiedź? Miesiąc temu? Dwa? Czy krótka wiadomość to tak wiele? Dziękuję za patriotyczny bełkot. Mam nadzieję, że dobrze pan sobie radzi na haniebnym wygnaniu?

Bezwiednie zaczął drapać strupy na wierzchu prawej dłoni, sprawdzając, czy poczuje ból. Skrzywił się, gdy zaboląły bardziej niż się spodziewał. Cienka granica. Był pokryty otarciami i skaleczeniami, których pochodzenia nie pamiętał, jednak najdotkliwiej odczuwał brak krótkiego ostrza od Calveza, które upuścił do wody gdzieś na płycznach. Był to jeden z nielicznych reliktyw czasów, gdy dowodził królewską strażą przyboczną, zamiast wypisywać godne pogardy bujdy.

Jestem jak porzucona kochanka, zbyt tchórzliwa, by pójść własną drogą, rozpaczliwie trzymająca się ostatnich niewyraźnych wspomnień o łajdaku, który ją zostawił. Tylko jestem smutniejszy, brzydszy i mam wyższy głos. No i zabijam ludzi dla przyjemności.

Wyszedł spod ociekającego płóciennego dachu przed swoim namiotem. Deszcz zelżał do pojedynczych kropel, a w całunie

chmur zakrywającym dolinę powstała dziura błękitnego nieba. Przyjemny dotyk słońca na twarzy powinien rozniecić w Gorście chociaż niewielką iskrę optymizmu, jednak pułkownik czuł tylko nieznośny ciężar swojej hańby. Idiotyczne obowiązki nadciągały ku niemu w przytłaczającej procesji.

Pobiegać. Poćwiczyć. Wysrać gówno. Napisać list. Zjeść. Obserwować. Napisać gówno. Wysrać list. Zjeść. Położyć się. Udawać, że się śpi, a tak naprawdę leżeć przez całą noc, próbując zwalić konia. Wstać. Pobiegać. List...

Mitterick przeprowadził już jedną nieudaną próbę zdobycia mostu: zuchwały, pochopny atak dziesiątego regimentu piechoty, który niepokojony przedostał się na drugą stronę przy wtórze okrzyków zwycięstwa. Gdy żołnierze ustawiali się na drugim brzegu, Północni zasypali ich gradem strzał, po czym wyskoczyli z okopów ukrytych w jęczmieniu i zaszarżowali z mrozującym krew w żyłach wyciem. Ktokolwiek nimi dowodził, znał się na rzeczy. Unioniści dzielnie walczyli, ale zostali otoczeni z trzech stron i zepchnięci do rzeki, gdzie bezradnie miotali się w wodzie, oraz cofnięci na most, gdzie w piekielnym chaosie wpadali na żołnierzy, którzy wciąż bezmyślnie parli na drugą stronę.

Wtedy zza krzewów na południowym brzegu wychylił się potężny szereg kuszników Mittericka i oddał w stronę Północnych wściekłą salwę, zmuszając ich do chaotycznego odwrotu do okopów i pozostawienia zabitych na zdeptanym polu. Jednakże dziesiąty regiment był zbyt pokiereszowany, żeby to wykorzystać. Strzelcy po obu stronach rzeki skupili się na niemrawej wymianie pocisków, podczas gdy Mitterick i jego oficerowie przygotowywali kolejną szarżę. I zapewne kolejną porcję trumien.

Gorst obserwował wirujące chmary komarów nad brzegiem i trupy unoszące się na wodzie. Odwaga. Obracały się, spływając z nurtem. Honor. Twarzami do góry i do dołu. Poświęcenie żołnierzy. Jeden z bohaterów Unii zatrzymał się w sitowiu, przez chwilę unosząc się na boku. Jeden z Północnych podpłynął do niego i delikatnie się z nim zderzył. Razem odbili od brzegu, ruszając w dalszą drogę przez plamę żółtej piany, złączeni w niezdarnym uścisku.

Ach, młodzi zakochani. Może i mnie ktoś przytuli po śmierci. Jak dotąd nieczęsto się to zdarzało.

Gorst musiał się powstrzymać, aby nie parsknąć śmiechem, który byłby wybitnie nie na miejscu.

– Toż to pułkownik Gorst! – Pierwszy z Magów podszedł do niego z laską w jednej dłoni i filiżanką herbaty w drugiej. Popatrzył na rzekę i spławiane nią towary, wciągnął powietrze nosem, po czym odetchnął z satysfakcją. – Cóż, nie sposób powiedzieć, że się nie starają. Sukces to piękna rzecz, ale jest coś podniosłego w chwalebnej porażce, czyż nie?

Nie sądzę, a akurat ja powinienem co nieco o tym wiedzieć.

– Lordzie Bayazie. – Kędzierzawy służący maga rozłożył krzeselko, strzepnął z płóciennego siedziska nieistniejącą drobinę kurzu, po czym nisko się uklonił.

Bayaz bezceremonialnie rzucił na trawę swoją laskę i usiadł z zamkniętymi oczami, zwracając uśmiechniętą twarz ku coraz mocniejszemu słońcu.

– Wojna to cudowna sprawa. Oczywiście, gdy toczy się ją we właściwy sposób i z właściwych powodów. Pozwala oddzielić ziarna od plew. Oczyścić sytuację. – Nieprawdopodobnie głośno pstryknął palcami. – Bez wojen społeczeństwa stają się miękkie. Rozlazłe. Jak człowiek, który żywi się tylko ciastem. –

Z uśmiechem uderzył Gorsta pięścią w ramię, po czym potrząsnął bezwładnymi palcami, udając ból. – Auć! Założę się, że pan nie jada tylko ciast, prawda?

– Prawda.

Bayaz prawie nie słuchał, jak niemal każdy, z kim kiedykolwiek rozmawiał Gorst.

– Rzeczy nie zmieniają się tylko dlatego, że o to poprosimy. Trzeba mocno nimi potrząsnąć. Ten, kto powiedział, że wojna niczego nie zmienia... no cóż, najwyraźniej nie walczył w zbyt wielu wojnach. Ale cieszę się, że deszcz ustępuje. Przeszkadzał w moim eksperymencie.

Serce eksperymentu stanowiły trzy olbrzymie rury z szaroczar-nego metalu ustawione na potężnych drewnianych ramach, pozatykane z jednego końca, a wierzchołkami skierowane w stronę Bohaterów na drugim brzegu rzeki. Ustawiono je z niezwykłą dokładnością i wysiłkiem na wypukłym terenie sto kroków od namiotu Gorsta. Nieustający hałas wywoływany przez ludzi, konie i sprzęt nie dałby mu spać przez całą noc, gdyby i tak nie był na wpół rozbudzony. Jak zawsze zagubiony w dymie Domu Uciech Cardottiego, rozpaczliwie szukał króla. Dostrzegął zamaskowaną twarz w ciemności na schodach. Stał przed Zamkniętą Radą, która pozbawiała go stanowiska, a świat ponownie wywracał się do góry nogami. Tulił się do Finree, trzymał ją w objęciach. Trzymał dym w płucach. Kaszlał w zadymionych krętych korytarzach Domu Uciech...

– Żałosne, prawda? – spytał Bayaz.

Przez chwilę Gorst zastanawiał się, czy mag czyta mu w myślach. Owszem, kurewsko żałosne.

– Słucham?

Bayaz rozłożył ręce, wskazując krzątających się ludzi.

– Wszystkie działania człowieka wciąż zależą od kaprysów niebios. A zwłaszcza wojna. – Ponownie upił łyk ze swojej filizanki, skrzywił się i wylał fusy na trawę. – Dopiero kiedy nauczymy się zabijać ludzi o każdej porze dnia i roku oraz przy każdej pogodzie, będziemy mogli o sobie powiedzieć, że jesteśmy cywilizowani. – Zachichotał pod nosem.

Dwaj starzy adepci z Uniwersytetu Aduańskiego zbliżyli się pokornie niczym kapłani, którym zezwolono na osobistą audiencję u Boga. Jeden z nich, niejaki Denka, był blady jak upiór i dygotał. Drugi, Saurizin, miał pomarszczone czoło pokryte lśniąca warstwą potu, którego nie nadażał ocierać.

– Lordzie Bayazie. – Usiłował jednocześnie uśmiechnąć i ukłonić się, ale żadna z tych rzeczy nie wychodziła mu przekonująco. – Myślę, że pogoda poprawiła się na tyle, że możemy przetestować urządzenia.

– Nareszcie – odburknął mag. – Więc na co czekacie? Na Zimowy Festiwal?

Dwaj mężczyźni pośpiesznie się oddalili. Saurizin wściekle powarkiwiał na swojego kolegę. Po chwili wdali się w niegrzeczną dyskusję z tuzinem ubranych w fartuchy inżynierów na temat najbliższej rury, wymachując przy tym rękami, wskazując na niebo i wspominając o jakichś mosiężnych instrumentach. W końcu jeden z mężczyzn wziął do ręki długą pochodnię, na której końcu pełzały płomienie. Adepci i ich podwładni szybko się odsunęli, kucając za skrzyniami oraz beczkami i zasłaniając uszy. Człowiek z pochodnią zbliżył się z entuzjazmem skazańca idącego na szubienicę, po czym dotknął pochodnią do czubka rury. W powietrze wzleciało kilka iskier oraz smużka dymu i rozległ się cichy trzask oraz

skwierczenie.

Gorst zmarszczył brwi.

– Co się...

Rozległa się gigantyczna eksplozja i pułkownik padł na ziemię, zakrywając dłońmi głowę. Nie słyszał takiego huku od czasu obłężenia Aduy, gdy Gurkowie podpalili kopalnię i obrócili w żwir ściany o długości kilkuset kroków. Przerażeni strażnicy wyglądali zza swoich tarcz. Wyczerpani robotnicy wstawali od ognisk z szeroko otwartymi ustami. Inni z trudem utrzymywali na wodzy wystraszone konie, z których dwa wyrwały dyszel i pogalopowały w dal przy wtórze głośnego turkotu.

Gorst wstał, powoli i nieufnie. Delikatna smuga dymu wydobywała się z jednej z rur, wokół której krążył tłum inżynierów. Denka i Saurizin wściekle się o coś spierali. Gorst nie miał pojęcia, jaki był skutek użycia urządzenia, nie licząc hałasu.

– No. – Bayaz zaczął wiercić palcem w uchu. – Na pewno są wystarczająco głośne.

Niewyraźny huk odbił się echem w dolinie. Przypominał grzmot, chociaż Gnat miał wrażenie, że się przejaśnia.

– Słyszałeś? – spytał Rozciętopoty.

Gnat tylko wzruszył ramionami. Niebo wciąż było zachmurzone, chociaż pojawiło się kilka błękitnych prześwitów.

– Może znów będzie padać.

Dow miał inne sprawy na głowie.

– Jak sobie radzimy na Starym Moście?

– Ruszyli o świcie, ale Szalka ich zatrzymał – odrzekł

Rozcięstopy. – Przepędził z powrotem na drugi brzeg.

– Niedługo znów przyjdą.

– Niewątpliwie. Myślisz, że się utrzyma?

– Jeśli nie, będziemy mieli problem.

– Połowa jego ludzi jest z Calderem po przeciwnej stronie doliny.

Dow parsknął.

– Właśnie takiego człowieka mi trzeba za plecami, gdy walczę o życie.

Rozcięstopy i kilku innych zachichotali.

Gnat uważał, że w życiu należy stosować się do zasad, a jedną z nich jest niewyśmiewanie nieobecnych przyjaciół, nawet jeśli na to zasługują.

– Ten chłopak może was zaskoczyć.

Rozcięstopy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zapomniałem, że wiele was łączyło.

– Praktycznie go wychowałem – odparł Gnat, podchodząc do wojownika i patrząc na niego stanowczo.

– To wiele wyjaśnia.

– Co masz na myśli?

Dow zagłuszył ich sprzeczkę. W jego głosie było słycać nerwowość.

– Kiedy zapadnie noc, będziecie mogli dalej się zabawiać, myśląc o Calderze, ale jeśli nie zauważyliście, teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Co z Osrungiem?

Rozcięstopy ostatni raz zmierzył Gnata wzrokiem, po czym odwrócił się w stronę swojego wodza.

– Unioniści przedostali się przez ogrodzenie i walczą na południu miasta. Ale Reachey ich zatrzyma.

– Lepiej, żeby to zrobił – mruknął Dow. – A na środku? Przekroczyli płycizny?

– Wciąż tam maszerują w kółko, ale nie...

Głowa Rozciętostopego zniknęła, a Gnatowi coś wpadło do oka.

Po chwili rozległ się trzask, a potem Gnat słyszał już tylko długi, przenikliwy pisk.

Coś mocno uderzyło go w plecy i upadł, a następnie przetoczył się, niezdarnie wstał i zgiął wpół jak pijak. Grunt kołysał mu się pod stopami.

Dow chwycił topór i zaczął nim wymachiwać, coś przy tym wykrzykując, ale Gnat go nie słyszał. W uszach rozbrzmiewało mu tylko wściekle brzęczenie. Wszędzie unosiły się duszące obłoki kurzu przypominające mgłę.

Niemal potknął się o bezgłowe ciało Rozciętostopego broczące krwią. Rozpoznał je po kolczudze. Brakowało mu także ręki. Rozciętostopemu, nie Gnatowi. On miał obie. Sprawdził. Tylko dłonie miał pokryte krwią, nie wiadomo czyją.

Może powinien dobyć miecza. Spróbował chwycić rękojeść, ale nie potrafił wyczuć odległości. Dookoła biegali ludzie, cienie w mroku.

Gnat potarł uszy. Nadal słyszał tylko pisk.

Na ziemi siedział jeden z Carlów i bezgłośnie wrzeszczał, szarpiąc zakrwawioną kolczugę. Coś z niej sterczało. Zbyt grube jak na strzałę. Odprysk kamienia.

Czyżby ich zaatakowano? Ale skąd? Pył opadał. Ludzie kłębili się wkoło, wpadali na siebie, przyklękali obok rannych, wskazywali palcami we wszystkie strony, kulili się na ziemi.

Górna połowa jednego z Bohaterów zniknęła, pozostawiając nierówną i lśniącą postrzępioną krawędź. Wokół podstawy

głazu leżeli zabici. Więcej niż zabici. Porozrywani. Powyginani i poskręcani. Porozpruwani i wypatroszeni. Gnat nigdy czegoś takiego nie widział. Nawet po tym, jak Krwawy-dziewięć wykonał czarną robotę na Wysokich Szczytach.

Pomiędzy ciałami i kawałkami kamienia siedział zbryzgany krwią chłopiec. Mrugając, wpatrywał się w obnażony miecz, który trzymał na kolanach. W nieruchomej dłoni miał osełkę. Nie wiadomo, w jaki sposób ocalał, jeśli rzeczywiście tak się stało.

Przed oczami Gnata pojawiła się twarz Whirruna. Wojownik poruszał ustami, jakby coś mówił, ale Curnden słyszał tylko skwierczenie.

– Co takiego? Co? – Nie słyszał nawet własnych słów.

Whirrun dotknął kciukiem jego policzka. Zabolało. Bardzo. Gnat dotknął swojej twarzy i zobaczył krew na palcach. Cóż, jego dłonie i tak były zakrwawione. Tak jak wszystko.

Spróbował odepchnąć Whirruna, ale potknął się o coś i ciężko usiadł na trawie.

Chyba najlepiej zrobi, jeśli przez chwilę nie będzie się ruszał.

– Trafiony! – Saurizin zachichotał, wznosząc pod niebo tajemniczy przyrząd złożony z mosiężnych śrub, prętów i soczewek, jak podstarzały wojownik triumfalnie potrząsający mieczem.

– Prosto w cel za drugim strzałem, lordzie Bayazie! – Denka nie potrafił ukryć zachwyty. – Jeden z kamieni na wzgórzu został zniszczony!

Pierwszy z Magów uniósł brew.

– Czyżby niszczenie głazów było celem tego ćwiczenia?

– Jestem pewien, że Północni na szczycie doznali poważnych strat i są w szoku!

– Poważne straty i szok! – powtórzył Saurizin.

– Tak należy traktować wrogów – odparł Bayaz. – Kontynuujcie.

Dwaj starzy Adepci spochmurnieli. Denka oblizał usta.

– Mądrze byłoby najpierw sprawdzić, czy urządzenia nie zostały uszkodzone. Nikt nie wie, jakie mogą być skutki częstych wystrzałów...

– Zatem sprawdźmy to – odparł Bayaz. – Kontynuujcie.

Dwaj starcy wyraźnie bali się spróbować.

Ale znacznie bardziej obawiają się Pierwszego z Magów.

Niechętnie powlekli się w stronę rur i zaczęli poniżać bezbronnych inżynierów, tak jak sami zostali poniżeni.

A inżynierowie z pewnością wyładują frustrację na robotnikach, ci zaś wychłoszczą muły, które skopią psy, które będą łapały zębami osy, a przy odrobinie szczęścia jedna z os użądli Bayaza w grube dupsko, dzięki czemu szlachetne koło życia wykona kolejny obrót...

Na zachodzie kolejny oddział wycofywał się po nieudanej próbie zdobycia Starego Mostu. Tym razem Unioniści lekkomyślnie postanowili przeprowić się przez rzekę na tratwach. Dwie z nich rozpadły się wkrótce po odbiciu od brzegu, a znajdujący się na nich ludzie ugrzęźli na płycznach albo utonęli w głębokiej wodzie, wciągnięci pod powierzchnię przez ciężkie zbroje. Pozostałe tratwy porwał wesoły nurt, a żołnierze bezsensownie miotali się po pokładach, wymachując wiosłami albo rękami, zasypywani gradem strzał.

– Tratwy – mruknął Bayaz, unosząc podbródek i bezwiednie drapiąc krótką brodę.

– Tratwy – mruknął Gorst, patrząc, jak jeden z oficerów na rzece wściekle wywija ostrzem w stronę przeciwległego brzegu, który był dla niego równie nieosiągalny jak księżyc.

Rozległ się kolejny huk, a zaraz po nim chór westchnień, sapnięć i okrzyków zachwytu ze strony coraz liczniejszej grupy gapiów, którzy ustawili się na szczycie wzniesienia, tworząc półksiężyc. Tym razem Gorst tylko lekko drgnął. To niesamowite, jak szybko to, co nieznośne, staje się banalne. Z najbliższej rury wydobył się kłęb dymu, powoli dołączając do cuchnącego całunu, który wisiał nad terenem eksperymentu.

Ponownie zabrzmiał dziwaczny grzmot, a na południu na drugim brzegu rzeki w niebo wzbił się dym.

– Co oni knują, do diabła? – mruknął Calder. Nawet ze szczytu muru niczego nie widział.

Czekał tam przez cały ranek. Chodził tam i z powrotem, najpierw moknąc, a potem schnąc, gdy deszcz ustał. Czekał, a każda minuta dłużyła się jak wiek. Jego myśli rzucały się jak jaszczurka w słoiku. Spoglądał na południe, ale niczego nie widział, jedynie słyszał odgłosy walki niosące się nad polami. Nadciągały falami, czasami wydawały się odległe, a czasami niepokojąco bliskie. Jednakże nikt nie wzywał pomocy. Przyniesiono tylko kilku rannych, dodatkowo osłabiając nadszarpnięte nerwy Caldera.

– Mamy wieści – odezwał się Błady-jak-Śnieg.

Calder wyciągnął szyję, osłaniając oczy. Białoooki Hansul pędził konno od strony Starego Mostu. Jego pomarszczoną twarz przecinał uśmiech, co dało Calderowi cień nadziei. W tej chwili dalsze odwleczenie walki wydawało się niemal równie dobre

jak całkowita rezygnacja.

Postawił stopę na szczycie bramy, przyjmując jak najbardziej męską pozę, starając się, by jego głos zabrzmiał chłodno, pomimo ognia trawiącego mu serce.

– Szalka wpakował się w tarapaty, co?

– Na razie to Południowcy się w nie wpakowali, głupi dranie.

– Białooki zdjął hełm i otarł czoło rękawem. – Szalka dwukrotnie odparł ich ataki. Za pierwszym razem przeszli spacerkiem przez most, jakbyśmy oddali im go bez walki. Twój brat szybko przekonał ich, że tak nie jest. – Hansul zachichotał pod nosem, a Biały-jak-Śnieg do niego dołączył. Calder także poszedł w ich ślady, chociaż był to kwaśny śmiech. Jak wszystko tego dnia.

– Potem spróbowali przeprawić się tratwami. – Białooki odwrócił głowę i splunął w jęczmień. – Mogliśmy im powiedzieć, że nurt jest za silny.

– Dobrze, że was nie pytali – odrzekł Błady-jak-Śnieg.

– Zgadza się. Myślę, że możecie spokojnie zrzucić buty i nieco odpocząć. Jak tak dalej pójdzie, powstrzymamy ich przez cały dzień.

– Do nocy jeszcze daleko – mruknął Calder.

Nagle zobaczył jakiś błysk. W pierwszej chwili pomyślał, że to ptak przemykający w jęczmieniu, ale to coś było zbyt szybkie i duże. Odbiło się od pola, wyrzucając w powietrze kłosa i pył, pozostawiając długi ślad na zbożu. Dwieście kroków na wschód na trawiastym podnóżu Bohaterów uderzyło w Mur Claila.

Wirujące kawałki popękanych kamieni wzleciały wysoko w niebo, po czym na ziemię opadła potężna chmura pyłu i szczątków. Kawałki namiotów. Kawałki sprzętu. Kawałki ludzi. Calder nagle zdał sobie sprawę, że za murem obozowali żołnierze.

– Na... – odezwał się Hansul, wpatrując się w lecące resztki.

Rozległ się dźwięk przypominający strzał z bicza, tylko tysiąckrotnie głośniejszy. Koń Białookiego stanął dęba i wojownik zsunął się z grzbietu, po czym wymachując rękami runął w jęczmień. Wszędzie dookoła ludzie rozglądali się i krzyczeli, dobywali broni lub rzucali się na ziemię.

To ostatnie wyglądało na dobry pomysł.

– Zaraza! – syknął Calder, po czym zgramolił się z bramy i wskoczył do rowu. Pragnienie, żeby wyglądać męsko, ustąpiło miejsca chęci przeżycia. Wokół nich grzechotały kamienie i spadająca ziemia, odbijając się od zbroi i podskakując na szlaku niczym grad, który byłby zaskakujący o tej porze roku.

– Dobra wiadomość jest taka – odezwał się Błady-jak-Śnieg, ani trochę nieporuszony – że to fragment muru, przy którym siedział Dziesięć Sposobów.

Służący Bayaza opuścił lunetę z lekkim grymasem niezadowolenia na twarzy.

– Nie są zbyt celne – rzekł.

Potężne niedomówienie. Z urządzeń oddano około dwóch tuzinów strzałów, a pociski, którymi były duże kule z metalu albo kamienia, trafiły w zbocze wzgórza, w pola po jego obu stronach, w sad położony u jego podnóża, przeleciały ponad wzgórzem, a jeden wpadł prosto do rzeki, wzbijając ogromną fontannę.

Wydać tyle pieniędzy tylko po to, żebyśmy mogli wykopać kilka dziur w krajobrazie Północy? Ile szpitali moglibyśmy za to zbudować? Ile przytułków dla ubogich? Moglibyśmy sfinansować tyle godniejszych celów. Pogrzeby dla dzieci

z biednych rodzin? Gorst chciał wzbudzić w sobie troskę, ale mu nie wychodziło. Zapewne moglibyśmy zapłacić Północnym, żeby sami zabili Czarnego Dowa i wrócili do domu. Ale wtedy czym bym wypełniał tę przekłętą pustynię pomiędzy wstawaniem z łóżka a...

Zobaczył pomarańczowy błysk i kątem oka dostrzegł, że coś wyleciało w powietrze. Wydawało mu się, że służący Bayaza uderzył pięścią w pustkę obok swojego mistrza, a jego ręka dziwnie się rozmasała. Po chwili w czaszce Gorsta rozbrzmiało dzwonienie spowodowane przez jeszcze potężniejszą eksplozję oraz dźwięk przypominający bicie wielkiego dzwonu. Podmuch potargał mu włosy i wytrącił go z równowagi. Służący trzymał w dłoni poszarpany kawałek zakrzywionego metalu wielkości talerza. Rzucił go na trawę. Z przedmiotu unosił się dym.

Bayaz uniósł brew.

– Awaria.

Służący starł czarny brud z palców.

– Ścieżka postępu zawsze jest kręta.

Kawałki metalu zostały rozrzucone we wszystkie strony. Jeden z większych trafił w grupę robotników, zabijając kilku, a resztę obryzgując krwią. Inne wyrwały niewielkie luki w oszołomionej publiczności albo poprzewracały strażników jak kręgle. Olbrzymi obłok dymu unosił się z miejsca, w którym stała jedna z rur. Wyłonił się z niego inżynier pokryty krwią i brudem. Płonęły mu włosy i szedł niepewnie po skosie. Nie miał rąk i wkrótce się przewrócił.

– Zawsze jest kręta – powtórzył Bayaz, z niezadowoleniem opadając na swoje składane krzesło.

Niektórzy siedzieli nieruchomo i mrugali. Inni wrzeszczeli. Kolejni próbowali pomagać licznym rannym. Gorst zastanawiał

się, czy powinien zrobić to samo. Ale do czego mógłbym się przydać? Podnieść morale za pomocą kilku żartów? Słyszeliście ten o idiocie z głupim głosem, któremu zrujnowano życie w Sipani?

Denka i Saurizin szli w ich stronę, a ich czarne szaty były usmarowane sadzą.

– A oto skruszeni winowajcy – mruknął służący Bayaza. – Jeśli pan pozwoli, zajmę się naszymi sprawami na drugim brzegu rzeki. Mam wrażenie, że uczniowie Proroka tam nie próżnują.

– Zatem my także nie powinniśmy. – Mag odprawił służącego niedbałym ruchem dłoni. – Są ważniejsze sprawy niż nalewanie mi herbaty.

– Choć są one nieliczne. – Służący uśmiechnął się niewyraźnie, zbierając się do odejścia. – Zaprawdę, jak głoszą kantyckie pisma, prawi nie zaznają spoczynku...

– Lordzie Bayazie, eee... – Denka popatrzył na Saurizina, który wykonał rozpaczliwy gest, nakazując towarzyszowi mówić dalej. – Z przykrością muszę poinformować, że... jedno z urządzeń wybuchło.

Mag przez chwilę nie odpowiadał. Gdzieś poza zasięgiem ich wzroku jakaś kobieta piszczała jak czajnik z wrzącą wodą.

– Myśleliście, że tego nie zauważyłem?

– Drugie wyskoczyło z rusztowania podczas ostatniego strzału, więc obawiam się, że zajmie nam trochę czasu, zanim znów je ustawimy.

– Na trzecim – potulnie ciągnął Denka – pojawiło się małe pęknięcie, którym należy się zająć. – Wolałbym... – zmarszczył twarz, jakby się bał, że ktoś wbije w nią ostrze – ...nie ryzykować ponownego ładowania.

– Wolałby pan? – Niezadowolenie Bayaza było jak potężny ciężar. Nawet Gorst poczuł przemożną chęć, by uklęknąć.

– Przyczyną był niedokładny odlew – wykrztusił Saurizin, posyłając jadowite spojrzenie swojemu koledze.

– Moje stopy metali są idealne – jęknął Denka. – To w błędnym mieszanii wybuchowych prochów należy upatrywać...

– Winy? – Głos maga był niemal równie groźny jak eksplozja. – Uwierzcie mi, panowie, że tej nigdy nie brakuje po bitwie. Nawet pośród zwycięzców. – Dwaj starcy niemal się płaszcyli. Nagle Bayaz machnął ręką i zagrożenie zniknęło. – Ale takie rzeczy się zdarzają. Ogólnie rzecz biorąc, był to... bardzo ciekawy pokaz.

– Ależ, lordzie Bayazie, jest pan dla nas zbyt łaskawy...

Służalce mamrotanie stopniowo ucichło, gdy Gorst ruszył w stronę miejsca, w którym jeszcze przed kilkoma chwilami stał strażnik. Teraz mężczyzna leżał w wysokiej trawie z szeroko rozłożonymi rękami, a poszarpany kawałek zakrzywionego metalu tkwił mu w hełmie. Przez poskręcaną przyłbicę wciąż było widać jedno oko, które wpatrywało się w niebo z bezgranicznym zaskoczeniem.

Zaiste, każdy z nich jest bohaterem.

Obok leżała tarcza strażnika, a namalowane na niej złote słońce lśniło w promieniach swojego odpowiednika wyglądającego zza chmur. Gorst podniósł tarczę, wsunął lewą rękę w paski, po czym ruszył wzdłuż rzeki ku Staremu Mostowi. Gdy mijał Bayaza, mag siedział na składanym krześle ze skrzyżowanymi nogami, a jego laska leżała zapomniana w mokrej trawie.

– Jak je nazwiemy? Wytwarzają ogień, więc może...

zapalniczki? Nie, to głupie. Rury śmierci? Nazwy są bardzo ważne, ale ja nigdy nie miałem do nich głowy. Macie jakieś inne pomysły?

– Podobają mi się rury śmierci... – wymamrotał Denka.

Bayaz go nie słuchał.

– Podejrzewam, że we właściwym czasie ktoś wymyśli jakąś odpowiednią nazwę. Coś prostego. Mam wrażenie, że wkrótce zobaczymy znacznie więcej takich urządzeń...

Rzeczowa debata

Beck miał wrażenie, że wszystko się sypie.

Unia ustawiła dwa rzędy kuszników na południowym brzegu rzeki. Przykucnęli za ogrodzeniem, ładując swoją podstępą niewielką broń. Od czasu do czasu wychylali się i z trzaskiem posyłali grad bełtów na północny kraniec mostu. Carlowie kulili się za najeżoną strzałami ścianą tarcz, a za nimi kryli się zbici w ciasną grupkę Niewolnicy, których włócznie sterczały pod przypadkowymi kątami. Dwaj wojownicy zostali przeszyty bełtami i teraz głośno jęczeli, gdy wleczono ich na tył oddziału, co dodatkowo podkopywało odwagę pozostałych. A także odwagę Becka. Przynajmniej to, co z niej pozostało.

Niemal wypowiadał te słowa z każdym oddechem. Uciekajmy. Wielu innych to robiło. Dorośli ludzie, Imienni, czmychali przed walką na drugim brzegu rzeki. Po co, u diabła, Beck i reszta mają tutaj zostać? Dlaczego ma ich obchodzić, czy Caul Reachey zdobędzie jakieś miasto, a Czarny Dow zachowa łańcuch władzy Bethoda?

Na południowym brzegu walka dobiegła końca. Unioniści włamali się do ostatnich domów i wyrznęli albo spalili obrońców. Dym pożarów wciąż unosił się nad wodą. Teraz przygotowywali się do szturm na most, formując klin po drugiej stronie rzeki. Beck jeszcze nigdy nie widział tak ciężko opancerzonych żołnierzy, od stóp do głów pokrytych metalem, tak że wydawało się, że nie są ludźmi, tylko zostali wykuci. Pomyślał o kiepskim uzbrojeniu swojej żalosnej drużyny.

O tępych nożach i powykrzywianych włóczniach. Równie dobrze mogliby spróbować powalić byka za pomocą szpilki.

Kolejna chmura niewielkich strzał nadleciała z sykiem znad rzeki i jeden z potężnych Niewolników podskoczył z szalonym wrzaskiem, odepchnął ludzi blokujących mu drogę, po czym spadł z mostu do rzeki. W ścianie tarcz powstała luka, a tylny rząd żołnierzy się rozproszył. Nikt nie chciał beczynnie czekać na przeszycie strzałą, a tym bardziej stanąć do walki z tymi opancerzonymi draniami. Może Czarny Dow lubi zapach płonących tchórzy, ale Czarny Dow jest daleko, natomiast Unia podeszła zatrważająco blisko. Beck widział, jak z wojowników ulatnia się odwaga, jak powoli się wycofują, rozłączając tarcze i bezładnie kołyszac włóczniami.

Imienny, który stał na czele ściany tarcz, odwrócił się, by coś wykrzyknąć, wymachując toporem, ale nagle padł na kolana i sięgnął ręką za plecy, po czym runął na twarz z bełtem sterczącym z eleganckiej peleryny. Potem ktoś na drugim krańcu mostu przeciągle krzyknął i Unia ruszyła. Góra wypolerowanego metalu parła naprzód jak wściekłe zwierzę. To nie była dzika szarża tłumu Carlów, ale miarowy, celowy trucht. Ściana tarcz rozpadła się, zanim spadł na nią choćby jeden cios, i wojownicy rzucili się do ucieczki. Kolejna salwa powaliła co najmniej tuzin z nich, a reszta rozproszyła się po placu jak szpaki, które Beck niegdyś płoszył klaskaniem.

Beck patrzył na mężczyznę, który pełził po bruku przebity trzema bełtami. Spoglądał na niego szeroko otwartymi oczami, a oddech świstał mu w gardle. Jakie to uczucie, kiedy przeszywa cię strzała? Wbija się głęboko w twoje ciało. W twoją szyję. W pierś. W jaja. Albo ostrze? Ostry metal i takie miękkie ciało. Jakie to uczucie, gdy ktoś odcina ci nogę? Jak bardzo to może

boleć? Tak często śnił o bitwach, ale jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Uciekajmy. Odwrócił się w stronę Refta, żeby to powiedzieć, ale zobaczył, że jego kompan właśnie wypuszcza strzałę, po czym przeklina i sięga po kolejną. Beck powinien robić to samo, zgodnie z poleceniem Mokrego, ale miał wrażenie, że jego łuk waży tonę, a on nie ma dość sił, by go utrzymać. Na spokój zmarłych, ogarnęły go mdłości. Musieli uciekać, był jednak zbyt wystraszony, żeby to powiedzieć. Zbyt wystraszony, żeby pokazać się chłopcom na dole w takim stanie: zasrany, wrzeszczący i rozdygotany. Mógł tylko stać z łukiem wystawionym za okno, ale bez naciągniętej cięciwy, jak dzieciak, który wyjął fiuta, żeby się wysikać, ale odkrył, że nie jest w stanie tego zrobić, gdy ktoś na niego patrzy.

Ponownie usłyszał brzęk cięciwy Refta. Chłopak zawołał: „Idę na dół!”, po czym wyciągnął z pochwy długi nóż, drugą ręką chwycił toporek i ruszył w stronę schodów. Beck patrzył na niego z otwartymi ustami, ale nie wiedział, co powiedzieć. Bał się zostać sam na górze, ale również bał się zejść na parter.

Zmusił się do wyjrzenia przez okno. Unioniści wlewali się na plac. Przodem biegli żołnierze w ciężkich pancerzach, a za nimi kolejni zbrojni. Tuziny. Setki. Strzały leciały ze świstem w ich kierunku z okien budynków. Wszędzie leżały trupy. Z dachu młyna spadł kamień, który wgniół hełm jednego z atakujących i przewrócił go na ziemię. Jednak żołnierze byli wszędzie, biegali ulicami, walili do drzwi, zarzynali rannych, którzy usiłowali uciekać. Jeden z oficerów Unii stał w pobliżu mostu, wymachując ostrzem w kierunku budynków, ubrany w elegancki mundur wyszywany złotą nicią, taki sam, jaki miał więzień pojmany przez Dreszcza. Beck uniósł łuk, wycelował,

wreszcie naciągnął cięciwę.

Nie potrafił tego zrobić. W uszach słyszał szalony zgiełk, nie mógł zebrać myśli. Zaczął dygotać tak mocno, że niemal nic nie widział. W końcu zamknął oczy i strzelił na oślep. To była jedyna strzała, którą wypuścił. Było za późno na ucieczkę. Żołnierze otaczali dom. Znalazł się w potrzasku. Przegapił swoją szansę, a teraz Unioniści byli wszędzie. Drzazgi obsypały mu twarz i zatoczył się do tyłu w głąb poddasza, po czym poślizgnął się i upadł na tyłek, szorując obcasami po deskach. Bełt wystrzelony z kuszy tkwił w ramie okiennej, a błyszczący grot rozszczepił drewno i przebił się do pokoju. Beck wpatrywał się w niego, leżąc podparty na łokciach.

Chciał do mamy. Na spokój zmarłych, chciał do mamy. Czy coś takiego przystoi mężczyźnie?

Wstał, wszędzie dookoła słysząc trzaski i grzmoty, jęki i ryki, które brzmiały niemal nieludzko. Rozlegały się na dole, na zewnątrz, wewnątrz. Oglądał się gwałtownie w stronę każdego źródła hałasu. Czy już dostali się do domu? Czy po niego idą? Mógł tylko stać w miejscu i się pocić. Miał od tego mokre nogi. Zbyt mokre. Zsikał się. Zsikał się jak dziecko i zauważył to dopiero, gdy zaczęło mu się robić zimno.

Dobył broni ojca. Poczuł jej ciężar. Powinien poczuć się silniejszy, zawsze tak się działo. Ale teraz tylko zateśknął za domem. Za cuchnącym pokoikiem, w którym zawsze oglądał broń, a wraz z nią wydobywał na światło dnia śmiałe marzenia. Nie mógł uwierzyć, że kiedyś tego pragnął. Ostrożnie przysunął się do schodów, odwracając głowę, zerkając tylko kątem przymrużonego oka, jakby to w jakiś sposób mogło mu zapewnić bezpieczeństwo.

W pokoju na dole panował wściekły ruch, cienie przeplatały

się z plamami światła wpadającego przez strzaskane okiennice, wszędzie walały się rozrzucone meble, lśniły ostrza. Rozlegały się miarowe odgłosy pękającego drewna. Ktoś próbował rozbić drzwi. Głosy, pomieszane i niezrozumiałe. Słowa w języku Unii albo same wrzaski i jęki.

Dwaj młodzi Północni Mokrego leżeli na podłodze. Jeden obficie krwawił. Drugi wciąż powtarzał: „Nie, nie, nie”. Pulchną twarz Colvinga wykrzywił wściekły grymas, gdy chłopak próbował dźgnąć żołnierza Unii, który wcisnął się przez drzwi. Reft wyłonił się z cienia i uderzył napastnika toporkiem w tył hełmu i przewrócił go na Colvinga, następnie zdzielił go w naplecznik, nie pozwalając mu wstać, aż wreszcie dopełnił dzieła, gdy trafił w lukę pomiędzy zbroją a hełmem. Niemal odrąbał wrogowi głowę.

– Nie dajcie im wejść! – wrzasnął Reft, ponownie doskakując do drzwi i zatrzasnął je ramieniem.

Kolejny Unionista przebił się przez okiennice niedaleko podnóża schodów. Beck mógłby dźgnąć go w plecy. Zapewne nawet nie zostałby zauważony. Nie mógł jednak przestać myśleć o tym, co by było, gdyby nie trafił. Co by się stało później. Dlatego nic nie zrobił. Brait pisnął i okręcił się na pięcie, żeby przebić żołnierza włócznią, ale zanim zdążył to uczynić, Unionista ciał go w ramię i rozplątał aż do piersi. Brait zaczął wrzeszczeć, wymachując włócznią, podczas gdy żołnierz próbował wyszarpnąć ostrze. Na obu tryskała czarna krew.

– Pomocy! – ryknął Stodder w pustkę, przyciśnięty do ściany z obwisłą dłonią zaciśniętą na tasaku. – Pomocy!

Beck nie rzucił się do ucieczki. Jedyne cicho wycofał się po schodach, dopadł do otwartego kredensu, wyrzucił z niego pojedynczą półkę, po czym zanurkował w pełnym pajęczyn

wnętrzu. Wsunął opuszki palców w szparę między deskami drzwiczek i je zamknął, kuląc się z plecami przyciśniętymi do ukośnych belek. Stłoczony w ciemności, w nieudolnej dziecinnej kryjówce. Sam na sam z ostrzem swojego ojca i własnym oddechem, a także dobiegającymi z dołu odgłosami rzezi jego drużyny.

Lord gubernator Meed splótł ręce za plecami i władczo wyglądał przez północne okno głównej sali. Raz za razem przytakiwał, udając, że rozumie przekazywane mu strzępy informacji, a jego oficerowie krążyli wokół i trajkotali jak podniecone gąski otaczające matkę. Adekwatna metafora, skoro ich przywódca dysponował militarnym kunsztem domowego ptactwa. Finree czekała w głębi pomieszczenia i rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, co się dzieje, lecz nie chciała sama o to pytać, żeby nie dać nikomu satysfakcji. Obgryzała paznokcie, gotując się w środku i rozważając nierealne scenariusze zemsty.

Jednakże przede wszystkim była zła na siebie. Teraz rozumiała, że postąpiłaby znacznie roztropniej, gdyby udawała cierpliwość, uprzejmość i pokorę, tak jak tego chciał Hal, przyklaskując żalosnym wojennym poczynaniom Meeda, by wkraść się w jego łaski jak kukółka do gniazda gołębia.

Chociaż, Meed był człowiekiem na tyle próżnym, że zabrał na front swój olbrzymi portret, więc może jeszcze nie było za późno, by odegrać zagubioną owieczkę i odzyskać jego względy za sprawą udawanej skruchy. Wtedy we właściwej chwili będzie mogła wbić mu nóż w plecy. Obiecała sobie, że i tak to zrobi. Już nie mogła się doczekać. Pragnęła zobaczyć twarz tego starucha, kiedy wreszcie...

Aliz parsknęła śmiechem.

– A któż to?

– Gdzie? – Finree zerknęła przez wschodnie okno, na które nikt nie zwracał większej uwagi, gdyż bitwa toczyła się na północy. Z lasu wyłonił się obszarpany mężczyzna i stanął na niewielkim skalnym wypiętrzeniu, spoglądając w stronę gospody, a jego długie czarne włosy poruszały się na wietrze. W żadnym wypadku nie wyglądał na żołnierza Unii.

Finree zmarszczyła czoło. Większość ludzi Wilczarza powinna być daleko w tyle, poza tym, w tej samotnej postaci było coś... niewłaściwego.

– Kapitanie Hardrick! – zawołała. – Czy to jeden z ludzi Wilczarza?

– Kto? – Hardrick stanął za kobietami. – Szczerze mówiąc, nie wiem...

Mężczyzna na skale uniósł coś do ust, po czym odchylił głowę. Po chwili nad pustymi polami poniósł się długi, żalospny dźwięk.

Aliz się roześmiała.

– Róg!

Finree poczuła ten dźwięk aż w żołądku i od razu zrozumiała. Chwyciła Hardricka za rękę.

– Kapitanie, musi pan pojechać do generała Jalenhorma i powiedzieć mu, że zostaliśmy zaatakowani.

– Co takiego? Ależ... – Tępy uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, gdy popatrzył na wschód.

– Och – westchnęła Aliz.

Nagle w lesie zaroilo się od ludzi. Wyglądali jak dzicy, nawet z tak daleka. Długowłosi, obszarpani, często półnaczy. Kiedy

mężczyznę z rogiem otoczyły setki kompanów, Finree zrozumiała, dlaczego wydał się jej dziwny. Był olbrzymem, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Hardrick patrzył na wojowników z szeroko otwartymi ustami, dopóki Finree nie wbiła palców w jego rękę i nie pociągnęła go w stronę schodów.

– Już! Znajdź generała Jalenhorma. Znajdź mojego ojca. Natychmiast!

– Muszę otrzymać rozkazy... – Zerknął na Meeda, który wciąż obserwował swój atak na Osrung razem z pozostałymi oficerami, nie licząc dwóch, którzy nieśpiesznie podeszli do drugiego okna, żeby sprawdzić, skąd dochodzi dźwięk rogu.

– Co to za ludzie? – spytał jeden z nich.

Finree nie miała czasu na dyskusje. Wydała z siebie najbardziej przenikliwy, najdłuższy i najbardziej mrozący krew w żyłach dziewczęcy pisk, na jaki było ją stać. Jeden z muzyków hałaśliwie zafałszował, drugi jeszcze przez chwilę grał, po czym w milczeniu opuścił salę. Wszyscy gwałtownie obejrżeli się w stronę Finree, nie licząc Hardricka. Kobieta z ulgą zauważyła, że zdołała wstrząsnąć nim na tyle, że w końcu ruszył do drzwi.

– Co, do diabła... – odezwał się Meed.

– Północni! – zawył ktoś. – Na wschodzie!

– Jacy Północni? O kim wy...

Po chwili krzyczeli już wszyscy.

– Tam! Tam!

– Zaraza!

– Obsadzić mury!

– Tutaj są mury?

Ludzie na polach – poganiacze, służący, kowale i kucharze –

w panice uciekali z namiotów i wozów, pędząc do gospody. Wśród nich pojawili się pierwsi jeźdźcy na kudłatych kucach. Jechali bez strzemion, ale wcale ich to nie spowalniało. Finree wydawało się, że są uzbrojeni w łuki i rzeczywiście, po chwili strzały zaklekotały o północną ścianę gospody. Jedna wpadła przez okno i prześlizgnęła się po podłodze. Czarna, postrzępiona i nieforemna, ale i tak niebezpieczna. Ktoś dobył broni przy wtórze słabego brzęku metalu i po chwili w całej sali błyskały ostrza.

- Wyślijcie łuczników na dach!
- Mamy łuczników?
- Pozamykać okiennice!
- Gdzie jest pułkownik Brint?

Składany stół zapiszczał z niezadowoleniem, gdy przeciągnięto go pod jedno z okien, zrzucając papiery na podłogę.

Zanim dwóm oficerom udało się zamknąć przegniłe okiennice, Finree dostrzegła długą linię wojowników, którzy szarżowali w ich stronę przez pola. Znajdowali się w połowie drogi między lasem a gospodą i szybko się zbliżali, stopniowo się rozpraszając. Za nimi łopotały podarte sztandary ozdobione kośćmi. Finree oszacowała, że jest ich co najmniej dwa tysiące, w gospodzie zaś stacjonowało najwyżej dwustu żołnierzy, w większości lekko uzbrojonych. Przełknęła ślinę, przerażona tą arytmetyką.

- Czy bramy są zamknięte?
- Podeprzeć je!
- Wezwać piętnasty regiment!
- Już za późno, żeby...
- Na Boginie Losu. – Aliz wytrzeszczyła oczy, ukazując białka.

Rozpaczliwie się rozglądała, jakby szukała drogi ucieczki. Żadnej nie znalazła. – Jesteśmy w potrzasku!

– Nadejdzie pomoc – odrzekła Finree, starając się zabrzmieć jak najspokojniej, chociaż jej serce niemal wyrywało się z piersi.

– Kto nam pomoże?

– Wilczarz – który bardzo rozsądnie postarał się jak najbardziej oddalić od Meeda – albo generał Jalenhorm – którego ludzie byli tak rozbici po wczorajszej klęsce, że nie potrafili nikomu pomóc – albo nasi mężowie – którzy byli zajęci atakiem na Osrung i zapewne nie mieli pojęcia o nowym zagrożeniu, które pojawiło się na ich tyłach. – Nadejdzie pomoc. – Te słowa nawet jej samej wydały się żałośnie nieprzekonujące.

Oficerowie biegali bez celu, pokazywali palcami we wszystkie strony, wykrzykiwali sprzeczne rozkazy, a w sali stopniowo zapanowały ciemności i chaos, gdy zabarykadowano okna wszystkimi gratami, jakie były pod ręką. Meed stał pośrodku sali i niepewnie się rozglądał, samotny i ignorowany. W jednej dłoni trzymał pozłacane ostrze, a drugą bezsilnie rozwierał i zaciskał. Jak zdenerwowany ojciec na starannie zaplanowanym wielkim weselu, który nagle odkrył, że w tym ważnym dniu nikt nie zwraca na niego uwagi. Z góry pogardliwie zerkał na niego jego piękny portret.

– Co mamy robić? – rzucił w pustkę Meed. Jego rozpaczliwe spojrzenie spoczęło na Finree. – Co mamy robić?

Dopiero kiedy otworzyła usta, zdała sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć.

Łańcuchy władzy

Po krótkim okresie dobrej pogody chmury znów zasnuły niebo i spadł deszcz, aplikując marszałkowi Kroyowi i jego sztabowi kolejną dawkę lepkiego nieszczęścia i całkowicie przesłaniając obie flanki pola bitwy.

– Przeklęta mżawka! – burknął marszałek. – Równie dobrze mógłbym mieć wiadro na głowie.

Ludzie często zakładają, że lord marszałek podczas bitwy dysponuje potężną władzą, nawet większą niż cesarz w swojej sali tronowej. Jednakże nikt nie zauważa niezliczonych ograniczeń, którym ta władza podlega. Zwłaszcza pogoda słynie z rażącego nieposłuszeństwa. Poza tym, zawsze należy brać pod uwagę sytuację polityczną: kaprysy monarchy, nastroje ludu. Piętrzą się problemy logistyczne: trudności z zaopatrzeniem i transportem, sygnalizacją i dyscypliną, tym poważniejsze, im większą dowodzi się armią. Jeśli nawet jakimś cudem uda się ustawić ten nieogarnięty tłum w szyku bojowym, kwaterę główną umiejscawia się tak daleko od linii frontu, że nawet z dobrego punktu widokowego dowódca nie jest w stanie zbyt dużo dostrzec. Dostarczenie rozkazów na front zajmuje co najmniej pół godziny, co często czyni je bezużytecznymi, a nawet niebezpiecznymi, jeśli w ogóle dotrą do celu.

Im wyżej człowiek wspina się w hierarchii, tym więcej pojawia się pośredników pomiędzy dowódcą a nagą stałą, i tym bardziej niedoskonała staje się komunikacja. Tchórzostwo, pośpiech, niekompetencja i najgorsze ze wszystkiego dobre

intencje podwładnych mogą wypaczyć każdy plan. Coraz większą rolę odgrywa przypadek, który rzadko nam sprzyja. Przy okazji każdego awansu marszałek Kroy liczył na to, że wreszcie zrzuci kajdany i zyska prawdziwą władzę. I za każdym razem czuł się coraz bardziej bezsilny.

– Jestem jak stary i ślepy głupiec, który wplątał się w pojedynek – mruknął. Tylko że od jego podejmowanych na ślepo decyzji zależy życie tysięcy ludzi, a nie tylko jego własne.

– Ma pan ochotę na brandy z wodą, lordzie...

– Nie, psiakrew, nie mam ochoty! – odburknął swojemu ordynansowi, po czym skrzywił się, gdy mężczyzna nerwowo się odsunął, zabierając butelkę. Jak mógł wyjaśnić, że pił ten trunek poprzedniego dnia, gdy usłyszał, że odpowiada za śmierć setek swoich ludzi, więc teraz na samą myśl o brandy z wodą robi mu się niedobrze?

Co gorsza, jego córka znalazła się tak blisko linii frontu. Co chwila kierował lunetę na wschód, starając się wypatrzeć przez padający deszcz gospodę, którą Meed wykorzystywał jako kwaterę główną. Z niezadowoleniem podrapał się po policzku. Nie zdążył się ogolić, ponieważ przerwał mu niepokojący raport wysłany przez Wilczarza, który zauważył na wschodzie ślady obecności dzikich przybyłych zza Crinny. Ludzie, których nawet Wilczarz uznawał za dzikusów, z pewnością zasługiwali na to miano. Teraz Kroya dręczył niepokój, a do tego jedną połowę twarzy miał gładką, a drugą szorstką. Takie szczegóły zawsze wyprowadzały go z równowagi. Armia składa się ze szczegółów, tak jak dom jest zbudowany z cegieł. Jeżeli niewłaściwie położy się jedną z nich, cała konstrukcja jest zagrożona. Jeśli jednak z należytą starannością zadba się o położenie zaprawy...

– Ha – burknął pod nosem. – W końcu jestem przeklętym

murarzem.

– Według ostatniego raportu wysłanego przez Meeda, z prawej strony wszystko toczy się po naszej myśli – powiedział Felnigg, niewątpliwie starając się rozwiać obawy marszałka. Szef sztabu doskonale znał swojego dowódcę. – Zajęli większość południowej części Osrungu i próbują zdobyć most.

– Więc pół godziny temu wszystko było dobrze?

– W stopniu, w jakim to możliwe w ich przypadku, lordzie marszałku.

– Racja. – Patrzył jeszcze przez chwilę, ale ledwie mógł dostrzec gospodę, a co dopiero Osrung. Zamartwianie się w niczym mu nie pomoże. Gdyby całe jego wojsko było tak odważne i zaradne jak jego córka, już dawno odnieśliby zwycięstwo i ruszyli do domu. Niemal żałował Północnego, który trafi na Finree, gdy ta będzie w złym nastroju. Odwrócił się na zachód, przesuując lunetę wzdłuż linii rzeki, aż natrafił na Stary Most.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Niewyraźna prosta linia na niewyraźnym zakrzywionym tle, którym zapewne była woda, a wszystko to na zmianę pojawiała się i zniknęło w zależności od natężenia deszczu padającego na mniej więcej dwumilowym odcinku oddzielającym go od celu. Prawdę mówiąc, mógł patrzeć na cokolwiek.

– Przekłęta mżawka! A co dzieje się z lewej strony?

– Według ostatniej wiadomości od Mittericka, jego drugi atak został powstrzymany.

– Więc zapewne mu się nie udało. Chociaż to ciężki kawałek chleba zdobyć most przy tak zdeterminowanych obrońcach.

– Hmm – mruknął Felnigg.

– Mitterickowi wiele brakuje...

– Hmm – mruknął Felnigg.

– ...ale nie uporu.

– Nie, lordzie marszałku, jest uparty jak osioł.

– No, no, bądźmy wspaniałomyślni – odparł Kroy, po czym po cichu dodał: – W każdym towarzystwie przyda się osioł, choćby po to, żeby przejechać się na jego grzbiecie. – Jeśli drugi atak Mittericka zakończył się niepowodzeniem, to z pewnością szykuje następny. Północni, którzy staną mu na drodze, będą wytrąceni z równowagi. Marszałek złożył lunetę i postukał nią w dłoń.

Generał, który czeka z podjęciem decyzji aż zdobędzie pełną wiedzę, nigdy jej nie podejmie lub zrobi to za późno. Kroy musiał wyczuć sytuację. Przewidzieć dalszy przebieg bitwy, wahania morale żołnierzy, zmiany przewagi. Zaufać intuicji. Ta zaś podpowiadała mu, że na lewym skrzydle wkrótce dojdzie do kluczowych wydarzeń.

Przeszedł przez drzwi stodoły zmienionej w kwaterę główną, tym razem pamiętając, żeby się schylić, gdyż nie potrzebował kolejnego bolesnego siniaka na czole, po czym zbliżył się do swojego biurka. Nawet nie siadając, zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać na najbliższym z kilkudziesięciu kawałków papieru przygotowanych do tego celu:

Pułkowniku Vallimirze!

Oddziały generała Mittericka toczą ciężkie walki na Starym Moście. Wkrótce generał zmusi wroga do zaangażowania wszystkich rezerw. Wtedy proszę niezwłocznie przeprowadzić atak, zgodnie z ustaleniami, korzystając ze wszystkich dostępnych żołnierzy.

Powodzenia.

Zamaszyście podpisał wiadomość.

– Felnigg, dostarcz to generałowi Mitterickowi.

– Może lepiej przyjmie tę wiadomość od posłańca.

– Nie obchodzi mnie, jak ją przyjmie, najważniejsze, żeby nie miał żadnego pretekstu, by ją zignorować.

Felnigg był oficerem starej szkoły i rzadko okazywał uczucia; była to jedna z cech, którą Kroy zawsze w nim podziwiał. Nie potrafił jednak ukryć niechęci do Mittericka.

– Skoro muszę, lordzie marszałku. – Z kwaśną miną wziął rozkaz z dłoni Kroya.

Pułkownik Felnigg wyszedł sztywnym krokiem z kwatery głównej, niemal uderzając głową o niskie nadproże i z trudem maskując niezadowolenie. Wrzucił rozkaz do kieszeni munduru, sprawdził, czy nikt nie patrzy, po czym szybko pociągnął z piersiówki, a następnie znów się rozejrzał i wypił kolejny łyk. Wspiął się na siodło i popędził konia wąską ścieżką, rozpędzając na boki służących, strażników i młodszych oficerów.

Gdyby przed laty to Felnigg dowodził oblężeniem Ulrioch, a Kroy został posłany z bezowocną wyprawą na piaszczyste pustkowia, gdyby to Felnigg okrył się chwałą, a Kroy wrócił ledwie żywy z pragnienia z dwudziestoma zdobytymi wozami, by stwierdzić, że wszyscy o nim zapomnieli, dziś wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Felnigg mógłby być lordem marszałkiem, a Kroy jego ulubionym posłańcem.

Ze stukiem kopyt zjechał ze wzgórza, ruszając usianym kałużami szlakiem na zachód w stronę Adwein. Teren opadający

ku rzece roił się od ludzi Jalenhorma, którzy wciąż bezskutecznie próbowali się ustawić. Patrzenie na taką nieudolność sprawiało Felniggowi niemal fizyczny ból. Miał ochotę wstrzymać konia i zacząć wykrzykiwać rozkazy, żeby nadać działaniom żołnierzy jakiś sens. Czy nie powinno się tego wymagać od wojska?

– Przeklęty Jalenhorm – syknął Felnigg.

Młody generał był błaznem, i to mało zabawnym. Brakowało mu rozumu i doświadczenia, żeby być choćby dobrym sierżantem, ale najwyraźniej fakt bycia dawnym kompanem od kieliszka samego króla stanowił lepsze kwalifikacje niż lata rzetelnej i ofiarnej służby. Taka niesprawiedliwość wpędziłaby w zgorzknienie człowieka mniejszego formatu, lecz Felnigga tylko zmotywowała do osiągnięcia nowych szczytów. Pułkownik na chwilę zwolnił, żeby pociągnąć kolejny łyk z piersiówki.

Na trawiastym zboczu po jego prawej stronie wydarzył się jakiś wypadek. Inżynierowie odziani w fartuchy krzatali się wokół dwóch olbrzymich rur z ciemnego metalu oraz dużej poląci poczerniałej trawy. Wzdłuż drogi ułożono ciała okryte zakrwawionymi prześcieradłami. Zapewne kretyński eksperyment Pierwszego z Magów wybuchł wszystkim w twarz. Felnigg wiedział z doświadczenia, że kiedy Zamknięta Rada bezpośrednio angażuje się w działania wojenne, można być pewnym dużych strat w ludziach, i to rzadko po stronie wroga.

– Z drogi! – ryknął, przepychając się przez stado kradzionego bydła, którego nigdy nie powinno się wpuścić na tę drogę, zmuszając jednego z poganiaczy do uskokzenia.

Przegalopował przez Adwein, najbardziej żalosalną wioskę, jaką kiedykolwiek widział, pełną ponurych twarzy, rannych ludzi i brudnych pozostałości niezidentyfikowanych oddziałów.

Bezużytecznych, użalających się nad sobą resztek jednostek, które brały udział w nieudanych atakach Mittericka, wymiecionych z jego dywizji jak gnój ze stajni.

Jalenhorn, choć był głupcem, przynajmniej potrafił wykonywać rozkazy. Mitterick zawsze się wykręcał i postępował po swojemu. Niekompetencji nie można wybaczyć, a nieposłuszeństwa... tym bardziej, psiakrew. Gdyby wszyscy robili, co im się podoba, nie byłoby koordynacji, dowodzenia, celu. Nie byłoby wojska, tylko wielki tłum zaspokajający własną próżność. Na samą myśl o tym...

Nagle służący niosący wiadro wyłonił się z jednego z budynków i stanął Felniggowi na drodze. Wierzchowiec pułkownika stanął dęba i niemal zrzucił jeźdźca z grzbietu.

– Z drogi! – Felnigg bez namysłu uderzył mężczyznę w twarz batem.

Służący krzyknął i upadł do rynsztoka, rozlewając wodę z wiadra na ścianę. Felnigg spiął konia ostrogami i ruszył w dalszą drogę, czując, jak wściekły ogień w jego żołądku stygnie. Nie powinien był tego robić. Pozwolił, żeby zapanował nad nim gniew, a gdy to zrozumiał, wściekł się jeszcze bardziej.

Kwatera główna Mittericka była najbardziej chaotycznym miejscem w jego chaotycznej dywizji. Oficerowie biegali wokoło, chlapiąc błotem i pokrzykując na siebie. Słuchano najgłośniejszego wrzasku, ignorując najlepsze pomysły. Dowódca nadawał ton swoim podwładnym. Kapitan swojej kompanii, major batalionowi, pułkownik regimentowi, a Mitterick całej dywizji. Niedbali oficerowie to niedbali żołnierze, co stanowi najprostszą drogę do porażki. W takich chwilach zasady ratują życie. Jaki oficer pozwala, by jego kwatera główna pogrążyła się w chaosie? Felnigg ściągnął

wodze, po czym skierował się prosto do wielkiego namiotu Mittericka, usuwając z drogi młodych podekscytowanych adiutantów wzrokiem pełnym dezaprobaty.

Wewnątrz panowało jeszcze większe zamieszanie. Mitterick otoczony tłumem karmazynowych mundurów pochylał się nad zaimprovizowaną mapą doliny rozłożoną na stole i trzymał przed sobą jakiś opasły tom. Felnigg poczuł odrazę, która uderzyła w niego jak przeciwny wiatr. Oto najgorszy rodzaj żołnierza, który nazywa swoją niekompetencję polotem, a co gorsza, inni często dają mu się zwieść. Jednak Felnigga nie tak łatwo oszukać.

Pułkownik podszedł do stołu i nienagannie zasalutował. Mitterick pośpiesznie machnął ręką, nie podnosząc wzroku znad mapy.

– Przywożę rozkaz lorda marszałka Kroya skierowany do królewskiego pierwszego regimentu. Byłbym wdzięczny, gdyby mógł go pan bezzwłocznie przekazać. – Nie potrafił usunąć pogardy z głosu, a generał najwyraźniej to zauważył.

– Jesteśmy teraz nieco zajęci żołnierskim rzemiosłem. Może nich go pan zostawi...

– Obawiam się, że to nie wystarczy, generale. – Felnigg z trudem powstrzymał się przed spoliczkowaniem Mittericka rękawicami. – Lord marszałek nie pozostawił żadnych wątpliwości co do swoich intencji, dlatego muszę nalegać na pośpiech.

Mitterick się wyprostował, napinając mięśnie potężnej szczęki.

– Musi pan?

– Owszem, jak najbardziej. – Felnigg gwałtownie wyciągnął rozkaz w stronę generała, ostatkiem woli powstrzymując się

przed rzucając mu go w twarz.

Mitterick wyrwał wiadomość z ręki Felnigga, również z trudem powstrzymując się przed uderzeniem go w twarz drugą ręką, po czym odpieczętował rozkaz.

Felnigg. Cóż za osioł. Arogancki, pedantyczny głupiec. Drażliwy służbista pozbawiony wyobraźni i inicjatywy oraz tego, co Północni lubujący się w prostocie nazywają „kośćmi”. Ma szczęście, że marszałek Kroy uważa go za przyjaciela i pociągnął go za sobą w górę hierarchii, w przeciwnym razie na zawsze pozostałby zapiętym pod samą szyję kapitanem.

Felnigg. Cóż za osioł. Mitterick pamiętał, jak pułkownik przyprowadził sześć rozklekotanych wozów po tym, jak Kroy odniósł wspaniałe zwycięstwo pod Ulrioch. Pamiętał, że Felnigg domagał się wtedy, by uznano jego zasługi. Z jego batalionu pozostał zakurzony kikut, a wszystko dla sześciu przeklętych wozów. Ależ oczywiście, że uznano jego zasługi. Wtedy Mitterick pomyślał „coż za osioł” i przez wszystkie kolejne lata jego opinia nie uległa zmianie.

Felnigg. Cóż za obrzydliwy osioł. Tylko na niego popatrzcie. Osioł. Zapewne uważa się za lepszego od innych, chociaż Mitterick doskonale wie, że pułkownik nie potrafi wstać z łóżka bez wychylenia kielicha. Zapewne sądzi, że mógłby lepiej wykonywać obowiązki Mittericka. Zapewne sądzi, że powinien być na miejscu Kroya. Przeklęty osioł. Oto najgorszy rodzaj żołnierza, który nazywa swoją głupotę dyscypliną, a co gorsza, inni często dają mu się zwieść. Jednak Mittericka nie tak łatwo oszukać.

Jego dwa ataki na most zakończyły się niepowodzeniem,

więc musi przygotować trzeci i nie ma czasu na rozdmuchaną biurokrację. Odwrócił się w stronę Opkera, swojego szefa sztabu, dźgając mapę pogniecionym rozkazem.

– Każ przygotować siódmy regiment, a za nim niech się ustawi drugi. Kiedy tylko znajdziemy punkt zaczepienia, kawaleria ma przekroczyć most. Te pola są stworzone do szarży! Zabierzcie z drogi regiment Kelna, uprzątnijcie rannych. Jeśli będzie trzeba, wrzucie ich do rzeki, ale nie możemy pozwolić, żeby Północni się przygotowali. Czas sprawić im krwawą łaźnię! Każ wszystko przygotować albo sam tam pójde i poprowadzą szarżę, nawet jeśli moja gruba dupa nie zmieści się w zbroi. Każ...

Ktoś dźgnął go palcem w ramię.

– Generale Mitterick, ten rozkaz należy bezzwłocznie wykonać. Bezzwłocznie! – Felnigg niemal wywrzeszczał ostatnie słowo, obryzgując Mittericka śliną.

Generał wprost nie mógł uwierzyć, z jak obsesyjnym formalistą ma do czynienia. W takich chwilach zasady kosztują życie. Jaki oficer domaga się ich przestrzegania w kwaterze głównej, podczas gdy na zewnątrz ludzie walczą? Umierają? Wściekle przebiegł wzrokiem po kartce z rozkazem:

Pułkowniku Vallimirze!

Oddziały generała Mittericka toczą ciężkie walki na Starym Moście. Wkrótce generał zmusi wroga do zaangażowania wszystkich rezerw. Wtedy proszę niezwłocznie przeprowadzić atak, zgodnie z ustaleniami, korzystając ze wszystkich dostępnych żołnierzy.

Powodzenia.

Kroy

Pierwszy regiment został przyłączony do dywizji Mittericka, dlatego generał, jako jej dowódca, odpowiadał za przekazywanie im rozkazów. Wiadomość od Kroya jak zwykle była krótka, rzeczowa i wysłana w idealnym momencie. Jednakże Mitterick nie byłby sobą, gdyby przegapił okazję do zdenerwowania tego pozbawionego podbródka patyczaka, który pełnił rolę prawej ręki marszałka. Skoro chce działać zgodnie z przepisami, to się nimi udławi. Generał rozłożył kartkę na mapie i pstryknął palcami, a gdy ktoś podał mu pióro, na dole nabazgrał własną wiadomość, niemal nie zwracając uwagi na treść pierwotnego rozkazu.

Upewnijcie się, że wróg zaangażował wszystkie siły w walkę, zanim przekroczycie strumień, a tymczasem nie zdradzajcie swojej pozycji na flance. Moi ludzie i ja dajemy z siebie wszystko. Nie pozwolę, by ktokolwiek im zaszkodził.

Generał Mitterick, druga dywizja

Ruszył do wyjścia z namiotu, wybierając drogę, która umożliwiła mu niegrzeczne odepchnięcie Felnigga ramieniem.

– Gdzie, u diabła, jest ten chłopak z regimentu Vallimira?! – ryknął pośród słabnącego deszczu. – Jak on się nazywał? Leperlisper?

– Lederlingen, panie generale! – Wysoki i blade podenerwowany młodzieniec wystąpił naprzód, niepewnie zaszutował, po czym jeszcze niepewniej dodał: – Panie generale Mitterick.

Mitterick nie powierzyłby mu nawet zawartości swojego nocnika, a co dopiero ważnego rozkazu, jednak jak kiedyś

powiedział Bialoveld: „Podczas bitwy zawsze należy jak najlepiej wykorzystywać niesprzyjające okoliczności”.

– Natychmiast zawieź tę wiadomość pułkownikowi Vallimirowi. To rozkaz od lorda marszałka, rozumiesz? Sprawa najwyższej wagi. – Mitterick wcisnął złożoną, pomarszczoną i teraz już nieco zaplamioną tuszem kartkę w bezwładną dłoń chłopaka.

Ten przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w rozkaz.

– No i co? – burknął generał.

– Eee... – Młodzieniec ponownie zasalutował. – Tak jest, panie...

– Rusz się! – Mitterick ryknął mu prosto w twarz. – Na co czekasz?

Lederlingen się cofnął, wciąż absurdalnie wyprężony, po czym pobiegł po udeptanym błocie do swojego wierzchowca.

Zanim wgramolił się na mokre siodło, chudy, pozbawiony podbródka oficer w wykrochmalonym mundurze wyszedł z namiotu Mittericka, sycząc pod nosem coś niezrozumiałego pod adresem generała, obserwowany przez grupę strażników i oficerów, wśród których stał dziwnie znajomy potężny mężczyzna o smutnych oczach i krótkiej szyi.

Lederlingen nie miał czasu na rozmyślanie, skąd go zna. Wreszcie otrzymał zadanie warte wykonania. Odwrócił się od zenującego spektaklu, jaki zgotowali dwaj pokłóceni ze sobą najstarsi rangą oficerowie Jego Królewskiej Mości, i ruszył na zachód. Nie było mu żal, że odchodzi. Kwatera główna wyglądała na jeszcze bardziej przerażające i dezorientujące miejsce niż linia frontu.

Przecisnął się przez gęsty tłum przed namiotem, pokrzykując na ludzi, by zeszli mu z drogi, a następnie przez mniej liczną

zbieraninę żołnierzy przygotowujących się do kolejnego ataku na most, cały czas jedną ręką trzymając wodze, a w drugiej ściskając kartkę z rozkazem. Powinien schować ją do kieszeni, wtedy byłoby mu łatwiej jechać konno, ale panicznie bał się, że ją zgubi. Rozkaz od samego lorda marszałka Kroya. Właśnie na coś takiego liczył, kiedy z błyskiem w oku zaciągnął się do wojska. Czy to naprawdę było zaledwie trzy miesiące temu?

Ominął główną część dywizji Mittericka i gwar ucichł mu za plecami. Przyśpieszył, pochylając się nisko nad końskim grzbietem, pędząc nierównym szlakiem prowadzącym od Starego Mostu w stronę mokradeł. Niestety, będzie musiał zostawić konia przy pikiecie na południowym brzegu i przekroczyć bagna pieszo, by dostarczyć rozkaz do Vallimira. Jeśli nie będzie stąpał ostrożnie, zamiast tego zaniesie wiadomość Klige'owi.

Ta myśl sprawiła, że zadrżał. Jego kuzyn ostrzegał go, żeby się nie zaciągał. Powiedział mu, że wojna to takie pomieszane miejsce, gdzie dobrzy ludzie postępują gorzej od złych. Powiedział, że wojna to ambicje bogaczy i groby biedaków, a w całej jego kompanii nie znajdzie się choćby dwóch uczciwych i porządnych ludzi. Że oficerowie to wcielenie arogancji, ignorancji i niekompetencji. Że żołnierze to tchórze, pyszałkowie, łobuzy i złodzieje. Wtedy Lederlingen podejrzewał, że kuzyn przesadza dla lepszego efektu, ale teraz musiał przyznać, że raczej wykazał się wstrzemięźliwością w ocenach. Zwłaszcza kapral Tunny wyglądał na tchórze, pyszałka, łobuza oraz złodzieja i był najbardziej zepsutym złoczyńcą, jakiego Lederlingen widział w życiu, tymczasem, jak za sprawą magii, wszyscy uważali go za bohatera. Chwała staremu dobremu kapralowi Tunny'emu, najbardziej nikczemnemu oszustowi

i miglancowi w całej dywizji!

Szlak zmienił się w krętą kamienistą ścieżkę, która prowadziła parowem wzdłuż strumienia, a raczej szerokim błotnistym rowem, którego krawędzie porastały drzewa uginające się pod ciężarem czerwonych jagód. Wokół cuchnęło zgnilizną. Nie dało się jechać szybciej niż kłusem. Zaiste, żołnierski żywot pozwala zwiedzić piękne i egzotyczne miejsca.

Lederlingen westchnął ciężko. Wojna rzeczywiście była pomieszana, a on zaczynał przyznawać rację swojemu kuzynowi, że to nie jest miejsce dla niego. Najlepiej, jeśli nie będzie się wychylał, postara się unikać kłopotów i posłucha rady Tunny'ego, by nigdy nie zgłaszać się na ochotnika...

– Ach!

Osa użądliła go w nogę. A przynajmniej początkowo tak pomyślał, choć ból był znacznie silniejszy. Potem opuścił wzrok i zobaczył strzałę tkwiącą w udzie. Zapatrzył się na jej długie proste drzewce i białoszare pierzysko. Strzała. Przez chwilę zastanawiał się, czy ktoś zrobił mu żart. Może to atrapa. Bolało znacznie mniej niż się spodziewał, ale spodnie już nasiąkały krwią. Strzała była prawdziwa.

Ktoś do niego strzela!

Wbił obcasy w boki konia i krzyknął. Teraz poczuł silniejszy ból. Zupełnie jakby naznaczono mu nogę rozpalonym żelazem. Wierzchowiec skoczył naprzód na kamienistej ścieżce, a Lederlingen wypuścił z rąk wodze, podskoczył w siodle, wymachując w powietrzu dłonią ściskającą rozkaz, po czym spadł z konia. Zagrzechotały mu zęby, a świat zawirował przed oczami, gdy chłopak poturlał się po ziemi.

Z trudem wstał, łkając pod wpływem bólu w nodze, i zaczął kuśtykać. Starał się dość do siebie. Udało mu się dobyć broni. Na

ścieżce za nim stało dwóch mężczyzn. Północni. Jeden ruszył w jego stronę pewnym krokiem z nożem w dłoni. Drugi uniósł łuk.

– Pomocy! – krzyknął Lederlingen, ale jego głos zabrzmiał cicho jak oddech. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mijał jakiegoś żołnierza Unii. Może przed wlotem parowu widział kilku zwiadowców, ale to było dosyć dawno. – Pomocy...

Strzała przebiła rękaw munduru i przeszła rękę. Tym razem natychmiast poczuł ból. Z wrzaskiem upuścił ostrze. Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, a ta się pod nim ugięła. Stoczył się z brzegu, czując potworne ukłucia bólu w kończynach za każdym razem, gdy połamane drzewca strzał zahaczały o ziemię.

Leżał w błocie. Wciąż ścisnął w dłoni kartkę z rozkazem. Próbował wstać. Usłyszał obok siebie młaśnięcie buta. Coś uderzyło go w bok szyi, a jego głowa odskoczyła.

Foss Głęboki wyrwał kawałek papieru z dłoni Południowca, wytarł ostrze noża o tył jego munduru, po czym oparł but na głowie wroga i wepchnął jego twarz w krwawe błoto. Nie chciał, żeby ten krzyczał. Po części ze względu na potrzebę dyskrecji, ale także dlatego, że ostatnio nie lubił słuchać odgłosów agonii. Jeśli musiał kogoś zabić, to trudno, ale nie miał zamiaru go wysłuchiwać, ot co.

Płytki sprowadził konia Południowca na rozmokłe dno strumienia.

– Niezła, co? – spytał, szczerząc zęby.

– To koń, a nie twoja żona.

Płytki poklepał konia po pysku.

– Od twojej na pewno jest ładniejsza.

– To było niegrzeczne i niepotrzebne.

– Przepraszam. A więc co z nim zrobimy? To dobry wierzchowiec. Pewnie wart niezłej...

– Jak z nim wrócisz na drugi brzeg rzeki? Nie będę go, kurwa, ciągnął przez bagna, a na moście toczy się bitwa, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem.

– Zabij go.

– Po prostu szkoda mi...

– Zabij go, do diabła, i chodźmy stąd. – Wskazał Południowca, którego trzymał pod butem. – Ja swojego zabiłem, prawda?

– Ale on nie jest nic wart...

– Po prostu go zabij! – Nagle zdał sobie sprawę, że nie powinien podnosić głosu, skoro znajdują się po niewłaściwej stronie rzeki i wszędzie mogą się czaić Południowcy. – Zabij to ścierwo i gdzieś je ukryj – dodał szeptem.

Płytki posłał mu cierpkie spojrzenie, ale pociągnął konia za uzdę, uwiesił mu się u szyi i sprowadził go na ziemię, po czym szybko dźgnął go w gardło, przytrzymując zwierzę wykrwawiające się w błoto.

– Kurka wodna. – Płytki pokręcił głową. – Na zabijaniu koni się nie wzbogacimy. Wystarczy, że tutaj przychodzimy i ryzykujemy, że zrobią nam kuku...

– Przestań.

– Co masz na myśli? – spytał Płytki, wciągając opadły konar na truchło konia.

Głęboki podniósł na niego wzrok.

– Przestań mówić jak dziecko, a jak ci się wydaje? To dziwaczne. Zupełnie jakby twoja głowa zatrzymała się

w rozwoju, kiedy miałeś cztery lata.

– Przeszkadza ci moje słownictwo? – Płytki odrąbał toporkiem kolejny konar.

– Tak się składa, że owszem.

Mężczyzna skończył maskować trupa konia.

– Więc pewnie będę musiał trzymać buzię w ciup.

Głęboki wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Pewnego dnia zabije Płytkiego albo odwrotnie. Wiedział o tym, odkąd skończył dziesięć lat. Rozłożył kartkę i uniósł ją do światła.

– Co tam napisali? – spytał Płytki, zerkając mu przez ramię.

Głęboki powoli się na niego obejrzał. Nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że zrobi to już dzisiaj.

– Słucham? Czyżbym nauczył się północnej mowy we śnie i tego nie zauważył? Skąd, na krainę zmarłych, mam wiedzieć, co tutaj napisali?

Płytki wzruszył ramionami.

– Masz rację. Ale wygląda poważnie.

– Rzeczywiście, sprawia takie wrażenie.

– Więc?

– Więc musimy się zastanowić, kto z naszych znajomych może zechcieć za to zapłacić.

Popatrzyli na siebie i odpowiedzieli równocześnie:

– Calder.

Tym razem Białooki Hansul podjechał szybko i bez cienia uśmiechu na twarzy. W jego tarczy tkwiła złamana strzała, a w poprzek czoła biegło skaleczenie. Wyglądał jak człowiek, który był w samym sercu bitwy. Calderowi zrobiło się niedobrze

na sam jego widok.

– Szalka chce, żebyś dołączył ze swoimi ludźmi. – W jego głosie już nie było wesołości. – Południowcy znów przekraczają most i tym razem nie żartują. Nie powstrzyma ich.

– W porządku. – Calder wiedział, że ta chwila nadejdzie, ale to wcale nie czyniło jej znośniejszą. – Przygotujcie ludzi.

– Tak jest. – Błady-jak-Śnieg oddalił się, wykrzykując rozkazy.

Calder sięgnął do rękojeści broni i efektownie ją poluzował, patrząc, jak ludzie jego brata – jego ludzie – wstają zza Muru Claila i przygotowują się do wzięcia udziału w bitwie. Czas napisać pierwszy wers pieśni o dzielnym księciu Calderze. Miejmy nadzieję, że nie ostatni.

– Wasza książęćość!

Calder się obejrzał.

– Foss Głęboki. Zawsze zastajesz mnie w najbardziej chwalebnych chwilach.

– Potrafię wyczuć desperację. – Głęboki był brudnym człowiekiem, nie tylko pod względem moralnym. Nawet brudniejszym niż zazwyczaj, zupełnie jakby zanurkował w bagnie. Calder nie wątpił, że Foss by to zrobił, gdyby podejrzewał, że na dnie leży moneta.

– Co się stało? Czeka na mnie bohaterska śmierć na polu bitwy.

– Och, nie chciałbym przeszkadzać w wyśpiewywaniu ballad na twoją cześć.

– Już śpiewają o nim pieśni – rzekł Płytki.

Głęboki się wyszczerzył.

– Ale nie na jego cześć. Znaleźliśmy coś, co może cię zaciekawić.

– Patrzcie! – Płytki wskazał na południe, błyskając białymi zębami na ubłoconej twarzy. – Tęcza!

Rzeczywiście tam była, niewyraźny łuk opadający ku odległym polom jęczmienia, który pojawił się, gdy deszcz ustał i powróciło słońce, jednak Calder nie miał nastroju, by ją podziwiać.

– Chcieliście zwrócić moją uwagę na bezkresne piękno wszystkiego, co nas otacza, czy macie jakąś ważniejszą sprawę?

Głęboki wyciągnął w jego stronę złożoną kartkę, pogniecioną i brudną, a gdy Calder po nią sięgnął, teatralnym gestem zabrał mu ją sprzed nosa.

– Za odpowiednią cenę.

– Papier niewiele kosztuje.

– Oczywiście – odparł Głęboki. – Ale to, co na nim napisano, nadaje mu wartość.

– A co na nim napisano?

Bracia popatrzyli na siebie nawzajem.

– Coś. Znaleźliśmy to przy pewnym młodym Unioniście.

– Nie mam na to czasu. Bardzo możliwe, że to tylko list od matki.

– List? – spytał Płytki.

Calder pstryknął palcami.

– Dajcie mi go, a ja zapłacę wam tyle, ile jest wart. Albo możecie gdzie indziej podziwiać tęcze.

Bracia ponownie wymienili spojrzenia. Płytki wzruszył ramionami. Głęboki położył z kłębieniem kartkę na dłoni Caldera. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest niewiele warta, poplamiona błotem i czymś, co podejrzenie przypominało krew. Znając tych dwóch, z pewnością była to

krw. Na papierze widniał elegancko napisany tekst.

Pułkowniku Vallimirze!

Oddziały generała Mittericka toczą ciężkie walki na Starym Moście. Wkrótce generał zmusi wroga do zaangażowania wszystkich rezerw. Wtedy proszę niezwłocznie przeprowadzić atak, zgodnie z ustaleniami, korzystając ze wszystkich dostępnych żołnierzy.

Powodzenia.

Poniżej prawdopodobnie zapisano nazwisko, ale znajdowało się dokładnie na zgięciu pomarszczonej kartki i Calder nie potrafił go odcyfrować. Wiadomość wyglądała na rozkaz, ale Calder nigdy nie słyszał o żadnym Vallimirze. Atak na Stary Most. To żadna nowość. Już miał wyrzucić list, kiedy zauważył drugi tekst, zapisany bardziej niespokojnym, pochyłym charakterem pisma.

Upewnijcie się, że wróg zaangażował wszystkie siły w walkę, zanim przekroczycie strumień, a tymczasem nie zdradzajcie swojej pozycji na flance. Moi ludzie i ja dajemy z siebie wszystko. Nie pozwolę, by ktokolwiek im zaszkodził.

Generał Mitterick, druga dywizja

Mitterick. Dow o nim wspominał. Jeden z unijnych generałów. Podobno ostry i nieostrożny. Moi ludzie i ja dajemy z siebie wszystko? To brzmiało jak słowa nadętego idioty. Ale kazał przeprowadzić atak przez strumień. Z flanki. Calder zmarszczył czoło. Nie przez rzekę. I nie po moście. Rozejrzał się z namysłem. Zastanawiał się, gdzie mogą stacjonować żołnierze,

by taki rozkaz miał sens.

– Na spokój zmarłych – wyszeptał. Unioniści siedzą w lasach na zachodzie, w każdej chwili gotowi przekroczyć potok i zaatakować ich z flanki. Na pewno tak jest!

– A więc jednak jest coś wart? – spytał z kpiącym uśmiechem Płytki.

Calder ledwie go usłyszał. Przepchnął się obok dwóch zabójców, szybko wspiął na wzniesienie na zachodzie, po czym wcisnął pomiędzy ponurych mężczyzn opierających się o Mur Claila, by poobserwować drugi brzeg strumienia.

– Co się stało? – spytał Białooki, zatrzymując konia po drugiej stronie kamiennego muru.

Calder rozłożył poobijaną lunetę, której kiedyś używał jego ojciec, i popatrzył na zachód, na zbocze pokryte starymi pieńkami, poza chaty drwali, ku mrocznemu lasowi. Czy roi się tam od żołnierzy Unii, gotowych zaszarżować przez płyciznę, gdy tylko zobaczą, że wykonał ruch? Nikogo nie zauważył. Nawet najmniejszego błysku stali między drzewami. Czyżby to był podstęp?

Czy ma dotrzymać obietnicy i pośpieszyć na pomoc bratu, ryzykując wystawienie całej armii gołym tyłkiem do wroga? A może powinien siedzieć za murem i wystawić Szalkę do wiatru? Tak będzie najbezpieczniej, prawda? Utrzymać linię. Zapobiec katastrofie. A może tylko wmawia sobie to, co chce usłyszeć? Czy odczuwa ulgę, że znalazł sposób na uniknięcie walki? Sposób na pozbycie się swojego starszego brata-idioty? Tak pogrążył się w kłamstwie, że nawet nie wie, kiedy sam siebie oszukuje.

Rozpaczliwie chciał, żeby ktoś powiedział mu, co ma robić. Żałował, że nie ma z nim Seff, ona zawsze miała odważne

pomysły. Była taka dzielna. Calder nie był stworzony do bohaterskich odsiecz. Wolał trzymać się z tyłu. Ratować własną skórę. Zabijać jeńców. Oczywiście nie osobiście, ale wydawać takie rozkazy. Może nawet pukać żony innych mężczyzn, gdy ci zajmowali się walką, jeśli akurat był w rozrywkowym nastroju. Ale to stanowczo wykraczało poza jego specjalność. Co powinien zrobić, do diabła?

– Co się dzieje? – spytał Błady-jak-Śnieg. – Ludzie są...

– Unioniści są w lesie na drugim brzegu strumienia!

Zapadła cisza, a Calder zdał sobie sprawę, że odezwał się znacznie głośniej niż było trzeba.

– Unioniści tam są? Jesteś pewien?

– Dlaczego jeszcze się nie pokazali? – spytał Białooki.

Calder pokazał kartkę.

– Ponieważ mam ich rozkazy. Ale dostaną kolejne.

Słyszał, że Carlowie wokół niego szepczą, przekazując sobie wieści z ust do ust. Pewnie to nic złego. Pewnie dlatego tak głośno to wykrzyczał.

– Więc co robimy? – syknął Białooki. – Szalka czeka na pomoc.

– Wiem, że czeka! Nikt nie wie tego lepiej ode mnie! – Calder ze zmarszczonym czołem patrzył w kierunku lasu, zaciskając i rozwierając wolną dłoń. – Dziesięć Sposobów. – Na spokojnie zmarłych, naprawdę nisko upadł, skoro biegnie po pomoc do człowieka, który kilka dni temu chciał go zamordować. – Hansul, pojedź do Palca Skarlinga i powiedz Broddowi Dziesięć Sposobów, że Unioniści są w lesie na zachodzie. Powiedz mu, że Szalka go potrzebuje. Potrzebuje go natychmiast, w przeciwnym razie stracimy Stary Most.

Hansul uniósł brew.

– Dziesięć Sposobów?

– Dow powiedział, że powinien nam pomóc, jeśli będzie trzeba! Właśnie trzeba.

– Ale...

– Jedź do niego!

Błady-jak-Śnieg i Hansul wymienili spojrzenia. Potem Białooki ponownie wspiął się na konia i pogalopował w stronę Palca Skarlinga. Calder zdał sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą. Zastanawiają się, dlaczego jeszcze nie zrobił tego, co należy, czyli nie pośpieszył bratu na ratunek. Zastanawiają się, czy powinni nadal być lojalni wobec tego ładnie uczesanego idioty, który nie ma pojęcia, co robi.

– Dziesięć Sposobów musi nam pomóc – mruknął, chociaż nie był pewien, kogo próbuje przekonać. – Jeśli stracimy most, wszyscy będziemy po uszy w gównie. Chodzi o całą Północ. – Zupełnie jakby kiedykolwiek obchodziła go Północ albo cokolwiek innego poza końcem własnego nosa.

Jego patriotyczny bełkot nie zrobił większego wrażenia także na Bładym-jak-Śnieg.

– Gdyby świat działał w ten sposób – rzekł stary wojownik – nie potrzebowałibyśmy ostrzy. Bez obrazy, Calder, ale Dziesięć Sposobów nienawidzi cię tak, jak zaraza nienawidzi żyjących, i wcale nie żywi większej sympatii wobec twojego brata. Nie narazi siebie ani swoich ludzi, żeby was bronić, niezależnie od tego, co powie Dow. Jeśli chcesz pomóc bratu, obawiam się, że będziesz to musiał zrobić sam. I to szybko. – Uniósł białe brwi. – Więc co robimy?

Calder miał wielką ochotę go uderzyć, ale wiedział, że Hansul ma rację. Właśnie dlatego chciał to zrobić. Co począć? Ponownie uniósł lunetę i powoli powiódł wzrokiem wzdłuż linii drzew,

tam i z powrotem. Nagle znieruchomiał.

Czyżby przez chwilę widział błysk innej lunety skierowanej w jego stronę?

Kapral Tunny spoglądał przez lunetę na kamienny mur. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dostrzegł błysku innej lunety skierowanej w jego stronę. Ale pewnie tylko mu się przywidziało. Niczego więcej nie zauważył.

– Ruszają się? – pisnął Żółtko.

– Nie. – Tunny zamknął lunetę, po czym podrapał się po coraz bardziej zarośniętej, brudnej i swędzącej szyi. Miał przemożne wrażenie, że w jego kołnierzu coś zamieszkało. Trudno mu było zrozumieć motywy tej istoty, skoro on sam wolałby być w każdym innym miejscu. – Wygląda na to, że tylko siedzą.

– Tak jak my.

– Witaj na polach chwały, szeregowy Żółtko.

– Wciąż nie dostaliśmy żadnych rozkazów? Gdzie się podział ten przekłety Lederlingen?

– Nie dowiemy się. – Tunny już dawno przestał się dziwić, gdy okazywało się, że armia nie funkcjonuje tak, jak zapowiadano. Obejrzał się przez ramię. Pułkownik Vallimir znów wpadł w szal; tym razem dostało się sierżantowi Forestowi.

Żółtko nachylił się i szepnął:

– Każdy sra na człowieka, który znajduje się poniżej, panie kapralu?

– Widzę, że zrozumiałeś mechanizmy rządzące wojskiem Jego Królewskiej Mości. Sądzę, że pewnego dnia będzie z ciebie

dobry generał.

– Moja ambicja nie sięga wyżej niż stopień kaprała, panie kaprału.

– Bardzo mądrze. Zresztą, sam widzisz.

– Nadal nie otrzymaliśmy rozkazów, panie pułkowniku – mówił Forest, krzywiąc się jak człowiek idący pod wiatr.

– Psiakrew! – warknął Vallimir. – To właściwa chwila, żeby zaatakować! Byle głupiec powinien to zobaczyć!

– Ale... nie możemy ruszyć bez rozkazu, panie pułkowniku.

– Oczywiście, że nie możemy, do diabła! To by było zaniedbanie obowiązków! Ale teraz jest odpowiedni moment, więc oczywiście przekłety generał Mitterick będzie pytał, dlaczego nie wykazałem się inicjatywą!

– To bardzo prawdopodobne, panie pułkowniku.

– Inicjatywa, co, Forest? Inicjatywa. To tylko wymówka, żeby kogoś zdegradować. Zupełnie jakbyśmy grali w grę karcianą, nie znając zasad, tylko stawki! – Jak zwykle gadał jak najęty.

Tunny westchnął i podał rekrutowi swoją lunetę.

– Dokąd pan się wybiera, kaprału?

– Donikąd. Nie zamierzam się ruszać ani o krok – Ponownie oparł się plecami o drzewo i okrył płaszczem. – Obudź mnie, jeśli coś się zmieni. – Podrapał się po szyi i opuścił czapkę na oczy. – Jakimś cudem.

Końcowe argumenty

Najbardziej nieoczekiwany podczas bitwy był hałas. Finree chyba nigdy nie słyszała niczego głośniejszego. Ryki i wrzaski kilku tuzinów mężczyzn o zdartych głosach, trzask drewna, tupot nóg, brzęk metalu, a wszystko wzmacnione i zniekształcone w zamkniętej przestrzeni. Od ścian sali odbijały się echem ból, wściekłość i przemoc. Tak brzmiało piekło. Nikt nie słyszał rozkazów, ale to nie miało większego znaczenia.

Rozkazy niczego by nie zmieniły.

Ktoś wyważył okiennice kolejnego okna, a połączony kredens, który je blokował, przygniótł pechowego porucznika. Lawina zdobionych naczyń roztrzaskała się o posadzkę. Chmara wojowników zaczęła się przeciskać przez świetlisty kwadrat. Początkowo było widać tylko ich poszarpane czarne sylwetki, które stopniowo wypełniały się przerażającymi szczegółami, gdy wpadali do gospody. Wykrzywione twarze naznaczone farbą, brudem i furią. Potargane włosy z wplecionymi kośćmi, prymitywnie rzeźbionymi drewnianymi pierścieniami i kawałkami szorstkiego metalu. W rękach topory o nierównych ostrzach i pałki nabijane matowym żelazem. Hałaśliwie łkali i bulgotali, wytrzeszczając oczy w bitewnym szale.

Aliz ponownie krzyknęła, ale Finree była dziwnie obojętna. Może, po raz pierwszy znajdując się w obliczu niebezpieczeństwa, poczuła niespodziewany przypływ odwagi, a może jeszcze do niej nie dotarło, co się dzieje. A działo się coś bardzo złego. Wodziła wokół wzrokiem, starając się niczego nie

przegapić.

Na środku sali starszy sierżant walczył z jakimś siwym prostakiem. Trzymali się nawzajem za nadgarstki, w których ściskali broń kołysząc się pod sufitem, przeciągając się tam i z powrotem, jakby oddawali się pijanemu tańcowi i nie mogli uzgodnić, kto powinien prowadzić. Obok jeden ze skrzypków okładał kogoś połamanym instrumentem, który zmienił się w płataninę strun i drzazg. Na dziedzińcu kawałki drewna odpadały z pękającej bramy, którą strażnicy rozpaczliwie próbowali podeprzeć halabardami.

Finree żałowała, że nie ma obok niej Bremera dan Gorsta. Być może powinna raczej tęsknić za Halem, ale miała wrażenie, że odwaga, lojalność i honor nie na wiele by się tutaj zdały. Potrzeba było brutalnej siły i wściekłości.

Zobaczyła, jak pulchny kapitan z zadrapaną twarzą, o którym powiadano, że jest bękartem kogoś ważnego, dźga mężczyznę w naszyjniku z kości. Obaj byli śliscy od krwi. Zobaczyła, jak sympatyczny major, który opowiadał jej kiepskie dowcipy, gdy była dziewczynką, dostaje pałką w tył głowy. Zatoczył się w bok na ugiętych nogach jak błazen, jedną ręką sięgając do pustej pochwy. Nagle dostał cios mieczem i padł na podłogę zalany krwią. Zahaczył go inny oficer biorący zamach.

– Nad nami! – krzyknął ktoś.

Dzicy w jakiś sposób przedostali się na galerię i zaczęli strzelać w dół. Oficer stojący obok Finree runął na stół ze strzałą w plecach, pociągając na siebie jedną z draperii, a długie ostrze z trzaskiem wypadło z jego bezwładnej dłoni. Zdenerwowana Finree wyjęła jego krótkie ostrze z pochwy, po czym cofnęła się pod ścianę, kryjąc broń w fałdach spódnicy. Zupełnie jakby w takich okolicznościach ktoś mógł mieć jej za złe kradzież.

Drzwi otworzyły się na oścież i dzicy wpadli do głównej sali z innych części gospody. Zapewne zajęli podwórze i zabili strażników. Żołnierze, który rozpaczliwie próbowali odeprzeć napastników od okien, obrócili się z przerażeniem wypisanym na twarzach.

– Lord gubernator! – krzyknął ktoś inny. – Chrońcie... – Wołanie urwało się z żalnym jękiem.

Potyczka straciła pozory uporządkowania. Ponurzy oficerowie zaciekle walczyli o każdy cal terenu, ale przegrywali, spychani do kąta, zabijani jeden po drugim. Ktoś pchnął Finree na ścianę, być może w bezcelowym akcie rycerskości, lecz raczej przypadkowo, w bitewnym zamieszaniu. Obok niej stała Aliz, blada i bełkocząca, a po drugiej stronie lord gubernator Meed, w nieco lepszym stanie. Całą trójkę potracali plecami żołnierze toczący beznadziejną walkę o przetrwanie.

Finree niewiele widziała ponad opancerzonym ramieniem jednego ze strażników. Nagle strażnik upadł i w powstałą lukę skoczył dziki z wyszczerbionym żelaznym mieczem w dłoni. Kobieta zerknęła na jego twarz. Był szczupły i żółtowołosy, a krawędź jednego ucha poprzebijał odpryskami kości.

Meed uniósł dłoń, biorąc haust powietrza, żeby coś powiedzieć albo zacząć krzyczeć lub błagać. Wyszczerbione ostrze uderzyło go w miejsce między szyją a obojczykiem. Marszałek postawił chwiejny krok, błyskając białkami oczu zwróconych ku sufitowi, wysuwając język i chwytając palcami za poszarpaną ranę, z której krew tryskała na porwany ozdobny sznur na przodzie jego munduru. Potem runął na twarz, zaczepiając o stół i wyrzucając go w powietrze. Sterta papierów posypała mu się na plecy.

Aliz wydała z siebie kolejny przeszywający pisk.

Spoglądając na zwłoki Meeda, Finree przez chwilę pomyślała, że to wszystko może być jej winą. Że Boginie Losu w ten sposób postanowiły wyrzucić zemstę. Jednakże takie działanie wydawało się co najmniej nieproporcjonalnie surowe. Wolałyby coś znacznie mniej...

– Ach! – Ktoś chwycił ją za lewą rękę, boleśnie ją wykręcając.

Finree zobaczyła przed sobą obleśnie uśmiechnięte usta pełne zaostrzonych, spiłowanych zębów i dziobaty policzek z niebieskim odciskiem dłoni, obryzgany czerwienią.

Odepchnęła napastnika, a gdy ten donośnie wrzasnął, zauważyła, że wbiła mu w żebra krótkie ostrze. Przycisnął ją do ściany i pchnął jej głowę do góry. Finree udało się uwolnić śliskie ostrze, wsunąć je pomiędzy nich i ze stęknieniem wbić od dołu w jego szczękę. Zobaczyła, jak skóra na niebieskim policzku wybrzusza się od znajdującego się pod nią metalu.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu, jedną ręką sięgając ku zakrwawionej rękocyfeli sterczącej mu pod brodą. Finree ciężko dyszała oparta o ścianę, z trudem utrzymując się na drżących nogach. Nagle poczuła, jak coś szarpie jej głowę w bok, a i głowę, i szyję przeszył ostry ból. Wydała z siebie urwany pisk, gdy uderzyła głową...

Na chwilę wszystko utonęło w jasności.

Podłoga uderzyła ją w bok. Wokół szurały i chrzęściły buty.

Czyjeś palce zacisnęły się na jej szyi.

Nie mogła oddychać, drapiąc paznokciami trzymającą ją dłoń, słysząc w uszach bicie własnego serca.

Ktoś wcisnął kolano w jej brzuch, przygniatając ją do stołu. Na policzku czuła gorący, cuchnący oddech. Miała wrażenie, że jej głowa za chwilę pęknie. Niemal nic nie widziała przez wszechobecną jasność.

Potem zapadła cisza. Dłoń na szyi Finree nieco się rozwarła, pozwalając jej zaczerpnąć tchu. Zakaszłała, zakrztusiła się, znów zakaszłała. Wydawało się jej, że ogłuchła, ale po chwili zrozumiała, że to w sali zapadła śmiertelna cisza. Po jej obu stronach leżały trupy zaplątane w połamane meble, rozrzucone naczynia, podarte papiery, sterty opadłego tynku. Kilku konających cicho stękało. Wyglądało na to, że przeżyło tylko trzech oficerów. Jeden trzymał się za zakrwawione ramię, pozostali dwaj siedzieli z podniesionymi rękami. Jeden cicho płakał. Dzicy stali nad nimi, nieruchomi jak posągi. Sprawiali wrażenie niemal zdenerwowanych, jakby na coś czekali.

Finree usłyszała skrzypienie podłogi w korytarzu. Potem kolejne. Jakby jakiś potężny ciężar naciskał na deski. Następny hałaśliwy krok. Zwróciła oczy ku drzwiom, wytyczając wzrok.

Do sali wszedł mężczyzna. A przynajmniej przypominał go kształtem, bo nie rozmiarem. Musiał się schylić pod nadprożem, a potem pozostał podejrzenie przygarbiony, jakby stał pod pokładem małego statku, bojąc się uderzyć głową o belki. Mokre czarne włosy naznaczone siwymi pasmami oblepiały guzowatą twarz, którą porastała nastroszona broda, a na potężnych ramionach spoczywało potargane czarne futro. Rozejrzał się po poboju z dziwnie rozczarowaną, wręcz zboląłą miną. Zupełnie jakby został zaproszony na podwieczorek, a tymczasem znalazł się w rzeźni.

– Dlaczego wszystko jest połamane? – spytał dziwnie cichym głosem. Schylił się po jeden z talerzy, który w jego dłoni przypominał spodek, po czym polizał palec i starł kilka plamek krwi z puncy, marszcząc przy tym czoło jak wybredny klient. Gdy jego wzrok spoczął na zwłokach Meeda, jeszcze bardziej spochmurniał. – Czy nie prosiłem o trofea? Kto zabił tego starca?

Wymalowani dzicy popatrzyli po sobie, wybałuszając oczy. Finree zdała sobie sprawę, że są przerażeni. Jeden z nich uniósł drżący palec i wskazał mężczyznę, który ją przytrzymał.

– Saluc to zrobił!

Olbrzym spojrział na Finree, a następnie podniósł wzrok na człowieka wbijającego jej kolano w brzuch i zmrużył oczy. Delikatnie postawił talerz na żłobionym stole, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

– Co robisz z moją kobietą, Salucu?

– Nic! – Mężczyzna puścił szyję Finree, a ona odsunęła się na drugą stronę stołu, próbując złapać głębszy oddech. – Zabiła Bregę, po prostu chciałem...

– Chciałeś mnie okraść. – Olbrzym zbliżył się o krok, przekrzywiając głowę.

Saluc rozpaczliwie się rozejrzał, ale wszyscy przyjaciele odsuwali się od niego jakby był zadżumiony.

– Przecież... ja tylko...

– Wiem. – Olbrzym smutno pokiwał głową. – Ale zasady to zasady.

W jednej chwili pokonał dzielącą ich przestrzeń. Jedną potężną dłoń chwycił Saluca za nadgarstek, a drugą zacisnął na jego szyi, niemal złączając kciuk z pozostałymi palcami, po czym uniósł wijącego się mężczyznę i z chrzęstem uderzył jego głową o ścianę, raz, drugi i trzeci, obryzgując krwią popękany tynk. Wszystko trwało tak krótko, że Finree nie zdążyła skulić się ze strachu.

– Próbujesz im pokazać lepszą drogę... – Olbrzym ostrożnie posadził trupa pod ścianą, układając jego ręce na kolanach i wygodnie opierając spłaszczoną głowę, jak matka układająca dziecko do snu. – Ale niektórzy nie dają się ucywilizować.

Zabierzcie stąd moje kobiety. Tylko ich nie dotykajcie. Żywe są coś warte. Martwe są tylko... – Przetoczył ciało Meeda stopą w potężnym bucie. Lord gubernator bezwładnie wylądował na plecach, wbijając spojrzenie wytrzeszczonych oczu w sufit. – Brudem.

Aliz ponownie krzyknęła. Finree dziwiła się, jakim cudem nadal jest w stanie wydobyć z siebie taki wysoki i czysty dźwięk. Sama milczała jak grób, kiedy ją wyprowadzali. Cios w głowę odebrał jej głos. Poza tym, wciąż miała trudności z oddychaniem. Jednak przede wszystkim była zajęta rozpaczliwym rozmyśleniem, jak ująć z życiem z tego koszmaru.

Beck słyszał, że na zewnątrz wciąż trwa bitwa. Jednakże na dole panowała cisza. Może Unioniści uznali, że już wszystkich zabili. Może przegapili te schody. Na spokój zmarłych, miał nadzieję, że przegapili...

Jeden ze stopni zaskrzypiał i chłopak wstrzymał oddech. Być może wszystkie skrzypnięcia brzmią podobnie, ale Beck potrafił rozpoznać odgłos, jaki rozlega się, gdy ktoś stara się nie robić hałasu. Pot wystąpił mu na skórę. Ze wszystkich sił starał się zachowywać cicho, krzywiąc się pod wpływem nawet najdelikatniejszego świstu powietrza w krtani, nie mając odwagi przełknąć śliny. Miał wrażenie, że jego jaja, tyłek i flaki to olbrzymie, zimne ciężary, których nie zdoła utrzymać.

Kolejny cichy krok. Beckowi wydawało się, że słyszy, jak drań na schodach coś syczy. Drażni się z nim. A więc wie, że ktoś tutaj jest. Serce Beck łomotało tak głośno, że nie rozumiał słów nadchodzącego człowieka. Bał się, że od tego huku wypadną mu oczy. Próbował ukryć się głębiej w kredensie, jednym okiem

spoglądając przez nierówną szparę pomiędzy drzwiczkami na wycinek poddasza. W polu widzenia pojawił się czubek rapiera, lśniący morderczo, a potem ostrze upstrzone czerwienią. Krwią Colvinga albo Braita, albo Refta. A wkrótce także Becka. Unijna broń – rozpoznał ją po powykręcanych metalu otaczającym rękojeść.

Gdy rozległo się kolejne skrzypnięcie, Beck oparł rozpostarte palce o szorstkie drewno, ledwie go dotykając, aby nie zdradziły go skrzypiące zawiasy. Chwycił rozgrzaną rękojeść swojej broni, której jasne ostrze lśniło w ciemności, w jednym miejscu przecięte wąskim paskiem światła. Musiał walczyć. Nie miał innego wyjścia, jeśli chciał jeszcze kiedyś zobaczyć swoją matkę, braci i gospodarstwo. A teraz pragnął tylko tego.

Jeszcze jeden skrzypiący krok.

Beck wziął długi wdech, nadymając się i nieruchomiejąc. Czas płynął.

Jak dużo czasu potrzeba, żeby zrobić jeden krok?

Kolejne skrzypnięcie.

Beck wyskoczył z kredensu, pchnięciem otwierając drzwi na oścież. Ich narożnik zahaczył o deski i chłopak potknął się o niego, tracąc równowagę, zmuszony do szarży.

Unionista stojący w cieniu obrócił głowę. Beck wykonał wściekłe pchnięcie, czując, że osłona rękojeści wbija mu się w knykcie, a czubek ostrza wnika w pierś wroga. Obrócili się z rykiem, po czym nagle coś mocno uderzyło Becka w głowę. Niska belka. Upadł na plecy przygnieciony ciałem żołnierza, ze świstem wydmuchując z płuc resztki powietrza i boleśnie zaciskając dłoń na rękojeści. Potrzebował kilku chwil, by jego oczy przywykły do ciemności, a gdy tak się stało, zauważył przed sobą wykrzywioną twarz z wybałuszonymi oczami.

To wcale nie był Unionista, tylko Reft.

Drżały mu policzki. Powoli i ze świstem zaczerpnął tchu, po czym kaszlnął krwią na twarz Becka.

Beck jęknął, wierzgnął i uwolnił się, spychając z siebie Refta. Odsunął się i na klęczkach patrzył na ciało.

Reft leżał na boku. Palcami jednej dłoni drapał podłogę i zwracał jedno oko w stronę Becka. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywał się tylko bełkot. Krwawe bąbelki wypływały mu z ust i nosa. Pod jego ciałem rosła kałuża krwi płynącej po ziarnistych deskach. Była czarna w cieniu i ciemnoczerwona tam, gdzie przecinała płamę światła.

Beck oparł dłoń na ramieniu kolegi. Niemal wyszeptał jego imię, choć wiedział, że to bez sensu. Drugą rękę zacisnął na rękojeści broni, śliskiej od krwi. Znacznie trudniej było ją wyciągnąć niż wbić. Ostrze cicho mlasnęło, gdy je uwolnił. Ponownie niemal wypowiedział imię Refta. Odkrył, że nie może dobrać głosu. Palce Refta przestały się poruszać. Miał szeroko otwarte oczy, krew na ustach i szyi. Beck przyłożył wierzch jednej dłoni do ust i zauważył, że jest zakrwawiona. Cały był skąpany we krwi. Nasączony nią. Czerwony od niej. Wstał, czując gwałtowne mdłości. Reft wciąż wbijał w niego wzrok. Beck chwiejnie zbliżył się do schodów i ruszył na dół, szorując ostrzem po ścianie i pozostawiając na niej różową rysę. Rapier jego ojca.

Na dole nikt się nie poruszył. Beckowi wydawało się, że słyszy odgłosy walki na ulicach. Wściekłe okrzyki. Widział bladą mgiełkę dymu, od którego drapało go w gardle. W ustach czuł smak krwi. Krwi, metalu i surowego mięsa. Wszyscy jego towarzysze zginęli. Stodder leżał twarzą do ziemi obok schodów, wyciągając w ich stronę jedną rękę. Tył jego głowy został równo

rozplątany, a włosy zmieniły się w ciemne loki. Colving siedział pod ścianą z głową odrzuconą do tyłu, trzymając się obiema rękami za gruby brzuch okryty zakrwawioną koszulą. Brait przypominał stertę szmat leżącą w kącie. Biedak nigdy nie wyglądał wiele lepiej.

W pomieszczeniu znajdowało się także czterech martwych żołnierzy Unii. Leżeli obok siebie, jakby postanowili trzymać się razem podczas walki. Beck stanął pomiędzy nimi. Wrogowie. Ależ byli świetnie wyposażeni. Napierśniki, nagolenniki i wypolerowane hełmy. Tymczasem chłopcy tacy jak Brait umierali uzbrojeni w rozszczepiony kij z zatkniętym na nim ostrzem noża. To niesprawiedliwe. Nic z tego nie było sprawiedliwe.

Jeden z Unionistów leżał na boku i Beck przewrócił go butem. Głowa mężczyzny bezwładnie opadła. Jego oczy zezowały na sufit. Oprócz ekwipunku nie było w nim niczego nadzwyczajnego. Był młodszy, niż Beck się spodziewał, a jego policzki pokrywał meszek udający brodę. Wróg.

Rozległ się trzask. Ktoś kopnął rozbite drzwi i wpadł do pomieszczenia, torując sobie drogę tarczą, a w drugim ręku trzymając buzdygan. Beck stał bez ruchu, wpatrzony w przybysza. Nawet nie uniósł broni. Mężczyzna zbliżył się do niego, kuśtykając, po czym przeciągle gwizdnął.

– Co tu się stało, chłopcze? – spytał Mokry.

– Nie wiem. – Naprawdę nie wiedział. A raczej wiedział co, ale nie miał pojęcia jak. Ani dlaczego. – Zabiłem... – Chciał wskazać górne piętro, ale nie mógł unieść ręki, więc w końcu wskazał tylko martwych Unionistów u swoich stóp. – Zabiłem...

– Jesteś cały? – Mokry obmacywał jego zakrwawioną koszulę, szukając rany.

– To nie moja krew.

– Załatwiłeś czterech z tych drani, co? Gdzie Reft?

– Nie żyje.

– No tak. Cóż. Nie możesz o tym myśleć. Przynajmniej tobie się udało. – Mokry objął go ramieniem i wyprowadził na jasną ulicę.

Zimny wiatr na zewnątrz przyprawiał o dreszcze Becka ubranego w zakrwawioną koszulę i zasikane spodnie. Kamienie brukowe pokrywały kurz i popiół, kawałki drewna i porzucona broń. Po obu stronach leżały rozrzucone zwłoki. Beck zauważył Unionistę bezradnie unoszącego dłoń, podczas gdy dwaj Niewolnicy rąbali go toporami. Dym wciąż snuł się ponad placem, ale Beck widział, że na moście trwa nowa potyczka. W mroku poruszały się cienie ludzi i broni, od czasu do czasu przelatywała strzała.

Potężny starzec w ciemnej kolczudze i poobijanym hełmie siedział na grzbiecie konia przed oddziałem żołnierzy ustawionych w klin, wskazując przeciwległy skraj placu połamanym drzewcem i wrzeszcząc z całych sił głosem ochrypłym od dymu.

– Zepchnąć ich za most! Przepędzić drani! – Jeden z mężczyzn stojących za nim trzymał sztandar z białą sylwetką konia na zielonym tle. Znak Reacheya. Co oznaczało, że starcem zapewne jest sam Reachey.

Beck dopiero teraz zaczynał wszystko rozumieć. Północni również przypuścili atak, tak jak zapowiadał Mokry, i zaskoczyli Unionistów w domach i krętych uliczkach. Zepchnęli ich za rzekę. Gdy do Becka dotarło, że zapewne dzisiaj nie umrze, miał ochotę się rozplakać. Może by to zrobił, gdyby oczy już mu nie łzawiły od dymu.

– Reachey!

Stary wojownik się obejrzał.

– Mokry! Wciąż żyjesz, stary draniu?

– Jakoś się trzymam, wodzu. Było ciężko.

– O tak. Złamałem topór! Unioniści mają mocne hełmy. Ale niewystarczająco mocne. – Reachey rzucił rozszczepiony trzonek na zrujnowany plac. – Wykonałeś tutaj kawał dobrej roboty.

– Ale straciłem prawie wszystkich chłopców – odparł Mokry.

– Został mi tylko ten. – Poklepał Becka po ramieniu. – Sam załatwił czterech drani.

– Czterech? Jak się nazywasz, chłopcze?

Beck gapił się na Reacheya i jego Imiennych. Wszyscy go obserwowali. Powinien wyprowadzić ich z błędu. Powiedzieć prawdę. Ale nawet gdyby był wystarczająco odważny, a nie był, to czuł się zbyt zmęczony, żeby wypowiedzieć tyle słów. Dlatego odrzekł jedynie:

– Beck.

– Po prostu Beck?

– Tak.

Reachey się wyszczerzył.

– Mężczyzna taki jak ty potrzebuje dłuższego imienia. Nazwiemy cię... – Przez chwilę mierzył Becka wzrokiem, po czym pokiwał głową, jakby znalazł odpowiedź. – Czerwony Beck. – Odwrócił się w siodle i wykrzyknął do swoich Imiennych: – Jak wam się to podoba, chłopcy?! Czerwony Beck!

A oni zaczęli bębnić w tarcze rękojęściami mieczy i tłuc rękawicami w piersi, robiąc mnóstwo hałasu.

– Widzicie?! – zawołał Reachey. – Właśnie takich chłopców

nam potrzeba! Popatrzcie na niego wszyscy! Znajdźmy więcej takich ludzi! Więcej małych krwawych drani!

Wszyscy śmiali się, wiwatowali i z uznaniem kiwali głowami. Przede wszystkim dlatego, że wojska Unii zostały zepchnięte za most, ale także na cześć Becka i jego krwawego dnia. Beck zawsze pragnął szacunku, towarzystwa wojowników, a przede wszystkim groźnego imienia. Teraz zyskał to wszystko, tylko dlatego, że ukrył się w kredensie, a potem zabił jednego ze swoich kompanów i przypisał sobie jego zasługi.

– Czerwony Beck. – Mokry uśmiechnął się z dumą, jak ojciec obserwujący pierwsze kroki swojego dziecka. – Co ty na to, chłopcze?

Beck wbił wzrok w ziemię.

– Nie wiem.

Zasady

– Ach! – Gnat instynktownie odsunął się od igły, co tylko sprawiło, że nitka boleśniej szarpnęła go za policzek. – Ach!

– Częstość – mruknął Whirrun – lepiej jest pogodzić się z bólem niż próbować od niego uciec. Rzeczy stają się mniejsze, gdy stawiamy im czoło.

– Łatwo mówić, gdy to ty trzymasz igłę. – Gnat wciągnął powietrze przez zęby, gdy czubek igły ponownie wbił mu się w policzek. Już wcześniej zakładano mu szwy, ale zaskakująco szybko zapomniał, jak to boli. Teraz wspomnienie powróciło. – Może najlepiej byłoby załatwić to jak najszybciej.

– Zgadza się, ale, niestety, muszę przyznać, że jestem lepszym zabójcą niż lekarzem. Bardzo nad tym boleję. Potrafię szyć i odróżnić wroniaka od alomanteru oraz wiem, jak nacierać nimi bandażę, a także umiem zanucić kilka czarów...

– Są skuteczne?

– W moim wykonaniu? Nadają się tylko do odstraszenia kotów.

– Ach! – stęknął Gnat, gdy Whirrun ścisnął jego ranę palcami i ponownie przepchnął igłę przez skórę. Naprawdę powinien przestać jęczeć. Dookoła nie brakowało ludzi, którym przytrafiły się rzeczy znacznie poważniejsze niż zadrapanie na policzku.

– Przepraszam – stęknął Whirrun. – Rozmyślam o tym od czasu do czasu w wolnych chwilach...

– Masz ich bez liku, prawda?

– Cóż, nie śpieszysz się z pokazaniem mi mojego przeznaczenia. Zresztą, wydaje mi się, że człowiek może bardzo szybko zrobić dużo złego. Wystarczy jedno machnięcie ostrzem. Dobre uczynki wymagają czasu oraz złożonych wysiłków. Większość ludzi nie ma do tego cierpliwości. Zwłaszcza obecnie.

– Takie nastaly czasy. – Gnat na chwilę zamilkł, gryząc płat skóry zwisający mu z dolnej wargi. – Zbyt często to powtarzam? Upodabnam się do ojca? Zmieniam się w nudnego starego głupca?

– Jak wszyscy bohaterowie.

Gnat parsknął.

– Ci, którzy żyją na tyle długo, by usłyszeć pieśni o swoich czynach.

– To straszliwe brzemie, słuchać, jak o nas śpiewają. Każdy stałby się gnojem.

– Nawet gdyby wcześniej nim nie był.

– Co jest mało prawdopodobne. Myślę, że słuchanie pieśni o wojownikach dodaje ludziom odwagi, ale wielki wojownik musi być przynajmniej w połowie szalony.

– Ależ znam kilku wielkich wojowników, którzy nie są szaleńcami. Tylko bezdusznymi, lekkomyślnymi i samolubnymi draniami.

Whirrun odgryzł końcówkę nitki.

– To także często się zdarza.

– A kim ty jesteś, Whirrunie? Szaleńcem czy bezdusznym fiutem?

– Staram się wypełnić lukę.

Gnat zachichotał pomimo pulsującego bólu.

– No proszę. To dopiero bohaterska postawa.

Whirrun oparł się na piętach.

– Gotowe. Nawet nieźle wyszło, choć nie lubię się chwalić. Może jednak powinienem porzucić zabijanie i zająć się leczeniem.

Ryczący głos przebił się przez ciche brzęczenie, które wciąż dokuczało Gnatowi.

– Może po bitwie, dobrze?

Whirrun zamrugał i podniósł wzrok.

– Czyż to nie Obrońca Północy? Od razu czuję się... broniony. Jakby ktoś otulił mnie ciepłym płaszczem.

– Od zawsze robię na ludziach takie wrażenie. – Dow popatrzył na Gnata, opierając ręce na biodrach. Za jego plecami świeciło jaskrawe słońce.

– Będę mógł trochę powalczyć? – Whirrun powoli wstał, podnosząc miecz. – Przybyłem tutaj, żeby wypełniać groby, a Ojciec Mieczy jest coraz bardziej spragniony.

– Podejrzewam, że niedługo znajdę ci coś do zabicia. Tymczasem chciałbym porozmawiać na osobności z Curndenem Gnatem.

Whirrun klepnął się dłonią w pierś.

– Nie mam zamiaru stawać między kochankami. – Po czym wymknął się i ruszył w górę wzgórza z mieczem zarzuconym na ramię.

– Co za dziwak – rzekł Dow, obserwując odchodzącego Whirruna.

Gnat stęknął, prostując nogi, i powoli wstał. Potrząsnął obolałymi stawami.

– On trochę udaje. Wiesz jak to jest, mieć reputację, której trzeba dorównać.

– Sława to więzienie, bez wątpienia. Jak twoja twarz?

– Mam szczęście, że zawsze byłem brzydki. Nie wyglądam gorzej niż wcześniej. Już wiemy, co narobiło takiego spustoszenia?

Dow pokręcił głową.

– Kto nadaży za Południowcami? Jakaś nowa broń. Czarodziejskie sztuczki.

– To nienaturalne tak po prostu zabijać ludzi na odległość.

– Czyżby? Wielki Rozjemca i tak czeka na nas wszystkich. Zawsze pojawi się ktoś silniejszy, szybszy i obdarzony większym szczęściem, a im więcej walczysz, tym szybciej cię znajdzie. Tak wygląda nasze życie. Pędzimy na spotkanie tej chwili.

Gnat nie był pewien, czy podoba mu się taka wizja.

– W bitewnej linii, podczas szarży albo w kręgu człowiek przynajmniej może walczyć. Udawać, że ma wpływ na wynik. – Skrzywił się, gdy dotknął opuszkami palców świeżych szwów. – Jak napisać pieśń o kimś, kogo głowa rozleciała się na kawałki, gdy akurat mówił coś mało ważnego?

– Tak jak w przypadku Rozciętołosego.

– Zgadza się. – Gnat chyba nigdy nie widział kogoś bardziej martwego niż ten drań.

– Chciałbym, żebyś zajął jego miejsce.

– Co? – odrzekł Gnat. – Wciąż piszczy mi w uszach. Chyba źle cię usłyszałem.

Dow się nachylił.

– Chciałbym, żebyś został moim zastępcą. Poprowadził moich Carlów. Pilnował moich pleców.

Gnat wzbił w niego wzrok.

– Ja?

– Przecież, kurwa, mówię.

– Ale... dlaczego akurat ja, do diabła?

– Masz doświadczenie i cieszysz się szacunkiem... – Dow przez chwilę patrzył na Gnata z zaciśniętymi zębami. Potem machnął ręką jakby próbował uderzyć muchę. – Przypominasz mi Trójdrzewca.

Gnat zamrugął. To była jedna z najwspanialszych rzeczy, jakie ktokolwiek do niego powiedział, a do tego pochodziła od człowieka, który nie słynął z łatwych komplementów. Ani żadnych innych.

– Cóż... nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję, wodzu. To dużo dla mnie znaczy. Piekielnie dużo. Jeśli kiedyś stanę się chociaż w jednej dziesiątej takim człowiekiem jak Trójdrzewiec, będę zadowolony...

– Sram na to. Po prostu powiedz, że się zgadzasz. Potrzebuję kogoś, na kim będę mógł polegać, Gnacie, a ty działasz według dawnych zasad. Niewielu was już zostało. Po prostu powiedz, że się zgadzasz. – Zrobił dziwną minę. Jego usta wykrzywił niewyraźny, dziwaczny grymas. Gdyby Gnat nie znał Dowa lepiej, pomyślałby, że to strach. Nagle zrozumiał.

Dow nie miał nikogo, komu mógłby zaufać. Żadnych przyjaciół poza ludźmi, których zmusił do służby, a poza nimi całą masę wrogów. Nie miał innego wyboru jak zaufać człowiekowi, którego ledwie znał, ponieważ ten przypominał mu dawnego kompana, który dawno temu trafił do ziemi. Oto koszt wielkiego nazwiska. Plon życia poświęconego czarnej robocie.

– Oczywiście, że się zgadzam. – Powiedział to tak po prostu. Może w tej chwili było mu żal Dowa, jakkolwiek wariacko to brzmiało. Może rozumiał samotność wodza. A może popioły jego

ambicji, które już dawno wygasły obok grobów jego braci, po raz ostatni się rozżarzyły, gdy Dow je rozgarnął. Tak czy inaczej, zgodził się i już nie miał odwrotu. Nie zastanawiał się, czy to właściwa decyzja dla niego, jego dwunastki ani nikogo innego. Od razu poczuł, że popełnił straszliwy błąd. – Ale tylko na czas trwania bitwy – dodał, rozpaczliwie wiosłując, by oddalić się od wodospadu. – Wypełnię tę lukę, dopóki nie znajdziesz kogoś lepszego.

– Brawo. – Dow wyciągnął dłoń, a Gnat ją uścisnął. Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył znajomy wilczy uśmiech, bez cienia słabości bądź strachu. – Postąpiłeś właściwie.

Gnat patrzył, jak Dow wspina się na wzgórze w stronę głazów, i zastanawiał się, czy wódz rzeczywiście miał moment słabości, czy po prostu przywdział taką maskę. Postąpił właściwie? Przecież właśnie został prawą ręką jednego z najbardziej znienawidzonych ludzi na świecie. Człowieka, który ma więcej wrogów niż ktokolwiek inny w krainie, gdzie wszyscy mają ich zbyt wielu. Człowieka, którego nawet nieszczególnie lubił, a teraz przysiągł bronić. Głośno jęknął.

Co by o tym powiedziała jego dwunastka? Yon pokręciłby głową z nachmurzoną miną. Drofd sprawiałby wrażenie zranionego i zagubionego. Brack podrapałby się w skroń swoim... Brack wrócił do ziemi, nagle uświadomił sobie Gnat. A Cudna? Na spokój zmarłych, co ona miałyby do...

– Gnacie. – I oto znalazła się u jego boku.

– Ach! – zawołał, cofając się o krok.

– Jak twarz?

– Eee... w porządku... chyba. Pozostałym nic nie jest?

– Yon ma drzazgę w dłoni, przez co jest jeszcze bardziej marudny, ale przeżyje.

– Dobrze. To... dobrze. Oczywiście, że wszyscy żyją, a nie że...
Yon ma drzazgę.

Ściągnęła brwi, zgadując, że wydarzyło się coś złego, co nie było trudne, gdyż Gnat nie potrafił niczego ukryć.

– Czego chciał nasz szlachetny Obrońca?

– Chciał... – Gnat przez chwilę poruszał ustami, zastanawiając się, jak to ująć, ale doszedł do wniosku, że gównem i tak zawsze pozostanie gównem. – Chciał mi zaproponować stanowisko Rozciętostopego.

Spodziewał się, że Cudna wybuchnie śmiechem, ale tylko zmrużyła oczy.

– Tobie? Dlaczego?

Dobre pytanie. Sam się nad tym zastanawiał.

– Powiedział, że mam zasady.

– Rozumiem.

– Powiedział, że... przypominam mu Trójdrzewca. – Gdy tylko to powiedział, zdał sobie sprawę, że zabrzmiał jak napuszony dupek.

Tym razem nie miał wątpliwości, że Cudna go wyśmieje, lecz ona jeszcze bardziej zmrużyła oczy.

– Jesteś człowiekiem godnym zaufania. Wszyscy to wiedzą. Ale widzę bardziej przekonujące powody.

– Jakie?

– Byłeś w bliskich stosunkach z Bethodem i jego ludźmi, a wcześniej z Trójdrzewcem, więc może Dow uważa, że sprowadzisz mu kilku nowych przyjaciół. A przynajmniej usuniesz kilku wrogów. – Gnat zmarszczył czoło. Te powody bardziej do niego przemawiały. – Poza tym wie, że Whirrun wszędzie za tobą pójdzie, a warto mieć takiego człowieka przy

sobie, gdy robi się niebezpiecznie. – Psiakrew. Znów miała rację. Od razu wszystko przejrzała. – A znając Czarnego Dowa, z pewnością będzie niebezpiecznie... Co mu odpowiedziałeś?

Gnat się skrzywił.

– Zgodziłem się. – Po chwili szybko dodał: – Tylko na czas trwania bitwy.

– Rozumiem. – Wciąż bez złości ani zaskoczenia. Po prostu na niego patrzyła. To denerwowało go jeszcze bardziej, niż gdyby dała mu w twarz. – A co z dwunastką?

– Cóż... – Wstyd przyznać, ale nawet się nad tym nie zastanawiał. – Pewnie pójdziecie ze mną, jeśli będziecie chcieli. Chyba że wolicie wrócić na swoje gospodarstwa i do rodzin, żeby...

– Zrezygnować z wojaczki?

– Tak.

Cudna parsknęła.

– Fajka, weranda i zachód słońca odbijający się w wodzie? To coś dla ciebie, nie dla mnie.

– A więc... Na razie to ty obejmiesz dowodzenie nad dwunastką.

– W porządku.

– Nie masz zamiaru mnie skrzyczeć?

– Z jakiego powodu?

– Na przykład dlatego, że nie posłuchałem własnych rad. Miałem się nie wychylać, przeprowadzić całą drużynę bezpiecznie przez to zamieszanie, ponieważ stare konie nie potrafią przeskakiwać nowych przeszkód, bla, bla, bla...

– To ty tak powiedziałaś, Gnacie, ale ja nie jestem tobą.

Zamrugął.

– Pewnie nie. Zatem uważasz, że postąpiłem właściwie?

– Właściwie? – Odwróciła się z cieniem uśmiechu na twarzy.

– Oto cały ty. – Odeszła w stronę Bohaterów, opierając jedną dłoń na rękojeści broni i pozostawiając go na wietrze.

– Na spokój przeklętych zmarłych. – Popatrzył w poprzek zbrocza, nerwowo szukając jakiegoś palca, na którym pozostał paznokieć do obgryzienia.

Niedaleko stał Dreszcz. Nie odzywał się. Tylko patrzył. Wyglądał jak człowiek, który poczuł, że ktoś zagroził mu drogę. Gnat jeszcze bardziej się skrzywił. Miał wrażenie, że grymas niezadowolenia na stałe zagościł na jego obliczu. „Najgorszym wrogiem człowieka jest jego własna ambicja”, zwykł mawiać Bethod. To przez nią wpakował się w to gówno.

– Witaj w gównie – mruknął pod nosem. Na tym polega problem z błędami. Można je popełnić w mgnieniu oka. Przez lata chodzi się na palcach jak głupiec, a potem wystarczy chwila nieuwagi i...

Bam.

Ucieczka

Finree wydawało się, że są w jakiejś szopie. Pod nogami miała wilgotną ziemię, a zimny przeciąg przyprawiał ją o dreszcze. Cuchnęło stęchlizną i zwierzętami.

Zawiązali jej oczy i przeprowadzili przez mokre pola do lasu. Kłosa owijały się wokół jej stóp, krzaki szarpały ją za sukienkę. Na szczęście, miała na nogach buty do jazdy konnej, w przeciwnym razie wkrótce byłaby bosa. Miała wrażenie, że za sobą słyszy odgłosy walki. Aliz jeszcze przez jakiś czas wrzeszczała coraz bardziej zachrypniętym głosem, aż w końcu umilkła. To niczego nie zmieniło. Przepłynęły jakąś wodę na poskrzypującej łodzi. Może przeprowiły się na północny brzeg rzeki. Potem wepchnięto je tutaj i Finree usłyszała trzask zamykanych drzwi oraz stuk zakładanej sztaby.

Pozostawiono je w ciemności, żeby czekały, nie wiedząc na co.

Gdy Finree odzyskała oddech, zaczął jej dokuczać ból. Piekła ją skóra na głowie, czuła nieprzyjemne łupanie w czaszce, a jej szyja posyłała wściekłe ukłucia bólu między łopatki za każdym razem, gdy próbowała obrócić głowę. Jednakże niewątpliwie miała więcej szczęścia od większości ludzi uwięzionych w gospodzie.

Zastanawiała się, czy Hardrick dotarł w bezpieczne miejsce, czy też dzicy dopadli go na polach i jego bezużyteczna wiadomość nie dotarła do adresata. Wciąż widziała twarz majora, który zatoczył się w bok zalany krwią wypływającą

z rozbitej głowy, tak bardzo zaskoczony. A także Meeda, który trzymał się za kipiącą ranę na szyi. Wszyscy zginęli. Wszyscy.

Wzięła bolesny oddech i odpędziła od siebie tę myśl. Nie mogła się tym zadrećcać, tak jak linoskoczek nie może myśleć o ziemi czekającej w dole. „Zawsze patrz przed siebie” – mawiał jej ojciec, gdy zdejmował kolejny z jej pionów z planszy do gry w kwadraty. „Skupiaj się na tym, co możesz zmienić”.

Aliz szlochała od chwili, gdy zamknęły się drzwi. Finree miała ochotę ją uderzyć, ale związane jej ręce. Była pewna, że płacz ich nie uratuje. Chociaż nie miała żadnych lepszych pomysłów.

– Cicho – syknęła. – Proszę, bądź cicho. Muszę pomyśleć. Proszę. Proszę.

Szloch zmienił się w urywane jęki, co tylko pogorszyło sytuację.

– Czy oni nas zabijają? – pisnęła Aliz i pociągnęła nosem. – Zamordują nas?

– Nie. Już by to zrobili.

– Więc co z nami zrobią?

To pytanie było jak oddzielająca je bezdenna otchłań, którą wypełniały tylko echa ich oddechów. Finree zdołała usiąść, zaciskając zęby pod wpływem bólu w szyi.

– Musimy myśleć, rozumiesz? Musimy przewidywać. Spróbować uciec.

– Jak? – jęknęła Aliz.

– Jak się da!

Cisza.

– Musimy spróbować. Masz wolne ręce?

– Nie.

Stękając z wysiłku, Finree przeczołgała się pod ścianę, szorując sukienką po podłodze. Zmieniła pozycję, trąc opuszkami palców o kruszący się tynk i wilgotne kamienie.

– Jesteś tam? – pisnęła Aliz.

– A gdzie mam być?

– Co robisz?

– Staram się uwolnić rękę. – Jej nadgarstek o coś zahaczył, sukienka się rozdarła.

Wspięła się oparta plecami po ścianie, przesuważąc palcami po zaczepionym materiale. Zardzewiałe okucie. Starła płatki rdzy palcem wskazującym i kciukiem. Pod spodem wymacała nierówny ostry czubek i poczuła nagły przypływ nadziei. Rozsunęła nadgarstki, starając się wymacać metal łączącym je sznurem.

– A co zrobisz, jeśli je uwolnisz? – spytała Aliz przenikliwym głosem.

– Uwolnię twoje – mruknęła Finree przez zaciśnięte zęby. – A potem stopy.

– I co potem? Co z drzwiami? Na pewno pilnują ich strażnicy. Gdzie jesteśmy? Co zrobimy, jeśli...

– Nie wiem! – Z trudem zapanowała nad głosem. – Nie wiem. Jedna bitwa na raz. – Nie przestawała trzeć więzami o okucie. – Jedna bitwa... – Obsunęła jej się ręka i Finree upadła do tyłu, czując, że metal pozostawia na jej ręku piekące skaleczenie. – Ach!

– Co się stało?

– Skaleczyłam się. To nic takiego. Nie martw się.

– Mam się nie martwić? Zostałyśmy pojmane przez Północnych! Przez dzikich! Czy widziałaś...

– Chodziło mi o to, żebyś nie martwiła się skaleczeniem! I tak, wszystko widziałam. – Dlatego musi się skupić na tym, co może zmienić. Na razie uwolnienie rąk stanowi wystarczające wyzwanie. Nogi bolały ją od stania pod ścianą, na palcach czuła tłustą wilgoć krwi, a na twarzy pot. Łupało ją w głowie, a każdy ruch ramion przeszywał szyć potwornym bólem. Przesuwała sznurem po kawałku zardzewiałego metalu, tam i z powrotem, stękając z frustracji. – Psiakrew, zaraza... Ach!

Nagle sznur pękł. Zrzuciła z oczu przepaskę. Bez niej widziała niewiele więcej. Odpryski światła wokół drzwi, pomiędzy deskami. Popękane ściany lśniące od wilgoci, posadzka zasypana ubłoconą słomą. Aliz klęczała w odległości jednego albo dwóch kroków. Jej sukienkę pokrywał brud, a związane dłonie bezwładnie spoczywały na kolanach.

Finree, skacząc, zbliżyła się do przyjaciółki – wciąż miała nogi związane w kostkach – i uklękła. Ściągnęła Aliz opaskę z oczu, po czym mocno ścisnęła jej dłonie. Odezwała się powoli, patrząc jej prosto w oczy otoczone różowymi obwódkami.

– Uciekniemy. Musimy. Uda się.

Aliz pokiwała głową, a jej usta na chwilę wykrzywiły się w rozpaczliwym uśmiechu pełnym nadziei. Finree popatrzyła na jej nadgarstki. Szarpała supły zdrętwiałymi kciukami; przygryzała język, gdy rozplątywała więzy połamanymi paznokciami...

– Skąd on wie, że je mam?

Finree zmartwiała. Usłyszała, jak ktoś mówi w języku Północy, i zbliżające się ciężkie kroki. Poczowała, że Aliz znieruchomiała w ciemności i wstrzymała oddech.

– Najwyraźniej ma swoje sposoby.

– Jak dla mnie, jego sposoby mogą zatonać w ciemnych

zakamarkach świata. – To był głos olbrzyma, cichy i powolny, lecz tym razem pobrzmiwała w nim złość. – Kobiety należą do mnie.

– On chce tylko jedną. – Drugi głos przypominał szorstki szept, jakby mówiący miał gardło pełne piachu.

– Którą?

– Brązowowłosą.

Wściekle parsknięcie.

– Nie. Planowałem, że da mi dzieci.

Finree wytrzeszczyła oczy. Oddech zamarł jej w gardle. Rozmawiali o niej. Zaczęła jeszcze szybciej mocować się z supłem na nadgarstkach Aliz, przygryzając wargę.

– Ile dzieci potrzebujesz? – spytał szepczący mężczyzna.

– Chodzi mi o cywilizowane dzieci. Takie jak w Unii.

– Co takiego?

– Słyszałeś. Cywilizowane dzieci.

– Takie, które jedzą widelcem? Byłem w Styrii. Byłem w Unii.

Uwierz mi, że cywilizacja nie jest taka wspaniała, jak się mówi.

Przez chwilę panowała cisza.

– Czy to prawda, że oni tam mają dziury, do których człowiek sra, a gówno gdzieś odpływa?

– I co z tego? Gówno to gówno. Gdzieś musi trafić.

– Pragnę cywilizacji. Chcę mieć cywilizowane dzieci.

– Wykorzystaj żółtowłosą.

– Mniej mi się podoba. Poza tym jest tchórzliwa, ciągle tylko płacze. Brązowowłosa zabiła jednego z moich ludzi. Nie brakuje jej kości, a dzieci dziedziczą odwagę po matce. Nie chcę, żeby moje dzieci były tchórzami.

Szept stał się zbyt cichy, by Finree mogła go zrozumieć.

Rozpaczliwie szarpała paznokciami węzły, klnąc bezgłośnie.

– Co oni mówią? – spytała Aliz przerażonym skrzekliwym szeptem.

– Nic – syknęła Finree. – Nic.

– Czarny Dow traktuje mnie bardzo władczo – ponownie rozległ się głos olbrzyma.

– Wszystkich nas tak traktuje. Taki już jest. W końcu do niego należy łańcuch władzy.

– Sram na jego łańcuch. Nieznajomy-u-Bram nie służy nikomu poza niebem i ziemią. Czarny Dow nie może rozkazywać...

– On nie rozkazuje. Grzecznie prosi. Możesz się nie zgodzić. Wtedy ja mu przekażę twoje słowa i zobaczymy.

Zapadła cisza. Finree przycisnęła język do zębów. Węzeł zaczął ustępować...

Drzwi otworzyły się na oścież i kobiety zamrugały pod wpływem światła. W wejściu stanął mężczyzna. Jedno z jego oczu było dziwnie jasne. Zbyt jasne. Schylił się pod nadprożem i Finree zauważyła, że jego oko jest wykonane z metalu i tkwi pośrodku olbrzymiej plamistej blizny. Nigdy nie widziała potworniejszego człowieka. Aliz wydała z siebie urywane sapnięcie. Była zbyt wystraszona, żeby krzyżeć.

– Uwolniła ręce – szepnął mężczyzna.

– Mówiłem, że nie brakuje jej kości – odrzekł olbrzym stojący na zewnątrz. – Powiedz Czarnemu Dowowi, że oczekuję zapłaty. Za kobietę i za zniewagę.

– Powiem.

Żelaznooki wszedł do pomieszczenia i wyciągnął coś zza paska. To był nóż, Finree zobaczyła błysk metalu w ciemności. Aliz też go dostrzegła. Jęknęła i mocno chwyciła palce

przyjaciółki, a ta odwzajemniła uścisk. Nie była pewna, co innego może zrobić. Mężczyzna przykucnął przed nimi, opierając przedramiona na kolanach i zwieszając dłonie. W jednej luźno trzymał nóż. Finree szybko przenosiła wzrok z lśniącego ostrza na lśniące metalowe oko, nie wiedząc, co jest gorsze.

– Wszystko ma swoją cenę, prawda? – wyszeptał do niej żelaznooki.

Jednym ruchem przeciął sznur pomiędzy jej kostkami. Potem sięgnął za plecy i błyskawicznie zarzucił jej na głowę płócienny worek, pogrążając ją w zatęchłej ciemności cuchnącej cebulą. Chwycił ją pod pachą i podniósł, wyrywając jej dłoń z bezwładnego uścisku przyjaciółki.

– Zaczekaj! – krzyknęła Aliz. – A co ze mną? Co ze...

Drzwi zamknęły się z łoskotem.

Most

Wasza Królewska Mość!

Jeśli ten list do Was dotrze, to znaczy, że poległem w bitwie, walcząc za Waszą sprawę do ostatniego tchu. Piszę go tylko po to, by przekazać Waszej Królewskiej Mości to, czego nie mogłem powiedzieć osobiście: że dni, które spędziłem w służbie jako rycerz na Waszym dworze, zwłaszcza jako dowódca gwardii przybocznej, należały do najszcześniejszych w moim życiu, a dzień, w którym straciłem to stanowisko, okazał się najsmutniejszy. Jeśli w coś zawiodłem Waszą Królewską Mość, to proszę o wybaczenie. Proszę zapamiętać mnie takim, jakim byłem przed Sipi: sumiennym, starannym i zawsze bezgranicznie lojalnym.

*Żegnam z wyrazami sympatii,
Bremer dan Gorst*

Zrezygnował z „wyrazów sympatii” i je wykreślił. Pomyślał, że powinien przepisać cały list, ale nie miał na to czasu. Odrzucił pióro, złożył papier, nie kłopotząc się zebraniem nadmiaru atramentu, po czym schował wiadomość pod napierśnik.

Niewykluczone, że znajdą go przy moim zasranym trupie. Być może kartka będzie efektownie zakrwawiona na rogu? Ostatni list! Ale do kogo? Czyżby do rodziny? Do ukochanej? Do

przyjaciół? Nie, ten żalosny głupiec ich nie miał, więc napisał list do króla! Zaniósł go na aksamitnej poduszce do sali tronowej Jego Królewskiej Mości, u którego może wzbudzi choć odrobinę poczucia winy. Pojedyncza połyskująca łza rozbija się o marmurową posadzkę. Och! Biedny Gorst, jakże nieuczciwie go wykorzystano! Okradziono ze stanowiska! Niestety, jego krew nawodniła cudzoziemskie pola, daleko od ciepła mej chwały! Co mamy na śniadanie?

Na Starym Moście trzeci szturm osiągnął krytyczny etap. Na wąskiej przeprawie kłębiły się rzędy zdenerwowanych żołnierzy, którzy bez entuzjazmu czekali na swoją kolej, podczas gdy ranni, wyczerpani i z innych powodów niezdolni do walki zataczali się w przeciwnym kierunku. Determinacja ludzi Mittericka słabła. Gorst widział to na bladych twarzach oficerów, słyszał to w ich nerwowych głosach, w szlochaniu rannych. Sukces i klęska balansowały na ostrzu noża.

– Gdzie, do diabła, jest ten przeklęty Vallimir? – Mitterick wrzeszczał do wszystkich i nikogo. – Wredny tchórz, dyscyplinarnie zwolnię go ze służby! Osobiście tam pojedę! Gdzie się zapodział Felnigg? Gdzie...? Co...? Kto...?

Jego słowa utonęły w gwarze, gdy Gorst zszedł ku rzece, weselejąc z każdym żwawym krokiem, jakby z jego ramion kawałek po kawałku opadał wielki ciężar.

Minął go jeden z rannych żołnierzy, który obejmował ramieniem swojego kompana i przyciskał zakrwawioną szmatę do oka. Ktoś się nie załapie na przyszłoroczny turniej łuczniczy! Kolejnego rannego ciągnięto na noszach. Krzyczał żałościwie na każdej nierówności terenu, a kikut nogi miał ciasno owinięty zakrwawionym bandażem. Koniec ze spacerami po parku! Wyszczrzył się do jęczących rannych leżących obok błotnistej

szlaku i wesoło im zasalutował. Cóż za pech, moi towarzysze! Życie jest niesprawiedliwe, czyż nie?

Przeszedł przez rozproszone obrzeża tłumu, po czym wcisnął się w gęstszą ludzką ciżbę. Przepychał się między stłoczonymi ciałami, czując narastający wokół niego podniecający strach. Ludzie pozwalali, by kierowały nimi emocje. Popychali się nawzajem, uderzali łokciami, wykrzykiwali bezcelowe obelgi. Groźnie wymachiwali bronią. Od czasu do czasu spadały na nich zabłąkane strzały, ale nie były to już całe salwy, tylko nieśmiałe pojedyncze próby. Drobnе podarunki od naszych przyjaciół po drugiej stronie. Ależ nie trzeba było!

Błotnisty teren pod stopami Gorsta wyrównał się, potem zaczął się wznosić, aż w końcu zastąpiły go stare kamienne płyty. Pomiedzy powykrzywianymi twarzami pułkownik dostrzegł rzekę i omszałą balustradę mostu. Pośród ogólnego hałasu wychwycił metaliczną bitewną nutę, która przyzywała jego serce jak głos kochanki dobiegający z drugiej strony zatłoczonego pokoju. Jak zapach fajeczki z plewami wzywa uzależnionego. Wszyscy mamy jakieś słabości. Drobnе obsesje. Trunki, kobiety, karty. A oto moja.

Taktyka i technika były tutaj bezużyteczne. Potrzeba było brutalnej siły i wściekłości, a niewielu ludzi dorównywało Gorstowi pod tym względem. Opuścił głowę i napał na tłum, tak samo jak kilka dni wcześniej postąpił z uwięzionym wozem. Zaczął stękać, potem ryczeć, a następnie syczeć, gdy przebijał się przez żołnierzy, jak pług przez glebę, bezlitośnie pchając tarczą i ramieniem, depcząc zabitych i rannych. Bez gadania. Bez przeproszania. Bez upokorzeń.

– Z drogi, kurwa! – zaskrzeczał, przewracając jednego z żołnierzy na twarz i używając go jako dywanika.

Błysnął metal i grot włóczni uderzył w jego tarczę. Przez chwilę Gorst myślał, że to któryś z Unionistów się zbuntował, ale po chwili zauważył, że na drugim końcu włóczni stoi Północny. Witaj, przyjacielu! Pomimo ścisku pułkownik spróbował dobyć broni, by zrobić z niej właściwy użytek, ale wtedy ktoś mocno pchnął go od tyłu i Gorst zderzył się z właścicielem włóczni, tak że obaj niemal zetknęli się nosami. To był brodacz z blizną na górnej wardze.

Gorst kilkakrotnie uderzył go w twarz czołem, pchnął na ziemię i zaczął deptać mu głowę, póki nie ustąpiła pod jego butem. Zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas krzyczy falsetem. Nawet nie był pewien, jakie słowa wyrzaskiwał, jeśli w ogóle używał słów. Wszędzie dookoła ludzie robili to samo, obrzucając się obelgami, których druga strona i tak nie mogła zrozumieć.

Gorst ujrzał przebłysk nieba pośród gęstwiny drzewc i pchnął rapierem. Kolejny Północny przechylił się, cicho rżąc z zaślinionymi ustami zastygłymi w zaskoczonym okręgu. Było za ciasno, żeby się zamachnąć. Gorst zacisnął zęby i dźgał, dźgał, dźgał, a czubek jego broni chrząścił na zbrojach, kłuł ciała, naznaczył czyjąś rękę długim czerwonym rozcięciem.

Ponad krawędzią tarczy Gorsta na chwilę pojawiła się rycząca twarz, a pułkownik zaparł się nogami i odepchnął wroga, uderzając go w pierś, szczękę i nogi. Północny zatoczył się do tyłu i z piskliwym wrzaskiem przeleciał przez balustradę, a jego włócznia spadła do bystrej rzeki. Jakimś cudem udało mu się chwycić krawędzi drugą ręką. Rozpaczliwie zaciśnięte palce bieleły na kamieniu, krew ciekła z opuchniętego nosa, oczy wznosiły się błagalnie.

Litości? Pomocy? Może przynajmniej wyrozumiałości? Czyż

wszyscy nie jesteśmy tylko ludźmi? Braćmi, którzy wspólnie podążają poplątanymi ścieżkami żywota? Czy nie moglibyśmy zostać najlepszymi przyjaciółmi, gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach?

Gorst uderzył tarczą w dłoń, miażdżąc kość metalową krawędzią, i popatrzył, jak mężczyzna koziółkuje i wpada do rzeki.

– Unia! – wrzasnął ktoś. – Unia! – Czyżby to on? Czuł, że rozochoceni żołnierze prą przez most niepowstrzymaną falą, która niosła go na północ jak patyk. Powalił kogoś ciosem długiego ostrza, rozplątał komuś innemu głowę rogiem tarczy, skręcając pasek w dłoni. Uśmiechał się tak szeroko, że rozboleła go twarz, a każdy oddech płonął radością. To jest życie! To jest życie! Cóż, może nie dla nich, ale...

Nagle wypadł na pustą przestrzeń. Rozpostarły się przed nim pola, złociste zboże falujące na wietrze w wieczornym słońcu jak w raj, który Prorok obiecuje gurkijskim sprawiedliwym. Północni biegli. Niektórzy uciekali, inni się zbliżali. Kontrnatarcie prowadził potężny wojownik odziany w płyty z czarnego metalu przypięte paskami do czarnej kolczugi. W jednej dłoni osłoniętej rękawicą trzymał długi miecz, a w drugiej ciężki buzdygan. Stał błyskała ciepło i zachęcająco w łagodnym popołudniowym świetle. Carlowie podążali za nim, tworząc opancerzony klin, unosząc tarcze z wymalowanymi jaskrawymi wzorami, wznosząc grzmiące okrzyki: „Szalka! Szalka!”.

Unioniści stanęli, tylko czoło natarcia wciąż niechętnie przesuwano się naprzód pod naporem tłumu. Gorst stał na przodzie i z uśmiechem patrzył na zachodzące słońce. Nie śmiał nawet drgnąć, by nie zburzyć nastroju, zachwycony sceną jak

z opowieści, które czytał jako chłopiec. Jak na tym absurdalnym obrazie w bibliotece ojca przedstawiającym Haroda Wielkiego stojącego przed Ardlikiem z Kelnu.

Spotkanie mistrzów! Zaciśnięte zęby i pośladki! Chwalebne życie, chwalebna śmierć i chwalebna... chwała?

Wojownik w czerni wpadł z tupotem na most. Ze świstem zamachnął się ostrzem na wysokości ramienia, a Gorst sparował cios, który odebrał mu oddech. Po chwili Północny uderzył buzdyganem; ciężka głowica pozostawiła wgłębienie na tarczy pułkownika tuż przed jego nosem.

Gorst odpowiedział dwoma wściekłymi cięciami, wysokim i niskim. Mężczyzna w czerni uchylił się przed pierwszym ciosem i zablokował drugi trzonkiem buzdyganu, po czym oparł się plecami o tarczę jednego z Unionistów i uderzył mieczem, zmuszając Gorsta do uniku z obrotem.

Mistrz Północy był silny i odważny, ale siła i odwaga nie zawsze wystarczą. Nie przyswoił wszystkich najważniejszych tekstów, jakie napisano na temat szermierki. Nie ćwiczył po trzy godziny dziennie odkąd skończył czternaście lat. Nie przebiegł dziesięciu tysięcy mil w zbroi. Nie wycierpiał wieloletnich gorzkich i rozwścieczających upokorzeń.

A co gorsza zależy mu na zwycięstwie.

Ich ostrza spotkały się w powietrzu z ogłuszającym trzaskiem, ale Gorst idealnie wymierzył cios i Północny się zachwiał, być może oszczędzając słabsze lewe kolano. Pułkownik błyskawicznie do niego dopadł, ale zanim zdążył wziąć zamach, czyjaś zabłąkana broń uderzyła go w naramiennik i pchnęła w czarne ramiona wroga.

Zatoczyli się w niezdarnych objęciach. Północny próbował uderzyć Gorsta trzonkiem buzdyganu, przewrócić, strząsnąć, ale

pułkownik mocno się trzymał. Zdawał sobie sprawę, że wokół trwa bitwa i inni żołnierze również toczą rozpaczliwe zmagania, słyszał trzask miażdżonych ciał i miażdżonego metalu, ale zamknął oczy i zatracił się w tej chwili.

Kiedy ostatnio kogoś obejmowałem? Czy ojciec uściskał mnie, gdy wygrałem półfinałowy pojedynek w turnieju? Nie. Tylko podał mi dłoń. Z zakłopotaniem poklepał po ramieniu. Może by mnie uściskał, gdybym zwyciężył, ale zawiodłem, tak jak przewidział. A więc kiedy? Czy to była kobieta, której za to zapłaciłem? Przypadkowi towarzysze pijaństwa? Czegoś takiego nie pamiętam. Uścisk kogoś, kto jest mi równy i naprawdę mnie rozumie. Gdyby to mogło nigdy się nie skończyć...

Odkoczył do tyłu, cofając głowę przed świszczącym buzdyganem i pozwalając, by mężczyzna minął go chwiejnym krokiem. Ostrze Gorsta z błyskiem pomknęło ku głowie wroga, który w ostatniej chwili odzyskał równowagę i z trudem odbił cios, ale stracił przy tym miecz, który wypadł mu z dłoni pod nogi walczących. Wojownik w czerni wrzasnął i obrócił się, podstępnie uderzając po skosie buzdyganem.

Za dużo krzepy, za mało dokładności. Gorst przewidział cios i bez trudu odbił go tarczą, po czym wślizgnął się w powstałą lukę i szybkim ruchem nadgarstka precyzyjnie ciał przeciwnika w słabsze lewe kolano. Ostrze trafiło w płytę na udzie, ześlizgnęło się na łączenie kolczugi i przebiło ją na wylot. Mężczyzna w czerni zatoczył się w bok i utrzymał na nogach tylko dzięki temu, że kurczowo chwycił się balustrady, szorując buzdyganem po omszałych kamieniach.

Gorst wypuścił powietrze nosem, unosząc rapier i uderzając od góry z pogwałceniem wszystkich szermierczych zasad. Ostrze przecięło grube przedramię Północnego, jego zbroję, ciało i kość,

po czym zabręczczało na starej skale, posyłając w powietrze strumienie krwi, kółka kolczugi i odpryski kamienia.

Mężczyzna w czerni wściekle parsknął, z trudem dźwigając się na nogi, po czym z rykiem zamachnął się buzdyganem, zadając Gorstowi zabójczy cios. A przynajmniej tak by się stało, gdyby wciąż miał rękę. Ku rozczarowaniu ich obu, jak przypuszczał Gorst, rękawica i pół przedramienia wojownika wisiały na ostatnim strzępie kolczugi, a buzdygan dyndał przy nadgarstku jak marionetka na skórzanym pasku. Gorst nie widział twarzy wroga, ale zorientował się, że ten jest bardzo zaskoczony.

Zdzielił go w twarz tarczą, aż hełm odskoczył do tyłu. Grube czarne krople krwi tryskały z przeciętej ręki. Mężczyzna niezdarnie szukał dłonią sztyletu przy pasie, gdy długie ostrze Gorsta z brzękiem uderzyło go w osłonę hełmu, pozostawiając na środku jasne wgłębienie. Północny zachwiał się, szeroko rozkładając ręce, po czym runął do tyłu jak ścięte drzewo.

Gorst uniósł tarczę i zakrwawioną broń, po czym potrząsnął nimi jak dziki w stronę ostatnich kilku zatrwożonych wrogów i wrzasnął przenikliwie. Wygrałem, skurwiele! Wygrałem! Wygrałem!

Wojownicy jak na rozkaz odwrócili się i uciekli na północ, rozpaczliwie przedzierając się przez zboże, spowolnieni przez podskakujące kolczugi, zmęczenie i panikę, a Gorst wpadł między nich jak lew między kozy.

W porównaniu z porannymi ćwiczeniami to przypominało taniec w powietrzu. Jeden z Północnych poślizgnął się, skowycząc ze strachu. Gorst przyjrzał się, jak mężczyzna pada, dobrze przymierzył i eleganckim ruchem ściał mu głowę, która odbiła się od jego kolana, gdy pędził w górę szlaku. Jakiś

młodzieniec odrzucił włócznię i obejrzał się z twarzą wykrzywioną strachem. Gorst wbił mu ostrze głęboko w plecy i chłopak z wyciem upadł w zboże.

To było niemal absurdalnie łatwe. Odrąbał jednemu mężczyźnie nogi, dogonił drugiego i powalił go cięciem w plecy, trzeciemu odciął rękę i pozwolił zrobić kilka chwiejnych kroków, po czym przewrócił na plecy ciosem tarczy.

Czy to jeszcze bitwa? Chwalebna walka człowieka z człowiekiem? A może już zwykłe morderstwo? Nie dbał o to. Nie potrafię opowiadać żartów ani prowadzić zgrabnej rozmowy, ale w tym jestem dobry. Do tego jestem stworzony. Bremer dan Gorst, król świata!

Siekł wrogów po obu stronach, pozostawiając za sobą ślad ryczących, krwawiących ciał. Dwóch wojowników odwróciło się, by stawić mu czoło, ale ich także zabił. Przerobił na mięso. Pędził przed siebie, rozdzielając ciosy jak szalony rzeźnik, a powietrze triumfalnie dźwięczało mu w krtani. Minął gospodarstwo położone po prawej stronie, mniej więcej w połowie drogi od długiego muru, który widział przed sobą. Nie miał żadnych wrogów w zasięgu, więc obejrzał się przez ramię i zwolnił.

Ludzie Mittericka za nim nie jechali. Zatrzymali się niedaleko mostu, sto kroków z tyłu. Był całkiem sam na środku pola, prowadząc jednoosobowy szturm na pozycje Północnych. Zatrzymał się niepewnie, samotny w morzu jęczmienia.

Zrównał się z nim chłopak, którego musiał wcześniej wyprzedzić. Potargane włosy, skórzana kamizela z zakrwawionym rękawem. Żadnej broni. Szybko zerknął na Gorsta, po czym mozolnie pobiegł dalej. Był na tyle blisko, że Gorst mógłby go przebić; nie poruszając nogami, ale nie widział

w tym sensu.

Podniecenie walką opadało, a na ramionach osiadał znajomy ciężar. Jak szybko wciąga mnie bagno zniechęcenia. Cuchnące wody zamykają się nad moją twarzą. Wystarczy policzyć do trzech, a znów stanę się tym samym ponurym draniem, którego wszyscy znają i którym gardzą. Obejrzał się w stronę swoich oddziałów. Szlak trupów przestał napawać go dumą.

Stał, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby, a skóra swędziała go od potu. Marszcząc czoło, patrzył nad polem na mur na północy i sterczące za nim włócznie oraz na pobitych, uciekających wojowników. Może powinienem kontynuować samotną szarżę? Oto nadciąga wspaniały Gorst! Uderza na wroga jak spadająca gwiazda! Jego ciało umiera, ale imię będzie trwało na wieki! Parsknął. Idiota Gorst, który postradał życie, głupi, piskliwy osioł wpadający do bezsensownego grobu, jak gównu do kanału, i równie szybko zapomniany.

Rzucił poobijaną tarczę na szlak, a następnie dwoma palcami wyjął spod napierśnika poskładany list, zgniótł go w dłoni i cisnął w jęczmień. I tak był żałosny. Powinienem się wstydzić.

Potem się odwrócił, zwiesił głowę i powłócząc nogami, ruszył z powrotem w stronę mostu.

Jeden z żołnierzy Unii z jakiegoś powodu podążył szlakiem za uciekającymi oddziałami Szalki. Potężny mężczyzna ubrany w ciężką zbroję, z ostrzem w dłoni. Teraz stał samotnie na otwartym polu i patrzył w górę szlaku, ale nie triumfował. Wyglądał na równie pokonanego jak Calder. Po chwili odwrócił się i mozolnie ruszył w stronę mostu. Ku okopom, które ludzie Szalki wykopali poprzedniej nocy i które właśnie zajęli

Unioniści.

Nie wszystkie dramaty na polu bitwy są wynikiem bohaterskich czynów. Czasami wystarczy beczynnie siedzieć. Dziesięć Sposobów nie wysłał posiłków. Calder nie pośpieszył z pomocą. Nawet nie zdążył ostatecznie zdecydować, że się nie ruszy. Stał z lunetą przy oku, wpatrzony w pustkę, sparaliżowany przez bolesną niepewność, aż nagle wszyscy ludzie Szalki, którzy jeszcze trzymali się na nogach, zaczęli uciekać, a Unia zajęła most.

Na szczęście, wydawało się, że to im na razie wystarczy. Zapewne nie chcieli ryzykować ataku przy słabnącym świetle. Doskonale wiedzieli, że mogą przeprowadzić natarcie następnego dnia. Zajęli silną pozycję na północnym brzegu rzeki i nie brakowało im ludzi, pomimo ofiary, jaką Szalka kazał im ponieść. Jednak wyglądało na to, że sam Szalka zapłacił jeszcze wyższą cenę.

Ostatni z pokonanych Carlów wciąż kuśtykali w stronę muru, wspinali się na niego i kładli na zbożu, ubrudzeni i zakrwawieni, potłuczeni i wyczerpani. Calder położył jednemu z mężczyzn dłoń na ramieniu.

– Gdzie Szalka?

– Nie żyje! – wrzasnął mężczyzna, strząsając jego dłoń. – Nie żyje! Dlaczego nie przyszliście, dranie? Dlaczego nam nie pomogliście?

– Za strumieniem byli Unioniści – tłumaczył Błady-jak-Śnieg, odprowadzając wojownika, ale Calder go nie słuchał. Stał przy bramie i patrzył ponad pogrążającymi się w mroku polami w stronę mostu.

Kochał swojego brata. Za to, że ten stał przy jego boku, gdy wszyscy inni zwrócili się przeciwko niemu. Ponieważ nic nie jest

ważniejsze od rodziny.

Nienawidził swojego brata. Za to, że był taki głupi. Za to, że był taki silny. Za to, że stał mu na drodze. Ponieważ nic nie jest ważniejsze od władzy.

A teraz jego brat zginął. Calder pozwolił mu umrzeć. Wystarczyło, że nic nie zrobił. Czy to to samo co zabójstwo?

Potrafił myśleć tylko o tym, w jaki sposób jego życie stanie się trudniejsze. O wszystkich dodatkowych zadaniach, obowiązkach, na które nie był gotowy. Odziedziczył po ojcu bezcenną kolekcję konfliktów, zatargów i uraz. Zamiast smutku ogarnęło go rozdrażnienie oraz zdziwienie, że nie czuje niczego więcej. Wszyscy na niego patrzyli. Obserwowali go, czekając, co zrobi, żeby móc ocenić, jakim jest człowiekiem. Był niemal zażenowany, że śmierć brata wywołała w nim tylko takie uczucia. Nie poczucie winy ani smutek, ale chłód. A potem złość.

Coraz większą złość.

Dziwne sojusze

Ściągnięto jej kaptur z głowy i Finree zmrużyła oczy pod wpływem słabego światła. W ciemnym, zakurzonej pomieszczeniu były dwa małe okna i niski strop łukowato obniżający się na środku. Z krokwi zwisały pajęczyny.

Dwa kroki przed nią stał Północny na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi opartymi na biodrach i głową lekko odchylną do tyłu. Wyglądał na człowieka, który przywykł do tego, że inni bezzwłocznie wykonują jego polecenia. Miał krótkie włosy przyprószone siwizną i twarz ostrą jak dłuto, naznaczoną starymi bliznami, a jego usta wykrzywiał kunktatorski uśmiech. Na jego ramionach błado lśnił ciężki złoty łańcuch. To ktoś ważny. A przynajmniej za takiego się uważa.

Za nim stał starszy mężczyzna, który zatknął kciuki za pas obok poobijanej rękojeści miecza. Miał krótki zmierzwiony siwy zarost i świeże skaleczenie na policzku, ciemnoczerwone z różowymi brzegami, brzydko zaszyte. Sprawiał wrażenie smutnego, a zarazem zdeterminowanego, jakby nie podobało mu się to, co się za chwilę stanie, ale nie widział sposobu, by tego uniknąć, więc postanowił za wszelką cenę doprowadzić sprawy do końca. Pierwszy z mężczyzn był jego przełożonym.

Gdy oczy Finree przywykły do ciemności, w cieniu pod ścianą zobaczyła trzecią postać. Z zaskoczeniem dostrzegła, że to kobieta, do tego czarnoskóra. Wysoka i szczupła, ubrana w długi rozpięty płaszcz, spod którego wзираło ciało owinięte bandażami. Nie wiadomo, jaką odgrywała w tym wszystkim

rolę.

Finree oparła się pokusie i nie odwróciła głowy, chociaż wiedziała, że za nią znajduje się jeszcze jeden człowiek. Słyszała jego cichy chrapliwy oddech. Mężczyzna o żelaznym oku. Ciekawe, czy ma przy sobie swój nożyk i jak blisko jej pleców trzyma czubek ostrza. Na samą myśl o tym poczuła mrowienie pod brudną sukienką.

– To ona? – zapytał mężczyzna z łańcuchem czarnoskórą kobietę, a kiedy odwrócił głowę, Finree zauważyła, że w miejscu ucha ma starą pofałdowaną bliznę.

– Tak.

– Nie wygląda, jakby miała rozwiązać moje problemy.

Kobieta beznamiętnie popatrzyła na Finree.

– Zapewne kiedyś wyglądała lepiej. – Miała oczy jak jaszczurka, czarne i puste.

Gdy mężczyzna z łańcuchem zbliżył się o krok, Finree miała ochotę się skulić. Coś w jego wyglądzie wywoływało wrażenie, że balansuje na granicy przemocy. Że jego każdy najmniejszy ruch stanowi preludium uderzenia pięścią, ciosu głową albo czegoś jeszcze gorszego. Że naturalnym odruchem dla niego byłoby chwycenie ją za gardło, i że musi się stale powstrzymywać, by tego nie zrobić.

– Wiesz, kim jestem?

Uniosła podbródek, chcąc wyglądać dumnie, ale jej się nie udało. Jej serce tak mocno tłukło się o żebra, że z pewnością wszyscy je słyszeli.

– Nie – odpowiedziała w mowie Północy.

– A więc mnie rozumiesz.

– Tak.

– Jestem Czarny Dow.

– Och. – Nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Myślałam, że jesteś wyższy.

Dow uniósł pokrytą bliznami brew i zerknął na starszego mężczyznę, a ten wzruszył ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć? Nie dorastasz do swojej reputacji.

– Jak większość z nas. – Dow ponownie popatrzył na Finree, mrużąc oczy, oceniając jej odpowiedź. – A twój ojciec? Jest ode mnie wyższy?

Zatem wiedzą, kim jest zarówno ona, jak i jej ojciec. Nie miała pojęcia, skąd, ale wiedzą. Może to dobrze, a może bardzo źle. Zerknęła na starszego z mężczyzn, a on posłał jej słaby przeprasający uśmiech, po czym się skrzywił, gdyż zapewne nadwerężył przy tym szwy. Finree poczuła, że żelaznooki porusza się za jej plecami, i usłyszała skrzypienie podłogi. Po takich ludziach nie spodziewała się niczego dobrego.

– Mój ojciec jest mniej więcej twojego wzrostu – odparła szeptem.

Dow wyszczerzył zęby, ale jego uśmiech był pozbawiony radości.

– To bardzo dobry wzrost.

– Jeżeli zamierzasz dzięki mnie zdobyć nad nim jakąś przewagę, to się rozczarujesz.

– Czyżby?

– Nic nie skłoni go do zaniedbania służby.

– Nie będzie mu szkoda, jeśli cię straci?

– Będzie mu szkoda. Ale wtedy jeszcze zacieklej będzie z tobą walczył.

– Och, już rozumiem, co to za człowiek! Lojalny, silny

i kipiący prawością. Na zewnątrz jak żelazo, ale... – uderzył się pięścią w pierś i wysunął dolną wargę – ...niepobawiony uczuć. Wszystko czuje i płacze, gdy nikt go nie widzi.

Finree odwzajemniła jego spojrzenie.

– Rozgryzłeś go.

Uśmiech rozblęsnął na ustach Dowa jak nóż wyciągnięty przez zabójcę.

– Kurwa, jesteśmy jak bracia bliźniacy.

Starszy mężczyzna parsknął śmiechem. Kobieta się uśmiechnęła, pokazując nieprawdopodobnie idealne białe zęby. Mężczyzna z żelaznym okiem nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Zatem cieszę się, że nie zamierzasz polegać na litości ojca. Nie mam zamiaru się z tobą targować, żądać za ciebie okupu ani nawet wysłać twojej głowy zapakowanej w skrzynkę na drugą stronę rzeki. Chociaż, co do tego ostatniego jeszcze mogę zmienić zdanie. Zobaczmy, jak się potoczy nasza rozmowa.

Zapadła długa cisza, podczas której Dow obserwował Finree, a ona patrzyła na niego, jak oskarżona, czekająca, aż sędzia wyda wyrok.

– Mam zamiar cię wypuścić – rzekł Dow. – Chciałbym, żebyś zaniósła ojcu wiadomość. Przekaż mu, że nie widzę potrzeby dalszego przelewania krwi za tę bezwartościową pieprzoną dolinę. Przekaż mu, że chcę porozmawiać. – Głośno pociągnął nosem, po czym poruszył ustami, jakby poczuł w nich nieprzyjemny smak. – Porozmawiać o... pokoju.

Finree zamrugęła.

– Porozmawiać.

– Zgadza się.

– O pokoju.

– Zgadza się.

Zakręciło jej się w głowie. Upoiła ją myśl, że przeżyje i ponownie zobaczy męża oraz ojca. Jednakże musiała o tym zapomnieć. Wciągnęła powietrze nosem i odzyskała równowagę.

– To nie wystarczy.

Z zadowoleniem zobaczyła, że Czarny Dow jest szczerze zdziwiony.

– Czyżby?

– Nie. – Trudno sprawiać władcze wrażenie, gdy jest się posiniaczonym, pobitym, ubrudzonym i otoczonym przez onieśmielających wrogów, ale Finree się starała. Wiedziała, że łagodność nie na wiele jej się przyda. Czarny Dow chciał mieć do czynienia z kimś silnym, aby samemu również takim się poczuć. Im silniejsza stawała się Finree, tym była bezpieczniejsza. Dlatego wysoko uniosła podbródek i popatrzyła wodzowi prosto w oczy. – Musisz wykonać gest dobrej woli. Zrobić coś, co przekona mojego ojca, że mówisz poważnie i rzeczywiście chcesz negocjować. Udowodnić, że jesteś rozsądnym człowiekiem.

Czarny Dow parsknął.

– Słyszałeś, Gnacie? Gest dobrej woli. Ja.

Starszy z mężczyzn wzruszył ramionami.

– Dowód, że jesteś rozsądny.

– Większy dowód niż odesłanie jego córki bez dziury w głowie? – zazgrzytał Dow, mierząc Finree wzrokiem. – Albo głowy w dziurce.

Finree zignorowała tę uwagę.

– Po wczorajszej bitwie na pewno macie jeńców. – Chyba że ich wymordowali. Gdy patrzyła Czarnemu Dowowi w oczy, nie

wydawało jej się to niemożliwe.

– Oczywiście, że mamy jeńców. – Dow przekrzywił głowę i podszedł bliżej. – Masz mnie za zwierzę?

Finree rzeczywiście tak o nim myślała.

– Chcę, żebyś ich uwolnił.

– Czyżby? Wszystkich?

– Tak.

– Za darmo.

– Jako gest...

Gwałtownie się nachylił, tak że niemal zetknęli się nosami, a na grubej szyi Dowa uwypukliły się potężne żyły.

– Myślisz, że możesz ze mną negocjować, ty mała pierdolona...

– Nie negocjujesz ze mną! – Finree odburknęła, obnażając zęby. – Negocjujesz z moim ojcem, a on ma wystarczająco silną pozycję! W przeciwnym razie byś go o to, kurwa, nie prosił!

Fala drgawek przebiegła po policzku Dowa i przez chwilę Finree była pewna, że wódz rozbije jej twarz na miazgę. Albo da znak swojemu żelaznookiemu siepaczowi, który rozplata ją od tyłka aż do szyi. Dow machnął ręką i kobieta przygotowała się na śmierć. Ale Północny tylko się uśmiechnął i delikatnie pomachał palcem przed jej twarzą.

– Ostra jesteś. Nie mówiliście mi, że jest taka ostra.

– Jestem doszczętnie zaszokowana – odpowiedziała czarnoskóra kobieta, robiąc wrażenie równie zaszokowanej jak ściana, pod którą stała.

– No dobrze. – Dow wydał pokryte bliznami policzki. – Wypuszczę część rannych. I tak nie chcę, żeby ich jęki budziły mnie w nocy. Powiedzmy, pięć tuzinów mężczyzn.

– Masz więcej?

– Znacznie więcej, ale moja dobra wola to krucha rzecz. Wytrzyma tylko pięć tuzinów.

Godzinę wcześniej Finree nie widziała dla siebie żadnej szansy. Teraz uginały się pod nią kolana, gdy pomyślała, że ujdzie z tego z życiem i dodatkowo ocali sześćdziesięciu ludzi. Ale musiała spróbować jeszcze jednego.

– Razem ze mną zabrano inną kobietę...

– Nie mogę tego zrobić.

– Jeszcze nie wiesz, o co chcę prosić...

– Owszem, wiem, ale nie mogę tego zrobić. Nieznajomy-u-Bram, tamten wielki drań, który wziął was do niewoli, ma nierówno pod sufitem. Nie odpowiada przede mną ani przed nikim innym. Nawet nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało, żeby cię zdobyć. Nie stać mnie na wykupienie nikogo innego.

– W takim razie ci nie pomogę.

Dow mlasnął językiem.

– Lubię ostre dziewczyny, ale uważaj, żebyś sama nie poderżnęła sobie gardła. Jeśli mi nie pomożesz, na nic mi się nie przydasz. Masz dwa wyjścia. Możesz wrócić do ojca i żyć w pokoju albo wrócić do swojej przyjaciółki i... podzielić jej los. Co wolisz?

Finree przypomniała sobie dyszenie Aliz w ciemności. Jej jęk, gdy puściła dłoń Finree. Przypomniała sobie pokrytego bliznami olbrzyma, który rozbił głowę swojego człowieka o ścianę. Żałowała, że nie jest na tyle dzielna, żeby sprawdzić, czy Dow blefuje. Ale kto by się odważył?

– Wrócić do ojca – wyszeptała, z trudem powstrzymując łzy ulgi.

– Nie miej do siebie pretensji. – Na ustach Czarnego Dowa

ponownie zagościł morderczy uśmiech. – Sam również podjąłbym taką decyzję. Miłej, kurwa, podróży.

Zarzucili jej worek na głowę.

Gnat zaczekał, aż Dreszcz wyniesie związaną dziewczynę z pomieszczenia, po czym nachylił się z uniesionym palcem i łagodnie zapytał.

– Eee... co się dzieje, wodzu?

Dow zmarszczył czoło.

– Masz być moim zastępcą, starcze. Kto jak kto, ale ty nie powinienesz kwestionować moich decyzji.

Gnat podniósł dłonie.

– Ależ nie kwestionuję. Ja także pragnę pokoju, możesz mi wierzyć, ale chciałbym zrozumieć, dlaczego tak nagle go zapragnąłeś.

– Zapragnąłem? – odburknął Dow, przysuwając się do Gnata jak pies, który zwietrzył zwierzynę. – Zapragnąłem? – Jeszcze bardziej się przybliżył, zmuszając zastępcę do cofnięcia się pod ścianę. – Chcę powiesić wszystkich jebanych Unionistów i uwędzić tę dolinę w dymie z ich pieczonego mięsa, a potem zatopić Angland, Midderland i ich wszystkie inne przeklęte ziemie na dnie Okrągłego Morza. Oto pokój, którego pragnę.

– Jasne. – Gnat odchrząknął, szczerze żałując, że zadał to pytanie. – Jasne, że tak.

– Ale właśnie na tym polega bycie wodzem, prawda? – Dow warknął mu prosto w twarz. – Ciągłe musisz robić rzeczy, których, kurwa, nie chcesz! Gdybym wiedział, z czym to się wiąże, kiedy zakładałem łańcuch, wrzuciłbym go do rzeki razem z Krwawym-dziewięć. Trójdrzewiec mnie ostrzegął, ale nie

słuchałem. Nie ma gorszego przekleństwa niż otrzymać to, czego się pragnie.

Gnat się skrzywił.

– Więc... dlaczego?

– Zmarli wiedzą, że nie nadaję się na rozjemcę, ale nie jestem również idiotą. Twój przyjaciel Calder jest zaszczanym tchórzem, ale ma rację. Tylko głupiec naraża życie, by zdobyć coś, o co może poprosić. Nie każdy podziela moje zamiłowanie do walki. Ludzie się męczą, Unionistów jest zbyt wielu, by ich pokonać, a jeśli nie zauważyłeś, tkwimy z opuszczonymi spodniami w dole pełnym węży. Żelaznogłowy? Złoty? Chwalipięta-u-Bram? Nie ufam tym draniom. Lepiej to zakończyć, póki wciąż wygrywamy.

– Dobrze powiedziane – zaskrzeczał Gnat.

– Gdybym dostał to, czego pragnę, nie byłoby żadnej przeklętej rozmowy. – Twarz Dowa drgnęła. Obejrzał się na Ishri, która stała w cieniu, oparta o ścianę z twarzą jak czarna maska. Przesunął językiem wokół kpiąco wykrzywionych ust i splunął. – Ale przeważają spokojniejsze głowy. Spróbujemy zawrzeć pokój i zobaczymy, czy to się przyjmie. A teraz odeślij tę sukę do jej ojca, zanim, kurwa, zmienię zdanie i dla rozrywki wytnę na niej krwawy krzyż.

Gnat ruszył w stronę drzwi bokiem jak krab.

– Już się robi, wodzu.

Serca i umysły

- Jak dużo czasu powinniśmy tutaj spędzić, panie kapralu?
- Jak najmniej się da bez ujmy na honorze, Żółtko.
- Czyli jak długo?
- Ot, choćby dopóki nie zrobi się na tyle ciemno, żebym nie widział twojej krzywej gęby.
- Patrolujemy okolicę, tak?
- Nie, Żółtko, przejdziemy kilkadziesiąt kroków, a potem sobie posiedzimy.
- Gdzie znajdziemy jakieś miejsce do siedzenia? Wszędzie jest mokro jak u wydry w...
- Ciii – syknął Tunny, machnięciem ręki nakazując, żeby Żółtko przypadł do ziemi.

Między drzewami po drugiej stronie wzniesienia znajdowali się jacyś ludzie. Było ich trzech, wszyscy ubrani w mundury Unii.

– Hmm.

Jednym z nich był starszy szeregowy Hedges. Zezowaty, wredny szczur, który od trzech lat służył w pierwszym regimencie i uważał się za twardziela, chociaż był tylko paskudnym idiotą. Złym żołnierzem, psującym reputację prawdziwym złym żołnierzom. Miał ze sobą nieznanego kompana, zapewne jednego z nowych rekrutów. Własną wersję Żółtka, co stanowiło tak przerażającą wizję, że Tunny wolał o tym nie myśleć.

Obaj kierowali obnażone ostrza w stronę jakiegoś Północnego, ale Tunny od razu zorientował się, że to nie wojownik. Mężczyzna był ubrany w brudny płaszcz przewiązany paskiem, miał łuk na ramieniu i strzały w kołczanie, ale żadnej innej broni. Zapewne myśliwy albo traper. Sprawiał wrażenie zaskoczonego i nieco wystraszonego. Hedges trzymał w jednym ręku futro. Nie trzeba było wybitnej przenikliwości, żeby zrozumieć, co się dzieje.

– Toż to starszy szeregowy Hedges! – Tunny wstał i szczerząc zęby, zszedł nad brzeg. Trzymał rozluźnioną dłoń na rękojeści broni, tylko po to, by wszyscy zauważyli, że ją ma.

Hedges popatrzył na niego z poczuciem winy w przymrużonych oczach.

– Nie wtrącaj się w to, Tunny. Myśmy go znaleźli, więc jest nasz.

– Wasz? W którym miejscu regulaminu zapisano, że możesz dręczyć jeńców tylko dlatego, że ich znalazłeś?

– Co cię obchodzi regulamin? Chciałbym wiedzieć, co tutaj robisz.

– Tak się składa, że pierwszy sierżant Forest wysłał mnie i szeregowca Żółtko na patrol, żebyśmy się upewnili, że nasi ludzie nie wychodzą poza pikietę i nie robią czegoś niewłaściwego. No i natrafiliśmy na was. Jesteście poza pikietą i okradacie cywila. Według mnie to niewłaściwe. A według ciebie, Żółtko?

– Cóż, eee...

Tunny nie czekał na odpowiedź.

– Wiecie, co powiedział generał Jalenhorm. Mamy zdobywać serca i umysły ludzi. Nie mogę pozwolić, żebyś okradał miejscowych, Hedges. Po prostu nie mogę. Nawet biorąc pod

uwagę to, co tutaj robimy.

– Kurwa mać, generał Jalenhorm? – Hedges parsknął. – Serca i umysły? Ty? Nie rozśmieszaj mnie!

– Nie rozśmieszaj? – Tunny zmarszczył brwi. – Mam cię nie rozśmieszać? Szeregowcu Żółtko, proszę wycelować naładowaną kuszę w starszego szeregowca Hedgesa.

Żółtko wytrzeszczył oczy.

– Co?

– Co? – mruknął Hedges.

Tunny gwałtownie uniósł rękę.

– Słyszałeś, wyceluj w niego!

Żółtko niepewnie podniósł kuszę, kierując grot bełtu w stronę brzucha Hedgesa.

– Czy tak?

– A niby jak? Nadal jest ci do śmiechu, Hedges? Policzę do trzech. Jeśli do tego czasu nie oddasz Północnemu jego futra, rozkażę szeregowcowi Żółtko strzelić. Jesteś oddalony o zaledwie pięć kroków. Kto wie, może nawet cię trafi.

– Ale posłuchaj...

– Jeden.

– Posłuchaj!

– Dwa.

– Dobrze już, dobrze. – Hedges rzucił Północnemu w twarz futro i ze złością oddalił się między drzewa. – Kurwa, zapłacisz mi za to, Tunny, obiecuję!

Tunny obrócił się z uśmiechem i ruszył za Hedgesem. Zanim ten zdążył otworzyć usta, żeby rzucić kolejną ciętą ripostę, kapral zdzielił go w bok głowy swoją manierką, która po napełnieniu była dosyć ciężka. Stało się to tak szybko, że Hedges

nawet nie próbował się uchylić, tylko ciężko upadł w błoto.

– „Kurwa, zapłaci mi pan za to, kapralu Tunny” – syknął Tunny, po czym kopnął Hedgesa w krocze, żeby dodatkowo podkreślić swoje słowa. Potem zabrał mu jego nową manierkę, a na jej miejsce wetknął swoją, solidnie wgiętą. – Żebyś o mnie nie zapomniał. – Podniósł wzrok na gapiącego się na niego tyczkowatego kompana Hedgesa. – Chcesz coś dodać, kołku?

– No... ja...

– Tylko tyle? Myślisz, że to coś wnosi? Zastrzel go, Żółtko.

– Co? – pisnął Żółtko.

– Co? – pisnął wysoki szeregowiec.

– Żartowałem, idioci! Zaraza, czy nikt tutaj nie myśli oprócz mnie? Zaprowadź tego dupka swojego przełożonego z powrotem za nasze linie, a jeśli jeszcze raz któregoś z was tutaj zobaczę, to sam was zastrzelę.

Tyczkowaty żołnierz pomógł jęczącemu i zakrwawionemu Hedgesowi stanąć na krzywych nogach, po czym obaj powlekli się przez las. Tunny zaczekał, aż znikną z pola widzenia. Następnie odwrócił się w stronę Północnego i wyciągnął rękę.

– Poproszę futro.

Pomimo bariery językowej mężczyzna doskonale zrozumiał. Spochmurniał, po czym wcisnął futro w dłoń Tunny'ego. Z bliska można było stwierdzić, że jest niechlujnie wyprawione i cuchnące.

– Co jeszcze masz? – Tunny podszedł bliżej, na wszelki wypadek opierając dłoń na rękojęści, i zaczął obszukiwać męczyznę.

– Okradniemy go? – Żółtko wycelował w Północnego, co oznaczało, że Tunny znalazł się zdecydowanie za blisko linii strzału.

– Coś ci się nie podoba? Przecież mówiłeś, że zostałeś skazany za kradzież.

– Mówiłem też, że jestem niewinny.

– Właśnie tak by powiedział złodziej! To nie jest kradzież, tylko wojna. – Północny miał przy sobie kilka pasków suszonego mięsa, które Tunny schował do kieszeni. Miał także krzemień i hubkę, które kaprał wyrzucił. Nie miał pieniędzy, ale to Tunny'ego nie zaskoczyło. Waluta nie do końca się tutaj przyjęła.

– On ma nóż! – pisnął Żółtko, wymachując kuszą.

– Do oprawiania zwierząt, idioto! – Tunny zabrał ostrze i schował je sobie za pasek. – Usmarujemy je króliczą krwią, powiemy, że zabito nim jakiegoś Imiennego, i na pewno jakiś głupiec w Adui nieźle nam za nie zapłaci. – Zabrał Północnemu także łuk i strzały. Nie chciał, żeby mężczyzna strzelił do nich ze złości. Sprawiał wrażenie złośliwego, ale Tunny zapewne też by tak wyglądał, gdyby ktoś go okradł. Dwukrotnie. Zastanawiał się, czy nie zabrać traperskiego płaszcza, ale ten był mocno zniszczony, a poza tym niewykluczone, że kiedyś należał do jakiegoś Unionisty. Tunny ukradł dwadzieścia nowych unijnych płaszczy z magazynów kwatermistrzowskich w Ostenhormie i jeszcze nie zdołał ich wszystkich przewieźć.

– To wszystko – stęknął, odsuwając się od Północnego. – Szkoda zachodu.

– Co teraz robimy? – Kusza w rękach Żółtka drżała chaotycznie. – Mam go zastrzelić?

– Ty krwiożerczy draniu! Po co miałbyś to robić?

– No... może powiedzieć swoim przyjaciołom po drugiej stronie strumienia, że tutaj jesteśmy.

– Czterystu naszych ludzi spędziło cały dzień na bagnach.

Naprawdę myślisz, że tylko Hedges wybrał się na przechadzkę?
Północni na pewno już o nas wiedzą.

– Więc... po prostu go puścimy?

– Chcesz go zabrać do obozu i trzymać jako maskotkę?

– Nie.

– Chcesz go zastrzelić?

– Nie.

– Więc co?

Przez chwilę stali we trzech w słabnącym świetle. Potem Żółtko opuścił kuszę i machnął drugą ręką.

– Spadaj.

Tunny skinął głową w stronę drzew.

– Właśnie, spadaj.

Północny przez chwilę patrzył na nich, mrugając. W końcu skrzywił się i wściekle mruczając pod nosem, oddalił się w głąb lasu.

– Serca i umysły – wymamrotał Żółtko.

Tunny schował nóż Północnego pod płaszczem.

– Otóż to.

Dobre uczynki

Budynki Osrungu tłoczyły się wokół Gnata, jakby chciały mu opowiadać krwawe historie, a za każdym rogiem otwierała się nowa katastrofa. Sporo domów było spalonych, zwęglone krokwie wciąż się tliły, a w powietrzu unosiła się ostra woń zniszczenia. Okna ziały pustką, z okiennic sterczały połamane deski, drzwi naznaczone uderzeniami toporów wisiały na zawiasach. Zaplamiony bruk pokrywały śmieci, poskręcane cienie oraz trupy, zimne ciała, które kiedyś były ludźmi, zawleczone za bose stopy do swojego miejsca w ziemi.

Ponurzy Carlowie patrzyli ze zmarszczonymi czołami na ich dziwną procesję. Sześćdziesięciu rannych żołnierzy Unii wlekących się pod okiem Caula Dreszcza, który był jak wilk idący za stadem, prowadzonych przez Gnata o obolałych kolanach i dziewczynę.

Curnden zdał sobie sprawę, że wciąż na nią zerka. Rzadko miał okazję patrzeć na kobiety. Oczywiście miał obok siebie Cudną, ale to nie to samo, choć pewnie kopnęłyby go w klejnoty, gdyby jej to powiedział. I właśnie o to chodziło. Ta dziewczyna zachowywała się dziewczęco, a do tego była ładna. Chociaż pewnie rano prezentowała się znacznie lepiej, podobnie jak Osrung. Na wojnie nic nie pięknieje. Wyglądała, jakby ktoś wyrwał jej kępę włosów, a reszta fryzury była posklejana z jednej strony. W kąciku ust miała dużego siniaka. Jeden z rękawów brudnej sukienki był podarty i brązowy od zaschniętej krwi. A jednak nie uroniła ani jednej łzy.

– Nic ci nie jest? – spytał Gnat.

Obejrzała się przez ramię na powłóczącą nogami kolumnę żołnierzy, na kule, nosze i twarze wykrzywione bólem.

– Mogło być gorzej.

– Pewnie tak.

– A tobie nic nie jest?

– Co?

Wskazała jego twarz, a on dotknął zaszytego rozcięcia na policzku. Zupełnie o nim zapomniał.

– Widzisz, u mnie też mogło być gorzej.

– A tak z ciekawości: gdyby jednak coś mi było, co mógłbyś zrobić?

Gnat otworzył usta, po czym uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co odpowiedzieć.

– Nie wiem. Może podzieliłbym się życzliwym słowem?

Dziewczyna rozejrzała się po spustoszonej placu, przez który przechodzili, zerkając na rannych opartych o ścianę domu po północnej stronie i na rannych idących za nimi.

– Obawiam się, że życzliwe słowa nie na wiele by się zdały w takich okolicznościach.

Gnat powoli pokiwał głową.

– Ale co innego nam pozostało?

Zatrzymał się kilkanaście kroków od północnego końca mostu, a Dreszcz się z nim zrównał. Przed nimi rozciągał się wąski szlak z kamiennych płyt zakończony dwiema płonącymi pochodniami. Nikogo nie było widać, mimo to, Gnat był pewien, że w czarnych budynkach na drugim brzegu roi się od uzbrojonych w kusze drani, których świerzbiją ręce. To nie był duży most, ale wydawało się, że przemarsz przez niego będzie

nie lada wyzwaniem. Każdy krok to ryzyko dostania bełtem w klejnoty. Jednakże czekanie w niczym im nie pomoże, a nawet zmniejszy ich szanse, gdyż z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej.

Gnat charknął i już chciał splunąć, ale zdał sobie sprawę, że dziewczyna na niego patrzy, więc połknął flegmę. Potem zdjął tarczę z ramienia i postawił ją pod ścianą. Wyciągnął miecz zza pasa i podał go Dreszczowi.

– Zaczekaj tutaj z pozostałymi. Przejdę na drugą stronę i sprawdzę, czy jest tam ktoś, kto posłucha głosu rozsądku.

– W porządku.

– A jeśli mnie zastrzelą... zapłaczą po mnie.

Dreszcz uroczyście pokiwał głową.

– Wyleję rzekę łez.

Gnat podniósł ręce nad głowę i ruszył przez most. Niedawno robił coś podobnego na zboczu Bohaterów. Wchodził do leża wilka uzbrojony tylko w nerwowy uśmiech i przytłaczającą potrzebę opróżnienia jelit.

– Robię to, co należy – mruknął. Bawił się w rozjemcę. Trójdrzewiec byłby z niego dumny. Co stanowiło dużą pociechę, ponieważ, kiedy postrzelą go w szyję, duma nieżyjącego człowieka pomoże mu wyciągnąć strzałę, prawda? – Szlag, jestem już na to za stary. – Na spokój zmarłych, powinien dać sobie spokój z wojaczką. Z uśmiechem palić fajkę i spoglądać na taflę wody po dniu wypełnionym pracą. – To, co należy – powtórzył szeptem. Byłoby miło, gdyby właściwe postępowanie chociaż raz okazało się bezpieczne. Ale Gnat podejrzewał, że życiem kierują inne zasady.

– Ani kroku dalej! – zawołał ktoś w języku Północy.

Gnat się zatrzymał, samotny w ciemności, słysząc pod sobą

szmer wody.

– Nie ma sprawy, przyjacielu! Chciałem tylko porozmawiać!

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nie wynikło z tego nic dobrego. – Ktoś nadchodził z drugiego końca mostu z pochodnią w dłoni. Pomarańczowy blask oświetlał wyrazistą twarz, potarganą brodę i surowe rozdzielone usta.

Gdy mężczyzna zatrzymał się w odległości wyciągniętej ręki, Gnat zdał sobie sprawę, że się do niego uśmiecha. Jego szanse na przeżycie właśnie znacznie wzrosły.

– Toż to Czerstwy, chyba że wszystko mi się pomieszało. – Mimo że niecały tydzień wcześniej próbowali się nawzajem pozabijać, czuł się jak podczas spotkania ze starym przyjacielem, a nie starym wrogiem. – Co ty tutaj robisz, do diabła?

– Jest tutaj wielu chłopców Wilczarza. Nieznajomy-u-Bram i jego dranie zza Crinny pojawili się bez zaproszenia, a my grzecznie pokazujemy im drzwi. Twój wódz znalazł sobie paskudnych sojuszników.

Gnat zerknął na żołnierzy Unii, którzy zgromadzili się w blasku pochodni na południowym krańcu mostu.

– O tobie mógłbym powiedzieć to samo.

– Racja. Takie nastały czasy. Co mogę dla ciebie zrobić, Gnacie?

– Przeprowadziłem jeńców, których Czarny Dow chce wam przekazać.

Czerstwy popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Od kiedy Dow cokolwiek oddaje?

– Właśnie zaczął.

– Widzę, że nigdy nie jest za późno, żeby się zmienić,

prawda? – Czerstwy obejrzał się przez ramię i zawołał coś w języku Unii.

– Na to wygląda – mruknął Gnat pod nosem, chociaż wątpił w przemianę Dowa.

Mężczyzna ubrany w mundur Unii ostrożnie podszedł do nich od południa. Pomimo młodego wieku szczyił się wysoką rangą, poza tym był bardzo przystojny. Skinął głową do Gnata, który odwzajemnił gest, następnie zamienił kilka słów z Czerstwym, po czym z szeroko otwartymi ustami zapatrzył się na rannych nadchodzących mostem.

Gnat usłyszał za plecami szybkie kroki i kątem oka dostrzegł ruch.

– Co, do... – Sięgnął po miecz, ale go nie znalazł.

Nagle ktoś błyskawicznie go minął i eskortowana dziewczyna wpadła prosto w ramiona młodego mężczyzny. Przytulili się i pocałowali, a osłupiały Gnat patrzył na nich z dłonią zawieszoną w powietrzu tam, gdzie zazwyczaj znajdowała się rękojeść jego broni.

– Tego się nie spodziewałem – rzekł.

Czerstwy również wyglądał na zaskoczonego.

– Może mężczyźni i kobiety zawsze tak się witają w Unii.

– W takim razie powinienem się tam przeprowadzić.

Gnat oparł się o podziurawioną balustradę mostu obok Czerstwego. Razem patrzyli, jak młodzi obejmują się z zamkniętymi oczami i lekko kołyszą w świetle pochodni, jakby tańczyli w rytm powolnej muzyki, której nikt nie słyszy. Mężczyzna szeptał coś kobiecie do ucha. Słowa pocieszenia, ulgi albo miłości. Wszystkie obce Gnatowi, nie tylko ze względu na barierę językową. Obserwował jeńców mijających parę. Iskra nadziei rozświetlała ich umęczone twarze. Wracali do swoich

kompanów. Ranni, ale żywi. Mimo że wieczór był zimny, Gnat poczuł w środku ciepło. Nie było to doznanie tak gwałtowne jak entuzjazm po wygranej walce, ale miał wrażenie, że może się okazać bardziej trwałe.

– Miłe uczucie – zauważył, patrząc, jak żołnierz i dziewczyna idą objęci na południowy brzeg rzeki. – Uszczęśliwiamy kilku ludzi pośrodku tego całego bałaganu. Piekielnie miłe uczucie.

– Rzeczywiście.

– Człowiek zaczyna się zastanawiać, po co to robimy.

Czerstwy głośno wciągnął powietrze.

– Może zbyt wielu z nas tchórze, żeby robić coś innego.

– Niewykluczone.

Kobieta i oficer zniknęli w ciemności, a za nimi ostatni ranni. Gnat odepchnął się od balustrady i klasnął w wilgotne dłonie.

– No dobrze. Do roboty, co?

– Do roboty.

– Miło było cię spotkać, Czerstwy.

– Ciebie również. – Stary wojownik odwrócił się i powędrował w ślad za innymi w stronę południowej części miasta. – Nie daj się zabić – rzucił przez ramię.

– Postaram się.

Dreszcz czekał na północnym krańcu mostu z mieczem Gnata w wyciągniętej dłoni. Widok jego lśniącego oka i krzywego uśmiechu wystarczył, żeby wszystkie miłe uczucia czmychnęły jak królik przed myśliwym.

– Myślałeś kiedyś o opasce? – spytał Gnat, biorąc miecz i wsuwając go za pas.

– Kiedyś próbowałem ją nosić. – Dreszcz wskazał palcem skupisko blizn otaczających oko. – Swędziało jak diabli.

Pomyślałem, że nie będę jej nosił tylko po to, żeby innym skurwielom było przyjemniej. Skoro mogę żyć z taką twarzą, to oni mogą na nią patrzeć. A jak nie, to niech się pierdola.

– Masz rację. – Przez chwilę szli w milczeniu przez gęstniejącą ciemność. – Przepraszam, że przyjąłem tę robotę.

Dreszcz nie odpowiedział.

– Dowodzenie Carlami Dowa. Ty powinienesz to robić.

Caul wzruszył ramionami.

– Nie jestem chciwy. Widziałem chciwych ludzi i wiem, że to najprostsza droga do ziemi. Chcę tylko tego, co mi się należy. Nie mniej i nie więcej. Odrobinę szacunku.

– To niezbyt wygórowane pragnienia. Zresztą będę to robił tylko podczas trwania bitwy. Podejrzewam, że później Dow tobie zaproponuje stanowisko swojego zastępcy.

– Być może. – Znow przez chwilę panowała cisza, po czym Dreszcz odwrócił się w stronę Gnata. – Jesteś uczciwym człowiekiem, prawda, Gnacie? Tak mówią ludzie. Podobno masz zasady. Jak ci się udaje je zachować?

Gnat wcale nie uważał, że mu się to udaje.

– Myślę, że po prostu staram się robić to, co należy. To wszystko.

– Tylko, po co? Próbowałem tego, ale jakoś nie mogłem się przekonać. Nie widziałem w tym żadnego zysku.

– Na tym polega twój problem. Całe dobro, które uczyniłem, a zmarli wiedzą, że nie było go wiele, uczyniłem wyłącznie dla zasady. Przede wszystkim trzeba tego chcieć.

– To chyba niewielkie wyrzeczenie, skoro sam tego chcesz? Dlaczego robienie tego, czego pragniesz, ma z ciebie czynić pieprzonego bohatera? Ja też tak postępuję.

Gnat tylko wzruszył ramionami.

– Nie znam odpowiedzi. A szkoda.

Dreszcz z namysłem obrócił pierścień na małym palcu, błyskając czerwonym kamieniem.

– Pewnie w tym wszystkim chodzi po prostu o to, żeby jakoś przeżyć kolejny dzień.

– Takie nastały czasy.

– Myślisz, że kiedyś będzie inaczej?

– Możemy mieć nadzieję.

– Gnat!

Jego imię odbiło się echem i Curnden gwałtownie się obrócił, spoglądając w ciemność spod zmarszczonych brwi, zastanawiając się, komu ostatnio podpadł. Doszedł do wniosku, że chyba każdemu. Zyskał tłum nowych wrogów, gdy przyjął propozycję Dowa. Jego dłoń ponownie zbłądziła do rękojeści miecza, który teraz przynajmniej bezpiecznie spoczywał w pochwie. Uśmiechnął się.

– Mokry! Psiakrew, na każdym kroku spotykam znajomych.

– Tak to już bywa, kiedy jest się starym draniem. – Mokry zbliżył się z szerokim uśmiechem, również kuśtykając.

– Wiedziałem, że ma to swoje wady. Znasz Caula Dreszcza, prawda?

– Słyszałem o nim.

Dreszcz wyszczerzył zęby.

– Mam kurewsko dobrą reputację, prawda?

– Jak minął dzień z Reacheyem? – spytał Gnat.

– Było krwawo – odrzekł Mokry. – Dowodziłem kilkoma młodymi chłopakami. Zbyt młodymi. Wszyscy poza jednym wrócili do ziemi.

– Przykro mi.

– Mnie także. Ale taka jest wojna. Pomyślałem sobie, że jeśli mnie zechcesz, to chętnie ponownie dołączę do twojej dwunastki, ale nie sam. – Mokry wskazał kogoś kciukiem. Potężnego młodzieńca, który stał w cieniu, owinięty poplamioną zieloną peleryną. Wbijał wzrok w ziemię, a ciemne włosy zakrywały mu czoło, tak że Gnat widział jedynie błysk jednego oka w ciemności. Chłopak miał przy pasie dobre ostrze ze złoconą rękojeścią. Gnat od razu dostrzegł jej błysk. – To użyteczny pomocnik. Dzisiaj zasłużył na swoje imię.

– Gratuluję – rzekł Gnat.

Młodzieniec nie odpowiedział. Nie przechwalał się i nie wywyższał jak wielu innych, którzy zasłużyli się w bitwie. Na przykład jak Gnat w swoim czasie. To się spodobało Curndenowi. Nie potrzebował ludzi o wybuchowych temperamentach, którzy pakują swoich kompanów w gówno. Przed laty w ten sposób sam się w nie wpakował.

– To jak będzie? – spytał Mokry. – Znajdziesz dla nas miejsce?

– Miejsce? Nie pamiętam, żeby moja dwunastka kiedykolwiek składała się z więcej niż dziesięciu ludzi, a teraz mam tylko sześcioro.

– Sześcioro? Co się stało z resztą?

Gnat się skrzywił.

– To samo co z twoimi chłopcami. To, co zawsze. Athroc przedwczoraj zginął przy Bohaterach. Wczoraj dołączył do niego Agrick. Brack umarł dziś rano.

Przez chwilę panowała cisza.

– Brack umarł?

– We śnie – odparł Gnat. – Od chorej nogi.

– Brack wrócił do ziemi. – Mokry pokręcił głową. – To daje do

myślenia. Nie sądziłem, że kiedyś umrze.

– Ja też nie. Wielki Rozjemca czyha na nas wszystkich, nie przyjmuje żadnych wymówek i nie robi wyjątków.

– Żadnych – szepnął Dreszcz.

– Dlatego z pewnością nam się przydadacie, jeśli Reachey was puści.

Mokry pokiwał głową.

– Obiecał, że tak.

– Więc w porządku. Tylko musicie wiedzieć, że na razie dwunastką dowodzi Cudna.

– Naprawdę?

– Tak. Dow zaproponował mi dowodzenie jego Carlami.

– Zostałeś zastępcą Czarnego Dowa?

– Tylko do końca bitwy.

Mokry wydał policzki.

– Myślałem, że nie chcesz się wychylać.

– Nie posłuchałem własnej rady. Nadal chcesz się przyłączyć?

– Dlaczego nie?

– Więc witaj z powrotem. Ty i twój chłopiec, skoro twierdzisz, że sobie poradzi.

– Na pewno sobie poradzi, prawda, młody?

Chłopak nie odpowiedział.

– Jak masz na imię? – spytał Gnat.

– Beck.

Mokry uderzył go w ramię.

– Czerwony Beck. Lepiej się do tego przyzwyczajaj.

Gnat uznał, że młodzieniec wygląda, jakby miał zwymiotować. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się miasto. Pewnie uczestniczył w ciężkich walkach.

Nieźle wprowadzenie do tej krwawej profesji.

– Nie jesteś zbyt gadatliwy, co? To nic. Cudna i Whirrun wystarczająco dużo gadają.

– Whirrun z Bligh? – spytał chłopak.

– Zgadza się. Należy do dwunastki. A raczej do szóstki. Myślisz, że powinienem wygłosić przemowę powitalną? – spytał Gnat Mokrego. – No wiesz, taką, jaką ty usłyszałeś, kiedy się zaciągnąłeś. O stawaniu w obronie swojej drużyny i wodza, unikaniu śmierci, postępowaniu zgodnie z zasadami i tak dalej?

Mokry popatrzył na młodzieńca i pokręcił głową.

– Myślę, że dzisiaj nauczył się tego wszystkiego w praktyce.

– Zgadza się – odrzekł Gnat. – Jak my wszyscy. Zatem witaj w dwunastce, Czerwony Becku.

Chłopak tylko zamrugął.

Jeszcze jeden dzień

To była ta sama ścieżka, po której wjechała poprzedniego wieczoru. Ten sam kręty szlak wiodący w górę chłostanego wiatrem zbocza do stodoły, w której jej ojciec urządził swoją kwaterę główną. Ten sam widok na pogrążoną w mroku dolinę wypełnioną światełkami tysięcy ognisk, lamp i pochodni, rozmywających się w zwilgotniałych kącikach jej oczu. Jednakże wszystko wydawało się inne. Mimo że Hal jechał obok niej, tak blisko, że mogła go dotknąć, i gadał, żeby wypełnić ciszę, Finree czuła się samotna.

– ...Dobrze, że Wilczarz pojawił się na czas, w przeciwnym razie cała dywizja mogła się rozsypać. I tak straciliśmy północną połowę Osrungu, ale udało nam się odeprzeć dzikich z powrotem do lasu. Pułkownik Brint był twardy jak skała. Nie poradzilibyśmy sobie bez niego. Na pewno będzie chciał cię zapytać... zapytać o...

– Później. – Nie była w stanie się z tym zmierzyć. – Muszę porozmawiać z ojcem.

– Chcesz się najpierw umyć? Przebrać? Może przynajmniej chwilkę odpocząć...

– Ubrania mogą poczekać – odburknęła. – Mam wiadomość od Czarnego Dowa, rozumiesz?

– Oczywiście. Głupio pytam. Przepraszam.

Zachowywał się na zmianę jak surowy ojciec i mięczak, a Finree nie wiedziała, co bardziej ją irytuje. Miała wrażenie, że Hal jest wściekły, ale brakuje mu odwagi, żeby się do tego

przyznać. Na nią, ponieważ przyjechała na Północ, chociaż chciał, żeby została. Na siebie, ponieważ nie było go przy niej, kiedy Północni zaatakowali. Na nich oboje, ponieważ nie wiedzieli, jak jej teraz pomóc. Zapewne jest wściekły, że się złości, zamiast cieszyć się z jej bezpiecznego powrotu.

Zatrzymali konie i Hal uparł się, że pomoże jej zsiąść. Stali w milczeniu, wyraźnie zakłopotani, zachowując dystans, a on trzymał dłoń na jej ramieniu, chociaż wcale jej to nie pocieszało. Pragnęła, żeby powiedział coś, co pomoże jej dostrzec sens w tym, co ją spotkało, ale wiedziała, że żadne słowa temu nie podolają.

– Kocham cię – powiedział w końcu, ale w tej sytuacji trudno było o bardziej rozczarowujące słowa.

– Ja też cię kocham. – Jednak Finree czuła tylko przerażenie. Miała wrażenie, że w jej umyśle tkwi coś potwornie ciężkiego, co starała się ignorować, ale co w każdej chwili mogło na nią runąć. – Powinieneś wrócić na dół.

– Nie! Wykluczone. Powinienem zostać z...

Oparła dłoń na jego piersi. Sama była zaskoczona, z jaką stanowczością to zrobiła.

– Już nic mi nie grozi. – Skinęła głową w stronę doliny upstrzonej światłami. – Oni potrzebują cię bardziej niż ja.

Niemal poczuła promieniującą z niego ulgę. Już nie będzie go dręczyło to, że nie potrafi wszystkiego naprawić.

– Cóż, jeśli jesteś pewna...

– Jestem pewna.

Patrzyła, jak wsiada na konia, rzuca jej szybki, niepewny, zmartwiony uśmiech i znika w gęstniejącej ciemności. Trochę żałowała, że nie starał się bardziej, żeby przy niej zostać, ale jednocześnie cieszyła się, że odjechał.

Zbliżyła się do stodoły, otulając się płaszczem Hala. Minęła gapiącego się na nią strażnika i weszła do niskiego pomieszczenia. Dziś panowała tutaj znacznie bardziej intymna atmosfera niż poprzedniego wieczoru. W środku znajdowali się generałowie Mitterick i Jalenhorm, pułkownik Felnigg oraz jej ojciec. Gdy go zobaczyła, poczuła obezwładniającą ulgę. Jednakże po chwili zauważyła Bayaza siedzącego w pewnym oddaleniu od pozostałych, oraz jego uśmiechniętego sługę, który krył się w cieniu za jego plecami, i wszelka ulga z niej wyparowała.

Mitterick jak zwykle rozwodził się na jakiś temat, a Felnigg jak zwykle słuchał go z miną człowieka, który musi coś wyłowić z latryny.

– Most znajduje się w naszych rękach, a moi ludzie cały czas przekraczają rzekę. Przed świtem na północnym brzegu znajdzie się kilka nowych regimentów, w tym liczna kawaleria, która będzie mogła dobrze wykorzystać rozległy teren. Sztandary drugiego i trzeciego regimentu powiewają nad okopami Północnych. A jutro zmuszę Vallimira, żeby podniósł tyłek i ruszył do akcji, choćbym miał sam kopniakami przegonić go na drugi brzeg. Ci północni dranie uciekną, zanim...

Nagle Mitterick zauważył Finree, odchrząknął z zakłopotaniem i umilkł. Pozostali oficerowie kolejno popatrzyli w tę samą stronę, a Finree po ich spojrzeniach domyśliła się, jak wygląda. Nie byłiby bardziej zaszokowani, gdyby ujrzeli trupa wygrzebującego się z grobu. Nie licząc Bayaza, którego spojrzenie zawsze było tak samo wyrachowane.

– Finree. – Jej ojciec poderwał się z miejsca i mocno ją przytulił. Być może powinna zalać się łzami wdzięczności, ale to on otarł oko rękawem. – Myślałem, że... – Skrzywił się, gdy

dotknął jej zakrwawionych włosów, jakby dokończenie tej myśli przekraczało jego siły. – Dzięki Boginiom Losu, że żyjesz.

– Dzięki Czarnemu Dowowi. To on mnie odesłał.

– Czarny Dow?

– Tak. Spotkałam go. Rozmawiałam z nim. Chce negocjować. Chce pokoju.

Zapadła pełna niedowierzania cisza.

– Przekonałam go, żeby w geście dobrej woli wypuścił część rannych jeńców. Sześćdziesięciu. Tylko tyle udało mi się osiągnąć.

– Przekonałaś Czarnego Dowa, żeby wypuścił jeńców? – Jalenhorm nadał policzki. – To nie lada sukces. On woli palić ich żywcem.

– Moja dziewczynka – rzekł marszałek Kroy z dumą w głosie, od której Finree zrobiło się niedobrze.

Bayaz się wyprostował.

– Opisz go.

– Dosyć wysoki. Mocno zbudowany. Groźnie wygląda. Nie ma lewego ucha.

– Kto mu towarzyszył?

– Starszy mężczyzna nazwiskiem Gnat, który przeprowadził mnie z powrotem przez rzekę. Oprócz tego olbrzym z twarzą pokrytą bliznami i... metalowym okiem oraz... – teraz to wszystko wydawało jej się tak dziwaczne, jakby rozegrało się w jej wyobraźni – ...czarnoskóra kobieta.

Bayaz zmrużył oczy i zacisnął usta, a Finree poczuła, że włoski stają jej dęba na karku.

– Szczupła czarnoskóra kobieta owinięta bandażami?

Przełknęła ślinę.

– Tak.

Pierwszy z Magów powoli odchylił się do tyłu i wymienił spojrzenia ze swoim sługą.

– A więc są tutaj.

– Przecież mówiłem.

– Czy nic nigdy nie może być proste? – burknął Bayaz.

– Rzadko tak bywa, mistrzu – odrzekł sługa, po czym przeniósł spojrzenie dwukolorowych oczu kolejno na Finree, jej ojca i z powrotem na swojego pana.

– Kto jest tutaj? – spytał zdziwiony Mitterick.

Bayaz nie kłopotał się odpowiedzią. Był zajęty obserwowaniem ojca Finree, który podszedł do swojego biurka i zaczął coś pisać.

– Co zamierzasz, lordzie marszałku?

– Najlepiej będzie, jeśli napiszę do Czarnego Dowa i umówię się z nim na spotkanie, żebyśmy mogli przedyskutować warunki zawieszenia broni...

– Nie – przerwał mu Bayaz.

– Nie? – Zapadła pełna napięcia cisza. – Ależ... wygląda na to, że on chce postąpić rozsądnie. Czy nie powinniśmy przynajmniej...

– Czarny Dow nie jest rozsądnym człowiekiem. A jego sojusznicy... – Bayaz ściągnął usta, a Finree mocniej otuliła się płaszczem Hala – ...jeszcze mniej. Poza tym, tak dobrze sobie pan dzisiaj poradził, lordzie marszałku. Wykonaliście kawał doskonałej roboty razem z generałem Mitterickiem, pułkownikiem Brockiem i Wilczarzem. Odepchnęliście Północnych, ponosząc przy tym liczne ofiary. Uważam, że wasi ludzie zasługują na kolejną szansę. Wystarczy tylko jeden dzień. Czymże jest jeden dzień?

Finree poczuła, że robi jej się potwornie słabo. Dostała zawrotów głowy. Siła, która podtrzymywała ją przez ostatnie pół godziny, szybko się wyczerpywała.

– Lordzie Bayazie... – Jej ojciec utknął na ziemi niczyjej pomiędzy bólem a konsternacją. – Dzień to tylko dzień. Oczywiście damy z siebie wszystko, jeśli takie jest życzenie króla, ale wątpię, żebyśmy zdołali zapewnić sobie zdecydowane zwycięstwo w ciągu zaledwie jednego dnia...

– Tym będziemy się martwić jutro. Każda wojna jest tylko wstępem do rozmowy, lordzie marszałku, ale najważniejsze, z kim się rozmawia. – Mag podniósł wzrok na sufit i potarł grubym kciukiem o palec wskazujący. – Byłoby najlepiej zachować te wiadomości dla siebie. To mogłoby źle wpłynąć na morale ludzi. Jeszcze jeden dzień, jeśli można.

Ojciec Finree posłusznie skłonił głowę, ale gdy zgniatał do połowy napisany list, włożył w to tyle siły, że jego knykcie pobielwały.

– Pozostaję do usług Jego Królewskiej Mości.

– Jak my wszyscy – dodał Jalenhorm. – Moi ludzie są gotowi wypełnić swój obowiązek! Pokornie proszę o szansę poprowadzenia szturm na Przyjaciół i zrehabilitowania się na polu bitwy.

Jakby ktokolwiek mógł się zrehabilitować na polu bitwy. Finree wiedziała, że tam się tylko ginie. Gdy ruszyła w stronę drzwi w głębi pomieszczenia, miała wrażenie, że każda z jej nóg waży tonę.

Za jej plecami Mitterick był zajęty wygłaszaniem własnych wojskowych frazesów.

– Moja dywizja jest gotowa, żeby ich ukąsić, bez obaw, marszałku Kroy! Bez obaw, lordzie Bayazie!

– Nie obawiam się.

– Zajęliśmy przyczółek mostowy. Jutro popędzimy tych drani, zobaczycie. Jeszcze tylko jeden dzień...

Finree zamknęła drzwi, odcinając się od ich przechwałek, i oparła się plecami o drewno. Być może pasterz, który zbudował tę stodołę, mieszkał właśnie w tym pomieszczeniu. Teraz spał tutaj jej ojciec, którego łóżko ustawiono pod jedną z nieotynkowanych ścian. Pod pozostałymi rozmieszczono kufry podróżne, równo jak żołnierzy na paradzie.

Nagle wszystko zaczęło ją boleć. Podciągnęła rękaw płaszcza i skrzywiła się, patrząc na długie, wściekle zaróżowione skaleczenie na przedramieniu. Zapewne powinna je zszyć, ale nie mogła wrócić do głównej sali. Nie mogła stawić czoła ich pobłażliwym spojrzeniom i patriotycznemu bełkotowi. Miała wrażenie, że przez jej szyję przechodzi dziesięć sznurków uplecionych z cierpienia, a każdy ruch głową powoduje pociągnięcie któregoś z nich. Dotknęła opuszkami palców rozpalonej skóry na głowie. Pod tłustymi włosami wymacała potężny strup. Nie mogła powstrzymać drżenia dłoni, gdy go zrywała. Trzęsa się tak bardzo, że niemal ją to bawiło, ale zamiast śmiechu wydała z siebie tylko brzydkie parsknięcie. Czy jej włosy odrosną? Ponownie parsknęła. Jakie to ma znaczenie w porównaniu z tym, co widziała? Nie mogła powstrzymać parskania. Jej oddech stał się nierówny i po chwili obolałe żebra zafalowały od szlochu. Hałaśliwie dyszała, marszcząc twarz i wykrzywiając rozbite usta. Czuła się jak idiotka, ale jej ciało nie zamierzało się uspokoić. Ześlizgnęła się plecami po drzwiach, siadając na kamieniach, po czym zacisnęła zęby na knykciach, żeby stłumić chlipanie.

Czuła, że zachowuje się absurdalnie, a co gorsza,

niewdzięcznie i zdradziecko. Powinna płakać z radości.
W końcu to jej dopisało szczęście.

Kości

– Gdzie się ukrywa ta parchata pizda?

Mężczyzna rozejrzał się niepewnie, tracąc równowagę w połowie drogi do beczki z wodą.

– Dziesięć Sposobów jest na szczycie Bohaterów z Dowem i resztą, ale jeśli...

– Spierdalać z drogi! – Calder minął go, przepychając się między zaskoczonymi Carlami, oddalając się od Palca Skarlinga i zmierzając w stronę głazów podświetlonych przez blask obozowych ognisk.

– My tam nie pójdziemy – odezwał się Głęboki. – Nie możemy pilnować twojego dupska, skoro pchasz się w paszczę wilka.

– Za żadne pieniądze nie warto iść do ziemi – dodał Płytki. – Moim skromnym zdaniem, nic nie jest tego warte.

– Poruszyłeś ciekawe filozoficzne zagadnienie – zauważył Głęboki. – Za co warto, a za co nie warto umierać. Sami raczej go nie...

– Więc zostańcie i dalej gadajcie pierdoły. – Calder się nie zatrzymywał, czując w płucach ukłucia lodowatego powietrza, a w żołądku o kilka łyków za dużo trunku z piersiówki Płytkiego. Pochwa rapiera uderzała go w łydkę, jakby z każdym krokiem dyskretnie przypominała mu o swoim istnieniu i o tym, że nie jest tutaj jedynym ostrzem.

– Co zamierzasz zrobić? – wysapał Błady-jak-Śnieg, zmęczony pościgiem.

Calder nie odpowiedział. Częściowo dlatego, że był zbyt wściekły, by powiedzieć cokolwiek wartego wysłuchania, ale także dlatego, że w jego odczuciu milczenie dodawało mu mocy. Poza tym nie miał pojęcia, co powinien zrobić, a gdyby zaczął się nad tym zastanawiać, bardzo możliwe, że szybko ulotniłaby się z niego odwaga. Tego dnia wykazał się już wystarczającą beczynnością. Przeszedł przez lukę w kamiennym murze otaczającym wzgórze, obserwowany przez dwóch nachmurzonych Carlów Czarnego Dowa.

– Tylko spokojnie! – zawołał za nim Hansul. – Twój ojciec zawsze potrafił zachować spokój!

– Sram na to, co robił mój ojciec – rzucił przez ramię Calder.

Podobało mu się, że nie musi myśleć, tylko pozwala się prowadzić furii, która wyniosła go na płaski wierzchołek wzgórza i przeprowadziła pomiędzy dwoma potężnymi głazami. Wewnątrz kręgu płonęły ogniska targane wiatrem, który posyłał w czarną noc wirujące snopy iskier. Oświetlały migotliwym pomarańczowym blaskiem Bohaterów oraz twarze ludzi, odbijając się od kolczug i ostrzy. Wojownicy cmokali i pomrukiwali z dezaprobatą, gdy Calder przepychał się między nimi, zmierzając do środka kręgu, a Błady-jak-Śnieg i Hansul podążali jego śladem.

– Calder. O co chodzi? – To był Curnden Gnat, a obok niego jakiś gapiący się chłopak, którego Calder nie znał. Byli tam także Wesoły Yon Cumber i Cudna. Calder ich zignorował i ominął Cairma Żelaznogłowego, który stał zapatrzony na płomienie z kciukami zatkniętymi za pas.

Dziesięć Sposobów siedział na powalonym pniu po drugiej stronie ogniska. Kiedy zobaczył nadchodzącego Caldera, na jego potwornie łuszczącej się twarzy pojawił się błyszczący uśmiech.

– Toż to nasz śliczny Calder! Pomogłeś dzisiaj bratu, prawda, ty... – Nagle szerzej otworzył oczy i napiął mięśnie, przygotowując się, żeby wstać.

Pięść Caldera z chrzęstem uderzyła go w nos. Dziesięć Sposobów zaskrzeczał i runął na plecy, wierzgając nogami, a Calder błyskawicznie na nim usiadł i zaczął go okładać obiema rękami, wywrzaskując niezrozumiałe słowa. Bezmyślnie bił przeciwnika po głowie, rękach i trzepoczących dłoniach. Zdołał ponownie wcelować w parchaty nos, zanim ktoś chwycił go za łokieć.

– Uspokój się, Calder, uspokój się! – Miał wrażenie, że to głos Gnata, i pozwolił się odciągnąć, rzucając się przy tym i krzycząc, bo tak wypadało. Zupełnie jakby pragnął dalej walczyć, gdy tak naprawdę czuł ulgę, że go powstrzymano, ponieważ zabrakło mu konceptu i poważnie rozboleła go lewa ręka.

Dziesięć Sposobów z trudem wstał, krwawiąc z nosa i miotając przekleństwa, odtrącając pomocne dłonie swoich ludzi. Dobył miecza z cichym metalicznym szeptem, który zawsze brzmi zaskakująco głośno. Ostrze zaśniło w blasku ognia. Zapadła cisza, tłum zaciekawionych mężczyzn nerwowo wstrzymał oddech. Żelaznogłowy uniósł brwi, skrzyżował ręce na piersi, po czym cofnął się o krok.

– Ty mały skurwielu! – ryknął Dziesięć Sposobów i przeszedł nad pnem, na którym jeszcze przed chwilą siedział.

Gnat, który ciągnął za sobą Caldera, nagle również wyciągnął broń. Po chwili dwaj Imienni z drużyny Dziesięciu Sposobów stanęli obok swojego wodza. Potężny brodaty drań i niedowidzący chudzielec, obaj z mieczami w gotowości. Wyglądali na ludzi, którzy tylko czekają na okazję, by po nie sięgnąć. Calder poczuł, że Błady-jak-Śnieg staje obok niego

z nisko opuszczonym ostrzem. Białooki Hansul zajął pozycję po drugiej stronie, wciąż zaczerwieniony i zdyszany po wspinaczce na wzgórze, ale gotowy do walki. Kolejni chłopcy Dziesięciu Sposobów poderwali się z ziemi, pojawił się także Wesoły Yon Cumber z toporem, tarczą i zmarszczonym czołem.

Wtedy Calder zrozumiał, że sprawy zaszły dalej, niż się spodziewał, choć, prawdę mówiąc, niczego nie planował. Uznał, że trzymanie ostrza w pochwie będzie niegrzeczne, skoro wszyscy inni dobyli broni, a to on zapoczątkował całe zamieszanie. Dlatego również wyciągnął ostrze, z kpiącym uśmiechem patrząc na zakrwawione oblicze Dziesięciu Sposobów.

Czuł się wspaniale, gdy patrzył, jak jego ojciec zakłada łańcuch władzy i siada na Tronie Skarlinga, a trzystu Imiennych przykłęka przed pierwszym królem Północnych. Czuł się wspaniale, gdy położył dłoń na brzuchu swojej żony i po raz pierwszy poczuł kopnięcie swojego dziecka. Ale był pewien, że jeszcze nigdy nie był tak dumny jak w chwili, gdy nos Brodda Dziesięć Sposobów pękł pod jego pięścią.

Nie zamierzał teraz rezygnować z tego uczucia.

– Zaraza! – Drofd wstał niezdarnie, zasypując pelerynę Becka rozżarzonymi węglami, a ten głośno westchnął i zaczął ją otrzepywać.

Powstało nie lada zamieszanie, ludzie tupali, metal syczał, stęknienia i przekleństwa rozbrzmiewały w ciemności. Wybuchła jakaś bójka, a Beck nie miał pojęcia, kto i dlaczego ją wszczął, ani po której stronie powinien stanąć. Jednakże dwunastka Gnata się zgrupowała, więc popłynął z prądem

i dobył ojcowskiej broni, stając ramię w ramię z pozostałymi. Po jego lewej stronie stała Cudna uzbrojona w zakrzywione ostrze, po prawej Drofd z toporkiem w dłoni i językiem między zębami. To nie było trudne, gdy wszyscy to robili. Tak naprawdę nie sposób było się wyłamać.

Brodd Dziesięć Sposobów i część jego chłopców stali naprzeciwko nich po drugiej stronie ogniska targanego wiatrem. Wódz miał krostowatą twarz zalaną krwią, być może także złamany nos. Niewykluczone, że zrobił to Calder, skoro przed chwilą tak pędził w stronę ogniska, a teraz stał obok Gnata z bronią w ręku i kpiącym uśmiechem. Ale powody nie były takie ważne. Wszyscy zastanawiali się, co będzie dalej.

– Odłóżcie broń. – Gnat mówił powoli, ale jego stanowczy głos nie pozostawiał wątpliwości, że nie cofnie się przed niczym.

Beck od razu poczuł się odważniejszy i postanowił, że również się nie zawaha.

Jednakże Dziesięć Sposobów nie miał zamiaru ustąpić.

– Wy ją odłóżcie, kurwa. – Splunął krwią do ogniska.

Beck zauważył po przeciwnej stronie chłopca zaledwie o rok albo dwa starszego od siebie. Blondyna z blizną na policzku. Obrócili się, stając naprzeciwko siebie. Instynktownie szukali najbardziej odpowiedniego partnera, jak ludzie podczas potańcówki. Tylko że ten taniec zapowiadał się bardzo krwawo.

– Odłóżcie broń! – ryknął Gnat, jeszcze bardziej stanowczo. To było ostrzeżenie, a cała dwunastka zbliżyła się do swojego wodza, pobrzękując stalą.

Dziesięć Sposobów obnażył zepsute zęby.

– Zmuś mnie, kurwa.

– Spróbuję.

Z ciemności wyskoczył jakiś mężczyzna. Z cienia kaptura

wystawała tylko spiczasta broda, buty z chrzęstem rozdeptały krawędź ogniska, otaczając jego nogi kłębowiskiem iskier. Był bardzo wysoki, bardzo szczupły i wyglądał, jakby wyrzeźbiono go z drewna. W jednej utłuszczonej dłoni trzymał kość kurczaka, a drugą swobodnie zaciskał na rękojeści największego miecza, jaki Beck kiedykolwiek widział. Gdyby oprzeć go czubkiem o ziemię, głowica sięgałaby mężczyźnie do ramienia. Pochwa była zdarta jak but żebraka, ale drut na rękojeści lśnił kolorami ognia.

Z hałaśliwym młaśnięciem wojownik wyssał ostatni skrawek mięsa z kości, po czym stuknął w kolejne obnażone ostrza głowicą swojego miecza. Długa rękojeść z trzaskiem zderzała się ze stalą.

– Chyba nie zamierzaliście walczyć beze mnie? Przecież wiecie, jak uwielbiam zabijać. Nie powinienem tego robić, ale człowiek musi trzymać się tego, co mu wychodzi najlepiej. Co więc powiecie na taką propozycję...? – Obrócił kością pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, po czym rzucił ją w stronę Dziesięciu Sposobów, tak że odbiła się od jego kolczugi. – Wracajcie do pieprzenia owiec, a ja będę wypełniał groby.

Dziesięć Sposobów obliział zakrwawioną górną wargę.

– Nie szukam z tobą zwady, Whirrunie.

I wtedy wszystko ułożyło się w jedną całość. Beck słyszał wiele pieśni o Whirrunie z Bligh, a nawet nucił kilka z nich podczas rąbania drewna. Pieśni o Whirrunie Rąbniętym. O tym, jak otrzymał Ojca Mieczy. Jak zabił swoich pięciu braci. Jak polował na Szimbula Wilka na zimowych pustkowiach dalekiej Północy, utrzymał przełęcz przeciwko niezliczonym Szankom, wspierany tylko przez dwóch chłopców i kobietę, przechytrzył czarownika Darouma-ap-Yaughta i przykuł go do skały jako żer

dla orłów. Jak dokonał wszystkich czynów godnych bohatera w dolinach, więc przybył na południe, by szukać swojego przeznaczenia na polu bitwy. Pieśni, które rozgrzewały, ale także mroziły krew w żyłach. Możliwe, że to najszlachetniejszy człowiek na całej Północy, a teraz stoi na tyle blisko, że można by go dotknąć. Chociaż zapewne nie byłby to najlepszy pomysł.

– Nie szukasz ze mną zwady? – Whirrun rozejrzył się, jakby chciał sprawdzić, z kim w takim razie chce walczyć Dziesięć Sposobów. – Jesteś pewien? Walka to paskudna sprawa. Dobywasz ostrza i nigdy nie wiadomo, do czego cię to doprowadzi. Wyzwałeś do walki Caldera, ale tym samym wyzwałeś Gnata, a wraz z nim mnie, Wesołego Yona Cumbera, Cudną, Mokrego, chociaż on chyba akurat poszedł się wysikać, oraz tego młodzieńca, którego imienia zapomniałem. – Wskazał kciukiem Becka. – Powinieneś to przewidzieć. Nie masz żadnej wymówki. Prawdziwy wódz nie powinien błędzić w ciemności jakby miał głowę pełną gówna. Ja również nie szukam z tobą zwady, Broddzie Dziesięć Sposobów, ale i tak cię zabiję, jeśli będzie trzeba, dopiszę twoje imię do swoich pieśni i będę się z tego śmiał. Więc jak będzie?

– To znaczy?

– Czy powinienem dobyć miecza? Musisz pamiętać, że kiedy Ojciec Mieczy opuści pochwę, musi zakosztować krwi. Tak było od najdawniejszych czasów, tak musi być teraz i zawsze w przyszłości.

Stali tak jeszcze przez chwilę, czekając w bezruchu ze ściągniętymi brwiami i odsłoniętymi zębami, a Beck czuł, jak opuszcza go odwaga, ponieważ domyślał się, co się stanie, i...

– Co jest, kurwa? – Kolejny mężczyzna pojawił się w blasku ogniska.

Miał zmrużone oczy, wyszczerzone zęby, opuszczoną głowę i uniesione ramiona, jak pies szykujący się do walki, który pragnie tylko zabijać. Jego wykrzywioną twarz przecinały stare blizny, brakowało mu jednego ucha, a na szyi miał złoty łańcuch z dużym pomarańczowo lśniącym klejnotem na środku.

Beck przełknął ślinę. Czarny Dow, bez dwóch zdań. Ten, który sześciokrotnie pokonał ludzi Bethoda podczas długiej zimy, po czym spalił Kyning do gołej ziemi z ludźmi pozamykanymi w domach. Ten, który walczył w kręgu z Krwawym-dziewięć i prawie wygrał, uszedł z życiem i został zmuszony do służby. Potem walczył u boku Logena, a także Rudda Trójdrzewca, Tul Duru zwanego Grzmotem oraz Hardinga Ponuraka, z najtwardszą drużyną, jaka przemierzała Północ od czasów Ery Bohaterów, i był ostatnim spośród nich, oprócz Wilczarza, który wciąż chodził po świecie. Potem zdradził Krwawego-dziewięć i zabił tego, o którym powiadano, że nie może umrzeć, i sam zasiadł na Tronie Skarlinga. A teraz stał tuż przed nim. obrońca Północy bądź jej łupieżca, zależy, kogo spytać. Beck nigdy nie marzył, że znajdzie się tak blisko tego człowieka.

Czarny Dow patrzył na Gnata i wcale nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Beck zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe w przypadku tej twarzy jak kilof.

– Czy nie kazałem ci pilnować spokoju, starcze?

– Właśnie to robię. – Gnat wciąż trzymał w dłoni miecz, ale opuścił jego czubek ku ziemi. Tak jak większość pozostałych.

– No tak, kurwa. Rzeczywiście, bardzo tu spokojnie. – Dow skrzywił się, omiatając wojowników wzrokiem. – Nikomu tutaj nie wolno dobyć ostrza bez mojej zgody. Odlóżcie broń, tylko się ośmieszacie.

– Ten tchórzliwy skurwiel złamał mi nos! – warknął Dziesięć Sposobów.

– Oszpecił cię, co? – odburknął Dow. – Chcesz buziaka na pociechę? Powiem to tak, żeby każdy z was zrozumiał, pieprzone półgłówki. Policzę do pięciu, a każdy, kto nadal będzie trzymał ostrze, wejdzie ze mną do kręgu, gdzie zrobię z nim rzeczy, jakie robiłem, zanim zmiękłem na starość. Jeden.

Nie musiał liczyć nawet do dwóch. Gnat od razu schował broń, a Dziesięć Sposobów zaraz po nim. Cała stal zniknęła niemal równie szybko, jak się pojawiła, pozostawiając dwa rzędy mężczyzn nieco wstydliwie wpatrujących się w siebie ponad ogniskiem.

– Może lepiej to schowaj – szepnęła Cudna do ucha Beckowi.

Zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma wyciągnięte ostrze, i wepchnął je do pochwy tak szybko, że niemal skaleczył się w nogę. Pozostał tylko Whirrun, który stał pomiędzy obiema grupami z jedną ręką na rękojeści, a drugą na pochwie miecza, wciąż gotowy go dobyć. Patrzył na swoją broń z niemal niedostrzegalnym uśmiechem.

– Wiecie, trochę mnie kusi.

– Innym razem – warknął Dow, po czym gwałtownie uniósł jedną rękę. – Dzielny książę Calderze! Jestem zaszczycony w trzy dupy! Już miałem wysłać zaproszenie, ale widzę, że sam przybyłeś. Opowiesz mi, co się dzisiaj wydarzyło na Starym Moście?

Calder wciąż miał na sobie elegancką pelerynę, w której Beck po raz pierwszy widział go w obozie Reacheya, ale pod spód włożył kolczugę, a na jego twarzy zamiast uśmiechu gościł krzywy grymas.

– Szalka zginął.

– Słyszałem. Nie widzisz, że wypłakuję morze łez? Pytałem, co się wydarzyło na moim moście.

– Walczył z całych sił. Nikt nie mógłby dać z siebie więcej.

– Zatem zginął w walce. Szczęściarz. A co z tobą? Nie wyglądasz, jakbyś zaciekle walczył.

– Byłem gotowy. – Calder wyjął zza kołnierza kawałek papieru i uniósł go dwoma palcami. – Ale potem dostałem to. Rozkaz od Mittericka, generała Unii.

Dow złapał papier i go rozwinął, marszcząc brwi.

– Unioniści czekają w lesie na zachodzie, gotowi przekroczyć strumień. Miałem szczęście, że się o tym dowiedziałem, bo gdybym pośpieszył Szalce na pomoc, zaatakowałiby nas z flanki i zapewne wszyscy bylibyście martwi, zamiast kłócić się o to, czy jestem tchórzem.

– Myślę, że nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości, Calderze – odparł Dow. – Więc tylko siedziałeś za murem, tak?

– Oraz posłałem po pomoc do Dziesięciu Sposobów.

Dow zerknął w bok, a płomienie zamigotały w jego oczach.

– No i?

Dziesięć Sposobów starł krew spod złamanego nosa.

– No i co?

– Rzeczywiście posłał do ciebie po pomoc?

– Sam rozmawiałem z Dziesięcioma Sposobami – zawołał jeden z ludzi Caldera. Staruszek z blizną na twarzy i bielmem na oku. – Powiedziałem mu, że Szalka potrzebuje pomocy, ale Calder nie może wyruszyć ze względu na Południowców czających się na drugim brzegu strumienia. Wszystko mu powiedziałem.

– I co?

Na wpół ślepy starzec wzruszył ramionami.

– Odpowiedział, że jest zajęty.

– Zajęty? – szepnął Dow, a jego twarz stała się jeszcze bardziej surowa. – Więc tylko tam siedziałeś, czy tak?

– Nie mogę lecieć na każde zawołanie tego drania...

– Siedziałeś na wzgórzu z Palcem Skarlinga w dupie i patrzyłeś, do kurwy nędzy?! – ryknął Dow. – Siedziałeś i patrzyłeś, jak Południowcy zajmują mój most? – Dźgnął się kciukiem w pierś.

Dziesięć Sposobów wzdrygnął się, a jedna jego powieka zaczęła drgać.

– Za rzeką nie było żadnych Południowców, to jedno wielkie kłamstwo! On zawsze kłamie. – Wskazał drżącym palcem na drugą stronę ogniska. – Zawsze znajdziesz jakąś pierdoloną wymówkę, prawda, Calder? Zawsze wyciągniesz z rękawa jakąś sztuczkę, żeby nie pobrudzić sobie rąk! Rozmowy o pokoju, rozmowy o zdradzie albo jakieś przekłete rozmowy o...

– Wystarczy. – Głos Czarnego Dowa był cichy, ale uciał w połowie odpowiedź Dziesięciu Sposobów. – Gównu mnie obchodzi, czy na zachodzie są Unioniści. – Zgniół papier drżącą dłonią i rzucił nim w Caldera. – Obchodzi mnie tylko, czy wykonujecie moje rozkazy. – Podszedł do Dziesięciu Sposobów i nachylił mu się prosto do ucha. – Jutro nie będziesz beczynnie siedział, o nie. – Kpiąco popatrzył na Caldera. – Ty także, pieprzony księciuniu. Skończyły się dla was spokojne czasy. Razem staniecie na murze. Właśnie tak. Ramię w ramię, od świtu do zmierzchu. Zadbacie o to, żeby gówno, w którym przez was tkwimy, nie zaczęło bardziej śmierdzieć. Będziecie robić to, po co was tutaj sprowadziłem, idioci, czyli walczyć z jebaną Unią!

– A jeśli oni przekroczą strumień? – spytał Calder.

Dow odwrócił się w jego stronę z nastroszonymi brwiami, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– I tak działamy na zbyt wielu frontach, dzisiaj straciliśmy mnóstwo ludzi i wrogowie mają przewagę liczebną...

– Kurwa mać, to jest wojna! – ryknął Dow, doskakując do Caldera i zmuszając wszystkich do cofnięcia się o krok. – Macie walczyć z tymi draniami! – Wymachiwał rękami, jakby z trudem powstrzymywał się przed rozdarciem Calderowi twarzy. – A może wolisz knuć intrygi? Jesteś wielkim oszustem? Więc ich przechytrz! Chciałeś zająć miejsce brata? W takim razie wykonaj zadanie, dupku, albo sam znajdę kogoś, kto to zrobi! A jeśli jutro każdy z was nie da z siebie wszystkiego, jeśli ktoś będzie miał ochotę beczynnie czekać... – Czarny Dow zamknął oczy i odchylił twarz ku niebu. – Na spokój zmarłych, wytnę wam na ciałach krzyże. Powieszę was. Spalę. Tak się z wami rozprawię, że bardowie posiwieją, opowiadając o tym w swoich pieśniach. Czy wyrażam się jasno?

– Tak – odrzekł Calder, ponury jak chłostany muł.

– Tak – odrzekł Dziesięć Sposobów, wcale nie weselszy.

Jednakże Beck miał wrażenie, że konflikt między nimi wcale nie został zażegnany.

– To by było, kurwa, tyle! – Dow odwrócił się, zobaczył, że jeden z chłopców Dziesięciu Sposobów stoi mu na drodze, chwycił go za koszulę i cisnął na ziemię, po czym zniknął w ciemności.

– Za mną – syknął Calderowi do ucha Gnat, po czym ujął go pod rękę i odprowadził.

Dziesięć Sposobów i jego chłopcy wrócili na swoje miejsca, mrużąc z niezadowoleniem. Jasnowłosy chłopak posłał

Beckowi nieprzyjazne spojrzenie. Kiedyś Beck odwzajemniłby się tym samym, może nawet dorzucił kilka ostrych słów, ale po takim dniu tylko szybko odwrócił wzrok, czując w uszach łomot bijącego serca.

– Szkoda. Coraz bardziej mi się podobało. – Whirrun z Bligh zdjął kaptur i podrapał się po przylizanych włosach. – Jak masz na imię?

– Beck. – Postanowił, że na tym poprzestanie. – Czy każdy dzień w waszym towarzystwie tak wygląda?

– Nie, nie, nie, chłopcze. Nie każdy. – Na spiczastej twarzy Whirruna pojawił się szalony uśmiech. – Niestety, tylko niektóre.

Gnat zawsze podejrzewał, że pewnego dnia Calder wpakuje go w gówno, i wyglądało na to, że właśnie nadszedł ten dzień. Prowadził go w dół zbocza, mocno ściskając za łokieć, oddalając się od Bohaterów wśród podmuchów przenikliwego wiatru. Przez dwadzieścia lat starał się nie narobić sobie wrogów. A teraz wystarczyło jedno popołudnie w roli zastępcy Dowa i oto wrogowie wyrosli spod ziemi jak nowe pędy wilgotną wiosną. Zwłaszcza konflikt z Broddem Dziesięć Sposobów był mu nie na rękę. To był człowiek o wnętrzu równie paskudnym jak twarz człowieka, który nigdy nie zapominał zniewag.

– Co to było, do diabła? – Zatrzymali się w bezpiecznej odległości od ognisk i wścibskich uszu. – Przez ciebie mogliśmy zginąć!

– Szalka nie żyje. Oto powód. Nie żyje, bo ten zgniły kutas nic nie zrobił.

– Zgadza się. – Gnat poczuł, że mięknie. Przez chwilę stał bez

ruchu, a wiatr chłostał mu łydki źdźbłami długiej trawy. – Przykro mi. Ale nowe trupy nie rozwiążą problemu. – Zwłaszcza mój. – Położył dłoń na żebrach, czując pod spodem rozszalałe serce. – Na spokój zmarłych, jeszcze umrę od tych emocji.

– Zabiję go. – Calder popatrzył w stronę ogniska z wściekłym grymasem na twarzy.

Gnat jeszcze nigdy nie widział u niego takiej determinacji. Położył mu dłoń na piersi i delikatnie go obrócił.

– Wstrzymaj się do jutra. Zachowaj siły na Unię.

– Dlaczego? Moi wrogowie są tutaj. Dziesięć Sposobów siedział beczynnie, gdy Szalka umierał. Siedział i się śmiał.

– A ty jesteś wściekły dlatego, że on nie pomógł twojemu bratu, czy dlatego, że ty tego nie zrobiłeś? – Położył drugą dłoń na ramieniu Caldera. – Kochałem twojego ojca. Ciebie też kocham, jak syna, którego nigdy nie miałem. Ale dlaczego, u diabła, zawsze tak łatwo was było sprowokować? Okazji do walki nie zabraknie. Dobrze wiesz, że stanę u twojego boku, jeśli będzie trzeba, ale są ważniejsze rzeczy niż...

– Tak, tak. – Calder strącił dłonie Gnata. – Należy utrzymać przy życiu twoją drużynę, nie wychylać się i robić to, co należy, nawet jeśli to nic dobrego...

Gnat ponownie chwycił go za ramiona i nim potrząsnął.

– Jestem odpowiedzialny za utrzymanie pokoju! Dowodzę Carlami Dowa, jestem jego zastępcą i nie mogę...

– Kim jesteś? Chronisz go? – Calder wbił palce w rękę Gnata, wytrzeszczając błyszczące oczy. Nie było w nim wściekłości. Tylko entuzjazm. – Stoisz za jego plecami z ostrzem w dłoni? Na tym polega twoje zadanie?

Gnat nagle zauważył pod swoimi stopami rozwierający się dół, który sam wykopał.

– Nie, Calderze! – warknął, starając się uwolnić z jego uścisku. – Zamknij...

Calder niezdarnie go objął, a Gnat poczuł od niego alkohol.

– Mógłbyś to zrobić! – Calder syknął mu do ucha. – Położyć wszystkiemu kres!

– Nie!

– Zabij go!

– Nie! – Gnat się wyrwał i odepchnął rękę Caldera, po czym zacisnął dłoń na rękojeści miecza. – Nie, ty przeklęty głupcze!

Wydawało się, że Calder nie rozumie, co Gnat mówi.

– Ilu ludzi zabiłeś? W ten sposób zarabiasz na życie. Jesteś zabójcą.

– Jestem Imiennym.

– Więc jesteś w tym lepszy niż większość z nas. Cóż znaczy jedna śmierć więcej? Tym razem w szczytnym celu! Mógłbyś to wszystko powstrzymać. Nawet nie lubisz tego drania!

– Nieważne, co lubię, Calder! On jest wodzem.

– Teraz jest wodzem, ale jeśli rozplątasz mu głowę toporem, stanie się błotem. Wtedy nikogo nie będzie obchodził jego los.

– Mnie będzie.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę, wciąż skryci w ciemności, w której było widać tylko błysk oczu Caldera oraz jego bladą twarz. Calder spuścił wzrok na dłoń Gnata zaciśniętą na rękojeści.

– Zabijesz mnie?

– Oczywiście, że nie. – Gnat się wyprostował i opuścił rękę. – Ale będę musiał powiedzieć Czarnemu Dowowi.

Znów zapadła cisza.

– Co dokładnie mu powiesz?

– Że prosiłeś mnie, abym go zabił.

Ponownie zamilkli.

– Chyba mu się to nie spodoba.

– Chyba nie.

– Podejrzewam, że wytnie na moim ciele krwawy krzyż, a potem mnie powiesi i spali.

– Też tak myślę. Dlatego lepiej uciekaj.

– Dokąd?

– Dokąd chcesz. Dam ci fory. Powiem mu dopiero jutro. Muszę to zrobić. Tak postąpiłby Trójdrzewiec – wyjaśnił Gnat, chociaż Calder nie pytał go o powód, a ta odpowiedź zabrzmiała wyjątkowo nieprzekonująco.

– Trójdrzewiec zginął. Zabili go na jakimś pustkowiu.

– To bez znaczenia.

– Nie przyszło ci do głowy, że powinieneś poszukać sobie innego wzoru do naśladowania?

– Dałem słowo.

– Honor zabójcy? Przyrzekłeś na fiuta Skarlinga czy na coś innego?

– Nie musiałem. Dałem słowo.

– Czarnemu Dowowi? Kilka dni temu usiłował mnie zabić, a ja mam siedzieć beczynnie i czekać, aż znów spróbuje? Ten człowiek jest bardziej zdradziecki niż zima!

– To bez znaczenia. Zgodziłem się. – Na spokój zmarłych, jak bardzo tego żałował.

Calder pokiwał głową, uśmiechając się samym kącikiem ust.

– No tak. Dałeś słowo. A dobry stary Gnat przestrzega zasad. Niezależnie od tego, kto przez to zginie.

– Muszę mu powiedzieć.

– Ale dopiero jutro. – Calder się cofnął, wciąż kpiąco się uśmiechając. – Dasz mi fory. – Jeden krok za drugim, w dół zbocza. – Nie powiesz mu. Znam cię, Gnacie. Wychowałeś mnie od dzieciaka, czyż nie? Nie brakuje ci kości. Nie jesteś psem Czarnego Dowa. Nie ty.

– To nie jest kwestia kości ani psów. Dałem słowo, dlatego jutro mu powiem.

– Nie powiesz.

– Owszem.

– Nie. – Uśmiech Caldera rozplynął się w ciemności. – Nie powiesz.

Gnat przez chwilę stał bez ruchu, marszcząc czoło i wpatrując się w pustkę. Potem zazgrzytał zębami, wplótł palce we włosy, pochylił się i wydał z siebie zduszony ryk frustracji. Nie czuł takiej pustki od czasu, gdy Wast Nigdy sprzedał go i próbował zabić po ośmiu latach przyjaźni. Zrobiłby to, gdyby nie Whirrun. Nie był pewien, kto tym razem pomoże mu się wydostać z tarapatów. Chyba nikomu się nie uda. Tym razem to on będzie zdrajcą. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie.

Robienie tego, co właściwe, to pozornie łatwa zasada. Ale co zrobić, gdy to, co właściwe, jest złem? Oto jest pytanie.

Ostatni bohater króla

Wasza Królewska Mość!

Ciemność wreszcie zakryła pole bitwy. Dzisiaj wiele zyskaliśmy, lecz zapłaciliśmy za to olbrzymią cenę. Z głębokim żalem informuję, że lord gubernator Meed bohatersko poległ w walce w imieniu Waszej Królewskiej Mości razem z licznymi członkami swojego sztabu.

W mieście Osrung od świtu do zmierzchu toczyły się zacięte walki. Rankiem zdobyliśmy przewagę i wypędziliśmy Północnych na drugi brzeg rzeki, jednak udało im się przeprowadzić dziki kontratak i ponownie zająć północną połowę miasta. Teraz woda ponownie oddziela obie strony.

Na zachodnim skrzydle generał Mitterick miał więcej szczęścia. Północni dwukrotnie opierali się jego szturmom na Stary Most, jednak podczas trzeciego natarcia ich opór został złamany i uciekli za niski mur wznoszący się za otwartym polem. Mitterick prowadzi kawalerię przez rzekę i jutro o świcie będzie gotowy do ataku. Ze swojego namiotu widzę sztandary drugiego i trzeciego regimentu dumnie powiewające nad terenami, które jeszcze kilka godzin temu zajmowali Północni.

Tymczasem generał Jalenhorm przegrupował swoją dywizję wzmocnioną nowymi rekrutami i jest gotów poprowadzić przeważające siły do ataku na Bohaterów.

Jutro zamierzam trzymać się blisko niego, by na własne oczy zobaczyć jego sukces i donieść Waszej Królewskiej Mości o pokonaniu Czarnego Dowa, gdy tylko głazy zostaną zdobyte.

*Wierny i pokorny sługa Waszej Królewskiej Mości,
Bremer dan Gorst,
królewski obserwator Wojny Północnej*

Gorst podał list Rurgenowi, zaciskając zęby, gdy ból przeszył mu ramię. Wszystko go bolało. Żebra dokuczały jeszcze bardziej niż wczoraj. Pacha potwornie swędziała od obcierającej ją krawędzi napierśnika. Z jakiegoś powodu miał skaleczenie pomiędzy łopatkami, w miejscu, które najtrudniej dosięgnąć. Niewątpliwie zasługuję na znacznie gorszy los i zapewne mnie on nie minie, zanim skończymy z tą bezwartościową doliną.

– Młodszy może to dostarczyć? – stęknął.

– Młodszy! – zawołał Rurgen.

– Co? – rozległo się na zewnątrz.

– List!

Młodszy ze sług schylił się w wejściu do namiotu i sięgnął po papier. Skrzywił się i musiał podejść jeszcze o krok. Gorst zauważył, że prawą stronę twarzy ma obwiązaną bandażem, na którym widnieje długi brązowy ślad zaschniętej krwi.

Gorst przez chwilę mu się przyglądał.

– Co się stało?

– Nic.

– Hmm – mruknął Rurgen. – Powiedz panu pułkownikowi.

Młodszy surowo zerknął na swojego kompana.

– To nic ważnego.

– Felnigg się stał – odrzekł Rurgen. – Skoro pan pyta.

Gorst zerwał się z miejsca, zapominając o bólu.

– Pułkownik Felnigg? Szef sztabu Kroya?

– Stałem mu na drodze. To wszystko. Nie ma o czym mówić.

– Zdzielił go batem – wyjaśnił Rurgen.

– Zdzielił batem... ciebie? – wyszeptał Gorst. Przez chwilę stał wpatrzony w Młodszego. Potem chwycił długie ostrze, oczyszczone, naostrzone i wypolerowane, spoczywające w pochwie na stoliku obok.

Młodszy zagroził mu drogę, unosząc dłonie.

– Niech pan pułkownik nie zrobi jakiegoś głupstwa.

Gorst go odepchnął i wypadł z namiotu na chłodne nocne powietrze, po czym ruszył po wydeptanej trawie.

– Niech pan nie zrobi jakiegoś głupstwa!

Gorst się nie zatrzymał.

Namiot Felnigga rozstawiono na zboczu wzgórza niedaleko rozsypującej się stodoły, którą marszałek Kroy wybrał na swoją kwaterę główną. Światło lampy wyciekało spod materiału zasłaniającego wejście, oświetlając pas błotnistej trawy, potarganą kępę turzycy i twarz imponująco znudzonego strażnika.

– Czym mogę panu służyć, pułkowniku?

Służyć, ty draniu? Zamiast umożliwić mu zastanowienie się nad swoją sytuacją, długa wędrówka z doliny tylko podsyciła wściekłość Gorsta. Chwycił strażnika za napierśnik i cisnął w dół

zbocza, po czym wpadł do namiotu.

– Felnigg...!

Stałą jak wryty. W namiocie było wielu starszych oficerów ze sztabu Kroya. Niektórzy trzymali w rękach karty, inni szklaneczki, większość miała porozpinane mundury. Stali wokół inkrustowanego stołu, który wyglądał, jakby go ukradziono z pałacu. Jeden z żołnierzy palił fajeczkę z chaggą. Inny popijał wino z zielonej butelki. Trzeci garbił się nad grubą księgą, w blasku świecy, zmuǳnie umieszczając w niej całkowicie nieczytelne wpisy.

– Ten przeklęty kapitan chciał nam policzyć piętnaście od kajuty! – Główny kwatermistrz Kroya roześmiał się, niezdarnie układając karty w rękę. – Piętnaście! Powiedziałem mu, żeby szedł do diabła.

– I co było dalej?

– W końcu umówiliśmy się z tą przeklętą morską pijawką na dwanaście... – Kwatermistrz umilkł, gdy oficerowie kolejno zaczęli spoglądać na Gorsta. Księgowy także zerknął ponad grubymi okularami, które groteskowo powiększały jego oczy.

Gorst nie czuł się dobrze w tłumie. Jeszcze gorzej niż w kontaktach z pojedynczymi ludźmi, czyli fatalnie. Ale obecność świadków tylko zwiększył upokorzenie Felnigga. Zmuszę go do błagania. Wszystkich was, dranie, zmuszę do błagania. Mimo to, znieruchomiał, czując, jak jego policzki płoną.

Felnigg zerwał się z miejsca, lekko pijany. Wszyscy sprawiali wrażenie podpitych. Gorst nie czuł się dobrze w obecności pijanych ludzi. Jeszcze gorzej niż w kontaktach z trzeźwymi, czyli fatalnie.

– Pułkownik Gorst! – Felnigg skoczył do przodu z szerokim

uśmiechem. Gorst uniósł otwartą dłoń, żeby go spoliczkować, ale poruszał się dziwnie powoli, przez co Felnigg zdążył chwycić go za rękę i serdecznie nią potrząsnąć. – Jak dobrze pana widzieć! Jak dobrze!

– Ale... co?

– Byłem dzisiaj na moście! Wszystko widziałem! – Cały czas ścisnął jego dłoń, jak szalona praczka maglowane ubranie. – Pędził pan za nimi przez pole i kładł ich pokotem! – Machnął kielichem, rozchlapując wino. – Zupełnie jak w opowieściach!

– Pułkownik Felnigg! – Strażnik wcisnął się do namiotu. Miał cały bok usmarowany błotem. – Ten człowiek...

– Wiem! To pułkownik Bremer dan Gorst! Nigdy nie widziałem takiej odwagi! Takiej szermierczej biegłości! Jest wart całego regimentu! Co tam regimentu, całej dywizji! Ilu z tych drani pan usiekł? Pewnie ze dwa tuziny? A może trzy?

Strażnik się skrzywił, ale widząc, że sprawy nie toczą się po jego myśli, musiał wycofać się w ciemność.

– Najwyżej piętnastu – odezwał się Gorst. I tylko dwóch po naszej stronie! Prawdziwie bohaterski wynik! – Ale dziękuję. – Bezskutecznie próbował obniżyć głos do tenoru. – Dziękuję.

– To my powinniśmy panu dziękować! A już na pewno ten idiota Mitterick. Gdyby nie pan, jego żalosny atak zatonałby w rzece. Najwyżej piętnastu, słyszeliście? – Poklepał jednego ze swoich ludzi po ramieniu, aż ten rozlał wino. – Już napisałem do mojego przyjaciela Hallecka z Zamkniętej Rady, informując go, że jest pan bohaterem! Myślałem, że w dzisiejszych czasach już nie ma dla nich miejsca, ale oto jeden stoi przede mną. – Radośnie klepnął Gorsta w ramię. – Wszystkim już o panu opowiadałem!

– Nie da się ukryć – mruknął jeden z oficerów, wpatrując się

w swoje karty.

– To... bardzo uprzejme z pana strony. – Uprzejme? Zabij go! Odrąb mu łeb jak tamtemu Północnemu. Uduś go. Zamorduj. Przynajmniej wybij mu wszystkie zęby. Zrób mu krzywdę. W tej chwili! – Bardzo... uprzejmie.

– Będę zaszczycony, jeśli zgodzi się pan ze mną napić. Wszyscy będziemy! – Felnigg obrócił się i chwycił butelkę. – A tak w ogóle, to co pana sprowadza na wzgórze?

Gorst ciężko westchnął. Teraz. Nadszedł czas na odwagę. Zrób to teraz. Jednakże wypowiedanie kolejnych słów przychodziło mu z olbrzymim trudem. Boleśnie zdawał sobie sprawę, że jego idiotyczny głos nie jest w stanie zabrzmieć groźnie ani władczo, i z każdym ruchem zaślinionych warg tracił pewność siebie.

– Przyszedłem... ponieważ dowiedziałem się, że dzisiaj... uderzył pan batem... – Mojego przyjaciela. Jednego z moich nielicznych przyjaciół. Uderzyłeś batem mojego przyjaciela, a teraz przygotuj się na śmierć. – Mojego sługę.

Felnigg okręcił się na pięcie i rozdziawił usta.

– To był pański sługa? Na spokoj... proszę przyjąć moje przeprosiny!

– Dołożyłeś komuś? – spytał jeden z oficerów.

– I to nie w karty? – mruknął inny, wywołując kilka chichotów.

Felnigg nie przestawał paplać.

– Tak mi przykro. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Straszliwie się śpieszyłem, gdyż wiozłem rozkaz od lorda marszałka. Oczywiście, to mnie nie tłumaczy. – Chwycił Gorsta za rękę i nachylił się, zionąc oparami alkoholu. – Musi pan zrozumieć, że nigdy bym... gdybym wiedział, że to pański sługa...

oczywiście nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego!

Ale zrobiłeś, ty pozbawiona podbródka kupo gówna, a teraz za to zapłacisz. Zasłużyłeś na odpłatę i zaraz ją dostaniesz. Już za chwilę. Na pewno, bez dwóch zdań, już teraz.

– Muszę prosić...

– Proszę, niech pan się zgodzi ze mną napić! – Felnigg wepchnął Gorstowi do ręki przepełniony kielich, zalewając mu palce winem. – Zdrowie pułkownika Gorsta! Ostatniego bohatera w armii Jego Królewskiej Mości!

Pozostali oficerowie szybko unieśli swoje kielichy, wesoło szczerząc zęby. Jeden uderzył pięścią w blat, aż zabrzęczała srebrna zastawa.

Zanim Gorst się zorientował, z uśmiechem sącył wino. Co gorsza, nawet nie musiał się zmuszać. Podobało mu się ich uwielbienie.

Zabijałem dzisiaj ludzi, którzy nie wyrządzili mi najmniejszej krzywdy. Zarżnąłem ich piętnastu. A teraz stoję przed człowiekiem, który uderzył jednego z moich przyjaciół. Jakie potworności powinienem mu wyrządzić? No tak, uśmiechnąć się, żłopać jego tanie wino i przyjmować gratulacje od nieznanomych prostaków. Co powiem Młodszeemu? Że nie musi się przejmować bólem i upokorzeniem, ponieważ jego oprawca jest zachwycony moim morderczym szturmem? Ostatni bohater króla? Kurwa, rzygać mi się chce. Zdał sobie sprawę, że wciąż kurczowo ściska w dłoni broń. Bezskutecznie próbował schować ją za nogą. Mam ochotę wyrzygać własną wątrobę.

– Felnigg tak pięknie o tym opowiadał – rzekł jeden z oficerów, układając karty. – To drugi najdzielniejszy czyn, o jakim dzisiaj słyszałem.

– Ryzykowanie utraty racji żywnościowych się nie liczy –

odparł ktoś z wściekłością, wywołując kolejny wybuch pijackiego śmiechu.

– Chodziło mi o córkę marszałka. Wolę bohaterskie kobiety od mężczyzn, lepiej wyglądają na obrazach.

Gorst zmarszczył czoło.

– Finree dan Kroy? Myślałem, że znajduje się w kwaterze głównej swojego ojca.

– Nie słyszał pan? – zdziwił się Felnigg, po raz kolejny dmuchając mu w twarz cuchnącym oddechem. – Coś niebywałego! Była z Meedem w gospodzie, kiedy Północni go zaszlachtowali razem z całym sztabem. W samym środku kwatery głównej! Trafiła do niewoli, ale zdołała nakłonić wrogów, żeby ją wypuścili, i dodatkowo wynegocjowała uwolnienie sześćdziesięciu rannych jeńców! Co pan na to? Więcej wina?

Gorst nie wiedział, co ma o tym myśleć, jedynie poczuł nagłą falę gorąca i zawrotów głowy. Zignorował butelkę, którą mu podsunęto, odwrócił się bez słowa i wyszedł na chłodne wieczorne powietrze. Strażnik, którego przewrócił, stał przed namiotem i bezskutecznie próbował się oczyścić. Popatrzył na Gorsta oskarżycielsko, a zawstydzony pułkownik odwrócił wzrok, nie mogąc się nawet zdobyć na odwagę, żeby przeprosić...

I wtedy ją zobaczył. Stała obok niskiego kamiennego muru przed kwaterą główną marszałka Kroya i ze zmarszczonym czołem patrzyła w głąb doliny, szczelnie owinięta wojskowym płaszczem, który przytrzymała pod szyją bladą dłonią.

Gorst do niej podszedł. Nie miał wyboru. Miał wrażenie, że ktoś ciągnie go do niej na linie. Na linie przywiązanej do fiuta. Dziecinne, niszczycielskie namiętności ciągną mnie od jednego

upokarzającego epizodu do kolejnego.

Podniosła na niego wzrok, a widok jej zaczerwienionych oczu zamroził mu oddech w krtani.

– Bremer dan Gorst – odezwała się beznamiętnym głosem. – Co cię tutaj sprowadza?

Och, przyszedłem zamordować szefa sztabu twojego ojca, ale pochwalił mnie po pijaku, więc zamiast tego wzniosłem razem z nim toast ku czci moich bohaterskich czynów. Jest w tym coś zabawnego...

Zorientował się, że wpatruje się w jej zaciemnioną twarz. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Latarnia znajdująca się za nią otaczała jej profil złotą obwódką i sprawiała, że meszek na jej górnej wardze lśnił. Gorst był przerażony, że Finree popatrzy w jego stronę i przyłapie go na patrzeniu na jej usta. Przecież nie wolno w ten sposób patrzeć na kobiece usta. Na usta mężatki. Pięknej, pięknej mężatki. Chciał, żeby na niego spojrzała. Żeby go przyłapała. Ale oczywiście tego nie zrobiła.

Niby po co kobieta miałaby na mnie patrzeć? Kocham cię. Kocham cię tak mocno, że to boli. Bardziej niż wszystkie ciosy, które dzisiaj otrzymałem. Nawet bardziej niż ciosy, które zadałem. Kocham cię tak mocno, że zaraz się zesram. Powiedz to. Może nie o sraniu, ale całą resztę. Co masz do stracenia? Powiedz to i bądź przeklęty!

– Słyszałem, że... – niemal wyszeptał.

– Tak – odpowiedziała.

Zapadła wyjątkowo niezręczna cisza.

– Czy...

– Tak. No dalej, nie krępuj się. Powiedz, że nie powinnam była tam chodzić. No dalej.

Znów cisza, jeszcze bardziej niezręczna. Między umysłem

i ustami Gorsta otwierała się przepaść, której nie potrafił przekroczyć. Nie miał odwagi. Łatwość, z jaką ona to robiła, zapierała mu dech w piersi.

– Przyprowadziłaś jeńców – wydukał w końcu. – Ocaliłaś ludzi. Powinnaś być z siebie dumna...

– O tak, jestem prawdziwym bohaterem. Wszyscy są straszliwie dumni. Znasz Aliz dan Brint?

– Nie.

– Ja też tak naprawdę jej nie znałam. Szczerze mówiąc myślałam, że to idiotka. Była tam ze mną. – Wskazała głową pogrążoną w mroku dolinę. – Nadal tam jest. Jak myślisz, co się z nią dzieje, gdy my tutaj rozmawiamy?

– Nic dobrego – odparł bez zastanowienia Gorst.

Zerknęła na niego, marszcząc czoło.

– No cóż. Przynajmniej mówisz to, co naprawdę myślisz. – Odwróciła się i zaczęła wspinać w stronę kwatery głównej swojego ojca, jak zwykle zostawiając Gorsta z na wpół otwartymi ustami, przygotowującego się do wypowiedzenia słów, których nie był w stanie z siebie wydobyć.

O tak, zawsze mówię to, co naprawdę myślę. A przy okazji, czy chciałabyś possać mojego fiuta? Proszę? A może pocałunek z języczkiem? Przynajmniej mnie przytul.

Weszła do niskiej stodoły i zamknęła drzwi, za którymi zniknęło światło.

Weźmiesz mnie za rękę? Nie? Jest tu ktoś?

Znów zaczęło padać.

Jest tu ktoś?

Moja ziemia

Calder nieśpiesznie wracał do trzaskających i syczących na deszczu ognisk za Murem Claila. Od dawna był w niebezpieczeństwie i nigdy nie czuł tego wyraźniej niż teraz, ale, o dziwo, kpiący uśmiech nie zniknął z jego ust.

Stracił ojca. Stracił brata. Zraził do siebie swojego starego przyjaciela Gnata. Spiski nic mu nie dały. Nasiona, które tak starannie zasadził, nie przyniosły żadnych, nawet najbardziej gorzkich owoców. Dzięki porywczoci i zbyt dużej ilości taniego trunku od Płytkiego popełnił olbrzymi błąd, który może go kosztować życie. Już niedługo. W paskudnych okolicznościach.

Mimo to, czuł się silny. Wyzwolony. Już nie był młodszym synem ani młodszym bratem. Już nie był tchórzem, zdrajcą i kłamcą. Cieszył go nawet pulsujący ból w lewej dłoni, której knykcie obdarł ze skóry o kolczugę Dziesięciu Sposobów. Po raz pierwszy w życiu czuł się... odważny.

– Co tam się wydarzyło? – Głos Głębokiego bez ostrzeżenia zabrzmiał w ciemności za jego plecami, ale Calder nie dał się zaskoczyć.

Westchnął.

– Popełniłem błąd.

– Więc postaraj się uniknąć kolejnego – jęknął Płytki z drugiej strony.

– Zastawiasz się, czy jutro stanąć do walki, prawda? – ponownie odezwał się Głęboki.

– Owszem.

Obaj słudzy gwałtownie wciągnęli powietrze.

– Do walki? – spytał Głęboki.

– Ty? – dodał Płytki.

– Ruszajmy, przed świtem możemy pokonać dziesięć mil. Nie ma powodu...

– Nie – odparł Calder.

Nie miał się nad czym zastanawiać. Nie mógł uciec. Calder sprzed dziesięciu lat, ten, który bez wahania skazał na śmierć Forleya Najśłabszego, już dawno by galopował w dal na najszybszym koniu, jakiego udałoby mu się ukraść. Ale teraz miał Seff i nienarodzone dziecko. Jeśli zostanie, żeby zapłacić za swoją głupotę, Dow pewnie zadowolony się rozerwaniem go na strzępy na oczach rechoczącego tłumu, ale oszczędzi Seff, żeby Reachey miał wobec niego dług wdzięczności. Jednak, jeśli ucieknie, Dow powiesi jego żonę, a do tego Calder nie mógł dopuścić. Nie był do tego zdolny.

– Nie polecam – odparł Głęboki. – Bitwy nigdy nie są dobrym pomysłem.

Płytki mlasnął językiem.

– Jeśli chcesz kogoś zabić, najlepiej to zrobić, kiedy jest do ciebie odwrócony tyłem.

– Popieram z całego serca – rzekł Głęboki. – Myślałem, że ty także.

– Kiedyś tak. – Calder wzruszył ramionami. – Ale ludzie się zmieniają.

Niezależnie od wszystkiego, jest ostatnim synem Bethoda. Jego ojciec był wielkim człowiekiem, a on nie miał zamiaru ośmieszyć jego pamięci. Być może Szalka był idiotą, ale przynajmniej miał na tyle godności, by umrzeć na polu bitwy.

Lepiej pójść za jego przykładem niż pozwolić się zaszczyć w jakimś odludnym zakątku Północy i żebrać o swoje bezwartościowe życie.

Ale przede wszystkim nie mógł uciec, ponieważ... pieprzyć ich. Pieprzyć Dziesięć Sposobów, Złotego i Żelaznogłowego. Pieprzyć Czarnego Dowa. Pieprzyć także Curndena Gnata. Miał dosyć robienia za pośmiewisko. Dosyć tego, że nazywali go tchórzem, i tego, że faktycznie nim był.

– Nie bierzemy udziału w bitwach – rzekł Płytki.

– Nie możemy na ciebie uważać, skoro uparłeś się, żeby walczyć – dodał Głęboki.

– Nie oczekuję tego od was.

Calder zostawił ich w ciemności, nawet się nie oglądając, i ruszył szlakiem do Muru Claila, mijając ludzi cerujących koszule, czyszczących broń i rozprawiających o swoich szansach w jutrzejszej bitwie. Przeważały pesymistyczne opinie. Calder postawił jedną nogę na rozsypującym się kamiennym murze i wyszczerzył się do ponurego, obwisłego stracha na wróble.

– Rozchmurz się – powiedział. – Nigdzie się nie wybieram. To moi ludzie. Moja ziemia.

– Czyż to nie Calder Obdarte-Knykcie, bijący księżę! – Bładylak-Śnieg wyłonił się z ciemności. – Powraca nasz szlachetny przywódca! Myśleliśmy, że cię straciliśmy. – Wydawało się, że nie zmartwiła go taka ewentualność.

– Rzeczywiście, zastanawiałem się, czy nie uciec. – Calder poruszył palcami w butach, ciesząc się tym uczuciem. Tego wieczoru cieszył go każdy drobiazg. Może właśnie tak się dzieje, gdy widać zbliżającą się śmierć. – Ale nie miałem ochoty włączyć się na zimnie.

– Zatem pogoda nam sprzyja.

– To się jeszcze okaże. Dziękuję, że dobyteś miecza w mojej obronie. Do tej pory uważałem cię za człowieka, który zawsze popiera silniejszą ze stron.

– Ja również. Ale przez chwilę widziałem w tobie twojego ojca. – Blady-jak-Śnieg oparł się nogą o mur obok Caldera. – Przypomniałem sobie, jak to jest podążać za człowiekiem, którego podziwiam.

Calder parsknął.

– Nie przyzwyczajalbym się do tego uczucia.

– Nie przejmuj się, już minęło.

– Zatem spędzę każdą z chwil, które mi pozostały, próbując je przywrócić. – Calder wskoczył na mur, zamachał rękami, żeby złapać równowagę, gdy jeden z kamieni obluzował się pod jego stopą, po czym wyprostował się i spojrzał ponad czarnymi polami w stronę Starego Mostu. Pochodnie na pikietach Unionistów tworzyły przerywaną linię. Kolejne poruszały się tam, gdzie żołnierze przekraczali rzekę, przygotowując się do porannego szturmego przez pola, by przeskoczyć rozsypujący się murek, wymordować ich wszystkich i zakpić z pamięci o Bethodzie.

Calder zmrużył oczy, osłaniając je przed blaskiem ognisk. Wyglądało na to, że Unioniści zatknęli na przodzie dwa sztandary. Widział, jak powiewają na wietrze, błyskając złotymi niemi. Zdziwił się, że są tak dobrze widoczne, ale po chwili zrozumiał, że specjalnie je podświetlono. To był pokaz. Może demonstracja siły.

– Na spokój zmarłych – szepnął i parsknął śmiechem.

Ojciec mówił mu, że wroga najczęściej postrzegamy na jeden z dwóch sposobów. Albo jako odrealnioną, przerażającą, niepowstrzymaną siłę, której można się tylko bać, a nie sposób

zrozumieć, albo jako kawał drewna, który nie myśli i się nie porusza, tępy cel, w który można wystrzeliwać swoje plany. Jednakże wróg nie jest ani jednym, ani drugim. Pomyśl, że jest tobą, i tak jak ty może być głupcem, tchórzem albo bohaterem. Jeśli zdołasz to sobie wyobrazić, nie popełnisz poważnych błędów. Wróg to tylko grupa ludzi. Uświadomienie sobie tego czyni wojnę prostą. A zarazem bardzo trudną.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że generał Mitterick i reszta to taka sama zgraja idiotów jak Calder.

– Widziałeś tamte przekłete flagi?! – zawołał z góry.

Błady-jak-Śnieg wzruszył ramionami.

– Taka jest Unia.

– Gdzie Białooki?

– Krąży między ogniskami, próbuje podtrzymać ludzi na duchu.

– Więc nie dodaje im otuchy fakt, że nimi dowodzę?

Błady-jak-Śnieg ponownie wzruszył ramionami.

– Oni nie znają cię tak dobrze jak ja. Hansul zapewne śpiewa im pieśń o tym, jak uderzyłeś Brodda Dziesięć Sposobów w twarz. To nie zaszkodzi twojej reputacji.

Może nie, ale bicie swoich sojuszników nie wystarczy. Ludzie Caldera byli pokonani i zdemoralizowani. Stracili ukochanego przywódcę i zyskali w zamian nowego, którego nikt nie kochał. Jeżeli znów wykaże się bezczynnością, bardzo możliwe, że podczas porannej bitwy się rozsypią, jeśli w ogóle zastanie ich na miejscu, gdy wzejdzie słońce.

Szałka dobrze to ujął. Tu jest Północ. Czasami trzeba walczyć.

Calder przycisnął język do zębów, czując, że zaczątki pomysłu wyłaniają się z ciemności.

– Czy tam po drugiej stronie to Mitterick?
– Wódz Unionistów? Tak, to chyba Mitterick.
– Dow mówił, że jest bystry, ale nieostrożny.
– Dzisiaj rzeczywiście wykazał się lekkomyślnością.
– Ostatecznie mu się to opłaciło. Ludzie zazwyczaj trzymają się tego, co działa. Słyszałem, że on kocha konie.

– Co takiego? Kocha je? – Blady-jak-Śnieg udał, że coś chwyta, po czym kilka razy pchnął biodrami.

– Może to też, ale chodziło mi raczej o walkę z siodła.

– To dobry teren dla kawalerii. – Blady-jak-Śnieg wskazał głową ciemne łąny zboża na południu. – Przyjemny i płaski. Może on uważa, że nas jutro rozjedzie.

– Niewykluczone, że to zrobi. – Calder zamyślił się, zaciskając usta. Przypomniał sobie o zmiętym rozkazie, który trzymał w kieszeni koszuli. Moi ludzie i ja dajemy z siebie wszystko. – Lekkomyslny. Arogancki. Próżny. – To samo ludzie powiadali o Calderze, dzięki czemu potrafił lepiej zrozumieć przeciwnika. Ponownie popatrzył na idiotyczne flagi ustawione na widoku i rozświetlone jak potańcówka w przeddzień letniego przesilenia. Na jego twarzy zagościł znajomy kpiący uśmiech i już tam pozostał. – Zbierz swoich najlepszych ludzi. Wystarczy kilka dwudziestek. Powinni móc trzymać się razem i szybko działać w nocy.

– Po co?

– Nie pokonamy Unii, jeśli będziemy tutaj siedzieć i się nad sobą rozczulać. – Zrzucił nogą luźny kamień ze szczytu muru. – Nie sądzę też, by granica wyznaczona przez jakiegoś rolnika miała ich zatrzymać, a ty?

Blady-jak-Śnieg wyszczerzył zęby.

– Znów przypominasz mi swojego ojca. A co z resztą

chłopców?

Calder zeskoczył na ziemię.

– Niech Białooki ich zbierze. Czeka ich trochę kopania.

Dzień trzeci

*„Nie jestem pewien, jak wiele przemocy
i mordu zniosą czytelnicy”.*

Robert E. Howard

Sztandarowa kwestia

Światło pojawiało się i znikalo, gdy obłoki pędzące po niebie na zmianę ukazywały księżyc w pełni i go zasłaniały, jak sprytna dziwka, która od czasu do czasu mignie cyckiem, żeby podtrzymać zainteresowanie klientów. Na spokój zmarłych, Calder żałował, że nie jest taką sprytną dziewczyną, tylko musi siedzieć skulony na środku podmokłego pola jęczmienia, zerkając między miotanymi wiatrem kłosami w próżnej nadziei na dostrzeżenie całej masy czarnej pustki. Niestety, a może na szczęście, lepiej czuł się w burdelu niż na polu bitwy.

Z Bładym-jak-Śnieg było odwrotnie. Jedyłą częścią jego ciała, która poruszyła się w ciągu ostatniej godziny, była szczęka powoli przerabiająca kawałek chaggi na papkę. Niewzruszony spokój kompana tylko drażnił Caldera. Zresztą tak jak wszystko. Działał mu na nerwy zgrzyt łopat, który w jednej chwili rozbrzmiewał zaledwie kilka kroków za jego plecami, by za moment dać się zagłuszyć podmuchom wiatru. Tego samego wiatru, który chłostał twarz Caldera włosami, dmuchał mu piaskiem w oczy i mroził go aż do kości.

– Srać na ten wiatr – wymamrotał.

– Wiatr jest dobry – mruknął Błady-jak-Śnieg. – Zagłusza dźwięki. A jeśli tobie jest zimno, choć wychowałeś się na Północy, to pomyśl, jak się czują Unioniści przywykli do słonecznych klimatów. Wszystko działa na naszą korzyść.

Calder może i mógłby się z tym zgodzić, a nawet zirytować, że sam na to nie wpadł, ale od tego wcale nie zrobiło mu się

cieplej. Mocniej otulił się peleryną, wsadził drugą dłoń pod pachę i zamknął jedno oko.

– Spodziewałem się, że wojna będzie przerażająca, ale nie myślałem, że jest taka nudna.

– Cierpliwości. – Błady-jak-Śnieg odwrócił głowę, cicho splunął, po czym zlizął sok z dolnej wargi. – Cierpliwość to równie groźna broń jak gniew. A nawet bardziej, ponieważ niewielu ludzi jest do niej zdolnych.

– Wodzu.

Calder obrócił się, sięgając do rękojeści rapiera. Z jęczmienia tuż obok nich wyłonił się mężczyzna o twarzy usmarowanej błotem, na której wyraźnie odznaczały się dziwnie białe oczy. Jeden z ich ludzi. Calder zastanawiał się, czy on też powinien umazać sobie twarz. Dzięki takiemu kamuflażowi mężczyzna wyglądał na zawodowca. Przez chwilę Calder czekał, aż Błady-jak-Śnieg odpowie na wezwanie, po czym uświadomił sobie, że to on jest wodzem.

– A, tak. – Puścił rękojeść, udając, że wcale nie jest zaskoczony. – Co jest?

– Jesteśmy w okopach – wyszeptał przybysz. – Posłaliśmy do ziemi kilku Unionistów.

– Są przygotowani? – spytał Błady-jak-Śnieg, nawet się nie oglądając.

– A gdzie tam. – Na zaciemnionej twarzy mężczyzny pojawił się błady łuk uśmiechu. – Większość z nich spała.

– To najlepszy moment na zabicie człowieka. – Chociaż Calder nie był pewien, czy zabici by się z tym zgodzili. Stary wojownik wyciągnął rękę. – Idziemy?

– Idziemy. – Calder z grymasem na twarzy zaczął się czołgać przez jęczmień. Było to znacznie boleśniesz, niż się

spodziewał. Wkrótce poobcierał sobie dłonie do żywego mięsa o zaskakująco ostre i szorstkie kłosa, a nastroju wcale nie poprawiała mu świadomość, że zmierza w stronę wroga. Lepiej nadawał się do podążania w przeciwnym kierunku. – Przeklęty jęczmień. – Kiedy odzyska łańcuch władzy swojego ojca, zakazuje uprawy tego siewnictwa. Dopuści tylko miękkie zboża, pod karą... Wyrwał kolejne dwa szorstkie kłosa i znieruchomiał.

Sztandary znajdowały się tuż przed nim; mocno powiewały na drzewcach w odległości najwyżej dwudziestu kroków. Na obu wyhaftowano złote słońce, które lśniło w blasku tuzina latarni. Dalej rozciągał się obszar gołej ziemi, w której obronie zginął Szalka. Na podmokłym terenie opadającym ku rzece roilo się od koni. Setki ton potężnych, lśniących, groźnie wyglądających wierzchowców. Sądząc po poruszających się pochodniach, cały czas przekraczały rzekę, stukając kopytami o kamienne płyty na moście i rżąc, gdy wpadały na siebie w ciemności. Nie brakowało także ludzi, którzy pokrzykiwali, usiłując ustawić swoje rumaki na właściwych pozycjach, wydając rozkazy porywane przez wiatr. Przygotowywali się, żeby za kilka godzin stratować Caldera i jego chłopców. Nie była to pocieszająca myśl. Calder nie miał nic przeciwko traktowaniu, jednak zdecydowanie wolał być wtedy w siodle, a nie pod kopytami.

Dwóch strażników stało po obu stronach sztandarów. Jeden obejmował się rękami, mocno trzymając halabardę w zgięciu łokcia, a drugi schował ostrze do pochwy i przytupywał, zasłaniając się przed wiatrem tarczą.

– Ruszamy? – szepnął Błady-jak-Śnieg.

Calder popatrzył na strażników i ogarnęła go litość. Żaden z nich nie spodziewał się tego, co ich spotka. Wyglądali na

jeszcze bardziej niezadowolonych ze swojego losu niż on, co nie było łatwe. Zastanawiał się, czy na nich także czekają żony. Może też noszą dzieci w miękkich brzuchach i leżą zwinięte w kłębek pod futrami, przygotowując ciepłe miejsce u swojego boku. Westchnął. Szkoda, że wszyscy nie są ze swoimi żonami, ale litość nie wypędzi Unii z Północy ani Czarnego Dowa z tronu jego ojca.

– Ruszamy – odrzekł.

Blady-jak-Śnieg podniósł rękę i wykonał kilka gestów. Następnie powtórzył je z drugiej strony, po czym ponownie przykucnął. Calder nie był pewien, do kogo były skierowane ani co oznaczały, ale zadziałały jak czary.

Nagle strażnik z tarczą przewrócił się do tyłu. Jego towarzysz zdążył się obejrzeć, po czym spotkało go to samo. Calder zdał sobie sprawę, że obu poderżnięto gardło. Dwie mroczne postaci delikatnie opuściły zabitych na ziemię. Trzeci napastnik chwycił padającą halabardę, po czym umieścił ją w zgięciu łokcia i ze szczerbatym uśmiechem zajął miejsce unijnego strażnika.

Kolejni Północni wyłonili się z jęczmienia i ruszyli nisko pochyleni, a blask księżyca, który ponownie wychylił się zza chmur, blado odbijał się od ich broni. W odległości niecałych dwudziestu kroków trzech żołnierzy Unii zmagало się z namiotem szarpanym przez wiatr. Calder przygryzł wargę, nie mogąc uwierzyć, że nikt ich nie zobaczył, gdy skradali się przez otwarty teren w stronę kręgu światła latarni. Po chwili jeden z Północnych chwycił prawy sztandar i zaczął wykręcać drzewce z ziemi.

– Hej, ty! – Nagle obok nich pojawił się zaskoczony Unionista z uniesioną kuszą.

Zapadła niezręczna cisza, gdy wszyscy wstrzymali oddech.

– Ach – odezwał się Calder.

– Zaraza – dodał Błady-jak-Śnieg.

Żołnierz zmarszczył czoło.

– Kim wy... – Strzała przebiła mu pierś.

Calder nie słyszał cięciwy, ale dostrzegł czarne drzewce. Żołnierz wystrzelił z kuszy w ziemię, wrzasnął piskliwie i padł na kolana. Niedaleko poruszyły się przestraszone konie, a jeden przewrócił zaskoczonego opiekuna na twarz i pociągnął go po błocie. Trzej żołnierze przy namiocie obrócili się w tej samej chwili, a dwaj z nich wypuścili z rąk płótno, przez co namiot uderzył trzeciego w twarz. Calder poczuł ssanie w żołądku.

Kolejni Unioniści wpadli z przerażającą szybkością w krąg światła. Był ich co najmniej tuzin, dwóch trzymało pochodnie targane nowym podmuchem wiatru. Po prawej stronie rozległo się wysokie zawodzenie i znikąd pojawili się ludzie wymachujący połyskującymi ostrzami. Cienie migotały w ciemności, gdy pomarańczowy blask ognia na chwilę wydobywał z ciemności czyjąś broń, rękę albo zarys twarzy. Calder nie był pewien, co się dzieje, a gdy zgasła jedna z pochodni, całkowicie stracił orientację. Wyglądało na to, że po jego lewej stronie również toczy się walka. Gwałtownie obracał głowę w stronę każdego nowego dźwięku.

Niemal wyskoczył pod niebo, gdy poczuł na ramieniu dłoń Bładego-jak-Śnieg.

– Lepiej już chodźmy.

Calder nie potrzebował zachęty, popędził przez jęczmień jak królik. Słyszał pokrzykiwania, śmiechy i przekleństwa, ale nie wiedział, czy to wrogowie, czy przyjaciele. Coś zaszeleściło w zbożu tuż obok niego. Strzała, a może po prostu wiatr – coś poruszyło kłosami. Łodygi plątały mu się wokół kostek, chłostały

go po łydkach. Potknął się i upadł na twarz, po czym ponownie zerwał się na nogi, pociągany przez Bładego-jak-Śnieg.

– Zaczekaj! Zaczekaj.

Znieruchomiał w ciemności z dłońmi na kolanach, a jego klatka piersiowa falowała jak kowalski miech. Słyszał przekrzykujące się głosy. Z ulgą rozpoznał północną mowę.

– Gonią nas?

– Gdzie Hayl?

– Zdobyliśmy te przeklęte flagi?

– Dranie nie wiedzą, w którą stronę ruszyć.

– Nie żyje. Dostał strzałę.

– Mamy je!

– Oni tylko prowadzili swoje przeklęte konie!

– Myśleli, że nie będziemy mieli nic do powiedzenia.

– Ale ksiązę Calder miał coś do powiedzenia.

Calder podniósł wzrok, słysząc swoje imię, i zobaczył, że Błady-jak-Śnieg uśmiecha się do niego i trzyma w dłoni jeden ze sztandarów. W taki sposób mógłby się uśmiechać kowal, gdyby jego ulubiony uczeń wreszcie wykuł coś, co można sprzedać.

Calder wzdrygnął się, czując, że coś dźga go w bok, po czym zorientował się, że to drugi sztandar z ciasno zwiniętą flagą. Jeden z jego ludzi mu go podawał, a jego wyszczerzone zęby lśniły w blasku księżyca na ubłoconej twarzy. Caldera otaczały uśmiechy. Zupełnie jakby powiedział coś zabawnego. Jakby dokonał czegoś wielkiego. Wcale nie miał takiego wrażenia. Jedynie wpadł na pomysł, co nie wymagało żadnego wysiłku, po czym kazał innym wszystko zaplanować i nadstawić karku. Wątpliwe, by ojciec Caldera zapracował na swoją reputację w taki sposób. Ale może właśnie tak działa świat. Niektórzy są

stworzeni do aktów przemocy. Inni do ich planowania. A nieliczni wybrani przypisują sobie zasługi.

– Książę Calderze? – Uśmiechnięty mężczyzna ponownie wyciągnął sztandar w jego stronę.

No cóż. Skoro koniecznie chcą kogoś podziwiać, Calder nie miał zamiaru ich zawieść.

– Nie jestem księciem. – Chwycił sztandar, przerzucił jedną nogę nad drzewcem i przytrzymał je udami, tak że sterczało w górę pod kątem. Dobył broni, po raz pierwszy tej nocy, po czym wniósł ją pod niebo. – Jestem królem jebanej Unii!

To nie był dobry żart, ale po takiej nocy i dniu ludzie mieli ochotę na odrobinę świętowania. Wybuchli śmiechem, poklepując się nawzajem po plecach.

– Chwała Jego Jebanej Wysokości! – wrzasnął Błady-jak-Śnieg, unosząc drugi sztandar. Złota nić iskrzyła, gdy materiał powiewał na wietrze. – Królowi Calderowi!

Calder nie przestawał się uśmiechać. Podobało mu się, jak to brzmi.

Cienie

Wasza Kurewska Mość!

Jaka jest prawda? Pod świadomie nieudolnymi rządami starych złoczyńców z Zamkniętej Rady Wasza armia gnije. Brawura osłabia ją jak hulaka marnotrawiący ojcowską fortunę. Gdyby oni byli doradcami wroga, nie byłiby w stanie zrobić więcej, by zaszkodzić interesom Waszej Kurewskiej Mości na Północy. Nawet sami poradzilibyście sobie lepiej, a to największa obelga, na jaką mnie stać. Bardziej honorowo byłoby załadować ludzi na pokład w Adui, pomachać im na pożegnanie ze łzami w oczach, po czym podpalić statki i posłać wszystkich na dno zatoki.

Jaka jest prawda? Marszałek Kroy jest kompetentnym przywódcą, który dba o swoich żołnierzy, a ja pragnę zerznąć jego córkę, ale jeden człowiek nie poradzi sobie ze wszystkim. Jego podwładni, Jalenhorm, Mitterick i Meed, dzielnie zmagają się o miano najgorszego generała w historii. Sam nie wiem, który z nich zasługuje na większą pogardę – sympatyczny, ale niekompetentny tępak, zdradziecki, lekkomyślny karierowicz czy niezdecydowany, pedantyczny wojenny podżegacz. Przynajmniej ten ostatni już zapłacił za swoje winy życiem. Przy odrobinie szczęścia pozostali pójdą w jego ślady.

Jaka jest prawda? Dlaczego miałyby Was to obchodzić? Starzy przyjaciele tacy jak my nie muszą zachowywać

pozorów. Wiem lepiej niż większość ludzi, że Wasza Wysokość jest służalczym kombinatorem, tchórzliwym figurantem, dziecinnym, zakochanym w sobie człowiekiem, który uwielbia się poniżać i uważać nad sobą, królem niczego poza własną próżnością. Tutaj rządzi Bayaz, który jest pozbawiony sumienia, skrupułów i litości. To prawdziwy potwór. Najgorszy człowiek, jakiego widziałem, odkąd ostatnio patrzyłem w lustro.

Jaka jest prawda? Ja także gniję. Jestem pogrzebany żywcem i gniję. Gdybym nie był takim tchórzem, zabiłbym się, ale jestem, więc muszę się zadowalać zabijaniem innych i liczeniem na to, że pewnego dnia, jeśli zanurzę się wystarczająco głęboko we krwi, wyjdę z niej oczyszczony. Niecierpliwie czekając na rehabilitację, która nigdy nie nastąpi, oczywiście z przyjemnością skonsumuję każdy kawałek gówna, który Wasza Wysokość postanowi wycisnąć mi na twarz ze swojego królewskiego tyłka.

*Najbardziej zdradzany i oczerniany kozioł ofiarny
Waszej Kurewskiej Mości,
Bremer dan Gorst,
królewski obserwator Północnego Fiaska*

Gorst odłożył pióro, ze zmarszczonym czołem patrząc na malutkie skaleczenie na samym czubku palca wskazującego, które czyniło każdą nawet najmniejszą czynność bolesną. Delikatnie podmuchał na list, czekając, aż błyszczący mokry atrament wyschnie i szernieje, po czym złożył kartkę i powoli przesunął po zagięciu jedynym niezłamanym paznokciem, żeby jak najbardziej je zaostrzyć. Uniósł pałeczkę wosku, przyciskając

język do podniebienia. Jego oczy odnalazły płomień świecy, który zachęcająco migotał w ciemności. Patrzył na tę iskrę blasku, jak człowiek bojący się wysokości zerka na gzyms olbrzymiej wieży. Przyzywała go. Przyciągała. Przyprawiała o zawroty głowy cudowną obietnicą unicestwienia. To żalosne cierpienie, które absurdalnie nazywam życiem, może się skończyć, tak po prostu. Wystarczy zapieczętować list, wysłać go i czekać, aż rozpęta się burza.

Potem westchnął i wsunął list do ognia. Patrzył, jak papier powoli czernieje i marszczy się, po czym rzucił ostatni tłący się narożnik na podłogę namiotu i rozgniół go butem. Każdego wieczoru pisał co najmniej jeden taki list. Były jak wściekłe znaki przestankowe pomiędzy okresami chaotycznej bezsenności. Czasami dzięki temu czuł się lepiej. Bardzo krótko.

Zmarszczył brwi, gdy z zewnątrz dobiegł jakiś grzechot na zewnątrz, po czym drgnął, kiedy rozległ się głośniejszy trzask, a potem usłyszał podniesione głosy, których ton sprawił, że Gorst sięgnął po buty. Wiele głosów, a po nich odgłosy koni. Chwycił rapier i gwałtownie odsunął materiał zasłaniający wejście do namiotu.

Młodszy siedział na zewnątrz, wyklepując przy blasku lampy nowe wgniecenia na zbroi Gorsta. Teraz wstał i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. W jednej dłoni trzymał nagolennik, a w drugiej niewielki młotek.

– Co się dzieje? – zapiszczał Gorst.

– Nie mam... Ojej! – Odskoczył, gdy tuż obok niego przegalopował koń, ochlapując ich obu błotem.

– Zostań tutaj. – Gorst delikatnie położył mu dłoń na ramieniu. – Nie narażaj się. – Szybkim krokiem ruszył w stronę Starego Mostu, jedną ręką chowając koszulę w spodniach,

a w drugiej mocno ściskając pochwę z długim ostrzem. W ciemności przed sobą usłyszał echa okrzyków oraz zobaczył migotanie latarek oraz zarysy postaci i twarzy rozmyte przez poblask płomienia świecy, który wciąż tańczył mu przed oczami.

Z mroku wyłonił się biegiem zdyszany posłaniec, z policzkiem i jedną stroną munduru pokrytymi błotem.

– Co się dzieje? – ostro spytał Gorst.

– Północni zaatakowali dużymi siłami! – zarządził zmęczony chłopak. – Mają przewagę liczebną! Zbliżają się!

Był przerażony, lecz Gorst poczuł tylko radość i podniecenie, które zapłonęło mu w gardle z taką siłą, że niemal sprawiło mu ból. Drobnostki takie jak siniaki czy obolałe mięśnie przestały się liczyć, gdy ruszył w stronę rzeki.

Czy będę musiał przebić się przez most po raz drugi w ciągu dwunastu godzin? Niemal zachichotał, gdy uświadomił sobie, jakie to idiotyczne. Nie mogę się doczekać.

Niektórzy oficerowie apelowali o spokój, podczas gdy inni uciekali w panice. Niektórzy gorączkowo szukali broni, podczas gdy inni ją odrzucali. Każdy cień wydawał się pierwszym z hordy plądrujących Północnych. Gorsta za każdym razem świerbiła ręka, dopóki zdradzieckie kształty nie zmieniały się w dezorientowanych żołnierzy, na wpół rozebranych służących, mrużących oczy stajennych.

– Pułkownik Gorst? Czy to pan?

Szedł dalej, lecz myślami był gdzie indziej. Z powrotem w Sipani. W dymie i szaleństwie, które wypełniały Dom Uciech Cardottiego. Szukał króla w duszącym mroku. Tym razem nie zawiodę.

Służący z zakrwawionym nożem patrzył na skuloną postać na ziemi. Pomyłka. Potargany mężczyzna wypadł na oślep

z namiotu, mocując się z zapięciem rapiera. Pan wybaczy. Gorst odepchnął go z drogi wierzchem dłoni, powalając w błoto. Pulchny kapitan siedział z zaskoczoną miną, przyciskając bandaż do zakrwawionej głowy.

– Co się dzieje? Co się dzieje?

Panika. Mamy panikę. To niesamowite, jak szybko armia może pójść w rozsypkę. Jak szybko dzienni bohaterowie zmieniają się w nocnych tchórzy. Stają się zwierzętami, którymi kieruje stadny instynkt.

– Tędy! – krzyknął ktoś za jego plecami. – On wie! – Za plecami Gorsta rozległ się chłupot kroków.

A oto moje własne stado. Nawet się nie obejrzał. Ale powinniście wiedzieć, że zmierzam tam, gdzie giną ludzie.

Z ciemności wyskoczył przerażony koń. Ktoś dostał się pod kopyta i teraz wył, drapiąc palcami błoto. Gorst nad nim przeszedł, podążając za niewyjaśnionym tropem modnych kobiecych sukni, koronek i kolorowych jedwabii wdeptanych w brud. Tłum stawał się coraz gęstszy, blade twarze rozmazywały się na tle mroku, szalone oczy lśniły od blasku ognia, w wodzie migotały odbicia pochodni. Na Starym Moście panowały ścisk i chaos, taki sam jak poprzedniego dnia, gdy przepędzili z niego Północnych. A nawet większy. Rozbrzmiewały przekrzykujące się głosy.

– Widziałeś moją...

– Czy to Gorst?

– Nadchodzą!

– Z drogi! Z dro...

– Już odeszli!

– To on! Będzie wiedział, co robić!

– Wszyscy do tyłu! Do tyłu!

– Pułkownik Gorst, czy mógłbym...

– Musimy wyrównać szyki! Błagam was!

Błaganie nic tutaj nie da. Tłum rósł w oczach, przemieszczał się, rozpraszał, po czym znów gęstniał. Strach rozświetlał oblicza ludzi jak błyskawica, lśniące ostrze albo pochodnia podsunięta pod nos. W ciemności Gorst dostał od kogoś łokciem i odwzajemnił się pięścią, ocierając sobie knykcie o czyjąś zbroję. Coś złapało go za nogę, ale uwolnił się kopniakiem i parł dalej. Rozległ się wrzask, gdy ktoś został zepchnięty za balustradę. Gorst zauważył wierzgające buty znikające za krawędzią, po czym usłyszał plusk ciała wpadającego do bystrego nurtu.

W końcu przedostał się na drugi koniec mostu. Wiatr mroził go przez rozdarcie w koszuli. Rumiany sierżant trzymał pochodnię nad głową i łamiącym się głosem apelował o spokój. Z przodu rozbrzmiewały krzyki, miotaly się konie, poruszały ostrza. Jednak Gorst nie słyszał słodkiej nuty stali. Mocno zaciskał dłoń na rękojeści i z ponurą miną maszerował przed siebie.

– Nie! – Generał Mitterick stał pośrodku grupy oficerów sztabowych. Gorst chyba jeszcze nigdy nie widział kogoś tak rozgniewanego. – Drugi i trzeci regiment mają być natychmiast gotowe do ataku!

– Ależ panie generale – protestował jeden z adiutantów – zostało jeszcze sporo czasu do świtu, ludzie są rozproszeni, nie możemy...

Mitterick pomachał mu ostrzem przed nosem.

– To ja tutaj wydaję rozkazy! – Chociaż jest zdecydowanie za ciemno, żeby bezpiecznie wsiąść na konia, a co dopiero pogalopować w kilkaset osób ku niewidocznemu wrogowi. –

Ustawcie strażę na moście! Każdy, kto spróbuje przejść na drugą stronę, ma zawisnąć za dezercję! Zawisnąć!

Pułkownik Opker, zastępca Mittericka, stał tuż poza zasięgiem oskarżeń, obserwując tę pantomimę z ponurą rezygnacją.

Gorst poklepał go po ramieniu.

– Gdzie są Północni?

– Uciekli! – odburknął Opker, strząsając jego rękę. – Było ich tylko kilkudziesięciu! Ukradli sztandary drugiego i trzeciego regimentu, po czym rozplynęli się w ciemności.

– Jego Królewska Mość nie zamierza tolerować utraty swoich sztandarów, generale! – wrzasnął ktoś. Felnigg. Spadł na upokorzenie Mittericka jak sokół na królika.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, czego nie toleruje Jego Królewska Mość! – ryknął Mitterick. – Odzyskam sztandary i pozabijam tych złodziei co do jednego. Możesz to powtórzyć lordowi marszałkowi! Żądam, żebyś mu to powtórzył!

– Och, bez obaw, na pewno to zrobię!

Jednakże Mitterick już odwrócił się do niego plecami i wrzeszczał w ciemność.

– Gdzie zwiadowcy?! Przecież kazałem posłać zwiadowców, prawda? Dimbik?! Gdzie jest Dimbik. Co z terenem, człowieku?

– Ja? – wydukał blady młody oficer. – Cóż, tak, ale...

– Już wrócili? Muszę mieć pewność, że teren jest bezpieczny! Powiedz mi, że tak jest, do diabła!

Młodzieniec przez chwilę rozglądał się rozpaczliwie, po czym najwyraźniej zebrał się w sobie i stanął na baczność.

– Tak jest, generale, wysłano zwiadowców, którzy już wrócili, jak najbardziej wrócili, i donoszą, że teren jest... idealny. Płaski

jak stół, panie generale. Jak stół do gry w karty... tylko porośnięty jęczmieniem...

– Doskonale! Nie potrzebuję kolejnych niespodzianek! – Mitterick oddalił się, powiewając połami koszuli. – Gdzie, do ciężkiego diabła, jest major Hockelman? Konnica ma być gotowa do szarży, gdy tylko zrobi się na tyle jasno, żeby móc się bezpiecznie wysikać! Wyrażam się jasno? Wysikać!

Jego głos rozwiął się na wietrze razem z irytującym utyskiwaniem Felnigga. Oddaliły się także lampy trzymane przez członków sztabu i Gorst został sam w ciemności, dławiony rozczarowaniem jak porzucony pan młody.

A więc szarża. Wszystko przez drobny zbrojny wypad spowodowany przez Mittericka i jego dziecinny pokaz z flagami. Tutaj nie ma miejsca na chwałę ani odkupienie. Tylko na głupotę, tchórzostwo i marnotrawstwo. Gorst zastanawiał się na próżno, ilu ludzi zginęło w chaosie. Dziesięciokrotnie więcej, niż zabili Północni? Zaiste, wróg jest najmniej groźnym elementem podczas wojny.

Jak to możliwe, że jesteśmy tak absurdalnie nieprzygotowani? Nie wyobrażaliśmy sobie, że odważą się na atak. Gdyby Północni przycisnęli mocniej, mogliby nas zepchnąć na drugą stronę mostu i wziąć do niewoli całe dwa regimenty kawalerii, a nie tylko ich sztandary. Dokonałoby tego pięciu ludzi i pies. Ale nie wyobrażali sobie, że jesteśmy tak absurdalnie nieprzygotowani. Co za porażka. Zwłaszcza dla mnie.

Odwrócił się i zobaczył tłumek żołnierzy oraz służących wyposażonych w zbieraninę przypadkowych przedmiotów. To ci, którzy podążyli za nim do mostu, a potem na drugą stronę. Zaskakująco liczni. Owce. Więc kim ja jestem? Psem pasterskim?

Hau, hau, głupcy.

– Co mamy robić, panie pułkowniku? – spytał najbliższy z ludzi.

Gorst tylko wzruszył ramionami. Następnie powoli powlekł się z powrotem w stronę mostu, tak samo jak ostatniego popołudnia, przepychając się przez zagubiony tłum. Świt jeszcze nie nadszedł, ale z pewnością był niedaleko.

Czas włożyć zbroję.

Pod skrzydłami

Gnat powoli szedł w dół zbocza, starając się w ciemności uważnie patrzeć pod nogi, co drugi krok krzywiąc się pod wpływem bólu w kolanie. Krzywił się także z powodu obolałych ręki, policzka i szczęki. Ale przede wszystkim dlatego, że wciąż dręczyło go to samo pytanie, które nie dawało mu spokoju przez większość sztywnej, zimnej i bezsennej nocy. Nocy pełnej zmartwień i wyrzutów sumienia, cichych jęków umierających i niezbyt cichego chrapania Whirruna z przeklętego Bligh.

Donieść Czarnemu Dowowi, co powiedział Calder, czy nie? Gnat zastanawiał się, czy Calder już uciekł. Znał tego chłopaka od dzieciństwa i nigdy nie podejrzewał go o męstwo, ale zeszłej nocy dostrzegł w nim coś nietypowego. Coś, co do tej pory kojarzył tylko z jego ojcem. A Bethod nigdy nie uciekał. Właśnie to go zabiło. A także Krwawy-dziewięć, który roztrzaskał mu głowę. Calder zapewne nie mógłby liczyć na tak łagodne potraktowanie, gdyby Dow dowiedział się o wszystkim od kogoś innego. Zerknął na nachmurzoną twarz wodza poprzecinaną bliznami, które odznaczały się czarno i pomarańczowo w blasku pochodni Dreszcza.

Powiedzieć mu czy nie?

– Kurwa – szepnął.

– Zgadza się – odrzekł Dreszcz.

Gnat prawie się przewrócił na mokrą trawę. Dopiero po chwili zorientował się, że za pomocą tego słowa można powiedzieć bardzo wiele. Na tym polega jego piękno. Może

znaczyć niemal wszystko, zależnie od okoliczności. Przerazenie, szok, ból, strach, zmartwienie. Żadne z nich nie było nie na miejscu podczas bitwy.

Z ciemności wyłonił się niewielki zrujnowany dom o rozsypujących się ścianach porośniętych pokrzywami, częściowo zawalonym dachu i przegniłych belkach sterczących jak martwe żebra. Dow wziął pochodnię od Dreszcza.

– Zaczekaj tutaj.

Dreszcz na chwilę znieruchomiał, po czym skłonił głowę i oparł się o ścianę obok drzwi, a blady blask księżyca spoczął na jego metalowym oku.

Gnat schylił się w niskim wejściu, starając się nie wyglądać na zmartwionego. Kiedy zostawał sam na sam z Czarnym Dowem, jakaś część niego – i to całkiem niemała – za każdym razem spodziewała się ciosu nożem w plecy. Albo miecza wbitego w brzuch. W każdym razie jakiegoś ostrza. Dlatego zawsze był nieco zaskoczony, gdy uchodził z życiem. Nigdy nie miał takich odczuć w towarzystwie Trójdrzewca, a nawet Bethoda. Trudno było uznać to za cechę dobrego przywódcy... Zauważył, że gryzie paznokiec, jeśli tę odrobinę, która mu pozostała, można było nazwać paznokciem, i zmusił się, żeby przestać.

Dow poszedł z pochodnią w drugi koniec pomieszczenia, a cienie rozpełzły się po grubo ciosanych krokwiach.

– Zatem ani dziewczyna, ani jej ojciec się nie odezwali.

Gnat uznał, że lepiej będzie milczeć. Ostatnio za każdym razem, gdy coś mówił, doprowadzał do katastrofy.

– Wygląda na to, że na próżno zostałem dłużnikiem tego przekłętego olbrzyma. – Znów żadnej odpowiedzi. – Ach te kobiety.

Gnat wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że w tym temacie nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

– Przecież kobieta jest twoją zastępczynią, prawda? Jak sprawiłeś, że to działa?

– Ona to sprawiła. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego zastępcy niż Cudna. Zmarli wiedzą, że dokonałem w życiu kilku głównianych wyborów, ale tego nigdy nie żałowałem. Ani razu. Jest ostra jak oset, twarda jak najtwardszy mężczyzna. Ma więcej odwagi i sprytu ode mnie. Zawsze jako pierwsza dostrzega sedno sprawy. No i ma zasady. Zaufałbym jej we wszystkim. Nikomu innemu tak nie ufam.

Dow uniósł brwi.

– No to moje gratulacje. Kurwa mać, może powinienem ją zwerbować zamiast ciebie.

– Pewnie tak – mruknął Gnat.

– Warto mieć jako zastępcę kogoś, komu można zaufać. – Dow podszedł do okna i wyjrzał na wietrzną noc. – Zaufanie to podstawa.

Gnat zmienił temat.

– Czekamy na twoją czarnoskórą przyjaciółkę?

– Nie jestem pewien, czy mogę ją nazwać przyjaciółką. Ale zgadza się.

– Kim ona jest?

– Jedną z mieszkanek pustyni. Czarna skóra to niewystarczająca wskazówka?

– Chodziło mi o to, co ona robi na Północy.

– Nie jestem pewien, ale z tego, co udało mi się dowiedzieć, toczy tutaj własną wojnę. To dawny konflikt, a chwilowo

dzielimy z nią pole bitwy.

Gnat zmarszczył czoło.

– Wojna magów? Naprawdę chcemy się w to angażować?

– I tak jesteśmy jej częścią.

– Gdzie ją znalazłeś?

– Ona mnie znalazła.

To stanowczo nie uspokoiło Gnata.

– Magia. Nie wiem, czy...

– Byłeś wczoraj na Bohaterach, prawda? Widziałeś Rozciętostopego.

Niezbyt rozweselające wspomnienie.

– Owszem.

– Unia niewątpliwie dysponuje magią i chętnie z niej korzysta. Musimy na ogień odpowiedzieć ogniem.

– A jeśli wszyscy spłonimy?

– To możliwe. – Dow wzruszył ramionami. – Taka jest wojna.

– Ale czy można jej zaufać?

– Nie. – Ishri opierała się o ścianę obok drzwi ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła na Gnata tak, jakby wiedziała, o czym ten myśli, i nie była zachwycona. Gnat zastanawiał się, czy kobieta wie, że rozmyślał o Calderze, i starał się tego nie robić, ale to przynosiło odwrotny skutek

Dow nawet się nie obejrzał, tylko wsunął pochodnię w zardzewiały uchwyt na ścianie, wpatrując się w trzaskające płomienie.

– Wygląda na to, że nasz pokojowy gest padł na kamienisty grunt – rzucił przez ramię.

Ishri pokiwała głową.

Dow wysunął dolną wargę.

– Nikt nie chce być moim przyjacielem.

Ishri niemożliwie wysoko uniosła jedną cienką brew.

– Kto chce uścisnąć dłoń człowieka, który ma ręce tak zakrwawione jak ja?

Ishri wzruszyła ramionami.

Dow opuścił wzrok na swoją dłoń, zacisnął ją w pięść, po czym westchnął.

– W takim razie będę musiał jeszcze bardziej unurzać je we krwi. Wiadomo, skąd dzisiaj nadejdą?

– Zewsząd.

– Wiedziałem, że to powiesz.

– Więc po co pytasz?

– Przynajmniej skłoniłem cię do mówienia. – Zapadła długa cisza. W końcu Dow odwrócił się i oparł łokcie o wąski parapet.

– No dalej, powiedz coś jeszcze.

Ishri odsunęła się od ściany, odchyliła głowę do tyłu i powoli ją obróciła. Z jakiegoś powodu każdy jej ruch wywoływał u Gnata obrzydzenie, jakby patrzył na ślizgającego się węża.

– Na wschodzie dowodzenie przejął niejaki Brock i przygotowuje się do ataku na most w Osrungu.

– Co to za człowiek? Podobny do Meeda?

– Wręcz przeciwnie. Młody, przystojny i odważny.

– Uwielbiam młodych, odważnych i przystojnych mężczyzn!

– Dow zerknął na Gnata. – Dlatego wybrałem cię na zastępcę.

– Żadna z tych cech nie jest zła. – Gnat zdał sobie sprawę, że znów gryzie paznokcie, i szybko cofnął rękę.

– Na środku Jalenhorm zgromadził potężną piechotę gotową do przekroczenia brodów – odezwała się Ishri.

Dow wyszczerzył się łakomie.

– Więc dzisiaj będę miał na co czekać. Lubię patrzeć, jak ludzie próbują wspinać się na wzgórze, na którego szczycie siedzę. – Gnat wcale się na to nie cieszył, niezależnie od tego, jak bardzo sprzyjało im ukształtowanie terenu.

– Na zachodzie Mitterick szarpie się na smyczy, niecierpliwie czekając, aż będzie mógł użyć swoich pięknych rumaków. Ma swoich ludzi także za rzeczką, w lesie na zachód od naszych pozycji.

Dow uniósł brwi.

– Hmm. Więc Calder miał rację.

– Calder ciężko pracował przez całą noc.

– Założę się, że pierwszy raz w życiu.

– Pod osłoną ciemności zabrał Unionistom dwa sztandary. Teraz drażni się z wrogami.

Czarny Dow zachichotał.

– Nikt tak jak on nie potrafi drażnić innych. Zawsze lubiłem tego chłopaka.

Gnat popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

– Naprawdę?

– A niby po co wciąż dawałbym mu nowe szanse? Nie brakuje mi ludzi, którzy potrafią wyważyć drzwi, ale zawsze przydają mi się tacy, którzy od czasu do czasu wpadną na to, żeby najpierw nacisnąć klamkę.

– Racja. – Chociaż Gnat zastanawiał się, jak Dow zareaguje, kiedy dowie się, że Calder planował jego zabójstwo. W końcu to tylko kwestia czasu. Prawda?

– Ta ich nowa broń. – Dow groźnie zmrużył oczy. – Co to jest?

– Bayaz. – Oczy Ishri również zmieniły się w śmiercionośne szparki. Gnat nie wiedział, czy gdziekolwiek na świecie można

znaleźć bardziej surową parę rozmówców. – Pierwszy z Magów. Towarzyszy im i przygotował coś nowego.

– Tylko na tyle cię stać?

Odchyliła głowę do tyłu.

– Nie tylko Bayaza stać na niespodzianki. Dzisiaj ja również go zaskoczę.

– Wiedziałem, że musi być jakiś powód, dla którego przyjąłem cię pod swoje skrzydła.

– Twoje skrzydła osłaniają całą Północ, potężny Obrońco. – Ishri przewróciła oczami. – Prorok kryje się pod skrzydłami Boga. Ja kryję się pod skrzydłami Proroka. A co osłania twoją głowę przed deszczem? – Uniosła dłoń z wijącymi się palcami, bezkostnymi jak robaki. Na jej twarzy pojawił się zbyt biały i zbyt szeroki uśmiech. – Wielcy czy mali, wszyscy musimy znaleźć jakieś schronienie.

Pochodnia Dowa zaskwierczała i na chwilę przygasła, a gdy znów rozbłysła, Ishri już nie było.

– Zastanów się nad tym. – Jej głos rozległ się tuż przy uchu Gnata.

Imiona

Beck zgarbił się i zapatrzył w ognisko. Była to skromna płatanina poczerniałych patyków otaczających kilka rozżarzonych węgielków, po których skakał bezbronny języczek ognia miotany wiatrem. Wszystko wypalone. Niemal tak wypalone jak on. Tak długo kurczowo trzymał się marzenia o zostaniu bohaterem, że obróciło się ono w popiół i już nie wiedział, czego chce. Siedział pod blednącymi gwiazdami nazwanymi na cześć wielkich ludzi, bitew oraz uczynków i nie wiedział, kim jest.

– Ciężko zasnąć, co? – Drofd dowlekl się do ogniska i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, okrywając ramiona kocem.

Beck mruknął coś najciszej jak potrafił. Ostatnie, na co miał ochotę, to rozmowa.

Drofd wyciągnął w jego stronę kawałek wczorajszego mięsa lśniącego od tłuszczu.

– Głodny?

Beck pokręcił głową. Nie był pewien, kiedy ostatnio jadł. Zapewne tuż przed ostatnim spaniem, ale od samej woni mięsa robiło mu się niedobrze.

– No to schowam na później. – Drofd wepchnął mięso do kieszeni, tak że kość sterczała mu z przodu kamizeli, zatarł dłonie, po czym wyciągnął je w stronę smugi ognia. Linie na jego dłoniach były czarne od brudu. Wyglądało na to, że jest mniej więcej w wieku Becka, ale drobniejszy i ciemniejszy, z rzadkim zarostem na szczęce. W ciemności nieco przypominał Refta.

Beck przełknął ślinę i odwrócił wzrok. – Więc zasłużyłeś na imię, tak?

Lekkie skinienie głową.

– Czerwony Beck. – Drofd zachichotał. – Niezłe. Brzmi groźnie. Pewnie jesteś zadowolony.

– Zadowolony? – Beck miał ochotę powiedzieć: „Ukryłem się w komodzie i zabiłem jednego ze swoich”, ale zamiast tego odparł: – Chyba tak.

– Żałuję, że sam nie mam imienia. Pewnie z czasem to się zmieni.

Beck nie przestawał wpatrywać się w ogień, mając nadzieję, że uniknie dalszego paplania. Jednak Drofd miał naturę gaduły.

– Masz rodzinę?

Najbardziej zwyczajne, oczywiste i nudne tematy, na jakie może wpaść młody człowiek. Wywlekanie z siebie kolejnych słów sprawiało Beckowi ból.

– Matkę. Dwóch młodszych braci. Jeden terminuje u kowala w dolinie. – Może i nudne, ale kiedy już zaczął mówić i wspominać rodzinne strony, okazało się, że nie potrafi przerwać. – Matka pewnie przygotowuje się do żniw. Zboże już dojrzewało, kiedy wyjeżdżałem. Teraz ostrzy kosę i tak dalej. A Festen będzie zbierał skoszone kłosa... – Na spokój zmarłych, jak bardzo żałował, że go z nimi nie ma. Miał ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Umilkł, obawiając się, że to zrobi, jeśli nie przestanie mówić.

– Ja mam siedem sióstr – odrzekł Drofd. – Wszystkie starsze. To jakby mieć osiem matek, które przez cały dzień cię strofują i pouczają, a każda kolejna ma coraz ostrzejszy język. W domu nie ma żadnego mężczyzny i nie mówi się tam o męskich sprawach. Słowo daję, że to prawdziwe piekło na ziemi.

Ciepły dom z ośmioma kobietami i bez żadnej broni wcale nie wydawał się taki straszny. Beck także kiedyś uważał swój dom za piekło. Teraz miał zupełnie inne pojęcie na temat tego, jak ono wygląda.

Drofd nie przestawał paplać.

– Ale teraz mam nową rodzinę. Gnata, Cudną, Wesołego Yona i resztę. Dobrzy wojownicy. Dobre imiona. Trzymają się razem i dbają o swoich kompanów. W ostatnich dniach straciliśmy kilku ludzi. Kilku dobrych ludzi, ale... – Wydawało się, że na chwilę stracił wątek, ale szybko odnalazł kolejne słowa. – W dawnych czasach Gnat był zastępcą starego Trójdrzewca. Brał udział w każdej bitwie. Robi wszystko po staremu. Ma zasady. Spadłeś na cztery łapy, trafiając w takie towarzystwo.

– Zgadza się. – Beck wcale nie uważał, że spadł na cztery łapy. Miał wrażenie, że wciąż spada i wcześniej czy później, zapewne wcześniej, roztrzaska głowę o ziemię.

– Gdzie zdobyłeś takie ostrze?

Beck zamrugał i popatrzył na rękojeść rapiera, niemal zaskoczony, że ją widzi.

– Należało do mojego ojca.

– Był wojownikiem?

– Imiennym. Chyba sławnym. – Kiedyś tak bardzo lubił się tym chełpić. Teraz to imię smakowało kwaśno na jego języku. – Nazywał się Szama Bezlitosny.

– Co takiego? Ten sam, który toczył pojedynek z Krwawym-dziewięć? Ten, który...

Przegrał.

– Tak. Krwawy-dziewięć stawiał się w kręgu z toporem, a mój ojciec przyniósł ten rapier. Zakręcili tarczą i Krwawy-dziewięć wygrał. Wybrał rapier. – Beck wysunął go z pochwy, głupio

obawiając się, że może kogoś niechcący skaleczyć. Od ostatniego wieczoru nabrał szacunku do ostrego metalu. – Walczyli i Krwawy-dziewięć rozplatał ojcu brzuch. – Teraz wydawało mu się szaleństwem, że poszedł w ślady staruszka. Człowieka, którego nigdy nie znał, a którego ślady prowadziły do wyprutych flaków.

– Chcesz powiedzieć, że... Krwawy-dziewięć trzymał to ostrze.

– Pewnie tak.

– Mogę?

Kiedyś Beck kazałby Drofdowi się odpierdolić, ale zgrywanie samotnika nikomu się nie przysłużyło. Może tym razem powinien spróbować zawrzeć kilka przyjaźni. Dlatego podał chłopakowi rapier rękojeścią do przodu.

– Na spokoj zmarłych, co za broń. – Drofd popatrzył na ostrze szeroko otwartymi oczami. – Wciąż jest na niej krew.

– Tak – z trudem wykrztusił Beck.

– No proszę. – Cudna zbliżyła się z dłońmi wspartymi na biodrach, przygryzając czubek języka. – Dwaj młodzieńcy dotykający nawzajem swoich ostrzy w blasku ogniska? Nie martwcie się, wszystko rozumiem. Myślicie, że nikt nie patrzy i zbliża się bitwa, więc możecie już nigdy nie mieć okazji spróbować. To najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Drofd odchrząknął i szybko oddał rapier.

– Tylko rozmawiamy o... imionach. Jak pani zyskała swoje?

– Ja? – warknęła Cudna, mrużąc oczy.

Beck nie był pewien, co myśleć o walczącej kobiecie, a zwłaszcza takiej, która dowodzi dwunastką i jest jego wodzem. Musiał przyznać, że trochę go przerażała swoim surowym spojrzeniem oraz niekształtną głową po obu stronach naznaczoną bliznami, starą i nową. Kiedyś wstydziłby się lęku

przed kobietą, ale teraz to nie miało większego znaczenia, gdyż bał się wszystkiego.

– Zasłużyłam na nie, gdy sprawiłam dwóm ciekawskim młodzieńcom cudne lanie.

– Dostała je od Trójdrzewca. – Wesoły Yon przewrócił się na drugi bok pod kocem, po czym podparł łokciem, zerkając na ognisko jednym ledwie uchylonym okiem i drapiąc się po czarno-siwej potarganej brodzie. – Jej rodzina miała gospodarstwo na północ od Uffrithu. Popraw mnie, jeśli się pomylę.

– Poprawię – odparła. – Nie martw się.

– A kiedy zaczęły się problemy z Bethodem, jego chłopcy zjechali do doliny. Dlatego zgoliła włosy.

– Zgoliłam je dwa miesiące wcześniej. Zawsze mi przeszkadzały, kiedy chodziłam za pługiem.

– Uznaję swój błąd. Chcesz sama kontynuować?

– Dobrze ci idzie.

– Zatem nie musiała używać nożyc, ale zamiast tego chwyciła za broń i nakłoniła kilka innych osób do tego samego. Wspólnie zastawili pułapkę.

Oczy Cudnej załśniły w blasku ogniska.

– I to jaką.

– Wtedy pojawił się Trójdrzewiec, a razem z nim ja i Gnat. Spodziewaliśmy się, że dolina będzie spalona, a rolnicy rozproszeni, a zamiast tego zastaliśmy tuzin chłopców Bethoda powieszonych, a kolejny tuzin w niewoli, pilnowany przez tę uśmiechniętą dziewczynę. Co on wtedy powiedział?

– Nie przypominam sobie – mruknęła.

– Cudnie i dziwnie jest, kiedy kobieta dowodzi – rzekł Yon

chrapliwym basem. – Przez tydzień nazywaliśmy ją Cudna Dziwna, ale potem zrezygnowaliśmy z drugiej części.

Cudna pokiwała głową, z ponurą miną wpatrując się w ogień.

– A miesiąc później Bethod zaatakował większymi siłami i spalił dolinę.

Yon wzruszył ramionami.

– Ale zasadzka była udana.

– A co z tobą, Wesoły Yonie Cumberze?

Yon odrzucił koc i usiadł.

– To niezbyt długa historia.

– Nie bądź taki skromny. Dawniej nazywano go Wesołym, ponieważ był z niego prawdziwy żartowniś. Potem, podczas bitwy pod Inewardem, w tragicznych okolicznościach stracił fiuta, a kobiety Północy rozpaczały z tego powodu bardziej niż po śmierci swoich mężów, synów i ojców. Od tamtej pory Yon się nie uśmiecha.

– Okrutne kłamstwo. – Yon wskazał grubym palcem Becka. – Nigdy nie miałem poczucia humoru. A pod Inewardem zostałem lekko skaleczony w udo. Dużo krwi, ale żadnych strat. Tam na dole nadal wszystko działa, bez obaw.

Za jego plecami Cudna wskazała swoje krocze.

– Fiut i klejnoty – powiedziała bezgłośnie, wykonując otwartą dłońią gest cięcia. – Fiut... i...

Kiedy Yon się obejrzał, jak gdyby nigdy nic popatrzyła na swoje paznokcie.

– Już wstaliście? – Mokry przekuśtykał pomiędzy śpiącymi i ogniskami w towarzystwie mężczyzny, którego Beck nie znał, szczupłego, z bujną czupryną poprzecinaną siwymi pasemkami.

– Nasi najmłodszy nas obudzili – mruknęła Cudna. – Drofd

obmacywał broń Becka.

– Ale takie rzeczy się zdarzają... – dodał Yon.

– Możecie sprawdzić moją, jeśli chcecie. – Mokry chwycił buzdygan przy swoim pasie i uniósł go pod kątem. – Na końcu ma dużą gałkę!

Drofd zachichotał, ale wyglądało na to, że reszta nie jest w wesołych nastrojach. Z pewnością nie Beck.

– Nie? – Mokry rozejrzał się z wyczekiwaniem. – To dlatego, że jestem stary, prawda? Możecie mi powiedzieć. To dlatego, że jestem stary.

– Stary czy nie, cieszę się, że tutaj jesteś – odrzekła Cudna, unosząc brew. – Unia nie ośmieli się zaatakować, skoro pojawiliście się wy dwaj.

– Nie mieliby szans, ale akurat musiałem się odlać.

– Po raz trzeci tej nocy? – spytał Yon.

Mokry popatrzył w niebo.

– Chyba czwarty.

– Dlatego mówią na niego Mokry – mruknęła Cudna.

– Po drodze wpadłem na Scorry'ego Skradka. – Mokry wskazał kciukiem szczupłego mężczyznę obok siebie.

Skradek przez dłuższą chwilę się zastanawiał, po czym odezwał się cichym głosem.

– Rozglądałem się.

– Odkryłeś coś? – spytała Cudna.

Pokiwał głową, bardzo powoli, jakby rozwiązał tajemnicę życia.

– Toczy się bitwa. – Usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok Becka i wyciągnął dłoń. – Scorry Skradek.

– To ze względu na umiejętność cichego chodzenia – wyjaśnił

Drofd. – Głównie zajmuje się zwiadem. No i walczy w tylnej linii za pomocą włóczni.

Beck słabo uściśnął dłoń Scorry'ego.

– Beck.

– Czerwony Beck – dodał Drofd. – Takie nosi imię. Otrzymał je wczoraj od Reacheya. Po walce w Osrungu. A teraz dołączył... do nas... no wiesz... – Umilkł, zganiony wzrokiem przez Becka i Scorry'ego, po czym skulił się pod kocem.

– Gnat już ci wygłosił kazanie? – spytał Scorry.

– Kazanie?

– O postępowaniu zgodnie z zasadami.

– Coś o tym wspominał.

– Na twoim miejscu nie podchodziłbym do tego zbyt poważnie.

– Nie?

Scorry wzruszył ramionami.

– Każdy człowiek ma inne zasady. – Zaczął wyjmować noże i układać je przed sobą na ziemi, zaczynając od potężnego ostrza z kościaną rękojeścią, niewiele mniejszego od krótkiego miecza, a kończąc na malutkim zakrzywionym nożyku bez rączki, jedynie z dwoma kólkami na palce.

– To do obierania jabłek? – spytał Beck.

Cudna przeciągnęła palcem po muskularnej szyi.

– Do podrzynania gardeł.

Beck podejrzewał, że kobieta sobie z niego żartuje, ale gdy Scorry splunął na oselkę, a małe ostrze zaśniło w blasku ognia, stracił pewność. Scorry dwukrotnie przeciągnął nożykiem po kamieniu, syk, syk, i nagle ktoś zrzucił z siebie koc.

– Stal! – Whirrun zerwał się na nogi i zaczął obracać, a jego

miecz zaplątał się w posłanie. – Słyszę stal!

– Zamknij się! – zawołał ktoś.

Whirrun uwolnił ostrze, strząsając kaptur z oczu.

– Obudziłem się! Czy to już rano? – Wyglądało na to, że opowieści o tym, że Whirrun z Bligh jest zawsze gotowy, nieco mijają się z prawdą. Opuścił miecz, patrząc spod przymkniętych powiek na czarne niebo i gwiazdy wyglądające zza strzępów chmur. – Dlaczego jest ciemno? Nie bójcie się, dzieci. Whirrun jest pośród was, gotowy do walki!

– Dzięki zmarłym – mruknęła Cudna. – Jesteśmy ocaleni.

– Otóż to, kobieto! – Whirrun zdjął kaptur i podrapał się po włosach, z jednej strony przyklepanych do głowy, a z drugiej sterzących jak kępa ostu. Rozejrzał się pośród Bohaterów i nie widząc niczego poza przygasającymi ogniskami, śpiącymi ludźmi oraz niezmiennymi głazami, zbliżył się do płomieni i ziewnął. – Ocaleni od nudnej rozmowy. Słyszałem, że opowiadacie o imionach?

– Tak – wydukał Beck, nie potrafiąc się zdobyć na dłuższą odpowiedź.

Czuł się tak, jakby rozmawiał z samym Skarlingiem. Wychował się na historiach o wielkich czynach Whirruna z Bligh. Będąc w wiosce, słuchał, jak opowiada je stary pijak Scavi, i wciąż było mu mało. Marzył o tym, że kiedyś stanie obok Whirruna jak równy z równym i zasłuży na miejsce w jego pieśniach. A teraz siedział obok niego jako oszust, tchórz i zabójca kolegi. Mocniej otulił się matczyną peleryną i poczuł pod palcami coś szorstkiego. Zdał sobie sprawę, że materiał wciąż jest sztywny od krwi Refta, i niemal się wzdrygnął. Czerwony Beck. Rzeczywiście ma krew na rękach. Ale zupełnie inaczej to sobie wyobrażał.

– A więc rozmawiamy o imionach? – Whirrun podniósł miecz i oparł go czubkiem o ziemię w blasku ogniska. Broń wyglądała na zbyt długą i ciężką, by była użyteczna. – Oto Ojciec Mieczy, ale ludzie nazywają go na sto sposobów.

Yon zamknął oczy i zapadł się głębiej w posłanie, a Cudna przewróciła oczami, lecz Whirrun mówił dalej monotonnym i wyważonym głosem, jakby wygłaszał dobrze przećwiczoną przemowę.

– Brzytwa Świtu. Wypełniacz Grobów. Żniwiarz Krwi. Najwyższy i Najniższy. Scac-i-Gaioc, co w języku mieszkańców doliny oznacza Rozszczepienie Świata, bitwę, którą stoczono na początku czasu i która odbędzie się ponownie na samym końcu. To moja nagroda, a zarazem kara. Moje błogosławieństwo i przekleństwo. Przekazał mi go Daguf Col tuż przed śmiercią, on zaś otrzymał go od Yorweela Góry, który dostał go od Czterech Twarzy, któremu z kolei wręczył go Leef-reef-Ockang, i tak dalej, aż do czasów, gdy świat był młody. Gdy wypełnią się słowa Szogligi i zakrwawiony stanę twarzą w twarz z Wielkim Rozjemcą, przekażę miecz temu, kto według mnie najbardziej będzie na niego zasługiwał i kto okryje go chwałą, a lista jego imion oraz lista imion wielkich ludzi, którzy go dzierżyli, a także wielkich ludzi, którzy od niego zginęli, będzie dalej się wydłużać, sięgając niepamiętnych czasów. W dolinach, gdzie przyszedłem na świat, powiadają, że to miecz Boga, zrzucony z niebios.

– A ty tak nie uważasz? – spytał Mokry.

Whirrun starł kciukiem drobinę brudu z jelca.

– Kiedyś tak.

– A teraz?

– Bóg wszystko tworzy, czyż nie? Jest rolnikiem.

Rzemieślnikiem. Akuszerką. Bóg daje życie. – Odchylił głowę i popatrzył na niebo. – Po co Bogu miecz?

Cudna przycisnęła dłoń do piersi.

– Och, Whirrunie, jakiś ty, kurwa, wyrafinowany. Mogłabym siedzieć tutaj godzinami, starając się zrozumieć wszystko, co chcesz nam przekazać.

– Ale Whirrun z Bligh to niezbyt wyrafinowane imię – zauważył Beck i od razu tego pożałował, gdy wszyscy na niego popatrzyli. Zwłaszcza Whirrun.

– Nie?

– No... zgaduję, że pochodzisz z Bligh. Prawda?

– Nigdy tam nie byłem.

– Zatem...

– Nie mam pojęcia, skąd wzięło się to imię. Może Bligh to jedyne miejsce w mojej ojczyźnie, o którym słyszeli tutejsi ludzie. – Whirrun wzruszył ramionami. – To bez znaczenia. Samo imię nic nie znaczy. Liczy się to, co z nim uczynisz. Ludzie robią w spodnie, gdy słyszą o Krwawym-dziewięć, ale nie z powodu jego imienia, tylko dlatego, że wiedzą, kto je nosił.

– A Whirrun Rąbnięty? – spytał Drofd.

– To proste. Kiedyś w Ustredzie bardzo mocno uderzył mnie...

Cudna parsknęła.

– To nie dlatego nazywają cię Rąbniętym.

– Co takiego?

– Właśnie – odezwał się Yon. – Nie dlatego.

– Nazywają cię Whirrunem Rąbniętym z tego samego powodu, z jakiego nadali imię Rąbniętemu Leefowi. – Cudna postukała się palcem w ogoloną głowę. – Ponieważ powszechnie uważa się, że jesteś zdrowo rąbnięty na umyśle.

– Naprawdę? – Whirrun zmarszczył czoło. – Cóż, to niezbyt miło ze strony tych skurwieli. Będę musiał wyjaśnić parę spraw, kiedy znów ktoś mnie tak nazwie. Psiakrew, wszystko popsułaś!

Cudna rozłożyła ręce.

– Mam do tego talent.

– Dzień dobry, ludzie. – Curnden Gnat powoli podszedł do ogniska z nadętymi policzkami i siwymi włosami powiewającymi na wietrze. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Miał ciemne wory pod oczami i zaróżowione nozdrza.

– Wszyscy na kolana! – warknęła Cudna. – To prawa ręka Czarnego Dowa!

Gnat udał, że uspokaja ich machnięciem dłoni.

– Nie ma potrzeby się płaszczyć.

Ktoś szedł za nim. Beck poczuł gwałtowny skurcz w żołądku, gdy zorientował się, że to Caul Dreszcz.

– Wszystko w porządku, wodzu? – spytał Drofd, wydobywając z kieszeni kawałek mięsa i wyciągając rękę w stronę Gnata.

Gnat, krzywiąc się, usiadł przy ognisku, po czym zatkał jedną dziurkę od nosa i dmuchnął przez drugą z przeciągłym świstem przypominającym odgłos zdychającej kaczki. Potem wziął mięso i je ugryzł.

– Z każdą kolejną zimą co innego wydaje się w porządku. Biorąc pod uwagę fakt, jak się ostatnio czuję, nic mi nie jest. Dwadzieścia lat temu uznałbym, że stoję nad grobem.

– Jesteśmy na polu bitwy, czyż nie? – Whirrun szeroko się uśmiechał. – Wielki Rozjemca siedzi nam wszystkim na karku.

– Sympatyczna myśl – odrzekł Gnat, poruszając ramionami, jakby rzeczywiście czuł na karku czyjs oddech. – Drofd.

– Tak, wodzu?

– Jeśli pojawią się Unioniści, a myślę, że to pewne... lepiej trzymaj się z daleka.

– Jak to?

– To będzie regularna bitwa. Wiem, że nie brakuje ci odwagi, ale nie masz odpowiedniej broni. Toporek i łuk? Unioniści mają zbroje, solidne ostrza i tak dalej... – Gnat pokręcił głową. – Mogę znaleźć ci jakieś miejsce na tyłach...

– Nie, wodzu, chcę walczyć! – Drofd popatrzył na Becka, jakby prosił go o wsparcie. Beck nie zareagował. Żałował, że sam nie może zostać. – Chcę wywalczyć dla siebie imię. Daj mi szansę!

Gnat się skrzywił.

– Będziesz takim samym człowiekiem, niezależnie od imienia. Nie staniesz się lepszy. Może nawet gorszy.

– Właśnie – odrzekł bezwiednie Beck.

– Łatwo mówić tym, którzy je mają – odburknął Drofd, wpatrując się ze złością w ogień.

– Skoro chce walczyć, to niech walczy – rzekła Cudna.

Zaskoczony Gnat podniósł wzrok, jakby nagle uzmysłowił sobie, że jest w innym miejscu, niż przypuszczał. Potem oparł się na łokciu i wyciągnął nogę w stronę ogniska.

– No cóż. Teraz to twoja dwunastka.

– Zgadza się – odparła Cudna, trącając go swoim butem w wyprostowaną nogę. – Wszyscy staną do walki.

Yon klepnął Drofda w ramię. Chłopak był zaczerwieniony i uśmiechnięty na samą myśl o czekającej go chwale. Cudna wyciągnęła rękę i pstryknęła paznokciem głowicę Ojca Mieczy.

– Poza tym nie trzeba mieć broni, żeby zasłużyć na imię. Ty

zdobyłeś swoje zębami, prawda, Gnacie?

– Rozszarpałeś komuś gardło? – spytał Drofd.

– Niezupełnie. – Gnat przez chwilę patrzył nieobecny wzrokiem, a blask ognia uwidaczniał zmarszczki w kącikach jego oczu. – Pierwsza bitwa, w jakiej brałem udział, okazała się bardzo krwawa, a ja znalazłem się w samym jej środku. Byłem wtedy spragniony chwały. Chciałem zostać bohaterem. Zasłużyć na imię. Po bitwie siedzieliśmy wokół ogniska, a ja spodziewałem się, że wódz nada mi jakieś groźne miano. – Podniósł wzrok. – Jak Czerwony Beck. Kiedy Trójdzwiecz się zastanawiał, odgryzłem duży kawał mięsa. Chyba byłem pijany. I wtedy kość utknęła mi w gardle. Przez dłuższą chwilę nie mogłem oddychać, a wszyscy tłukli mnie po plecach. W końcu jakiś potężny chłopak podniósł mnie za nogi i dopiero wtedy ją wykrztusiłem. Przez kilka dni z trudem mówiłem. Właśnie dlatego Trójdzwiecz nazwał mnie Gnatem.

– Szogliga powiedziała... – zanucił Whirrun, odchylając się do tyłu, żeby popatrzeć na niebo – ...że moje przeznaczenie wskaże mi... człowiek, który zakrztusił się kością.

– No to mam szczęście – mruknął Gnat. – Wtedy byłem wściekły. Teraz już wiem, jaką przysługę wyświadczył mi Trójdzwiecz. Zadbał o to, żebym się uspokoił.

– Wygląda na to, że skutecznie – zaskrzeczał Dreszcz. – Działasz według zasad, czyż nie?

– Zgadza się. – Crawl z niezadowoleniem oblizwał zęby. – Prawdziwy ze mnie tradycjonalista.

Scorry po raz ostatni przeciągnął oselką po nożu i wziął kolejne ostrze.

– Poznałeś już naszego najnowszego rekruta, Dreszczu? – Wskazał kciukiem. – Czerwony Beck.

– Poznałem. – Dreszcz popatrzył ponad ogniskiem. – Wczoraj w Osrungu.

Beck miał dziwaczne wrażenie, że Dreszcz potrafi go przejrzeć swoim sztucznym okiem i wie o jego kłamstwach. Zastanawiał się, dlaczego nikt inny nie widzi winy wypisanej na jego twarzy jak świeży tatuaż. Poczł ział na plecach i ponownie otulił się zakrwawioną peleryną.

– Cóż to był za dzień – wymamrotał.

– Dziś też wiele nas czeka. – Whirrun wstał i wyprostował się, unosząc Ojca Mieczy nad głowę. – Przy odrobinie szczęścia.

Znów wczoraj

Niebieska skóra rozciągnęła się, gdy wślizgnęła się pod nią stal. Farba łuszczyła się jak wyschnięta ziemia, krótkie włosy falowały, nitki żyłek czerwieniały w szerokich białkach tuż przy kącikach oczu. Pchała, pchała, pchała zgrzytając zębami, a kolorowe wzory wybuchały w ciemności pod jej zamkniętymi powiekami. Nie potrafiła wyrzucić z głowy tej przekłętej muzyki. Muzyki, którą grali skrzypkowie. Grali coraz szybciej i szybciej. Fajeczka z plewami, którą jej dali, złagodziła ból zgodnie z obietnicą, ale okłamali ją co do snu. Przewróciła się na drugi bok, kuląc się pod kocami. Jakby można było pozostawić po przeciwnej stronie łóżka dzień wypełniony mordem.

Blask świec otaczał drzwi, przenikając przez szpary między listwami. Podobnie jak światło dnia otaczało drzwi wyziębionego pomieszczenia, w którym trzymali je po pojmaniu. W którym klęczała w ciemności, szarpiąc węzły paznokciami. Słyszała głosy dobiegające z zewnątrz. Oficerowie przychodzili i odchodzili, rozmawiali z jej ojcem. Rozprawiali o strategii i logistyce. O cywilizacji. O tym, którą z nich wybrał Czarny Dow.

To, co się stało, mieszało się z tym, co mogło oraz powinno się wydarzyć. Wilczarz przybył godzinę wcześniej ze swoimi Północnymi i pokonał dzikich, zanim ci zdążyli wyjść z lasu. Ona sama dowiedziała się zawczasu o ataku i wszystkich ostrzegła, za co odebrała żarliwe podziękowania od lorda gubernatora Meeda. Kapitan Hardrick nie zamilkł na zawsze, tylko

srowadził pomoc i kawaleria Unii przybyła w kluczowej chwili, jak zawsze dzieje się w opowieściach. Potem ona pokierowała obroną, stojąc na barykadzie z uniesionym ostrzem i zakrwawionym napierśnikiem, jak Monzcarro Murcatto pod Słodkimi Sosnami na jaskrawym obrazie, który kiedyś widziała na ścianie u pozbawionego gustu kupca. Wiedziała, że snuje szalone fantazje, i, choć zastanawiała się, czy nie pogrąży się w obłędzie, nie potrafiła przestać.

Potem dostrzegła coś kątem oka i nagle znów leżała na plecach, przygnieciona kolanem wbijającym się w jej żołądek, trzymana za szyję przez brudną dłoń, pozbawiona oddechu, a całe przerażenie, którego wtedy nie czuła, zalewało ją cuchnącą falą. Zrzucała wtedy z siebie koce i zrywała się z posłania, po czym zaczynała chodzić po pokoju, gryząc wargę, skubiąc strup na łysym placku z boku głowy, mamrocząc coś pod nosem jak wariatka, powtarzając wszystkie kwestie.

Gdyby ostrzej dyskutowała z Czarnym Dowem. Gdyby naciskała i żądała, może Aliz wróciłyby z nią, a tak... pozostała w ciemności, bełkotliwie jęcząc, gdy dłoń Finree wyslizgnęła się z jej dłoni, a drzwi zatrasnęły z grzechotem. Niebieski policzek wybrzuszył się, gdy wślizgnęła się pod niego stal, a kobieta obnażyła zęby, jęknęła, chwyciła się za głowę i zacisnęła powieki.

– Fin.

– Hal.

Pochylał się nad nią, a płomień świecy oświetlał jedną stronę jego głowy złotym blaskiem. Usiadła, pocierając dłońmi odrętwiałą twarz. Miała wrażenie, że ugniata martwe ciasto.

– Przyniosłem ci świeże ubranie.

– Dziękuję. – Żałośnie oficjalnie, jakby rozmawiała z lokajem.

– Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie spałam. – W ustach wciąż czuła dziwny smak i opuchliznę wywołaną przez plewy. Ciemność w kątach pokoju musowała kolorami.

– Pomyślałem, że lepiej przyjdę... przed świtem. – Znów milczenie. Pewnie czekał, aż powie, że jest zadowolona, ale nie była w stanie zdobyć się na małostkowe grzeczności. – Twój ojciec postawił mnie na czele szturm na most w Osrungu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gratuluję. Błagam, nie! Bądź ostrożny. Nie idź! Zostań tutaj. Proszę. Proszę.

– Będziesz dowodził z pierwszej linii? – Jej głos zabrzmiał lodowato.

– Podejrzewam, że tak.

– Nie baw się w bohatera. – Jak Hardrick, który wybiegł za drzwi po pomoc, która nie mogła przybyć na czas.

– Obiecuję ci, że nie będę. Tak po prostu... wypada.

– W ten sposób nie poprawisz swoich notowań.

– Nie po to to robię.

– Więc po co?

– Ponieważ ktoś musi. – Tak bardzo się różnili. Cyniczka i idealista. Dlaczego za niego wyszła? – Wydaje się, że z Brintem... wszystko w porządku. Zważywszy na okoliczności.

Finree miała nadzieję, że z Aliz także jest wszystko w porządku, ale szybko odpędziła te myśli. Nie mogła sobie pozwolić na próżne nadzieje.

– Jak ma się czuć człowiek, którego żonę pochwycili wrogowie?

– Pewnie jest zrozpaczony. Mam nadzieję, że się pozbiera.

Cóż za bezużyteczne, drętwe określenie. Cała ta rozmowa

była bezużyteczna i drętwa. Hal czuł się jak ktoś obcy. Nie miał pojęcia, kim naprawdę jest Finree. Jak dwoje ludzi może się prawdziwie poznać? Każdy idzie przez życie samotnie, tocząc własną walkę.

Wziął ją za rękę.

– Wyglądasz na...

Nie mogła znieść dotyku jego skóry. Gwałtownie zabrała palce, jakby cofała je z rozpalonego pieca.

– Lepiej już idź.

Jego twarz drgnęła.

– Kocham cię.

To tylko słowa. Powinno być łatwo je wypowiadać. Ale równie dobrze mogłaby spróbować polecieć na księżyc. Odwróciła się do ściany i okryła kocem. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Po chwili, a może po dłuższym czasie, wyslizgnęła się z łóżka. Ubrała się. Ochlapała twarz wodą. Zakryła rękawami obtarcia na nadgarstkach i poszarpane skaleczenie na przedramieniu. Otworzyła drzwi i wyszła. W pomieszczeniu po drugiej stronie znajdował się jej ojciec. Rozmawiał z oficerem, którego wczoraj zmiażdżyła przewracająca się komoda pełna talerzy rozsypujących się po podłodze. Nie, to był ktoś inny.

– Obudziłaś się. – Ojciec się uśmiechał, ale był czujny, jakby mogła w każdej chwili stanąć w płomieniach, a on miał pod ręką wiadro z wodą. Może powinna spłonąć. Nie byłaby zaskoczona. Ani specjalnie zmartwiona. – Jak się czujesz?

– Dobrze. – Dłonie zaciskały się na jej gardle, a ona szarpała je paznokciami, słysząc pulsujący łomot swojego serca. – Wczoraj zabiłam człowieka.

Wstał i położył dłoń na jej ramieniu.

– Może tak ci się wydaje, ale...

– Nic mi się nie wydaje. Przebiłam go krótkim ostrzem, które ukradłam jednemu z oficerów. Dźgnęłam go w twarz. Prosto w twarz. Właśnie tak. Więc pewnie umarł.

– Finree...

– Czy ja popadam w obłąd? – Parsknęła śmiechem, słysząc, jak idiotycznie zabrzmiały jej słowa. – Mogło być znacznie gorzej. Powinnam się cieszyć. Nic nie mogłam zrobić. Nikt nie mógł nic zrobić. Jak powinnam była postąpić?

– Po tym, co przeszłaś, tylko szaleniectwo czułoby się normalnie. Postaraj się zachowywać, jakby... to był zwyczajny dzień, taki sam jak każdy inny.

Wzięła głęboki wdech.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do niego, mając nadzieję, że promieniuje spokojem, a nie szaleństwem. – To zwyczajny dzień.

Na stole stała drewniana miska z owocami. Finree wzięła jabłko. Na wpół zielone, na wpół krwistoczerwone. Powinna jeść, póki może. Podtrzymywać siły. W końcu to zwyczajny dzień.

Na dworze wciąż było ciemno. Strażnicy stali w blasku pochodni. Gdy ich mijała, umilkli, dyskretnie ją obserwując. Miała ochotę ich obrzygać, ale próbowała się uśmiechać, jakby to był zwyczajny dzień, a oni wcale nie wyglądali jak tamci ludzie, którzy rozpaczliwie usiłovali przytrzymać drzwi gospody, podczas gdy wokół nich fruwały drzazgi z drzwi rąbanych toporami.

Zeszła ze ścieżki i ruszyła na przełaj przez zbocze, mocniej otulając się płaszczem. Chłostana wiatrem trawa prowadziła ją w ciemność. Kępy turzycy zaczepiały się o buty. Jakiś łysy

mężczyzna spoglądał na pogrążoną w mroku dolinę, a poły jego płaszcz łąpotały na wietrze. Jedną rękę trzymał zaciśniętą za plecami, niespokojnie pocierając kciukiem o palec wskazujący. W drugiej delikatnie dzierżył kubek. Ponad nim na wschodnim niebie pojawiły się pierwsze blade smugi świtu.

Być może to był wpływ plew albo bezsenności, ale po tym, co Finree widziała poprzedniego dnia, Pierwszy z Magów nie wydał jej się straszny.

– Kolejny dzień! – zawołała, czując, że mogłaby skoczyć ze zbocza i wzbić się w ciemne niebo. – Kolejny dzień walk. Pewnie jest pan zadowolony, lordzie Bayazie!

Uklonił się lekko.

– Cóż...

– Czy mam mówić „lordzie Bayazie”, czy może istnieje jakiś odpowiedniejszy sposób zwracania się do Pierwszego z Magów. – Odgarnęła kosmyk włosów, ale wiatr po chwili znów zrzucił go jej na twarz. – Wasza Miłość, a może Wasza Czarodziejskość albo Wasza Magiczność?

– Staram się nie przywiązywać wagi do ceremoniału.

– A swoją drogą, jak się zostaje Pierwszym z Magów?

– Byłem pierwszym uczniem wielkiego Juvensa.

– Nauczył pana czarów?

– Nauczył mnie Wysokiej Sztuki.

– Więc dlaczego się pan nią nie zajmuje, tylko zmusza ludzi do walki?

– Ponieważ to łatwiejsze. Magia jest sztuką i nauką, która polega na sprawianiu, by rzeczy zachowywały się w sposób niezgodny z ich naturą. – Bayaz powoli pociągnął łyk ze swojego kubka, zerkając na Finree ponad krawędzią. – Tymczasem walka jest naturalnym instynktem ludzi. Ufam, że już pani

wydobrzała po wczorajszych ciężkich doświadczeniach?

– Ciężkich doświadczeniach? Już niemal o wszystkim zapomniałam! Ojciec zasugerował, żebym zachowywała się tak, jakby to był zwyczajny dzień, więc może właśnie taki będzie. Każdego dnia staram się dbać o interesy swojego męża, a co za tym idzie, swoje własne. – Uśmiechnęła się półgębkiem. – Jestem piekielnie ambitna.

Bayaz zmrużył zielone oczy.

– Zawsze podziwiałem tę cechę.

– Meed zginął.

Jego usta otwierały się i zamykały bezgłośnie jak u ryby wyciągniętej z rzeki, palce szarpały wielką dziurę w karmazynowym mundurze, papiery ślizgały się po jego plecach, gdy runął na ziemię.

– Potrzebuje pan nowego lorda gubernatora Anglandu.

– To Jego Królewska Mość go potrzebuje. – Mag westchnął. – Jednak wyznaczenie kogoś na tak ważne stanowisko to skomplikowana sprawa. Niewątpliwie jakiś krewny Meeda będzie się domagał nominacji, ale nie powinniśmy pozwolić, żeby ten tytuł pozostał w jednej rodzinie. Podejrzewam, że co najmniej dwudziestu innych potężnych magnatów z Otwartej Rady uważa, że zasługuje na ten honor, jednak nie możemy aż tak wywyższyć człowieka, który już ma władzę bliską królewskiej. Trudno byłoby mu się oprzeć pokusie sięgnięcia po koronę, co z pewnością potwierdzi pani teść. Moglibyśmy mianować jakiegoś biurokrate, ale wtedy Otwarta Rada zarzuciłaby nam stworzenie marionetkowego urzędu, a i tak mamy z nimi wystarczająco dużo problemów. Trzeba wziąć pod uwagę tak wiele zależności, konfliktów, zawiści i niebezpieczeństw. Aż się odechciewa zajmować polityką.

– Więc może mój mąż?

Bayaz przekrzywił głowę.

– Nie sposób pani odmówić szczerości.

– Owszem, przynajmniej dziś rano.

– To kolejna cecha, którą podziwiam.

– Na Boginie Losu, a więc wzbudzam podziw! – odrzekła, słysząc drzwi zatraskujące się za szlochającą Aliz.

– Niestety, nie jestem pewien, czy potrafiłbym znaleźć wystarczające poparcie dla kandydatury pani męża. – Bayaz ściągnął wargi, wyrzucając fusy na trawę pokrytą rosą. – Jego ojciec wchodzi w poczet najbardziej niesławnych zdrajców w historii Unii.

– To prawda. Był także najpotężniejszym ze wszystkich szlachciców, najważniejszym członkiem Otwartej Rady, którego od korony dzielił tylko jeden głos. – Nie myślała o konsekwencjach, tak jak rzucony kamień nie myśli o wodzie, na której podskakuje. – Podejrzewam, że kiedy odebrano mu ziemię i władzę, zupełnie jakby nigdy ich nie miał, szlachta poczuła się zagrożona. Chociaż ucieszył ich jego upadek, dostrzegali w nim zapowiedź własnej klęski. Sądzę, że przywrócenie części tej władzy jego synowi spodobałoby się Otwartej Radzie i zostało odebrane jako uznanie praw dawnych rodów.

Bayaz lekko uniósł podbródek i ściągnął brwi.

– Być może. Coś jeszcze?

– Lord Brock miał wielu sprzymierzeńców i wrogów, lecz jego syn nie ma żadnych. Od ośmiu lat traktuje się go z pogardą i lekceważeniem. Nie należy do żadnej frakcji i nie ma żadnego celu poza służbą koronie. Na polu bitwy wielokrotnie dowiódł swojej uczciwości, odwagi i niewzruszonej lojalności wobec

króla. – Wbiła wzrok w Bayaza. – To byłaby piękna historia. Zamiast zniżać się do politycznych gier, nasz monarcha postanawia wynagrodzić wierną służbę, zasługi i bohaterstwo. Myślę, że prości ludzie by to docenili.

– Wierna służba, zasługi i bohaterstwo. Cenne cechy u żołnierza. – Zupełnie jakby mówił o tłuszczu na ciele świni. – Jednak lord gubernator przede wszystkim jest politykiem. Do jego talentów powinny należeć elastyczność, bezwzględność oraz oportunizm. Czy to silne strony pani męża?

– Nie, ale być może te cechy mógłby wnieść ktoś z jego bliskiego otoczenia.

Miała wrażenie, że na ustach Bayaza mignęło widmo uśmiechu.

– Zaczynam podejrzewać, że to możliwe. Bardzo ciekawa propozycja.

– Zatem nie pomyślał pan o wszystkim?

– Tylko ignorant uważa, że pomyślał o wszystkim. Być może nawet wspomnę o tej możliwości moim kolegom z Zamkniętej Rady podczas kolejnego spotkania.

– Sądzę, że najlepiej byłoby dokonać wyboru szybko, zamiast pozwalać, by ta kwestia zmieniła się w... problem. Oczywiście nie jestem bezstronna, ale naprawdę uważam, że mój mąż jest najlepszym człowiekiem w Unii.

Bayaz zachichotał.

– A kto powiedział, że szukam najlepszego człowieka? Niewykluczone, że kretyn i słabeusz na stanowisku lorda gubernatora Anglandu bardziej by wszystkim odpowiadał. Kretyn i słabeusz z głupią, tchórzliwą żoną.

– Obawiam się, że tego nie mogę panu zaproponować. Proszę się poczęstować. – Rzuciła mu jabłko, zmuszając go do

niezdarne go przerzucenia owocu z jednej ręki do drugiej i upuszczenia kubka w kępę turzycy.

Zaskoczony Bayaz uniósł brwi, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Finree odeszła. Już prawie zapomniała, o czym rozmawiali. Jej myśli całkowicie pochłaniało wspomnienie tego, jak niebieski policzek wybrzuszył się, gdy wślizgnęła się pod niego stal, a ona pchała, wciąż pchała.

Za wszystkie dobrodziejstwa Twoje...

Niezwykłe łatwo przekroczyć granicę pomiędzy wyniesieniem ponad ludzi jako przywódca i jako wisielec na szubienicy. Kiedy Gnat wspinał się na pustą skrzynię, by wygłosić swoją przemowę, musiał przyznać, że czuje się bliższy tej drugiej roli. Rozlało się przed nim morze twarzy, które szczelnie wypełniały krąg pomiędzy Bohaterami i napierały na niego z zewnątrz. Co gorsza, Carlowie Czarnego Dowa stanowili najbardziej ponury, mroczny i surowy tłum, na jaki można natrafić na Północy. A można tutaj znaleźć naprawdę twardych ludzi. Zapewne jego słuchacze byli o wiele bardziej zainteresowani plądrowaniem, gwałceniem oraz mordowaniem niż jakimikolwiek zasadami i było im obojętne, kto znajdzie się na końcu ostrza.

Gnat cieszył się, że wokół skrzyni stoją Wesoły Yon, Mokry i Cudna. Jeszcze bardziej cieszyła go obecność Whirruna. Ojciec Mieczy dodawał siły każdemu słowem. Gnat przypomniał sobie, co powiedział Trójdrzewiec, gdy mianował go swoim zastępcą. Powinien być ich przywódcą, a nie kochankiem. Przywódcy przede wszystkim trzeba się lękać, a nie go lubić.

– Ludzie Północy! – wrzasnął pośród podmuchów wiatru. – Jeśli jeszcze nie słyszeliście, Rozciętopoty nie żyje, a Czarny Dow przekazał mi jego stanowisko. – Wypatrzył największego, najbardziej paskudnego i pełnego pogardy drania w całym tłumie, człowieka, który wyglądał, jakby golił się toporem, i pochylił się w jego stronę. – Będziecie robili, co wam, kurwa,

rozkażę! – warknął. – Na tym polega wasze zadanie. – Wpatrywał się w niego na tyle długo, żeby przekonać go, że niczego się nie boi, mimo że było wręcz odwrotnie. – Moje polega na utrzymywaniu wszystkich przy życiu. Bardzo możliwe, że nie zawsze mi się to uda. To jest wojna. Ale i tak będę próbował. I, na spokojnie zmarłych, nie pozwolę, żebyście wy się poddali.

Kręcili się niespokojnie, nadal nieprzekonani. Pora przedstawić rodowód. Chwalenie się nie było jego mocną stroną, ale wiedział, że skromność do niczego go nie doprowadzi.

– Nazywam się Curnden Gnat i od trzydziestu lat jestem Imiennym. Dawniej byłem zastępcą Rudda Trójdrzewca. – To imię wywołało szmer uznania. – Skały Uffrithu we własnej osobie. Trzymałem jego tarczę, gdy pojedynkował się z Krwawym-dziewięć. – Tym razem szmer uznania był jeszcze głośniejszy. – Potem walczyłem dla Bethoda, a teraz dla Czarnego Dowa. Możecie się założyć, kutasy, że brałem udział w każdej bitwie, o jakiej słyszeliście. – Zmarszczył górną wargę. – Dlatego nie musicie się martwić o to, czy podołam zadaniu. – Chociaż on sam martwił się, że za chwilę narobi w spodnie. Jednak jego głos brzmiał szorstko i donośnie. Dzięki zmarłym za ten bohaterski głos, nawet jeśli czas dał mu kiszki tchórza. – Chcę, żeby każdy z was dzisiaj zrobił to, co należy! – ryknął. – A zanim zaczniecie kpić i będę zmuszony wbić wam but w dupę, pozwólcie, że wyjaśnię. Nie chodzi o głaskanie dzieci po głowie, dzielenie się ostatnią skórką chleba z wiewiórką ani nawet o prześcignięcie Skarlinga w odwadze, gdy dobiedziecie mieczy. Nie mam na myśli odgrywania bohaterów. – Skinął głową w stronę otaczających ich gładów. – To możecie zostawić tym kamieniom. One nie krwawią. Chodzi mi o walkę dla swojego

wodza! Walkę dla swojej drużyny! Walkę dla człowieka stojącego obok! A przede wszystkim o to, żebyście się, kurwa, nie dali pozabijać! – Wskazał w tłumie Becka. – Popatrzcie na tego młodzieńca. Nazywa się Czerwony Beck.

Beck wytrzeszczył oczy, gdy cały pierwszy rząd zabójców obejrzał się w jego stronę.

– Wczoraj zrobił to, co należało. Był uwięziony w domu w Osrungu, a Unioniści wyważali drzwi. Posłuchał swojego wodza. Stał u boku swoich ludzi. Zachował głowę. Posłał czterech drani do ziemi i uszedł z życiem. – Może Gnat nieco upiększał prawdę, ale w końcu taka jest rola przemowy, czyż nie? – Jeśli siedemnastoletni chłopak może obronić przed Unionistami chatę, to ludzie z waszym doświadczeniem nie powinni mieć żadnych problemów z obronieniem wzgórza. Każdy wie, jak bogata jest Unia... Z pewnością zostawią po sobie mnóstwo rzeczy, gdy będą uciekali.

To wreszcie rozbawiło tłum. Nic nie działa tak dobrze jak polechtanie chciwości.

– To wszystko! – ryknął. – Wracajcie na swoje miejsca! – Zeskoczył ze skrzynki, lekko się chwiejąc, gdy zabolowało go kolano, ale utrzymał się na nogach. Nie otrzymał aplauzu, ale uznał, że przekonał wystarczająco wielu z nich, by nie dostać ciosu w plecy przed zakończeniem bitwy. W takim towarzystwie trudno liczyć na więcej.

– Niezła przemowa – rzekła Cudna.

– Tak uważasz?

– Tylko mam wątpliwości co do fragmentu o robieniu tego, co należy. Zawsze musisz to mówić?

Gnat wzruszył ramionami.

– Ktoś powinien.

– Być może słyszeliście jakieś poruszenie tego ranka. – Pułkownik Vallimir zmierzył wzrokiem zgromadzonych oficerów i sierżantów z pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości. – To były odgłosy ataku Północnych.

– To były odgłosy, jakie słyszymy, gdy ktoś coś spieprzy – mruknął Tunny. Domyślił się tego, gdy tylko usłyszał hałasy dobiegające ze wschodu. Nie ma lepszej recepty na to, żeby coś spieprzyć, niż noc, wojsko i zaskoczenie.

– W pierwszym szeregu zapanował chaos...

– Znów ktoś coś spieprzył – mruknął Tunny.

– W ciemności wybuchła panika...

– I ponownie – mruknął Tunny.

– No i... – Vallimir się skrzywił. – Północni uciekli z dwoma sztandarami.

Tunny rozchylił usta, ale zabrakło mu słów. Pomruk niedowierzania poniósł się przez tłum, wyraźny pomimo wiatru kołyszącego gałęziami. Vallimir wszystkich zakrzyczał.

– Sztandary drugiego i trzeciego regimentu wpadły w ręce wroga! Generał Mitterick jest... – pułkownik bardzo starannie dobierał słowa – ...niezadowolony.

Tunny parsknął. Mitterick był niezadowolony nawet w swoich najlepszych chwilach. Nikt nie był w stanie zgadnąć, jak podziela na niego wieść o tym, że ukradziono mu sprzed nosa dwa królewskie sztandary. Zapewne, gdyby teraz ktoś wbił w niego szpilkę, generał by eksplodował, obracając w ruinę połowę doliny. Tunny zorientował się, że wyjątkowo mocno ściska sztandar pierwszego regimentu, i rozluźnił dłonie.

– A jakby tego było mało – kontynuował Vallimir – wygląda

na to, że wysłano rozkaz wzywający nas do przeprowadzenia ataku wczoraj po południu. Niestety, rozkaz ten nie dotarł do celu. – Forest surowo zerknął na Tunny’ego, ale ten mógł tylko wzruszyć ramionami. Wciąż nie było ani śladu Lederlingena. Możliwe, że zdezerterował. – Kolejny rozkaz przybył już po zmroku. Dlatego Mitterick chce, żebyśmy dzisiaj to nadrobili. Gdy tylko wzejdzie słońce, generał przypuści szturm przeważającymi siłami na Mur Claila.

– Hmm. – Przez ostatnie kilka dni Tunny wielokrotnie słyszał o przeważających siłach, jednak Północnych nadal nie udało się przytłoczyć.

– Jednak nam pozostawi zachodni kraniec muru. Wróg nie zdoła wystawić tylu wojowników, by go utrzymać, gdy rozpocznie się atak. Kiedy tylko zobaczymy, że porzucają mur, przekroczymy rzekę i zaatakujemy ich od flanki. – Vallimir klepnął jedną dłońią w drugą, by zilustrować swój plan. – To będzie ich koniec. Po prostu. Gdy tylko porzucą mur, atakujemy. Jakieś pytania?

A jeśli nie porzucą muru? – pomyślał Tunny, ale miał na tyle rozumu, by nie wychylać się w towarzystwie tłumu oficerów.

– Dobrze. – Vallimir uśmiechnął się, zupełnie jakby cisza oznaczała, że plan jest idealny, a nie świadczyła o tym, że jego ludzie są zbyt tępi, żądni krwi albo ostrożni, by wskazać jego niedoskonałości. – Brakuje nam połowy ludzi i nie mamy koni, ale to nie powstrzyma pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości, prawda? Jeśli każdy spełni dziś swój obowiązek, jeszcze zdążymy zostać bohaterami.

Tunny musiał stłumić pogardliwy śmiech, gdy tępi, żądni krwi, nieufni oficerowie rozeszli się między drzewami, by przygotować swoich żołnierzy.

– Słyszałeś, Forest? Wszyscy możemy zostać bohaterami.

– Wystarczy mi, jeśli przeżyję do jutra, Tunny. Wejdz na drzewo i obserwuj mur. Przyda mi się para doświadczonych oczu.

– Moje oczy widziały już wszystko, sierzancie.

– A nawet więcej, nie wątpię. Gdy tylko zobaczysz, że Północni zaczynają się wycofywać, daj sygnał. Tunny? – Obejrzał się. – Nie tylko ty będziesz ich obserwował, więc bez sztuczek. Wciąż pamiętam, co się wydarzyło w zasadzce pod Shriccą. A raczej co się nie wydarzyło.

– Brak dowodów na umyślne wykroczenie, jeśli mogę zacytować trybunał.

– Zacytować trybunał... niezły z ciebie numer.

– Pierwszy sierzancie Forest, czuję się zdruzgotany, że mój kolega ma tak niepoehlebne zdanie na temat mojego charakteru.

– Jakiego charakteru?! – zawołał Forest w ślad za Tunnym, który już wspinał się na wzgórze pomiędzy drzewami.

Żółtko siedział przykucnięty w zaroślach, w tym samym miejscu, w którym spędzili całą noc, patrząc na drugi brzeg rzeki przez lunetę Tunny'ego.

– Gdzie Worth?

Żółtko otworzył usta.

– Chociaż już się domyślam. Czy coś się ruszyło?

Żółtko ponownie otworzył usta.

– Oczywiście nie licząc jelit szeregowego Wortha.

– Nic, kapralu Tunny.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli sam sprawdzę. – Nie czekając na odpowiedź, chwycił lunetę i powiódł wzrokiem wzdłuż muru, w górę zbocza od strumienia,

ku wschodowi, gdzie mur zniknął za wzniesieniem. – Oczywiście nie wątpię w twoje umiejętności...

Przed kamiennym murem nikogo nie było, ale za nim dostrzegł liczne włócznie, które zaczynały się pojawiać na tle ciemnego nieba.

– Nic się nie ruszyło, prawda, panie kapralu?

– Nie, Żółtko. – Tunny opuścił lunetę i podrapał się po szyi. – Nic się nie ruszyło.

Cała dywizja generała Jalenhorma, wzmocniona dwoma regimentami od Mittericka, ustawiła się w paradnym szyku na łagodnym trawiasto-kamienistym zboczu, które opadało ku brodom. Stali zwrócenii twarzami na północ. Ku Bohaterom. Ku wrogom. Przynajmniej to nam się udało.

Gorst nigdy nie widział na raz tylu żołnierzy gotowych do walki. Ich szeregi po obu stronach rozpląwały się w ciemności. Ponad tą ludzką masą sterczał las włóczni i halabard, powiewały proporce kompanii, a całkiem niedaleko złożony sztandar królewskiego ósmego regimentu łopotał na silnym wietrze, dumnie prezentując kilka pokoleń wojskowych odznaczeń. Blask lamp wydobywał z ciemności poważne twarze i krzesał iskry na wypolerowanej stali. Tu i ówdzie konni oficerowie z bronią na ramieniu czekali na rozkazy, by przekazać je swoim ludziom. Obdarta garstka Północnych Wilczarza stała nad krawędzią wody, wpatrując się z rozdziawionymi ustami w tłum wojskowych.

Na tę okazję generał Jalenhorm włożył coś, co bardziej przypominało dzieło sztuki niż zbroję: napierśnik ze stali lśniący jak lustro, na którym z przodu i z tyłu wygrawerowano

złote słońca o promieniach zmieniających się w ostrza, lance i strzały przeplatane kunsztownie obrobionymi wieńcami z dębowych i laurowych liści.

– Życz mi powodzenia – mruknął, po czym spiął konia ostrogami i popędził go po kamykach w stronę pierwszego szeregu.

– Powodzenia – szepnął Gorst.

Ludzie byli na tyle cicho, że było słyhać słaby brzęk, gdy Jalenhorm dobył broni.

– Ludzie Unii! – zagrzmiął, unosząc ostrze nad głowę. – Dwa dni temu wielu z was poniosło klęskę z rąk Północnych! Zostaliście przepędzeni ze wzgórza, które widzicie przed nami. Winę za to ponoszę wyłącznie ja!

Do Gorsta docierały echa innych głosów powtarzających słowa generała. Oficerowie przekazywali treść jego przemowy tym, którzy stali zbyt daleko, by ją usłyszeć.

– Mam nadzieję i ufam, że dzisiaj pomożecie mi odkupić tę winę. Jestem dumny, że spotkał mnie honor dowodzenia takimi ludźmi. Dzielnymi żołnierzami z Midderlandu, Stariklandu i Anglandu. Dzielnymi ludźmi Unii!

Surowa dyscyplina powstrzymywała żołnierzy przed wznoszeniem okrzyków, ale wśród oddziałów poniósł się cichy pomruk. Nawet Gorst dumnie uniósł podbródek. Szowinistyczna łąza kręci się w oku. Nawet mnie, choć powinienem mieć więcej rozumu.

– Wojna jest straszna! – Wierzchowiec Jalenhorma uderzył kopytem o kamyki, ale generał uspokoił go szarpnięciem wodzy. – Lecz jest także cudowna! Na wojnie człowiek może dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Kim może się stać. Wojna pokazuje nam to, co w nas najgorsze: chciwość, tchórzostwo i dzikość! Ale

pokazuje również to, co najlepsze: odwagę, siłę i miłosierdzie! Pokażcie mi dzisiaj to, co w was najlepsze! A przede wszystkim pokażcie to wrogom!

Zapadła cisza, podczas której odległe głosy przekazały żołnierzom ostatnie zdanie, a członkowie sztabu Jalenhorma dali ludziom do zrozumienia, że to koniec przemowy. Wtedy zgromadzeni unieśli jak jeden mąż ręce i wydali donośny triumfalny okrzyk. Gorst zorientował się, że jego piskliwy głos przyłączył się do chóru, i szybko się powstrzymał. Generał z uznaniem uniósł ostrze, po czym odwrócił się i podjechał do Gorsta, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Dobra przemowa. Na ile to możliwe. – Wilczarz siedział zgarbiony w podniszczonym siodle na grzbiecie kudłatego konia i chuchał w złożone dłonie.

– Dziękuję – odpowiedział generał, wstrzymując rumaka. – Po prostu starałem się powiedzieć prawdę.

– Prawda jest jak sól. Ludzie potrzebują jej do smaku, ale od nadmiaru robi im się niedobrze. – Wilczarz wyszczerzył się, ale nikt mu nie odpowiedział. – No i niezła zbroja.

Nieco zakłopotany Jalenhorm opuścił wzrok na swój wspaniały napierśnik.

– To podarunek od króla. Wcześniej jakoś nie było odpowiedniej okazji...

Jeśli nie można się postarać, gdy pędzi się na spotkanie własnej zguby, to kiedy?

– Jaki mamy plan? – spytał Wilczarz.

Jalenhorm machnął ręką w stronę czekającej dywizji.

– Przodem pójdą ósmy i trzynasty regiment piechoty oraz regiment Stariksy.

W jego ustach to brzmi jak opis weselnego tańca.

Podejrzewam, że straty będą wyższe.

– Dwunasty regiment i ochotnicy z Adui utworzą drugą falę.

Fale rozbijają się o brzeg, wsiąkają w piasek i nikt o nich nie pamięta.

– Resztki regimentu Rostoda oraz szósty regiment będą stanowiły rezerwę.

Resztki, resztki. Kiedyś wszyscy się w nie zmienimy.

Wilczarz wydał policzki, patrząc na zgromadzone oddziały.

– Cóż, ciał z pewnością wam nie zabraknie.

Ani ziemi, żeby je pogrzebać.

– Najpierw przekroczymy bród. – Jalenhorm wskazał ostrzem kręte kanały i mierzeje. – Podejrzewam, że na drugim brzegu ukryli się wojownicy wroga.

– Z pewnością – odrzekł Wilczarz.

Ostrze przesunęło się w stronę rzędu drzew owocowych, które właśnie ukazywały się na pochyłym terenie pomiędzy połyskującą wodą a podnóżem wzgórza.

– Spodziewamy się oporu, gdy będziemy maszerować przez sad.

I to niemałego.

– Być może uda nam się wykurzyć ich spomiędzy drzew.

– Przecież macie tam nie więcej niż kilkudziesięciu ludzi.

Wilczarz mrugnął.

– Na wojnie liczą się nie tylko liczby. Część moich chłopców już przyczaiła się na drugim brzegu. Kiedy przekroczycie bród, dajcie nam szansę. Jeśli uda nam się ich pogonić, to dobrze, a jeśli nie, to niczego nie tracicie.

– Dobrze – odparł Jalenhorm. – Jestem gotowy na każde działanie, które może komuś ocalić życie.

Ignorując fakt, że bierzemy udział w rzezi.

– Kiedy już zajmiemy sad... – Gwałtownie przesunął ostrze w górę nagiego zbocza i wskazał mniejsze głązy na południowej odnodze, a następnie większe na szczycie, delikatnie lśniące w pomarańczowym blasku dogasających ognisk. Wzruszył ramionami, opuszczając broń. – Wespniemy się na wzgórze.

– Chcecie się wspiąć na tamto wzgórze? – Wilczarz wysoko uniósł brwi.

– Owszem.

– Kurwa mać.

Gorst mógł tylko milcząco się zgodzić.

– Siedzą tam od dwóch dni. Czarny Dow nie jest głupcem, z pewnością dobrze się przygotował. Powbijał kołki, wykopał rowy, obsadził ludźmi kamienne mury, kazał łucznikom zasypywać atakujących strzałami i...

– Nie mamy na celu przepędzenia ich – przerwał mu Jalenhorm, krzywiąc się, jakby już spadały na niego strzały. – Unieruchomimy ich, a wtedy generał Mitterick i pułkownik Brock przedrą się odpowiednio z lewej i prawej strony.

– No tak – odrzekł bez przekonania Wilczarz.

– Mamy jednak nadzieję, że uda nam się osiągnąć znacznie więcej.

– Oczywiście, ale... – Wilczarz ze zmarszczonym czołem popatrzył ku wzgórzom i wziął głęboki wdech. – Kurwa mać.

Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Jesteś tego pewien?

– Moja opinia nie ma tutaj większego znaczenia. To plan marszałka Kroya przygotowany na rozkaz Zamkniętej Rady i na życzenie samego króla. Odpowiadam tylko za jego terminowe

wykonanie.

– Skoro zamierzacie ruszać, to nie zwlekałbym zbyt długo. – Wilczarz skinął głową, po czym zawrócił kudłatego konia. – Zanosi się na deszcz. I to obfity!

Jalenhorm popatrzył na ponure niebo i westchnął. Zrobiło się na tyle jasno, że widział szybko płynące obłoki.

– Na mnie spoczywa właściwe rozłożenie ataku w czasie. Na drugi brzeg rzeki, przez sady, a potem na wzgórze. Cały czas na północ. Myślę, że to zadanie mnie nie przerasta.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Bardzo chciałem postąpić tak, jak należy, ale okazało się, że... nie jestem najlepszym taktykiem w armii Jego Królewskiej Mości. – Ponownie westchnął. – Przynajmniej mogę poprowadzić atak z pierwszego szeregu.

– Z całym szacunkiem, proponuję zostać z tyłu.

Zaskoczony Jalenhorm gwałtownie się obejrzał.

Zaszokowały go moje słowa czy to, że wreszcie się odezwałem? Ludzie mówią do mnie jak do ściany i oczekują, że będę reagował podobnie.

– Jestem wzruszony taką troską o moje bezpieczeństwo, pułkownika Gorst, ale...

– Bremerze. – Równie dobrze mogę umrzeć u boku jedynej osoby na świecie, która zna moje imię.

Jalenhorm jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Potem słabo się uśmiechnął.

– Naprawdę, wzruszony, Bremerze, ale obawiam się, że nie mogę skorzystać z tej rady. Jego Wysokość oczekuje...

Pieprzyć Jego Wysokość.

– Jest pan dobrym człowiekiem, generale. – Chociaż

rozpaczliwie niekompetentnym. – Wojna to nie jest miejsce dla dobrych ludzi.

– Ośmielę się nie zgodzić z obiema tymi opiniami. Wojna to wspaniałe miejsce, żeby odkupić winy. – Jalenhorm zmrużył oczy i popatrzył na Bohaterów. Wydawało się, że głązy są tak blisko, tuż po drugiej stronie rzeki. – Jeśli potrafimy uśmiechać się w obliczu niebezpieczeństwa, dobrze wywiązywać się ze swoich obowiązków i nie ustępować wrogom, to niezależnie od tego, jaki los nas spotka, staniemy się nowymi ludźmi. Bitwa może działać... oczyszczająco, czyż nie?

Nie. Jeśli obmyjesz się krwią, będziesz tylko zakrwawiony.

– Wystarczy spojrzeć na ciebie. Być może ja jestem dobrym człowiekiem, ale ty jesteś bohaterem.

– Ja?

– A kto? Dwa dni temu na tej płyciźnie samotnie zaatakowałeś wrogów i ocaliłeś moją dywizję. To niepodważalny fakt, na własne oczy widziałem część twojej szarży. A wczoraj byłeś na Starym Moście? – Gorst zmarszczył czoło. – Wywalczyłeś przejście na drugi brzeg, gdy ludzie Mittericka tkwili w błocie. Przejście, dzięki któremu dzisiaj możemy wygrać bitwę. Jesteś dla nas inspiracją, Bremerze. Udowadniasz, że jeden człowiek może coś zmienić w środku tego... wszystkiego. Dzisiaj nie musisz walczyć, a jednak stoisz tutaj, gotowy oddać życie za króla i ojczyznę.

Postradać je dla króla, który o to nie dba, i ojczyzny, która tego nie potrafi.

– Bohaterów spotyka się znacznie rzadziej niż dobrych ludzi.

– Bohaterów tworzy się bardzo szybko z najbardziej podstawowych składników. Równie prędko się ich zastępuje. Jeśli nawet ja zaliczam się do tej grupy, to nie jest ona wiele

warta.

– Nie mogę się z tym zgodzić.

– Może się pan nie zgadzać, ale proszę... niech pan zostanie z tyłu.

Jalenhorm uśmiechnął się smutno, po czym postukał pięścią we wgięty naramiennik Gorsta.

– Naprawdę jestem wzruszony twoją troską o moje bezpieczeństwo, Bremerze, ale obawiam się, że to niemożliwe. Nie mogę tego zrobić, tak samo jak ty.

– Racja. – Gorst popatrzył ze zmarszczonym czołem w stronę wzgórza, czarnej plamy na tle zaplamionego nieba. – Szkoda.

Mrużąc oko, Calder patrzył przez lunetę ojca. Poza kręgiem światła rzucanego przez lampy pola ginęły w rozpraszającej się ciemności. Spoglądając w stronę Starego Mostu, dostrzegał pojedyncze jaśniejsze plamki, a od czasu do czasu także pojedyncze metaliczne rozbłyski, ale nic więcej.

– Myślisz, że są gotowi?

– Widzę konie – odrzekł Błady-jak-Śnieg. – Dużo koni.

– Naprawdę? Ja niczego nie widzę.

– Oni tam są.

– Myślisz, że też nas obserwują?

– Pewnie tak.

– Mitterick patrzy?

– Ja na jego miejscu bym patrzył.

Calder zmrużył oczy i zerknął na szarzejące niebo widoczne pomiędzy szybko przesuwanymi się obłokami. Tylko najbardziej zagorzały optymista nazwałby to świtem, a on do

takich nie należał.

– Więc chyba nadszedł czas.

Pociągnął jeszcze jeden łyk z piersiówki, pomasował się po obolałym pęcherzu, po czym podał naczynie Blademu-jak-Śnieg i wgramolił się na stertę skrzyń, mrugając w świetle lampy, która rzucała się w oczy jak spadająca gwiazda. Obejrzał się przez ramię na szeregi żołnierzy, ciemne sylwetki przed długim murem. Tak naprawdę wcale ich nie rozumiał ani nie lubił, a oni myśleli podobnie o nim, ale łączyła ich jedna potężna rzecz. Razem kąpali się w blasku chwały jego ojca. Byli świetnymi żołnierzami ze względu na to, komu służyli. Zasiadali na honorowych miejscach przy długim stole w Sali Skarlinga. Po śmierci ojca Caldera wszyscy bez wyjątku się stoczyli, ale wydawało się, że teraz zamierzają się podnieść, z czego Calder bardzo się cieszył, gdyż wódz bez żołnierzy jest tylko bardzo samotnym człowiekiem na olbrzymim krwawym polu.

Gdy rozpinał spodnie, doskonale zdawał sobie sprawę z wpatrzonych w niego oczu – oczu kilku tysięcy jego chłopców stojących za nim oraz sporej grupy ludzi Dziesięciu Sposobów, a także kilku tysięcy kawalerzystów Unii zgromadzonych przed nim wraz z generałem Mitterickiem, któremu czaszka wkrótce miała pęknąć ze złości. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Nic. Próbować się rozluźnić czy przec? Typowe, tyle wysiłku i wszystko na próżno. Co gorsza, wiał silny wiatr, który mroził mu czubek fiuta. Mężczyzna z flagą stojący po lewej stronie, posiwiał stary Carl z potężną blizną na policzku, obserwował jego wysiłki z nieco zakłopotaną miną.

– Czy mógłbyś nie patrzeć? – warknął Calder.

– Przepraszam, wodzu. – Wojownik odchrząknął i niemal wstydliwie odwrócił wzrok.

Być może to fakt, że został nazwany wodzem, pomógł mu przezwyciężyć blokadę, w każdym razie Calder poczuł słaby ból w pęcherzu, z uśmiechem pozwolił mu przybrać na sile, odchylił głowę i poparzył na posiniaczone niebo.

– Ha!

Trysnął mocz, krople zaśniły w blasku lampy i obryzgały pierwszą flagę z odgłosem, jaki wydaje deszcz padający na stokrotki. Za plecami Caldera fala śmiechu poniosła się wśród żołnierzy. Nie byli zbyt wybredni, ale duże grupy walczących mężczyzn nie lubią zbyt subtelnego humoru. Preferują sranie, szczanie i wywracanie się na ziemię.

– I dla ciebie też trochę.

Posłał elegancki łuk szczyn na drugi sztandar, z kpiącym uśmiechem spoglądając w stronę oddziałów Unii. Za nim ludzie zaczęli podskakiwać, tańczyć i wznosić drwiące okrzyki ponad polami jęczmienia. Może Calder nie był wielkim wojownikiem ani przywódcą, ale wiedział, jak sprawić, by ludzie się śmiali albo wpadali we wściekłość. Wolną ręką wskazał niebo i ryknął triumfalnie, kręcąc biodrami i chlapiąc wkoło moczem.

– Chętnie bym też na nie nasrał – zawołał przez ramię – ale mam zatwardzenie po gulaszu Białoockiego!

– Ja na nie nasram! – krzyknął ktoś, wzbudzając przenikliwy chichot.

– Zachowaj siły na Unię, nasrasz na nich, kiedy tutaj przyjdą!

Ludzie pokrzykiwali i wybuchali śmiechem, potrząsali uniesioną bronią i uderzali nią o tarcze, wywołując radosny łoskot. Dwóch żołnierzy nawet wspięło się na mur i sikało w stronę Unionistów. Może ich bardziej to bawiło, ponieważ wiedzieli, co wkrótce nadejdzie zza pola jęczmienia, ale Calder

i tak się uśmiechnął. Przynajmniej zrobił coś, o czym warto zaśpiewać. Przynajmniej rozbawił ludzi swojego ojca. Ludzi swojego brata. Swoich ludzi.

Zanim ich wszystkich, kurwa, wymordują.

Beck miał wrażenie, że słyszy echa śmiechu niesione wiatrem, ale nie miał pojęcia, z czego ktokolwiek mógłby się śmiać. Było już na tyle jasno, że widział drugi koniec doliny. Na tyle jasno, że mógł oszacować liczebność oddziałów Unii. Początkowo nie dowierzał, że niewyraźne plamy na przeciwległym brzegu mogą być ludzkimi masami. Potem starał się przekonać sam siebie, że tak nie jest. Teraz już nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

– Są ich tysiące. – Westchnął.

– Wiem! – Whirrun prawie skakał z radości. – A im więcej ich jest, tym większa będzie nasza chwała, prawda, Gnacie?

Gnat przerwał obgryzanie paznokci.

– O tak, żałuję, że nie ma ich dwa razy więcej.

– Na spokój zmarłych, ja także! – Whirrun wziął głęboki wdech, po czym wydmuchnął powietrze z szerokim uśmiechem.

– Ale nigdy nic nie wiadomo, może czają się poza zasięgiem wzroku!

– Miejmy nadzieję – mruknął Yon.

– Kurwa, uwielbiam wojnę – pisnął Whirrun. – Po prostu ją, kurwa, uwielbiam, a wy nie?

Beck nie odpowiedział.

– Jej zapach. Jej dotyk. – Whirrun z cichym szelestem przesunął dłonią po zaplamionej pochwie miecza. – Wojna jest uczciwa. Nie da się jej oszukać. Tutaj nie trzeba nikogo

przepraszać. Nie trzeba się ukrywać. Nie da się. A jeśli umrzesz? Cóż z tego? Umrzesz wśród przyjaciół. Wśród godnych siebie wrogów. Umrzesz, patrząc Wielkiemu Rozjemcy prosto w oczy. A jeśli przeżyjesz? Cóż, chłopcze, to jest prawdziwe życie, czyż nie? Człowiek nie może powiedzieć, że naprawdę żyje, dopóki nie stanie w obliczu śmierci. – Whirrun tupnął w błocie. – Kocham wojnę! Tylko szkoda, że Żelaznogłowy jest tam w dole przy Dzieciach. Gnacie, sądzisz, że przyjdą aż tutaj?

– Trudno powiedzieć.

– Myślę, że tak. Mam taką nadzieję. Tylko lepiej, żeby przyszli, nim zaczną padać. To niebo wygląda jak robota więdźmy. – Rzeczywiście, pierwsze oznaki wschodu słońca nadawały niebu dziwną barwę, a potężne wieże ponurych obłoków maszerowały nad wzgórzami na północy. Whirrun na chwilę stanął na palcach. – Psiakrew, nie mogę się doczekać!

– Ale czy to też nie są ludzie? – bąknął Beck, przypominając sobie twarz martwego Unionisty, który leżał na podłodze chaty. – Tacy jak my?

Whirrun popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– Oczywiście. Ale jeśli zaczniesz tak o tym myśleć, to... cóż... nikogo nie zabijesz.

Beck otworzył usta, po czym ponownie je zamknął. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Słowa Whirruna były równie sensowne jak wszystko inne, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni.

– Łatwo ci mówić – stęknął Gnat. – Szogliga przepowiedziała ci dokładny czas oraz miejsce twojej śmierci i wiesz, że to nie będzie tutaj.

Whirrun uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To prawda i przyznaję, że dodaje mi to odwagi, ale czy

sądysz, że gdyby wskazała ten czas i miejsce, to sprawiłoby mi to dużą różnicę?

Cudna parsknęła.

– Może wtedy tak byś o tym nie jazgotał.

– Och! – Whirrun jej nie słuchał. – Patrzcie, już ruszyli! Wcześniej! – Wskazał wyciągniętym Ojcem Mieczy na zachód, w stronę Starego Mostu, a drugą ręką objął Becka za ramiona. Siła uścisku była tak wielka, że niemal uniósł młodzieńca. – Patrzcie na te śliczne konie!

Beck widział tylko ciemny teren, połyskującą rzekę i rozsiane światełka.

– Ale to coś nowego. Spryciarze! Zaczynają jeszcze przed świtem!

– Jest za ciemno dla konnych – zauważył Gnat, kręcąc głową.

– Pewnie nie mogą się doczekać, tak jak ja. Podejrzewam, że dzisiaj mają poważne zamiary, prawda, Gnacie? Och, na spokój zmarłych! – zawołał i machnął mieczem w stronę doliny, szarpiąc Becka i niemal go podnosząc. – Podejrzewam, że o dzisiejszym dniu będzie się śpiewało w pieśniach!

– Tak się składa – mruknęła Cudna przez zaciśnięte zęby – że niektórzy ludzie śpiewają o byle gównie.

Bitewna zagadka

– Nadchodzą – powiedział Błady-jak-Śnieg, całkowicie beznamiętnie, jakby zbliżało się stado owiec. Zapowiedzi nie były potrzebne. Pomimo ciemności Calder usłyszał wrogów. Najpierw długi dźwięk trąbki, potem cichy szelest końskich kopyt w zbożu, jeszcze odległy, ale coraz bliższy, a na jego tle wołanie, rżenie i pobrzękiwanie uprzęży, od którego poczuł mrowienie na wilgotnej skórze. Wszystko to ciche, ale przytłaczająco nieuchronne. Nadchodzili, a Calder nie wiedział, czy ma być zadowolony, czy przerażony. W końcu postanowił to połączyć.

– Nie wierzę, że dali się podpuścić. – Było to tak absurdalne, że niemal miał ochotę się roześmiać. Albo porzygać. – Aroganckie skurwiele.

– Jeśli czegoś można być pewnym podczas bitwy, to tego, że ludzie nie będą się zachowywali racjonalnie. – Słuszna uwaga. Gdyby Calder miał odrobinę rozumu, siedziałby na koniu i galopował w dal. – Właśnie na tym polegała wielkość twojego ojca. Zawsze zachowywał chłodną głowę, nawet gdy wokół szalał ogień.

– Uważasz, że my znaleźliśmy się w ogniu?

Błady-jak-Śnieg pochylił się i splunął.

– Myślę, że niedługo tak się stanie. Uda ci się zachować chłodną głowę?

– Niby dlaczego miałyby mi się nie udać. – Calder nerwowo zerkał poza krętą linię pochodni przed murem. Poza szereg

swoich ludzi stojących na delikatnie wznoszącym się i opadającym terenie.

„Teren bitwy jest zagadką, którą trzeba rozwiązać”, mawiał jego ojciec. „Tym trudniejszą, im większą armią dysponujesz”. Ojciec był mistrzem w wykorzystywaniu terenu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedzieć, gdzie ustawić każdego żołnierza i jak sprawić, by każde wzniesienie, drzewo, strumyk i płot walczyły po jego stronie. Calder zrobił wszystko, co było w jego mocy, wykorzystał każdy kurhan i tufur oraz rozstawił łuczników za Murem Claila, ale wątpił, by kamienne rolnicze ogrodzenie sięgające mu do pasa mogło na dłużej zatrzymać bojowego rumaka.

Niestety, płaskie pole jęczmienia również dawało przewagę wrogowi, który z pewnością był tym zachwycony.

Cóż za ironia, że to właśnie jego ojciec wygładził ten teren. Pozakładał małe gospodarstwa w tej i innych dolinach. Zasadził rzędy krzewów i wypełnił rowy, żeby zrobić miejsce dla kolejnych upraw, które mogły mu przynieść dodatkowe podatki i wykarmić jego żołnierzy. Rozwinął złocisty powitalny dywan przed niezrównaną kawalerią Unii.

Na tle niewyraźnych wzgórz po drugiej stronie doliny Calder z trudem dostrzegł czarną falę przemierzającą morze jęczmienia, na której grzbiecie lśnił zaostrzony metal. Pomyślał o Seff. Ujrzał jej twarz tak wyraźnie, że na chwilę stracił oddech. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy i będzie żył na tyle długo, by pocałować swoje dziecko. Potem bębnienie kopyt zmiażdżyło te czułe myśli, gdy kawaleria przeszła w kłus. Rozległy się przenikliwe okrzyki oficerów, którzy próbowali wyrównać szereg i utrzymać setki ton końskiego mięsa w jednej niepowstrzymanej linii.

Calder zerknął w lewo, gdzie teren wznosił się ku palcowi Skarlinga, a zboże ustępowało miejsca rzadkiej trawie. To był znacznie lepszy teren, ale stacjonował na nim ten parchaty drań Dziesięć Sposobów. Zerknął w prawo, na łagodniejsze zbocze przecięte Murem Claila, który zniknął z pola widzenia, gdy teren opadał w stronę strumienia. Wiedział, że za strumieniem rośnie las, gdzie roi się od żołnierzy Unii, tylko czekających, żeby zaatakować od flanki i rozedrzeć na strzępy jego słabe szeregi. Jednakże niewidoczni wrogowie nie stanowili najpilniejszego problemu. Calder bardziej przejmował się setkami, a może tysiącami ciężkozbrojnych jeźdźców, którzy nadciągali od frontu, a na których sztandary właśnie naszczał. Zerknął na zbliżającą się falę kawalerii. Z ciemności zaczęły się wyłaniać pierwsze szczegóły, zarysy twarzy, tarcz, lanc, wypolerowanych zbroi.

– Strzały? – mruknął Białooki, nachylając się Calderowi do ucha.

Calder nie chciał dać po sobie poznać, że nie wie, jaki jest zasięg łuku, więc odczekał jeszcze chwilę i dopiero pstryknął palcami.

– Strzały.

Białooki wykrzyczał rozkaz i Calder usłyszał za sobą dźwięk zwalnianych cięciw, a następnie świst strzał, które przeleciały mu nad głową i spadły w zboże oraz na oddziały wroga. Tylko czy kawałki drewna i metalu mogą wyrządzić jakąkolwiek krzywdę tym opancerzonym kawałom mięsa?

Huczeli jak wichur wiejący mu prosto w twarz, pchając go do tyłu, gdy zbliżali się coraz szybciej, płynąc nieprzerwanym strumieniem na północ ku Murowi Claila i wątlej formacji ludzi Caldera. Kopyta tłukły w drżącą ziemię, wyrzucając wysoko

w górę zmiążdżone kłosa. Nagle Calder zapragnął uciec. Przeszył go dreszcz. Zauważył, że bezwiednie się cofa. Stanie na drodze takiej szarży jest równie szalone jak stanie pod walącą się górą.

Jednak zdał sobie sprawę, że z każdą chwilą coraz mniej się boi i jest coraz bardziej podniecony. Przez całe życie tego unikał, wymyślając kolejne wymówki. Teraz stał oko w oko z niebezpieczeństwem i okazało się, że wcale nie jest takie straszne, jak się obawiał. Wyszczrzył zęby, patrząc na wschodzące słońce. Niemal się uśmiechał. Niemal się śmiał. Oto prowadzi Carlów do walki. Oto staje w obliczu śmierci. Rozłożył ręce w powitalnym geście i ryknął na cały głos. Oto on, Calder, kłamca i tchórz, bawi się w bohatera. Nigdy nie wiadomo, kto zostanie wezwany, by odegrać tę rolę.

Im bardziej jeźdźcy się zbliżali, tym niżej kładli się na szyjach koni, zwieszając lance. Im szybciej pędzili, zmuszając wierzchowce do śmiertelnie galopu, tym wolniej wlewał się czas. Calder żałował, że nie słuchał uważniej swojego ojca, gdy ten z rozmarzonym wzrokiem człowieka, który wspomina utraconą miłość, opowiadał o tajnikach wykorzystania terenu. Żałował, że nie nauczył się korzystać z niego jak rzeźbiarz z kamienia. Ale był zajęty popisami, pieprzeniem i robieniem sobie wrogów, którzy mieli dręczyć go do końca życia. Dlatego poprzedniego wieczoru, gdy patrzył na teren, na którym miała się rozegrać bitwa, i widział, że ten mu nie sprzyja, postanowił zrobić to, w czym jest najlepszy.

Posunąć się do oszustwa.

W ciemności i pod bujnym zbożem jeźdźcy nie mieli szansy zobaczyć pierwszego dołu. Był to płytki wykop o głębokości i szerokości zaledwie jednej stopy, który wił się zygzakiem przez jęczmień. Większość wierzchowców przebiegła nad nim,

niczego nie zauważając. Jednak kilka pechowych rumaków wpadło do niego kopytami i ciężko runęło na ziemię w kłębowisku kończyn, splątanych pasków, pękającej broni i obłoków pyłu. A każdy z upadających koni powalał kolejne, które się z nim zderzały.

Drugi rów był dwukrotnie szerszy i głębszy. Wpadło w niego więcej koni galopujących w pierwszym szeregu. Jeden z żołnierzy wyleciał wysoko w powietrze, wciąż trzymając lancę. Kolejne szeregi, które już traciły bitewny zapał, zaczęły się rozpraszać. Część kawalerzystów kontynuowała szarżę. Inni próbowali się zatrzymać, widząc, że coś jest nie w porządku, wzbudzając chaos, gdy spadła na nich kolejna salwa. Zaczęli bezładnie się kotłować, zagrażając sobie nawzajem niemal tak bardzo jak Calderowi i jego ludziom. Straszliwy huk kopyt zmienił się w żalną mieszaninę zgrzytów i potknięć, wrzasków, rżenia i rozpaczliwych okrzyków.

Trzeci rów był największy ze wszystkich. Tak naprawdę to były dwa doły, lekko zakrzywione do wewnątrz. Niczym lejek kierowały ludzi Mittericka w stronę luki w środku, gdzie ustawiono drogocenne sztandary. Gdzie stał Calder. Gdy patrzył na zbliżającą się do niego masę koni, przyszło mu do głowy, że powinien znaleźć sobie inne miejsce, ale było już za późno.

– Włócznie! – ryknął Błady-jak-Śnieg.

– Tak jest – wykrztusił Calder, dobywając miecza i cofając się o kilka kroków. – Dobry pomysł.

Wtedy wybrani przez Błatego-jak-Śnieg wojownicy, którzy walczyli dla brata Caldera i dla ich ojca pod Uffrithem i Dunbresem, pod Cumnurem i na Wysokich Szczytach, wyłonili się z chłostanego wiatrem jęczmienia, wznosząc wysokie bojowe okrzyki, a ich długie włócznie utworzyły śmiercionośny las,

lśniąc grotami w pierwszych promieniach słońca wpełzającego do doliny.

Konie rżały i ślizgały się, padały na ziemię, zrzucały jeźdźców i wpadały na włócznie pod naciskiem kolejnych szeregów. Rozlegał się szalony chór zgrzytającej stali i zabijanych ludzi, miażdżonych ciał i drewna. Drzewca włócznie wyginały się i pękały, fruwały drzazgi. W powietrze wzbijały się ciemne obłoki piachu i pyłu z deptanego jęczmienia, a w samym środku stał kaszlący Calder z mieczem w zwieszanej dłoni.

Zastanawiał się, jakie dziwne połączenie nieszczęść doprowadziło do tego szaleństwa. I co musi się wydarzyć, żeby uszedł z życiem.

Naprzód i w górę

– Myślisz, że możemy to nazwać świtem? – spytał generał Jalenhorm.

Pułkownik Gorst wzruszył potężnymi ramionami przy wtórze cichego grzechotu poobijanej zbroi.

Generał spuścił wzrok na Rettera.

– Nazwałbyś to świtem, chłopcze?

Retter zamrugął, patrząc w niebo. Na wschodzie, gdzie umiejscawiał Osrung, choć nigdy tam nie był, krawędzie ciężkich chmur znaczył blady i złowieszczy ślad jasności.

– Tak, panie generale – zapiszczał żałośnie, po czym odchrząknął z zażenowaniem.

Generał Jalenhorm pochylił się i poklepał go po ramieniu.

– Nie należy się wstydzić lęku. Odwaga to działanie pomimo strachu.

– Tak jest, panie generale.

– Trzymaj się tuż za mną. Wypełniaj swoje obowiązki, a wszystko będzie dobrze.

– Tak jest, panie generale – odparł Retter, choć zastanawiał się, w jaki sposób wypełnianie obowiązków może powstrzymać strzałę. Albo włócznie. Albo topór.

Szaleństwem wydawało mu się wspinanie się na takie potężne wzgórze, gdy na zboczach czekają toczący pianę z ust Północni. Przynajmniej wszyscy mówili, że toczą pianę z ust. A on ma dopiero trzynaście lat, służy w wojsku od pół roku i nie

zna się na niczym poza polerowaniem butów i sygnalizowaniem manewrów. Nawet nie jest do końca pewien, czym są manewry, tylko udaje. Nie ma jednak bezpieczniejszego miejsca niż u boku generała i prawdziwego bohatera, jakim niewątpliwie jest pułkownik Gorst, chociaż na takiego nie wygląda, a już na pewno nie brzmi jak bohater. Nie ma w nim ani odrobiny blichtru, lecz Retter podejrzewał, że gdyby ktoś pilnie potrzebował tarana, to pułkownik znakomicie sprawdziłby się w tej roli.

– Znakomicie, Retter. – Jalenhorm dobył broni. – Daj sygnał do natarcia.

– Tak jest. – Retter starannie zwilżył usta językiem, wziął głęboki wdech i uniósł trąbkę, martwiąc się, że wypuści ją z mokrej dłoni, że zagra fałszywą nutę, że w środku będzie pełno błota i kiedy dmuchnie, instrument wyda tylko żalosne pierdnięcie, tryskając brudną wodą. Miewał takie koszmary. Może to kolejny z nich. Miał taką nadzieję.

Jednakże sygnał do natarcia zabrzmiał wyraźnie i czysto, równie śmiało jak na placu defiladowym. „Naprzód!” – zaśpiewała trąbka i dywizja Jalenhorma ruszyła, a z nią sam generał, pułkownik Gorst oraz członkowie sztabu pod łopoczącymi proporcami. Retter niechętnie dźgnął kucyka obcasami, zaklaskał językiem i również ruszył, a kopyta jego wierzchowca zachrzęściły na brzegu, po czym zachlupotały w leniwej wodzie.

Uważał się za szczęściarza, skoro nie musiał iść pieszo. Przynajmniej wyjdzie z tego z suchymi spodniami. Chyba że się zleje. Albo zostanie ranny w nogi. Szczerze mówiąc, obie te możliwości wydawały się bardzo prawdopodobne.

Kilka strzał nadleciało z drugiego brzegu. Retter nie wiedział,

skąd dokładnie je wystrzelono. Bardziej interesowało go, dokąd zmierzają. Dwie z pluskiem wpadły do kanału. Pozostałe zniknęły wśród maszerujących oddziałów, najwyraźniej nie wyrządzając nikomu krzywdy. Retter wzdrygnął się, gdy jedna z nich odbiła się od czyjegoś hełmu i wpadła, wirując, między żołnierzy. Wszyscy inni mieli zbroje. Ta, którą miał na sobie Generał Jalenhorm, wyglądała jak najdroższa zbroja na świecie. Retterowi wydawało się niesprawiedliwe, że on nie ma żadnej osłony, ale uznał, że wojsko to nie miejsce na sprawiedliwość.

Obejrzał się, gdy jego kucyk wygramolił się z wody na niewielką piaszczystą wysepkę, na której końcu leżała sterta bladego drewna wyrzuconego przez rzekę. Na płyciźnie roilo się od żołnierzy maszerujących i zanurzonych po kostki, kolana albo nawet po pas. Za nimi cały brzeg zajmowały szeregi ludzi czekających na przeprawę, a kolejni wciąż pojawiali się na szczycie wzniesienia za ich plecami. Retter poczuł się raźniej, widząc, że jest w tak licznym towarzystwie. Nawet jeśli Północni zabiją setkę albo tysiąc, pozostaną ich całe tysiące. Nie był pewien, jak liczny jest tysiąc, ale z pewnością nie jest to mało.

Potem przyszło mu do głowy, że sytuacja nie wygląda tak różowo, gdy jest się jednym z tysiąca wrzuconych do dołu, zwłaszcza że podobno tylko oficerom przysługują trumny, a on nie chciał leżeć w zimnym błocie. Zerknął nerwowo w stronę sadów i ponownie się wzdrygnął, gdy strzała odbiła się od czyjejś tarczy w odległości tuzina kroków.

– Nie zostawaj w tyle, chłopcze! – zawołał Jalenhorm, wyprowadzając wierzchowca na kolejną kamienistą mierzęgę. Byli już w połowie przeprawy, a olbrzymie wzgórze za drzewami wznosiło się coraz bardziej stromo.

– Tak jest! – Retter zorientował się, że garbi się i kuli w siodle,

by stanowić jak najmniejszy cel, przez co wygląda jak tchórz. Szybko się wyprostował. Na drugim brzegu zobaczył ludzi wyłaniających się z niskich zarośli. Obdartych ludzi z łukami. Zrozumiał, że to wrogowie. Północni wojownicy. Byli wystarczająco blisko, by go usłyszeć. Absurdalnie blisko. Jak podczas zabaw w berka za stodołą. Jeszcze bardziej się wyprostował, odchylając ramiona.

Wyglądali na równie wystraszonych jak on. Jeden z nich z jasną czupryną na głowie przyklęknął, żeby strzelić z łuku, ale strzała spadła na piasek tuż przed pierwszym szeregiem żołnierzy. Potem młodzieniec odwrócił się i uciekł w stronę sadu.

Kędzierzawy wskoczył między drzewa razem z pozostałymi i nisko pochylony popędził przez ciemność pachnącą jabłkami, kierując się w górę zbocza. Przeskoczył nad powalonymi pniami i uklęknął po drugiej stronie, zerkając na południe. Słońce dopiero niedawno weszło i w sadach było mnóstwo cieni. Po obu stronach widział błysk metalu, długi rząd ludzi ukrytych między drzewami.

– Idą? – ktoś spytał. – Już są tutaj?

– Idą – odparł Kędzierzawy.

Uciekł jako ostatni, ale to nie był powód do dumy. Zaszokowało ich, jak wielu jest tych drani. Zupełnie jakby ziemia składała się z ludzi, kipiała od nich. Nie warto siedzieć na brzegu z kilkoma tuzinami strzał, mając za zasłonę jedynie kilka karłowatych krzaków. Nie ma sensu atakować roju pszczoł za pomocą igły. Lepiej dać się im we znaki tutaj, w sadzie. Żelaznogłowy na pewno to zrozumie. Kędzierzawy bardzo na to

liczył.

W drodze powrotnej przyłączyli się do nich ludzie, których nie znał. Wysoki starzec w czerwonym kapturze siedział obok niego wśród cętkowanych cieni. Pewnie to jeden z ludzi Złotego. Na co dzień wojownicy Złotego i Żelaznogłowego nie przepadali za sobą, podobnie jak ich wodzowie, którzy najchętniej by się pozabijali. Jednak teraz mieli inne zmartwienia

– Widzieliście, ilu ich jest? – pisał ktoś.

– Psiakrew, całe setki.

– Raczej setki setek...

– Nie jesteśmy tutaj po to, żeby ich zatrzymać! – ryknął Kędzierzawy. – Spowolnimy ich, kilku zabijemy, damy im do myślenia. Potem, kiedy to będzie konieczne, wycofamy się do Dzieci.

– Wycofamy się – powtórzył ktoś, jakby to był najlepszy pomysł, o jakim słyszał.

– Kiedy to będzie konieczne! – odburknął Kędzierzawy przez ramię.

– Są z nimi także Północni – zauważył ktoś inny. – Chyba ludzie Wilczarza.

– Dranie.

– Właśnie, dranie. Zdrajcy. – Mężczyzna w czerwonym kapturze splunął ponad powalonym pniem. – Słyszałem, że jest z nimi Krwawy-dziewięć.

Zapadła nerwowa cisza. To imię nikomu nie dodawało odwagi.

– Krwawy-dziewięć wrócił do ziemi! – Kędzierzawy się obejrzał. – Utonął. Czarny Dow go zabił.

– Możliwe. – Mężczyzna w czerwonym kapturze wyglądał

ponuro jak grabarz. – Ale słyszałem, że tutaj jest.

Cięciwa brzęknęła tuż obok ucha Kędzierzawego, który gwałtownie się obrócił.

– Co do...

– Przepraszam! – Młody chłopak z łukiem w drżącej dłoni. – Nie chciałem, po prostu...

– Krwawy-dziewięć! – odbiło się echem od drzew po ich lewej stronie. Ktoś szaleńczo i rozpaczliwie wrzeszczał. – Krwawy... – Wołanie urwało się z wrzaskiem, który przeszedł w szloch. Potem w sadzie przed nimi rozległ się wariacki śmiech, od którego Kędzierzawego zaswędziała spocona szyja pod kołnierzem. Zwierzęcy odgłos. Diabelski. Przez jakiś czas wszyscy siedzieli w milczeniu i z niedowierzaniem patrzyli na siebie nawzajem.

– Srać na to! – zawołał ktoś, a kiedy Kędzierzawy się obejrzał, zobaczył, że jeden z chłopców ucieka między drzewa.

– Nie będę walczył z Krwawym-dziewięć! Nie ma mowy! – Inny chłopiec cofał się, kopiąc opadłe liście.

– Wracajcie, dranie! – warknął Kędzierzawy, wymachując łukiem, ale było za późno. Obejrzał się, słysząc kolejny bełkotliwy wrzask. Nie widział, skąd dochodzi, ale brzmiał jak z piekła rodem.

– Krwawy-dziewięć! – dobiegło z ciemności po drugiej stronie.

Kędzierzawemu wydawało się, że widzi cienie wśród drzew, może także błyski stali. Kolejni wojownicy uciekali po jego obu stronach. Porzucali dobre miejsca za leżącymi pniami, choć nie wystrzelili ani jednej strzały i nie dobyli ostrzy. Kiedy się odwrócił, zobaczył plecy większości swoich chłopców. Jeden nawet zostawił kołczan, który zaczepił się o zarośla.

– Tchórze!

Kędzierzawy nie mógł nic na to poradzić. Wódz może przywołać do porządku jednego albo dwóch chłopców, ale kiedy wszyscy rzucają się do ucieczki, jest bezsilny. Dowództwo wydaje się czymś niepodważalnym, ale ostatecznie jest to tylko idea, na którą wszyscy się godzą. Zanim z powrotem skrył się za pnem, najwyraźniej wszyscy zmienili zdanie, ponieważ został z nim tylko nieznamy w czerwonym kapturze.

– Tam jest! – syknął mężczyzna, nagle sztywniejąc. – To on!

Szaleńczy śmiech ponownie odbił się echem wśród drzew, dobiegając zewsząd i znikąd. Kędzierzawy lepkimi dłońmi założył strzałę na cięciwę. Nerwowo się rozglądał, co chwila zatrzymując wzrok na innym poszarpanym kształcie, na nierównych konarach i ich cieniach. Wszyscy wiedzieli, że Krwawy-dziewięć nie żyje. Ale jeśli to nieprawda?

– Niczego nie widzę! – Drżały mu dłonie, ale srać na to, w końcu Krwawy-dziewięć to tylko człowiek i strzała zabije go tak samo jak każdego. Kędzierzawy nie miał zamiaru uciekać przed jednym człowiekiem, nawet takim jebanym twardzielem, nawet jeśli pozostali uciekli, niezależnie od wszystkiego. – Gdzie on jest?

– Tam! – syknął mężczyzna w czerwonym kapturze, chwytając go za ramię i pokazując palcem w stronę drzew. – Tam jest!

Kędzierzawy uniósł łuk, wpatrując się w ciemność.

– Nie... ach! – Poczul przeszywający ból w żebrach i puścił cięciwę, posyłając wirującą strzałę w ziemię. Kolejne ukłucie bólu, a gdy spojrzał w dół, zobaczył, że mężczyzna w czerwonym kapturze dźgnął go nożem. Jelec dotykał jego piersi, a rękojeść była ciemna od krwi.

Kędzierzawy chwycił nieznajomego za koszulę i skręcił ją w zaciśniętej dłoni.

– Co... – Zabrakło mu oddechu, żeby skończyć, a nie był w stanie ponownie zaczerpnąć powietrza.

– Przepraszam – odrzekł mężczyzna i krzywiąc się, dźgnął go po raz kolejny.

Czerwonogłowy szybko się rozejrzał, upewniając się, że nikt nie patrzy, ale wyglądało na to, że chłopcy Żelaznogłowego byli zajęci uciekaniem z sadu w górę zbocza ku Dzieciom, zapewne z brązowymi spodniami. Chętnie by na to popatrzył, gdyby nie zadanie, które musiał wykonać. Położył na ziemi człowieka, którego zabił, delikatnie klepiąc go po zakrwawionej piersi. W mętniejących oczach ofiary wciąż kryły się zaskoczenie i złość.

– Przykro mi. – Szorstki szacunek dla mężczyzny, który jedynie czynił swoją powinność najlepiej jak potrafił. Lepiej niż większość jego kompanów, ponieważ postanowił zostać, gdy oni pierzchnęli. Ale taka jest wojna. Czasami lepiej mniej się starać. Na tym polega czarna robota i nie ma sensu nad tym płakać. Łzy nikogo nie obmyją, jak mawiała mama Czerwonogłowego.

– Krwawy-dziewięć! – krzyknął łamiącym się, przerażonym głosem. – Jest tutaj! Jest tutaj! – Potem wrzasnął, wycierając nóż o kamizelę chłopaka, cały czas wyteżając wzrok, by wypatrzeć kolejne kryjówki w cieniach, ale żadnych nie zauważył.

– Krwawy-dziewięć! – ryknął ktoś tuzin kroków za nim. Czerwonogłowy odwrócił się i wstał.

– Możesz przestać. Już uciekli.

Szara twarz Wilczarza wyslizgnęła się z cienia. Wódz trzymał

w ręku łuk i strzały luzem.

– Jak to, wszyscy?

Czerwonogłowy wskazał trupa.

– Prawie.

– Kto by pomyślał? – Wilczarz usiadł obok zabójcy, a kilku jego chłopców wyłoniło się zza drzew. – Jak wiele można zdziałać za pomocą imienia umarłego.

– Oraz jego śmiechu.

– Colla, wracaj i przekaz Unionistom, że sady są czyste.

– Tak jest. – Jeden z młodzieńców odbiegł między drzewa.

– Jak wyglądają sprawy przed nami? – Wilczarz prześlizgnął się nad powalonymi pniami i ruszył w stronę drzew, idąc nisko na nogach. Zawsze czujny, zawsze szanujący życie swoich ludzi. A także życie wrogów. To rzadkość u wodza i rzecz godna pochwały, gdyż wszystkie wielkie pieśni do znudzenia opisują wypruwanie flaków. Siedzieli w cienistych zaroślach. Czerwonogłowy zastanawiał się, jak wiele czasu spędzili w ten sposób w różnych wilgotnych zakątkach Północy. Pewnie całe tygodnie. – Niezbyt dobrze, prawda?

– Niezbyt dobrze – zgodził się Czerwonogłowy.

Wilczarz zbliżył się do linii drzew i ponownie usiadł.

– Stąd wcale nie wygląda to lepiej.

– Chyba się tego nie spodziewaliśmy?

– Raczej nie. Ale człowiek potrzebuje nadziei.

Okolica nie napawała optymizmem. Kilka drzew owocowych i karłowatych krzewów, a dalej łyse, strome zbocze. Niektórzy uciekinierzy wciąż wspinali się po trawie, a gdy wschodzące słońce zaczęło oświetlać całą scenę, przed nimi pojawiła się nierówna linia okopów. Wyżej stał rozsypujący się mur

otaczający Dzieci, a nad nim wznosiły się same głazy.

– Pewnie roi się tam od chłopców Żelaznogłowego – mruknął Wilczarz, czytając w myślach towarzysza.

– Tak, Żelaznogłowy to uparty drań. Trudno się go pozbyć, kiedy gdzieś się rozpanoszy.

– Jak zarazy – odrzekł Wilczarz.

– Jest równie pożądany.

– Podejrzewam, że Unia będzie potrzebowała czegoś więcej niż umarli bohaterowie, żeby się tam dostać.

– Przydałoby im się kilku żywych.

– Właśnie.

– Właśnie. – Czerwonogłowy osłonił oczy dłonią i ponieważ zorientował się, że umazał połowę twarzy krwią. Wydawało mu się, że widzi potężnego mężczyznę stojącego na wale przed okopem i wrzeszczącego na uciekających wojowników. Słyszał jego donośny głos. Nie rozumiał słów, ale ton nie pozostawiał wątpliwości.

Wilczarz się wyszczerzył.

– Nie jest zadowolony.

– Ano nie – odparł Czerwonogłowy, również się uśmiechając. Jak mawiała jego staruszka, nie ma piękniejszej muzyki od rozpaczony wroga.

– Wy pierdolone tchórze! – warknął Irig, a gdy ostatni z uciekinierów przystanął pochylony, żeby odsapnąć po wspinaczkę, kopnął go w tyłek i rzucił twarzą w błoto. Drań nawet na to nie zasłużył. Miał szczęście, że trafił go but Iriga, a nie jego topór.

– Pierdolone tchórze! – zakpił Złośnik bardziej piskliwie, po

czym ponownie kopnął tchórza w tyłek, gdy ten zaczął się podnosić.

– Chłopcy Żelaznogłowego nigdy nie uciekają! – warknął Irig i kopnął tchórza w bok, przewracając go na plecy.

– Chłopcy Żelaznogłowego nigdy nie uciekają! – Złośnik kopnął chłopaka w klejnoty, zanim ten zdążył wstać.

– Ale tam jest Krwawy-dziewięć! – zawołał kolejny z młodzieńców o mlecznobiałej twarzy i oczach otwartych szeroko jak dziury w latrynie, kuląc się jak dziecko.

To imię wywołało falę nerwowych szeptów, która rozlała się między chłopcami czekającymi za okopem. „Krwawy-dziewięć. Krwawy-dziewięć? Krwawy-dziewięć. Krwawy...”.

– Pierdolić Krwawego-dziewięć! – warknął Irig.

– Tak jest – syknął Złośnik. – Pierdolić go. Pierdolić go, kurwa!

– Widziałeś go chociaż?

– No... nie, to znaczy, nie na własne oczy, ale...

– Jeśli nie jest martwy, a jest, i jeśli nie brakuje mu odwagi, a brakuje, to może tutaj przyjść. – Irig nachylił się w stronę chłopaka i połaskotał go pod brodą kolcem na końcu topora. – Będzie miał ze mną do czynienia.

– Tak jest! – Złośnik niemal wrzeszczał, a żyły nadymały mu się na głowie. – Może tutaj przyjść i będzie miał... z nim do czynienia! Z Irigiem! Właśnie tak! Żelaznogłowy powiesi was, dranie, za ucieczkę! Tak jak powiesił Kucającego, a potem wypatroszył go za zdradę. Tak samo, kurwa, zrobi z wami, o tak, a my...

– Myślisz, że mi pomagasz? – burknął Irig.

– Przepraszam, wodzu.

– Chcecie imion? Obok Dzieci mamy Cairma Żelaznogłowego,

a za jego plecami na szczycie Bohaterów Whirruna Rąbniętego, Caula Dreszcza, a wreszcie samego Czarnego Dowa...

– Właśnie, na szczycie – mruknął ktoś.

– Kto to powiedział?! – wrzasnął Złośnik. – Kto to, kurwa, powiedział..

– Każdy, kto teraz stanie do walki – Irig uniósł topór i potrząsał nim z każdym wypowiedzianym słowem, gdyż wielokrotnie przekonywał się, że to dodaje siły nawet najmniej przekonującym argumentom – i wypełni swój obowiązek, zasłuży na miejsce przy ognisku i w pieśniach. A każdy, kto stąd ucieknie, cóż... – Splunął na skulonego tchórza, który leżał u jego stóp. – Nie będę kłopotał Żelaznogłowego wydawaniem wyroku. Sam oddam was pod topór i na tym się skończy.

– Skończy! – wrzasnął Złośnik.

– Wodzu. – Ktoś szarpał go za rękę.

– Nie widzisz, że próbuję... – odburknął Irig, obracając się na pięcie. – Zaraza.

Mniejsza z Krwawym-dziewięć. Nadchodziła Unia.

– Panie pułkowniku, musi pan zsiąść z konia.

Vinkler się uśmiechnął. Nawet to sprawiło mu kłopot.

– Nic z tego.

– To nie czas na odgrywanie bohatera.

– A więc... – Vinkler zerknął na tłumy żołnierzy wyłaniające się spomiędzy owocowych drzew po jego obu stronach. – Kiedy jest na to czas?

– Panie pułkowniku...

– Moja przeklęta noga tego nie zniesie. – Vinkler skrzywił się,

dotykając uda. Nawet ciężar jego dłoni sprawił mu koszmarny ból.

– Aż tak źle, panie pułkowniku?

– Tak, sierżancie, myślę, że bardzo źle. – Nie był chirurgiem, ale od dwudziestu lat służył w wojsku, więc wiedział, co oznaczają fioletowo-czerwone plamy wokół rany i cuchnący opatrunek. Szczerze się zdziwił, że w ogóle obudził się tego ranka.

– Może powinien pan udać się do medyka...

– Mam wrażenie, że medycy będą dzisiaj mieli dużo pracy. Nie, sierżancie, dziękuję, ale pojedę dalej. – Vinkler zawrócił konia lekkim ruchem wodzy, martwiąc się, że troska podwładnego podkopie jego odwagę. Musiał przywołać całe męstwo, do jakiego był zdolny. – Żołnierze trzynastego regimentu Jego Królewskiej Mości! – Dobył broni i skierował jej czubek w stronę gładów wznoszących się wysoko w górze. – Naprzód! – Po czym popędził konia zdrową piętą.

Był jedynym konnym w całej dywizji. Pozostali oficerowie, wliczając generała Jalenhorma i pułkownika Gorsta, zostawili wierzchowce w sadowie i ruszyli dalej pieszo. Tylko głupiec chciałby wspinać się konno na takie strome wzgórze. Głupiec, bohater baśni albo trup.

Ironia losu polegała na tym, że to nawet nie była poważna rana. Wiele lat temu Vinkler został przebity na wylot pod Ulrioch, a lord marszałek Varuz odwiedził go w namiocie szpitalnym, z troskliwym wyrazem twarzy uściśnął jego spoconą dłoń i powiedział coś o odwadze, co Vinkler wielokrotnie bezskutecznie próbował sobie przypomnieć. A jednak przeżył, zaskakując wszystkich, a najbardziej siebie. Być może dlatego zlekceważył draśnięcie na udzie. A teraz wyglądało na to, że ono

go zabije.

– Przeklęte pozory – wykrztusił. Mógł tylko uśmiechać się pomimo bólu. Na tym polega zadanie żołnierza. Przynajmniej napisał wszystkie niezbędne listy, a to już coś. Żona zawsze się martwiła, że nie zdążą się pożegnać.

Zaczęło padać. Czuł pojedyncze krople na twarzy. Kopyta jego konia ślizgały się na krótkiej trawie, a rumak szarpał się i parskął, wstrząsając nogą pułkownika i przyprawiając go o grymas cierpienia. Nagle w niebo przed nimi wzbily się strzały. Bardzo wiele strzał, które zaczęły elegancko opadać po łuku.

– Psiakrew. – Zmrużył oczy i instynktownie się zgarbił, jak człowiek, który wychodzi z domu podczas gradobicia. Kilka strzał spadło wokół niego, cicho wbijając się w grunt. Za sobą słyszał stukanie i grzechotanie grotów odbijających się od tarcz i pancerzy. Po chwili rozległ się wrzask, a po nim kolejny. Krzyki trafionych.

Nie miał zamiaru beczynnie siedzieć.

– Aja! – Vinkler spiął konia ostrogami i skrzywił się, gdy wierzchowiec pomknął w górę zbocza, wyprzedzając jego kompanów. Zatrzymał się około dwudziestu kroków przed umocnieniami wroga. Widział łuczników patrzących w dół. Czarne kształty ich łuków odznaczały się na tle nieba, które znów ciemniało, podczas gdy deszcz stukał w hełm pułkownika. Był straszliwie blisko. Stanowił absurdalnie łatwy cel. Kolejne strzały minęły go ze świstem. Z olbrzymim wysiłkiem odwrócił się w siodle, krzywiąc usta z bólu, po czym stanął w strzemionach i uniósł ostrze.

– Żołnierze trzynastego regimentu! Szybciej! Macie jakieś inne plany?

Kilku żołnierzy upadło, gdy kolejne strzały ze świstem spadły na pierwszy szereg, ale pozostali z donośnym rykiem puścili się biegiem, co dobitnie świadczyło o ich bojowym duchu, biorąc pod uwagę marsz, który mieli za sobą.

Vinkler poczuł coś dziwnego w pulsującej bólem nodze, spojrzał w dół i ze zdumieniem zauważył strzałę sterczącą z obumarłego uda. Wybuchnął śmiechem.

– To mój najmniej wrażliwy punkt, dupki! – ryknął w stronę Północnych. Awangarda szarzy Unionistów zrównała się z nim, z wrzaskiem gnając w górę zbocza.

Kolejna strzała wbiła się głęboko w szyję konia. Rumak stanął dęba, a Vinkler podskoczył w siodle, z trudem utrzymując wodze, co i tak na nic się nie zdało, gdyż jego wierzchowiec zatoczył się w bok, skręcił i upadł z potężnym hukiem.

Vinkler usiłował otrząsnąć się z zamroczenia. Próbował się rozejrzeć, ale był uwięziony pod ciałem konia. Co gorsza, wyglądało na to, że przygniótł jednego z żołnierzy, a jego włócznia przebiła go, gdy padał. Zakrwawiony grot sterczał z biodra Vinklera tuż pod napierśnikiem. Pułkownik bezsilnie westchnął. Wygląda na to, że gdziekolwiek włoży się zbroję, i tak nie pomoże ona w potrzebie.

– Ojej – powiedział, spoglądając na złamane drzewce strzały wystające z jego nogi i grot włóczni sterczący z biodra. – Kiepska sprawa. – O dziwo prawie nie czuł bólu. Ale może to zły znak? Pewnie tak. Wokół niego rozlegał się tupot butów, gdy jego ludzie szarżowali w górę zbocza. – Naprzód, chłopcy – zawołał, słabo machając jedną ręką. Będą musieli pokonać resztę drogi bez niego. Popatrzył w stronę niedalekich umocnień. Bardzo niedalekich. Zobaczył potarganego mężczyznę, który celował do niego z łuku. – Psiakrew. – Westchnął.

Złośnik strzelił do drania, który siedział na koniu, a teraz leżał pod nim i nikomu nie zagrażał. Jednak to, że zachowywał się tak dzielnie w zasięgu strzału Złośnika, stanowiło obrazę dla jego celności. Los, który jest kapryśnym gnojkiem, sprawił, że ktoś potracił łokieć Północnego w chwili, gdy zwalniał cięciwę, i strzała poszybowała wysoko w niebo.

Złośnik chwycił następną strzałę, ale wtedy sytuacja trochę się skomplikowała. A nawet bardziej niż trochę. Unioniści dotarli do rowu, który wykopali Północni, i do usypanego przez nich wału, a Złośnik pożałował, że nie kopali głębiej i nie budowali wyżej, ponieważ wokół przeszkody kłębiła się cała masa Południowców, a kolejni już się zbliżali.

Chłopcy Iriga stali stłoczeni na udeptanej ziemi, dźgając leżących włóczniami i robiąc dużo hałasu. Złośnik zobaczył, że kilku wrogów odwzajemnia ciosy. Podszedł na palcach, by lepiej widzieć, po czym odskoczył, gdy topór Iriga mignął mu przed nosem. Gdy ten wielki drań wpadał w bitewny szal, nie dbał o to, kogo trafi.

Jeden z Północnych zatoczył się na Złośnika i niemal go przewrócił, drapiąc palcami rozprutą kolczugę na piersi, skąd tryskała krew. Jakiś Unionista natychmiast wskoczył na jego miejsce na wale, jakby odbił się od trampoliny. Pozbawiony szyi drań o masywnej szczęce i surowych brwiach zmarszczonych nad groźnie łypiącymi oczkami. Nie miał hełmu, a jego ciało okrywały grube płyty porysowanej zbroi. W jednej dłoni trzymał tarczę, a w drugiej ciężki miecz ciemny od krwi.

Złośnik odsunął się od niego chwiejnym krokiem, ponieważ był uzbrojony tylko w łuk i zawsze wołał walczyć z bezpiecznej odległości, robiąc miejsce żadnemu krwi Carlowi, który

zamachnął się mieczem. Wydawało się, że pozbawiony szyi żołnierz stracił równowagę i wróg za chwilę zetnie mu głowę, ale nagle jednym szybkim ruchem zablokował uderzenie przy wtórze brzęku stali. Trysnęła krew i Carl runął na twarz. Zanim znieruchomiał, Pozbawiony Szyi trafił kolejnego wroga z taką siłą, że wyrzucił go w powietrze i posłał wirujące ciało w dół zbocza.

Złośnik zaczął ponownie gramolić się na wzgórze z szeroko otwartymi ustami słonymi od czyjejs krwi. Wreszcie stanął twarzą w twarz z Wielkim Rozjemcą i okazało się, że ten ma paskudne oblicze. Nagle z boku doskoczył Irig i zamachnął się toporem.

Pozbawiony Szyi ciężko padł na ziemię, a na jego tarczy pojawiło się potężne wgięcie. Złośnik zaniósł się śmiechem, ale okazało się, że Unionista tylko przykucnął i po chwili zerwał się z ziemi, odpychając Iriga i tym samym ruchem wymierzając mu cięcie w brzuch, tak że wódz zatoczył się, brocząc krwią z dziury w kolczudze i wytrzeszczając oczy, bardziej z szoku niż bólu. Nie mógł uwierzyć, że został pokonany tak łatwo, a Złośnik podzielał jego zaskoczenie. Jak to możliwe, żeby ktoś wbiegł na to wzgórze i wciąż poruszał się tak szybko i z taką siłą?

– To Krwawy-dziewięć! – zawył ktoś, chociaż tak oczywiście nie było.

Mimo to, wywołał niemałą panikę. Kolejny z Carlów próbował przebić olbrzyma włócznią, ale ten tylko się odsunął i uderzył wroga mieczem w sam środek hełmu, potężnie go wginając i powalając Carla twarzą w błoto, gdzie ten zaczął spazmatycznie wymachiwać rękami i nogami.

Złośnik zacisnął zęby, uniósł łuk i dokładnie przymierzył, ale w chwili, gdy zwolnił cięciwę, Irig podniósł się z ziemi,

trzymając się jedną ręką za zakrwawiony brzuch, a w drugiej unosząc topór. Los chciał, że znalazł się dokładnie na drodze strzały i stęknął, gdy ta trafiła go w ramię.

Unionista zerknął w bok i jednocześnie skierował w tym samym kierunku ostrze miecza, z łatwością odrąbując Irigowi rękę, a zanim krew zdążyła trysnąć z kikuta, ciął na odlew i rozplatał wrogowi pierś, a potem uderzył jeszcze raz z drugiej strony, rozcinając głowę Iriga pomiędzy ustami a nosem, aż jego szczeka poszybowała w powietrze, po czym potoczyła się w dół zbocza.

Pozbawiony Szyi wciąż siedział przykucnięty, trzymając przed sobą wgiętą tarczę, a za sobą uniesiony miecz. Jego masywna twarz była zbryzgana czerwienią, a oczy wpatrywały się przed siebie, spokojne jak u rybaka czekającego, aż ryba pociągnie za linkę. U jego stóp leżeli czterej zaszlachtowani Północni, a Irig, jeszcze bardziej martwy od nich, powoli osuwał się do rowu.

Ten pozbawiony szyi drań równie dobrze mógł być Krwawym-dziewięć. Carlowie rozpaczliwie przed nim uciekali. Kolejni Unioniści pojawiali się na wale po obu stronach, a odwrót zmienił się w paniczną ucieczkę.

Złośnik ochoczo do nich dołączył. Dostał od kogoś łokciem w szyję, poślizgnął się i uderzył brodą o trawę, boleśnie gryząc się w język, po czym wstał i ruszył biegiem, otoczony przez krzyczących i wrzeszczących ludzi. Obejrzał się rozpaczliwie i zobaczył, jak Pozbawiony Szyi spokojnie powala biegnącego Carla, jakby zabijał muchę. Obok niego stał wysoki Unionista w lśniącym napierśniku i wskazywał ostrzem w stronę Złośnika, krzycząc coś na cały głos.

– Naprzód! – ryczał Jalenhorm, machając bronią w stronę Dzieci. Psiakrew, tracił oddech. – Na górę! Na górę! – Musieli utrzymać tempo. Gorst uchylił bramę, a oni musieli się przepchnąć, zanim ta się zamknie. – Naprzód! Naprzód! – Pochylił się i podawał rękę swoim ludziom, przeciągając ich ponad wykopem, a potem klepiąc po plecach, gdy ponownie zaczęli mozolnie piąć się w górę stromego zbocza.

Uciekający Północni wywoływali chaos przy kamiennym murze, mieszając się z obrońcami, wzbudzając panikę, pozwalając awangardzie oddziałów Jalenhorma bez przeszkód wspinać się na umocnienia. Gdy tylko generał odzyskał oddech, również podążył za swoimi żołnierzami. Nie powinien zwalniać.

Ciała. Ciała i ranni rozrzucone na trawie. Jakiś Północny patrzył na niego, przyciskając zakrwawione dłonie do czubka głowy. Obok jeden z Unionistów trzymał się kurczowo za broczące krwią udo. Przebiegający żołnierz czknął, po czym upadł na plecy, a gdy Jalenhorm się obejrzał, zobaczył strzałę tkwiącą w jego twarzy. Nie mógł się zatrzymać, żeby mu pomóc. Mógł tylko pędzić naprzód, tłumiąc nagłą falę mdłości. Dudnienie jego serca i świszczący oddech zagłuszały bojowe okrzyki i szcęk broni, zmieniając je w niekończący się drażniący grzechot. Przybierający na sile deszcz nie ułatwiał mu zadania, czyniąc zdeptaną trawę śliską. Wokół świat podskakiwał i drżał, pełen ślizgających się ludzi, wirujących strzał, fruwej trawy i błota.

– Naprzód – stęknął Jalenhorm. – Naprzód. – Nikt go nie słyszał. Rozkazywał sam sobie. – Naprzód. – To jego jedyna szansa na odkupienie. Jeśli tylko uda im się zdobyć szczyt. Przełamać opór Północnych tam, gdzie są najsilniejsi. – Na górę.

Na górę. – Potem nic więcej nie będzie miało znaczenia. Już nie będzie niekompetentnym kompanem od królewskiego kielicha, który zawiódł pierwszego dnia służby. Wreszcie zasłuży na swoje miejsce. – Naprzód – rzeził. – Na górę.

Brnął dalej, nisko pochylony, wolną ręką drapiąc mokrą trawę, tak skupiony na patrzeniu na ziemię, że był zaskoczony, gdy dotarł do muru. Wyprostował się, niepewnie wymachując ostrzem, nie wiedząc, czy umocnień pilnują jego ludzie, czy wrogowie, oraz jak powinien się zachować w każdej z tych sytuacji. Ktoś wyciągnął do niego dłoń w rękawicy. Gorst. Podciągnął Jalenhorma z zadziwiającą łatwością i generał wgramolił się na wilgotne kamienie i płaski szczyt górskiej odnogi.

Tuż przed nim stały Dzieci. Z bliska były znacznie większe, niż sobie wyobrażał. Krąg grubo ciosanych głazów nieco wyższych od człowieka. Leżały tutaj kolejne ciała, ale mniej niż na zboczach. Wyglądało na to, że wrogowie stawiali niewielki opór, a chwilowo w ogóle zaprzestali obrony. Wokół stali Unioniści, wyczerpani i zaskoczeni. Za nimi zbocze pięło się ku wierzchołkowi wzgórza, w stronę Bohaterów. Na łagodniejszym wzniesieniu roіło się od biegnących Północnych. Tym razem na pierwszy rzut oka przypominało to zorganizowany odwrót, a nie paniczną ucieczkę.

Jalenhorm mógł tylko patrzeć. Gdy nie groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo, jego ciało opadło z sił. Przez chwilę stał z rękami opartymi na kolanach, falującą pierśią i brzuchem niewygodnie przyciśniętym do wspaniałego napierśnika. Przeklęte ustrojstwo już na niego nie pasowało. Nigdy na niego nie pasowało.

– Północni się wycofują! – Dziwaczny falset Gorsta

zadźwięczał w uszach Jalenhorma. – Musimy ich gonić!

– Generale! Powinniśmy się przegrupować! – wołał jeden z członków sztabu Jalenhorma, ubrany w zbroję pokrytą kropelkami wilgoci. – Znacznie wyprzedzamy drugą falę. Za bardzo. – Wskazał w stronę Osrungu okrytego całunem coraz silniejszego deszczu. – Poza tym, kawaleria Północnych zaatakowała regiment Stariksy i unieruchomiła go po naszej prawej stronie...

Jalenhormowi udało się wyprostować.

– A co z ochotnikami z Aduanu?

– Wciąż są w sady, panie generale!

– Zostaliśmy oddzieleni od naszych posiłków... – dodał kolejny z oficerów.

Gorst zbył ich machnięciem dłoni. Jego piskliwy głos absurdalnie kontrastował ze zbryzganym krwią obliczem. Nawet nie wyglądał na zmęczonego.

– Do diabła z posiłkami! Nacieramy dalej!

– Panie generale, pułkownik Vinkler nie żyje, ludzie są wyczerpani, musimy się zatrzymać!

Jalenhorm podniósł wzrok na szczyt wzgórza, przygryzając usta. Korzystać z chwilowej przewagi czy czekać na wsparcie? Widział włącznie Północnych na tle ciemniejącego nieba. Pełną zapału, upstrzoną czerwienią twarz Gorsta. Zdenerwowane oblicza oficerów ze swojego sztabu. Skrzywił się, popatrzył na garstkę ludzi, których miał do dyspozycji, po czym pokręcił głową.

– Zaczekamy tutaj na posiłki. Zabezpieczymy naszą pozycję i zbierzemy siły.

Gorst wyglądał jak chłopiec, któremu powiedziano, że w tym roku nie dostanie szczeniaka.

– Ależ generale...

Jalenhorm położył mu dłoń na ramieniu.

– Podzielam twój entuzjazm, Bremerze, naprawdę, ale nie wszyscy potrafią biec bez końca. Czarny Dow to spryciarz, jest na nas przygotowany i jego odwrót może stanowić podstęp. Nie pozwolę, żeby ponownie nas przechytrzył. – Mrużąc oczy, popatrzył na coraz bardziej zagniewane chmury. – Pogoda nam nie sprzyja. Kiedy tylko przybędzie wystarczająco silne wsparcie, musimy zaatakować. – Raczej nie odpoczną zbyt długo. Żołnierze Unii już przelewali się przez mur potężną falą, dławiąc kamienny krąg.

– Gdzie Retter?

– Tutaj, panie generale! – zawołał chłopak. Był blady i wystraszony, ale to samo można było powiedzieć o wszystkich.

Jalenhorm się do niego uśmiechnął. Oto prawdziwy bohater.

– Zagraj na zbiórkę, chłopcze, i przygotuj się, żeby dać sygnał do ataku.

Nie mogli się zachowywać lekkomyślnie, ale także nie mogli roztrwonić przewagi. To ich jedyna szansa na odkupienie. Jalenhorm tęsknie patrzył na Bohaterów, a deszcz dzwonił mu o hełm. Tak blisko. Ostatni Północni docierali na szczyt. Jeden z nich zatrzymał się i obejrzał poprzez ulewę.

Żelaznogłowy popatrzył ze zmarszczonym czołem w stronę Dzieci, gdzie roіło się od żołnierzy Unii.

– Zaraza – syknął.

Nie mógł się z tym pogodzić. Ciężko zapracował na reputację dowódcy, który nigdy się nie wycofuje, ale nie zdobył jej podczas beznadziejnych bitew. Nie zamierzał samotnie stawiać czoła

potędze Unii tylko po to, by kiedyś ludzie ze szlochom opowiadali o tym, jak dzielnie zginął Cairn Żelaznogłowy. Nie chciał pójść w ślady Białego, Małejkości ani Starego Człowieka Yawła. Wszyscy ci dranie dzielnie zginęli, a kto dziś śpiewa o nich pieśni?

– Cofamy się! – wrzasnął do ostatnich ze swoich ludzi, wpędzając ich między sterczące pale, ku Bohaterom. To hańba czmychać przed wrogiem, ale lepiej poczuć jego wzrok na plecach niż włóczyć w brzuchu. Jeśli Czarny Dow chce walczyć za to nędzne wzgórze i nędzne głazy, to niech sam się pofatyguje.

Z ponurą miną ruszył przez coraz mocniejszy deszcz i przeszedł przez lukę w omszałym murze otaczającym Bohaterów. Szedł powoli, z wyprostowanymi ramionami i wysoko uniesioną głową, mając nadzieję, że ludzie uznają jego zachowanie za przemyślany plan, a nie tchórzostwo...

– No proszę. Któż to ucieka przed Unią, jeśli nie Cairn Żelaznogłowy?

Głama Złoty, a któżby inny. Ten obrzmiały kutas stał pod jednym z głazów z szerokim, zadowolonym uśmiechem na potężnej, posiniaczonej twarzy.

Na spokój zmarłych, jak Żelaznogłowy nienawidził tego drania. Tych pulchnych policzków. Tego wąsa jak dwa żółte robaki nad tłustą wargą. Przechodziły go ciarki za każdym razem, gdy go spotykał. A kiedy widział, że Złoty jest zadowolony z siebie, miał ochotę wyrwać sobie oczy.

– Wycofujemy się! – ryknął.

– Ja bym to nazwał pokazaniem pleców.

Kilka osób się roześmiało, ale zaraz umilkli, gdy Żelaznogłowy postąpił naprzód z wyszczerzonymi zębami. Złoty

ostrożnie się cofnęła, zerkając spod przymrużonych powiek na obnażony miecz Cairma, a jednocześnie samemu opuszczając dłoń na rękojeść topora.

Żelaznogłowy się opanował. W końcu nie zasłużył na swoje imię, pozwalając, by gniew wodził go za nos. Znajdzie odpowiedni czas i miejsce, żeby wyrównać rachunki. Nie robi tego teraz, przy świadkach. Zaczeka na lepszą okazję i zadba o to, by sprawiło mu to przyjemność. Zmusił się do uśmiechu.

– Nie wszyscy możemy ci dorównać męstwem, Glamo Złoty. Trzeba nie lada odwagi, żeby tak zaatakować twarzą czyjąś pięść.

– Przynajmniej stanąłem do walki, kurwa – odburknął Złoty, a jego Carlowie go otoczyli.

– Jeśli można mówić o walce, gdy ktoś spada z konia, po czym ucieka.

Teraz to Złoty obnażył zęby.

– Masz czelność mówić o uciekaniu, ty tchórzliwy...

– Dosyć. – Po lewej stronie Czarnego Dowa stał Curnden Gnat, po prawej Caul Dreszcz, a z tyłu Whirrun Rąbnięty. A także cały tłum ciężkozbrojnych, poznaczonych bliznami, nachmurzonych Carlów. Przerażające towarzystwo, jednak nie aż tak jak wyraz twarzy Dowa. Wódz kipiał wściekłością, a jego oczy wyglądały, jakby miały wyskoczyć z orbit. – To tak zachowują się Imienni? Dwa wielkie imiona, a za nimi dwójka naburmuszonych dzieci? – Dow splunął w błoto pomiędzy Żelaznogłowym a Złotym. – Zmarli wiedzą, że Rudd Trójdrzewiec był uparty, Bethod cwany, a Krwawy-dziewięć zły, ale czasami mi ich brakuje. To byli prawdziwi mężczyźni! – Wykrzyczał to ostatnie słowo Żelaznogłowemu prosto w twarz, bryzgając śliną i sprawiając, że wszyscy się wzdrygnęli. – Za ich słowami szły czyny!

Żelaznogłowy uznał, że najlepiej będzie dokonać kolejnego odwrotu, jednocześnie nie spuszczać wzroku z broni Czarnej Dowa, na wypadek, gdyby potrzebna była szybsza ucieczka. Zależało mu na uniknięciu tego starcia tak samo jak na uniknięciu bitwy z Unią, a nawet bardziej. Na szczęście, Złoty nie mógł się powstrzymać przed wepchnięciem złamanego nocha w nie swoje sprawy.

– Popieram cię, wodzu! – zawołał. – Całkowicie cię popieram!

– Naprawdę? – Dow odwrócił się w jego stronę, pogardliwie krzywiąc usta. – No to, kurwa, prawdziwy ze mnie szczęściarz! – Odepchnął Złotego z drogi ramieniem i poprowadził swoich ludzi w stronę muru.

Kiedy Żelaznogłowy się obejrzał, zobaczył, że Curnden Gnat przypatruje mu się spod siwych brwi.

– Co? – burknął.

Gnat nie odwrócił wzroku.

– Wiesz co.

Pokręcił głową, przeciskając się pomiędzy Żelaznogłowym i Złotym. Cóż za nędzna namiastka wodzów. A nawet mężczyzn, choć Gnat widywał gorsze zachowania. Egoizm, tchórzostwo i chciwość już go nie dziwiły. Takie nastąpiły czasy.

– Pieprzone robaki! – Dow syknął pośród padającego deszczu, gdy Gnat do niego podszedł. Wyrwał kamień z muru i teraz stał w milczeniu z napiętymi mięśniami i wykrzywionymi ustami, jakby nie wiedział, czy ma go cisnąć w dół zbocza, rozbić komuś czaszkę, czy roztrzaskać własną twarz. W końcu tylko warknął z frustracją i bezsilnie odłożył kamień na miejsce. – Powinienem ich pozabijać. Może właśnie tak zrobię. Może tak zrobię. Spalę

tych dwóch skurwieli.

Gnat się skrzywił.

– Przy takiej pogodzie raczej nie zajmą się ogniem, wodzu. – Zerknął przez całun deszczu ku Dzieciom. – Zresztą, podejrzewam, że niedługo wszystkim nam nie zabraknie okazji do zabijania. – Unioniści dysponowali przerażająco potężnymi siłami i wyglądało na to, że właśnie się przegrupowują, formując ciasne szeregi. – Chyba będą się wspinać.

– Dlaczego mieliby tego nie robić? Żelaznogłowy wysłał tym draniom zaproszenie. – Dow wziął głęboki wdech, po czym parsknął jak byk gotowy do szarży, wydmuchując kłęby pary w wilgotne powietrze. – Wydawałoby się, że łatwo być wodzem. – Poruszył ramionami, jakby ciążył mu łańcuch władzy. – Ale to przypomina ciągnięcie pierdolonej góry po błocie. Tak mi powiedział Trójdrzewiec. Powiedział, że każdy przywódca jest sam.

– Teren nam sprzyja. – Gnat postanowił poszukać pozytywów. – Deszcz też nam pomoże.

Dow popatrzył ze zmarszczonym czołem na rozczapierzone palce wolnej dłoni.

– Kiedy już raz pokryją się krwią...

– Wodzu! – Jakiś młodzieniec przepychał się przez tłum zmoczonych Carlów; ramiona jego kamizeli pociemniały od wilgoci. – Wodzu! Mocno przycisnęli Reacheya w Osrungu! Przedostali się przez most i walczą na ulicach. Reachey prosi, żeby ktoś posłał... Ach!

Dow chwycił chłopaka za kark, brutalnie pchnął go do przodu i skierował jego twarz w stronę Dzieci i Unionistów, którzy roili się wokół głązów jak mrówki na zdeptanym kopcu. – Myślisz, kurwa, że mam ludzi na zbyciu? No jak? Jak ci się

wydaje?

Młodzieniec przełknął ślinę.

– Nie, wodzu?

Dow odepchnął chłopaka, a Gnat w ostatniej chwili wyciągnął rękę, nie pozwalając mu upaść.

– Przekaż Reacheyowi, żeby trzymał się najlepiej jak potrafi – rzucił przez ramię Dow. – Być może otrzyma jakąś pomoc.

– Przekażę. – Chłopak czym prędzej się wycofał i natychmiast zniknął w tłumie.

Nad Bohaterami zapadła dziwna, grobowa cisza. Było słycać tylko pojedyncze szepty, niewyraźny grzechot ekwipunku, ciche dzwonienie i stukanie deszczu o metal. W dole obok Dzieci ktoś zadał w róg. Dźwięk unoszący się pośród deszczu wydawał się dziwnie smutny. A może to Gnat był w melancholijnym nastroju? Zastanawiał się, którzy z otaczających go ludzi przeleją krew przed zachodem słońca, a którzy zginą. Zastanawiał się, na czyim ramieniu spoczywa zimna dłoń Wielkiego Rozjemcy. Może na jego? Zamknął oczy i poprzysiągł sobie, że jeśli wyjdzie z tego cało, porzuci wojaczkę. Tak jak robił już tuzin razy.

– Już czas. – Cudna wyciągnęła rękę.

– Tak. – Gnat uścisnął jej dłoń i popatrzył na jej twarz, na silną szczękę, krótkie czarne włosy zmoczone deszczem, długą białą bliznę na policzku. – Tylko nie giń, dobrze?

– Nie mam zamiaru. Trzymaj się blisko mnie, a tobie też nie pozwolę umrzeć.

– Umowa stoi.

Po chwili wszyscy podawali sobie ręce i klepali się po ramionach w ostatnim geście braterstwa przed walką, gdy ludzi łączyły więzy silniejsze od rodzinnych. Gnat uścisnął dłoń

Mokrego, Scorry'ego, Drofda, a nawet Dreszcza. Zaczął szukać wśród nieznanomych potężnej łapy Bracka, ale przypomniał sobie, że ten spoczywa pod błotem za jego plecami.

– Gnacie – rzekł Wesoły Yon, a po jego żalostnej minie było widać, o co chce prosić.

– Jasne, Yon. Powiem im. Wiesz, że to zrobię.

– Wiem.

Złączyli dłonie, a kącik ust Yona drgnął, co w jego przypadku mogło oznaczać uśmiech. Przez cały ten czas Beck stał nieruchomo, z ciemnymi włosami przyklejonymi do bladego czoła, patrząc w stronę Dzieci, jakby patrzył w pustkę.

Gnat ujął młodzieńca za rękę i ścisnął.

– Po prostu rób to, co należy. Stój u boku drużyny, u boku swojego wodza. – Nachylił się nieco. – Nie daj się zabić.

Beck odwzajemnił uścisk.

– Jasne. Dziękuję, wodzu.

– Gdzie Whirrun?

– Nie lękajcie się! – Wojownik przepchnął się przez mokry, niezadowolony tłum. – Whirrun z Bligh stoi między wami!

Z powodów znanych tylko sobie zdjął koszulę i stał obnażony od pasa w górę z Ojcem Mieczy na ramieniu.

– Na spokój zmarłych – mruknął Gnat. – Podczas każdej bitwy masz na sobie mniej ubrań.

Whirrun odchylił głowę i zamrugał pod wpływem deszczu.

– Nie zamierzam walczyć w koszuli. Mokra koszula obciera mi sutki.

Cudna pokręciła głową.

– Ot, tajemnice bohaterów.

– Żebyś wiedziała. – Whirrun się wyszczerzył. – A co ty na to

powiesz, Cudna? Czy mokra koszula obciera ci sutki? Muszę to wiedzieć.

Uścisnęła jego dłoń.

– Martw się o swoje sutki, Rąbnięty, a ja zajmę się swoimi.

Wszystko było jasne, nieruchome i ciche. Woda lśniła na zbrojach, futra mierzwiły się od wilgoci, kropelki pokrywały jaskrawo pomalowane tarcze. Przed oczami Gnata przemykały twarze, znane i nieznajome. Uśmiechnięte, surowe, oszalałe, wystraszone. Wyciągnął rękę, a Whirrun zamknął jego dłoń w uścisku.

– Gotowy?

Gnat zawsze miał wątpliwości. Żywił się, oddychał i żył nimi od co najmniej dwudziestu lat. Rzadko się ich pozbywał, odkąd pochował braci.

Jednak teraz nie miał na nie czasu.

– Gotowy. – Dobył miecza i z uśmiechem popatrzył w dół na setki żołnierzy Unii, którzy na deszczu rozmywali się w barwne kropki, plamy i błyski. Może Whirrun ma rację i człowiek nie jest w pełni żywy, dopóki nie stanie w obliczu śmierci? Gnat wysoko uniósł miecz i głośno zawył, a otaczający go ludzie zrobili to samo.

Czekali na nadejście Unionistów.

Więcej sztuczek

Słońce z pewnością wzeszło, jednak nie dało się tego zobaczyć. Wściekle chmury zgęstniały i wciąż panował półmrok. Kapral Tunny stwierdził z zaskoczeniem, że nikt się nie ruszył. Hełmy i włócznie wciąż sterczały ponad widocznym fragmentem muru, od czasu do czasu kołysząc się, ale pozostając na miejscach. Słyszeli, że Mitterick rozpoczął natarcie, jednak na tym zapomnianym skraju pola bitwy Północni wciąż czekali.

– Nadal tam są? – spytał Worth. Takie czekanie na walkę sprawia, że większość ludzi jest gotowa zesrać się w spodnie. Worth był wyjątkiem, gdyż wydawało się, że to jedyna rzecz, która jest w stanie go przed tym powstrzymać.

– Nadal tam są.

– Nie ruszyli? – pisnął Żółtko.

– Gdyby ruszyli, my także byśmy to zrobili, prawda? – Tunny ponownie popatrzył przez lunetę. – Nie. Nie ruszyli.

– Czy to odgłosy walki? – wyszeptał Worth, gdy podmuch wiatru przyniósł zza strumienia echa wściekłych okrzyków, parskania koni i szczęku metalu.

– Albo jakaś poważna kłótnia w stajni. Myślisz, że to możliwe?

– Nie, kapralu Tunny.

– No właśnie. Ja też nie.

– Więc co się dzieje? – spytał Żółtko. Zza szczytu wzniesienia

wyłonił się wierzchowiec pozbawiony jeźdźca. Powiewając strzemionami, pokłusował w stronę wody, gdzie się zatrzymał i zaczął skubać trawę.

Tunny opuścił lunetę.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

Wszędzie wokół deszcz bębnił o liście.

Na zdeptanym jęczmieniu leżały martwe i umierające konie oraz martwi i umierający ludzie. Starta splątanych, zakrwawionych ciał piętrzyła się przed Calderem i ukradzionymi sztandarami. Zaledwie kilka kroków dalej trzej Carlowie kłócili się, usiłując uwolnić włócznie, które tkwiły w tym samym jeźdźcu Unii. Kilku chłopców posłano, by pozbierali strzały. Kolejna dwójka nie mogła się powstrzymać i wgramoliła się do drugiego rowu, by uprzedzić wszystkich w okradaniu zwłok, a Białooki wrzeszczał na nich, by wracali do szeregu.

Kawaleria Unii została pokonana. Podjęła odważną, ale głupią próbę. Calder miał wrażenie, że te dwie cechy często idą w parze. Co gorsza, gdy pierwsze natarcie poniosło klęskę, postanowili spróbować ponownie, z jeszcze tragiczniejszym skutkiem. Około sześćdziesięciu jeźdźców zdołało przeskoczyć trzeci rów po prawej stronie, przedostać się przez Mur Claila i zabić kilku łuczników, ale szybko zostali ustrzeleni lub zadźgani włóczniami. Atak bezsensowny jak zamiatanie piasku na plaży. Na tym polega problem z dumą, odwagą i innymi cnotami wychwalanymi przez bardów. Im więcej ich masz, tym szybciej skończysz na dnie sterty trupów. Najdzielniejsi kawalerzyści Unii dali ludziom Caldera pewność siebie, jakiej ci

nie zaznali od czasów, gdy Bethod był królem Północy.

Teraz dawali temu upust, podczas gdy ocaleni Unioniści galopowali, kuśtykali albo czołgali się z powrotem w stronę swoich linii. Północni tańczyli, klaskali i pokrzykiwali na deszczu. Ściskali sobie dłonie, klepali się po plecach i zderzali się tarczami. Skandowali imię Bethoda, Szalki, a nawet Caldera, co sprawiało mu przyjemność. Braterstwo broni, kto by pomyślał? Uśmiechał się, gdy wojownicy wiwatowali i potrząsali w jego kierunku bronią. W odpowiedzi uniósł miecz i nim pomachał. Nie miał okazji go użyć, więc teraz zastanawiał się, czy nie jest za późno, by rozsmarować na ostrzu nieco krwi. Wszędzie wokół było jej pełno, a wątpił, by jej właściciele mieli coś przeciwko.

– Wodzu?

– Co?

Blady-jak-Śnieg wskazywał na południe.

– Lepiej niech ludzie znów zajmą pozycje.

Deszcz przybierał na sile, grube krople znaczyły ziemię ciemnymi plamami oraz stukwały o zbroje żywych i umarłych. Pole bitwy na południu zasnęła mgielka, ale Calder miał wrażenie, że za wałęsającymi się bez celu końmi pozbawionymi jeźdźców i wycofującymi się w stronę Starego Mostu kulejącymi jeźdźcami pozbawionymi koni widzi jakieś kształty poruszające się w jęczmieniu.

Oślonił oczy dłonią. Kolejne sylwetki wyłaniały się zza ściany deszczu, zmieniając się z duchów w ciało i metal. Piechota Unii. Potężne oddziały brnące naprzód w starannie sformowanych, uporządkowanych, przerażająco zdeterminowanych liniach, trzymające nad głowami żerdzie z flagami pozlepianymi od wilgoci.

Ludzie Caldera także ich zauważyli i triumfalne okrzyki odeszły w niepamięć. Dookoła rozległy się szczekliwe głosy Imiennych, którzy nawoływali wojowników do zajęcia pozycji za trzecim rowem. Białooki przygotowywał lekko rannych do walki jako rezerwę i łątał nimi luki w szeregach. Calder zastanawiał się, czy przed wieczorem jego także trzeba będzie łątać. Wydawało się to wielce prawdopodobne.

– Masz w zanadrzu więcej sztuczek? – spytał Błady-jak-Śnieg.

– Nie bardzo. – Chyba że zaliczyć do nich paniczną ucieczkę.
– A ty?

– Tylko jedną. – Stary wojownik starannie starł szmatą krew z miecza i uniósł go nad głowę.

– Aha. – Calder opuścił wzrok na swoje czyste ostrze lśniące kropelkami wody. – Taką.

Tyrania odległości

– Psiakrew, nic nie widzę! – syknął ojciec Finree, robiąc krok naprzód i ponownie spoglądając przez lunetę, zapewne z równie mizernym skutkiem jak poprzednio. – A wy?

– Nie, lordzie marszałku – mruknął jeden z oficerów.

W milczeniu obserwowali przedwczesną szarżę Mittericka, a następnie, gdy do doliny wpełzło pierwsze światło, początek natarcia Jalenhorma. Potem zaczęło padać. Najpierw za szarym całunem zniknął Osrung po prawej stronie, potem Mur Claila po lewej, wreszcie Stary Most i bezimienna gospoda, w której poprzedniego dnia omal nie zginęła Finree. Teraz nawet bród zmienił się w na wpół zapomnianego ducha. Wszyscy stali w milczeniu, sparaliżowani niepokojem, nasłuchując odgłosów, które czasami rozbrzmiewały na granicy słyszalności ponad wilgotnym szeptem deszczu. Nie wiedzieli, czy bitwa w ogóle się toczy.

Ojciec Finree krążył nerwowo, przebijając palcami jednej dłoni. W końcu stanął obok córki i wbijał wzrok w jednolitą szarość.

– Czasami mam wrażenie, że nie ma na świecie człowieka tak bezsilnego jak dowódca na polu bitwy – mruknął.

– A jego córka?

Posłał jej wymuszony uśmiech.

– Wszystko w porządku?

Przez chwilę chciała odwzajemnić grymas, ale dała sobie

spokój.

– Nic mi nie jest – skłamała, wcale się z tym nie kryjąc. Poza uciążliwym bólem szyi, który czuła za każdym razem, gdy obracała głowę, bólem ręki, który dokuczał jej, gdy poruszała dłonią, oraz nieustannym bólem głowy, bez przerwy towarzyszył jej dławiący niepokój. Co jakiś czas wzdrygała się i rozglądała, jak skąpiec, który zgubił sakiewkę, chociaż nie miała pojęcia, czego szuka. – Masz znacznie ważniejsze zmartwienia...

Jakby na potwierdzenie jej słów ojciec ruszył na spotkanie posłańca, który nadjechał ze wschodu.

– Co nowego?

– Pułkownik Brock donosi, że jego ludzie rozpoczęli atak na most w Osrungu!

A więc Hal ruszył do walki. Zapewne w pierwszym szeregu. Finree czuła, że coraz bardziej się poci, a wilgoć wydobywająca się spod płaszcza Hala miesza się z wilgocią przesiąkającą z zewnątrz i łączy siły w kulminacji niewygody.

– Tymczasem pułkownik Brint prowadzi natarcie przeciwko dzikim, którzy wczoraj... – Nerwowo zerknął na Finree. – Przeciwko dzikim.

– I co dalej? – dopytywał Kroy.

– To wszystko, lordzie marszałku.

Dowódca się skrzywił.

– Dziękuję. Proszę, dostarcz nam kolejne wieści, gdy tylko się pojawią.

Posłaniec zasalutował, zawrócił konia, po czym pogalopował przez deszcz.

– Pani mąż z pewnością wyróżnia się w walce. – Bayaz nachylił się w stronę Finree, wspierając się na lasce; jego łysina

lśniła od wilgoci. – Dowodzi z pierwszego szeregu jak Harold Wielki. Współczesny bohater! Zawsze bardzo podziwiałem takich ludzi.

– Może pan także powinien spróbować?

– Ależ próbowałem. W młodości uwielbiałem walkę. Jednak nienasycony głód niebezpieczeństw nie przystoi starym. Bohaterowie mają swoje zastosowania, ale ktoś musi odpowiednio ich ukierunkować. No i po nich posprzątać. Zawsze wzbudzają wiwaty publiki, ale zostawiają po sobie piekielny bałagan. – Bayaz z namysłem poklepał się po brzuchu. – Zdecydowanie wolę wypić filiżankę herbaty w obozie. Niech ludzie tacy jak pani mąż zdobywają uznanie tłumów.

– Jest pan niezwykle szczodry.

– Niewielu by się z tym zgodziło.

– A gdzie teraz jest pańska herbata?

Bayaz zmarszczył czoło, spoglądając na pustą dłoń.

– Mój służący ma... pilniejsze obowiązki tego ranka.

– Czy może być coś ważniejszego od spełniania pańskich zachcianek?

– Och, moje zachcianki nie ograniczają się do czajnika...

W deszczu zabrzmiało echo końskich kopyt i samotny jeździec nadjechał szlakiem z zachodu, a wszyscy z zapartym tchem wyteżyli wzrok, patrząc, jak pozbawione podbródka surowe oblicze wyłania się z mokrej ciemności.

– Felnigg! – burknął ojciec Finree. – Co się dzieje po lewej stronie?

– Mitterick wystrzelił z nienaciągniętego łuku! – pienił się Felnigg, zeskakując z siodła. – Posłał swoją kawalerię przez pole jęczmienia w ciemności! Przeklęta lekkomyślność!

Znając stosunki panujące pomiędzy oboma mężczyznami, Finree podejrzewała, że Felnigg sam przyczynił się do porażki.

– Widzieliśmy – wykrztusił jej ojciec, najwyraźniej dochodząc do podobnego wniosku.

– Powinno się go wyrzucić z hukiem!

– Może później. Jaki był wynik?

– Kiedy odjeżdżałem... wciąż niepewny.

– Zatem nie masz pojęcia, co tam się dzieje?

Felnigg otworzył usta, po czym ponownie je zamknął.

– Pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeśli natychmiast wrócę...

– I poinformujesz o błędzie Mittericka, zamiast przedstawić jego skutki. Dziękuję, pułkowniku, ale mam przesyt ignorancji. – Marszałek Kroy odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, po czym ponownie przeszedł na drugą stronę wzgórza, żeby bezskutecznie spoglądać na północ. – Nie powinienem był ich posyłać – mruknął, gdy mijał Finree. – Nie powinienem.

Bayaz westchnął, co wywołało ciarki na jej spoconych ramionach.

– Z całego serca współczuję pani ojcu.

Finree zauważyła, że jej podziw dla Pierwszego z Magów stale maleje, a niechęć z czasem staje się coraz ostrzejsza.

– Czyżby – odezwała się takim samym tonem, jakim ktoś mógłby powiedzieć „Zamknij się”, i mając takie same intencje.

Bayaz ją zignorował.

– Cóż za szkoda, że nie widzimy, jak ludziki walczą w oddali. Nic nie może się równać z obserwowaniem bitwy, a ta nawet na mnie robi wrażenie rozmachem. Niestety, pogoda nie jest nikomu posłuszna. – Bayaz wyszczerzył się, zerkając na coraz bardziej ponure niebiosa. – Prawdziwa burza! Cóż za

dramaturgia. Czy może być lepszy akompaniament dla zbrojnego starcia?

– Czy sam ją pan przywołał dla lepszej atmosfery?

– Chciałbym mieć taką moc. Niech pani sobie tylko wyobrazi, mógłby rozlegać się grzmot za każdym razem, gdy się pojawia! W dawnych czasach mój mistrz, wielki Juvens, potrafił jednym słowem przywołać błyskawicę, jednym gestem sprawić, by rzeka wystąpiła z brzegów, jedną myślą wezwać szron. Tak potężna była jego Sztuka. – Rozpostarł ręce, wystawiając twarz na deszcz i unosząc łaskę ku ciekącym niebiosom. – Ale to było dawno temu. – Opuścił ręce. – Obecnie wiatr wieje tam, gdzie chce, a bitwy toczą się po swojemu. My, którzy pozostaliśmy, musimy działać w bardziej... okrężny sposób.

Znów rozległ się odgłos kopyt i z ciemności przed nimi wyłonił się zaniedbany młody oficer.

– Raport! – zażądał Felnigg donośnym głosem, a Finree zdziwiła się, dlaczego jeszcze nikt nie zdzielił go w twarz.

– Ludzie Jalenhorma wypędzili wroga z sadów – odpowiedział zdyszany posłaniec – a teraz błyskawicznie wspinają się na wzgórze!

– Jak daleko dotarli? – spytał ojciec Finree.

– Kiedy ich ostatnio widziałem, zbliżali się do mniejszych głązów. Do Dzieci. Ale nie wiem, czy zdołali je zająć.

– Ciężki opór?

– Coraz cięższy.

– Kiedy ich zostawiłeś?

– Jechałem tutaj bez zatrzymywania, więc mógł minąć kwadrans.

Ojciec Finree obnażył zęby, spoglądając poprzez ulewę. Zarys wzgórza, na którym stali Bohaterowie, przypominał niewyraźną

ciemniejszą smugę na zasłonie szarości. Finree wiedziała, o czym pomyślał. Do tej pory żołnierze mogli w chwale zdobyć szczyt, wplątać się we wściekłą walkę albo doznać krwawej porażki. Być może wszyscy żyją albo wszyscy zginęli, zwyciężyli albo przegrali. Obrócił się na piętach.

– Siodłajcie mojego konia!

Zadowolony uśmiech Bayaza zgasł jak płomień świecy.

– Odradzam. Nie może im pan w niczym pomóc, marszałku Kroy.

– Z pewnością im nie pomogę, siedząc tutaj, lordzie Bayazie – odparł ojciec ostro, omijając maga i udając się w kierunku koni.

Jego oficerowie oraz kilku strażników podążyli za nim. Felnigg miotał rozkazy na wszystkie strony, a kwatera główna nagle z hałasem zbudziła się do życia.

– Lordzie marszałku! – wołał Bayaz. – Uważam, że to nieroztropne!

Kroy nawet się nie obejrzał.

– Zatem proszę zostać. – Po czym postawił jedną stopę w strzemieniu i podciągnął się na siodło.

– Na spokój zmarłych – syknął Bayaz.

Finree posłała mu nieprzyjemny uśmiech.

– Wygląda na to, że jednak może pan trafić na front. Przy odrobinie szczęścia zobaczy pan z bliska, jak walczą ludziki.

Pierwszy z Magów nie wyglądał na rozbawionego.

Krew

– Nadchodzą!

O tym Beck już wiedział, ale przez gęsty tłum zgromadzony wokół Bohaterów nie był w stanie dostrzec niczego więcej. Otaczały go mokre futra, mokre zbroje, broń lśniąca na deszczu, wykrzywione twarze ociekające wodą. Głazy jak rozmazane cienie, duchy majaczące za lasem nierównych włóczni. Stukanie i chlupoczący szept kropel na metalu. Trzask i brzęk stali odbijające się echem od zboczy, bitewne okrzyki stłumione przez ulewę.

Przez tłum przebiegła potężna fala, która porwała Becka. Zaczął wierzcąc na oślep, wrzucony w gęstwinę uderzających pięściami, rozpychających się i pokrzykujących mężczyzn. Dopiero po chwili zorientował się, że to nie wrogowie, jednakże wokół sterczało tyle ostrzy, że nie trzeba było wpaść na Unionistę, by stracić klejnoty. W końcu to nie unijna broń zabiła Refta, prawda?

Ktoś uderzył go łokciem w głowę i Beck zatoczył się w bok. Po chwili ktoś inny przewrócił go na kolana, a czyjś but wgniół jego dłoń w błoto. Młodzieniec wstał, przytrzymując się tarczy z malunkiem przedstawiającym głowę smoka, co nie spodobało się jej właścicielowi. Brodacz wściekle na niego ryknął. Odgłosy bitwy przybrały na sile. Ludzie starali się od nich oddalić bądź do nich zbliżyć. Chwyтали się za rany broczące różową krwią rozcieńczoną deszczem lub zaciskali dłonie na broni, ociekający wodą i oszalali ze strachu oraz wściekłości.

Na spokój zmarłych, tak bardzo chciał uciec. Nie był pewien, czy nie płacze. Po prostu wiedział, że nie może ponownie zawieść. Powinien stać przy swojej drużynie, tak powiedział Gnat. Stać u boku wodza. Zamrugął i pośród nawałnicy dostrzegł przemoczony czarny sztandar Czarnego Dowa powiewający na wietrze. Wiedział, że Gnat musi być niedaleko. Zaczął przepychać się w stronę sztandaru pomiędzy miotającymi się ciałami, a jego buty ślizgały się na rozdeptanym błocie. Wydawało mu się, że zauważył wściekle wykrzywioną twarz Drofda. Usłyszał ryk i ktoś zamierzył się na niego włócznią. Cios nie był szybki. Beck wyteżył wszystkie siły i odchylił głowę w bok najdalej jak potrafił, a grot prześlizgnął mu się obok ucha. Za nim ktoś wrzasnął i zawisł mu na ramieniu, stękając i bulgocząc. Coś gorącego i mokrego pociekło mu po rękę. Beck westchnął i szarpnął barkami, zrzucając trupa w błoto.

Przez tłum przebiegła kolejna fala, która zniosła Becka w lewo. Z szeroko otwartymi ustami walczył, by utrzymać się na nogach. Na policzku czuł ciepły deszcz. Nagle mężczyzna przed nim odsunął się i przed Beckiem otworzyła się pusta przestrzeń. Pas błotnistego, pokrytego kałużami terenu zasłany ciałami i połamanymi włóczniami.

Po przeciwnej stronie stali wrogowie.

Dow ryknął coś przez ramię, ale Gnat go nie słyszał. Wszystko zagłuszał syk deszczu oraz szorstkie głosy niemal równie donośne jak burza. Za późno na rozkazy. W pewnym momencie można już tylko trzymać się wcześniejszych wytycznych i ufać, że nasi ludzie zrobią to, co należy, i będą walczyli. Miał wrażenie, że pomiędzy włóczniami dostrzegł

rękojeść Ojca Mieczy. Powinien być ze swoją dwunastką. Stać u boku swojej drużyny. Dlaczego zgodził się zostać zastępcą Dowa? Może dlatego, że kiedyś był zastępcą Trójdrzewca, i pomyślał, że jeśli zajmie stanowisko, które niegdyś piastował, powrócą dawne czasy. Zachowywał się jak stary głupiec goniący za duchami. Na to już za późno. Powinien był ożenić się z Colweną, gdy miał na to szansę. A przynajmniej się oświadczyć. Dać jej możliwość odmowy.

Na chwilę zamknął oczy i wciągnął do płuc wilgotne, zimne powietrze.

– Trzeba było zostać stolarzem – szepnął.

Cóż, miecz był łatwiejszym wyborem. Praca z drewnem wymaga wielu narzędzi: dłut i pił, dużych i małych siekier, młotków i gwoździ, dratew i hebli. Żeby zostać zabójcą, wystarczą dwa. Ostrze i chęć. Jednakże Gnat nie był pewien, czy wciąż ma to drugie. Mocno zacisnął dłoń na mokrej rękojeści miecza. Bitewny ryk stawał się coraz głośniejszy, łącząc się z rykiem jego własnego oddechu i waleniem serca. Dokonał wyboru. Zacisnął zęby, po czym gwałtownie otworzył oczy.

Tłum rozdzielił się jak rozcięte drewno i Unioniści ruszyli przez powstałą lukę. Jeden z nich staranował Gnata, zanim ten zdążył się zamachnąć mieczem. Mężczyźni zderzyli się tarczami, ślizgając się na błocie. Gnat zobaczył wykrzywioną twarz przeciwnika i przechylił krawędź tarczy, uderzając go w nos. Żołnierz zabalgotał i jęknął. Curnden zaczął z całej siły na zmianę szarpać i popychać tarczę, warcząc przy tym i plując, starając się trafić wroga w głowę. Zaczepił o klamrę jego hełmu i do połowy zdarł mu go z głowy. Usiłował uwolnić miecz, gdy nagle tuż obok niego świsnęło ostrze i odrąbało kawał twarzy Unionisty. Craw poślizgnął się, gdy nacisk na jego tarczę zelżał.

Czarny Dow zakręcił toporem nad głową, po czym uderzył spiczastym końcem w czyjś hełm, wbijając ostrze aż po rękojeść. Zostawił broń w czaszce trupa, który przewrócił się do tyłu z szeroko rozłożonymi rękami.

Ubłocony Północny zmagał się z atakującą go włócznią, przytrzymując ją jedną ręką, a drugą bezskutecznie wymachując bojowym młotem. Zerkał między palcami zaciskającymi się na jego twarzy, podczas gdy wróg starał się odepchnąć jego głowę.

Jeden z żołnierzy Unii ruszył w stronę Gnata. Ktoś podstawił mu nogę i mężczyzna upadł na jedno kolano. Gnat z głuchym łupnięciem uderzył go w tył głowy, wgniatając mu hełm. Natychmiast zadał kolejny cios, przewracając wroga na ziemię. Uderzał raz za razem, wbijając twarz Unionisty w błoto, miotając przekleństwa.

Deszcz zdzielił z uśmiechem kogoś tarczą. Deszcz zabarwił olbrzymią bliznę na jego twarzy na jaskrawoczerwony kolor, tak że przypominała świeżą ranę. Wojna wywraca wszystko do góry nogami. Ludzie, którzy nam zagrażają w czasie pokoju, stają się naszą największą nadzieją, gdy w ruch idą ostrza.

Walczący przepychali tam i z powrotem czyjegoś trupa. Krew ściekała krętymi strumieniami, mieszając się z brudną wodą i padającym deszczem. Ojciec Mieczy opadł i rozplątał kogoś, jak dłuto rozłupujące posąg człowieka. Gnat ponownie schował się za tarczą, na którą trysnęła fontanna krwi. Deszcz bębnił o drewno, tworząc mokrą mgiełkę.

Włócznie uderzały z grzechotem na oślep w śliską ludzką masę. Grot jednej powoli ześlizgnął się po czyjejś tarczy i przebił dłoń, przygwoźdżając ją do piersi innego wojownika. Przewróciły rannego w błoto, gdzie kręcił głową – nie, nie –

drugą ręką szarpiąc drzewce, tratowany bezlitosnymi butami.

Gnat odtrącił grot włóczni tarczą i pchnął mieczem, trafiając kogoś od spodu w szczękę, odrzucając jego głowę do góry. Wróg opadł zalany krwią, wydając z siebie krzyk przypominający pierwszą nutę pieśni, którą Curnden kiedyś znał.

Z tyłu pojawił się oficer Unii ubrany w najpiękniejszą zbroję, jaką Gnat kiedykolwiek widział, całą pokrytą lśniącymi złotymi wzorami. Bezmyślnie okładał Czarnego Dowa ubłoconym mieczem i udało mu się powalić przeciwnika na kolana. Stój u boku swojego wodza. Gnat z rykiem doskoczył do walczących, mocno stawiając nogę w kałuży, wyrzucając w powietrze błotnistą wodę. Nie zastanawiał się długo i ciał w poprzek cudownego napierśnika, znacząc przepiękny przedmiot jasną bruzdą i odrzucając jego właściciela do tyłu. Ruszył naprzód, wyprowadzając pchnięcie, gdy Unionista się odwrócił. Ostrze Gnata zazgrzytało o dolną krawędź zbroi przeciwnika i przeszło go na wylot.

Gnat z trudem trzymał rękojeść miecza, a cała jego ręka lepiała się od gorącej krwi. Podtrzymał pokonanego drania, usiłując wydobyć z jego ciała ostrze, i razem z nim runął w błoto. Gdy poczuł twarz wroga na policzku, jego drapiący zarost i rżący oddech w uchu, zdał sobie sprawę, że nigdy nie był tak blisko z Colweną. Dokonał wyboru, czyż nie? Dokonał..

Dobre chęci czasami nie wystarczą i chociaż Gorst bardzo chciał dotrzeć na miejsce, nie był w stanie. Drogę zagradzało mu zbyt wiele leżących ciał. Zanim odrąbał nogę ostatniego z nich i odrzucił je na bok, stary Północny już wbił Jalenhormowi ostrze w brzuch. Gorst zobaczył zakrwawiony czubek miecza

pod pozłacaną krawędzią zroszonego deszczem napierśnika. Generał miał dziwaczny wyraz twarzy, gdy jego zabójca próbował wyszarpnąć miecz z jego ciała. Niemal się uśmiechał.

Znalazł odkupienie.

Stary Północny określił się, gdy usłyszał wycie Gorsta, wytrzeszczył oczy i uniósł tarczę. Długie ostrze spadło na nią od góry, rozłupując drewno, miażdżąc rękę, wbijając metalową krawędź w głowę i odrzucając zataczającego się wojownika w bok.

Gorst zbliżył się, by dokończyć dzieła, ale znów ktoś stanął mu na drodze. Jak zawsze. Młody chłopak, który wymachiwał toporkiem i coś krzychał. Typowe zawołania, pewnie giń, giń, bla, bla, bla. Gorst oczywiście nie miał nic przeciwko śmierci. Ale nie dla wygody tego głupca. Uchylił się w bok, pozwalając, by toporek odbił się od naramiennika, po czym obrócił się, przeszywając mokre powietrze długim ostrzem. Chłopak rozpaczliwie próbował zablokować uderzenie, ale ciężki rapier wyrwał mu toporek z dłoni i rozplątał twarz, chlapiąc wkóło mózgiem.

Gorst usłyszał szept czubka ostrza i szybko wyprowadził cięcie w tył z biodra. Poczł podmuch na policzku i nieprzyjemne szczypanie pod okiem. Pośrodku Bohaterów zrobiło się luźniej, gdy rozwrzeszczany tłum rozdzielił się na mniejsze chaotyczne skupiska walczących. Wszelkie ustalenia dotyczące formacji, taktyki, kierunków, rozkazów czy nawet stron konfliktu zniknęły bez śladu.

I bardzo dobrze, one tylko komplikują sprawy.

Przed Gorstem stał półnagi Północny z największym mieczem, jaki Bremer kiedykolwiek widział. A widziałem ich wiele. Broń była absurdalnie długa, jakby wykuta dla olbrzyma.

Szary matowy metal lśnił od deszczu, a obok rękojeści wytłoczono pojedynczą literę.

Wojownik wyglądał jak postać na efektownym obrazie namalowanym przez kogoś, kto nigdy nie widział pola bitwy, jednak idiotycznie wyglądający ludzie bywają równie groźni jak ci, którzy idiotycznie brzmią, a Gorst wykaszlał całą arogancję w zadymionym Domu Uciech Cardottiego.

Mężczyzna powinien każdą walkę traktować jak ostatnią. Czy to będzie moja ostatnia? Miejmy nadzieję.

Ostrożnie bujnął się do tyłu, gdy wojownik poruszył łokciami, by zadać cios z boku, i zasłonił się tarczą, przygotowując broń do kontrataku. Jednakże Północny, zamiast brać zamach, skoczył naprzód, używając potężnego ostrza jak włóczni, celując jego czubkiem obok krawędzi tarczy Gorsta. Trafił go w napierśnik i odrzucił do tyłu. Finta. Gorst miał ochotę odskoczyć do tyłu, ale zmusił się do obserwowania ostrza, które poruszało się po łuku poprzez deszcz, rozsiewając w powietrzu lśniące kropelki.

Gorst skręcił się w bok i olbrzymi miecz minął go z syknięciem, uderzył w zbroję na jego łokciu i zdarł ją z ciała. Bremer wykonał pchnięcie, ale trafił tylko spadającą z nieba wodę, gdyż jego półnagi przeciwnik się wyslizgnął. Gorst odwrócił się, by zadać wściekłe cięcie na wysokości głowy, ale Północny się schylił, po czym z zaskakującą szybkością poderwał miecz, tak że ostrza zderzyły się z brzękiem i z taką siłą, że walczącym zdrętwiały palce. Odsunęli się od siebie, bacznie się obserwując. Północny spokojnie przypatrywał się Gorstowi pomimo ulewnego deszczu.

Choć jego broń wyglądała jak rekwizyt z kiepskiej komedii, trudno było nie traktować go poważnie. Postawa, równowaga

i kąt, pod którym trzymał długie ostrze, zapewniały mu liczne możliwości obrony i ataku. Jego technika nie pochodziła z „Form szermierczych” Rubriariego, lecz to samo dotyczyło jego broni.

Obaj jesteście mistrzami.

Zanim Gorst zdążył się poruszyć, jeden z żołnierzy Unii wtoczył się pomiędzy nich, zgięty wpół. Trzymał się za ranę w brzuchu dłońmi pełnymi własnej krwi. Zniecierpliwiony Gorst odtrącił go tarczą, po czym skoczył na półnagięgo Północnego, wyprowadzając pchnięcie i cięcie, ten jednak uniknął pchnięcia i sparował cięcie szybciej, niż wydawało się to możliwe w przypadku tak ciężkiego ostrza. Gorst zamarkował cios z prawej strony, po czym uderzył nisko z lewej. Północny był na to przygotowany i uskoczył, a rapier Gorsta otarł się o błoto, po czym podciął nogę jednego z walczących, powalając go na ziemię przy wtórze głośnego wrzasku.

Trzeba było nie stać mi na drodze, głupcze.

Gorst otrząsnął się w porę, by zobaczyć zbliżające się olbrzymie ostrze. Westchnął i schował się za tarczą. Miecz pozostawił potężne wgłębienie na poobijanym metalu, zaginając go wokół przedramienia Bremera i wbijając mu pięść w usta. Mimo to, Gorst utrzymał się na nogach. Cofnął się, smakując krew, po czym staranował Północnego tarczą i odrzucił go do tyłu, tnąc na zmianę z lewej i prawej strony, wysoko i nisko. Północny uchylił się przed wysokim ciosem, ale niski zahaczył o jego nogę. Trysnęła krew i pod wojownikiem ugięło się kolano.

Punkt dla mnie. A teraz to skończymy.

Gorst ciął z lewej strony, ale na granicy pola widzenia dostrzegł jakiś ruch i w ostatniej chwili zmienił kąt uderzenia, prowadząc ostrze po obszerniejszym łuku. Z rykiem trafił jednego z Carlów w bok hełmu, tak mocno, że mężczyzna

oderwał się od ziemi i spadł głową do dołu na kłębowisko włóczni. Gorst błyskawicznie poprowadził ostrze z powrotem po skosie, ale Północny zdążył odturlać się zwinnie jak wiewiórka i wstał gotowy do dalszej walki, gdy rapier Bremera rozchlapał brudną wodę.

Gorst zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, gdy znów stanęli naprzeciwko siebie, otoczeni mokrym bitewnym koszmarem.

Kiedy ostatnio tak wyraźnie czułem, że żyję? Może nigdy? W sercu pulsował mu ogień, skóra mrowiła, gdy ściekał po niej deszcz. Wszystkie rozczarowania, upokorzenia i porażki nic nie znaczą. Każdy szczegół był wyraźny jak płomień w ciemności, każda chwila trwała wiek, każdy najmniejszy ruch, jego lub przeciwnika, opowiadał własną historię. Liczy się tylko zwycięstwo lub śmierć.

Północny odwzajemnił uśmiech i pokiwał głową, gdy Gorst odrzucił zniszczoną tarczę w błoto.

Rozpoznajemy swoją wartość, rozumiemy się i spotykamy jako równi sobie. Jako bracia. Darzą się szacunkiem, ale nie okażą litości. Najmniejsze wahanie po którejkolwiek ze stron stanowiłoby obrazę dla umiejętności przeciwnika. Dlatego Gorst również pokiwał głową, ale zanim skończył, już pędził naprzód.

Północny zablokował uderzenie mieczem, ale Gorstowi pozostała wolna ręka. Z wrzaskiem uderzył przeciwnika pięścią w żebra, a ten stęknął i skręcił się w bok. Gorst wymierzył kolejne uderzenie w twarz Północnego, lecz tym razem wróg się uchylił. Nagle znikąd pojawiła się głowica olbrzymiego miecza i Gorst w ostatniej chwili cofnął podbródek, a bryła metalu minimalnie minęła jego nos. Podniósł wzrok i zobaczył, że Północny skoczył na niego, tnąc mieczem od góry. Zmusił obolałe nogi do kolejnego skoku i trzymając karbowany rapier

obiema rękami, sparował cios. Zazgrzytał metal, szare ostrze wbiło się w stal od Calveza i odłupało kawałek jasnego ostrza.

Gorst poślizgnął się do tyłu pod wpływem siły uderzenia. Olbrzymi miecz znalazł się tuż przed jego twarzą, a on, zezując, zapatrzył się na jego zroszoną deszczem krawędź. Odzyskał przyczepność, gdy piętami uderzył w leżącego trupa i chwiejnie się zatrzymał. Spróbował podciąć Północnego, ale ten zablokował jego kopnięcie kolanem i doskoczył bliżej. Obaj walczący sapali i pluli sobie nawzajem w twarz, złączeni w uścisku. Ostrza szurały i zgrzytały, gdy pochylali się na wszystkie strony, co chwila zmieniając chwyt, szarpiąc, rozpaczliwie, ale bezskutecznie szukając choćby najmniejszej przewagi.

Idealny moment. Gorst nic nie wiedział o tym człowieku, nawet nie znał jego imienia. Ale jesteśmy sobie bliżsi niż kochankowie, ponieważ dzielimy ten sam wspaniały odprysk czasu. Patrzyli sobie w oczy. A także w oczy śmierci, która stale nam towarzyszy. Wiedzieli, że wszystko może się skończyć w ciągu jednej krwawej chwili. Zwycięstwo i porażka, chwała i zapomnienie, w całkowitej równowadze.

Idealny moment. Chociaż walczył ze wszystkich sił, by to zakończyć, Gorst żałował, że ta chwila nie może trwać wiecznie. Dołączymy do głazów, kolejni dwaj Bohaterowie w kręgu, znieruchomiali w walce, a trawa wyrośnie wokół nas, gdyż jesteśmy pomnikiem wojennej chwały, godności pojedynku, wieczystego spotkania szermierzy na szlachetnym polu...

– Och – odezwał się Północny. Nacisk zmałał. Ostrza się rozłączyły.

Wojownik zatoczył się do tyłu, zamrugał, patrząc na Gorsta, po czym zerknął w dół, głupio zwieszając żuchwę. W jednej

dłoni wciąż trzymał potężny miecz, którego wierzchołek wlekł się po błocie, pozostawiając wodnistą bruzdę. Drugą ręką delikatnie dotknął włóczni sterczącej mu z piersi i krwi spływającej po drzewcu.

– Tego się nie spodziewałem – powiedział, po czym runął jak kamień.

Gorst stał, patrząc na niego ze zmarszczonym czołem. Miał wrażenie, że minęło dużo czasu, ale pewnie trwało to tylko chwilę. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się włócznia. To bitwa. Jest ich tutaj pełno. Westchnął, wydmuchując kłęby pary. No cóż. Taniec trwa dalej. Starzec, który zabił Jalenhorma, miotał się w błocie w zasięgu ciosu ostrzem.

Gorst uniósł karbowaną stal.

Wtedy w jego głowie eksplodowało światło.

Beck widział to wszystko, patrząc ponad leżącymi ciałami, popychany i uderzany ze wszystkich stron, otepiały ze strachu. Widział, jak Gnat przewraca się i toczy po błocie. Widział, jak Drofd przechodzi nad nim i pada pod ciosem ostrza. Widział, jak Whirrun walczy z tamtym szalejącym żołnierzem. Ich zmagania trwały tylko kilka dzikich chwil, nawet nie był w stanie nadążyć za nimi wzrokiem. Widział, jak Whirrun ginie.

Pamiętał, że Gnat wskazał go Carlom Dowa jako przykład tego, co należy robić. Jakiś mężczyzna upadł przed nim z wrzaskiem i przed Beckiem otworzyła się wolna przestrzeń. Rób to, co należy. Stój u boku swojego wodza. Zachowaj głowę na karku. Gdy Unionista zbliżył się do Gnata, Beck zaszedł go od tyłu.

Rób to, co należy.

W ostatniej chwili skręcił nadgarstek i uderzył wroga płazem w bok głowy, powalając go w błoto. Później już go nie zobaczył, gdyż ponownie natarły na nich deptające buty, płatanina broni i wściekle wykrzywione twarze.

Gnat zamrugał i zaczął potrząsać głową, ale szybko przestał, gdy poczuł w gardle palące wymioty. Przetoczył się, stękając jak zmarli w piekle.

Jego tarcza była strzaskana, drewno popękało, a zakrwawiona krawędź owinęła się wokół obolałej ręki. Odrzucił przedmiot i otarł krew z jednego oka.

Bum, bum, bum – rozbrzmiewało w jego czaszce, jakby ktoś wbijał w nią olbrzymi gwóźdź. Poza tym panowała dziwna cisza. Wyglądało na to, że Północni przepędzili Unionistów ze wzgórza albo odwrotnie, a Gnat doszedł do wniosku, że jest mu wszystko jedno, kto wygrał. Dudniące stopy powlekły się dalej, pozostawiając na szczycie morze zbryzganego krwią, wychłostanego deszczem i zdeptanego błota, na którym zabici i ranni leżeli gęsto jak jesienne liście, a Bohaterowie jak zwykle stali na bezcelowej warcie.

– Psiakrew. – Droid leżał zaledwie krok albo dwa dalej, zwrócony w stronę Gnata bladą twarzą. Gnat spróbował wstać i znów niemal zwymiotował. Zamiast tego postanowił się przeczołgać. – Droid, nic ci nie jest? Czy... – Chłopak miał odrąbaną drugą stronę głowy, tak że Gnat nie wiedział, gdzie kończy się czarna maź wewnątrz czaszki, a gdzie zaczyna czarna maź na zewnątrz.

Poklepał Droida po piersi.

– Psiakrew.

Whirrun leżał na wznak, a obok niego na wpeł zakopany w błocie tkwił Ojciec Mieczy. Głowica spoczywała obok prawej dłoni wojownika, z którego piersi sterczało zakrwawione drzewce włóczni.

– Psiakrew – ponownie zaklął Gnat. Nie wiedział, co jeszcze może powiedzieć.

Whirrun wyszczerzył zęby różowe od krwi, gdy Curnden się do niego doczołgał.

– Gnacie! Witaj! Wstałbym, ale... – Uniósł głowę i zerknął na drzewce włóczni. – Mam przejebane. – Gnat widział w życiu wiele ran, więc od razu zorientował się, że w niczym nie zdoła pomóc.

– Rzeczywiście. – Powoli usiadł, opierając na kolanach dłoń ciężkie jak kowadła. – Na to wygląda.

– Szogliga gadała głupoty. Ta stara suka wcale nie wiedziała, kiedy umrę. Gdybym o tym wiedział, na pewno włożyłbym zbroję. – Whirrun wydał z siebie dźwięk, który przypominał kaszel albo śmiech, po czym skrzywił się, zakaszłał, zachichotał i znów się skrzywił. – Kurwa, ale boli. Niby wiadomo, że tak będzie, ale, kurwa, naprawdę boli. Chyba naprawdę wskazałeś mi moje przeznaczenie, co, Gnacie?

– Na to wygląda. – Nie było to zbyt imponujące przeznaczenie. Raczej nikt sam by go dla siebie nie wybrał.

– Gdzie jest Ojciec Mieczy? – stęknął Whirrun, próbując się rozejrzeć.

– Czy to ważne? – Krew drażniła powiekę Gnata, zmuszając go do mrugania.

– Muszę go przekazać. Takie są zasady. Tak jak mnie przekazał go Daguf Col, jemu Yorweel Góra, a wcześniej był chyba Cztery-Twarze? Umykają mi szczegóły.

– W porządku. – Gnat się pochylił, czując bolesne pulsowanie w głowie, wygrzebał rękojeść z błota i wetknął ją w dłoń Whirruna. – Komu chcesz go przekazać?

– Zadbasz o to?

– Obiecuję.

– Dobrze. Nie ma zbyt wielu ludzi, którym mógłbym powierzyć to zadanie, ale ty masz zasady, Gnacie. Prawdziwy z ciebie tradycjonalista. – Whirrun się uśmiechnął. – Złóż go do ziemi.

– Co takiego?

– Pochowaj go ze mną. Kiedyś myślałem, że to zarazem błogosławieństwo i przekleństwo, ale dziś wiem, że Ojciec Mieczy to tylko przekleństwo, a ja nie mam zamiaru obarczać nim żadnego biedaka. Kiedyś myślałem, że to zarazem nagroda i kara, ale oto jedyna nagroda dla ludzi takich jak my. – Whirrun wskazał głową zakrwawione drzewce włóczni. – To albo... dożycie chwili, gdy już nie warto o nas mówić. Złóż go do ziemi, Gnacie. – Skrzywił się, wkładając mu rękojeść w dłoń i zaciskając brudne palce.

– Tak zrobię.

– Przynajmniej nie będę musiał więcej go dźwigać. Czujesz, jaki jest ciężki?

– Każde ostrze stanowi brzemień. Ludzie tego nie widzą, gdy biorą je do ręki, ale z czasem coraz trudniej je nosić.

– Mądrze powiedziane. – Whirrun na chwilę wyszczerzył zakrwawione zęby. – Powinienem teraz coś powiedzieć. Coś, co wzruszyłoby ludzi. Coś, co pasowałoby do pieśni. Ale myślałem, że mam przed sobą jeszcze wiele lat. Przychodzi ci coś do głowy?

– Coś do powiedzenia?

– Tak.

Gnat pokręcił głową.

– Nigdy nie byłem w tym zbyt dobry. A jeśli chodzi o pieśni... myślę, że bardowie i tak je zmyślają.

– Też tak uważam. A to dranie. – Whirrun zamrugał i popatrzył na niebo. Deszcz w końcu osłabł. – Nareszcie wychodzi słońce. – Pokręcił głową, wciąż się uśmiechając. – No i proszę. Szogliga gadała głupoty.

Potem znieruchomiał.

Zaostrzony metal

Padał rzęsisty deszcz i widoczność spadła do pięćdziesięciu kroków. Calder patrzył na swoich ludzi bezmyślnie kotłujących się z Unionistami, na splątane włócznie i halabardy, stłoczone ręce, nogi i twarze. Ryki, wycie, buty ślizgające się w błotnistych kałużach, dłonie z trudem utrzymujące śliskie rękojeści i drzewca, zakrwawiony metal, zabici i ranni unoszący się jak korki na wodzie albo wdeptani w błoto. Od czasu do czasu z nieba spadały strzały niewiadomego pochodzenia, które odbijały się od hełmów lub tarcz i wirując wpadały w brudną breję.

Trzeci rów, a raczej ten jego kawałek, który Calder widział, zmienił się w koszmarne bagno, w którym pokryte zaschniętą mazią diabły dźgały, siłowały się i miotały w zwolnionym tempie. W kilku miejscach żołnierze Unii zdołali się przedostać. Kilkakrotnie pokonali mur i zostali odparci tylko dzięki rozpaczliwym wysiłkom Białookiego i jego rosnącego tłumu walczących rannych.

Calder miał gardło zdarte od krzyku, a i tak nikt go nie słyszał. Każdy, kto potrafił utrzymać broń, zaciekle walczył, jednak Unioniści nie przestawali nacierać, fala za falą, bez końca maszerując w ich stronę. Nie miał pojęcia, gdzie się podział Błady-jak-Śnieg. Może zginął. Tak jak wielu innych. Taka bezpośrednia walka, gdy wróg jest na tyle blisko, by splunąć nam w twarz, nigdy nie trwa długo. Ludzie nie są w stanie jej wytrzymać. W końcu jedna strona ustępuje i linie załamują się

jak pękająca tama. Calder czuł, że ta chwila się zbliża. Nerwowo się obejrzał. Kilku rannych, kilku łuczników, a za nimi niewyraźny zarys gospodarstwa. Tam zostawił konia. Może nie jest za późno, żeby...

Jacyś ludzie wygramolili się z rowu po lewej stronie i ruszyli w jego stronę. Przez chwilę myślał, że to jego wojownicy, którzy poszli po rozum do głowy i postanowili uciec. Potem z lodowatym przerażeniem uświadomił sobie, że pod warstwą błota kryją się mundury żołnierzy Unii, którzy przedarli się przez lukę między walczącymi.

Stał z szeroko otwartymi ustami, gdy ku niemu pędzili. Za późno na ucieczkę. Pozbawiony hełmu oficer biegnący na przodzie z wywieszonym językiem zamachnął się ubłoconym ostrzem, a Calder uskoczył, rozchlapując wodę z kałuży. Udało mu się zablokować kolejny cios, lecz mocne uderzenie wykręciło mu broń w dłoni, a jego ręka zdrętwiała aż do ramienia.

Chciał wydać jakiś męski okrzyk, ale zamiast tego zawołał:

– Pomocy! Kurwa! Pomocy! – Jego głos był szorstki i gardłowy i nikt go nie słyszał albo nikt się nim nie przejął, skoro wszyscy walczyli o życie.

Nikt by nie zgadł, że jako chłopiec Calder każdego ranka był wleczony na dziedziniec, gdzie ćwiczył walkę włócznią i ostrzem. Niczego nie pamiętał. Wymachiwał obiema rękami jak stara baba próbująca zabić pająka miotłą. Rozdziawił usta, a w oczach miał pełno mokrych włosów. Powinien był ściąć te przekłete...

Westchnął, gdy oficer ponownie spróbował go dźgnąć, zaczepił o coś stopą, zatoczył się, jedną ręką chwytając pustkę, i wylądował na tyłku. Potknął się o jeden z ukradzionych sztandarów. Cóż za ironia. Wierzgał w błocie przemoczonymi

styryjskimi butami, usiłując wstać. Zmęczony oficer zbliżył się o krok, unosząc ostrze, po czym pisnął i padł na kolana. Jego głowa poleciała w bok, a tryskające krwią ciało przewróciło się na kolana Caldera, który sapał, pluł i mrugał.

– Pomyślałem, że ci pomogę. – Któż by inny jak nie Brodd Dziesięć Sposobów. Stał z mieczem w dłoni, paskudnym uśmiechem na parchatej twarzy i kolczugą lśniąca od deszczu. Najbardziej niespodziewany zbawca. – Nie mogłem pozwolić, żebyś sam okrył się chwałą, prawda?

Calder odepchnął krwawiącego trupa i z trudem wstał.

– Jedna część mnie chce ci powiedzieć, żebyś się pierdolił!

– A druga?

– Sra ze strachu. – Wcale nie żartował. Nie byłby zaskoczony, gdyby to jego głowę w następnej kolejności ściał miecz Dziesięciu Sposobów.

Jednakże Brodd tylko wyszczerzył zgniłe zęby.

– Chyba po raz pierwszy powiedziałeś coś szczerze.

– Niewykluczone.

Dziesięć Sposobów skinął głową w stronę przemoczonych walczących.

– Idziemy?

– Jasne. – Calder przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zaszarżować, rycząc jak szaleniec, aby odwrócić bieg bitwy. Tak zrobiłby Szalka. Niestety, to nie było jego mocną stroną. Entuzjizm, który czuł, gdy obserwował oddziały kawalerii, już dawno się ulotnił, pozostawiając go mokrym, zziębniętym, obolałym i wyczerpanym. Udał grymas bólu i chwycił się za kolano. – Psiakrew! Zaraz cię dogonię.

Dziesięć Sposobów szeroko się uśmiechnął.

– Oczywiście. Niby dlaczego nie miałbyś tego zrobić? Za mną, dranie! – Poprowadził swoich ponurych Carlów ustawionych w klin w stronę luki w szeregach. Tymczasem kolejna grupa jego ludzi przeskoczyła przez mur po lewej stronie.

Deszcz ustępował. Calder dokładniej widział pole bitwy i z ulgą stwierdził, że przybycie Dziesięciu Sposobów może przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę. Ale nie musi. Wystarczy kilku żołnierzy Unii więcej i wszystko znów może się rozsypać. Gdy słońce na chwilę wyjrzało zza chmur, niewyraźna tęcza rozpostarła się nad masą mokrego metalu po prawej stronie, po czym delikatnie dotknęła łysego wzgórza i wznoszącego się na nim niskiego muru.

Ci dranie na drugim brzegu strumienia. Jak długo będą siedzieli bez ruchu?

Pokój w naszych czasach

Zbocza wzgórze były zasłane rannymi. Umierającymi. Zabitymi. Finree miała wrażenie, że dostrzega kilka znajomych twarzy, ale nie mogła być pewna, czy to martwi przyjaciele, martwi znajomi czy po prostu trupy o znajomo wyglądających włosach. Kilka razy widziała obwisłą twarz Hala, obleśnie uśmiechniętą, z rozdziawionymi ustami, z wyszczerzonymi zębami. To nie miało większego znaczenia. Najbardziej przerażającą rzeczą dotyczącą zmarłych było to, że do nich przywykła.

Przeszli przez lukę w niskim murze i znaleźli się wewnątrz kręgu głazów, gdzie na każdym kawałku trawy leżały ofiary bitwy. Jakiś mężczyzna próbował ścisnąć olbrzymią ranę na nodze, ale gdy przytrzymał jeden koniec, drugi się rozwierał i wypływała z niego krew. Ojciec Finree zsiadł z konia, jego oficerowie podążyli za nim, a ona powędrowała ich śladem. Błady chłopiec trzymający trąbkę w zaciśniętej ubłoconej pięści obserwował ją w milczeniu. Szli przez sam środek tego szaleństwa jak biała procesja, niemal całkowicie ignorowani. Marszałek Kroy rozglądał się z zaciśniętymi szczękami.

Jeden z młodszych oficerów minął ich, wymachując wygiętym ostrzem.

– Formować szyki! Formować szyki! Wy, tam! Gdzie, do diabła...

– Lordzie marszałku. – Charakterystyczny wysoki głos.

Gorst chwiejnie wstał spośród grupy obdartych żołnierzy

i zasalutował ze znużeniem. Z pewnością nie narzekał na brak walki. Jego zbroja była poobijana i zaplamiona. Pusta pochwa zwisała w sposób, który w innych okolicznościach mógłby się wydać zabawny. Pod jednym okiem miał długie skaleczenie, które pokryło się czarnym strupem, a policzek, żuchwę i bok grubej szyi znaczyła zaschnięta krew. Kiedy odwrócił głowę, Finree zauważyła, że białko drugiego oka jest przerażająco czerwone. Powyżej założono opatrunek, który już przemakał.

– Pułkownik Gorst, co się stało?

– Zaatakowaliśmy. – Gorst zamrugał, zauważył Finree i wyraźnie opadł z sił. W milczeniu uniósł dłonie, po czym pozwolił im opaść. – Przegraliśmy.

– Północni wciąż zajmują Bohaterów?

Bremer powoli pokiwał głową.

– Gdzie jest generał Jalenhorm? – spytał marszałek.

– Nie żyje – pisnął Gorst.

– A pułkownik Vinkler?

– Także zginął.

– Kto dowodzi?

Gorst stał w milczeniu. Ojciec Finree odwrócił się i ze zmarszczonym czołem popatrzył w stronę szczytu. Deszcz osłabł i długie zbocze prowadzące ku Bohaterom zaczęło wyłaniać się z szarości, a wraz z zieloną trawą pojawiły się kolejne trupy. Zabici po obu stronach, popękana broń i pancerze, połamane włócznie, wystrzelone strzały. Następnie mur otaczający wierzchołek, szorstkie głązy poczerwieniałe od ulewy, poniżej znów ciała, a powyżej włócznie Północnych. Wciąż na posterunku. Wciąż czujni.

– Marszałku Kroy! – Pierwszy z Magów nie kłopotał się zsiadaniem z konia. Siedział z nadgarstkami skrzyżowanymi na

łędu siodła, przebierając grubymi palcami. Przyglądał się skutkom rzezi z przenikliwą, nieco zawiedzioną miną człowieka, który zapłacił za wypielenie ogrodu, po czym odkrył, że przegapiono kilka pokrzyw. – Drobnie niepowodzenie, ale cały czas przybywają posiłki, a pogoda się poprawia. Proponuję dokonać przegrupowania i przygotować ludzi do kolejnego natarcia. Wygląda na to, że generał Jalenhorm zdołał dotrzeć aż do Bohaterów, więc kolejna próba może...

– Nie – odparł ojciec Finree.

Bayaz nieznacznie unióśł brwi, jakby zazwyczaj posłuszny ogar odmówił przyjścia do nogi.

– Nie?

– Nie. Poruczniku, czy ma pan przy sobie białą flagę?

Chorąży nerwowo zerknął na Bayaza, po czym przełknął ślinę.

– Oczywiście, lordzie marszałku.

– Proszę ją przymocować do drzewca i ostrożnie podjechać do Bohaterów. Sprawdzimy, czy Północni dadzą się namówić do rozmów.

Wśród ludzi znajdujących się w zasięgu słuchu poniósł się dziwny pomruk. Gorst wystąpił z tłumu.

– Marszałku Kroy, myślę, że kolejny atak mógłby...

– Jest pan królewskim obserwatorem. Proszę obserwować.

Gorst przez chwilę stał bez ruchu, po czym zerknął na Finree, zamknął usta i się wycofał.

Pierwszy z Magów patrzył, jak żołnierze wciągają białą flagę, a jego twarz coraz bardziej pochmurniała, mimo poprawy pogody. W końcu popędził konia, zmuszając kilku wyczerpanych Unionistów do uskoczenia z drogi.

– Jego Królewska Mość będzie bardzo zawiedziony, lordzie marszałku. – Otaczała go złowieszcza aura zupełnie nieprzystająca do krępego łysego staruszka w przemoczonym płaszczu. – Oczekuje, że każdy wypełni swój obowiązek.

Ojciec Finree stał przed rumakiem Bayaza z wypiętą pierśią i uniesionym podbródkiem, przyjmując na siebie pełen ciężar niezadowolenia maga.

– Mój obowiązek polega na dbaniu o życie tych ludzi. Nie będzie kolejnego natarcia. Przynajmniej dopóki ja tutaj dowodzę.

– A jak długo to potrwa?

– Wystarczająco długo. Proszę jechać! – burknął na chorążego, a mężczyzna ruszył galopem z powiewającą białą flagą.

– Lordzie marszałku. – Bayaz nachylił się, upuszczając każdą sylabę jak potężny głaz. – Mam szczerą nadzieję, że rozważył pan konsekwencje...

– Rozważyłem i jestem zadowolony. – Kroy również lekko się pochylił i zmrużył oczy, jakby patrzył pod wiatr. Finree miała wrażenie, że drży mu dłoń, ale mówił spokojnym i wyważonym głosem. – Chyba najbardziej będę żałował tego, że pozwoliłem sprawom zajść tak daleko.

Mag jeszcze mocniej ściągnął brwi, a jego syczący głos drażnił uszy.

– Zapewniam pana, lordzie marszałku, że człowiek może żałować znacznie poważniejszych rzeczy...

– Czy mogę? – Służący Bayaza wesoło szedł w ich stronę poprzez chaos. Był przemoczony jakby przepłynął rzekę i ubłocony jakby pokonał bagno, ale nie zdradzał najmniejszych oznak niewygody.

Bayaz pochylił się w jego stronę, a służący szepnął mu coś do ucha przez złożoną dłoń. Mag powoli się rozpogodził, po czym wyprostował się w siodle, przez chwilę nad czymś rozmyślał, aż wreszcie wzruszył ramionami.

– Dobrze, marszałku Kroy – rzekł. – Pan tutaj dowodzi.

Ojciec Finree się odwrócił.

– Będę potrzebował tłumacza. Kto zna ich język?

Podszedł do niego oficer z grubo obandażowaną ręką.

– Wilczarz i część jego Północnych byli z nami na początku natarcia, ale... – Zmrużył oczy, wpatrując się w kłębiący się tłum rannych i zmęczonych żołnierzy. Skąd można wiedzieć, gdzie ktokolwiek się teraz znajduje?

– Trochę mówię w języku Północy – rzekł Gorst.

– Trochę to za mało. Nie możemy sobie pozwolić na nieporozumienia.

– Ja to zrobię – powiedziała Finree.

Ojciec popatrzył na nią z zaskoczeniem, jakby nie spodziewał się jej tam zobaczyć, a już na pewno nie oczekiwał, że dziewczyna zgłosi się na ochotnika.

– Wykluczone. Nie mogę...

– Pozwolić sobie na zwłokę? – dokończyła za niego. – Wczoraj rozmawiałam z Czarnym Dowem i zaproponował mi warunki zawieszenia broni. Zna mnie, więc najlepiej nadam się do tego zadania. Powinnam pójść.

Jeszcze przez chwilę na nią patrzył, po czym delikatnie się uśmiechnął.

– Dobrze.

– Będę wam towarzyszył – pisnął Gorst, choć taka rycerskość była obrzydliwie nie na miejscu pośród tyłu trupów. – Czy mogę

pożyczyć broń, pułkowniku Felnigg? Swoją zostawiłem na szczycie wzgórza.

Ruszyli we trójkę przez słabnącą mżawkę, a Bohaterowie wyraźnie odznaczali się na tle nieba przed nimi. Nie uszli daleko, gdy marszałek Kroy się poślizgnął i niezdarnie upadł, chwytając się trawy. Finree podbiegła, żeby mu pomóc. Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni, ale nagle wydał się jej bardzo stary. Zupełnie jakby konfrontacja z Bayazem wyssała z niego dziesięć lat. Oczywiście, Finree zawsze była dumna z ojca, jednak chyba nigdy nie czuła tego tak wyraźnie jak w tamtej chwili. Była jednocześnie dumna i smutna.

Cudna przeciągnęła na wylot igłę i nitkę po czym zawiązała supełek. Zazwyczaj zajmował się tym Whirrun, ale Rąbnięty, niestety, już założył swoje ostatnie szwy.

– Dobrze, że masz taki zakuty łeb.

– Od zawsze mi służy – bezwiednie zażartował Gnat, nie okazując ani nie oczekując wesołości. Obok muru stojącego naprzeciwko Dzieci rozległy się krzyki. Właśnie tam się ich spodziewali, gdy ponownie nadejdzie Unia. Gnat wstał, a wtedy świat zatańczył mu przed oczami, a czaszka omal nie eksplodowała.

Yon chwycił go za łokieć.

– W porządku?

– Na ile to możliwe. – Gnat powstrzymał mdłości i przepchnął się przez tłum, a wtedy jego oczom ukazały się dolina i niebo, które po burzy zabarwiło się na dziwne kolory. – Wracają? – Nie był pewien, czy wytrzymają kolejną rundę. On z pewnością nie.

Mimo to, Dow uśmiechnął się radośnie.

– Można tak powiedzieć. – Wskazał trzy postacie wspinające się w stronę Bohaterów tą samą trasą, którą obrał Czerstwy, gdy kilka dni wcześniej przyszedł poprosić o oddanie wzgórza. Kiedy Gnat wciąż miał przy sobie większą część swojej dwunastki, która oczekiwała, że ich obroni. – Chyba chcę rozmawiać.

– Rozmawiać?

– Chodźmy. – Dow rzucił Dreszczowi swój topór pokryty zaschniętą krwią, wyprostował łańcuch na ramionach, po czym ruszył w dół zbocza przez lukę w omszałym murze.

– Nie tak szybko! – zawołał Gnat, ruszając w ślad za wodzem.
– Moje kolana tego nie zniosą!

Trzy postacie się zbliżyły. Gnat poczuł ulgę, gdy zorientował się, że jest wśród nich kobieta, którą poprzedniego dnia przeprowadził przez most ubraną w wojskowy płaszcz. Niestety, szybko stracił humor, kiedy zobaczył, kim jest trzeci przybysz. Potężny Unionista o zabandażowanej głowie, który prawie go zabił podczas bitwy.

Spotkali się mniej więcej w połowie drogi między Bohaterami a Dziećmi. Tam, gdzie z ziemi sterczały pierwsze strzały. Starzec stał wyprostowany, trzymając ręce za plecami. Był gładko ogolony, miał krótkie siwe włosy i bystre spojrzenie, jakby nic nie mogło ująć jego uwagi. Miał na sobie czarny płaszcz, na kołnierzu ozdobiony wzorem z liści wyszytym srebrną nicią, a przy boku rapier z głowicą wykonaną ze szlachetnego kamienia. Broń wyglądała na nieużywaną. Dziewczyna stała obok niego, a żołnierz pozbawiony szyi nieco z tyłu, skąd bacznie obserwował Gnata. Jedno białko oka miał krwistoczerwone, a pod drugim widniało czarne skaleczenie. Najwyraźniej zostawił swoją broń w błocie na wzgórzu, ale już znalazł inną. Tutaj nietrudno o ostrze. Takie nastały czasy.

Dow zatrzymał się dwa kroki ponad nimi, a Gnat krok za nim, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wystarczająco blisko, żeby szybko dobyć miecza, chociaż wątpił, by miał na to dosyć siły. Z trudem utrzymywał się na nogach. Dow był bardziej energiczny.

– No, no – rzekł, szczerząc wszystkie zęby do dziewczyny i rozkładając ręce na powitanie. – Nie spodziewałem się, że tak szybko znów się zobaczymy. Chcesz się przytulić?

– Nie – odparła. – To mój ojciec, lord marszałek Kroy, dowódca królewskiego...

– Domyśliłem się. A ty mnie okłamałaś.

Zmarszczyła brwi.

– Okłamałam?

– Jest ode mnie niższy. – Dow uśmiechnął się jeszcze szerzej. – A przynajmniej z tego miejsca na takiego wygląda. Co za dzień, prawda? Pełen czerwieni. – Podniósł czubkiem buta porzuconą unijną włócznię, po czym odrzucił ją na bok. – Czym mogę służyć?

– Mój ojciec proponuje zakończenie walk.

Gnat poczuł tak silną ulgę, że ugięły się pod nim opuchnięte kolana. Dow był bardziej powściągliwy.

– Mógł to zrobić wczoraj, kiedy złożyłem swoją ofertę, a mielibyśmy znacznie mniej grobów do wykopania.

– Ale proponuje teraz.

Dow popatrzył na Gnata, a ten zdołał tylko wzruszyć ramionami.

– Lepiej późno niż wcale.

– Hmm. – Dow zmrużył oczy, obserwując dziewczynę, żołnierza i marszałka, jakby rozważał odmowę. Potem oparł

dłonie na biodrach i westchnął. – W porządku. Nigdy nie prosiłem się o tę walkę. Mógłbym zabijać własnych ludzi zamiast marnować siły na was, dranie.

Dziewczyna powiedziała kilka słów do ojca, a on coś jej odpowiedział.

– Mój ojciec jest bardzo zadowolony.

– Od razu łżej mi na sercu. Ale zanim omówimy szczegóły, muszę trochę posprzątać. – Zerknął na skutki rzezi wokół Dzieci.

– Wy pewnie też. Porozmawiamy jutro po obiedzie. Nie załatwiam interesów z pustym brzuchem.

Dziewczyna przetłumaczyła jego słowa ojcu. W tym czasie Gnat popatrzył na czerwonookiego żołnierza, a ten odwzajemnił spojrzenie. Na szyi miał długą smugę krwi. Swojej, Gnata, a może któregoś z jego martwych przyjaciół? Niecałą godzinę temu walczyli, ze wszystkich sił próbując się pozabijać. Teraz już nie było takiej potrzeby. Gnat zastanawiał się, dlaczego wcześniej musieli to robić.

– Wasz człowiek to jebany zabójca – rzekł Dow, mniej więcej podsumowując myśli Gnata.

Dziewczyna zerknęła przez ramię.

– Jest... – szukała właściwych słów – ...królewskim obserwatorem.

Dow parsknął.

– No to dzisiaj, kurwa, nie ograniczył się do obserwowania. To diabeł wcielony i mówię to jako komplement. Ludzie tacy jak on przydaliby się po naszej stronie Białej. Gdyby był Północnym, śpiewaliby o nim pieśni. Psiakrew, może nawet sam zostałby królem, zamiast służyć swojemu władcy. – Na ustach Dowa pojawił się charakterystyczny kpiący uśmiech. – Spytaj go, czy chce dla mnie pracować.

Dziewczyna otworzyła usta, ale mężczyzna bez szyi ją uprzedził, odzywając się z silnym akcentem. Miał najbardziej piskliwy i dziewczęcy głos, jaki Gnat kiedykolwiek słyszał u mężczyzny.

– Tutaj jest mi dobrze.

Dow uniósł jedną brew.

– Oczywiście. Nawet bardzo dobrze. Pewnie dlatego tak sprawnie zabijasz ludzi.

– Co z moją przyjaciółką? – spytała dziewczyna. – Tą, którą schwytaście razem ze mną...

– Nie poddajesz się, co? – Dow ponownie pokazał zęby. – Naprawdę myślisz, że jeszcze komuś na niej zależy?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Mnie na niej zależy. Czy nie załatwiłam tego, o co prosiłeś?

– Trochę za późno. – Dow przebiegł wzrokiem po ciałach leżących na zboczu, wziął głęboki wdech, po czym wydmuchnął powietrze. – Ale taka jest wojna. Ktoś musi przegrać. Może to i dobry pomysł wysłać delegację i dać wszystkim znać, że mogą przestać walczyć i zamiast tego pośpiewać pieśni. Wstyd byłoby dalej się zarzynać bez powodu, prawda?

Kobieta zamrugła, po czym przełożyła jego słowa na język Unii.

– Mój ojciec chciałby zabrać ciała zabitych.

Obrońca Północy już odwracał się do nich plecami.

– Jutro. Przecież nie uciekną.

Czarny Dow ruszył w górę wzgórza, a starszy mężczyzna posłał Finree przepaszający uśmiech, po czym podążył za swoim wodzem.

Dziewczyna wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze z płuc.

– To chyba wszystko.

– Zawarcie pokoju zawsze jest rozczarowujące – odrzekł ojciec – ale i tak potrzebne.

Sztywnym krokiem ruszył z powrotem w stronę Dzieci, a córka szła u jego boku.

Rozmowa od niechcienia, kilka kiepskich żartów, których połowa obecnych nie zrozumiała, i było po wszystkim. Bitwa się skończyła. Wojna się skończyła. Czy nie mogli odbyć tej rozmowy na początku, tak by wszyscy ci ludzie wciąż żyli? Żeby wciąż mieli ręce i nogi? Nie potrafiła poukładać sobie tego w głowie. Może powinna wściekać się z powodu tego absurdalnego marnotrawstwa, ale była zbyt zmęczona i rozdrażniona tym, że wilgotne ubranie obciera jej plecy. Przynajmniej rzeź wreszcie się skończyła...

Nad polem bitwy przetoczył się grzmot. Potwornie, przerażająco głośny. Przez chwilę myślała, że to piorun uderzył w Bohaterów. Spóźniony kaprys burzy. Potem zobaczyła olbrzymią kulę ognia buchającą ponad Osrungiem, tak wielką, że niemal poczuła gorąco na twarzy. Wokół wirowały jakieś plamki ciągnące za sobą w niebo smugi i spirale pyłu. Kawalki budynków. Belki i kamienie. Ludzie. Płomień zniknął i w górę wystrzelił obłok czarnego dymu, który rozlał się po niebie jak odwrócony wodospad.

– Hal – szepnęła Finree i zanim zorientowała się, co robi, puściła się biegiem.

– Finree! – zawołał jej ojciec.

– Ja za nią pójde – rzekł Gorst.

Nie zwracała na nic uwagi, jak najszybciej mknąc w dół

zbocza, a poły płaszcz Hala owijały się wokół jej nóg.

– Co, do diabła... – mruknął Gnat, obserwując kolumnę dymu, która pełzła po niebie, niesiona wiatrem w ich stronę. U jej podstawy migotały pomarańczowe płomienie liżące poszarpane ruiny, które kiedyś były budynkami.

– Ops – odezwał się Dow. – To pewnie niespodzianka Ishri. Gówniane wycucie chwili.

W innych okolicznościach Gnat mógłby być przerażony, ale dziś trudno było wykrzesać z siebie jakiegokolwiek emocje. Człowiek jest zdolny do ograniczonej ilości współczucia, a on już dawno przekroczył swój limit. Przełknął ślinę, po czym odwrócił się od olbrzymiego drzewa pyłu, które rozpościerało gałęzie ponad doliną, i powędrował za Dowem.

– Trudno nazwać to zwycięstwem – rozważał Dow – ale nie jest źle. Lepiej pošlijmy kogoś do Reacheya i każmy mu złożyć broń. A także do Dziesięciu Sposobów i Caldera, jeśli wciąż...

– Wodzu. – Gnat przystanął na mokrym zboczu obok trupa Unionisty spoczywającego twarzą w błocie. Człowiek powinien postępować zgodnie z zasadami. Stać u boku swojego wodza, niezależnie od tego, co czuje. Robił tak przez całe życie, a powiadają, że stary koń nie potrafi przeskakiwać nad nowymi przeszkodami.

– Tak? – Dow przestał się uśmiechać, gdy popatrzył na twarz Gnata. – Coś taki ponury?

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Chwila prawdy

Ulewa nareszcie dobiegła końca, ale woda wciąż ściekała z liści na przemoczonych, obolałych, niezadowolonych żołnierzy pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości. Kapral Tunny był najbardziej przemoczony, obolały i niezadowolony ze wszystkich. Nadal siedział przykucnięty w zaroślach. Nadal wpatrywał się w ten sam fragment muru, który obserwował od świtu i przez większość poprzedniego dnia. Oko bolało go od mosiężnej końcówki lunety, szyję miał podrażnioną od ciągłego drapania, a tyłek i pachy poobcierane od mokrych ubrań. Podczas swojej kariery pełnej wzlotów i upadków wykonywał wiele gównianych zadań, ale to było jednym z najgorszych, gdyż łączyło w sobie dwie najpaskudniejsze cechy wojskowego życia – przerażenie i nudę. Na jakiś czas mur zniknął za ścianą rześistego deszczu, ale teraz znów nabrał kształtów. Wciąż był tą samą stertą omszałych kamieni prowadzącą w dół ku brzegowi. A ponad nim sterczały te same włócznie.

– Już coś widać? – syknął Vallimir.

– Tak, panie pułkowniku. Nadal tam są.

– Daj mi to! – Vallimir wyrwał mu lunetę, przez chwilę patrzył na mur, po czym opuścił ją z naburmuszoną miną. – Psiakrew!

Tunny zdobył się na odrobinę współczucia. O ile to możliwe wobec oficera. Ruszenie do natarcia oznaczało sprzeciwienie się treści rozkazu Mittericka, pozostanie zaś oznaczało sprzeciwienie się jego formie. Tak czy inaczej, pułkownik miał

na tym ucierpieć. Oto najlepszy argument przeciwko awansowi powyżej rangi kaprała.

– Mimo wszystko idziemy! – burknął Vallimir, w którym najwyraźniej zwyciężyło pragnienie chwały. – Przygotujcie ludzi do ataku!

Forest zasalutował.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Stało się. Żadnego grania na zwłokę, żadnych zwolnień ze służby, żadnego udawania choroby ani kontuzji. Czas stanąć do walki i Tunny musiał przyznać, że niemal poczuł ulgę, gdy zapinał klamrę hełmu. Wszystko tylko nie siedzenie w tych przeklętych zaroślach. Rozkaz przekazywano szeptem wzdłuż linii, a żołnierze wstawali przy wtórze grzechotu i zgrzytania metalu, poprawiali zbroje i dobywali broni.

– To już teraz? – spytał Żółtko z szeroko otwartymi oczami.

– Teraz. – Tunny był dziwnie radosny, gdy odwiązywał sznurki i zsuwał płócienną osłonę ze sztandaru. Poczuł znajomy ucisk w gardle, gdy delikatnie rozwinął drogocenny kwadrat czerwonego materiału. Nie strach. Wcale nie. To drugie, znacznie niebezpieczniejsze uczucie. Tunny wielokrotnie usiłował je zdusić, ale ono zawsze ponownie kiełkowało, równie silne jak poprzednio, gdy najmniej tego pragnął.

– Ruszamy – szepnął.

Złote słońce Unii wyślizgnęło się z ukrycia, gdy rozwinął materiał. Wyszyto na nim cyfrę jeden. Sztandar regimentu, w którym kapral Tunny służył od młodości, na pustyni i w śniegu. Nazwy dawnych bitew wyhaftowane złotą nicią, lśniące w cieniu. Nazwy bitew toczonych i wygranych przez lepszych od niego.

– Ruszamy, psiakrew. – Bolał go nos. Podniósł wzrok na

gałęzie drzew, na czarne liście i jasne szpary między nimi, przez które prześwitywało niebo, na krople wody połyskujące na ich krawędziach. Zatrzepotał powiekami, powstrzymując łzy. Zbliżył się do skraju lasu, usiłując stłumić tępy ból za mostkiem, gdy żołnierze otoczyli go długim rzędem. Czuł mrowienie w kończynach. Za nim stali Żółtko i Worth, ostatni z grupy jego rekrutów, obaj zwrócenii bladymi twarzami w stronę wody i muru na drugim brzegu. W stronę...

– Do ataku! – ryknął Forest i Tunny ruszył.

Wypadł spomiędzy drzew i popędził w dół długiego zbocza, klucząc i skacząc pomiędzy starymi pniami. Za sobą słyszał okrzyki ludzi, tupot nóg, jednak był zbyt zajęty trzymaniem oburącz sztandaru, by się oglądać. Wiatr szarpał tkaninę i napinał ją ponad jego głowę, stawiając opór dłoniom, rękoma i ramionom.

Wbiegł do strumienia i przedarł się przez wolno płynącą wodę sięgającą mu do uda. Odwrócił się, powiewając sztandarem, na którym lśniło złote słońce.

– Naprzód, dranie! – ryknął w stronę biegnącego tłumu. – Naprzód, pierwszy regiment! Dalej! Dalej! – Coś świsnęło w powietrzu; dostrzegł to kątem oka.

– Dostałem! – wrzasnął Worth, zataczając się w strumieniu z hełmem zsuniętym na twarz, przyciskając dłoń do napierśnika.

– Ptasim gównem, idioto! – Tunny ujął sztandar jedną ręką, a drugą wepchnął Worthowi pod pachę. Pociągnął go o kilka kroków, aż chłopak odzyskał równowagę, po czym pomknął dalej, wysoko unosząc kolana, z każdym krokiem rozbryzgując wodę.

Wspinał się na omszały brzeg, wolną ręką kurczowo

przytrzymując się korzeni i szorując mokrymi butami po miękkiej ziemi, aż wygramolił się na trawę. Obejrzał się, słysząc tylko własny donośny oddech odbijający się echem wewnątrz hełmu. Cały regiment, a przynajmniej te kilka setek, które z niego pozostały, pędził w dół zbocza i przeprawiał się przez strumień, wyrzucając w powietrze skrzące się kropelki.

Tunny uniósł łopoczący sztandar wysoko w niebo, ryknął niezrozumiale, dobył broni, po czym pobiegł dalej z wściekłym grymasem zastygłym na twarzy, mknąc w stronę muru, ponad którym sterczały grotty włóczni. Jeszcze dwa długie kroki i wskoczył na kamienie, wrzeszcząc jak szaleniec, wymachując ostrzem na wszystkie strony, z trzaskiem powalając włócznie...

Nikogo tutaj nie było.

Tylko stare halabardy oparte o mur i wilgotny jęczmień kołyszący się na wietrze oraz spokojne zalesione wzgórza niewyraźnie wznoszące się po północnej stronie doliny, podobnie jak na południu.

Żadnych wrogów.

Z pewnością doszło tutaj do starć, i to poważnych. Zboże po prawej stronie było przygniecione do ziemi, a błotnisty teren przed murem zdeptany i pokryty ciałami ludzi oraz koni, paskudnymi pozostałościami po zwycięstwie i porażce.

Jednak walki już ustały.

Tunny zmrużył oczy. Kilkaset kroków na północny wschód jakieś postacie biegły przez pole, a od ich zbroi odbijało się słońce wyglądające zza ciężkich chmur. Zapewne Północni. A skoro nikt ich nie ścigał, najwyraźniej wycofywali się z własnej woli i na własnych warunkach.

– Jaa! – wrzasnęła Żółtko, podbiegając do kaprała, a jego okrzyk bojowy nie wystraszyłby nawet kaczki. – Jaa! – Przechylił

się nad murem i zaczął wściekle dźgać ostrzem. – Jaa?

– Nikogo nie ma – wyjaśnił Tunny, powoli opuszczając broń.

– Nikogo nie ma? – wymamrotał Worth, próbując wyprostować przekrzywiony hełm.

Tunny usiadł na murze, przytrzymując sztandar między kolanami.

– Tylko on. – Niedaleko ustawiono stracha na wróble, wbijając włócznię w każdą z patykowatych rąk i wciskając wypolerowany hełm na głowę z worka. – Ufam, że cały regiment powinien sobie z nim poradzić.

To wszystko wyglądało na żaloszny fortel. Ale takie są fortele, gdy już się je zdemaskuje. Tunny powinien był się domyślić. Sam kilka razy dopuścił się podobnych oszustw, choć zazwyczaj na własnych oficerach, a nie na wrogu.

Kolejni żołnierze docierali do muru. Przemoczeni, zmęczeni, pomieszani. Jeden przeszedł górą, zbliżył się do stracha na wróble i wysunął przed siebie ostrze.

– Odłóż broń w imieniu Jego Królewskiej Mości! – ryknął. Ludzie parsknęli śmiechem, ale szybko umilkli, gdy pułkownik Vallimir wspiął się na mur z wściekłością wypisaną na twarzy, a obok niego stanął sierżant Forest.

Jakiś jeździec zbliżał się od strony luki w murze po ich prawej stronie, gdzie wcześniej toczyła się zacięta bitwa, której bieg mogli bohatercko odwrócić. Bitwa, która już się skończyła. Wstrzymał konia, dyszącego równie ciężko jak on i obryzganego błotem po galopie.

– Czy jest tutaj generał Mitterick? – wysapał jeździec.

– Niestety, nie – odparł Tunny.

– A wiecie, gdzie można go znaleźć?

– Niestety, nie.

– Co się stało, człowieku? – burknął Vallimir, zeskakując z muru i niemal padając na twarz, gdy zaplątał się w pochwę.

Posłaniec zasalutował.

– Panie pułkowniku. Lord marszałek Kroy rozkazuje wstrzymać wszelkie działania wojenne. – Uśmiechnął się, a białe zęby zaśniły w jego ubłoconej twarzy. – Zawarliśmy pokój z Północnymi!

Zwinnie zawrócił konia i odjechał, mijając dwa poplamione i podarte zapomniane sztandary, które zwisały z pochyłonych żerdzi. Skierował się na południe, w stronę szeregów unijnej piechoty maszerujących po zniszczonych polach.

– Pokój? – mruknął Żółtko, przemoczony i drżący.

– Pokój – stęknął Worth, próbując zetrzeć ptasie gówno z napierśnika.

– Kurwa! – warknął Vallimir, rzucając broń.

Tunny uniósł brwi i wbił swoje ostrze w ziemię. Nie był aż tak oburzony jak Vallimir, ale musiał przyznać, że poczuł się nieco zawiedziony takim rozstrzygnięciem.

– Ale taka jest wojna, prawda, moja piękna? – Zaczął zwijać sztandar pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości, wyrównując zagniecenia kciukiem, jak kobieta chowająca ślubny szal po wielkim dniu.

– Wspaniały z ciebie chorąży! – Forest stał w odległości jednego albo dwóch kroków, oparty jedną nogą o mur, z szerokim uśmiechem na pokaleczonej twarzy. – Zawsze na czele, tam gdzie czekają największe niebezpieczeństwo i chwała. „Naprzód!” – wołał dzielny kapral Tunny, odważnie rzucając się w paszczę wroga! Oczywiście okazało się, że nie było żadnego wroga, ale mimo to wiedziałem, że sobie poradzisz. Tak jak zawsze. Nie potrafisz się powstrzymać, prawda? Kapral Tunny,

bohater pierwszego regimentu!

– Pierdol się, Forest.

Tunny zaczął ostrożnie chować sztandar do osłonki. Spoglądał ponad płaskim terenem na północny wschód, na ostatnich Północnych pośpiesznie oddalających się w poprzek zalanych słońcem pól.

Szczęście. Niektórzy je mają, inni nie. Pędząc poprzez jęczmień za swoimi ludźmi, zmęczony i ubłocony, ale żywy, Calder nie mógł zaprzeczyć, że jemu właśnie dopisało. I to jeszcze jak, na spokój zmarłych.

Miał szalone szczęście, że Mitterick niczym wariat postanowił poprowadzić szarżę, nie sprawdziwszy terenu i nie czekając na świt, przez co zgubił swoją kawalerię. Miał nieprawdopodobne szczęście, że Brodd Dziesięć Sposobów podał mu pomocną dłoń. Najgorszy wróg w ostatniej chwili uratował mu życie. Nawet deszcz walczył po jego stronie, gdyż wzmógł się w odpowiednim momencie, by pokrzyżować szyki unijnej piechocie i zmienić ich wymarzony teren w błotnisty koszmar.

Żołnierze w lesie mogli zagrozić jego planom, ale żeby ich zwieść, wystarczyła garstka włóczni pozostałych po trupach, strach na wróble i kilku chłopców, którzy za niewielką opłatą zgodzili się włożyć za duże hełmy i od czasu do czasu wychylać zza muru. Poradz sobie z nimi, rozkazał Dow, a księżę Calder znalazł sposób.

Kiedy myślał o tym, jak wiele szczęścia miał tego dnia, kręciło mu się w głowie. Zupełnie jakby świat do czegoś go wybrał i miał wobec niego wielkie plany. W przeciwnym razie,

jak mógłby dokonać tego wszystkiego i ująć z życiem? I to właśnie on, Calder, który na tak niewiele zasługuje.

Pole przecinał stary rów, wzdłuż którego rosły niskie krzaki. Granica, której jego ojciec nie zdołał usunąć, i zarazem idealne miejsce do ustanowienia nowej linii dla jego oddziałów. Kolejny łut szczęścia. Żałował, że Szalka tego nie dożył. Wreszcie by go uściskał, poklepał po plecach i powiedział, że jest z niego dumny. Calder nie tylko stanął do walki, ale, o dziwo, wygrał. Ze śmiechem przeskoczył rów, prześlizgnął się bokiem przez lukę w zaroślach... i znieruchomiał.

Kilku jego chłopców siedziało, a nawet leżało na ziemi, odłożywszy broń na bok. Byli wykończeni po ciężkiej walce i biegu przez pola. Towarzyszył im Błady-jak-Śnieg, ale nie tylko. Przed nimi stało około dwudziestu ponurych Carlów Czarnego Dowa ustawionych w półokrąg. Banda surowych drani, a pośród nich gówniany klejnot, Caul Dreszcz, wpatrujący się w Caldera jedynym okiem.

Nie powinno ich tutaj być. Chyba że Curnden Gnat zrobił to, co zapowiadał, czyli wyznał Czarnemu Dowowi prawdę. A Gnat słynął z tego, że zawsze dotrzymywał słowa. Calder oblizwał usta. Teraz wydawało mu się głupotą to, że zlekceważył nieuniknione. Uważał, że jest takim sprawnym kłamcą, iż oszuka los.

– Książę Calderze – wyszeptał Dreszcz, zbliżając się o krok.

Za późno na ucieczkę. Zresztą, tylko wpadłby w ręce Unii. W jego umyśle zamajaczyła straceńcza nadzieja, że ludzie jego ojca staną w jego obronie. Wiedział jednak, że nie przetrwali tak długo, szczając pod wiatr. Zerknął na Błatego-jak-Śnieg, ale stary wojownik tylko nieznacznie wzruszył ramionami. Co prawda, dzisiaj Calder dał im powody do dumy, ale nie zasłużył

na samobójcze gesty lojalności. Nie zamierzali podpalać się z jego powodu, podobnie jak Caul Reachey. Trzeba być realistą, jak lubił mawiać Krwawy-dziewięć.

Dlatego Calder mógł tylko uśmiechnąć się bezsilnie i stać nieruchomo, gdy Caul Dreszcz szedł w jego stronę. Potworna blizna coraz bardziej się zbliżała. Z tej odległości niemal mógł ją pocałować. Z tej odległości widział tylko swój zniekształcony, nieprzekonujący grymas odbity w martwej metalowej kulce.

– Dow chce się z tobą widzieć.

Szczęście. Niektórzy je mają, inni nie.

Łupy

Najpierw zapach. Jakby kuchennego niepowodzenia. Potem ogniska. Wreszcie czegoś więcej. Ostra nuta drażniąca gardło Gorsta. Woń płonących budynków. Tak cuchnęła Adua podczas oblężenia oraz Dom Uciech Cardottiego, gdy Bremer kluczył korytarzami pełnymi dymu.

Finree jechała jak szalona i wkrótce zostawiła obolałego i oszołomionego pułkownika w tyle, zmuszając ludzi do uskakiwania z drogi. Gdy minęli gospodę, z nieba zaczął spadać popiół jak czarny śnieg. Z zadymionej ciemności wyłoniło się ogrodzenie otaczające Osrung. Wszędzie leżały szczątki. Spalone drewno, popękane dachówki i skrawki materiału sypały się na ziemię.

Kolejni ranni, chaotycznie porzrucani wokół południowej bramy miasta, spaleni i posiekani, ubrudzeni sadzą i krwią. Jednakże dźwięki były takie same jak na wzgórzu. Takie same jak zawsze. Gorst zazgrzytał zębami. Pomóżcie im albo ich dobijcie, ale niech ktoś uciszy ten przekłety jazgot.

Finree już zsiadła z konia i szła w stronę miasta. Gorst ruszył za nią z głową pulsującą bólem i piekącą twarzą, po czym dogonił ją tuż za bramą. Miał wrażenie, że zbliża się zmierzch, ale nie miało to większego znaczenia. W Osrungu panował duszący półmrok. Pożary szalały pośród drewnianych budynków. Płomienie buchały w niebo, wysuszając ślinę w ustach Gorsta, wysysając pot z jego twarzy, wprawiając powietrze w drganie. Jeden z domów stał otwarty jak

wypatroszony człowiek, bez jednej ściany, z klepkami podłogowymi sterczącymi ku niebu i oknami sięgającymi od pustki do pustki.

Oto wojna. Odarta z eleganckich pozorów. Bez wypolerowanych guzików, wesołych kapel, sztywnych salutów. Bez zaciśniętych zębów i pośladków. Bez przemów, trąbek sygnałowych i wzniosłych ideałów. Oto ona, całkowicie obnażona.

Tuż przed nimi ktoś pochylał się nad leżącym człowiekiem, usiłując mu pomóc. Nieznajomy dobroczyńca miał twarz umazaną sadzą. Wcale nie udzielał pomocy. Próbował zdjąć zabitemu buty. Gdy Gorst się zbliżył, złodziej czmychnął, rozplływając się w dziwnym zmierzchu. Pułkownik popatrzył na żołnierza leżącego z jedną bladą bosą stopą odznaczającą się na tle błota.

O, kwiecie człowieczeństwa! O, dzielni chłopcy! Nie posyłajcie ich już, kurwa, na wojnę, dopóki znów nie będziemy potrzebowali kogoś do odwrócenia uwagi.

– Gdzie powinniśmy szukać? – zaskrzeczał.

Finree przez chwilę patrzyła na niego ze splątanymi włosami zasłaniającymi twarz, sadzą pod nosem i dzikimi oczami. I tak jesteś piękna, jak zawsze. Nawet bardziej. Bardziej.

– Tam! Obok mostu. Na pewno szedł na przodzie.

Cóż za szlachetność! Za heroizm! Prowadź, ukochana, na most!

Przeszli pod szeregiem płonących drzew wśród opadających płonących liści. Śpiewajcie! Wszyscy śpiewajcie tej szczęśliwej parze! W ciemności rozlegały się stłumione nawoływania. Ludzie wzywali pomocy albo szukali kogoś, kogo mogliby uratować bądź okraść. Mijały ich powłóczące nogami postacie,

podtrzymujące się nawzajem, dźwigające nosze, rozglądające się, jakby coś zgubiły, grzebiące w ruinach gołymi rękami. Jak można tutaj znaleźć jednego człowieka? Gdzie można go znaleźć? Przynajmniej w jednym kawałku.

Wszędzie leżały ciała. Fragmenty ciał. Dziwnie odarte ze znaczenia. Strzępy mięsa. Niech ktoś je pozbiera i odeśle w złożonych trumnach do Adui. Król stanie na baczność, gdy będą przejeżdżać, upudrowaną twarz królowej naznaczą lśniące ślady łez, a ludzie będą rwali włosy z głów i pytali: „dlaczego?”, „dlaczego?”, jednocześnie myśląc, co zjeść na obiad, czy potrzebują nowej pary butów, albo chuj wie, co jeszcze.

– Tutaj! – zawołała Finree.

Gorst podbiegł do niej i odciągnął złamana belkę, pod którą spoczywały dwa trupy, nie byli to jednak oficerowie. Kobieta pokręciła głową, przygryzając wargę, po czym położyła mu dłoń na ramieniu. Musiał powstrzymać uśmiech. Czy mogła się domyślać, jak bardzo poruszył go jej dotyk? Był potrzebny. Pożądany. I to przez nią.

Finree krążyła między zrujnowanymi budynkami, kaszląc, ocierając załzawione oczy, szarpiąc szczątki paznokciami, odwracając ciała, a Gorst podążał jej śladem. Szukał równie żarliwie jak ona. Nawet bardziej. Ale z innych powodów.

Odepchnę kolejną stertę śmieci i odsłonię jego zmasakrowanego, rozdartego trupa. Już nie będzie, kurwa, taki przystojny. Ona go zobaczy. O, nie! O, tak! Cóż za okrutny, podły, cudowny los. Wtedy zwróci się do mnie w swoim nieszczęściu, zapłacze w mój mundur, może lekko uderzy pięścią w moją pierś, a ja ją przytulę, będę szeptał jej do ucha nudne słowa pociechy, stanę się skałą, na której znajdzie oparcie, i będziemy razem, tak jak powinno być od początku, i jak by niewątpliwie

było, gdybym odważył się ją spytać.

Gorst uśmiechnął się do siebie, obnażając zęby, gdy przewrócił kolejne ciało. Następny martwy oficer z ręką tak połamaną, że zawinęła się wokół jego pleców.

Zabrany tak wcześniej, choć miał przed sobą całe życie i bla, bla, bla. Gdzie jest Brock? Pokażcie mi Brocka.

Kilka odprysków kamienia i olbrzymi krater zalany spienioną wodą z rzeki, tylko tyle pozostało z mostu. Większość otaczających go budynków obróciła się w gruzy, ale jeden kamienny dom pozostał nienaruszony, choć stracił dach, a kilka odsłoniętych krokwi zajęło się ogniem. Gorst z trudem brnął w jego stronę, podczas gdy Finree oglądała kilka ciał, zakrywając twarz ręką. Wejście o potężnym nadprożu i grube drzwi wyrwane z zawiasów, a pod spodem czyjś but. Gorst dźwignął drzwi, jakby to było wieko trumny.

Pod spodem leżał Brock. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na poważnie rannego. Twarz miał zakrwawioną, ale nie zmiażdżoną na papkę, na co liczył Gorst. Jedna noga zginała się pod nienaturalnym kątem, ale wszystkie kończyny były na miejscu.

Gorst pochylił się i przyłożył dłoń do jego ust. Wyczuł oddech.

Wciąż żyje.

Ogarnęło go tak silne rozczarowanie, że niemal ugięły się pod nim kolana, ale po chwili poczuł otrzeźwiająca wściekłość.

Oszukany. Gorst, piszczący błazen króla, dlaczego miałyby otrzymać to, czego pragnie? To, czego potrzebuje? Na co zasługuje? Pomachajcie mu tym przed tłustym ryjem i go wyśmiejcie! Oszukany. Tak samo jak w Sipani. Jak na Bohaterach. Jak zawsze.

Uniósł brew, po czym cicho wypuścił powietrze z płuc i położył dłoń na szyi Brocka. Objął ją kciukiem i środkowym palcem, wyczuwając najwęższe miejsce, a następnie delikatnie, ale stanowczo ścisnął.

Co za różnica? Wypełniłeś sto dołów martwymi Północnymi? Gratulacje, wyprawimy paradę na twoją cześć! Zabiłeś jednego człowieka w takim samym mundurze jak twój? Zbrodnia. Morderstwo. Gorzej niż ohyda. Czyż nie wszyscy jesteśmy ludźmi? Złożonymi z krwi, kości i marzeń?

Ścisnął nieco mocniej, zniecierpliwiony. Brock się nie sprzeciwiał. Nawet nie drgnął. I tak już prawie nie żył.

Tylko lekko popchnę los we właściwym kierunku.

To o wiele łatwiejsze od pozostałych zabójstw. Bez stali, wrzasków i bałaganu, wystarczy odrobina nacisku i jedna chwila. O wiele bardziej sensowne. Tamci nie mieli niczego, co było mi potrzebne, po prostu stali zwrócenii w przeciwnym kierunku. Powinienem wstydić się za ich śmierć. Ale to? To jest sprawiedliwość. To szlachetne działanie. To...

– Znalazłeś coś?

Gorst gwałtownie rozwarł dłoń i lekko ją przesunął, tak że dotknął palcami spodu żuchwy rannego, jakby szukał pulsu.

– Żyje – zaskrzeczał.

Finree pochyliła się obok niego i dotknęła twarzy Brocka drżącą dłonią, a drugą zasłoniła sobie usta, wydając westchnienie ulgi, które przebiło twarz Gorsta jak sztylet. Wsunął jedną rękę pod kolana Brocka, drugą objął jego plecy, a potem go podniósł.

Nie wyszło mi nawet zabójstwo. Wygląda na to, że będę musiał go uratować.

Namiot chirurga stał niedaleko południowej bramy, a jego

płóciennie ściany poszarzały od opadającego popiołu. Pacjenci czekali na zewnątrz na swoją kolej, kurczowo ściskając rozmaite rany, jęcząc i zawodząc albo w milczeniu patrząc beznamiętnymi oczami. Gorst przedarł się przez nich do namiotu.

Wchodzimy bez kolejki, ponieważ jestem królewskim obserwatorem, ona córką marszałka, a ranny szlachetnej krwi pułkownikiem, dlatego wy możecie pozdychać, czekając, aż lekarz skończy nas obsługiwać.

Gorst wcisnął się do namiotu i delikatnie położył Brocka na poplamionym stole, a chirurg o ściągniętej twarzy osłuchiwał rannego i oznajmił, że ten żyje.

Oto umarły wszystkie moje głupie, piękne marzenia. Ponownie.

Gorst cofnął się, dopuszczając do Brocka tłum pomocników. Finree pochyliła się nad mężem, trzymając go za dłoń ubrudzoną sadzą i wyczekująco wbijając wzrok w jego twarz, a w jej oczach lśniły nadzieja, strach oraz miłość.

Gorst się im przyglądał. Gdybym to ja umierał na tym stole, czy ktoś by się przejął? Wzruszyliby ramionami i wyrzucili mnie razem z odpadkami. Zresztą, dlaczego nie? Nawet na to nie zasłużyłem. Wszedł i stanął przed namiotem, surowo przypatrując się rannym. Sam nie wiedział, jak długo to trwało.

– Mówią, że nie jest poważnie ranny.

Odwrócił się i na nią popatrzył. Zmuszenie się do uśmiechu było trudniejsze niż wspinaczka na Bohaterów.

– Bardzo się... cieszę.

– Powiedzieli, że miał niezwykle szczęście.

– Zgadza się.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Nie wiem, jak mogę ci się odwdzięczyć...

To proste. Porzuć tego piękniśia i bądź ze mną. Tylko tego pragnę. Tego jednego drobiazgu. Pocałuj mnie, przytul i mi się oddaj, całkowicie i bezgranicznie. To wszystko.

– Nie ma o czym mówić – wyszeptał.

Jednakże Finree już się odwróciła i pośpiesznie weszła do namiotu, zostawiając go samego. Przez chwilę stał, podczas gdy popiół łagodnie opadał z nieba, osiadając na ziemi i jego ramionach. Obok niego jakiś chłopak leżał na noszach. Zmarł w drodze do namiotu albo czekając na chirurga.

Gorst popatrzył na trupa, marszcząc czoło.

On nie żyje, a ja, samolubny tchórz, wciąż oddycham.

Wciągnął powietrze obolałym nosem, po czym wydmuchnął je obolałymi ustami.

Życie jest niesprawiedliwe. Nie toczy się według żadnego planu. Ludzie umierają przypadkowo.

To oczywiste. Wszyscy o tym wiedzą.

Każdy o tym wie, ale nikt tak naprawdę w to nie wierzy. Uważają, że w ich przypadku pojawi się jakaś lekcja, znaczenie, historia godna opowiedzenia. Że śmierć przyjdzie do nich jak groźny uczonec, okrutny rycerz, straszliwy cesarz.

Trącił chłopaka stopą, przewrócił go na bok, po czym pozwolił mu ponownie opaść na plecy.

Tymczasem śmierć jest znudzonym urzędnikiem, który ma zbyt wiele zamówień do zrealizowania. Nie daje nam czasu na kalkulacje ani wzniosłe myśli. Podkrada się do nas od tyłu i porywa nas, kiedy sramy.

Przeszedł nad zwłokami i ruszył z powrotem w stronę Osrungu, mijając powłóczące nogami szare widma, które tłoczyły się na drodze. Oddalił się od bramy najwyżej o tuzin

kroków, gdy usłyszał, że ktoś go woła.

– Tutaj! Pomocy!

Zauważył rękę wystającą ze sterty zwęglonych gruzów. Zobaczył zrozpaczoną twarz usmarowaną popiołem. Ostrożnie wspiął się na rumowisko, odpiął pasek pod szyją mężczyzny, zdjął mu hełm i go odrzucił. Dolna połowa ciała rannego ugrzęzła pod pękniętą belką. Gorst chwycił ją za jeden koniec, dźwignął i usunął na bok. Następnie podniósł mężczyznę, jak ojciec podnosi śpiące dziecko, i poniósł go z powrotem w stronę bramy.

– Dziękuję – wychrypiał ranny, poklepując jedną dłonią brudną bluzę od munduru Gorsta. – Jesteś bohaterem.

Gorst nie odpowiedział.

Gdybyś tylko wiedział, przyjacielu. Gdybyś tylko wiedział.

Rozpaczliwe kroki

Czas na świętowanie.

Niewątpliwie Unia miała na ten temat inne zdanie, jednak Czarny Dow ogłosił zwycięstwo, a jego Carlowie byli gotowi się z nim zgodzić. Dlatego wykopali nowe doły na ogniska, otworzyli beczki i rozdzielili piwo, każdy z wojowników cieszył się na myśl o podwójnej zapłacie, większość zaś nie mogła się doczekać powrotu do domu, by przeorać pola, żony albo jedno i drugie.

Śpiewali, śmiali się i zataczali w gęstniejącym mroku, potykając się o ogniska i posyłając w niebo snopy iskier, pijani w trzy dupy. Wszyscy czuli się bardziej żywi niż zwykle, gdyż stanęli oko w oko ze śmiercią i przetrwali. Wyśpiewywali dawne pieśni i wymyślali nowe, zastępując imiona wczorajszych bohaterów nowymi. W ten sposób Czarny Dow, Caul Reachey, Żelaznogłowy, Dziesięć Sposobów i Złoty zostali wywyższeni, podczas gdy Krwawy-dziewięć, Bethod, Trójdrzewiec, Małakość, a nawet Skarling Bez Kaptura odeszli w zapomnienie jak słońce znikające na zachodzie. Chwała ich czynów rozmyła się, po raz ostatni rozbłyskując między rozwlekłymi chmurami, zanim połknęła ją noc. Trudno było usłyszeć cokolwiek o Whirrunie z Bligh. Nawet o Szamie Bezlitosnym nie wspomniano ani słowem. Czas usunął te imiona na bok jak pług orzący ziemię, wydobywając na wierzch nowych bohaterów, a starych grzebiąc w błocie.

– Beck. – Gnat sztywno usiadł przy ognisku, z drewnianym

kubkiem na piwo w dłoni, i z sympatią poklepał Becka po kolanie.

– Wodzu. Jak głowa?

Stary wojownik dotknął palcem świeżych szwów nad uchem.

– Boli, ale bywało gorzej. Jak może zauważyłeś, dzisiaj mogłem marnie skończyć. Scorry powiedział, że uratowałeś mi życie. Większość ludzi nie przywiązuje do tego większej wagi, lecz ja jestem do niego przywiązany. Dlatego dziękuję. Nawet bardzo.

– Po prostu starałem się robić to, co należy. Tak jak mówiłeś.

– Na spokój zmarłych, więc jednak ktoś tego słuchał. Napijesz się? – Gnat podsunął chłopakowi drewniany kubek.

– Jasne. – Beck pociągnął solidny łyk i poczuł na języku kwaśny smak piwa.

– Dobrze się dzisiaj spisales. Wręcz znakomicie. Scorry powiedział, że to ty powaliłeś tego wielkiego drania, który zabił Drodę.

– Zabiłem go?

– Nie. Przeżył.

– Więc nikogo dzisiaj nie zabiłem. – Beck nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy być zawiedziony, ale i tak nie potrafił się zmusić do żadnych emocji. – Za to wczoraj zabiłem człowieka.

– Mokry mówił, że czterech.

Beck obliznął usta. Starał się pozbyć kwaśnego smaku, ale bezskutecznie.

– Mokry się pomylił, a ja byłem zbyt wielkim tchórzem, by wyprowadzić go z błędu. Tych ludzi zabił chłopak imieniem Reft. – Pociągnął kolejny łyk, zbyt szybko, gdyż od razu wyrzucił

z siebie kolejne słowa. – Schowałem się w kredensie, gdy oni walczyli. Siedziałem tam i szczałem w spodnie ze strachu. Taki ze mnie Czerwony Beck.

– Hmm. – Gnat pokiwał głową, z namysłem zaciskając usta. Nie wyglądał na przejętego ani zaskoczonego. – To nie zmienia tego, co zrobiłeś dzisiaj. Podczas bitwy można zrobić znacznie gorsze rzeczy niż chowanie się w kredensie.

– Wiem – mruknął Beck i otworzył usta, gotowy do kolejnego wyznania. Miał wrażenie, że jego ciało domaga się, by to powiedział, wyrzucił z siebie jak chory, który musi zwymiotować. Jego usta tego pragnęły, chociaż umysł chciał zachować tajemnicę. – Muszę ci coś wyznać, wodzu. – Wyschnięty język zmagiał się z kolejnymi słowami.

– Słucham – odrzekł Gnat.

Beck szukał odpowiednich słów, jak chory rozglądający się za naczyniem, do którego będzie mógł opróżnić żołądek. Zupełnie jakby piękne słowa mogły uczynić jego postępek mniej ohydny.

– Chodzi o to...

– Draniu! – krzyknął ktoś i potrącił Becka tak mocno, że ten wylał zawartość kubka do ogniska.

– Hej! – ryknął Gnat i wstał z grymasem bólu na twarzy, ale ktokolwiek to był, już odszedł.

Nagle wśród ludzi przetoczyła się fala wściekłości i rozległy się złorzeczenia pod adresem kogoś, kogo wleczono przez tłum. Gnat ruszył w tamtą stronę, a Beck podążył za nim, czując ulgę, a nie rozdrażnienie, jak chory, który zdał sobie sprawę, że jednak nie będzie musiał narzygać do kapelusza żony.

Przepchnęli się do największego ogniska rozpalonego pomiędzy Bohaterami, gdzie świętowali najważniejsi

wojownicy. Na samym środku na Tronie Skarlinga zasiadał Czarny Dow i jedną ręką obracał głowicę miecza. Po przeciwnej stronie ognia stał Dreszcz, który właśnie powalił kogoś na kolana.

– Zaraza – mruknął Gnat.

– No proszę. – Dow oblizał zęby i z uśmiechem rozparł się na tronie. – Toż to księżę Calder.

Calder starał się sprawiać wrażenie pewnego siebie, mimo że klęczał ze związanymi rękami, a nad nim stał Dreszcz, co nie ułatwiało mu zadania.

– Trudno było odrzucić zaproszenie.

– No jasne – odrzekł Dow. – Wiesz, dlaczego je wystosowałem?

Calder rozejrzał się po zgromadzonych. Byli tutaj wszyscy najważniejsi Północni. Wszyscy nadęci głupcy. Glama Złoty, kpiąco uśmiechnięty po drugiej stronie ogniska. Cairm Żelaznogłowy, patrzący z jedną uniesioną brwią. Brodd Dziesięć Sposobów, w którego wzroku było nieco mniej pogardy niż zazwyczaj, ale i tak ani krztyny sympatii. Caul Reachey, przepaszająco wykrzywiony, jakby chciał powiedzieć „mam związane ręce”. A także Curnden Gnat, który jakby pytał „dlaczego nie uciekłeś?”. Calder nieśmiało skinął im głową.

– Coś mi świta.

– Jeśli ktoś się nie domyśla, to informuję, że Calder usiłował namówić mojego zastępcę, by ten mnie zabił. – Wśród tłumu oświetlonego blaskiem ognia rozległy się szepty, ale szybko umilkły. Nikt nie był szczególnie zaskoczony. – Czy to prawda, Gnacie?

Gnat wbił wzrok w ziemię.

– Zgadza się.

– Zamierzasz się wyprzeć? – spytał Dow.

– Czy wtedy moglibyśmy o wszystkim zapomnieć?

Dow się wyszczerzył.

– Wciąż żartujesz, to mi się podoba. Nie jestem zaskoczony twoją niewiernością, słyniesz ze skłonności do intryg. Jednak zdziwiła mnie twoja głupota. Przecież każdy wie, że Curnden Gnat to człowiek o niezłomnych zasadach. – Gnat jeszcze bardziej się skrzywił i odwrócił wzrok. – Wbijanie komuś ostrza w plecy nie jest w jego stylu.

– Przyznaję, że się nie popisałem – odparł Calder. – Może rzucisz to na karb mojej młodzieńczej fantazji i nie wyciągniesz konsekwencji?

– Niemożliwe. Nadużyłeś mojej cierpliwości, a to obosieczna broń. Czyż nie traktowałem cię jak syna? – Po obu stronach ogniska rozległ się chichot. – Może nie jak ulubionego syna. Nie jak pierworodnego. Raczej jak niewydarzonego bachora z samego końca miotu, ale mimo wszystko. Czyż nie pozwoliłem ci przejąć dowodzenia po śmierci twojego brata, chociaż brakuje ci doświadczenia i sławnego imienia? Czyż nie pozwoliłem ci wypowiadać swoich opinii przy ognisku? A gdy powiedziałaś za wiele, czy nie wywiozłem cię razem z żoną do Carleonu, żebyś ochłonął, zamiast uciąć ci głowę i później martwić się o szczegóły? Z tego, co pamiętam, twój ojciec nie był taki wyrozumiały dla tych, którzy się z nim nie zgadzali.

– To prawda – odrzekł Calder. – Byłeś wcieleniem szczodrości. No, może poza tym, że próbowałeś mnie zabić.

Dow zmarszczył czoło.

– Co takiego?

– Cztery noce temu, podczas poboru prowadzonego przez Caula Reacheya. Coś ci to przypomina? Nie? Trzej mężczyźni usiłowali mnie zamordować, a kiedy przycisnąłem jednego z nich, podał imię Brodda Dziesięciu Sposobów. Każdy wie, że Brodd nie zrobiłby niczego bez twojego pozwolenia. Czyżbyś zamierzał zaprzeczyć?

– Owszem. – Dow zerknął na Dziesięć Sposobów, a ten pokręcił parchatą głową. – I Dziesięć Sposobów również zaprzecza. Może kłamie i ma swoje własne powody, ale o jednym mogę cię zapewnić. Każdy tutaj przyzna, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Skąd mogę mieć taką pewność?

Dow się nachylił.

– Ponieważ wciąż oddychasz, chłopcze. Myślisz, że gdybym chciał cię zabić, to ktokolwiek mógłby mnie powstrzymać?

Calder zmrużył oczy. Musiał uznać siłę tego argumentu. Poszukał wzrokiem Reacheya, ale stary wojownik uparcie patrzył w inną stronę.

– Ale bez znaczenia jest to, kto nie umarł wczoraj – rzekł Dow. – Mogę ci powiedzieć, kto umrze jutro. – Zapadła cisza, a słowo, które ją przerwało, było przeraźliwie wyraźne. – Ty.

Wydawało się, że wszyscy się uśmiechali. Wszyscy oprócz Caldera, Gnata i może Caula Dreszcza, ale zapewne tylko dlatego, że blizna na twarzy nie pozwalała mu wykrzywić ust.

– Czy ktoś ma jakieś obiekcje?

Poza trzaskiem płomieni nie rozległ się żaden dźwięk. Dow wstał z tronu i wykrzyknął:

– Czy ktoś chce stanąć w obronie Caldera?

Nikt się nie odezwał.

Jakie głupie wydawały się teraz jego szepty w ciemności.

Wszystkie nasiona, które rozrzucił, padły na skalisty grunt. Dow siedział na Tronie Skarlinga mocniej niż kiedykolwiek, a Calder nie miał ani jednego sojusznika. Jego brat zginął, a on jakimś cudem zdołał poróżnić się z Curndenem Gnatem. Wyjątkowy z niego intrygant.

– Nikt? – Dow powoli usiadł. – A czy komuś się to nie podoba?

– Na przykład, ja nie jestem, kurwa, zachwycony – odparł Calder.

Dow parsknął śmiechem.

– Nie brakuje ci odwagi, chłopcze, niezależnie od tego, co o tobie powiadają. Będzie mi ciebie brakowało. Masz jakieś preferencje co do sposobu egzekucji? Możemy cię powiesić albo uciąć ci głowę. Twój ojciec najbardziej lubił wycinać skazańcom krwawy krzyż, ale tego nie polecam...

Może walka uderzyła Calderowi do głowy, a może miał już dosyć ostrożności lub po prostu było to najsprytniejsze wyjście.

– Pierdol się! – warknął i splunął do ogniska. – Wolę umrzeć z bronią w ręku! Ty i ja, w kręgu. Wyzywam cię.

Zapadła cisza pełna pogardy.

– Wyzywasz mnie? – zakpił Dow. – Na jakiej podstawie? Pojedynki rozgrywa się, żeby rozstrzygnąć spór. Tutaj nie ma żadnego sporu. Zdradziłeś swojego wodza i próbowałeś namówić jego zastępcę, żeby wbił mu nóż w plecy. Czy twój ojciec przyjąłby takie wyzwanie?

– Nie jesteś moim ojcem. Nie jesteś nawet jego jebanym cieniem! To on zrobił łańcuch, który nosisz. Wykuł każde jego ogniwo, tak samo jak wykuł nową Północ. Ukradłeś go Krwawemu-dziewięć, a żeby to zrobić, musiałeś wbić mu ostrze w plecy. – Calder uśmiechnął się kpiąco, jakby zależało od tego jego życie. Rzeczywiście tak było. – Jesteś zwykłym złodziejem,

Dow, tchórzem i zdrajcą, a oprócz tego pierdolonym idiotą.

– Czyżby? – Dow próbował się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywił usta. Calder był przegranym człowiekiem, ale gdy ktoś taki obrzuca cię gównem, tym bardziej odbiera ci to radość ze zwycięstwa.

– Boisz się stanąć do męskiej potyczki?

– Rozważę to, gdy jakiś mężczyzna się pojawi.

– Byłem wystarczająco męski dla córki Dziesięciu Sposobów. – Teraz to Calder się roześmiał. – Ale cóż to? – Skinął głową w stronę Dreszcza. – Widzę, że teraz masz twardszych ludzi do czarnej roboty, prawda, Dow? Sam się nią znudziłeś? No dalej! Walcz ze mną! W kręgu!

Dow nie miał żadnego powodu, żeby się zgodzić. Nie miał nic do zyskania. Jednak czasami ważniejsze są pozory. Calder w każdej kompanii uchodził za największego tchórza i najgorszego wojownika. Tymczasem Dow słynął z tego, że był jego dokładnym przeciwieństwem. To było wyzwanie dla wszystkiego, co sobą reprezentował, w obliczu wszystkich największych ludzi Północy. Nie mógł odmówić. Rozumiał to i opadł z powrotem na Tron Skarlinga jak człowiek, który pokłócił się z żoną o to, kto powinien wyczyścić chlew, i przegrał.

– W porządku. Skoro chcesz to załatwić w bolesny sposób, to tak się, kurwa, stanie. Jutro o świcie. Bez kręcenia tarczą i wybierania broni. Tylko ty i ja. Każdy z nas z mieczem w dłoni. Na śmierć. – Wściekle machnął ręką. – Zabierzcie gdzieś tego drania, żebym nie musiał patrzeć na jego kpiący uśmiech.

Calder sapnął, gdy Dreszcz dźwignął go na nogi, obrócił i odprowadził od ogniska. Tłum zamknął się za nimi. Ponownie rozbrzmiały pieśni, śmiech i przechwałki, które nieodłącznie

towarzyszą zwycięstwom i sukcesom. Jego nieunikniona śmierć stanowiła przerywnik, dla którego nie warto było rezygnować ze świętowania.

– Przecież kazałem ci uciekać – zabrzmiał mu koło ucha znajomy głos Gnata, gdy starzec przepchnął się przez tłum u jego boku.

Calder parsknął.

– A ja kazałem ci milczeć. Wygląda na to, że obaj nie potrafimy słuchać poleceń.

– Przykro mi, że tak wyszło.

– Wcale nie musiało.

W blasku ogniska zobaczył grymas na twarzy Gnata.

– Masz rację. Zatem przykro mi, że dokonałem takiego wyboru.

– Niepotrzebnie. Każdy wie, że masz zasady. Zresztą nie oszukujmy się, od śmierci ojca zmierzam prostą drogą do grobu. Jestem zaskoczony, że dopiero teraz trafię do ziemi. Chociaż, kto wie?! – zawołał, gdy Dreszcz wlekł go między dwoma głazami, po czym posłał Gnatowi ostatni kpiący uśmiech. – Może pokonam Czarnego Dowa w kręgu!

Widział po smutnej twarzy Gnata, że ten w to wątpi. Szczerze mówiąc, Calder również nie miał złudzeń. Przyczyny powodzenia jego planu jednocześnie stanowiły jego największe wady. Calder był największym tchórzem i najgorszym wojownikiem w każdej kompanii. Czarny Dow był jego dokładnym przeciwieństwem. W obu przypadkach taka reputacja nie wzięła się znikąd.

W kręgu miał takie same szanse, jakie miałby kawał wieprzowiny, i każdy dobrze o tym wiedział.

Zdarza się

– Mam list do generała Mittericka – powiedział Tunny, osłaniając latarenkę, gdy wszedł z ciemności do generalskiego namiotu.

Nawet w słabym świetle od razu się zorientował, że strażnika natura zdecydowanie lepiej wyposażyła poniżej szyi.

– Jest z lordem marszałkiem. Będzie pan musiał zaczekać.

Tunny pokazał swój rękaw.

– Jestem kapralem. Nie przysługuje mi pierwszeństwo?

Strażnik nie zrozumiał żartu.

– Że co?

– Nieważne. – Tunny westchnął, stanął obok niego i czekał. Z namiotu dobiegały coraz donośniejsze głosy.

– Domagam się prawa do ataku! – grzmiał jeden z nich. Mitterick. W armii jest niewielu szczęśliwców, którzy nie znają tego głosu.

Strażnik surowo popatrzył na Tunny'ego, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że nie powinien tego słuchać. Tunny pokazał list i wzruszył ramionami.

– Zmusiliśmy ich do cofnięcia! Ledwie trzymają się na nogach ze zmęczenia! Nie mają woli walki. – Cienie poruszały się na ścianie namiotu. Tunny'emu wydawało się, że widzi czyjąś zaciśniętą pięść. – Wystarczy lekko nacisnąć... Są dokładnie tam, gdzie chciałem!

– Wczoraj też tak pan twierdził, a okazało się, że jest

odwrotnie. – Marszałek Kroy mówił spokojniejszym głosem. – Poza tym, nie tylko Północni stracili wolę walki.

– Moi ludzie zasługują na szansę dokończenia tego, co zaczęli! Lordzie marszałku, ja zasługuję...

– Nie! – Słowo ostre jak strzał z bicza.

– W takim razie domagam się prawa do rezygnacji...

– Tym bardziej się nie zgadzam.

Mitterick próbował coś powiedzieć, ale Kroy nie dał mu dojść do głosu.

– Nie! Czy musi pan kwestionować każdą moją decyzję? Proszę powściągnąć dumę i skupić się na wypełnianiu obowiązków! Wycofa się pan, przeprowadzi ludzi z powrotem przez most i przygotuje swoją dywizję do podróży na południe do Uffrithu. Wyruszamy, gdy tylko zakończymy negocjacje. Czy mnie pan rozumie, generale?

Zapadła długa cisza.

– Przegraliśmy – powiedział cicho Mitterick, chociaż trudno było rozpoznać jego głos. Nagle skurczył się, osłabł, zabrzmiał niemal płaczliwie. Jakby w generale pękła jakaś napięta struna, a wraz z nią cała pewność siebie. – Przegraliśmy.

– Zremisowaliśmy. – Kroy również mówił cicho, lecz wieczór był spokojny, a niewielu ludzi potrafi podsłuchiwać tak skutecznie jak Tunny, gdy można usłyszeć coś ważnego. – Czasami nie można liczyć na więcej. Oto ironia żołnierskiej profesji. Możemy jedynie torować drogę pokojowi. A powinno być odwrotnie. Kiedyś byłem taki jak pan. Uważałem, że istnieje tylko jedno właściwe rozwiązanie. Pewnego dnia, możliwe, że już niedługo, zastąpi mnie pan i nauczy się, że światem rządzą inne zasady.

Znów cisza.

– Zastąpię pana?

– Podejrzewam, że wielki architekt ma już dosyć tego kamieniarza. Generał Jalenhorm zginął na wzgórzu. Pan pozostaje jedynym sensownym kandydatem. A przynajmniej tylko panu udzieliłbym poparcia.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Gdybym wiedział, że mogę do tego doprowadzić, po prostu składając rezygnację, zrobiłbym to wiele lat temu.

Cisza.

– Chciałbym, żeby Opker poprowadził moją dywizję.

– Nie widzę przeciwwskazań.

– Natomiast, co się tyczy wakatu po generale Jalenhormie...

– Pułkownik Felnigg przejął dowodzenie – odparł Kroy. – A raczej generał Felnigg.

– Felnigg? – odrzekł Mitterick z nutką przerażenia w głosie.

– Ma najdłuższą wysługę lat, a ja już wysłałem rekomendację do króla.

– Nie potrafię pracować z tym człowiekiem...

– Potrafi pan i będzie to robił. Felnigg jest bystry i ostrożny, więc będzie stanowił dla pana cenną przeciwwagę, tak jak pan dla mnie. Mimo że często miałem pana serdecznie dosyć, jestem zaszczycony, że możemy razem służyć. – Rozległ się głośny trzask, gdy wypolerowane buty zderzyły się obcasami.

Po chwili odpowiedział mu drugi.

– Lordzie marszałku Kroy, to ja jestem zaszczycony.

Tunny i strażnik stanęli na baczność, gdy dwie największe szychy w armii nagle wyłoniły się z namiotu. Kroy szybkim krokiem ruszył w ciemność. Mitterick został na miejscu, patrząc w ślad za marszałkiem, rozwierając i zaciskając jedną dłoń.

Tunny śpieszył się na spotkanie z butelką i śpiworem. Odchrząknął.

– Panie generale Mitterick!

Mitterick się obejrzał, ocierając łzę z oka, choć udawał, że usuwa pyłek.

– Tak?

– Kapral Tunny, panie generale, chorąży pierwszego regimentu Jego Królewskiej Mości.

Mitterick się nachmurzył.

– Ten sam Tunny, którego mianowano sierżantem sztabowym po bitwie pod Ulrioch?

Tunny dumnie wypiął pierś.

– Ten sam, panie generale.

– Ten sam Tunny, którego zdegradowano po bitwie pod Dunbreceem?

Tunny oklapł.

– Ten sam, panie generale.

– Ten sam Tunny, który trafił pod sąd wojenny po wydarzeniach w Shriccie?

Oklapł jeszcze bardziej.

– Ten sam, panie generale, choć przypominam, że sąd nie znalazł żadnych dowodów niewłaściwego postępowania.

Mitterick parsknął.

– Takie są sądy. Co pana tutaj sprowadza?

Tunny wyciągnął dłoń z listem.

– Przyszedłem w sprawie służbowej jako chorąży. Przynoszę list od mojego dowódcy, pułkownika Vallimira.

Mitterick popatrzył na wiadomość.

– Co w nim napisano?

– Ależ nie śmiałybym...

– Nie wierzę, że żołnierz, który tak dobrze jak pan poznał wojenne sądy, dostarczył list, nie wiedząc, czego on dotyczy. Co w nim napisano?

Tunny się poddał.

– Panie generale, wydaje mi się, że w liście pułkownik dokładnie wyjaśnia, dlaczego dzisiaj nie zdołał przeprowadzić natarcia.

– Czyżby?

– Tak jest, panie generale. Następnie serdecznie przeprasza pana, marszałka Kroya, Jego Królewską Mość oraz wszystkich obywateli Unii i składa rezygnację, ale także domaga się prawa do wyjaśnienia swojego postępowania przed sądem wojennym... w tej kwestii wyraża się dosyć niejasno... po czym chwali swoich ludzi i bierze pełną odpowiedzialność na swoje barki, a także...

Mitterick wziął kartkę z ręki Tunny'ego, zmiął ją i wrzucił go kałuży.

– Niech pan powie pułkownikowi Vallimirowi, żeby się nie przejmował. – Przez chwilę patrzył, jak list unosi się na wzburzonym odbiciu wieczornego nieba, po czym wzruszył ramionami. – Trwa wojna. Wszyscy popełniamy błędy. Czy będzie z mojej strony naiwnością, kapralu Tunny, jeśli każę panu trzymać się z daleka od kłopotów?

– Doceniam każdą radę, panie generale.

– A jeśli wydam taki rozkaz?

– Doceniam także wszystkie rozkazy.

– Hmm. Może pan odejść.

Tunny zasalutował w najbardziej pochlebny sposób, na jaki było go stać, po czym odwrócił się i pośpiesznie odmaszerował w ciemność, nie chcąc nikomu dać szansy na postawienie go

przed sądem wojennym.

Czas tuż po bitwie to raj dla spekulantów. Trupy, które można okraść albo wykopać i okraść, trofea, które można przehandlować, alkohol, chagga i plewy, które można sprzedać świętującym bądź rozpaczającym, po równie absurdalnych cenach. Tunny widział, jak ludzie, którzy przed walką nie mieli niczego, godzinę po bitwie stawali się bogaczami. Jednakże większość jego dobytku wciąż znajdowała się na grzbiecie konia, który gdzieś przepadł, a poza tym, Tunny nie miał do tego zacięcia. Dlatego trzymał się z daleka od ognisk i siedzących wokół nich żołnierzy, wałęsając się na tyłach oddziałów, zmierzając na północ przez zdeptane pole bitwy. Minął dwóch urzędników, którzy przy świetle lamp spisywali zabitych. Jeden notował coś w księdze, a drugi zerkał pod całuny, szukając zwłok godnych uwagi i odesłania do Midderlandu, ludzi zbyt wysoko urodzonych, by skończyli w północnej ziemi. Zupełnie jakby jeden trup różnił się czymś od drugiego. Przeszedł przez mur, który obserwował w ciągu dnia, a który ponownie zmienił się w mało charakterystyczną granicę wytyczoną przez jakiegoś rolnika, po czym ruszył poprzez ciemność w stronę lewego krańca unijnych linii, gdzie stacjonowały pozostałości pierwszego regimentu.

– Nie wiedziałem, naprawdę nie wiedziałem, nie widziałem go!

Dwaj młodzieńcy stali na polu jęczmienia usianym małymi białymi kwiatkami, mniej więcej trzydzieści kroków od najbliższego ogniska, i patrzyli w dół. Jednym był zdenerwowany chłopak z pustą kuszą w ręku, którego Tunny nie znał, być może nowy rekrut, a drugim Żółtko z pochodnią w dłoni, który dźgał towarzysza wyprostowanym palcem.

– Co się dzieje?! – ryknął Tunny, podchodząc do chłopców, pełen złych przeczuć, które potwierdziły się, gdy zobaczył, na co patrzą. – O nie, nie.

Worth leżał na łysem placku ziemi, z otwartymi oczami i wywieszonym językiem, a w piersi tkwił mu bełt z kuszy.

– Myślałem, że to Północni! – zawołał młodzieniec.

– Północni są po północnej stronie linii, ty pieprzony idioto – odburknął Żółtko.

– Myślałem, że ma topór!

– To łopata. – Tunny podniósł ją z jęczmienia. Leżała tuż obok bezwładnych palców lewej dłoni Wortha. – Chyba robił to, na czym znał się najlepiej.

– Kurwa, powinienem cię zabić! – warknął Żółtko, sięgając po ostrze.

Chłopak bezsilnie pisnął, zasłaniając się kuszą.

– Zostaw go. – Tunny stanął pomiędzy nimi, kładąc dłoń na piersi Żółtko i boleśnie wzdychając. – Trwa wojna. Wszyscy popełniamy błędy. Pójdę do sierżanta Foresta i zobaczę, co da się zrobić. – Wyjął kuszę z bezwładnych dłoni młodzieńca i wepchnął w nie łopatę. – Tymczasem lepiej zabierz się za kopanie. – Worthowi będzie musiała wystarczyć północna ziemia.

Po bitwie

*„Nigdy nie trzeba długo czekać ani daleko szukać,
by się przekonać, jak cienka jest granica
między bohaterem a kozłem ofiarnym”.*

Mickey Mantle

Koniec drogi

– Jest tam?

Dreszcz powoli pokiwał głową.

– Jest.

– Sam? – spytał Gnat, kładąc dłoń na zgniłej gałce.

– Wszedł sam.

Czyli zapewne jest z nim wiedźma. Gnat nie miał ochoty odnawiać znajomości z Ishri, zwłaszcza po tym, jak poprzedniego dnia zobaczył jej niespodziankę, jednak zbliżał się świt, a on musiał odejść. Mniej więcej dziesięć lat za późno. Najpierw powinien powiedzieć wodzowi. Tak należy postąpić. Wydął policzki i wydmuchnął powietrze, z bólu krzywiąc pozszywaną twarz, po czym przekręcił gałkę i wszedł.

Ishri stała na środku klepiska, z dłońmi na biodrach i głową zwieszoną na jedną stronę. Krawędź i jeden rękaw jej długiego płaszcza były przypalone, kołnierz całkowicie poszedł z dymem, a bandaże poczerniały. Jednak jej skóra nadal była tak idealna, że płomień pochodni obijał się w jej policzku jak w czarnym lustrze.

– Po co chcesz walczyć z tym głupcem? – kpiła, wskazując długim palcem w stronę Bohaterów. – Nic w ten sposób nie zyskasz. Jeśli wejdiesz do kręgu, nie będę mogła cię chronić.

– Chronić? – Dow garbił się przy ciemnym oknie, kryjąc surowe oblicze w cieniu. Jedną ręką swobodnie trzymał swój topór tuż pod ostrzem. – W kręgu radziłem sobie z ludźmi

dziesięciokrotnie twardszymi od księcia Caldera. – Ze zgrzytem przeciągnął oselką po ostrzu.

– Calder. – Ishri parsknęła. – Tutaj działają też inne siły. Takie, których nie rozumiesz...

– Ależ wszystko rozumiem. Masz zatarg z Pierwszym z Magów, więc wykorzystujesz mój konflikt z Unią, by z nim walczyć. Jestem blisko? Uwierz mi, znam się na zatargach. Wam, wiedźmom, wydaje się, że żyjecie w odrębnym świecie, ale tak naprawdę tkwicie tutaj obiema nogami.

Uniosła podbródek.

– Tam, gdzie są w użyciu ostrza, tam pojawia się ryzyko.

– Oczywiście. Dlatego to takie przyjemne. – Oselka ponownie ześlizgnęła się po krawędzi topora.

Ishri zmrużyła oczy i wykrzywiła wargi.

– Przekłęci różowi ludzie, skąd się w was biorą takie zamiłowanie do walki i duma?

Dow tylko się wyszczerzył, wyłaniając się z ciemności.

– Jesteś sprytną kobietą, z pewnością wiesz wiele użytecznych rzeczy. – Kolejne pociągnięcie oselką, po czym Dow uniósł topór do światła, patrząc na lśniące ostrze. – Ale nie masz pojęcia o Północy. Zrezygnowałem z dumy wiele lat temu. Nie było mi z nią do twarzy i strasznie mnie uwierała. Tutaj chodzi o moje imię. – Sprawdził broń, przesuwając kciukiem po zaostrzonej krawędzi, delikatnie jak po szyi kochanki, po czym wzruszył ramionami. – Jestem Czarny Dow. Nie mogę się od tego uwolnić, tak jak nie mogę polecieć na księżyc.

Zniesmaczona Ishri pokręciła głową.

– Po całym wysiłku, jaki włożyłam...

– Jeśli zginę, kurewsko pożałuję twojego zmarnowanego wysiłku, co ty na to?

Skrzywiła się, zerkając na Gnata, a następnie na Dowa, który oparł topór o ścianę, po czym wściekle zasyczała.

– Nie będzie mi brakowało waszej pogody. – Chwyciła połę przypalonego płaszcza i wściekle zasłoniła nią twarz. Rozległ się łopot materiału i Ishri zniknęła, pozostawiając po sobie tylko opadający strzęp poczerńiałego bandaża.

Dow złapał go kciukiem i palcem wskazującym.

– Mogła skorzystać z drzwi, ale to by było za mało... dramatyczne. – Zdmuchnął skrawek tkaniny, patrząc, jak wiruje w powietrzu. – Marzyłeś kiedyś o tym, żeby po prostu zniknąć, Gnacie?

Codziennie przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Może ona ma rację – mruknął Curnden. – No wiesz, w sprawie pojedynku.

– Ty też tak uważasz?

– Nie masz nic do zyskania. Bethod zawsze powtarzał, że nie ma lepszego sposobu na okazanie siły niż...

– Pieprzyć miłosierdzie! – ryknął Dow, wysuwając miecz z pochwy, tak szybko, że stal zasyczała. Gnat przełknął ślinę i musiał się powstrzymać, żeby nie zrobić kroku w tył. – Dałem temu chłopakowi mnóstwo szans, a on zrobił ze mnie wała. Wiesz, że muszę go zabić. – Zaczął polerować szmatą matowe, szare ostrze, a mięśnie z boku jego głowy nerwowo się napinały. – Muszę tak go urządzić, żeby przez najbliższe sto lat nikt nie próbował ze mną takich sztuczek. Dam mu nauczkę. Właśnie tak to działa. – Podniósł wzrok, a Gnat zorientował się, że nie potrafi spojrzeć mu w oczy. Patrzył na podłogę i milczał. – Rozumiem, że nie zostaniesz, żeby trzymać dla mnie tarczę?

– Powiedziałem, że zostanę do końca bitwy.

– Rzeczywiście.

– Bitwa się skończyła.

– Ona nigdy się nie kończy, Gnacie, dobrze o tym wiesz. – Połowa twarzy Dowa znajdowała się w świetle, z drugiej połowy było widać tylko błysk oka w ciemności. Gnat zaczął się tłumaczyć, mimo że nikt nie pytał go o powody.

– Są lepsi kandydaci do tej roli. Młodszy. Mężczyźni o zdrowszych kolanach, silniejszych ramionach i twardszych imionach.

Dow tylko mu się przypatrywał.

– W ostatnich dniach straciłem wielu przyjaciół. Zbyt wielu. Whirrun nie żyje. Brack odszedł. – Za wszelką cenę chciał uniknąć wyznania, że jeśli Dow zaszlachtuje Caldera w kręgu, on tego nie zniesie i może tego nie wytrzymać także jego lojalność. – Czasy się zmieniły. Ludzie tacy jak Złoty i Żelaznogłowy nie darzą mnie szacunkiem, zresztą z wzajemnością. A poza tym... poza tym...

– Masz dosyć – rzekł Dow.

Gnat się przygarbił. Bolało go, że musi to przyznać, ale Dow doskonale podsumował jego stan umysłu.

– Mam dosyć.

Musiał zacisnąć zęby i ściągnąć wargi, żeby powstrzymać łzy. Jakby wypowiedzenie tego na głos sprawiło, że wszystkie kłopoty jednocześnie zwały mu się na głowę. Whirrun, Drofd, Brack, Athroc, Agrick i pozostali. Oskarżycielska kolejka zmarłych sięgająca daleko w mroki pamięci. Lista toczonych bitew, wygranych i przegranych. Dokonanych wyborów, właściwych i błędnych, a każdy z nich stanowił osobne brzemie.

Dow tylko pokiwał głową, ostrożnie wsuwając miecz do pochwy.

– Każdy z nas ma ograniczoną wytrzymałość. Człowiek

o twoim doświadczeniu nie musi się wstydzić. Nigdy.

Gnat zazgrzytał zębami, przełknął łyżę i z trudem znalazł odpowiednie słowa.

– Podejrzewam, że wkrótce znajdziesz kogoś innego na to stanowisko...

– Już znalazłem. – Dow skinął głową w kierunku drzwi. – Czeka na zewnątrz.

– To dobrze. – Gnat wiedział, że Dreszcz sobie poradzi, zapewne lepiej od niego. Uważał, że ten człowiek jeszcze nie stracił szansy na odkupienie, wbrew temu, co twierdzili niektórzy.

– Masz. – Dow rzucił jakiś przedmiot w poprzek pokoju, a Gnat go złapał. Zabrzęczały monety. – Podwójny żołd i premia. Przyda ci się na początek.

– Dziękuję, wodzu – odrzekł Gnat i mówił szczerze. Spodziewał się raczej ciosu nożem w plecy niż sakiewki.

Dow postawił miecz na czubku.

– Co zamierzasz?

– Kiedyś byłem stolarzem. Tysiąc krwawych lat temu. Pomyślałem, że do tego wrócę. Popracuję w drewnie. W tym fachu od czasu do czasu trzeba zrobić trumnę, ale przynajmniej nie grzebie się przyjaciół.

– Hmm. – Dow lekko obracał głowicą między palcem wskazującym i kciukiem, a końcówka pochwy kręciła się w piachu. – Ja swoich już pogrzebałem. Poza tymi, którzy stali się moimi wrogami. Może do tego prowadzi ścieżka każdego wojownika?

– Jeśli podąży się nią odpowiednio daleko. – Gnat jeszcze przez chwilę stał w miejscu, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc wziął głęboki oddech i odwrócił się, żeby odejść.

– Ja robiłem garnki.

Gnat zatrzymał się z dłonią na gałce, a wszystkie włoski na jego karku stanęły dęba. Jednak Czarny Dow tylko stał, wpatrując się w swoją dłoń. Pokrytą bliznami, strupami i odciskami.

– Terminowałem u garncarza. – Dow parsknął. – Tysiąc krwawych lat temu. Potem wybuchły wojny i chwyciłem za miecz. Zawsze myślałem, że wrócę do dawnego fachu, ale... życie potoczyło się inaczej. – Zmrużył oczy, delikatnie pocierając czubkiem kciuka opuszki pozostałych palców. – Od gliny... miałem takie... delikatne dłonie. Coś podobnego. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Powodzenia, Gnacie.

– Tak jest – odrzekł Gnat, po czym wyszedł, zamknął za sobą drzwi i odetchnął z ulgą. Wystarczyło kilka słów i już po wszystkim. Czasami coś może się nam wydawać skokiem w przepaść, ale po fakcie widzimy, że było drobnym krokiem.

Dreszcz stał tam gdzie wcześniej. Gnat poklepał go po ramieniu.

– Teraz to twoje zadanie.

– Czyżby? – Ktoś inny stanął w blasku pochodni. Długa blizna przecinała krótko ostrzyżone włosy.

– Cudna – szepnął Gnat.

– Hej, hej – odrzekła.

Zaskoczył go jej widok, ale uznał, że dzięki temu zaoszczędzi na czasie. To jej zamierzał powiedzieć w następnej kolejności.

– Jak się trzyma dwunastka? – spytał.

– Wszyscy czterej mają się dobrze.

Gnat się skrzywił.

– No tak. Cóż, muszę ci coś powiedzieć.

Uniosła brew. Pozostało mu tylko wyznać prawdę.

– Mam dosyć. Rezygnuję.

– Wiem.

– Wiesz?

– A z jakiego innego powodu miałabym zająć twoje miejsce?

– Moje miejsce?

– Jako zastępczyni Dowa.

Gnat szeroko otworzył oczy. Popatrzył na Cudną, na Dreszcza, potem ponownie na nią.

– Ty?

– A dlaczego nie?

– No, po prostu myślałem...

– Że kiedy zrezygnujesz, słońce przestanie dla nas wschodzić? Przykro mi, jeśli cię rozczarowałam.

– Ale co z twoim mężem? Z twoimi synami? Sądziłem, że zamierzasz...

– Ostatnio byłam na farmie cztery lata temu. – Odchyliła głowę, a w jej oczach pojawiła się surowość, do jakiej Gnat nie przywykł. – Nie zastałam ich. Nie wiadomo, dokąd odeszli.

– Przecież wróciłaś tam przed niecałym miesiącem.

– Szłam przez cały dzień, a potem usiadłam nad rzeką i łowiłam ryby. Następnie wróciłam do obozu. Nie miałam odwagi wam powiedzieć. Nie zniosłabym waszego współczucia. Tylko ono czeka na takich ludzi jak my. Sam się przekonasz. – Ucisnęła jego bezwładną dłoń. – Jestem zaszczyczona, że mogłam walczyć u twego boku, Gnacie. Uważaj na siebie. – Weszła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiając go wpatzonego w milczące drewno.

– Wydaje ci się, że kogoś znasz, a wtedy... – Dreszcz cmoknął.

– Tak naprawdę nikt nikogo nie zna.

Gnat przełknął ślinę.

– Życie jest pełne niespodzianek. – Odwrócił się plecami do starej chaty i zniknął w ciemności.

Często wyobrażał sobie swoje wielkie pożegnanie. Szedł wzdłuż rzędu życzliwych Imiennych ku świetlanej przyszłości, a plecy bolały go od poklepywania. Przechodził korytarzem z obnażonych ostrzy lśniących w blasku słońca. Odjeżdżał konno, salutując pięścią, podczas gdy Carlowie wiwatowali, a kobiety opłakiwały jego odejście, chociaż nie potrafił powiedzieć, skąd się tam wzięły.

Nie spodziewał się, że wymknie się z obozu przed świtem, niezauważony i zapomniany. Ale właśnie dlatego, że tak wygląda prawdziwe życie, ludzie lubią śnić na jawie.

Większość znanych wojowników siedziała na wzgórzu, czekając, aż Calder zostanie zaszlachtowany. Tylko Wesoły Yon, Scorry Skradek i Mokry przyszli go pożegnać. Pozostałość dwunastki Gnata. No i jeszcze Beck z podkrążonymi oczami i Ojcem Mieczy w bladej zaciśniętej dłoni. Gnat widział smutek na ich twarzach, mimo że próbowali go zamaskować uśmiechami. Zupełnie jakby ich zawiódł. Może tak właśnie było.

Zawsze chlubił się tym, że jest lubiany. Człowiek z zasadami. Jednak już od dawna jego zmarli przyjaciele przewyższali liczebnie żywych, a w ostatnich dniach znacznie zwiększyli przewagę. Trójka, która mogła mu zgotować najgorętsze pożegnanie, wróciła do ziemi na szczycie wzgórza, a kolejna dwójka leżała na jego wozie.

Próbował wyrównać stary koc, ale żadne szarpanie za rogi

nie mogło zmienić tego, co się stało. Podbródki Whirruna i Drofa, ich nosy oraz stopy, tworzyły żałosne wybrzuszenia na starym wytartym suknie. Oto całun dla bohaterów. Jednakże lepsze koce mogły się przydać żywym. Martwych nie da się rozgrzać.

– Nie wierzę, że odchodzisz – rzekł Scorry.

– Od lat zapowiadałem, że to zrobię.

– No właśnie. I nigdy tego nie zrobiłeś.

Gnat mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Teraz to robię.

Zawsze sobie wyobrażał, że pożegnanie z drużyną będzie przypominało uściski dłoni przed bitwą. Że stanie się pokazem takiego samego braterstwa, tylko jeszcze bardziej żarliwym, ponieważ będą wiedzieli na pewno, że robią to po raz ostatni, a nie tylko będą się tego obawiać. Jednak poza dotykiem dłoni nic nie było takie samo. Czuli się niemal jak obcy. Może Gnat był teraz dla nich jak trup zabitego towarzysza. Chcieli go pogrzebać i żyć dalej. Nie czekał go nawet nudny rytuał pochylania głów nad świeżym grobem. Tylko pożegnanie, które obu stronom przypominało zdradę.

– Więc nie zostaniesz na przedstawieniu? – spytał Mokry.

– Chodzi ci o pojedynek? – A raczej morderstwo. – Widziałem już dosyć krwi. Dwunastka jest twoja, Yonie.

Yon uniósł brew i popatrzył na Scorry'ego, Mokrego i Becka.

– Wszyscy?

– Znajdziesz kolejnych. Zawsze tak robiliśmy. Za kilka dni zapomnisz, że kogokolwiek brakuje. – Najsmutniejsze było to, że zapewne miał rację. Taka była normalna kolej rzeczy, gdy tracili kogoś z towarzyszy. Jednak trudno sobie wyobrazić, że to samo spotka ciebie. Że zostaniesz zapomniany, tak jak staw

zapomina o kamieniu, który do niego wrzucono. Kilka fal i już cię nie ma. Zapominanie leży w ludzkiej naturze.

Yon surowym wzrokiem patrzył na koc i to, co pod nim spoczywało.

– Jeśli zginę, kto odnajdzie moich synów... – wyszeptał.

– Może sam powinienes ich odnaleźć, przyszło ci to do głowy? Znajdź ich, Yonie, powiedz im, kim jesteś, i pojednaj się z nimi, póki jeszcze oddychasz.

Yon spuścił wzrok na swoje buty.

– Może masz rację. – Zapadła cisza równie krępująca jak kolec w tyłku. – No dobrze, czas na nas. Razem z Cudną będziemy trzymać tarcze.

– Racja – odrzekł Gnat.

Yon odwrócił się i ruszył w górę zbocza, kręcąc głową. Scorry po raz ostatni skinął głową, po czym podążył za nim.

– Żegnaj, wodzu – powiedział Mokry.

– Już nie jestem niczym wodzem.

– Moim zawsze będziesz. – Pokuśtykał w ślad za poprzednią dwójką, pozostawiając Gnata i Becka samych przy wozie. Ostatnie słowa pożegnania od chłopaka, którego poznał dwa dni wcześniej.

Gnat westchnął i usiadł na wozie, krzywiąc się z powodu wszystkich stłuczeń, których doznał w ciągu ostatnich kilku dni. Beck stał poniżej, z Ojcem Mieczy w obu dłoniach, opierając czubek pochwy o ziemię.

– Będę trzymał tarczę Czarnego Dowa – rzekł. – Robił pan to kiedyś?

– Kilka razy. To nic trudnego. Po prostu pilnuj, żeby nikt nie opuścił kręgu. Stój u boku swojego wodza. Rób to, co należy, tak

jak wczoraj.

– Wczoraj – mruknął Beck, wpatrując się w koło wozu, jakby przenikał wzrokiem ziemię, i nie podobało mu się to, co widzi po drugiej stronie. – Wczoraj nic panu nie powiedziałem. Chciałem, ale...

Craw obejrzał się ponuro na dwa kształty pod kocem. Nie miał ochoty na wysłuchiwanie wyznań. Wystarczająco ciążyło mu brzemie własnych błędów. Niestety, Beck już zaczął mówić, monotonnym i beznamiętnym głosem przypominającym brzęczenie muchy uwięzionej w nagrzanym pokoju.

– W Osrungu zabiłem człowieka. Ale to nie był Unionista, tylko jeden z naszych. Miał na imię Reft. Stanął do walki, a ja uciekłem i się ukryłem, po czym go zabiłem. – Beck wciąż wpatrywał się w koło wilgotnymi oczami. – Przebiłem go rapierem mojego ojca. Pomyliłem go z żołnierzem Unii.

Gnat miał ochotę strzelić wodzami i odjechać, ale zamiast tego postanowił pomóc Beckowi. Niech te wszystkie zmarnowane lata wreszcie się komuś przydadzą. Zacisnął zęby, pochylił się i położył chłopakowi dłoń na ramieniu.

– Wiem, że cię to dręczy. Zapewne nigdy nie przestanie. Ale smutna prawda jest taka, że słyszałem tuzin takich opowieści. A nawet kilka tuzinów. To nic dziwnego dla kogoś, kto brał udział w bitwie. Taka jest czarna robota. Piekarze pieką chleb, stolarze budują domy, a my zabijamy ludzi. Jedyne, co możemy zrobić, to brać każdy dzień takim, jaki jest. Jak najlepiej sobie radzić w zastanych okolicznościach. Nie zawsze udaje nam się robić to, co należy, ale powinniśmy próbować. Następnym razem postarasz się postąpić właściwie. I pozostać przy życiu.

Beck pokręcił głową.

– Zabiłem człowieka. Nie powinienem za to zapłacić?

– Zabiłeś człowieka? – Gnat uniósł ręce, po czym bezsilnie je opuścił. – To bitwa. Wszyscy walczą. Niektórzy uchodzą z życiem, inni giną, niektórzy płacą, inni nie. Bądź wdzięczny losowi, że przeżyłeś. Postaraj się na to zasłużyć.

– Jestem pieprzonym tchórzem.

– Możliwe. – Gnat wskazał kciukiem na trupa Whirruna. – Tam leży bohater. Powiedz mi, kto lepiej na tym wyszedł.

Beck wziął głęboki wdech.

– Chyba ma pan rację. – Podniósł Ojca Mieczy, a Gnat chwycił go pod jelicem i ostrożnie ułożył długi kawał metalu na wozie obok ciała Whirruna. – Zabiera go pan? Whirrun go panu zostawił?

– Zostawił go ziemi. – Gnat pociągnął krawędź koca, zasłaniając miecz. – Poprosił, żeby go z nim pochować.

– Dlaczego? – spytał Beck. – Czy to nie miecz Boga zrzucony z nieba? Myślałem, że trzeba go przekazywać dalej. Czy jest przeklęty?

Gnat chwycił wodze i zawrócił na północ.

– Każde ostrze to przekleństwo, chłopcze. – Smagnął konie i wóz ruszył.

Potoczył się drogą.

Z dała od Bohaterów.

Kto mieczem wojuje

Calder siedział i obserwował dogasające płomienie.

Wszystko wskazywało na to, że wykorzystał cały swój spryt, żeby zdobyć kilka dodatkowych godzin życia. Godzin spędzonych w zimnie, głodzie, brudzie i przerażeniu, przy ognisku naprzeciwko Dreszcza. Swędziały go związane nadgarstki, bolały skrzyżowane nogi, a wilgoć dobierała mu się do siedzenia spodni, mroząc dupę.

Ale kiedy możesz liczyć tylko na kilka godzin życia, zrobisz wszystko, żeby je zdobyć. Zapewne zrobiłby wszystko dla kilku kolejnych. Oczywiście, gdyby ktoś złożył mu taką propozycję, a na to się nie zanosilo. Gwiazdy jasne jak diamenty powoli zblakły, podobnie jak jego ambicje, bezlitośnie zduszone przez nadchodzący dzień, którego zapowiedź nadciągnęła ze wschodu, spoza Bohaterów. Jego ostatni dzień.

– Ile zostało do świtu?

– Tyle, ile trzeba – odparł Dreszcz.

Calder wyciągnął szyję i poruszył ramionami, obolały po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji ze związanymi rękami. Koszmary co chwila wrywały go z półsnu, ale gdy się budził, wspominał je z nostalgią.

– Nie sądzę, żebyś mógł przynajmniej rozwiązać mi ręce?

– Kiedy przyjdzie czas.

Cóż za przekłete rozczarowanie. Jego ojciec miał co do niego takie wzniosłe plany. „To wszystko dla was” – mawiał, kładąc

dłonie na ramionach Caldera i Szalki. – „Będziecie rządili Północą”. Co za koniec dla człowieka, który przez całe życie marzył, by zostać królem. Owszem, zostanie zapamiętany. Jako ten, który zginął najkrwawszą śmiercią w krwawej historii Północy.

Westchnął z przygnębieniem.

– Nic nigdy nie toczy się po naszej myśli, prawda?

Z cichym pobrzękiwaniem Dreszcz postukał pierścieniem w swoje metalowe oko.

– Rzadko.

– Życie to w istocie pierdolona kupa gówna.

– Najlepiej nie mieć wielkich oczekiwań. Wtedy może nas spotkać przyjemne zaskoczenie.

Oczekiwania Caldera zanurkowały w otchłań, jednak jakiegokolwiek przyjemne zaskoczenie wciąż nie wydawało się prawdopodobne. Wzdrygnął się na wspomnienie pojedynków, które Krwawy-dziewięć toczył dla jego ojca. Wrzask tłumu oszalałego od żądzы krwi. Pierścień tarcz na krawędzi kręgu. Pierścień ponurych Imiennych, którzy je trzymali, dbając o to, żeby nikt się nie wycofał, dopóki nie zostanie przelana odpowiednia ilość krwi. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś się tam znajdzie. Że kiedyś tam umrze.

– Kto będzie trzymał dla mnie tarcze? – mruknął, żeby wypełnić ciszę.

– Słyszałem, że zgłosili się Błady-jak-Śnieg i Białoooki Hansul, a także Caul Reachey.

– Nie ma innego wyjścia, skoro ożeniłem się z jego córką?

– Nie ma innego wyjścia.

– Pewnie poprosili o tarcze, żeby nie dać się ochlapać moją krwią.

– Pewnie tak.

– Dziwna sprawa z tą krwią. Irytuje, kiedy na nas tryska, i smuci, kiedy z nas wypływa. Ma w ogóle jakieś zalety? Powiedz.

Dreszcz wzruszył ramionami. Calder poruszył nadgarstkami pod sznurem, próbując przywrócić krążenie w palcach. Byłoby miło, gdyby mógł utrzymać miecz przynajmniej tak długo, by umrzeć z bronią w ręku.

– Masz dla mnie jakieś rady?

– Rady?

– No tak, w końcu jesteś słynnym wojownikiem.

– Jeśli będziesz miał szansę, nie wahaj się. – Dreszcz popatrzył surowo na rubin na swoim małym palcu. – Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że nie ma lepszego sposobu na okazanie siły niż miłosierdzie.

– Nie w kręgu. – Dreszcz wstał.

Calder uniósł nadgarstki.

– Już czas?

Nóż zaśnił różowo w blasku wschodzącego słońca i zręcznie przeciął sznurek.

– Już czas.

– Po prostu czekamy? – stęknął Beck.

Cudna obejrzała się na niego ze zmarszczonym czołem.

– Chyba że masz ochotę zatańczyć i trochę wszystkich rozgrzać.

Beck nie miał ochoty. Pusty krąg zgrabionego błota pomiędzy

Bohaterami sprawiał ponure wrażenie, podczas gdy wokół oznaczonej kamykami krawędzi kłębił się tłum. W podobnym kręgu jego ojciec walczył z Krwawym-dziewięć. Walczył i marnie zginął.

Wielu słynnych Północnych trzymało tarcze. Oprócz pozostałych członków dwunastki Gnata byli tam także Brodd Dziesięć Sposobów, Cairm Żelaznogłowy i Glama Złoty po stronie Dowa oraz liczni Imienni.

Caul Reachey stał po przeciwnej stronie razem z dwoma innymi starymi wojownikami, którzy nie wyglądali na zachwyconych. Wyglądaliby załośnie w porównaniu z ludźmi Dowa, gdyby nie największy drań, jakiego Beck kiedykolwiek widział, który wznosił się ponad wszystkich jak górski szczyt nad pogórze.

– Co to za potwór? – wymamrotał.

– Nieznajomy-u-Bram – szepnął Mokry. – Włada wszystkimi ziemiami na wschód od Crinny. Mieszkają tam sami dzicy, a on podobno jest najgorszy ze wszystkich.

Za plecami olbrzyma rzeczywiście stała dzika banda. Mężczyźni o potarganych włosach i drgających twarzach, poprzebijani kawałkami kości i naznaczeni farbą, odziani w czaszki i łachmany. Wyglądali, jakby wyskoczyli prosto ze starej pieśni, na przykład tej, w której Szubał Koło porywa córkę władcy grani. Jak to szło?

– Idą – mruknął Yon.

Rozległy się nieprzychylnie szepty i kilka ostrych słów, ale większość ludzi milczała. Wojownicy po przeciwnej stronie kręgu rozstąpili się i do środka wkroczył Dreszcz, który trzymał Caldera pod rękę.

Calder wyglądał znacznie mniej dostojnie niż podczas

poboru prowadzonego przez Reacheya, gdzie Beck widział go po raz pierwszy, jednak na jego bladej twarzy o zaróżowionych oczach nadal gościł krzywy uśmiech. Dreszcz puścił jeńca, z chlupotem pokonał siedem kroków błota, pozostawiając za sobą odciski butów powoli wypełniające się wodą, po czym zajął miejsce obok Cudnej i wziął tarczę od mężczyzny stojącego za jej plecami.

Calder uklonił się każdemu z mężczyzn tworzących krąg, jakby byli jego starymi przyjaciółmi. Skinął głową Beckowi. Gdy Beck po raz pierwszy widział ten grymas, uznał go za pełen dumy i kpiny, ale może od tamtej pory obaj się zmienili. Jeśli teraz Calder się śmiał, to raczej z samego siebie. Beck z powagą odwzajemnił ukłon. Wiedział, jak to jest stać w obliczu śmierci, i uznał, że trzeba nie lada odwagi, by uśmiechać się w takiej chwili. Nie lada odwagi.

Calder był tak przerażony, że zamiast twarzy otaczających krąg widział tylko niewyraźną smugę przyprawiającą go o zawroty głowy. Miał jednak zamiar z dumą wyjść naprzeciw Wielkiemu Rozjemcy, tak samo jak jego ojciec i brat. Trzymał się tej myśli i nie przestawał się uśmiechać, kłaniając się rozmazanym obliczom, których nie rozpoznawał, jakby należały do gości weselnych, a nie świadków jego zgonu.

Musiał coś powiedzieć. Wypełnić czas paplaniną. Byle tylko przestać myśleć. Chwycił dłoń Reacheya, tę, na której nie tkwiła poobijana tarcza.

– Przyszędłeś!

Starzec ledwie na niego zerknął.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– To mi wystarczy. Przekaż Seff... cóż, przekaż jej, że jest mi przykro.

– Tak zrobię.

– No i rozchmurz się. Nie jesteś na pogrzebie. – Trącił staruszka łokciem w żebra. – Jeszcze. – Chichot, który rozległ się po jego słowach, sprawił, że na chwilę zapomniał o tym, że ma ochotę zesrać się w spodnie. Usłyszał także cichy, niski śmiech, który dobiegał gdzieś z wysoka. Nieznajomy-u-Bram i to najwyraźniej po stronie Caldera. – Trzymasz dla mnie tarczę?

Olbrzym postukał malutki drewniany okrąg palcem jak maczuga.

– Zgadza się.

– Co z tego masz?

– Mówimy o starciu mściwych ostrzy i krwi skrapiającej spragnioną ziemię. O ryku zwycięzcy i wrzasku zarzynanego. Cóż mogłoby mnie bardziej interesować niż patrzenie, jak ludzie ofiarowują i otrzymują wszystko, a życie i śmierć balansują na krawędzi miecza?

Calder przełknął ślinę.

– Ale dlaczego jesteś po mojej stronie?

– Tutaj było wolne miejsce.

– No tak. – Tylko tyle mógł komukolwiek zaproponować. Dobre miejsce do obserwowania własnej śmierci. – Ty też przyszedłeś, bo było miejsce? – spytał Bładego-jak-Śnieg.

– Przyszedłem ze względu na ciebie, Szalkę i twojego ojca.

– Ja również – dodał Białooki Hansul.

Po całej nienawiści, jaka na niego spłynęła, takie oznaki lojalności niemal przypawiły go o szeroki uśmiech.

– To wiele dla mnie znaczy – wychrypiał. Najsmutniejsze, że

była to prawda. Uderzył pięścią w tarczę Białookiego i uściśnął ramię Bładego-jak-Śnieg. – Naprawdę wiele.

Czas na uściski i wilgotne oczy gwałtownie się kończył. Tłum wokół kręgu zaszumiał, zafalował, po czym trzymający tarcze się rozstąpili. Obrońca Północy przeszedł przez powstałą lukę, spokojny jak hazardzista, który wygrał wysoki zakład, a jego czarny sztandar wznosił się za nim niczym cień samej śmierci. Rozebrał się do skórzanej kamizeli, jego ręce i ramiona pokrywały rozgałęzione żyły i poskręcane ścięgna, a na szyi wisiał łańcuch z brylantem, niegdyś należący do ojca Caldera.

Klasnęły dłonie, zagrzecgotała broń, szcęknął metal. Wszyscy starali się zasłużyć na przychylnie spojrzenie człowieka, który przepędził Unię. Wszyscy wiwatowali, nawet po stronie Caldera. Nie mógł mieć do nich pretensji. Będą musieli dalej żyć, gdy Dow posieka go na łkające kawałki.

– A więc się stawieś. – Dow skinął głową w stronę Dreszcza. – Obawiałem się, że mój pies zje cię w nocy.

Żart wodza wzbudził więcej śmiechu, niż na to zasługiwał, ale Dreszcz nawet nie drgnął, a jego przecięta blizną twarz pozostała niewzruszona. Dow z uśmiechem powiódł wzrokiem po Bohaterach, których pokryte porostami wierzchołki wystawały ponad tłum, po czym rozłożył ręce z rozczapierzonymi palcami.

– Wygląda na to, że mamy idealne miejsce dla naszych celów. Jakby stworzone do pojedynku!

– Zgadza się – odparł Calder. Tylko na taki pokaz odwagi było go stać.

– Zazwyczaj w takich chwilach należy przestrzegać ustalonej formy. – Dow pokręcił palcem. – Wyłożyć sporną sprawę, przedstawić rodowód walczących i tak dalej, ale myślę, że

możemy to sobie darować. Wszyscy wiemy, o co chodzi. Wszyscy wiemy, że nie masz rodowodu.

Kolejny wybuch śmiechu, po którym Dow ponownie rozpostarł ręce.

– A jeśli zacznę wymieniać ludzi, których posłałem do ziemi, to nigdy nie zaczniemy!

Przez tłum przetoczyła się fala męskiego rozbawienia podkreślanego klepaniem się po udach. Najwyraźniej Dow zamierzał udowodnić, że jest nie tylko lepszym wojownikiem, ale także ma większe poczucie humoru. Było to podobnie nierówne starcie. Zwycięzcy zawsze mają po swojej stronie tłum, a Calderowi tym razem skończyły się cięte riposty. Może po prostu martwi ludzie nie są zabawni. Dlatego tylko stał, czekając, aż ludzie się uciszą. Po chwili ponad błotnistym kręgiem rozlegał się tylko szum słabego wiatru, łopot czarnego sztandaru i świergot ptaka siedzącego na szczycie jednego z głazów.

Dow westchnął.

– Przykro mi to mówić, ale musiałem posłać do Carleonu po twoją żonę. Oddała się w niewolę w zamian za twoją wolność, prawda?

– Zostaw ją w spokoju, draniu! – warknął Calder, niemal się krtusząc z wściekłości. – Ona nie ma z tym nic wspólnego!

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, gnojku. – Dow obrócił głowę, nie spuszczając wzroku z Caldera, po czym splunął w błoto. – Kusi mnie, żeby ją spalić. Albo wyciąć na jej ciele krwawy krzyż, żeby dać jej nauczkę. Czy nie tak lubił postępować twój ojciec w dawnych czasach? – Dow uniósł otwartą dłoń. – Ale mogę sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Myślę, że dam jej spokój. Z szacunku dla Caula Reacheya, gdyż to

jedyny człowiek na Północy, który, kurwa, wciąż dotrzymuje słowa.

– Dziękuję – mruknął Reachey, wciąż nie patrząc Calderowi w oczy.

– Pomimo mojej reputacji nie mam w zwyczaju wieszać kobiet. Jeśli stanę się jeszcze bardziej litościwy, zaczną mnie nazywać Białym Dowem! – Kolejny wybuch śmiechu. Dow zadał serię ciosów w powietrze, tak szybko, że Calder ledwie zdołał je policzyć. – Wygląda na to, że po prostu będę musiał zabić cię dwa razy bardziej, żeby to nadrobić.

Coś dźgnęło Caldera w żebra. Głowica jego broni schowanej w pochwie owiniętej pasem, którą Błady-jak-Śnieg podał mu z przepraszającym wyrazem twarzy.

– No tak. Masz dla mnie jakieś rady? – spytał Calder, mając nadzieję, że stary wojownik zmruży oczy i podzieli się z nim obserwacjami na temat tego, że Dow za daleko wysuwa czubek ostrza, za nisko opuszcza ramię albo jest bezbronny wobec cięcia w tułów.

Jednakże Błady-jak-Śnieg tylko wydał policzki.

– To pierdolony Czarny Dow – mruknął.

– Jasne. – Calder przełknął kwaśną ślinę. – Dzięki. – To wszystko było takie rozczarowujące. Dobył broni, przez chwilę niepewnie trzymał pochwę, po czym ją oddał. Podejrzewał, że już mu się nie przyda. Nie mógł się z tego wykręcić. Czasami pozostaje tylko walka. Wziął głęboki wdech i ruszył do przodu, a jego znoszony styryjski but zachlupotał w błocie. Jeden krótki krok poza granicę z kamyków. Najtrudniejszy krok w jego życiu.

Dow wyciągnął szyję w jedną, a potem drugą stronę, po czym powoli wyciągnął miecz przy wtórze cichego metalicznego syku.

– To był miecz Krwawego-dziewięć. Pokonałem go w walce.

Wiesz o tym, ponieważ tam byłeś. Jak więc, kurwa, oceniasz swoje szanse?

Patrząc na długie szare ostrze, Calder musiał przyznać, że jego szanse nie wyglądają najlepiej.

– Przecież cię ostrzegałem, że jeśli spróbujesz tych swoich gierek, to źle na tym wyjdiesz. – Dow skrzywił się i omiótł wzrokiem brzydkie twarze wokół kręgu. – Ale ty musiałeś głosić potrzebę pokoju. Musiałeś rozsiewać swoje kłamstwa. Musiałeś...

– Zamknij mordę i walcz! – wrzasnął Calder. – Ty stara nudna pizdo!

Przez tłum przetoczyła się fala szeptów, a potem wesoły rechot, któremu towarzyszył groźny szczęk metalu. Dow wzruszył ramionami i również wszedł do kręgu.

Ludzie podeszli bliżej, z grzechotem złączając krawędzie tarcz. Zamknęli ich za ścianą jaskrawo pomalowanego drewna. Za zielonymi drzewami, głowami smoków, płynącymi rzekami i lecącymi orłami, których oblicza w ciągu ostatnich dni pokryły się śladami walki. Krąg wygłodniałych twarzy, zębów obnażonych w złości lub uśmiechu, niecierpliwie lśniących oczu. Tylko Calder i Czarny Dow. Żadnego wyjścia poza rozlewem krwi.

Calder zapewne powinien się zastanawiać, jak może przezwyciężyć niesprzyjające okoliczności i ująć z życiem. Planować otwarcia, pchnięcia, finty i pracę nóg. Przecież nie jest pozbawiony szans, prawda? Kiedy dwóch mężczyzn walczy, zawsze jest szansa. Potrafił jednak myśleć tylko o twarzy Seff, o tym, jaka jest piękna. Żałował, że nie może jeszcze raz jej zobaczyć. Powiedzieć, że ją kocha, albo żeby się nie martwiła, zapomniała o nim i żyła dalej swoim życiem, bądź jakąś inną

bezużyteczną bzdurę. Ojciec zawsze mu mówił: „Charakter człowieka poznaje się po tym, jak się zachowuje w obliczu śmierci”. Zatem wygląda na to, że jest sentymentalnym dupkiem. Może wszyscy tacy jesteśmy na końcu.

Calder uniósł ostrze i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, tak jak go kiedyś uczono. Musiał zaatakować. Tak powiedziała by Szalka. Jeśli nie atakujesz, przegrywasz. Zbyt późno zorientował się, że drży mu ręka.

Dow zmierzył go wzrokiem, trzymając miecz swobodnie opuszczony wzdłuż nogi, po czym parsknął smutnym śmiechem.

– Chyba nie każdy pojedynek warto opiewać w pieśniach. – Rzucił się do przodu, szybkim ruchem nadgarstka wyprowadzając uderzenie od dołu.

Calder nie powinien być zaskoczony, widząc zbliżające się ostrze. W końcu na tym polega pojedynek. Ale i tak był żałośnie nieprzygotowany. Odskoczył do tyłu, a miecz Dowa z oszłamiającą siłą uderzył w jego broń, niemal wyrywając mu ją z dłoni. Ostrze odskoczyło w bok, a Calder się zatoczył, wymachując wolną ręką, by utrzymać równowagę. Wszelkie myśli o ataku ustąpiły przed potrzebą walki o przetrwanie.

Na szczęście oparł się plecami o tarczę Białookiego Hansula i uniknął upokarzającego upadku w błoto. Wyprostował się i w ostatniej chwili zdołał uskoczyć w bok, gdy Dow ponownie zaszarżował, z brzękiem uderzając w ostrze Caldera i wykręcając mu nadgarstek przy wtórze wiwatów tłumu. Calder rozpaczliwie się cofnął, zmartwiały z przerażenia, usiłując jak najbardziej się oddalić od przeciwnika, ale krąg tarcz miał ograniczoną wielkość. Taki był jego cel.

Powoli krążyli wokół siebie. Dow stąpał z gracją, luźno trzymając miecz, równie pewny siebie i swobodny podczas

pojedyńku na śmierć i życie, jak Calder we własnej sypialni. Z kolei Calder chwiał się jak dziecko, które uczy się chodzić, dysząc z szeroko otwartymi ustami, kuląc się i potykając po każdym prowokującym ruchu Dowa. Wokół panował ogłuszający huk, a z ust gapiów wydobywały się kłęby pary, gdy ryczeli, syczeli i pokrzykiwali, okazując swoje poparcie, nienawiść oraz...

Nagle Calder zamrugał, oślepiiony. Dow zmusił go do stanięcia twarzą ku wschodowi, przez co słońce wyłaniające się zza poszarpanej krawędzi sztandaru zaświeciło mu prosto w oczy. Zobaczył błysk metalu, bezradnie zamachał ostrze i poczuł, jak coś uderza go w lewe ramię i obraca. Pisnął, pozbawiony oddechu, czekając na straszliwy ból. Poślizgnął się, wstał i z zaskoczeniem stwierdził, że nie krwawi. Dow tylko klepnął go płazem miecza. Bawił się z nim. Grał pod publikę.

Fala śmiechu przetoczyła się przez tłum. To wystarczyło, żeby Calder poczuł ukłucie gniewu. Zaciśnął zęby i zważył broń w dłoni. Jeśli nie będzie atakował, przegra. Skoczył w stronę Dowa, ale błoto było tak śliskie, że nie mógł znaleźć oparcia. Wódz tylko się obrócił i odbił dygoczące ostrze Caldera, gdy ten go mijał. Zazgrzytała stal i broń szepiła się rękojęściami.

– Pierdolony słabeusz – syknął Dow, po czym odrzucił Caldera od siebie jak człowiek uderzający muchę.

Calder zatoczył się w poprzek kręgu, rozpaczliwie wierzgając obcasami w błocie.

Wojownicy po stronie Dowa okazali się mniej pomocni niż Hansul. Calder dostał od kogoś tarczą w tył głowy i runął na ziemię. Przez chwilę niczego nie widział, nie mógł oddychać i czuł mrowienie na całej skórze. Potem dźwignął się na nogi. Miał wrażenie, że każda z jego kończyn waży tonę, a błotnisty

krąg wściekle się kołysze. Nieprzychylnie głosy huczały i bulgotały mu w uszach.

Zauważył, że nie ma broni, i po nią sięgnął, ale wtedy czyjś but wgniótł jego dłoń w zimną maź, ochlapując mu twarz. Calder westchnął, bardziej ze zdziwienia niż bólu. Po chwili ponownie, tym razem już z bólu, gdy Dow obrócił obcasem, miażdżąc mu palce.

– Księżę Północy? – Czubek miecza Dowa ukłął Caldera w szyję, skłaniając go do wykręcenia głowy ku jasnemu niebu i przyjęcia bezsilnej pozycji na czworakach. – Jesteś, kurwa, żenujący, chłopcze.

Calder westchnął, gdy ostrze odepchnęło jego głowę do tyłu, pozostawiając palące skaleczenie na środku podbródka.

Dow oddalił się truchtem z uniesionymi rękami, przedłużając przedstawienie dla swoich ludzi, którzy stali w półokręgu i obleśnie uśmiechnięci skandowali ponad tarczami:

– Czar-ny Dow... Czar-ny Dow... – Dziesięć Sposobów radośnie im wtórował, zaś Złoty i Dreszcz tylko marszczyli czoła, podczas gdy za ich plecami wojownicy rytmicznie unosili ostrza.

Calder podniósł drżącą dłoń z błota. Pod czerwono-czarnymi kropkami krwi skapującej z brody widział, że nie wszystkie stawy znajdują się na swoich miejscach.

– Wstawaj! – rozległ się nagły głos za jego plecami. Może to Błady-jak-Śnieg. – Wstawaj!

– Po co? – wyszeptał w stronę ziemi.

Co za hańba. Zarznięty przez starego bandytę dla rozrywki wyjących kretynów. Musiał przyznać, że na to zasłużył, to jednak nie sprawiało, że taki los wydawał mu się bardziej atrakcyjny bądź mniej bolesny. Rozglądał się po kręgu, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki. Niestety, nie miał szans

przedrzeć się przez gęstwinę butów, bijących pięści, wykrzywionych ust i grzechoczących tarcz. Jedyńm wyjściem był rozlew krwi.

Kilka razy odetchnął, czekając, aż świat przestanie wirować, po czym lewą ręką wydobył ostrze z błota i powoli wstał. Wiedział, że powinien udawać słabość, nie był jednak w stanie pozować na bardziej wyczerpanego. Próbował otrząsnąć się z oszołomienia. Przecież ma szansę, prawda? Musi tylko zaatakować. Ale na spokój zmarłych, jest taki zmęczony, choć przecież dopiero zaczęli. Tak bardzo boli go złamana dłoń, a cała ręka aż do ramienia jest jak zamarznęta.

Dow z rozmachem podrzucił wirujący miecz, na chwilę arogancko się odsłaniając. Dał Calderowi okazję do ataku, ocalenia życia i zaistnienia w pieśniach. Calder napiął ociężałe nogi, szykując się do skoku, ale zanim zdążył się ruszyć, Dow złapał miecz lewą ręką i stanął w gotowości, pokazując, że może sobie pozwolić na arogancję. Stali naprzeciwko siebie, podczas gdy tłum powoli się uciszał, a krew spływała z rozciętego podbródka Caldera, łaskocząc go w szyję.

– Z tego co pamiętam, twój ojciec paskudnie zginął! – zawołał Dow. – Zmiażdżono mu głowę w kręgu.

Calder milczał, zachowując oddech na kolejną szarżę, starając się oszacować dzielącą ich odległość.

– Prawie nie miał twarzy, kiedy Krwawy-dziewięć z nim skończył. – Duży krok i zamach. Teraz, kiedy Dow jest zajęty przechwałkami. Kiedy walczy dwóch ludzi, zawsze jest szansa. Dow się wyszczerzył. – Paskudna śmierć. Ale nie przejmuj się...

Calder skoczył, czując, że grzechoczą mu zęby, gdy opadł na lewą nogę, rozchlapując błoto, unosząc ostrze i z całej siły wyprowadzając cięcie w czaszkę Dowa. Rozległo się kłaśnięcie,

gdy Dow złapał prawą ręką lewą dłoń Caldera i zacisnął ją na rękojeści, kierując nieszkodliwe ostrze ku niebu.

– ...zadbam o to, żeby twoja była jeszcze gorsza – dokończył.

Calder chwycił go za ramię złamaną dłonią, bezsilnie uderzając palcami w łańcuch jego ojca. Jednak kciuk wciąż miał sprawny i udało mu się zadrapać wodza w policzek, na którym pojawiła się pojedyncza kropla krwi. Z rykiem usiłował wcisnąć paznokiec w otwór po uchu Dowa, wkładając w to całe swoje rozczarowanie, desperację i złość, odnajdując czubkiem palca bliznę i obnażając zęby, gdy...

Głowica miecza Dowa wbiła mu się w żebra z głuchym łupnięciem i ból przeszył go aż po cebulki włosów. Zapewne by wrzasnął, gdyby pozostało mu choć trochę powietrza w płucach. Zatoczył się i zgiął wpół, czując żółć, która wypełniała mu zmarznięte usta i zwisała długą nitką z zakrwawionej wargi.

– Myślałeś, że jesteś taki mądry. – Dow syknął mu prosto w twarz, podnosząc go za lewą dłoń. – Myślałeś, że mnie zwyciężysz? W kręgu? Ale teraz nie wyglądasz na spryciarza, prawda?

Głowica miecza ponownie spadła na żebra Caldera, gdy próbował zaczerpnąć powietrza. Wypuścił je z jękiem i obwił jak mokra owcza skóra.

– Prawda?

Tłum krzyczał, rechotał i pluł, grzechocząc tarczami i domagając się krwi.

– Potrzyмай. – Dow rzucił swój miecz Dreszczowi, który złapał go za rękojeść.

– Wstawaj, skurwielu. – Dłoń Dowa zacisnęła się na gardle Caldera, błyskawicznie i bezlitośnie jak sidła na niedźwiedzia. – Choć raz w życiu stań prosto. – Dźwignął przeciwnika na nogi.

Calder nie był w stanie samodzielnie stać, poruszać zdrową ręką, w której ścisnął bezużyteczną broń, a nawet oddychać. To wyjątkowo nieprzyjemne uczucie, gdy ktoś ci miażdży tchawicę. Calder bezradnie się wił. W ustach czuł smak wymiocin. Jego twarz płonęła. Śmierć zawsze zaskakuje ludzi, nawet wtedy, gdy powinni się jej spodziewać. Zawsze uważają się za kogoś wyjątkowego i oczekują wybawienia. Ale nikt nie jest wyjątkowy. Dow ścisnął mocniej, aż w szyi Caldera chrupnęły kości, a oczy wyszły mu z orbit, jakby miały wyskoczyć. Wszystko pojaśniało.

– Myślisz, że to koniec? – Dow z uśmiechem podniósł Caldera, tak że jego stopy prawie oderwały się od ziemi. – Dopiero zacznym, ty skur...

Rozległ się ostry trzask i w niebo trysnęły ciemne strumienie krwi. Calder niezdarnie zatoczył się do tyłu i poślizgnął, zachłystując się powietrzem, gdy Dow puścił jego gardło i dłoń z bronią, oparł się o niego, a następnie runął na twarz w błoto.

Krew płynęła z jego rozplątanej czaszki, zachlapując zniszczone buty Caldera.

Czas stanął w miejscu.

Wszystkie głosy umilkły i w kręgu nagle zapadła śmiertelna cisza. Wszystkie oczy wpatrywały się w bulgoczącą ranę z tyłu głowy Dowa. Caul Dreszcz stał z ponurą miną, trzymając w garści miecz Krwawego-dziewięć. Szare ostrze było zbryzgane krwią Czarnego Dowa.

– Nie jestem psem – powiedział.

Calder zerknął na Brodda Dziesięć Sposobów, a ten odwzajemnił jego spojrzenie. Obaj z szeroko otwartymi ustami analizowali sytuację. Dziesięć Sposobów był człowiekiem Czarnego Dowa. Ale Czarny Dow zginął i wszystko się zmieniło.

Lewa powieka Brodda lekko drgnęła.

Jeśli dostaniesz szansę, nie możesz się wahać. Calder skoczył do przodu, choć bardziej przypominało to upadek, i uderzył od góry, zanim Dziesięć Sposobów zdążył chwycić za rękojeść. Brodd próbował jeszcze unieść tarczę, ale zaczepił nią o stojącego obok wojownika. Ostrze Caldera rozcięło jego parchatą twarz aż do nosa, a krew trysnęła wokoło.

Jak widać słabeusz może z łatwością pokonać wytrawnego wojownika, nawet lewą ręką, jeśli tylko przeciwnik nie ma w rękę broni.

Beck się obejrzał, gdy poczuł, że Dreszcz się porusza. Zobaczył błysk ostrza i poczuł mrowienie na całej skórze, gdy ujrzał Dowa padającego w błoto. Potem sięgnął po broń. Cudna w ostatniej chwili złapała go za nadgarstek.

– Nie.

Beck skrzywił się, gdy Calder skoczył w jego stronę z uniesionym ostrzem. Rozległ się głuchy trzask i na twarz młodzieńca trysnęła krew. Próbował odepchnąć Cudną i dobyć broni, ale Scorry przytrzymał go za drugą rękę i odciągał do tyłu.

– Każdy człowiek ma inne zasady – syknął mu do ucha.

Calder chwiał się z szeroko otwartymi ustami, a jego serce biło tak mocno, że huk niemal rozsadzał mu czaszkę. Wodził wzrokiem po kolejnych zaszokowanych obliczach. Patrzył na zbryzganych krwią Carlów Dziesięciu Sposobów. Na Złotego, Żelaznogłowego oraz ich Imiennych. Na straż przyboczną Dowa

i stojącego pośród nich Dreszcza, wciąż trzymającego miecz, którym rozplątał czaszkę wodza. W każdej chwili w kręgu mogła się rozpocząć krwawa orgia o nieprzewidzianych skutkach. Calder był pewien tylko tego, że nie uszedłby z niej z życiem.

– No chodźcie! – zaskrzeczał, zbliżając się chwiejnie do ludzi Dziesięciu Sposobów. Chciał już to mieć za sobą.

Oni jednak cofnęli się, jakby zobaczyli Skarlinga we własnej osobie. Calder nie rozumiał dlaczego, ale po chwili zobaczył padający na niego cień i poczuł na ramieniu potężny ciężar, od którego prawie ugięły się pod nim kolana.

To była olbrzymia dłoń Nieznajomego-u-Bram.

– Dobra robota – rzekł wielkolud. – I honorowa, gdyż na wojnie wszystko, co zapewnia nam zwycięstwo, jest honorowe, a największa wygrana to ta, która wymaga najmniejszej liczby ciosów. Bethod był królem Północnych. Jego syn również powinien nim zostać. Ja, Nieznajomy-u-Bram, wódz Tysiąca Plemion, stoję u boku Czarnego Caldera.

Być może olbrzym uważał, że każdy wódz dodaje określenie „Czarny” do swojego imienia, albo uznał, że Calder zdobył to miano w walce, a może po prostu stwierdził, że ono do niego pasuje. W każdym razie nowy przydomek od razu się przyjął.

– Ja także. – Reachey położył dłoń na drugim ramieniu Caldera, a na jego posiwiałym obliczu zagościł szeroki uśmiech. – Stoję u boku mego syna, Czarnego Caldera. – Dumny ojciec udzielający bezwarunkowego poparcia. Dow umarł i wszystko się zmieniło.

– I ja. – Błady-jak-Śnieg stanął z drugiej strony i nagle wszystkie słowa, które Calder uznał za zmarnowane, oraz wszystkie nasiona, które pozornie obumarły, wydały zadziwiające owoce.

– I ja – dołączył Żelaznogłowy, wyłaniając się spomiędzy swoich ludzi i lekko skłaniając głowę.

– I ja. – Złoty, który za wszelką cenę nie chciał pozwolić, by jego rywal go ubiegł. – Popieram Czarnego Caldera!

– Czarny Calder! – wykrzykiwali ludzie, zachęceni przez swoich wodzów. – Czarny Calder! – Prześcigali się, kto zawoła głośniejsze, jakby w ten sposób mogli udowodnić lojalność wobec nowego porządku. – Czarny Calder – Jakby od początku tego pragnęli i oczekiwali.

Dreszcz przykucnął i ściągnął splątany łańcuch przez rozbitą głowę Dowa. Zawiesił go sobie na palcu i wyciągnął w stronę Caldera. Lekko kołyszący się brylant, który nosił Bethod, za sprawą krwi przypominał rubin.

– Wygląda na to, że wygrałeś – rzekł Dreszcz.

Pomimo silnego bólu Calder zdołał kpiąco się uśmiechnąć.

– Prawda?

Pozostali członkowie dwunastki Gnata wymknęli się niezauważeni, przeciskając się przez tłum napierający w przeciwnym kierunku.

Cudna wciąż trzymała Becka za rękę, a Scorry za ramię. Odciągnęli go od kręgu, mijając grupę rozentuzjasmowanych mężczyzn, którzy rozrywali na strzępy sztandar Dowa. Za nimi szli Yon i Mokry. Nie tylko oni postanowili się oddalić. Podczas gdy wodzowie Czarnego Dowa potykali się o trupa swojego przywódcy, prześcigając się w całowaniu tyłka Czarnego Caldera, inni wojownicy dyskretnie czmychali. Czuli, skąd wieje wiatr, i wiedzieli, że jeśli zostaną zbyt długo, ten zmiecie ich z powrotem do ziemi. Najbardziej zagorzali zwolennicy Dowa

i dawni wrogowie Bethoda, którzy nie mieli zamiaru wystawiać na próbę miłosierdzia jego syna.

Zatrzymali się w długim cieniu jednego z głazów i Cudna oparła o niego tarczę, po czym ostrożnie się rozejrzała. Jednak ludzie mieli mnóstwo własnych zmartwień i nikt nie zwracał na nich uwagi.

Sięgnęła pod płaszcz i położyła coś na dłoni Yona.

– Są twoje.

Yon niemal się uśmiechał, gdy zacisnął dłoń, w której coś zabrzęczało. Cudna wsunęła kolejne tajemnicze zawiniątko w dłoń Scorry'ego, a trzecie dała Mokremu. Potem wyciągnęła rękę w stronę Becka. Sakiewka. I to mocno wypchana. Beck wpatrywał się w nią, aż w końcu Cudna podetknęła mu ją pod nos.

– Ty dostaniesz połowę stawki.

– Nie – odparł Beck.

– Jesteś nowy, chłopcze. Połowa to uczciwa...

– Nie chcę.

Wszyscy popatrzyli na niego surowo.

– On nie chce – mruknął Scorry.

– Powinniśmy byli... – Beck wcale nie był pewien, co powinni byli zrobić. – Postąpić honorowo – dokończył bez przekonania.

– Co takiego? – Yon pogardliwie wykrzywił twarz. – Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli więcej wysłuchiwać tych bzdur! Kiedy spędzisz dwadzieścia lat, zajmując się czarną robotą i mając z tego tylko blizny, wtedy będziesz mógł mnie pouczać na temat pierdolonego honoru, gnojku! – Zbliżył się do Becka, ale Cudna go powstrzymała.

– Co to za honor, który kosztowałby życie większej liczby

ludzi? – spytała cicho, bez złości. – Słucham? Wiesz, ilu przyjaciół straciłam w ciągu ostatnich kilku dni? Co w tym honorowego? Dow był skończony. Tak czy inaczej, było po nim. Uważasz, że powinniśmy byli za niego walczyć? Dlaczego? On nic dla mnie nie znaczył. Nie był lepszy od Caldera ani nikogo innego. Uważasz, że powinniśmy za niego zginąć, Czerwony Becku?

Beck przez chwilę milczał z szeroko otwartymi ustami.

– Nie wiem. Ale nie chcę pieniędzy. A tak w ogóle, to czyje one są?

– Nasze – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

– To nie w porządku.

– Masz zasady, co? – Powoli pokiwała głową, a w jej oczach kryło się znużenie. – No cóż, w takim razie życzę powodzenia. Będzie ci potrzebne.

Mokry sprawiał wrażenie nieco zawstydzonego, ale się do tego nie przyznawał. Szczerze uśmiechnął się, opuszczając tarczę na trawę, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami i nucił jakąś pieśń opiewającą szlachetne czyny. Yon ze zmarszczonym czołem przetrząsał sakiewkę, licząc, ile dostał pieniędzy.

– Co by na to powiedział Gnat? – mruknął Beck.

Cudna wzruszyła ramionami.

– Kogo to obchodzi? Gnat odszedł. Musimy sami podejmować decyzje.

– Właśnie. – Beck kolejno zmierzył ich wzrokiem. – Właśnie – powtórzył i się oddalił.

– Dokąd idziesz?! – zawołał za nim Mokry.

Beck nie odpowiedział.

Minął jednego z Bohaterów, ocierając się ramieniem

o wiekowy głaz, i powędrował dalej. Przeskoczył nad kamiennym murem, kierując się na północ w dół zbocza. Po drodze odrzucił tarczę, pozostawiając ją w wysokiej trawie. Wokół stali ludzie, pogrążeni w gorączkowej rozmowie. Kłócili się. Jeden wyciągnął nóż, inny cofnął się z uniesionymi rękami. Panika rozprzestrzeniała się razem z wieściami. Panika i wściekłość, strach i zachwyty.

– Co się stało? – spytał ktoś, chwytając Becka za pelerynę. – Dowiedział się?

Beck stracił jego rękę.

– Nie wiem. – Ruszył dalej, prawie zbiegając ze wzgórza. Wiedział tylko jedno. To nie jest życie dla niego. Pieśni są pełne bohaterów, ale tutaj jedynymi bohaterami są kamienie.

Prądy historii

Finree udała się tam, gdzie leżeli ranni, żeby zrobić to, co należy do kobiet po zakończeniu bitwy. Ukoić wyschnięte gardła wodą wlewaną do łakomych ust. Opatrzeć rany bandażami dartymi z rąbka własnej sukni. Uspokoić umierających cichym śpiewem, który przypominał im o matce.

Zamiast tego tylko patrzyła. Przerażona bezmyślnym chórem płaczów, jęków i rozpaczliwych szlochów. Muchami, gównem i zakrwawionymi prześcieradłami. Spokojem pielęgniarek, które krążyły pomiędzy ludzkimi wrakami jak białe duchy. Ale przede wszystkim przerażona liczbą rannych, którzy leżeli rzędami na siennikach, prześcieradłach albo zimnej ziemi. Były ich całe kompanie. Bataliony.

– Jest ich ponad tuzin – powiedział młody chirurg.

– Raczej całe dziesiątki – wychrypiała, z trudem powstrzymując się przed zakryciem ust dłonią, tak dotkliwy panował tu smród.

– Nie. Ponad tuzin takich namiotów. Potrafi pani zmieniać opatrunki?

Jeśli nawet istnieje coś takiego jak szlachetna rana, to tutaj z pewnością nie było na nie miejsca. Pod każdym bandażem krył się nowy krwawiący koszmar. Rozpłatany tyłek, przedziurawiona szczęka pozbawiona większości zębów i połowy języka, równo rozcięta dłoń, na której pozostały tylko kciuk i palec wskazujący, przebity brzuch, z którego sączył się mocz. Jeden z mężczyzn otrzymał cięcie w kark i nie mógł się

ruszać, tylko leżał na twarzy, cicho rżąc. Wodził za nią wzrokiem, gdy go mijała, a jego spojrzenie mroziło jej krew w żyłach. Ciało obdarte ze skóry, spalone, porozdzierane pod dziwnymi kątami, obnażające swe tajemnice przed całym światem pod przeraźliwym przymusem. Obrażenia, które zmieniają w cierpienie resztę życia rannych oraz ich najbliższych.

Finree starała się skupić na pracy, przygryzając język, drżącymi palcami manipulując przy węzłach i szpilkach. Próbując nie słuchać szeptów błagających o pomoc, której nie potrafiła udzielić. Której nikt nie mógłby udzielić. Czerwone plamy pojawiały się na nowych bandażach, jeszcze zanim skończyła je zakładać, i cały czas rosły, a ona tłumiała łzy i mdłości. Podeszła do kolejnego rannego, który stracił lewą rękę ponad łokciem, lewą stronę twarzy miał zakrytą opatrunkiem, a...

– Finree.

Podniosła wzrok i z lodowatym przerażeniem stwierdziła, że to pułkownik Brint. Miała wrażenie, że patrzą na siebie bez końca w potwornej ciszy, w tym potwornym miejscu.

– Nie miałam pojęcia... – Nie miała pojęcia o tak wielu rzeczach, że nie wiedziała, co jeszcze może dodać.

– Wczoraj – rzekł Brint.

– Czy... – Prawie go spytała, czy dobrze się czuje, ale zdążyła ugryźć się w język. Odpowiedź była przerażająco oczywista. – Czy czegoś potrzebujesz...?

– Masz jakieś wieści? O Aliz?

Słyszając to imię, poczuła jeszcze silniejszy ucisk w żołądku. Pokręciła głową.

– Byłaś z nią. Gdzie was trzymano?

– Nie wiem. Miałam na głowie kaptur. Wyprowadzili mnie

i odesłali do domu. – Tak bardzo się cieszyła, że to Aliz, a nie ona została w ciemności. – Nie wiem, gdzie ona teraz jest... – Chociaż się domyślała. Być może Brint także. Może przez cały czas o tym rozmyślał.

– Czy coś powiedziała?

– Była... bardzo dzielna. – Finree zmusiła się do niewyraźnej namiastki uśmiechu. W końcu tak wypada, prawda? Trzeba kłamać. – Powiedziała, że cię kocha. – Położyła dłoń na jego rękę. Tej, która mu pozostała. – Powiedziała... żebyś się nie martwił.

– Nie martwił – wyszeptał, wpatrując się w Finree przekrwionym okiem. Nie wiedziała, czy czuje się uspokojony, wściekły, czy po prostu nie wierzy w ani jedno jej puste słowo. – Gdybym tylko mógł się dowiedzieć.

Finree podejrzewała, że wcale by mu to nie pomogło. Widziała to po sobie.

– Tak mi przykro – szepnęła, nie mogąc dłużej na niego patrzeć. – Próbowałam... robiłam, co mogłam, ale... – To przynajmniej była prawda, czyż nie? Po raz ostatni uścisnęła bezwładną rękę Brinta. – Muszę... przynieść więcej bandaży...

– Wrócisz?

– Tak – odpowiedziała, podrywając się z ziemi. Nie była pewna, czy nadal kłamie. – Oczywiście, że wrócę. – Niemal potknęła się o swoje stopy, tak bardzo śpieszyła się, żeby uciec przed tym koszmarem, raz za razem dziękując Boginiom Losu, że to jej pozwoliły ocaleć.

Miała dosyć tej pokuty, więc wspięła się ścieżką po wzgórzu do kwatery głównej swojego ojca. Minęła dwóch kaprali pogrążonych w pijanym tańcu do piskliwych dźwięków skrzypiec. Minęła rząd kobiet piorących koszule w potoku. Minęła rząd żołnierzy niecierpliwie czekających na królewskie

złoto. Między stłoczonymi ciałami błyskał drogocenny metal w palcach płatnika. Grupka hałaśliwych handlarzy, oszustów i alfonsów już krążyła wokół końca kolejki jak mewy nad rozsypanymi okruchami, niewątpliwie zdając sobie sprawę, że pokój wkrótce odbierze im pracę i da szansę zarobku uczciwym ludziom.

Niedaleko stodoły minęła Mittericka otoczonego wianuszkami oficerów, a generał uroczyście się jej uklonił. Od razu poczuła, że stało się coś złego. Zazwyczaj na nieznośnym samozadowoleniu Mittericka można było polegać jak na nadejściu świtu. Potem zobaczyła Bayaza wychodzącego przez niskie drzwi i jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Mag usunął się jej z drogi, promieniując samozadowoleniem, którego brakowało generałowi.

– Fin. – Jej ojciec stał samotnie pośrodku ciemnego pomieszczenia. Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem. – No, już po wszystkim.

Usiadł na krześle, westchnął rozdzierająco i rozpiął guzik pod szyją. Przez dwadzieścia lat ani razu nie widziała, żeby to robił w ciągu dnia.

Wyszła z powrotem na świeże powietrze. Bayaz oddalił się zaledwie o kilka kroków i rozmawiał ze swoim kędzierzawym poplecznikiem.

– Muszę z tobą porozmawiać!

– A ja z panią. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. – Mag odwrócił się w stronę sługi. – Zanieś mu pieniądze, tak jak uzgodniliśmy i... poślij po hydraulików. – Służący uklonił się i wycofał z szacunkiem. – Czym mogę...

– Nie możesz go zwolnić.

– O kim mówimy?

– O moim ojcu! – odburknęła. – Dobrze wiesz!

– Nie zwolniłem go. – Bayaz sprawiał wrażenie niemal rozbawionego. – Pani ojciec miał tyle przyzwoitości i rozsądku, że sam zrezygnował.

– Jest najlepszym człowiekiem do tego zadania! – Z trudem powstrzymywała się, żeby nie chwycić maga za łysą głowę i jej nie ugryźć. – Jedynym, który zrobił cokolwiek, żeby ograniczyć skalę tej bezcelowej rzezi! Co zrobił ten nadęty głupiec Mitterick? Wczoraj poprowadził pół swojej dywizji na śmierć! Król potrzebuje ludzi, którzy...

– Król potrzebuje ludzi posłusznych.

– Nie masz takiej władzy! – Łamał się jej głos. – Mój ojciec jest lordem marszałkiem, zasiada w Zamkniętej Radzie i tylko sam król może go odwołać!

– Cóż za upokorzenie! Pokonany przez zasady, które sam ustanowiłem! – Bayaz wydał dolną wargę, po czym sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął zwój opatrzony masywną czerwoną pieczęcią. – Zatem podejrzewam, że to także nie ma większego znaczenia. – Ostrożnie rozwinął gruby, cicho szeleszczący arkusz. Gdy mag odchrząknął, Finree wstrzymała oddech. – „Królewskim rozporządzeniem Harold dan Brock zostaje przywrócony na stanowisko swojego ojca w Otwartej Radzie. W jego ręce powróci część rodzinnych posiadłości w okolicach Keln, jak również ziemie niedaleko Osrungu, skąd, jak ufamy, pani mąż będzie sprawował swoje nowe obowiązki jako lord gubernator Anglandu”.

Bayaz obrócił arkusz i podsunął go Finree, a ona zaczęła wodzić wzrokiem po idealnie wykaligrafowanych literach jak skąpiec po zawartości skrzyni z klejnotami.

– Jakże król mógłby nie poczuć się wzruszony taką

lojalnością, odwagą i poświęceniem, jakim wykazał się młody lord Brock? – Bayaz nachylił się bliżej. – Nie wspominając o odwadze i wytrwałości jego żony, która, uwięziona przez Północnych, dźgnęła Czarnego Dowa w oko i zażądała uwolnienia sześćdziesięciu jeńców! Jego Królewska Mość musiałby mieć serce z kamienia. A tak nie jest. Prawdę mówiąc, jest wręcz przeciwnie. Król zapłakał, gdy czytał relację z heroicznej szarży pani męża na most. Zapłakał. Potem rozkazał sporządzić ten dokument i godzinę później go podpisał. – Mag nachylił się jeszcze bliżej, tak że Finree niemal czuła jego oddech na twarzy. – Śmiem twierdzić... że gdyby ktoś uważnie przyjrzał się tej kartce... dostrzegłby ślady szczerych łez Jego Królewskiej Mości... płamiących welin.

Po raz pierwszy, odkąd pojawił się dokument, Finree oderwała od niego wzrok. Była wystarczająco blisko, by widzieć każdy siwy włoszek w brodzie Bayaza, każdą brązową plamę na jego łysinie, każdą głęboką, ostrą zmarszczkę na skórze.

– Gонец potrzebowałby tygodnia, żeby dotrzeć na dwór, i kolejnego, by wrócić z edyktem. Tymczasem minął dopiero dzień, odkąd...

– Może to pani nazwać czarami. Być może padlina Jego Królewskiej Mości jest o tydzień drogi stąd w Adui, ale co z jego prawą ręką? – Bayaz uniósł własną prawą dłoń. – Jego prawa ręka jest nieco bliżej. Zresztą, teraz to nie ma większego znaczenia. – Cofnął się i z westchnieniem zaczął zwijać pergamin. – Skoro pani twierdzi, że nie mam takiej władzy, najlepiej będzie, jeśli spalę ten bezwartościowy świstek, prawda?

– Nie! – Musiała się powstrzymać, żeby nie wyrwać mu kartki z ręki. – Nie.

– Czyli już nie sprzeciwia się pani usunięciu ojca ze stanowiska?

Przygryzła wargę. Wojna to piekło, ale nie brakuje na niej okazji.

– Skoro sam zrezygnował.

– Naprawdę? – Bayaz szeroko się uśmiechnął, ale spojrzenie jego lśniących zielonych oczu wcale nie złagodniało. – Ponownie mi pani zaimponowała. Szczerze gratuluję pani mężowi błyskawicznego awansu. Oczywiście nie tylko jemu... pani gubernator.

Wyciągnął w jej stronę zwój, a Finree go chwyciła. Mag jednak nie wypuścił dokumentu z ręki.

– Tylko proszę pamiętać. Ludzie kochają bohaterów, ale zawsze można znaleźć nowych. Jednym palcem was wywyższam. Drugim... – dotknął palcem jej podbródka i pchnął go do góry, aż zeszywniałał szyję Finree przeszył ból – ...mogę was poniżyć.

Przełknęła ślinę.

– Rozumiem.

– Zatem życzę miłego dnia! – Bayaz z uśmiechem puścił zwój. – Może pani przekazać radosne wieści mężowi, chociaż muszę nalegać, aby na razie pozostało to między wami. Ludzie mogliby nie docenić takich czarów. Przekażę zgodę pani męża Jego Królewskiej Mości razem z jego kandydaturą. Dobrze?

Finree odchrząknęła.

– Oczywiście.

– Moi koledzy z Zamkniętej Rady będą zachwyceni, że tak szybko załatwiliśmy tę sprawę. Kiedy pani mąż wróci do pełni sił, musicie odwiedzić Aduę. Konieczne będzie załatwienie formalności związanych z nominacją. Zorganizujemy paradę

albo coś w tym rodzaju. Uroczystość w Rotundzie Lordów. Śniadanie z królową. – Bayaz uniósł brew, po czym się odwrócił. – Powinna pani postarać się o lepsze ubranie. Coś bardziej bohaterskiego.

Pomieszczenie było czyste i jasne, strumienie światła wpadającego przez okno zalewały łóżko. Żadnego płaczu. Żadnej krwi. Żadnych brakujących kończyn. Tutaj niewiedza nie była cierpieniem tylko błogosławieństwem. Jedna blada ręka chowała się pod kołdrą, druga leżała na prześcieradle. Knykcie pokryte strupami delikatnie unosiły się i opadały w rytmie oddechu.

– Hal. – Mruknął coś pod nosem, otwierając powieki. – Hal, to ja.

– Fin. – Podniósł rękę i dotknął opuszkami jej policzka. – Przyszłaś.

– Oczywiście. – Ujęła jego dłoń obiema rękami. – Jak się czujesz?

Poruszył się, skrzywił, po czym słabo uśmiechnął.

– Jestem trochę zeszywniały, ale miałem dużo szczęścia. Przede wszystkim dlatego, że mam ciebie. Słyszałem, że wyciągnęłaś mnie z gruzów. Czy to nie ja powinienem śpieszyć ci na ratunek?

– Jeśli poprawi ci to humor, znalazł cię Bremer dan Gorst. Ja tylko biegałam wkoło i płakałam, kiedy niósł cię do obozu.

– Zawsze byłaś skłonna do płaczu, to jedna z rzeczy, które w tobie uwielbiam. – Zaczęły mu się zamykać oczy. – Chyba dam radę żyć z tym, że to Gorst... mnie uratował..

Mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Hal, posłuchaj mnie, coś się stało. Coś wspaniałego.

– Słyszałem. – Leniwie poruszył powiekami. – Pokój.

Machnęła ręką.

– Nie to. To znaczy, owszem, to też, ale... – Pochyliła się nad nim i zacisnęła drugą dłoń na jego palcach. – Hal, posłuchaj mnie. Dostałeś miejsce swojego ojca w Otwartej Radzie.

– Co takiego?

– A także część jego ziem. Chcą, żebyśmy... żebyś ty... król chce, żebyś zastąpił Meeda.

Hal zamrugał.

– Jako generał dywizji?

– Jako lord gubernator Anglandu.

Przez chwilę sprawiał wrażenie oszołomionego, a potem popatrzył na nią z niepokojem.

– Dlaczego ja?

– Ponieważ jesteś dobrym człowiekiem. – I kompromisowym kandydatem. – A także bohaterem. Król usłyszał o twoich czynach.

– Bohaterem? – parsknął. – Jak tego dokonałaś? – Spróbował dźwignąć się na łokciach, ale Finree położyła mu dłoń na piersi i delikatnie go przytrzymała.

Miała okazję, żeby powiedzieć mu prawdę, ale nawet nie przyszło jej to do głowy.

– Ty tego dokonałeś. Jednak miałeś rację. Ciężka praca, lojalność i tak dalej. Dowodzenie z pierwszego szeregu. Tylko tak można do czegoś dojść w życiu.

– Ale...

– Ciii. – Pocałowała go z jednej strony ust, potem z drugiej, a następnie w sam środek. Miał brzydki oddech, ale jej to nie

przeszkadzało. Nie zamierzała pozwolić, żeby to popsuł. – Później porozmawiamy. Teraz odpoczywaj.

– Kocham cię – wyszeptał.

– Ja też cię kocham. – Delikatnie głaskała go po twarzy, gdy zasypiał. Nie kłamała. Był dobrym człowiekiem. Jednym z najlepszych. Uczciwym, odważnym i lojalnym aż do przesady. Doskonale do siebie pasowali. Optymista i pesymistka, marzyciel i cyniczka. Zresztą, na czym polega miłość, jeśli nie na znalezieniu kogoś, kto nam odpowiada? Kogoś, kto zrekompensuje nasze braki?

Kogoś, z kim można pracować. Kogo można urobić po swojemu.

Warunki

– Spóźniają się – mruknął Mitterick.

Wokół stołu ustawiono sześć krzeseł. Na jednym siedział nowy lord marszałek Jego Królewskiej Mości, wciśnięty w elegancki mundur z lamówkami, zbyt ciasno zapięty pod szyją. Na drugim Bayaz, który bębnił grubymi palcami po blacie. Na trzecim garbił się Wilczarz, zerkając ponuro ku Bohaterom, od czasu do czasu napinając mięśnie z boku głowy.

Gorst stał ze skrzyżowanymi rękami o krok za krzesłem Mittericka. Obok niego ustawił się służący Bayaza z rozłożoną mapą Północy w dłoniach. Za nimi, wewnątrz kręgu głązów, ale poza zasięgiem słuchu, sztywno stała garstka najwyższych rangą oficerów.

Żałośnie zdewaluowany komplement. Nie ma wśród nas Meeda, Wetterlanta, Vinklera ani wielu innych. Także Jalenhorma. Gorst popatrzył na Bohaterów. Wygląda na to, że bliższa znajomość ze mną jest równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Jednakże dwunasty regiment Jego Królewskiej Mości zjawił się w komplecie i ustawił na placu defiladowym tuż obok Dzieci na południu, a las ich halabard migotał w słabym słońcu.

To nam przypomina, że co prawda, dążymy do pokoju, ale jesteśmy przygotowani na inne rozwiązania.

Mimo poobijanej głowy, piekącego policzka, dziesiątek skaleczeń i otarć oraz niezliczonych siniaków Gorst również był gotowy na wszystko. Prawdę mówiąc, po cichu liczył, że będzie

mógł to udowodnić. Co będę miał do roboty w czasie pokoju? Będę uczył szermierki buńczucznych młodych oficerów? Snuł się po królewskim dworze, czekając na ochłapy? Udam się jako obserwator do kanałów Kelnu? A może zaprzestanę ćwiczeń, obrosnę tłuszczem i zostanę zenującym pijaczną opowiadającym stare historie o niezdobytej chwale. Wiecie, że to Bremer dan Gorst, który kiedyś był dowódcą królewskiej straży? Postawmy kolejkę temu piskliwemu durniowi! Postawmy mu dziesięć, to zobaczymy, jak szcza w spodnie!

Gorst poczuł, że jego twarz coraz bardziej tężeje. A może... powinienem przyjąć propozycję Czarnego Dowa? Udać się tam, gdzie o takich ludziach jak ja śpiewa się pieśni, zamiast wyśmiewać ich hańbę? Gdzie nigdy nie zapanuje pokój? Bremer dan Gorst, bohater, mistrz szermierczy, najgroźniejszy człowiek na Północy...

– Nareszcie – mruknął Bayaz, gwałtownie kładąc kres jego marzeniom.

Rozległ się charakterystyczny odgłos maszerujących żołnierzy i grupa Północnych zaczęła schodzić długim zboczem od strony Bohaterów. Krawędzie ich pomalowanych tarcz odbijały promienie słońca.

Wygląda na to, że wróg także jest przygotowany na inne rozwiązania. Gorst lekko poluzował długie ostrze w pochwie, wypatrując oznak zasadzki. Miał nadzieję, że je dostrzeże. Wystarczy, że jeden Północny za daleko wysunie palec u nogi, a on dobędzie broni. Wtedy pokój stanie się kolejną rzeczą w moim życiu, której nie udało mi się osiągnąć.

Ku jego rozczarowaniu większość wojowników zatrzymała się na łagodnym zboczu przed Dziećmi w odległości nie mniejszej niż żołnierze z dwunastego regimentu. Kilku

kolejnych przystanąło wewnątrz kręgu głązów, tworząc przeciwwagę dla oficerów po stronie Unii. W tej grupie szczególnie wyróżniali się potężny mężczyzna o czarnych włosach powiewających na wietrze oraz wojownik w złoconej zbroi, którego Gorst z takim entuzjazmem bił po twarzy pierwszego dnia bitwy. Na wspomnienie tamtych wydarzeń zacisnął pięść, mając nadzieję, że będzie miał szansę to powtórzyć.

Czterej Północni zbliżyli się do stołu, jednak nigdzie nie było widać Czarnego Dowa. Na czele siedł przystojny mężczyzna z kpiącym uśmiechem na twarzy ubrany w elegancką pelerynę. Pomimo obandażowanej dłoni i świeżej rany na podbródku sprawiał wrażenie wyjątkowo beztroskiego i pewnego swej pozycji.

Już go nienawidzę.

– Kto to jest? – mruknął Mitterick.

– Calder. – Wilczarz zasepił się bardziej niż kiedykolwiek. – Najmłodszy syn Bethoda. Wąż w ludzkiej skórze.

– Raczej robak – odrzekł Bayaz. – Ale to rzeczywiście Calder.

Po jego obu stronach szli dwaj starzy wojownicy, jeden bladolicy i białowłosey, z ramionami owiniętymi jasnym futrem, a drugi krępy, o szerokiej, zniszczonej twarzy. Czwarty mężczyzna trzymał się z tyłu. Przy pasie miał topór, a na policzku straszliwą bliznę. Jedno jego oko lśniło, jakby było zrobione z metalu, ale to nie dlatego Gorst zamrugał. Ogarnęło go niepokojące uczucie, że zna tego człowieka. Czy nie widziałem go wczoraj na polu bitwy? A może przedwczoraj? Albo gdzieś wcześniej, gdy...

– Pan zapewne jest marszałkiem Kroyem. – Calder odezwał się we wspólnej mowie z nieznacznym północnym akcentem.

– Marszałkiem Mitterickiem.

– Aha! – Calder uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Jak miło wreszcie pana spotkać! Wczoraj staliśmy po przeciwnych stronach pola jęczmienia po prawej stronie pola bitwy. – Machnął zabandażowaną dłonią w kierunku zachodnim. – Czyli po pańskiej lewej, proszę wybaczyć, nie jestem żołnierzem. Pańska szarża była... wspaniała.

Mitterick przełknął ślinę, a jego różowa szyja wybrzuszyła się nad sztywnym kołnierzykiem.

– Tak się składa, że... – Calder sięgnął do wewnętrznej kieszeni, po czym rozpromienił się, wydając strzęp zmiętego, ubłoconego papieru – ...mam coś, co należy do pana!

Rzucił papier na stół, a gdy Mitterick go rozwinął, Gorst zobaczył ponad jego ramieniem, że kartka jest zapisana. Pewnie jakiś rozkaz. Mitterick ponownie zgniótł papier, tak mocno, że zbieleły mu knykcie.

– Widzę także Pierwszego z Magów! Nasza ostatnia rozmowa stanowiła cenną lekcję pokory. Ale proszę się nie martwić, od tamtego czasu odbyłem wiele innych i teraz nie znajdzie pan pokorniejszego człowieka. – Kpiący uśmiech Caldera świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Północny wskazał posiwiałych starców za swoimi plecami. – To Caul Reachey, ojciec mojej żony. A to Błady-jak-Śnieg, mój zastępca. Nie zapominajmy także o moim szacownym wojowniku...

– Caul Dreszcz. – Wilczarz uroczyście uklonił się mężczyźnie z metalowym okiem. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Zgadza się – odrzekł Dreszcz szeptem.

– Wilczarza oczywiście wszyscy znamy! – zawołał Calder. – Najbliższy towarzysz Krwawego-dziewięć, opiewany razem z nim w pieśniach! Jak się miewasz?

Wilczarz z niedbałą pogardą zignorował pytanie.

– Gdzie Czarny Dow?

– Ach. – Calder się skrzywił, chociaż wyglądało na to, że udaje.

Wszystko w nim wygląda na sztuczne, pomyślał Gorst.

– Przykro mi, ale nie przyjdzie. Czarny Dow wrócił... do ziemi.

Zapadła cisza, która najwyraźniej bardzo przypadła Calderowi do gustu.

– Nie żyje? – Wilczarz opadł na krzesło.

Zupełnie jakby dowiedział się o śmierci bliskiego przyjaciela, a nie zaciekłego wroga. Czasami naprawdę trudno dostrzec granicę.

– Obrońcy Północy i mnie przydarzyła się... różnica zdań. Rozstrzygnęliśmy ją w tradycyjny sposób. Na drodze pojedynku.

– I ty zwyciężyłeś? – spytał Wilczarz.

Calder uniósł brwi i delikatnie pomasaował palcem szwy na podbródku, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

– Cóż, ja żyję, a Dow zginął, więc... tak. To był dziwny poranek. Teraz nazywają mnie Czarnym Calderem.

– Więc to tak, kurwa?

– Spokojnie, to tylko imię. Całym sercem jestem za pokojem. – Chociaż Gorst miał wrażenie, że Carlowie zgromadzeni na długim zboczach mają na ten temat inne zdanie. – To była bitwa Dowa i według mnie stanowiła stratę czasu, pieniędzy oraz ludzkich istnień. Jeśli o mnie chodzi, pokój to najlepsza część każdej wojny.

– Również tak uważam. – Mitterick miał na sobie nowy mundur, ale to Bayaz prowadził rozmowy. – Proponuję proste

zasady rozejmu.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że proste rzeczy są najtrwalsze. Pamięta pan mojego ojca?

Mag się zawahał.

– Oczywiście. – Pstryknął palcami, a jego sługa zbliżył się i zręcznie rozwinął mapę na stole. Bayaz wskazał krętą rzekę. – Biała pozostanie północną granicą Anglandu i północną granicą Unii. Tak jest od setek lat.

– Rzeczy się zmieniają – odrzekł Calder.

– Ale nie ta. – Gruby palec maga nakreślił kolejną rzekę, na północ od pierwszej. – Ziemia pomiędzy Białą a Brosmą, wliczając miasto Uffrith, znajdzie się we władzy Wilczarza. Stanie się protektoratem Unii z szóstką przedstawicieli w Otwartej Radzie.

– Aż do Brosmy? – Calder gwałtownie wstrzymał oddech. – To jeden z najlepszych terenów na Północy. – Posłał Wilczarzowi dobitne spojrzenie. – Miejsce w Otwartej Radzie? Chroniony przez Unię? Co by na to powiedział Skarling Bez Kaptura? Co by powiedział mój ojciec?

– Gównu mnie obchodzi opinia umarłaków. – Wilczarz popatrzył mu prosto w oczy. – Rzeczy się zmieniają.

– Przebity własnym nożem! – Calder chwycił się za pierś, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami. – Jednak Północ potrzebuje pokoju. Mnie to zadowala.

– Dobrze. – Bayaz przywołał swojego sługę. – W takim razie możemy podpisać porozumienie...

– Źle się zrozumieliśmy. – Zapadła niezręczna cisza, a Calder pochylił się nad blatem, jakby przy stole zasiadali przyjaciele, a prawdziwy wróg czaił się za jego plecami i usiłował podsłuchać ich plany. – Ja jestem zadowolony, ale są też inni.

Wodzowie Dowa to... zazdrośni ludzie. – Calder się zaśmiał. – I to do nich należą wszystkie ostrza. Nie mogę tak po prostu na wszystko się zgodzić, gdyż wtedy... – Przeciągnął palcem po posiniaczonej szyi i wydał z siebie chlupoczący dźwięk. – Następnym razem, gdy będziecie chcieli rozmawiać, na tym krześle może zasiąść jakiś uparty chwalipięta w rodzaju Cairma Żelaznogłowego albo taka wieża próżności jak Glama Złoty. Życzę powodzenia w negocjowaniu warunków z tymi ludźmi. – Postukał palcem w mapę. – Popieram waszą propozycję. Z całego serca. Ale pozwólcie, że najpierw spróbuję przekonać tę ponurą bandę, a dopiero potem spotkamy się ponownie, żeby podpisać dokumenty.

Bayaz zmarszczył czoło i popatrzył na Północnych, którzy stali tuż przed granicą kręgu.

– A więc jutro.

– Wolałbym pojutrze.

– Niech pan nie nadużywa mojej uprzejmości, Calder.

Calder wyglądał jak wcielenie urażonej niewinności.

– Nie mam takiego zamiaru! Ale nie jestem Czarnym Dowem. Jestem bardziej... rzecznikiem niż tyranem.

– Rzecznikiem – mruknął Wilczarz, jakby to słowo smakowało szczynami. – To nie wystarczy.

Kpiący uśmiech Caldera był jak wykuty ze stali. Każdy atak Bayaza się od niego odbijał.

– Gdybyście tylko wiedzieli, jak ciężko pracowałem, żeby doprowadzić do pokoju. Jakie podjąłem ryzyko. – Calder przycisnął ranną dłoń do serca. – Pomóżcie mi! Pomóżcie mi pomóc nam wszystkim.

Chyba raczej tobie, pomyślał Gorst.

Calder wstał i wyciągnął zdrową dłoń ponad stołem w stronę

Wilczarza.

– Wiem, że od dawna jesteście po przeciwnych stronach, ale jeśli mamy być sąsiadami, nie może być między nami konfliktów.

– Przeciwne strony. To się zdarza. W końcu przychodzi czas, żeby o tym zapomnieć. – Wilczarz wstał, cały czas patrząc Calderowi w oczy. – Ale ty zabiłeś Forleya Najsłabszego. Ten chłopak nigdy nikogo nie skrzywdził. Przybył, żeby cię ostrzec, a ty go za to zamordowałeś.

Z ust Caldera po raz pierwszy na chwilę zniknął uśmiech.

– Każdego ranka tego żałuję.

– Więc dzisiaj będzie kolejny. – Wilczarz się nachylił, wyprostował palec wskazujący, zakrył jedną dziurkę w nosie i wysmarkał się prosto na otwartą dłoń Caldera. – Jeśli postawisz nogę na południe od Brosmy, wytnę na tobie krwawy krzyż. Wtedy nie będzie między nami konfliktów. – Po czym pogardliwie pociągnął nosem i odszedł, mijając Gorsta.

Mitterick nerwowo odchrząknął.

– Zatem wkrótce ponownie się spotkamy? – Popatrzył na Bayaza, czekając na wsparcie, które nie nadeszło.

– Jak najbardziej. – Calder niemal odzyskał radosny wyraz twarzy, wycierając smarki Wilczarza o krawędź stołu. – Za trzy dni. – Następnie odwrócił się i poszedł porozmawiać z mężczyzną z metalowym okiem, który nosił imię Dreszcz.

– Ten Calder wygląda na podstępnego drania – mruknął Mitterick do Bayaza, gdy oddalili się od stołu. – Wolałbym mieć do czynienia z Czarnym Dowem. Z nim przynajmniej wiadomo było, czego się spodziewać.

Gorst prawie nie słuchał. Był zajęty patrzeniem na Caldera i jego okaleczonego poplecznika. Znam go. Znam tę twarz. Tylko

skąd...?

– Dow był wojownikiem – szeptał Bayaz. – Calder to polityk. Zdaje sobie sprawę, że chcemy stąd szybko odejść, a kiedy nasze oddziały wrócą do domu, nie będziemy mieli żadnej karty przetargowej. Wie, że może znacznie więcej ugrać, siedząc nieruchomo z kpiącym uśmiechem, niż Dow kiedykolwiek zdobył dzięki stali i wściekłości...

Podczas rozmowy z Calderem Dreszcz odwrócił poranioną połowę twarzy, wystawiając zdrowy policzek do słońca, a wtedy Gorst poczuł mrowienie na całej skórze i szeroko otworzył usta.

Sipani.

Tamta twarz, pośród dymu, zanim został zepchnięty ze schodów. Tamta twarz. Jak to możliwe, żeby to był ten sam człowiek? A jednak pułkownik był niemal pewien.

Głos Bayaza rozpląnął się w powietrzu, gdy Gorst okrążył stół i z zaciśniętymi zębami ruszył w stronę Północnych. Jeden z wiekowych członków świty Caldera stęknął, gdy Gorst odepchnął go ramieniem z drogi. Zapewne było to bardzo niegrzeczne, a może nawet potencjalnie samobójcze zachowanie podczas rozmów pokojowych.

Mam to gdzieś.

Calder uniósł wzrok i cofnął się z zaniepokojoną miną. Dreszcz się obejrzał. Nie był rozgniewany. Nie bał się.

– Pułkownik Gorst! – krzyknął ktoś, ale Gorst go zignorował.

Chwycił Dreszcza za ramię i przyciągnął bliżej. Wodzowie stojący przy krawędzi kręgu patrzyli na to z nachmurzonymi obliczami. Olbrzym zrobił potężny krok do przodu. Mężczyzna w złotej zbroi wołał coś do grupy Carlów. Kolejny z Północnych położył dłoń na rękojeści miecza.

– Spokój, wszyscy! – krzyknął Calder w języku Północy,

unosząc za sobą dłoń. – Spokój. – Mimo to, sam wyglądał na zdenerwowanego.

I powinien. Życie nas wszystkich balansuje na ostrzu noża. A ja mam to gdzieś.

Wydawało się, że Dreszcz również niespecjalnie się przejął. Zerknął w dół na zaciśniętą dłoń Gorsta, po czym podniósł wzrok na jego twarz i uniósł brew nad zdrowym okiem.

– Czym mogę służyć? – Jego głos stanowił całkowite przeciwieństwo głosu Gorsta. Był to chrapliwy szept, który przypominał zgrzyt młyńskich kamieni.

Gorst patrzył na Północnego. Świdrował go spojrzeniem. Jakby chciał przedostać się do wnętrza jego głowy.

Tamta twarz, pośród dymu. Widział ją tylko przez chwilę, choć zamaskowaną i pozbawioną blizny. Ale jednak. Od tamtej pory oglądał ją każdej nocy, we śnie i na jawie, oraz gdy pogrążał się w pełnym majaków półśnie, i wszystkie szczegóły wryły mu się w pamięć.

Jestem prawie pewien.

Za sobą usłyszał ruch. Podniecone głosy. Oficerowie i żołnierze z dwunastego regimentu Jego Królewskiej Mości.

Pewnie są niezadowoleni, że ominęła ich bitwa, i mają równie dużą ochotę jak ja wziąć udział w jej nowej odsłonie.

– Pułkownik Gorst! – warknął ostrzegawczo Bayaz.

Gorst go zignorował.

– Czy kiedykolwiek byłeś... w Styrii? – syknął. Cały aż się trząsał z żądzы krwi.

– Styrii?

– Tak – warknął Gorst, jeszcze mocniej zaciskając dłoń. Dwaj starzy wojownicy Caldera cofali się w niskich bojowych

postawach. – W Sipani.

– Sipani?

– Tak. – Olbrzym zbliżył się o kolejny potężny krok, wznosząc się wyżej niż najwyższe z głązów. A ja mam to gdzieś. – W Domu Uciech Cardottiego.

– Cardottiego? – Dreszcz zmrużył zdrowe oko, przyglądając się twarzy Gorsta.

Czas zwolnił. Wszyscy nerwowo oblizywali usta, muskając palcami rękojeści broni, gotowi dać śmiercionośny sygnał. W końcu Dreszcz się pochylił. Był tak blisko, że Gorst niemal mógłby go pocałować. Bliżej niż przed czterema laty pośród dymu.

Jeśli tak się rzeczywiście stało.

– Nigdy nie słyszałem o tym miejscu. – Wyrwał rękę z bezwładnego uścisku Gorsta i nie oglądając się, wyszedł z kręgu Dzieci.

Calder szybko podążył jego śladem, a za nim dwaj starcy oraz wodzowie. Wszyscy z ulgą opuścili dłonie z rękojeści, tylko olbrzym zrobił to bardzo niechętnie.

Zostawili Gorsta samego przy stole. Marszcząc czoło, spoglądał w górę na Bohaterów.

Prawie pewien.

Rodzina

Pod wieloma względami Bohaterowie nie zmienili się od poprzedniej nocy. Stare głazy były takie jak przedtem, podobnie jak przywierająca do nich skorupa porostów oraz zdeptana, ubłocona i zakrwawiona trawa wewnątrz kręgu. Ogniska również niewiele się różniły, tak jak ludzie, którzy wokół nich siedzieli. Jednakże w życiu Caldera doszło do olbrzymich zmian.

Zamiast wlec go zhańbionego ku zagładzie, Caul Dreszcz podązał za nim z szacunkiem i bronił jego życia. Gdy przechodził między ogniskami, nie słyszał pogardliwych śmiechów, krzyków ani nienawistnych komentarzy. Wszystko się zmieniło, gdy Czarny Dow upadł twarzą w piach. Wielcy wodzowie i ich groźni Imienni uśmiechali się do niego, jakby był słońcem wschodzącym po wyjątkowo srogiej zimie. Jakże szybko się dostosowali. Jego ojciec zawsze powtarzał, że ludzie rzadko się zmieniają, chyba że chodzi o obiekt ich lojalności. W takim przypadku są gotowi do pozbycia się dawnych nawyków niczym starego płaszcza.

Pomimo opatrunku na dłoni i szwów na podbródku Calder nie musiał specjalnie się starać, żeby przywołać na usta swój ulubiony kpiący uśmiech. Czynił to bez wysiłku. Może nie imponował wzrostem, ale i tak był najważniejszym człowiekiem w dolinie. Był kolejnym królem Północnych, a każdy, komu rozkaże żreć gówna, będzie to robił z uśmiechem. Już postanowił, kto otrzyma pierwszą porcję.

Śmiech Caula Reacheya odbił się echem pośród nocy.

Reachey siedział na powalonym pniu przy ognisku z fajką w dłoni i krztusił się dymem, rozbawiony czymś, co powiedziała siedząca obok niego kobieta. Obejrzała się na nadchodzącego Caldera, a on niemal potknął się o własne stopy.

– Mężu. – Wstała, niezdarna od ciężkiego brzucha, i wyciągnęła rękę.

Uścisnął jej dłoń, która wydała mu się mała, miękka i silna. Przesunął ją na swoje ramię i objął kobietę w pasie, niemal nie czując bólu w poobijanych żebrach, gdy mocno się przytulili. Przez chwilę mieli wrażenie, że między Bohaterami nie ma nikogo poza nimi.

– Jesteś bezpieczna – wyszeptał.

– Nie tobie to zawdzięczam – odpowiedziała, ocierając się policzkiem o jego twarz.

Zapiekły go powieki.

– Cóż... popełniłem kilka błędów.

– Oczywiście. To ja podejmuję wszystkie twoje dobre decyzje.

– Więc już nigdy nie zostawiaj mnie samego.

– Na pewno po raz ostatni zostałam zakładniczką.

– Też ci to obiecuję. – Nie potrafił powstrzymać łez. Najpotężniejszy człowiek w dolinie płacze w obliczu Reacheya i jego Imiennych. Pewnie czułby się jak głupiec, gdyby nie był tak wdzięczny losowi, że ponownie ją spotkał. Puścił ją i popatrzył na jej twarz, z jednej strony oświetloną, a z drugiej skrytą w mroku, z oczami lśniącymi w blasku ognia. Uśmiechała się do niego. Obok kącika ust miała dwa pieprzyki, których nigdy wcześniej nie zauważył. Potrafił myśleć tylko o tym, że na nią nie zasługuje.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie. Po prostu... jeszcze niedawno myślałem, że już nigdy

nie zobaczę twojej twarzy.

– Jesteś rozczarowany?

– Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego.

Wyszczrzyła zęby.

– A więc nie mylili się co do ciebie. Jesteś kłamcą.

– Dobry kłamca mówi prawdę, kiedy tylko może. Dzięki temu nigdy nie wiadomo, czy można polegać na jego słowach.

Ujęła jego obandażowaną dłoń, obróciła ją i pogłaskała opuszkami palców.

– Jesteś ranny?

– To drobiazg dla takiego słynnego wojownika.

Ścisnęła go mocniej.

– Nie żartuję. Jesteś ranny?

Calder się skrzywił.

– W najbliższym czasie raczej nie będę brał udziału w pojedynkach, ale dojdę do siebie. Szalka nie żyje.

– Słyszałam.

– Teraz jesteś moją jedyną rodziną. – Położył zdrową dłoń na jej wzdętym brzuchu. – Czy...

– Jak worek owsa zalegający na moim pęcherzu przez całą drogę z Carleonu w rzucającym powozie. Tak.

Uśmiechnął się przez łyzy.

– Więc jest nas troje.

– Oraz mój ojciec.

Zerknął na Reacheya, który uśmiechał się do nich, siedząc na zwalonym pniu.

– Tak. On też.

– Zatem go nie włożyłeś?

– Czego?

– Łańcucha swojego ojca.

Wyjął go z wewnętrznej kieszeni. Łańcuch nagrzał się przy jego sercu. Brylant opadł na jedną stronę i wypełnił się barwami ognia.

– Może czekam na odpowiednią chwilę. Kiedy już się go założy... nie można go zdjąć. – Przypomniiał sobie, że ojciec powiedział, jak wielkie to brzemie. Tuż przed śmiercią.

– Dlaczego miałbyś go zdejmować? Jesteś królem.

– Więc ty jesteś królową. – Wsunął jej łańcuch przez głowę. – Zresztą, na tobie wygląda lepiej. – Opuścił brylant na jej pierś, a Seff uwolniła włosy.

– Mój mąż znika na cały tydzień i przywozi mi tylko Północ i wszystko, co się tam znajduje?

– To tylko połowa prezentu. – Przybliżył się, jakby chciał ją pocałować, ale zatrzymał się w ostatniej chwili, kłapiąc zębami tuż przed jej twarzą. – Później dam ci resztę.

– Obiecanki cacanki.

– Muszę porozmawiać z twoim ojcem.

– Więc rozmawiaj.

– W cztery oczy.

– Mężczyźni i ich przekłete gadulstwo. Nie każ mi zbyt długo czekać. – Zbliżyła się, łaskocząc go ustami w ucho, ocierając się kolanem o wewnętrzną stronę jego nogi i szorując łańcuchem o jego ramię. – Mam ochotę klęknąć przed królem Północnych. – Pogłaskała palcem strup na jego podbródku, po czym odeszła, obserwując go przez ramię, lekko się chwiejąc przez ciężki brzuch, ale nic na tym nie tracąc. Nic a nic. Calder nie mógł się pozbyć myśli, że na nią nie zasługuje.

Otrząsnął się, po czym podszedł do ogniska, lekko pochylony, gdyż jego fiut mocno napierał na spodnie, a nie wypadało

rozpocząć rozmowy z Reacheyem od pchania mu namiotu przed oczy. Ojciec jego żony odprawił swoich siwobrodych popleczników i siedział samotnie, wpychając kciukiem do fajki świeży kawałek chaggi. Osobista pogawędka. Taka jak przed kilkoma dniami. Tylko teraz Dow nie żyje i wszystko się zmieniło.

Calder otarł łzy i usiadł przy ognisku.

– Twoja córka to wyjątkowa kobieta.

– Słyszałem, że nazywają cię kłamcą, ale teraz powiedziałeś najszczerzą prawdę.

– Wyjątkowa. – Calder patrzył, jak Seff znika w ciemności.

– Masz szczęście, że z nią jesteś. Pamiętasz, co ci mówiłem? Jeśli będziesz wystarczająco długo czekał na brzegu, morze wyrzuci na plażę wszystko, czego pragniesz. – Reachey postukał się palcem w skroń. – Już trochę żyję na tym świecie. Powinieneś mnie słuchać.

Reachey przysunął się trochę bliżej.

– No dobrze. Moi chłopcy robią się niespokojni. Już zbyt długo walczą. Chciałbym puścić część z nich do domu, do żon. Zamierzasz przyjąć propozycję maga?

– Bayaza? – Calder parsknął. – Mam ochotę przypalić tego zakłamanego drania. Dawno temu zawarł umowę z moim ojcem i go zdradził.

– Więc chodzi o zemstę?

– Częściowo tak, ale przede wszystkim o rozsądek. Gdyby wczoraj Unia mocniej przycisnęła, mogliby nas wykończyć.

– Być może. I co z tego?

– Skoro się zatrzymali, to najwyraźniej musieli. Unia jest olbrzymia. Ma długie granice. Podejrzewam, że mają inne zmartwienia. Założę się, że z każdym kolejnym spotkaniem ten

łysy skurwiel będzie nam przedstawiał coraz korzystniejsze warunki.

– Hmm. – Reachey wyjął z ogniska płonący patyk i z uśmiechem zapalił fajkę. – Sprytny jesteś, Calder. Prawdziwy z ciebie myśliciel. Jak twój ojciec. Zawsze powtarzałem, że byłbyś świetnym przywódcą.

Calder nigdy nie słyszał czegoś takiego z ust Reacheya.

– Ale ty nie pomogłeś mi tutaj dotrzeć?

– Powiedziałem ci, że spłonę, jeśli będę musiał, ale sam nie rzucę się w ogień. Co zwykł mawiać Krwawy-dziewięć?

– Trzeba być realistą.

– Zgadza się. Realistą. Ty powinieneś to wiedzieć najlepiej. – Policzki Reacheya się zapadły, gdy zaciągnął się dymem z fajki, po czym wypuścił z ust krętą brązową smugę. – Ale teraz Dow nie żyje, a ty masz Północ u swoich stóp.

– Pewnie jesteś równie zadowolony jak ja z tego, jak to wszystko się skończyło.

– Oczywiście. – Reachey podał mu fajkę.

– Twoje wnuki mogą rządzić Północą – odrzekł Calder, przyjmując narkotyk.

– Kiedy ty już z nią skończysz.

– W najbliższym czasie nie zamierzam tego robić. – Calder się zaciągnął, czując ból w poobijanych żebrach i ostre ugryzienie dymu.

– Ja pewnie tego nie doczekam.

– Mam nadzieję. – Calder z uśmiechem wydmuchnął dym i obaj zachichotali, chociaż ich śmiech zabrzmiał nieco nerwowo. – Zastanawiałem się nad czymś, co powiedział Dow. Wspomniał, że gdyby chciał mnie zabić, to już bym nie żył. Im

dłużej o tym myślę, tym więcej widzę w tym sensu.

Reachey wzruszył ramionami.

– Może Dziesięć Sposobów działał na własną rękę.

Calder zmarszczył czoło i zapatrzył się w główkę fajki, jakby już wcześniej wziął tę możliwość pod uwagę i uznał, że nie trzyma się kupy.

– Wczoraj podczas bitwy Dziesięć Sposobów uratował mi życie. Gdyby tak bardzo mnie nienawidził, pozwoliłby tamtemu Unioniście mnie zabić i nikt o niczym by się nie dowiedział.

– Któż przeniknie motywy innych ludzi? Świat to skomplikowane miejsce.

– Mój ojciec mawiał, że każdy ma swoje powody, a kiedy już je poznamy, świat staje się prosty.

– Cóż, Czarny Dow wrócił do ziemi, podobnie jak Dziesięć Sposobów, któremu sam rozplatałeś głowę. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

– A jednak wydaje mi się, że odkryłem prawdę. – Calder oddał fajkę, a starzec się po nią schylił. – To ty powiedziałeś, że Dow chce mnie zabić. – Reachey podniósł wzrok, tylko na chwilę, ale to wystarczyło, by Calder zyskał pewność. – To nie do końca była prawda. Okłamałeś mnie.

Reachey powoli się wyprostował, wydmuchując kółka z dymu.

– Może trochę, przyznaję. Moja córka jest bardzo kochliwa i trafiło akurat na ciebie. Próbowałem jej wyjaśnić, jaki z ciebie dupek, ale ona nie chciała mnie słuchać. Zrobiłaby dla ciebie wszystko. Z czasem ty i Dow zaczęliście inaczej postrzegać niektóre sprawy. Twoja gadanina o pokoju utrudniała wszystkim życie. Potem moja córka postanowiła dla ciebie oddać się w niewolę. Nie mogłem pozwolić, żeby moje jedyne

dziecko tak ryzykowało. Ktoś musiał odejść, ty albo Dow. – Popatrzył Calderowi w oczy przez dym. – Przykro mi, ale taka jest prawda. Gdyby padło na ciebie, no cóż, byłoby szkoda, ale Seff znalazłaby nowego mężczyznę. Poza tym, zawsze istniała szansa, że nie dasz się Dowowi. Dziś z przyjemnością stwierdzam, że właśnie tak się stało. Chciałem tylko jak najlepszego losu dla swojej rodziny. Dlatego ze wstydem przyznaję, że rzeczywiście podsyciłem konflikt między wami.

– Cały czas licząc na to, że nie dam się Dowowi.

– Oczywiście.

– Więc to nie ty posłałeś tamtych chłopców, żeby mnie zabili podczas poboru?

Fajka zatrzymała się w połowie drogi do ust Reacheya.

– Po co miałbym zrobić coś takiego?

– Ponieważ Seff była zakładniczką, a ja przechwalałem się, że rozprawię się z Dowem, więc postanowiłem jeszcze mocniej podsycić nasz konflikt.

Reachey przygryzł koniec języka, uniósł fajkę do ust i ponownie się zaciągnął, ale okazało się, że chagga zgasła. Wytrząsnął popiół na kamienie przy ognisku.

– Zawsze uważałem, że jak już chce się podsycić konflikt, to należy to robić porządnie.

Calder powoli pokręcił głową.

– Więc dlaczego po prostu nie kazałeś swoim kutasom mnie zabić, kiedy siedzieliśmy przy ognisku? Miałbyś pewność.

– Muszę dbać o reputację. Kiedy wynajmuję zabójców, robię to anonimowo. – Nie wydawało się, że Reachey ma wyrzuty sumienia. Raczej sprawiał wrażenie rozdrażnionego. Może nawet urażonego. – Nie rób takiej miny, jakbyś się na mnie zawiódł. Nie udawaj, że nie robiłeś gorszych rzeczy. A jak było

z Forleyem Najsłabszym? Zabiłeś go bez powodu.

– Taki już jestem! – odparł Calder. – Każdy wie, że jestem kłamcą! Ale chyba... – Wiedział, że to, co powie, zabrzmii głupio. – Po tobie spodziewałem się czegoś lepszego. Myślałem, że postępujesz honorowo. Zgodnie z dawnymi zasadami.

Reachey pogardliwie stęknął.

– Dawnymi zasadami? Ha! Ludzie lubią ze wzruszeniem wspominać, jak kiedyś bywało. W Erze Bohaterów i tak dalej. Cóż, tak się składa, że dobrze pamiętam dawne zwyczaje. Nie różniły się zbyt od obecnych. – Nachylił się, dżgając w stronę Caldera ustnikiem fajki. – Chwytaj, co się da, każdym możliwym sposobem! Ludzie opowiadają, że twój ojciec wszystko zmienił, ponieważ potrzebują kozła ofiarnego. Tymczasem on po prostu był w tym lepszy od pozostałych. To zwycięzcy śpiewają pieśni i mogą dowolnie wybrać melodię.

– Zastanawiam się, jaką wybiorą melodię dla ciebie! – syknął Calder, na chwilę ulegając wściekłości. Jednakże gniew to luksus, na który nie może sobie pozwolić człowiek na wysokim stanowisku. Tak mawiał jego ojciec. Miłosierdzie, miłosierdzie, zawsze myśl o miłosierdziu. Calder z bólem zaczerpnął tchu, po czym westchnął z rezygnacją. – Ale może postąpiłbym tak samo na twoim miejscu, a i tak mam zbyt mało przyjaciół. Prawda jest taka, że potrzebuję twojego wsparcia.

Reachey się wyszczerzył.

– Możesz na nie liczyć. Aż po grób, nie musisz się przejmować. Jesteśmy rodziną, chłopcze. Rodzina nie zawsze się dogaduje, ale ostatecznie nikomu innemu nie można zaufać.

– Tak samo mówił mój ojciec. – Calder powoli wstał i jeszcze raz boleśnie westchnął. – Rodzina. – Odszedł pomiędzy ogniskami w stronę namiotu, który kiedyś należał do Czarnego

Dowa.

– I co? – wychrypiał Dreszcz, zrównując się z nim krokiem.

– Miałeś rację. Stary skurwiel próbował mnie zabić.

– Mam odwzajemnić przysługę?

– Ależ nie, na spokoj zmarłych! – Ściszył głos, gdy oddalili się od obozowiska. – Dopiero kiedy urodzi się moje dziecko. Nie chcę niepokoić żony. Niech sprawa przycichnie, a wtedy dyskretnie to załatwimy, w taki sposób, żeby wina spadła na kogoś innego. Na przykład, na Glamę Złotego. Umiałbyś tak zrobić?

– Jeśli chodzi o zabijanie, potrafię wszystko.

– Zawsze powtarzałem, że Dow powinien zrobić z ciebie lepszy użytek. Moja żona na mnie czeka. Idź się trochę zabawić.

– Może tak zrobię.

– A tak w ogóle to co robisz dla rozrywki?

Gdy Dreszcz się odwracał, w jego oku pojawił się błysk. Ale tak się działo zawsze.

– Ostrzę noże.

Calder nie był pewien, czy Dreszcz żartuje.

Nowi pomocnicy

Droga Pani Worth!

Z najgłębszym żalem muszę poinformować o śmierci Pani syna na polu bitwy pod Osrungiem.

Jest przyjęte, że takie listy pisze dowódca, jednak poprosiłem o ten zaszczyt, ponieważ osobiście znałem Pani syna i muszę przyznać, że niewiele razy podczas mojej długiej kariery miałem okazję służyć u boku tak pełnego entuzjazmu, sympatycznego, uzdolnionego i dzielnego towarzysza. Był wcieleniem wszystkich cech, których szuka się u żołnierza. Nie wiem, czy to stanowi chociaż niewielką pociechę w obliczu tak wielkiej straty, mogę jednak bez przesady stwierdzić, że Pani syn zginął jak bohater. Jestem zaszczycony, że dane mi było go poznać.

Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy współczucia,

*Wasz pokorny sługa,
Kapral Tunny,
chorąży pierwszego regimentu
Jego Królewskiej Mości.*

Tunny westchnął, starannie złożył list i elegancko zagiął go paznokciem kciuka. To zapewne najgorsza wiadomość, jaką ta biedna kobieta kiedykolwiek otrzymała, więc był jej winien przynajmniej solidne zagięcie. Schował list pod mundur obok

wiadomości przeznaczonej dla pani Klige, odkręcił manierkę Żółtka i upił łyk, po czym zamoczył pióro w kałamarzu i znów zabrał się do pracy.

Droga Pani Lederlingen!

Z najgłębszym żalem muszę poinformować o śmierci Pani syna na...

– Kapralu Tunny! – Żółtko szedł w jego stronę z beczelną pewnością siebie, która sprawiała, że wyglądał jak połączenie alfonsa z robotnikiem. Buty miał pokryte zaskorupionym błotem, spod poplamionej rozpiętej bluzy od munduru wyzierała spocona klatka piersiowa, na spalonej słońcem twarzy nosił kilkudniowy nierówny zarost, a zamiast włóczni niósł na ramieniu starą łopatę. Mówiąc w skrócie, wyglądał jak dumny weteran armii Jego Królewskiej Mości. Zatrzymał się niedaleko hamaka Tunny’ego i popatrzył na papiery. – Podlicza pan wszystkie nasze długi?

– Raczej swoje. – Tunny wątpił, by Żółtko potrafił czytać, ale mimo to, zasłonił niedokończony list kartką. Gdyby to się wydało, poważnie nadszarpnęłoby jego reputację. – Wszystko w porządku?

– Myślę, że tak – odrzekł Żółtko, odstawiając łopatę, chociaż wydawało się, że za fasadą uśmiechu kryje wątpliwość. – Pułkownik kazał nam pochować kilku ludzi.

– Aha. – Tunny zakorkował kałamarz. Wykopał w życiu wiele grobów i nigdy nie był to przyjemny obowiązek. – Po bitwie zawsze jest trochę sprzątania. Trzeba naprawić wiele rzeczy, tutaj i w domu. Często przez lata sprzątamy to, co nabrudziliśmy w ciągu kilku dni. – Wytarł pióro o kawałek szmatki. – Czasami

nigdy się to nie udaje.

– Więc po co to robić? – spytał Żółtko ze zmarszczonym czołem, patrząc ponad rozświetlonymi słońcem polami jęczmienia na niewyraźne wzgórza. – Po co tyle wysiłku i trupów? Co osiągnęliśmy?

Tunny podrapał się po głowie. Nigdy nie uważał Żółtko za urodzonego filozofa, ale najwyraźniej każdy człowiek czasami bywa w refleksyjnym nastroju,

– Z doświadczenia wiem, że wojny rzadko cokolwiek zmieniają. Najwyżej kilka drobiazgów, ale, ogólnie rzecz biorąc, istnieją lepsze sposoby rozwiązywania konfliktów. – Przez chwilę się nad tym zastanawiał. – Królowie i możni, Zamknięte Rady i tak dalej, nigdy nie rozumiałem, po co wciąż to robią, ignorując lekcje, które daje im historia. Wojna to paskudna robota i przynosi niewielkie zyski, a największe koszty zawsze ponoszą żołnierze.

– Więc jaki sens ma bycie żołnierzem?

Tunny przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu wzruszył ramionami.

– Przecież to najlepsza praca na świecie, czyż nie?

Pobliskim szlakiem kilku żołnierzy nieśpiesznie prowadziło grupę koni, których kopyta chlupotały w błocie. Jeden z ludzi odłączył się od pozostałych i ruszył w stronę Tunny'ego, żując jabłko. Sierżant Forest, i to szeroko uśmiechnięty.

– Psiakrew – mruknął Tunny, szybko usuwając ostatnie ślady po pisanim liście i wrzucając pod hamak tarczę, która służyła mu za podkładkę.

– Co się dzieje? – wyszeptał Żółtko.

– Kiedy pierwszy sierżant Forest się uśmiecha, zazwyczaj zwiastuje to złe wiadomości.

– A kiedy ostatnio otrzymaliśmy dobre wiadomości?

Tunny musiał przyznać, że Żółtko ma rację.

– Tunny! – Forest dokończył jabłko i odrzucił ogryzek. – Widzę, że nie śpisz.

– Niestety, nie, sierżancie. Mamy jakieś wieści od naszych szacownych dowódców?

– Owszem. – Forest wskazał kciukiem konie. – Z pewnością ucieszy cię wieść, że odzyskaliśmy wierzchowce.

– Cudownie – mruknął Tunny. – W samą porę, żeby odjechać tam, skąd przybyliśmy.

– Teraz nikt nie powie, że Jego Królewska Mość nie zapewnia swoim lojalnym żołnierzom wszystkiego, czego potrzebują. Wyruszamy rano, najpóźniej następnego dnia. Do Uffrithu, gdzie czeka na nas przyjemny ciepły statek.

Tunny także się uśmiechnął. Miał serdecznie dosyć Północy.

– Do domu, co? Mój ulubiony kierunek.

Forest zobaczył uradowaną minę Tunny'ego i sam jeszcze bardziej się wyszczerzył.

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale płyniemy do Styrii.

– Do Styrii? – szepnął Żółtko, opierając dłonie na biodrach.

– Do pięknego Westportu! – Forest objął młodzieńca ramieniem i wyciągnął przed siebie drugą rękę, jakby pokazywał wspaniałą miejską panoramę w miejscu, w którym były tylko gnijące drzewa. – To rozstaje świata! Staniemy u boku naszych dzielnych sojuszników z Sipani przeciwko tej niesławnej diablity Monzcarro Murcatto, Wężowi Talinsu. Wszyscy donoszą, że to zło wcielone, wróg wolności i największe zagrożenie, z jakim kiedykolwiek mierzyła się Unia!

– Od czasu Czarnego Dowa. – Tunny potarł grzbiet nosa. Po jego uśmiechu pozostało tylko wspomnienie. – Z którym wczoraj zawarliśmy pokój.

Forest poklepał Żółtko po ramieniu.

– Na tym polega piękno żołnierskiego fachu, szeregowy. Na świecie nigdy nie zabraknie złoczyńców. A marszałek Mitterick sprawi, że zadrżą ze strachu!

– Marszałek... Mitterick? – Żółtko wyglądał na zbitego z tropu.
– Co się stało z Kroyem?

– Zrezygnował – mruknął Tunny.

– Ilu już przetrzymałeś? – spytał Forest.

– Muszę pomyśleć... chyba ośmiu. – Tunny zaczął odliczać na palcach. – Frengen, potem Altmoyer, potem tamten niski...

– Krepsky.

– Krepsky. Potem drugi Frengen.

– Drugi Frengen – parsknął Forest.

– Wyjątkowy głupiec, nawet jak na dowódcę. Później był Varuz, następnie Burr, potem West...

– West był dobrym człowiekiem.

– Za szybko odszedł, jak większość dobrych ludzi. Później mieliśmy Kroya...

– Nieodłączną cechą marszałków jest tymczasowość – wyjaśnił Forest, wskazując Tunny'ego. – Ale kaprale? Oni są wieczni.

– A więc Sipani? – Tunny powoli umościł się na hamaku, kładąc na nim jedną nogę, a drugą zaczął odpychać się od ziemi, lekko się kołysząc. – Nigdy tam nie byłem. – Kiedy się nad tym lepiej zastanowił, dostrzegął zalety takiego rozwiązania. Dobry żołnierz zawsze wypatruje pozytywów. – Pewnie jest tam ładna

pogoda?

– Znakomita – odrzekł Forest.

– Słyszałem też, że mają tam najlepsze dziwki na świecie.

– Owszem, ludzie wspominali coś o tamtejszych damach, gdy nadeszły rozkazy.

– Przynajmniej na dwie rzeczy można czekać z niecierpliwością.

– To o dwie więcej niż na Północy. – Forest uśmiechał się jak nigdy. Bardziej niż wydawało się konieczne. – A tymczasem, skoro twój oddział doznał tak dużych strat...

– O nie – jęknął Tunny, w jednej chwili zapominając o dziewczkach i słońcu.

– O tak! Chodźcie, chłopcy!

I rzeczywiście przyszli. Było ich czterech. Nowi rekruci, którzy wyglądali, jakby dopiero co przyплыnęli z Midderlandu, gdzie mamusi lub ukochane, albo jedno i drugie, ucałowały ich na pożegnanie. Nowe wyprasowane mundury, wypolerowane paski, lśniące klamry, wszystko gotowe do szlachetnego żołnierskiego życia. Popatrzyli z szeroko otwartymi ustami na Żółtko, który był ich przeciwieństwem; na jego ściągniętą, szurzącą twarz, postrzępiony mundur ubłocony podczas kopania grobów, na zerwany pasek plecaka naprawiony za pomocą sznurka. Forest wskazał im Tunny'ego, tak jak sztukmistrz wskazuje cyrkowego dziwoląga, po czym wygłosił to samo przemówienie co zawsze.

– Chłopcy, oto sławny kapral Tunny, jeden z najdłużej służących podoficerów w dywizji generała Jalenhorma.

Tunny przeciągle i głośno westchnął.

– Weteran rebelii w Stariklandzie, Wojny Gurkijskiej, ostatniej Wojny Północnej, oblężenia Adui, niedawnej

kulminacyjnej bitwy pod Osrungiem, a także licznych działań w czasie pokoju, które zanudziłyby bystrzejszego człowieka na śmierć.

Tunny odkręcił manierkę od Żółtka, pociągnął łyk, po czym oddał ją pierwotnemu właścicielowi, który wzruszył ramionami i również się napił.

– Przetrwał biegunki, zgniliznę, grypę, jesienne dreszcze, pieszczoty północnych wichrów, agresję południowych kobiet, tysiące mil marszu, wiele lat spożywania racji żywnościowych Jego Królewskiej Mości, a nawet odrobinę walki i teraz stoi... a raczej siedzi... przed wami.

Tunny założył nogę na nogę, powoli opadł na hamak i zamknął oczy. Przez powieki widział różowy blask słońca.

Dawni pomocnicy

Wrócił dopiero przed zachodem słońca. Chmary muszek krążyły nad bagnistym potokiem, a żółknące liście drżały na wietrze, tak nisko, że musiał się pod nimi schylać.

Dom był mniejszy niż pamiętał, ale wydawał się piękny. Tak piękny, że zebrało mu się na płacz. Drzwi zaskrzypiały, gdy otworzył je pchnięciem, z jakiegoś powodu niemal równie wystraszony jak w Osrungu. W środku nikogo nie było. Ta sama stara ciemność pachnąca dymem. Jego łóżko usunięto, żeby zrobić więcej miejsca. W miejscu, w którym kiedyś stało, blade promienie słońca przecinały klepki.

Gdy zobaczył, że nikogo nie ma, poczuł w ustach kwaśny smak. A jeśli spakowali się i odeszli? Albo jacyś ludzie przyszli tutaj pod jego nieobecność, dezertrzy, którzy zmienili się w bandytów...

Usłyszał cichy trzask siekiery rozłupującej drewno. Wyszedł na wieczorne powietrze i pośpiesznie okrążył zagrodę, w której stały ciekawskie kozy oraz pięć wielkich pniaków posiekanych podczas wieloletnich szermierczych ćwiczeń. Ćwiczeń, które niewiele mu pomogły. Teraz już wiedział, że dźganie kawałka drewna nie może nikogo przygotować do dźgania ludzi.

Tuż za grzbietem wzniesienia zobaczył matkę. Pochylona, opierała się na siekierze obok starego pieńka, podczas gdy Festen zbierał porąbane drewno i układał je na stertę. Beck przez chwilę im się przyglądał. Patrzył na włosy matki poruszające się na wietrze. Na chłopca zmagającego się

z kawałkami drewna.

– Mamo – wychrypiał

Obejrzała się i zamrugła.

– Wróciłeś.

– Wróciłem.

Ruszył w jej stronę, a ona wbiła siekierę w pień i wyszła mu naprzeciw. Chociaż była od niego dużo niższa, i tak oparł głowę na jej ramieniu. Przycisnęła ją do siebie jedną ręką, a drugą mocno go objęła, aż stracił oddech.

– Mój synu – wyszeptała.

Wyrwał się z jej uścisku, pociągając nosem, i popatrzył w dół. Zobaczył swoją pelerynę, a raczej jej pelerynę. Była ubłocona, zakrwawiona i podarta.

– Przepraszam. Chyba zniszczyłem twoją pelerynę.

Dotknęła jego twarzy.

– To tylko kawałek materiału.

– Pewnie masz rację. – Przykucnął i zmierzwił włosy Festena.

– Jak się masz? – spytał łamiącym się głosem.

– Świetnie! – Chłopak strącił dłoń Becka z głowy. – Zdobyłeś dla siebie imię?

Beck przez chwilę milczał.

– Tak.

– Jakie?

Beck pokręcił głową.

– Nieważne. Jak się czuje Wenden?

– Tak samo – odparła matka. – Nie było cię tylko kilka dni.

Tego się nie spodziewał. Miał wrażenie, że zniknął na kilka lat.

– I tyle wystarczy.

– Co się stało?

– Czy możemy... o tym nie rozmawiać?

– Twój ojciec nie chciał mówić o niczym innym.

Podniósł na nią wzrok.

– Jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że nie jestem swoim ojcem.

– Dobrze. To bardzo dobrze. – Poklepała go delikatnie po policzku, a łzy zalśniły w jej oczach. – Cieszę się, że już jesteś. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Jesteś głodny?

Wstał, z trudem prostując nogi, po czym otarł mokre oczy wierzchem nadgarstka. Uświadomił sobie, że nie jadł od poprzedniego ranka, kiedy opuścił Bohaterów.

– Tak, chętnie bym coś zjadł.

– Rozpalę ogień! – Festen pobiegł w stronę domu.

– Idziesz? – spytała matka.

Beck zerknął ku dolinie.

– Chyba jeszcze chwilę zostanę. Porąbię trochę drewna.

– Dobrze.

– Aha. – Odpiął ojcowski rapier od pasa, przez chwilę trzymał go w dłoni, po czym podał matce. – Możesz go schować?

– Gdzie?

– Gdzieś, gdzie nie będę musiał na niego patrzeć.

Zabrała ją, a Beck poczuł, że pozbył się męczącego ciężaru.

– Wygląda na to, że z wojny jednak może powrócić coś dobrego – powiedziała.

– Powrót to jedyna dobra rzecz. – Pochylił się i ustawił kawałek drewna na pieńku, po czym splunął na dłonie i chwycił siekierę. Rękojeść dobrze leżała mu w rękach. Miała znajomy kształt. Z pewnością pasowała lepiej niż rapier. Zamachnął się

i dwie równe połówki polana spadły na ziemię. Nie był bohaterem i nigdy nim nie będzie.

Został stworzony do rąbania drewna, a nie do walki.

Właśnie to czyniło go szczęściarzem. Większym niż Reft, Stodder czy Brait. Większym niż Drofd czy Whirrun z Bligh. Większym nawet niż Czarny Dow. Wyrwał siekierę z pieńka i cofnął się o krok. Bardowie nie śpiewają zbyt wielu pieśni o robotnikach rąbiących drewno, ale na niewidocznych zboczach wzgórz beczały owce, co również brzmiało jak muzyka. Ich głosy rozbrzmiewały w jego uszach piękniej niż jakakolwiek pieśń o bohaterach.

Zamknął oczy i zaciągnął się zapachem trawy oraz palonego drewna. Potem popatrzył na dolinę. Od panującego tutaj spokoju czuł mrowienie na całym ciele. Nie mógł uwierzyć, że kiedyś nienawidził tego miejsca.

Teraz wcale nie wydawało mu się takie złe. Wręcz przeciwnie.

Każdy komuś służy

– Więc staniesz u mojego boku? – spytał Calder, rześki jak wiosenny poranek.

– Jeśli jeszcze znajdzie się tam miejsce.

– Lojalny jak Rudd Trójdzwiecz?

Żelaznogłowy wzruszył ramionami.

– Nie mam cię za głupca, więc nie przytaknę. Ale wiem, przy kim będzie mi najlepiej. Poza tym, lojalność to niebezpieczny fundament. Byle burza może go zmyć. Egoizm wytrzyma każdą pogodę.

Calder musiał się z nim zgodzić.

– To dobra zasada. – Zerknął na Fossa Głębokiego, który ponownie został jego sługą, gdy ustały walki. Oto wcielenie egoizmu. Pomimo deklarowanej niechęci do bitew, Foss jakimś cudem zdobył wspaniały unijny napierśnik z wyrytym złotym słońcem, który lśnił pod jego wytartym płaszczem. – Mężczyzna powinien jakieś mieć, prawda, Głęboki?

– Co takiego?

– Zasady.

– O tak, jestem ich gorącym zwolennikiem. Mój brat także.

Płytki podniósł wzrok, na chwilę przerywając wydłubywanie nożem brudu z paznokci.

– Najbardziej lubię je z mlekiem.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu Calder zwrócił się ku Żelaznogłowemu.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, twierdziłeś, że pozostaniesz u boku Dowa. Potem naszczałeś mi na buty. – Uniósł jeden z nich, jeszcze bardziej zniszczony, porysowany i poplamiony niż jego właściciel. – Przed tygodniem to były najlepsze buty na Północy. Styriańska skóra. A teraz popatrz.

– Z przyjemnością kupię ci nową parę.

Calder wstał, krzywiąc się z powodu bólu żeber.

– Najlepiej dwie.

– Jak chcesz. Może dla siebie też kupię.

– Nie uważasz, że bardziej by ci pasowało coś stalowego?

Żelaznogłowy wzruszył ramionami.

– W czasie pokoju stalowe buty są niepotrzebne. Coś jeszcze?

– Na razie trzymaj swoich ludzi w pogotowiu. Musimy dobrze się prezentować, dopóki Unia nie znudzi się czekaniem i nie postanowi czmychnąć. To nie powinno potrwać długo.

– Racja.

Calder oddalił się o kilka kroków, ale po chwili się obejrzał.

– Nie zapomnij o prezencie dla mojej żony. Kup coś pięknego, wkrótce urodzi się moje dziecko.

– Tak jest, wodzu.

– I nie przejmuj się za bardzo. Każdy komuś służy.

– To szczerza prawda. – Żelaznogłowemu nawet nie drgnęła powieka.

Szczerze mówiąc, Calder był nieco zawiedziony; miał nadzieję, że ten chociaż się spoci. Ale na to przyjdzie czas później, kiedy odejdą Unioniści. Wtedy będzie czas na wszystko. Dlatego tylko władczo skinął głową i odszedł z kpiącym uśmiechem, a jego dwa cienie podążyły za nim.

Miał po swojej stronie Reacheya i Bładego-jak-Śnieg. Zamienił

kilka złów z Cudną, a ona porozmawiała z Carlami Dowa, których lojalność wobec dawnego wodza spłukał deszcz. Większość ludzi Dziesięciu Sposobów uciekła, ale Białooki Hansul postanowił zadbać o własną skórę i przekabacił resztę. Żelaznogłowy i Złoty nadal zbyt mocno się nienawidzili, żeby zagrażać Calderowi, a Nieznajomy-u-Bram z niewiadomych powodów traktował go jak starego, zacnego przyjaciela.

Od pośmiewiska do króla za sprawą jednego ciosu ostrzem. Szczęście. Niektórzy je mają, inni nie.

– Najwyższy czas zbadać głębię lojalności Glamy Złotego – rzekł Calder wesoło. – A przynajmniej siłę jego egoizmu.

Schodzili ze wzgórza w gęstniejącej ciemności. Na czarnym jak atrament niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy. Calder uśmiechał się pod nosem, rozmyślając o tym, jak przycisnie Złotego. Ten nadęty drań nie będzie nadążał z pochlebstwami. Cóż to będzie za przyjemność, gdy dokręci śrubę. Dotarli do rozwidlenia ścieżki i Głęboki ruszył w lewo, wzdłuż podnóża Bohaterów.

– Obozowisko Złotego jest po prawej stronie – mruknął Calder.

– To prawda – odparł Głęboki, nie zwalniając kroku. – Znakomicie radzisz sobie z określaniem kierunków, dzięki czemu znajdujesz się o szczebel wyżej od mojego brata na drabinie wiedzy.

– One wyglądają tak samo – odburknął Płytki, a Calder poczuł ukłucie na plecach.

Zimne i zaskakujące, niezbyt bolesne, ale z pewnością nieprzyjemne. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co się dzieje, a gdy już to zrobił, cała pewność siebie ulotniła się z niego, zupełnie jakby ostrze już go przedziurawiło.

Jakże niepewną rzeczą jest arogancja. Wystarczy kawałek ostrego metalu, by obróciła się w ruinę.

– Idziemy w lewo. – Ostrze Płytkiego ponownie go ukłuło i Calder ruszył z uniesionymi rękami, gubiąc uśmiech w ciemności.

Wokół było mnóstwo ludzi. Ogniska otoczone przez na wpół oświetlone twarze. Jedna grupka grała w kości, inna opowiadała coraz bardziej rozdmuchane kłamstwa o swoich bohaterskich czynach podczas bitwy, kolejna strzepywała rozpalone węgielki z czyjejs peleryny. Minęli ich pijani Niewolnicy, którzy nawet na nich nie spojrzeli. Nikt nie pośpieszył Calderowi na ratunek. Nikt nie zauważył niczego wartego skomentowania, a nawet gdyby ktoś coś zobaczył, to gównu go to obchodziło. To typowe u ludzi.

– Dokąd idziemy? – Chociaż powinien raczej spytać, gdzie wykopali grób albo dopiero zamierzają to zrobić.

– Dowiesz się.

– Dlaczego?

– Ponieważ tam idziemy.

– Nie. Dlaczego to robicie?

Parsknęli śmiechem, jakby usłyszeli świetny żart.

– Myślisz, że przypadkiem obserwowaliśmy cię w obozie Caula Reacheya?

– Nie, nie, nie – zanucił Płytki. – Nie.

Oddalali się od Przyjaciół. Mniej ludzi, mniej ognisk. Coraz słabsze światło. Krąg zboża wydobyty z ciemności przez pochodnię Głębokiego. Wszelka nadzieja na ratunek rozpląwała się w mroku za ich plecami razem z przechwałkami i pieśniami. Jeśli Calder ma ocaleć, to będzie musiał sam się o to postarać. Nie zabrali mu ostrza. Ale kogo stara się oszukać? Nawet gdyby

nie miał niesprawnej prawej dłoni, Płytki zdążyłby tuzin razy poderżnąć mu gardło, zanim Calder dobyłby broni. Po drugiej stronie ciemnych pól na północy zobaczył linię drzew. Może gdyby rzucił się do ucieczki...

– Nie. – Nóż Płytkiego ponownie dźgnął go w bok. – Nie, nie, nie.

– Nie żartujemy – dodał Głęboki.

– Posłuchajcie, może dojdziemy do porozumienia. Mam pieniądze...

– Nikt nie ma na tyle głębokich kieszeni, żeby przebić ofertę naszego pracodawcy. Najlepiej na tym wyjdiesz, jeśli grzecznie z nami pójdiesz. – Calder w to wątpił, ale chociaż uważał się za cwane, nie miał innych pomysłów. – Przykro nam, naprawdę. Bardzo cię szanujemy, tak jak szanowaliśmy twojego ojca.

– Na co mi wasze przeprosiny?

Głęboki wzruszył ramionami.

– Na nic, ale zawsze pamiętamy, żeby to powiedzieć.

– On uważa, że dzięki temu wyglądamy na ludzi z klasą – rzekł Płytki.

– Sprawiamy szlachetne wrażenie.

– No tak – odparł Calder. – Prawdziwi z was bohaterowie, kurwa.

– Człowiek, który nie jest dla nikogo bohaterem, jest godny pożałowania – odrzekł Głęboki. – Nawet jeśli jest nim tylko dla siebie.

– Albo dla mamusi – dodał Płytki.

– Albo dla brata. – Głęboki obejrzał się z uśmiechem. – Co o tobie myślał twój brat, paniczku Calder?

Calder przypomniał sobie Szalkę, walczącego samotnie na

moście, czekającego na pomoc, która nigdy nie nadeszła.

– Podejrzewam, że pod koniec nic dobrego.

– Nie wylewałbym z tego powodu łez. Trudno o człowieka, który nie byłby dla nikogo łotrem. Nawet jeśli jest nim tylko dla siebie.

– Albo dla brata – wyszeptał Płytki.

– Jesteśmy na miejscu.

Z ciemności wyłonił się duży zrujnowany wiejski dom pogrążony w ciszy. Szeleszczące pnącza porastały kamienne ściany, a obłazące z farby okiennice krzywo tkwiły w ramach. Calder zdał sobie sprawę, że to tutaj nocował przed dwoma dniami, jednak teraz budynek sprawiał znacznie bardziej złowrogie wrażenie. Wszystko tak wygląda, gdy ma się nóż przy plecach.

– Tędy.

Na werandę z boku domu, pod daszek pozbawiony części dachówek, pod którym stał przegniły stół i leżały poprzewracane krzesła. Lampa kołysała się na haku wbitym w jeden z łuszczących się słupów, a jej blask omiatał podwórze pełne chwastów oraz pochyle ogrodzenie oddzielające gospodarstwo od pól.

Obok ogrodzenia leżały liczne narzędzia. Łopaty, siekiery, kilofy, wszystkie pokryte błotem, jakby w ciągu dnia używali ich robotnicy, a potem zostawili je, żeby jutro ponownie z nich skorzystać. Narzędzia do kopania. Calder znów poczuł lodowate ukłucie strachu, który zdążył już nieco osłabnąć podczas wędrówki. Przez lukę w ogrodzeniu w świetle pochodni Głębokiego dostrzegł zdeptane uprawy i świeżo wzruszoną ziemię. Stertę sięgającą mu do kolan, dużą jak fundamenty stodoły. Otworzył usta, być może zamierzając rozpaczliwie

prosić o litość albo negocjować, ale zabrakło mu słów.

– Ciężko pracowali – zauważył Głęboki, gdy z ciemności wyłonił się kolejny kopiec.

– Jak niewolnicy – rzekł Płytki, gdy blask pochodni padł na trzecią stertę ziemi.

– Powiadają, że wojna to straszna sprawa, ale nigdy nie usłyszy się tego z ust grabarza.

Ostatni grób wciąż nie był pełny. Calder poczuł dreszcz na plecach, gdy pochodnia oświetliła krawędzie otworu szerokiego na pięć kroków, którego drugi koniec skrywały pełzające cienie. Głęboki podszedł do narożnika grobu i zajrzał do środka.

– Fuj. – Wbił pochodnię w ziemię, odwrócił się i przywołał Caldera. – No chodź. Powłóczenie nogami niczego nie zmienia.

Płytki go popchnął i Calder niepewnie ruszył naprzód, z każdym przeciągłym oddechem czując, że krtań coraz bardziej mu się zaciska, gdy krawędzie dołu pojawiały się w jego polu widzenia.

Ziemia, kamyki i korzenie jęczmienia. Potem blada dłoń. Obnażona ręka. Trupy. Coraz więcej. Dół był ich pełen, spiętrzonych i przeraźliwie splątanych. Pozostałości po bitwie.

Większość była naga. Obdarta ze wszystkiego. Czy jakiś grabarz zabierze elegancki płaszcz Caldera? Błoto i krew wyglądały tak samo w blasku pochodni. Czarne smugi na białej skórze. Trudno było stwierdzić, które nogi i ręce należą do których ciał.

Czy dwa dni temu to byli ludzie? Mieli ambicje, o czymś marzyli, o coś się troszczyli? Sterta opowieści uciętych w połowie, pozbawionych zakończenia. Nagroda dla bohaterów.

Poczuł ciepło na nodze i zrozumiał, że się zsikał.

– Nie przejmuj się. – Głęboki odezwał się cicho, jak ojciec do

wystraszzonego dziecka. – To się często zdarza.

– Wszyscy to widzieliśmy.

– I nie tylko to.

– Stań tutaj. – Płytki chwycił go za ramiona, po czym ustawił sflaczałego i bezradnego twarzą w stronę grobu. Nikt się nie spodziewa, że w obliczu śmierci pokornie zrobi wszystko, co mu się rozkaże, a jednak każdy tak robi. – Trochę w lewo. – Przesunął go o krok w prawo. – To lewo, prawda?

– Prawo, głupcze.

– Kurwa. – Płytki mocniej szarpnął Caldera, który poślizgnął się na krawędzi, spychając do otworu kilka grudek ziemi. Płytki szybko go wyprostował. – Tutaj?

– Tak – odparł Głęboki. – No dobrze.

Calder stał ze spuszczonego wzrokiem. Zaczął bezgłośnie płakać. Godność już nie miała większego znaczenia. Wkrótce w ogóle się jej pozbędzie. Zastanawiał się, jak głęboki jest grób. Z iloma ciałami będzie go dzielił, kiedy rano grabarze chwycą narzędzia i zasypią go ziemią. Z setką? Dwiema setkami?

Popatrzył na najbliższe zwłoki, które znajdowały się tuż pod nim. Z tyłu głowy miały potężną czarną ranę. Calder przypuszczał, że to mężczyzna, chociaż trudno było tak o nich myśleć. To była rzecz, okradziona z wszelkiej tożsamości. Okradziona z... chyba że...

Twarz należała do Czarnej Dowa. Trup miał otwarte usta do połowy wypełnione piachem, ale z całą pewnością był to Obrońca Północy. Wyglądał niemal tak, jakby się uśmiechał, a jedną rękę wyciągał ku Calderowi w powitalnym geście, jak stary przyjaciel zapraszający do krainy umarłych. Z powrotem do ziemi. To się może stać tak szybko. Od władcy wszystkiego do kawałka mięsa w dole.

Łzy spływały po rozpalonej twarzy Caldera, lśniły w blasku pochodni i kapały do grobu, rysując świeże ślady na brudzie pokrywającym zimny policzek Dowa. Śmierć w kręgu byłaby rozczarowaniem. Ale to zapowiadało się o wiele gorzej. Wrzucony do bezimiennej dziury, zapomniany przez przyjaciół, a nawet wrogów.

Chlipał jak dziecko, czując ból w falujących żebrach. Dół i trupy lśniły, rozmazane przez słoną wodę.

Kiedy to zrobią? Z pewnością właśnie teraz. Wzmógł się wiatr, który zmroził łzy na jego twarzy. Odchylił głowę, z całej siły zaciskając powieki, krzywiąc się i stękając, jakby już czuł ostrze noża wbijające mu się w plecy. Jakby metal już tkwił w jego ciele. Kiedy to zrobią? Z pewnością teraz...

Wiatr ustał i Calder usłyszał jakiś brzęk. Za nim rozległy się głosy dobiegające od strony domu. Stał tak jeszcze przez chwilę, z każdym oddechem wydając z siebie rozdzierający szloch.

– Na początek ryba – powiedział ktoś.

– Znakomicie.

Drżący i skulony, Calder powoli się odwrócił. Każdy ruch przychodził mu z olbrzymim trudem.

Głęboki i Płytki zniknęli, ich porzucona pochodnia migotała na skraju dołu. Za sypiącym się ogrodzeniem, pod sypiącą się werandą ktoś nakrył stół obrusem i zastawił go do kolacji. Jakiś mężczyzna wyjmował naczynia z dużego kosza. Kolejny siedział na jednym z krzeseł. Calder otarł oczy wierzchem szaleńczo drżącej dłoni, nie wiedząc, czy powinien wierzyć zmysłom. Mężczyzną na krześle był Pierwszy z Magów.

Bayaz się uśmiechnął.

– Ależ to księżę Calder! – Zupełnie jakby wpadli na siebie przypadkiem na targu. – Proszę do mnie dołączyć!

Calder starł gluty z górnej wargi, cały czas spodziewając się noża uderzającego z ciemności. W końcu ruszył przez lukę w ogrodzeniu ku werandzie, a kolana tak bardzo mu drżały, że słyszał, jak uderzają o wnętrze mokrych nogawek.

Sługa podniósł przewrócone krzesło, strzepnął z niego kurz i wskazał je otwartą dłonią. Calder ciężko usiadł. Wciąż był otepiały, a jego oczy same łzawiły, gdy patrzył, jak Bayaz wkłada do ust kawałek ryby, po czym z namysłem żuje ją i połyka.

– A więc Biała pozostanie północną granicą Anglandu.

Calder przez chwilę siedział w milczeniu, zdając sobie sprawę, że z każdym oddechem cicho parska nosem, ale nie potrafiąc tego powstrzymać. W końcu zamrugnął i skinął głową.

– Ziemia pomiędzy Białą a Brosmą, wliczając miasto Uffrith, znajdzie się we władzy Wilczarza. Stanie się protektoratem Unii z szóstką przedstawicieli w Otwartej Radzie.

Calder ponownie przytaknął.

– Pozostała część Północy, aż do Crinny, pozostanie w pańskich rękach. – Bayaz wrzucił do ust ostatni kawałek ryby i pomachał widelcem. – Ziemie za Crinną należą do Nieznajomego-u-Bram.

Wczoraj Calder mógłby pokusić się o jakiś buńczuczny komentarz, ale teraz potrafił myśleć tylko o tym, jak wiele ma szczęścia, że nie krwawi w błocie, oraz jak bardzo chce, by to się nie zmieniło.

– Tak – wychrypiał.

– Nie potrzebuje pan czasu, żeby to przemyśleć?

Na przykład, wieczności w dole pełnym trupów?

– Nie – szepnął Calder.

– Słucham?

Calder wziął rozzdzierający wdech.

– Nie.

– No. – Bayaz otarł usta serwetką, po czym podniósł wzrok. – Tak lepiej.

– Zdecydowana poprawa. – Kędzierzawy sługa wydał usta, wymieniając talerz Bayaza na czysty. Zapewne był to odruchowy grymas, podobnie jak kpiący uśmiech Caldera, jednak Calder patrzył na niego z takim samym zadowoleniem, z jakim obserwowałby, jak ktoś pieprzy jego żonę. Sługa zdjął z namaszczeniem przykrywkę z naczynia.

– Ach, nareszcie mięso! – Bayaz patrzył na błyskający nóż, którym jego podwładny z osłepiającą biegłością odcinał cienkie plastry. – Lubię rybę, ale kolacja rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy na stół trafia coś, co krwawi. – Sługa nałożył warzywa ze zręcznością kuglarza, po czym zwrócił krzywy uśmiech w stronę Caldera.

Było w nim coś dziwnie, drażniąco znajomego. Calderowi wydawało się, że ma jego imię na końcu języka. Czy kiedyś widział go u swojego ojca, ubranego w elegancką pelerynę? A może przy ognisku Żelaznogłowego, w hełmie Carla na głowie? Albo przy boku Nieznajomego-u-Bram, z farbą na twarzy i odpryskami kości w uchu?

– Życzy pan sobie trochę mięsa?

– Nie – szepnął Calder. Nie potrafił zapomnieć o mięsie leżącym w dołach w odległości zaledwie kilku kroków.

– Naprawdę powinien pan skosztować! – rzekł Bayaz. – Dalej, nałóż księciu jedną porcję! I pomóż mu, Yoru, ma ranną prawą dłoń.

Sługa nałożył na talerz Caldera plaster mięsa oblanym błyszczącym krwawym sosem, po czym zaczął kroić danie

z zatrważającą szybkością, tak że Calder wzdrygał się z każdym ruchem noża.

Po drugiej stronie stołu mag z rozkoszą przeżuwał posiłek.

– Muszę przyznać, że nie do końca przypadł mi do gustu ton naszej ostatniej rozmowy. Skojarzył mi się z pańskim ojcem. – Bayaz przerwał, jakby czekał na odpowiedź, ale Calder nie miał nic do powiedzenia. – To miał być drobny komplement i zarazem duże ostrzeżenie. Pański ojciec i ja... zawarliśmy ugodę, którą honorowaliśmy przez wiele lat.

– Nie na wiele mu się to zdało.

Czarownik uniósł brwi.

– Jakże krótka jest pamięć pańskiej rodziny! Oczywiście, że tak! Otrzymywał ode mnie dary, pomoc wszelkiego rodzaju i mądre rady, dzięki którym odnosił sukcesy! Od nędznego wodza do króla Północnych! Zbudował państwo tam, gdzie wcześniej byli tylko skłóceni chłopcy i świńskie łajno! – Ostrze noża Bayaza zaskrzypiało o talerz i głos maga stał się ostrzejszy. – Ale sława napełniła go arogancją i zapomniał o swoich zobowiązaniach. Zamiast tego posłał swoich nadętych synów, by postawili mi żądania. Żądania! – syknął Bayaz, a jego oczy zalśniły w cieniach oczodołów. – Wobec mnie!

Calder czuł w gardle nieprzyjemny ucisk.

– Bethod zdradził naszą przyjaźń i stracił sojuszników, a wtedy wszystkie jego osiągnięcia się rozsypały. Spotkała go krwawa śmierć i spoczął w nieoznaczonym grobie. Można z tego wyciągnąć cenną lekcję. Gdyby pański ojciec spłacił swoje długi, być może nadal byłby królem Północnych. Mam szczerą nadzieję, że pan nie powtórzy jego błędu i nie zapomni o swoich zobowiązaniach.

– Niczego od pana nie otrzymałem.

– Czyżby...? – Bayaz skrzywił usta. – Nigdy się pan nie dowie ani nie zrozumie, na jak wiele sposobów interweniowałem w pańskiej sprawie.

Sługa uniósł brew.

– Lista jest długa.

– Wydaje się panu, że wszystko potoczyło się po pańskiej myśli, ponieważ jest pan uroczy? Albo sprytny? A może niezwykle sprzyja panu szczęście?

Szczerze mówiąc, Calder właśnie tak uważał.

– Czy to szczęście ocaliło pana przed zabójcami Reacheya podczas poboru, czy może tamci dwaj barwni Północni, których posłałem, żeby mieli na pana oko?

Calder nie potrafił odpowiedzieć.

– Czy to spryt ocalił pana podczas bitwy, czy może moje polecenie wydane Broddowi Dziesięciu Sposobom, by pana bronił?

Na to tym bardziej nie znajdował odpowiedzi.

– Dziesięciu Sposobom? – wyszeptał.

– Czasami trudno odróżnić przyjaciół od wrogów. Kazałem mu udawać zwolennika Czarnego Dowa. Chyba okazał się zbyt dobrym aktorem. Słyszałem, że zginął.

– Zdarza się – wychrypiał Calder.

– Ale nie panu. – Nie dodał „na razie”, ale te niewypowiedziane słowa i tak ogłuszająco brzmiały Calderowi w uszach. – Mimo że stoczył pan pojedynek z Czarnym Dowem! Czy to szczęście przechyliło szalę zwycięstwa na pana stronę, gdy Obrońca Północy leżał martwy u pańskich stóp, czy może mój stary przyjaciel Nieznajomy-u-Bram?

Calder czuł się jak człowiek, który nagle zdał sobie sprawę, że

tkwi po szyję w ruchomych piaskach.

– To pana człowiek?

Bayaz nie triumfował ani się nie śmiał. Wyglądał niemal na znudzonego.

– Znałem go, kiedy jeszcze nazywali go Pestką. Ale potężni ludzie potrzebują potężnych imion, prawda, Czarny Calderze?

– Pestka – mruknął Calder, próbując dopasować to przezwisko do olbrzyma.

– Radzę nie wypowiadać mu tego imienia prosto w twarz.

– Nie sięgam tak wysoko.

– Jak niemal wszyscy. On chce zanieść cywilizację na moczary.

– Powodzenia.

– Lepiej niech to pan zrobi użytek ze szczęścia, które panu darowałem.

Calder był zajęty analizowaniem sytuacji.

– Ale... Nieznajomy-u-Bram walczył dla Dowa. Dlaczego nie mógł stanąć po stronie Unii? Moglibyście zwyciężyć już drugiego ranka i oszczędzić nam wszystkim...

– Nie spodobała mu się moja pierwsza propozycja. – Bayaz z goryczą nabił warzywa na widelec. – Udowodnił swoją wartość, więc złożyłem lepszą ofertę.

– Więc w tym wszystkim chodziło o negocjowanie ceny?

Mag przechylił głowę.

– A czym innym jest wojna? – Te słowa powoli zatoneły w ciszy panującej między nimi, jak statek, który idzie na dno z całą załogą. – Wielu innych też ma długi.

– Caul Dreszcz.

– Nie – odparł sługa. – Jego interwencja była szczęśliwym

zrządzeniem losu.

Calder zamrugął.

– Przecież bez niego... Dow rozerwałby mnie na strzępy.

– Dobry plan dopuszcza działanie przypadku – odrzekł Bayaz. – Po prostu gwarantuje, że każdy przypadek jest nam na rękę. Nie jestem lekkomyślnym hazardzistą, który stawia wszystko na jedną kartę. Jednak na Północy nigdy nie brakowało obiecujących ludzi, a przyznaję, że pan najbardziej przypadł mi do gustu. Pan nie jest bohaterem, Calder. To mi się podoba. Rozumie pan, kim są ludzie. Odziedziczył pan po ojcu spryt, ambicję i bezwzględność, ale nie dumę.

– Zawsze wydawało mi się, że szkoda na nią zachodu – mruknął Calder. – Każdy komuś służy.

– Jeśli będzie pan o tym pamiętał, czekają pana wielkie sukcesy. Ale jeśli pan o tym zapomni... cóż... – Bayaz włożył do ust kawałek mięsa i zaczął je żuć. – Proponuję, żeby zawsze miał pan przed oczami tamten dół pełen trupów, i pamiętał uczucie, które panu towarzyszyło, gdy zaglądał pan do środka i czekał na śmierć. Tamtą straszliwą bezradność. Mrowienie skóry czekającej na ostrze noża. Żal z powodu wszystkiego, czego nie zdążyło się zrobić. Strach o tych, których się zostawia. – Uśmiechnął się pogodnie. – Niech pan zaczyna każdy dzień na krawędzi tego dołu i pamięta, ponieważ zapomnienie to przekleństwo władzy. Pewnego dnia może pan ponownie stanąć nad własnym grobem, ale z mniej szczęśliwym zakończeniem. Wystarczy, że mi się pan sprzeciwi.

– Od dziesięciu lat ciągle przed kimś klękam. – Calder nie musiał kłamać. Czarny Dow darował mu życie, po czym zażądał posłuszeństwa, a następnie zaczął grozić. No i proszę, jak to się skończyło. – Moje kolana łatwo się zginają.

Mag przełknął ostatni kawałek marchewki, oblizał usta i rzucił sztućce na talerz.

– To mnie cieszy. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile odbywam rozmów z ludźmi o sztywnych kolanach. Nie mam już do nich cierpliwości. Ale potrafię być szczodry dla ludzi rozsądnych. Być może nadejdzie czas, gdy pošlę kogoś do pana i poproszę o... przysługę. Mam nadzieję, że wtedy mnie pan nie zawiedzie.

– Jakiego rodzaju przysługę?

– Taką, dzięki której już nigdy nie zostanie pan sprowadzony na manowce przez ludzi z nożami.

Calder odchrząknął.

– Zawsze chętnie wyświadczam takie przysługi.

– To dobrze. W zamian otrzyma pan ode mnie złoto.

– Na tym polega szczodrość magów? Płacą złotem?

– Oczekiwał pan czarodziejskiego mieszka? To nie jest opowieść dla dzieci. Złoto jest wszystkim. Daje władzę, miłość i bezpieczeństwo. Jest mieczem i tarczą. Nie ma wspanialszego daru. Ale tak się składa, że mam też inny. – Bayaz zamilkł jak błazen przygotowujący się do opowiedzenia kawału. – Życie pańskiego brata.

Calder poczuł, że drgają mu mięśnie twarzy. Nadzieja? Czy rozczarowanie?

– Szalka nie żyje.

– Nie. Stracił prawą dłoń przy Starym Moście, ale przeżył. Unia uwalnia wszystkich jeńców. To gest dobrej woli i jeden z warunków historycznego porozumienia pokojowego, na które łaskawie pan przystał. Może pan odebrać tego tępaka jutro w południe.

– Co mam z nim zrobić?

– Nie mnie decydować, co pan zrobi ze swoim prezentem, ale nie można być królem bez poniesienia kilku ofiar. A przecież chce pan być królem, prawda?

– Tak. – Od początku wieczoru sytuacja znacznie się zmieniła, ale tego jednego Calder był pewien bardziej niż kiedykolwiek.

Pierwszy z Magów wstał i podniósł laskę, a jego sługa zaczął zręcznie sprzątać ze stołu.

– Zatem starszy brat tylko będzie panu zawadzał.

Calder przez chwilę przyglądał się Bayazowi, który ze spokojem zerkał na pogrążone w mroku pola, jakby były pełne kwiatów, a nie trupów.

– Czy postanowił pan zjeść kolację obok masowego grobu... tylko po to, żeby dowieść mi swojej bezwzględności?

– A czy pan we wszystkim musi się dopatrywać złowrogich motywów? Zjadłem tutaj, ponieważ byłem głodny. – Bayaz przekrzywił głowę, spoglądając z góry na Caldera, tak jak ptak patrzy na robaka. – Groby nic dla mnie nie znaczą.

– Noże, groźby, przekupstwo i wojna? – mruknął Calder.

Oczy Bayaza zaśniły w blasku lampy.

– Tak.

– Kurwa mać, co z pana za czarownik?

– Taki, któremu jest pan posłuszny.

Sługa sięgnął po talerz Caldera, ale ten złapał go za nadgarstek.

– Proszę zostawić. Może później zgłodnieję.

Mag się uśmiechnął.

– Pamiętasz, co ci mówiłem, Yoru? Ma silniejszy żołądek niż się wydaje. – Odchodząc, machnął dłonią ponad ramieniem. – Myślę, że Północ na razie jest w bezpiecznych rękach.

Sługa Bayaza podniósł koszyk, zestawił lampę ze stołu, po czym ruszył w ślad za swoim mistrzem.

– A gdzie deser?! – zawołał Calder.

Sługa posłał mu ostatni kpiący uśmiech.

– Czarny Dow go ma.

Błask lampy odprowadził ich do narożnika domu. Gdy zniknęli, Calder rozparł się na rozklekotanym krześle w ciemności. Zamknął oczy i głęboko odetchnął z mieszaniną przytłaczającego rozczarowania i jeszcze bardziej przytłaczającej ulgi.

Same pustynie

Mój drogi i zaufany przyjacielu!

Z wielką przyjemnością informuję Cię, że zaistniałe okoliczności pozwalają na to, bym zaprosił Cię z powrotem do Adui, żebyś ponownie wstąpił do mojej straży przybocznej i objął zasłużone stanowisko dowódcy.

Bardzo nam Ciebie brakowało. Podczas Twojej nieobecności stałej pociechy i radości dostarczały nam Twoje listy. Już dawno wybaczyłem Ci wszelkie przewinienia. Mam nadzieję, że mogę liczyć na to samo z Twojej strony. Czekam na potwierdzenie, że możemy kontynuować współpracę tak samo, jak przed Sipani.

*Twój władca,
Wysoki Król Anglandu, Stariklandu i Midderlandu,
Obrońca Westportu i Dagoski,
Jego Królewska Mość...*

Gorst nie mógł czytać dalej. Zamknął oczy, czując piekące łzy na wewnętrznej stronie powiek, po czym przycisnął pogniecioną kartkę do piersi jak kochankę. Ileż razy biedny, pogardzany, wygnany Bremer dan Gorst śnił o tej chwili? Czy teraz także śnię? Ugryzł się w obolały język, a słodki smak krwi przyniósł mu ukojenie. Ponownie otworzył oczy, pozwalając łzom swobodnie płynąć po policzkach i popatrzył na list przez

migoczącą wilgoć.

Drogi i zaufany przyjacielu... zasłużone stanowisko dowódcy... pociecha i radość... tak samo, jak przed Sipani. Tak samo, jak przed Sipani...

Zmarszczył czoło. Otarł łzy wierzchem nadgarstka i spojrzał na datę. List wysłano przed sześcioma dniami. Zanim stanąłem do walki przy brodach, na moście i pośród Bohaterów. Zanim rozpoczęła się bitwa. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy zapłakać, i w końcu zrobił jedno i drugie, chlapiąc na list radosnymi kropelkami śliny, wstrząsany płaczącym chichotem.

Czy to ważne, kiedy go wysłano? Mam to, na co zasłużyłem.

Wypadł z namiotu i poczuł się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział słonecznego blasku. Prosta radość życiodajnego ciepła na twarzy, pieszczota delikatnego wiatru. Rozglądał się z zachwytem załzawionymi oczami. Kawalek terenu opadający ku rzece, błotnisty i usiany śmieciami, zmienił się w urokliwy ogród pełen barw, pogodnych twarzy i przyjemnego trajkotania. Śmiechu i ptasich treli.

– Wszystko w porządku? – Rurgen sprawiał wrażenie nieco zatroskanego, na ile Gorst był w stanie stwierdzić to poprzez łzy.

– Otrzymałem list od króla – pisnął, już nie dbając o to, jak brzmi jego głos.

– Co w nim jest? – spytał Młodszy. – Złe wieści?

– Dobre wieści. – Chwycił Młodsze go za ramiona i uściskał go z całych sił, aż ten stęknął. – Najlepsze. – Drugą ręką przygarnął Rurgena i uniósł ich obu z ziemi, ściskając jak kochający ojciec swoich synów. – Wracamy do domu.

Gorst szedł nietypowym dla siebie sprężystym krokiem. Bez

zbroi czuł się tak lekki, że mógłby wzlecieć w wiosenne niebo. Nawet powietrze pachniało bardziej słodko, mimo że wciąż wyczuwało się w nim słabą woń latryn, i Gorst oddychał pełną piersią. Wszystkie jego rany, ból i małosłowne rozczarowania zbladły pod wpływem niepowstrzymanego blasku.

Narodziłem się na nowo.

Na drodze wiodącej do Osrungu – a raczej do spalonych ruin, które były Osrungiem kilka dni wcześniej – roilo się od uśmiechniętych twarzy. Grupka dziwek posłała mu całusy z wozu, Gorst odpowiedział im tym samym. Kaleki chłopiec pokrzykiwał z podnieceniem, i Gorst wesoło zmierzwił mu włosy. Minęła go kolumna rannych, a gdy mężczyzna o kulach mu się uklonił, Gorst uściskał go, ucałował w czoło, po czym z uśmiechem ruszył dalej.

– Gorst! To Gorst! – rozlegały się wiwaty, a Gorst wyszczerzył zęby i potrząsnął pokrytą strupami pięścią.

Bremer dan Gorst, bohater pola bitwy! Bremer dan Gorst, zaufany króla! Dowódca straży przybocznej Wysokiego Króla Unii, szlachetny, prawy i kochany przez wszystkich! Może zrobić wszystko. Mieć wszystko.

Otaczały go same radosne sceny. Jeden z pułkowników udzielał ślubu swojemu sierżantowi i pulchnej kobiecie z kwiatami we włosach, a koledzy pana młodego znacząco pogwizdywali. Nowy sztandar, absurdalnie czysty, lśnił w słońcu, po raz pierwszy pyszniąc się kolorami jego regimentu i prezentując dumnie łopoczące złote słońce Unii. Może to jedna z flag, które Mitterick wczoraj nieopatrznie stracił? Jak szybko niektóre winy idą w zapomnienie. Nieudolni otrzymują nagrody razem ze skrzywdzonymi.

Jakby na potwierdzenie tej teorii, przy drodze pojawił się

Felnigg w swoim nowym mundurze, otoczony wianuszkami oficerów sztabowych. Wrzeszczał na bliskiego łoż młodego porucznika stojącego obok wywróconego wozu, z którego przez rozdarte płótno, niczym flaki z martwej owcy, wypadły ekwipunek, broń oraz, z jakiegoś powodu, pełnowymiarowa harfa.

– Generale Felnigg! – zawołał wesoło Gorst. – Gratuluję awansu!

Nie mogło to spotkać mniej odpowiedniego zapijaczonego pedanta. Przez chwilę rozważał wyzwanie go na pojedynek, na co nie odważył się kilka dni wcześniej. Potem zastanowił się nad wepchnięciem go do rowu. Cóż, mam inne zajęcia.

– Dziękuję, pułkowniku Gorst. Chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo podziwiam pana...

Gorst nawet się nie kłopotał wymyślaniem wymówek. Po prostu minął Felnigga, rozpychając się między jego oficerami – z których większość jeszcze niedawno wchodziła w skład sztabu marszałka Kroya – jak pług brnący przez mokrą ziemię, pozostawiając ich w tyle, cmokających i posapujących z niezadowoleniem. Wypierdalać mi stąd. Jestem wolny. Wolny! Podskoczył i wzniósł pięść.

Nawet ranni w pobliżu zwęglonych bram Osrungu wyglądali na szczęśliwych, gdy ich mijał, rozdzielając żartobliwe ciosy, mamrocząc banalne słowa zachęty. Mogę się z wami podzielić swoją radością, kalecy i umierający! Mam jej mnóstwo na zbyciu!

Po chwili stanął między nimi i zaczął rozdawać wodę. Jak Bogini Miłosierdzia. Czy ukoisz nasz ból? Już się nie bał. Wiedział, co ma robić.

– Finree! – zawołał, po czym odchrząknął i spróbował

ponownie, nieco niższym głosem. – Finree.

– Bremerze. Wyglądasz na... szczęśliwego. – Pytająco uniosła brew, jakby uśmiech na jego twarzy był równie zaskakujący jak u konia, kamienia albo trupa.

Przyzwyczajaj się do tego uśmiechu, ponieważ pozostanie tu na stałe!

– Jestem bardzo szczęśliwy. Chciałem ci powiedzieć... – Kocham cię. – ...do widzenia. Dziś wieczorem wracam do Adui.

– Naprawdę? Ja także.

Serce podskoczyło mu w piersi.

– Oczywiście kiedy tylko mój mąż na tyle wydobrzeje, żeby wytrzymać podróż.

Ponownie runęło w dół.

– Ale podobno to już niedługo. – Wyglądała na irytująco zachwyconą.

– To dobrze, to bardzo dobrze. – Pierdolić go. Gorst zauważył, że kurczowo zaciska pięść, i zmusił się, żeby ją rozewrzeć. Nie, nie, zapomnij o nim. On nic nie znaczy. To ja wygrałem, a oto moja chwila chwały. – Dziś rano dostałem list od króla.

– Naprawdę? My także! – Wyrzuciła to z siebie i chwyciła go za rękę, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

Serce Gorsta ponownie podskoczyło, jakby jej dotyk był drugim listem od Jego Królewskiej Mości.

– Hal został przywrócony na swoje stanowisko w Otwartej Radzie. – Rozejrzała się ukradkowo, po czym pośpiesznie wyszeptwała: – Uczynię go lordem gubernatorem Anglandu!

Zapadła długa, niezręczna cisza, podczas której Gorst próbował przyswoić te wieści. Jak gąbka wciągająca kałużę szczyn, pomyślał.

– Lordem... gubernatorem? – Miał wrażenie, że ciemna chmura przesłoniła słońce. Już nie czuł na twarzy takiego ciepła jak przed chwilą.

– Niesamowite, prawda? Podobno odbędzie się parada.

– Parada. – Chyba parada cip. Zimny wiatr załopotał jego luźną koszulą. – Zasłużył na nią. – Pilnował wysadzonego mostu, a teraz urządzają mu paradę? – Oboje zasłużyliście. – A gdzie moja parada, do kurwy nędzy?

– A co król napisał w twoim liście?

Moim liście? Tym żałosnym liściku?

– Och... król poprosił, żebym ponownie objął stanowisko dowódcy jego straży przybocznej.

Z jakiegoś powodu już nie potrafił z siebie wykrzesać takiego entuzjazmu jak wtedy, gdy po raz pierwszy go przeczytał. Nie lorda gubernatora, nic z tych rzeczy! Będę trzymał króla za rękę. Lizał go po fiucie. Niech Wasza Królewska Mość nie podciera sobie sam tyłka, ja to zrobię!

– To wspaniała wiadomość. – Finree uśmiechnęła się, jakby wszystko dobrze się skończyło. – Wojna, mimo że straszna, jednak jest pełna okazji.

To nieciekawa wiadomość. Mój triumf ma gorzki smak. Wieniec zwycięstwa zgnił.

– Myślałem... – Jego twarz drgnęła. Już nie potrafił utrzymać na niej uśmiechu. – Teraz mój sukces wydaje się skromny.

– Skromny? Ależ nie, nie miałam zamiaru...

– Nigdy nie zdobędę niczego wartego zachodu, prawda?

Zamrugła.

– Przecież...

– Nigdy nie zdobędę ciebie.

Wytrzeszczyła oczy.

– Nigdy nie... Co takiego?

– Nigdy nie zdobędę ciebie ani nikogo takiego jak ty.

Jej piegowate policzki zapłonęły czerwienią.

– Pozwól, że będę z tobą szczery. Twierdzisz, że wojna jest straszna? – Wysyczał jej to prosto w przerażoną twarz. – Gówno prawda! Ja ją, kurwa, kocham! – Niewypowiedziane słowa kipiały pod powierzchnią. Nie mógł ich powstrzymać i wcale nie chciał. – Na pięknych dziedzińcach, w salonach i ślicznych parkach Adui jestem piskliwym, jebanym pośmiewiskiem. Żenującym falsetem. Absurdalnym błaznem. – Nachylił się jeszcze bliżej, z zadowoleniem widząc, jak się wzdrygnęła. Tylko w ten sposób dowie się o moim istnieniu. Niech tak będzie. – Ale na polu bitwy? Tam jestem bogiem. Kocham wojnę. Stał, smród, trupy. Żałuję, że to już koniec. Pierwszego dnia samodzielnie przepędziłem Północnych za płyciznę. Samodzielnie! Drugiego zdobyłem most! Ja, nikt inny! Wczoraj wspiąłem się na Bohaterów! Kocham wojnę! Chciałbym... żeby trwała. Chciałbym...

Jednakże studnia wyschła, i to szybciej niż się spodziewał. Stał, ciężko dysząc, przypatrując się jej z góry. Jak człowiek, który udusił żonę, po czym nagle doszedł do siebie i teraz nie wie, co zrobić. Odwrócił się, żeby uciec, ale Finree nadal trzymała go za rękę. Mocniej wbiła w nią palce i przyciągnęła go bliżej.

Rumieńce oszołomienia na jej twarzy znikwały, a ich miejsce zastępowała wściekłość. Zacisnęła mięśnie szczęki.

– Co się wydarzyło w Sipani?

Teraz to on się zaczerwienił. Jakby tym słowem wymierzyła mu policzek.

– Zostałem zdradzony. – Chciał, żeby to ostatnie słowo zabolalo ją tak samo jak jego, ale jego głos stracił całą siłę. – Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego. – Rzeczywiście, żałośnie meczy jak kozioł. – Mimo całej mojej lojalności i pracowitości...

Szukał kolejnych ostrych słów, ale nie był do nich przyzwyczajony i jego głos ścichł do piskliwego jęku. Tymczasem Finree gniewnie obnażyła zęby.

– Słyszałam, że kiedy przyszli po króla, ty leżałeś nieprzytomny z jakąś dziwką.

Gorst przełknął ślinę. Ale nie mógł zaprzeczyć. Wytoczył się z pokoju, walcząc z zawrotami głowy, próbując jednocześnie zapiąć pas i dobyć broni.

– Słyszałam, że to nie był pierwszy raz, gdy się zhańbiłeś, a król już wcześniej ci przebaczał, jednak tym razem Zamknięta Rada mu na to nie pozwoliła. – Zmierzyła go wzrokiem, krzywiąc usta. – Bóg pola bitwy, tak? Dla nas maluczkich bogowie i diabły często wyglądają tak samo. Poszedłeś do brodu, na most i na wzgórze, i co tam zrobiłeś poza zabijaniem? Co stworzyłeś? Komu pomogłeś?

Przez chwilę stał nieruchomo, czując, jak ulatnia się z niego cała buta. Ma rację. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

– Nic nie stworzyłem i nikomu nie pomogłem – wyszeptał.

– A więc kochasz wojnę. Kiedyś myślałam, że jesteś porządnym człowiekiem. Ale teraz widzę, że się myliłam. – Dźgnęła go w pierś palcem wskazującym. – Jesteś bohaterem.

Odwróciła się, posyłając mu ostatnie boleśnie pogardliwe spojrzenie, i zostawiła go samego pośród rannych. Już nie wyglądali na radosnych, raczej na pogrążonych w cierpieniu. Ptasie trele znów zmieniły się w słabe krakanie wrony. Nastrój uniesienia okazał się uroczym zamkiem z piasku, który zmył

bezlitosny przypływ rzeczywistości. Gorst czuł się tak, jakby odlano go z ołowiu.

Czy jestem skazany na to, żeby zawsze się tak czuć? Bardzo nieprzyjemna myśl. Czy czułem się tak... przed Sipani? Powiódł surowym wzrokiem w ślad za Finree, która zniknęła w szpitalnym namiocie. Wraca do swojego ślicznego głupka lorda gubernatora. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien był przypomnieć, kto ocalił jej męża. Nigdy nie mówimy tego, co trzeba, we właściwej chwili. Trudno o większe niedopowiedzenie. Westchnął chrapliwie. Właśnie dlatego zawsze trzymam mordę na kłódkę.

Gorst odwrócił się i zagłębił w popołudniowej szarości, spoglądając z zaciśniętymi pięściami na Bohaterów, którzy sterczeli ze szczytu swego ponurego wzgórza jak czarne zęby na tle nieba.

Na Boginie Losu, muszę się z kimś zmierzyć. Z kimkolwiek.
Ale wojna już się skończyła.

Czarny Calder

– Wystarczy, że skiniesz głową.

– Skinę głową?

Dreszcz obejrzał się i przytaknął.

– Skin głową, a to zrobię.

– Tak po prostu – mruknął Calder, kuląc się w siodle.

– Tak po prostu.

To łatwe. Wystarczy skinąć głową, żeby zostać królem. Wystarczy skinąć głową, żeby zabić swojego brata.

Było gorąco, kilka strzępów chmur wisiało pośród błękitu nad wzgórzami, pszczoły unosiły się nad żółtymi kwiatami na skraju pola jęczmienia, rzeka srebrzyście migotała. Może to ostatni upalny dzień, zanim jesień wypędzi lato i wezwie zimę. Taki dzień powinno się spędzić na leniwych marzeniach i chłodzeniu rozgrzanych stóp w płytkiej wodzie. Sto kroków dalej kilku Północnych rozebrało się i właśnie to robiło. Trochę dalej na drugim brzegu tuzin Unionistów oddawał się podobnym rozrywkom. Śmiechy obu grup od czasu do czasu docierały do uszu Caldera, zagłuszając wesoły szmer strumienia. Niedawni wrogowie bawili się jak dzieci, tak blisko siebie, że niemal mogli się chlapać wodą.

Pokój. To z pewnością coś dobrego.

Od miesięcy do niego nawoływał, marzył i knuł, nie licząc na sojusze ani zyski, i oto się doczekał. Trudno o lepszą okazję do triumfalnego uśmiechu, jednak Calderowi łatwiej byłoby

podnieść jednego z Bohaterów niż kąciki ust. Spotkanie z Pierwszym z Magów ciążyło mu przez całą bezsenną noc. Podobnie jak myśl o spotkaniu, które właśnie go czekało.

– Czy to nie on? – spytał Dreszcz.

– Gdzie? – Na moście był tylko jeden człowiek, który wcale nie wyglądał znajomo.

– Tak, to on.

Calder zmrużył oczy, po czym osłonił je przed blaskiem.

– Na spokój...

Do poprzedniego wieczoru był przekonany, że jego brat zginął. Niewiele się pomylił. Szalka był duchem, który wypełził z krainy umarłych i wyglądał tak, jakby mógł go tam z powrotem porwać najłżejszy podmuch wiatru. Nawet z tej odległości sprawiał wrażenie wysuszonego i skurczonego. Tłuste włosy przykleiły mu się do głowy. Już od dawna kulał, jednak teraz zataczał się w bok, szorując lewą stopą po starych kamieniach. Ramiona okrył wytartym kocem, który przytrzymywał pod szyją lewą ręką, podczas gdy drugi koniec powiewał mu wokół nóg.

Calder ześlizgnął się z siodła, zarzucając wodze na szyję konia. Poobijane żebra zapłonęły, gdy pośpieszył bratu z pomocą.

– Wystarczy, że skiniesz głową – szepnął Dreszcz.

Calder zamarł, czując gwałtowny ucisk w żołądku, ale po chwili ruszył z miejsca.

– Bracie.

Szalka zmrużył oczy, jak człowiek, który od wielu dni nie widział słońca. Jego wychudzoną twarz z jednej strony pokrywały strupy, a spuchnięty nos przecinało czarne skaleczenie.

– Calder? – Uśmiechnął się słabo, ukazując lukę po dwóch przednich zębach i popękane usta oblepione zaschniętą krwią.

Puścił koc, żeby chwycić brata za rękę, a wtedy oczom Caldera ukazał się kikut prawej ręki, który Szalka tulił jak żebraczka swoje niemowlę. Calder nie mógł oderwać wzroku od tego straszliwego braku. Dziwacznie, niemal komicznie skrócona ręka, obwiązana aż do łokcia brudnymi bandażami na jednym końcu zaplamionymi na brązowo.

– Proszę. – Calder odpiął swoją pelerynę i założył ją bratu na ramiona, a jego własna złamana ręka nieprzyjemnie zamrowiała ze współczuciem.

Szalka był zbyt obolały i wyczerpany, żeby go powstrzymać.

– Co ci się stało w twarz?

– Posłuchałem twojej rady dotyczącej walki.

– I jak to się skończyło?

– Bolesnie dla wszystkich zainteresowanych – odrzekł Calder, niezdarnie zapinając klamrę peleryny jedną ręką.

Szalka kołysał się, jakby zaraz miał upaść, spoglądając ponad falującymi polami jęczmienia.

– A więc bitwa się skończyła? – wychrypiał.

– Tak.

– Kto wygrał?

Calder przez chwilę milczał.

– My.

– Czyli Dow?

– Dow nie żyje.

Szalka wytrzeszczył przekrwione oczy.

– Zginął w bitwie?

– Później.

– Wrócił do ziemi. – Szalka poruszył zgarbionymi ramionami pod peleryną. – Pewnie było mu to pisane.

Calder cały czas widział w myślach grób rozwierający mu się pod nogami.

– Jak każdemu.

– Kto zajął jego miejsce?

Znów cisza. Wiatr przyniósł śmiech pływających żołnierzy, który po chwili rozwiął się wśród szelestu pól.

– Ja.

Szalka rozdziawił poranione usta.

– Teraz nazywają mnie Czarnym Calderem.

– Czarnym... Calderem.

– Chodź, znajdziemy ci konia. – Calder poprowadził brata w stronę wierzchowców.

Dreszcz nie spuszczał z nich wzroku.

– Teraz jesteście po tej samej stronie? – spytał Szalka.

Dreszcz położył palec na pokrytym bliznami policzku i pociągnął go w dół, tak że metalowa kulka wybrzuszyła się w oczodole.

– Mam na wszystko oko.

Szalka chciał sięgnąć prawą ręką do łąku siodła, ale szybko powstrzymał się i niezdarnie chwycił go lewą dłonią. Odnalazł butem strzemię i zaczął wciągać się na grzbiet konia. Calder podłożył dłoń pod jego kolano, żeby mu pomóc. Kiedy był dzieckiem, Szalka często podnosił go i sadzał w siodle. Czasami nawet niezbyt delikatnie go podrzucał. Tyle się zmieniło.

Ruszyli w górę szlaku. Szalka oklapł; wodze zwisały mu z bezwładnej lewej dłoni, a głowa kołysała się przy każdym kroku. Calder jechał obok niego z ponurą miną. Dreszcz podążał

za nimi jak cień. Wielki Rozjemca, czyhający za ich plecami. Przejechali przez pola w nieznośnie powolnym tempie, zmierzając ku przerwie w Murze Claila, gdzie kilka dni wcześniej Calder stawiał czoło szarzy Unionistów.

Serce biło mu równie szybko jak wtedy. Rankiem Unia wycofała się za rzekę, a chłopcy Błedego-jak-Śnieg znajdowali się na północy za Bohaterami, ale w okolicy wciąż nie brakowało świadków. Kilku nerwowych zbieraczy przeczesywało zdeptany jęczmień, szukając drobiazgów, które mogli przegapić ich poprzednicy. Rozglądali się za grotami strzał, klamrami i wszystkim, co można spieniężyć. Na wschodzie dwaj mężczyźni przedzierali się przez pole, jeden z wędką na ramieniu. Dziwne, jak szybko pole bitwy ponownie zmienia się w zwykły kawałek ziemi. Jednego dnia ludzie umierają za każdy palec gruntu, następnego to tylko ścieżka prowadząca z jednego miejsca do drugiego. Rozglądając się, Calder skrzyżował spojrzenia z Dreszczem, a zabójca uniósł podbródek, zadając milczące pytanie. Calder szarpnięciem odwrócił głowę, zupełnie jakby cofał rękę od garnka z wrzątkiem.

Przecież już wcześniej zabijał. Zabił Brodda Dziesięć Sposobów własną bronią, kilka godzin po tym, ja ten uratował mu życie. Rozkazał zgładzić Forleya Najsłabszego, kierując się wyłącznie swoją próżnością. A teraz do wzięcia jest Tron Skarlinga, więc perspektywa zabójstwa nie powinna przyprawiać go o drżenie rąk, prawda?

– Dlaczego mi nie pomogłeś, Calderze? – Szalka wysunął kikut spod peleryny i patrzył na niego z zaciśniętymi zębami. – Tam na moście. Dlaczego się nie pojawiłeś?

– Chciałem. – Kłamca. – Ale dowiedziałem się, że Unioniści

kryją się w lesie na drugim brzegu strumienia. Zaszli nas od flanki. Chciałem wyruszyć, ale nie mogłem. Przykro mi. – To była prawda. Było mu przykro. Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Cóż. – Twarz Szalki przypominała wykrzywioną maskę, gdy ponownie schował kikut pod pelerynę. – Wygląda na to, że miałeś rację. Świat potrzebuje więcej myślicieli, a mniej bohaterów. – Zerknął na Caldera, który skrzywił się pod jego spojrzeniem. – Zawsze byłeś sprytniejszy z nas dwóch.

– Nie. To ty miałeś rację. Czasami trzeba walczyć.

Właśnie tutaj po raz ostatni stanął do walki, a ziemia wciąż nosiła blizny. Zdeptane zboże, połamane drzewca strzał, kawałki zniszczonego ekwipunku rozrzucone wokół pozostałości okopów. Przed Murem Claila ziemia obróciła się w błoto, a potem ponownie stwardniała. Widniały na niej odciski butów, kopyt oraz dłoni, jedyna pozostałość po ludziach, którzy tam zginęli.

– Zdobywaj to, co się da, za pomocą słów – mruknął Calder – ale słowa uzbrojonego człowieka brzmią znacznie piękniej. Tak powiedziałeś. Tak powiedział nasz ojciec. Czy nie wspominał też o rodzinie? Podobno nie ma niczego ważniejszego. Oraz o miłosierdziu? Zawsze należy o nim myśleć.

– Kiedy jesteś młody, wydaje ci się, że twój ojciec wie wszystko – odrzekł Szalka. – Teraz dochodzę do wniosku, że mógł się mylić, i to w niejednej sprawie. Wystarczy zobaczyć, jak skończył.

– To prawda. – Wypowiadanie każdego słowa przypominało dźwiganie potężnego głazu. Od jak dawna Calder musi się męczyć z tym tępym mięśniakiem? Ile kuksańców, kpin i obraz musiał znieść? Zacisnął dłoń na metalowym przedmiocie w kieszeni. Łańcuch jego ojca. Jego łańcuch. Czy rzeczywiście

rodzina jest najważniejsza? A może to tylko ciężar, który krępuje ruchy?

Zostawili za sobą zbieraczy i pole bitwy. Jechali spokojnym szlakiem biegnącym w pobliżu gospodarstwa, gdzie Szalka obudził Caldera kilka dni wcześniej. Gdzie zeszłego wieczoru Bayaz zapewnił mu jeszcze gwałtowniejsze przebudzenie. Czy to był test? Może czarownik chciał sprawdzić, czy Calder jest wystarczająco bezwzględny? Oskarżano go o wiele różnych rzeczy, ale nigdy o brak bezwzględności.

Od jak dawna marzył o zastąpieniu ojca? Myślał o tym jeszcze zanim ojciec utracił swoją pozycję, a teraz pozostała mu do przeskoczenia ostatnia niewielka przeszkoda. Wystarczy skinąć głową. Zerknął kątem oka na Szalkę, który był wrakiem człowieka. Ambitny człowiek nie powinien się potknąć na takiej przeszkodzie. Caldera oskarżano o wiele rzeczy, ale nigdy o brak ambicji.

– Więc zająłeś miejsce ojca – powiedział Szalka. – Ja też próbowałem, ale... nigdy mi się nie udało. Zresztą, zawsze uważałem, że będziesz lepszym królem.

– Być może – wyszeptał Calder. Z pewnością.

Dreszcz jechał tuż za nimi. Jedną ręką przytrzymał wodze, drugą opierał na biodrze. Wyglądał na spokojnego jak zawsze, łagodnie kołysał się w rytm kroków konia. Jednakże opuszkami palców muskał rękojeść miecza, który przytwierdził w wygodnym miejscu obok siodła. To była broń Czarnego Dowa. Miecz, który kiedyś należał do Krwawego-dziewięć. Dreszcz pytająco uniósł brew.

Calder czuł w głowie szum krwi. Nadszedł właściwy moment. Może zdobyć wszystko, czego pragnie.

Bayaz miał rację. Nie można zostać królem, nie ponosząc

ofiar.

Calder wziął głęboki wdech i przytrzymał powietrze w płucach. Teraz.

Delikatnie pokręcił głową.

Dreszcz cofnął dłoń, po czym zwolnił, stopniowo zostając w tyle.

– Może i jestem lepszy – rzekł Calder – ale ty jesteś starszy. – Podjechał bliżej, wyjął z kieszeni łańcuch ojca, włożył go Szalce na szyję i starannie ułożył na ramionach. Poklepał brata po plecach, zastanawiając się, kiedy zdążył pokochać tego głupiego drania. Kiedy zdążył pokochać kogokolwiek poza sobą. Opuścił głowę. – Pozwól, że jako pierwszy ukłonię się nowemu królowi Północnych.

Szalka zamrugał i popatrzył na brylant lśniący na jego brudnej koszuli.

– Nie podejrzewałem, że to się tak skończy.

Podobnie jak Calder. Ale, o dziwo, był z tego zadowolony.

– Skończy? – Uśmiechnął się do brata. – To dopiero początek.

Koniec wojaczki

Dom nie stał nad wodą. Nie miał werandy. Na zewnątrz znajdowała się ławeczka z widokiem na dolinę, ale kiedy siadywał na niej wieczorami, paląc fajkę, nie uśmiechał się, tylko myślał o ludziach, których pogrzebał. Podczas deszczu, którego ostatnio nie brakowało, okap po zachodniej stronie dachu lekko przeciekał. W domu był tylko jeden pokój i półka do spania, na którą wchodziło się po drabinie. W zasadzie budowla niewiele się różniła od stodoły, miała jednak solidny dębowy szkielet i kamienny komin. No i należała do niego. Marzenia nie wyrastają samoistnie, trzeba ich doglądać, a najpierw zasadzić gdzieś ziarno. Przynajmniej tak Gnat sobie powtarzał.

– Zaraza! – Młotek i gwóźdź upadły z trzaskiem na drewnianą podłogę, a Curnden zaczął krążyć po pomieszczeniu, parskając, klnąc i potrząsając dłonią.

Praca w drewnie to ciężki kawałek chleba. Może już tak często nie obgryzał paznokci, ale za to wbijał je sobie młotkiem w palce. Musiał stawić czoło smutnej prawdzie, o której świadczyły liczne rany na rękach. Nie jest dobrym stolarzem. Śniąc o spokojnej starości, zawsze wyobrażał sobie, że tworzy piękne przedmioty, zazwyczaj otoczony promieniami słońca wpadającymi przez kolorowe szyby i eleganckimi kłębami trocin. Wimpergi zdobione złoconymi smoczymi głowami, tak zręcznie wyrzeźbionymi, że uznawano je za cuda Północy, a ludzie zjeżdżali się z najdalszych zakątków, by je zobaczyć. Okazało się jednak, że drewno jest równie popękane, wypaczone

i pełne drzazg jak ludzie.

– Psiakrew. – Masował kciuk o poczerniałym paznokciu, w który trafił także poprzedniego dnia.

Wieśniacy odnosili się do niego z uśmiechem i zlecali mu drobne prace, ale Gnat podejrzewał, że co najmniej kilku z nich lepiej radzi sobie z młotkiem. W końcu postawili nową stodołę bez jego pomocy, a on musiał przyznać, że wyszło jej to na dobre. Zaczynał podejrzewać, że jest im potrzebny w dolinie ze względu na swój miecz, a nie piłę. Podczas wojny północne szumowiny mogły się skupić na zabijaniu i okradaniu Południowców. Teraz pozostali im tylko rodacy, za których ochoczo się zabrali. Imienny w okolicy może się przydać. Takie nastąpiły czasy. Być może już nigdy nie będzie inaczej.

Przykucnął obok wywróconego krzesła, ostatniej ofiary jego wojny z meblami. Uszkodził złączenie, nad którym pracował dłutem przez ostatnią godzinę, i teraz noga sterczała pod dziwnym kątem, a w miejscu, w które uderzał młotkiem, widniało brzydkie zagłębienie. Ma za swoje, skoro postanowił pracować po zmroku, ale jeśli dzisiaj tego nie skończy...

– Gnacie!

Gwałtownie uniósł głowę. Męski głos, niski i chrapliwy.

– Jesteś tam?

Poczuł dreszcze na całym ciele. Przez całe życie starał się postępować zgodnie z zasadami, ale nie sposób zajmować się czarną robotą i nie narobić sobie wrogów.

Zerwał się na nogi, tak szybko, jak pozwalało mu zdrowie, po czym zdjął miecz z uchwytu nad drzwiami, niemal upuszczając go sobie na głowę i sycząc pod nosem kolejne przekleństwa. Gdyby ktoś przyszedł go zabić, raczej nie ostrzegałby go, wykrzykując jego imię. Chyba że jest idiotą. Idiotci bywają

równie mściwi jak inni ludzie, może nawet bardziej.

Okiennice na tyłach domu były otwarte. Mógłby wyslizgnąć się przez okno i ukryć w lesie. Ale jeśli ten ktoś ma poważne zamiary, to na pewno o tym pomyślał, a z chorymi kolanami Gnat nikomu nie ucieknie. Lepiej wyjść przez frontowe drzwi i stanąć z przybyszem twarzą w twarz. Tak jak uczyniłby w młodości. Ostrożnie zbliżył się do wyjścia i dobył miecza, przełykając ślinę. Przekreślił gałkę, wsunął ostrze w szparę i ostrożnie uchylił drzwi, zerkając obok futryny.

Wyjdzie od frontu, ale nie zamierza stanowić łatwego celu.

Na pierwszy rzut oka naliczył ośmiu ludzi ustawionych w półokręgu na podmokłym terenie przed domem. Dwóch trzymało pochodnie, a ich blask wydobywał z wilgotnego półmroku lśniące kolczugi, hełmy i grotty włóczy. Carlowie, i to najwyraźniej zaprawieni w bojach, chociaż obecnie można tak było powiedzieć właściwie o wszystkich mężczyznach pozostałych na Północy. Mieli dużo broni, lecz nie dobyli mieczy. To go nieco pocieszyło.

– To ty, Gnacie?

Jeszcze bardziej się uspokoił, gdy zobaczył dowódcę stojącego najbliżej domu z uniesionymi dłońmi.

– Zgadza się. – Gnat opuścił czubek miecza i wychylił głowę nieco dalej. – Co za niespodzianka.

– Mam nadzieję, że przyjemna.

– Pewnie zaraz się dowiem. Czego chcesz, Czerstwy?

– Mogę wejść?

Gnat pociągnął nosem.

– Możesz. Ale twoja drużyna na razie będzie musiała ponapawać się wieczornym powietrzem.

– Są do tego przyzwyczajeni. – Czerstwy samotnie zbliżył się

do domu. Wyglądał kwitnąco. Przystrzyżona broda. Nowa kolczuga. Srebrne zdobienia na rękojeści miecza. Wspiął się po schodkach i schylając głowę w drzwiach, minął Gnata, po czym stanął na środku niewielkiego pomieszczenia i rozejrzał się z uznaniem. Popatrzył na siennik leżący na półce, na stół warsztatowy i narzędzia, na niedokończony krzesło, popękane drewno i strużyny walające się po posadzce. – Więc tak wygląda życie po zerwaniu z wojaczką?

– Nie, kurwa, za domem mam pałac. Co tutaj robisz?

Czerstwy zaczerpnął powietrza.

– Potężny Szalka Żelaznoręki, król Północnych, rozpoczął wojnę z Glamą Złotym.

Gnat parsknął.

– Chciałeś powiedzieć, że rozpoczął ją Czarny Calder. Dlaczego?

– Złoty zabił Caula Reacheya.

– Reachey nie żyje?

– Został otruty. A Złoty maczał w tym palce.

Gnat zmrużył oczy.

– Na pewno?

– Tak twierdzi Calder, a Szalka się z nim zgadza, więc nie trzeba dalszych dowodów. Cała Północ staje u boku synów Bethoda, a ja przyszedłem spytać, czy ty także chcesz to uczynić.

– Od kiedy walczysz dla Caldera i Szalki?

– Odkąd Wilczarz powiesił miecz na kołku i przestał płacić.

Gnat zmarszczył czoło.

– Calder nigdy mnie nie przyjmie.

– To on mnie przysłał. Mianował swoimi wodzami Bładego-jak-Śnieg, Cairma Żelaznogłowego i twoją przyjaciółkę Cudną.

– Cudną?

– Przebiegła kobieta. Ale Calder potrzebuje kogoś o znanym imieniu, kto zostanie jego zastępcą i poprowadzi jego Carlów. Najwyraźniej potrzebny mu ktoś z zasadami. – Czerstwy rzucił okiem na krzesło. – Raczej nie zatrudni cię jako stolarza.

Gnat stał nieruchomo, próbując to wszystko przyswoić. Zaproponowano mu wysokie stanowisko. Mógł wrócić między ludzi, których rozumie i którzy go podziwiają. Wrócić do czarnej roboty, by znów próbować postępować honorowo i przemawiać nad grobami.

– Przykro mi, że musiałeś na próżno pokonać taki kawał drogi, Czerstwy, ale nic z tego. Przekaż Calderowi moje przeprosiny. Za to i za... całą resztę. Powiedz mu, że już się wycofałem. Skończyłem z wojaczką.

Czerstwy westchnął.

– Dobrze. Wielka szkoda, ale przekażę mu twoje słowa. – Obejrzał się w drzwiach. – Uważaj na siebie, Gnacie. Niewielu zostało ludzi, którzy znają różnicę między honorowym i niehonorowym postępowaniem.

– Jaką różnicę?

Czerstwy parsknął.

– Jasne. Tak czy inaczej, uważaj na siebie. – Po czym zszedł po schodkach i zniknął w gęstniejącym mroku.

Gnat przez chwilę patrzył w ślad za nim, zastanawiając się, czy to dobrze, że jego serce się uspokaja. Ważył miecz w dłoni, przypominając sobie, jak się nim wywija. Na pewno zupełnie inaczej niż młotkiem. Przypomniwał sobie, jak Trójdrzewiec podarował mu to ostrze. Duma płonęła w nim wtedy jak ogień. Uśmiechnął się wbrew sobie, przypominając sobie, jaki był dawniej. Drażliwy, dziki i żądny chwały, pozbawiony zasad.

Omiótł wzrokiem pojedynczą izbę i znajdujące się w niej nieliczne przedmioty. Zawsze uważał, że koniec wojaczki będzie oznaczał powrót do prawdziwego życia po koszmarnej przerwie. Po wygnaniu do krainy umarłych. Teraz docierało do niego, że wszystko, co najważniejsze w jego życiu, wydarzyło się, gdy dzierżył miecz.

Stał u boku swojej dwunastki. Śmiał się z Whirrunem, Brackiem i Cudną. Łączył dłonie z drużyną przed walką ze świadomością, że umarłby za nich, a oni za niego. Czuł zaufanie, braterstwo, miłość, więzy bliższe niż rodzinne. Stał obok Trójdrzewca na murach Uffrithu, rykiem kpiąc z potęgi Bethoda. Uczestniczył w szarży pod Cumnurem i Dunbrecem. A także na Wysokich Szczytach, mimo że tam przegrali. Właśnie dlatego to pamiętał. Tak jak dzień, w którym otrzymał swoje imię. A nawet dzień, gdy przez niego zginęli jego bracia. Oraz to, jak stał na szczycie Bohaterów pośród deszczu i obserwował nadchodzących Unionistów, wiedząc, że każda z rozwlekłych chwil może się okazać ostatnią.

Whirrun miał rację, że nie może być nic bardziej emocjonującego. A na pewno nie jest to naprawianie krzesel.

– Psiakrew, co mi tam – mruknął, po czym chwycił pas z mieczem i płaszcz, zarzucił je sobie na ramię i wyszedł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nawet nie szukał klucza. – Czerstwy! Zaczekaj!

Podziękowania

Jak zwykle dziękuję czterem osobom:

Bren Abercrombie, którą bolą oczy od czytania.

Nickowi Abercrombiemu, którego bolą uszy od słuchania.

Robowi Abercrombiemu, którego bolą palce od przewracania stron.

Lou Abercrombiemu, którego bolą ręce od podtrzymywania mnie.

A także z całego serca dziękuję:

Wszystkim cudownym i utalentowanym ludziom pracującym dla mojego brytyjskiego wydawcy, Gollanca, oraz ich macierzystej grupy wydawniczej Orion, a zwłaszcza Simonowi Spantonowi, Jo Fletcher, Jonowi Weirowi, Markowi Stayowi i Jonowi Woodowi. Jak również wszystkim, którzy zajmują się wydawaniem, reklamowaniem, tłumaczeniem, a zwłaszcza sprzedawaniem moich książek na całym świecie.

Artystom, którym jakimś cudem udało się sprawić, abym wyglądał na człowieka z klasą: Didierowi Graffetowi, Dave'owi Seniorowi i Laurze Brett.

Redaktorom za oceanem: Deviemu Pillai i Lou Andersowi.

Innym zaprawionym w bojach profesjonalistom, którzy zajmują się różnymi tajemniczymi usługami: Robertowi

Kirby'emu. Darrenowi Turpinowi, Matthew Amosowi, Lionelowi Boltonowi.

Wszystkim pisarzom, z którymi miałem okazję się kontaktować, elektronicznie bądź osobiście, a którzy ofiarowali mi pomoc, wiele zabawnych uwag oraz kilka pomysłów, które warto było podkraść, między innymi Jamesowi Barclayowi, Markowi Billinghamowim Peterowi V. Brettowi, Stephenowi Deasowi, Rogerowi Levy'emu, Tomowi Lloydowi, Joemu Mallozziemu, George'owi R.R. Martinowi, Johnowi Meaneyowi, Richardowi Morganowi, Markowi Charanowi Newtonowi, Garthowi Niksowi, Adamowi Robertsowi, Pat Rothfuss, Marcusowi Sakeyowi, Wimowi Stolkowi i Chrisowi Woodingowi.

A na koniec, choć to najważniejsze:

Właścicielce Ojca Czerwonych Długopisów, który, gdy raz się go dobędzie, musi zakosztować krwi, nieustraszonej mistrzyni wydawniczych pól bitewnych, mojej redaktorce Gillian Redfearn. W końcu ktoś musi zajmować się prawdziwą walką...